

JUDITH KRANTZ

DOM MODY

Scruples

Przełożył Piotr Chojnacki

Dla Steve'a

Z całą moją miłością

Na zawsze

W Beverly Hills własnych samochodów nie prowadzą jedynie inwalidzi i zgrzybiali starcy. Toteż miejscowa policja przywykła do widoku najdziwniejszych zestawień kierowcy i wozu. Korpulentni, krótkowzroczni emerytowani bankierzy wbrew zakazowi skręcają z głównej w lewo w swoich Ferrari Dino, nastolatki całym gazem pędzą na lekcje tenisa w Rolls - Royce'ach Corniche za pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, a zażywe radne miejskie beztrósco parkują swoje karminowe jaguary pośrodku przystanku autobusowego.

Billy Ikehorn Orsini, która miała liczne przywary, lecz samochodem na co dzień kierowała przytomnie, z niecierpliwym piskiem hamulców osadziła swojego antycznego bentleya przed wejściem do Scruples, najbardziej luksusowego magazynu mody na świecie, prawdziwego klubu dla ludzi bardzo sławnych i bardzo, bardzo bogatych. Billy miała lat trzydzieści pięć i była jedyną spadkobierczynią fortuny ocenianej przez autorów list najbogatszych z Wall Street Journal na dwieście do dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów. Więcej niż połowę tego majątku Billy zainwestowała bezpiecznie w zwolnionych od podatku obligacjach miejskich, co ułatwiało jej życie, natomiast Federalny Urząd Podatkowy doprowadzało do rozpacz.

Mimo pośpiechu Billy zatrzymała się przed witryną sklepu, baczynym okiem właścicielki lustrując swoją posiadłość na północno - zachodnim rogu skrzyżowania Rodeo Drive z Dayton Way, gdzie jeszcze cztery lata wcześniej skrzył się złoceniami, białym tynkiem i żelaznymi okuciami zabytkowy magazyn Van Cleef & Arpels, podobny najbardziej do hotelu Carlton z Cannes, przeniesionego żywcem do Kalifornii.

Luty 1978 roku był chłodny nawet tutaj, lecz Billy chroniło od zimna wełniane bolero koloru sieni, obszyte sobolami. Billy otuliła się szczelniej i rozejrzała po wystawnym centrum Rodeo Drive, gdzie stojące ze sobą nos w nos rzędy zamożnych butików przekrzykiwały się bogactwem, tworząc najbarwniejszą w zachodnim świecie paletę luksusu. Szeroki bulwar zdobiły rozłożyste drzewa figusowe, które zachowywały liście przez okrągły rok, a panoramy dopełniały pobliskie łagodne, zalesione wzgórza, przywodzące na myśl pejzaże z płócien Leonarda da Vinci.

Kilkoro przechodniów rozpoznało Billy. Mogła się o tym przekonać, gdyż obrzucili ją tym samym trwającym sekundę spojrzeniem, którym prawdziwy nowojorczyk czy mieszkaniec Beverly Hills od niechcienia zaszczyca gwiazdy gromadzące tłumy w każdym innym mieście.

Od czasu dwudziestych pierwszych urodzin Billy setki razy stawała przed obiektywami, lecz zdjęcia z gazet nigdy jakoś nie potrafiły oddać całej jej niepokojącej powierzchowności. Długie włosy Billy miały barwę futra z norek, a ich głęboki brąz wyglądał niczym czerń dotknięta promieniem księżycowej poświaty. Zaczesane za uszy włosy odsłaniały ulubione klejnoty Billy, dwa jedenastokaratowe brylanty, zwane Bliźniakami z Kimberley – prezent od pierwszego męża Ellisa Ikehorna.

Nawet bez obcasów Billy miała sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i dorównywała wysmukłością sylwetki niejednemu mężczyźnie. Kiedy zbliżała się do wejścia do sklepu, nieświadomie wstrzymała oddech wiedząc, co ujrzy za chwilę. Śniady, pełen gracji portier z wysp Bali, w czarnej firmowej tunice i ciasno opiętych spodniach, skłonił się nisko, otwierając podwójne drzwi na miarę olbrzymów. Za skrzydłami drzwi rozpościerała się nowa kraina stworzona

po to, by zwodzić, oszalać i kusić. Dziś jednak Billy spieszyła się bardzo, nie mogła więc fachowym okiem obrzucić terytorium stworzonego kosztem prawie jedenastu milionów dolarów i zwanego przez nią nie krainą z baśni, lecz „sklepikiem”, jak trzeźwo podpowiadało Wilhelminie Hunnenwell Winthrop z jednego z najstarszych rodów Ameryki jej trzeźwe bostońskie wychowanie. Billy wkroczyła do wnętrza charakterystycznym dla niej, energicznym krokiem łowczyni i bez wahania ruszyła ku windzie, postanawiając nie dać się zatrzymać na pogwarki żadnej ze stałych klientek sklepu. Prawie w biegu rozpięła bolero, odsłaniając wysmukłą szyję. Jako kobieta Billy miała w sobie owo najbardziej niepokojące połączenie: wybujały seks i żelazny charakter, dyktując otoczeniu własny styl. Dla każdego spostrzegawczego mężczyzny było jasne, że co innego mówią ciemne oczy Billy o tęczęwkach w cieniutkie prążki barwy szylkretu i pełne usta koloru pałowej róży pod przezroczystą warstewką błyszczku, zupełnie zaś co innego podpowiada wysmukła, wysoka sylwetka, w surowym stroju, który składał się tego dnia z ciemnozielonych spodni z kozłej skóry i ciężkiej tuniki z kremowego jedwabiu, rozciętej wysoko i niedbale przewiązanej w pasie. Billy zdawała sobie doskonale sprawę, że podkreślając strojem biust czy pośladki wymierzyłyby prawdziwej elegancji policzek. Szykowny, chłodny strój kłócił się więc z wrodzoną zmysłowością Billy, która chyba rozmyślnie wprowadzała ludzi w zakłopotanie wspaniałym, z pozoru przypadkowym ubiorem, z tych, które można równie łatwo zedrzeć z siebie, by runąć na łóżko, jak i stanąć w nim przed fotografem wykonującym serię zdjęć dla Womeris Wear Daily.

Billy udało się dotrzeć do windy zamieniając zaledwie pół tuzina

ukłonów z kobietami, którym dawała w ten sposób jednocześnie do zrozumienia, że miło jej, iż ktoś uwalnia ją od brzemienia choćby cząstki gigantycznego majątku, lecz że zarazem bardzo się w tej chwili spieszy. Winda pojechała prosto na najwyższe piętro dowożąc Billy do celu, którym było prywatne biuro. Czekają tam na właścicielkę dwoje zarządców: Spider Elliott, który zawiadywał sklepem, i Valentine O'Neill, odpowiedzialna za zakup kolekcji i projektowanie własnych modeli. Billy zastukała na znak swego przybycia, a nie pytając o zgodę, po czym wmaszerowała do wnętrza, którego rozmiary podkreślała tylko niewiarygodna grupa starych angielskich mahoniowych biurek, wypatrzona przez Spidera w sklepie z antykami na Melrose Avenue i przetransportowana za jego poduszczeniem do Scruples. Biurka trwały niczym ostoja splekanej rzeczywistości pośród sali przepełnionej futurystycznymi odcieniami roztopionej, matowej czerni, kolorem brunatnym, jasnobrązowym i beżowym, według projektu Edwarda Taylora.

- Gdzie moi ludzie, do diabła - zakląła pod nosem Billy, uchylając drzwi do pokoju sekretarki. Pani Evans podskoczyła nerwowo, nie spodziewając się szefowej tak wcześnie, i natychmiast zaklekotała maszyna do pisania.

- Gdzie oni są? - zapytała Billy.

- Ojej, pani Ikehorn... Chciałam powiedzieć, pani Orsini... - w pomieszczeniu wybąkała sekretarka.

- Nic nie szkodzi, wszyscy się mylą - zapewniła ją automatycznie Billy, która żoną Vito Orsiniego, najbardziej niezależnego spośród wszystkich producentów filmowych, była dopiero od półtora roku - nic

więc dziwnego, iż ci, którzy przez lata czytali o niej w gazetach jako o Billy Ikehorn, popełniali bezwiednie wciąż tę samą omyłkę.

- Pan Elliott obsługuje panią Maggie McGregor - poinformowała wreszcie szefową pani Evans. - Dopiero co zaczął, i mówił, że zejdzie mu co najmniej godzina. Valentine jest w atelier, robi przymiarke dla pani Woodstock. Długo już się tym zajmuje, bo od południowej przerwy.

Billy zacisnęła usta w irytacji, gdyż nawet ona nie mogła teraz wezwać współpracowników - dokładnie w chwili, gdy byli jej najbardziej potrzebni. Spider zaszył się gdzieś z najważniejszą kobietą w całej telewizji, podczas gdy Val projektowała komplet kreacji dla żony nowego ambasadora amerykańskiego we Francji. Gównno! Billy sama zapędziła się w ślepią uliczkę, gdyż z godnością postanowiła od początku w takich sprawach jak przymiarki i wizyty klientek w domu mody Scruples zostawić współpracownikom wolną rękę. Dina Merrill mogła sobie grać, Gloria Vanderbilt malować, Lee Radziwiłł projektować wnętrza na użytek swoich przyjaciółek, a Charlotte Ford wraz z całą sforą dam z towarzystwa „projektować” kolekcje mody; ona, Billy Ikehorn Orsini, stała na czele kwitnącego, najbardziej luksusowego sklepu na świecie, przepysznego połączenia butiku, sklepu z prezentami, stoiska z odzieżą gotową i magazynu paryskiej haute couture. Nie zmieniał tej sytuacji nawet fakt, że Scruples był najmniej znaczącą pozycją na liście posiadłości Billy; w odróżnieniu bowiem od innych źródeł dochodów Billy Ikehorn sama stworzyła Scruples i osobiście kierowała sklepem od samego początku. Sklep był więc dla niej zarówno zabawką, jak i najukochańszą częścią majątku, skrytym marzeniem, które się nareszcie ziściło, stworzone na ludzką skalę jako coś, co da się dotknąć, ujrzeć, powąchać, zmieniać i w

nieskończoność ulepszać.

- W tym rzecz: muszę ich jak najszybciej mieć u siebie. Proszę im powiedzieć, że natychmiast kiedy skończą swoje sprawy, mają mnie znaleźć. Będę na terenie sklepu.

Billy odwróciła się i swoim czujnym krokiem przeszła do własnego gabinetu, zanim oblana pąsem pani Evans zdążyła życzyć jej szczęścia, choć przygotowywała się do tej mówki od kilku tygodni. Nazajutrz jury nagród Oscara miało podać listę swoich kandydatów. Film Vito Orsiniego *Zwierciadła* miał szansę znaleźć się na tej liście jako jeden z pięciu najlepszych obrazów kinematograficznych 1977 roku. Pani Evans kiepsko się znała na branży filmowej, lecz aż za dobrze zdawała sobie sprawę, z jakim napięciem pani Ikehorn - pani Orsini! - słucha krążących po sklepie plotek na temat listy. Sekretarce przyszło nawet do głowy, że skoro chlebodawczyni jest tego dnia tak niecierpliwa, może słuszniej było nie odzywać się wcale. Pani Evans nie bardzo wiedziała, jak zachować się w takich sytuacjach.

* * *

Dla Maggie McGregor gorączka zakupów stanowiła przeżycie tyleż wyczerpujące co niosące jej upojenie. Wydała właśnie ponad siedem tysięcy dolarów na ciuchy, które miała nosić przed kamerami w ciągu dwóch najbliższych miesięcy, zamówiła też sobie kompletną garderobę na festiwal filmowy w Cannes, który miała zaliczyć jako sprawozdawca w maju. Festiwalowe stroje pociągnęły już za sobą wydatek kolejnych dwunastu tysięcy dolarów za kreacje, które w Nowym Jorku szyto dla Maggie w firmach Halstona i Adolfo. Specjalne kolory, specjalnie dla Maggie dobrane tkaniny, wszystko to musiało się znaleźć w jej walizce

przed datą wyjazdu, inaczej - jak groziła Maggie - potoczą się głowy. Kontrakt, jaki zawarła Maggie z telewizją, uściślał naturalnie, że za wszystkie kreacje płać bonzowie z sieci nadawczej. Gdzieżby przyszło Maggie do głowy trwonić własne, dobre pieniądze.

Gdyby dziesięć lat wcześniej, gdy była jeszcze niską, pulchniutką nastolatką imieniem Shirley Silverstein, córką najbogatszego handlarza materiałami instalacyjnymi w całym miasteczku Fort John w stanie Rhode Island, ktoś chciał jej wmówić, że można się dobrze umęczyć wydając dziewiętnaście tysięcy dolarów na ubrania, wyśmiałaby go chyba. A może by nie wyśmiała? Po namyśle Maggie uznała, że nawet w owej zamierzchłej przeszłości hołubiła w sobie dosyć ambicji, by móc sobie wyobrazić taką sytuację, była też na tyle inteligentna, by zrozumieć, że szaleńcze zakupy rujnują nerwy, by już nie wspomnieć o pęcherzach na stopach. Faktem jest, że dziesięć lat wcześniej Maggie nigdy nie postawiłaby w myślach siebie w takiej sytuacji. Nawet i dziś, choć zakupy stały się rutyną dla dwudziestosześcioletki, supergwiazdy telewizji, opanowanej i twardej - jak mawiano - bardziej niż Mikę Wallace i o wiele bardziej niż Wallace powściągliwej na własnym punkcie. Mawiano też o Maggie, że jest przystojniejsza niż Dan Rather i ma wrodzony talent do przeprowadzania wywiadów taki jak talent piosenkarski u Beverly Sills. Maggie doczekała się własnego programu w najlepszym czasie antenowym i w jednej z największych sieci telewizyjnych. W każdą sobotę przez pół godziny w ponad jednej trzeciej telewizorów w Stanach Zjednoczonych pokazywano Maggie w akcji, filmowaną przez wierną ekipę z przenośnymi kamerami, które dosłownie wyrastały technikom z ramion. Maggie miała dla telewidzów najnowsze plotki zza kulis

przemysłu rozrywkowego, zwłaszcza z Hollywood. Jej reportaże były zawsze znakomicie udokumentowane i autorytatywne, nie miały więc nic wspólnego z obrzydliwą plotkarską papką, jaką jeszcze trzy lata wcześniej karmiono cierpiącą na nieuleczalne wścibstwo publiczność.

Teraz jednak Maggie była już tylko znękaną kobietą, której okrągłym jak u Betty Boop czarnym oczom dane było przez ostatnie trzy godziny oglądać stroje w takiej masie, iż w jej szykownie ufryzowanej głowie powstał przeraźliwy mętlik. Dyrekcja sieci telewizyjnej trwała jednak przy zasadzie, że osoba, która informuje widownię o życiu gwiazd, musi sama wyglądać jak gwiazda. Maggie, czekająca aż Spider Elliott podejdzie do niej i powie, w której spośród wybranych kreacji jego klientka wygląda absolutnie zabójczo, była tak rozczochrana, że jej ciemne włosy i grzywka sterczały na wszystkie strony. Prezenterka nie miała złudzeń co do swojego wyglądu, wiedząc, że na nienaganny wygląd stać ją tylko przez pół godziny tygodniowo, po długiej sesji z charakterizatorem i fryzjerem studia, przed wejściem na antenę.

Kiedy Spider zapukał, Maggie przywitała go krótkim: - Na pomoc!

Spider zamknął za sobą drzwi i oparł się o ścianę przymierzalni, z czułością i uwagą spoglądając na swoją klientkę.

- Gadaj, Spidy, podpatrzyłeś tę pozę w starych filmach z Fredem Astairem? Wiem, że uczyłeś się chodzić, siadać, więc pewnie i podpierać? Tylko gdzie podziałeś cylinder?

- Nie próbuj mi tu zmieniać tematu, Maggie, za dobrze cię znam. Pewnie się gryziesz, że nakupowałeś ciuchów, które tobie nie pasują, i dlatego na mnie naskakujesz.

- Co za *putz* - przerwała Maggie i dźwięcznym, wyraźnym głosem

ciągnęła: - Co za *schmekel*, co za *schmuck*, *schlong* i *schwantz*. W dodatku *putz* biały, anglosaski i protestancki.

- Księżniczko - tu Spider ucałował dłoń Maggie. - Nie ze mną te komedie. Może znam tylko uniwersytet w Los Angeles i plażę, ale zaraz się orientuję, kiedy ktoś mnie wyzywa od kutasów. Widzę, że mamy coś na sumieniu, tak? A przecież nawet nie widziałem tych łachów. Maggie, jedna rzecz w kobietach zawsze stanowiła dla mnie zagadkę: dlaczego, jeśli chcą obrazić mężczyznę, wyzywają go od kutasów? Co innego, gdyby nas wyzywały od eunuchów.

Maggie odchrząknęła z rezygnacją, jako że sama już zrozumiała, jak strasznych głupstw narobiła wybierając sobie wieczorowe suknie do Cannes. Ten gówniarz Spider potrafił czytać w myślach, przynajmniej w myślach kobiet, co do tego nie było wątpliwości. Skąd u takiego miłego ogierka psychiczna więź z kobietami? Maggie wiedziała aż za dobrze, iż w pełnokrwistym, amerykańskim mężczyźnie, który w łóżku woli kobiety od facetów, taki błyskawiczny, instynktowny typ intuicji niewytłumaczalny dla którejkolwiek z dziedzin psychologii, jest cechą niesłychanie rzadką - tym bardziej u takiego samca jak Spider, pobudliwego jak stado młodych kozłów.

Naciśnięciem guzika Spider przyzwał sprzedawczynię, która obsługiwała Maggie. Arcycypokojna, o nienagannych manierach Rosel Korman wetknęła głowę przez drzwi.

- Rosel, bądź tak miła i przynieś tu nowe zakupy Maggie - poprosił ją Spider z uśmiechem. Choć ze Spiderem łączyły ją serdeczne stosunki, kiedy asystentka oddaliła się, Maggie poczuła dreszcz niepokoju. Pieprzony dyktator. Z drugiej strony, Spider nigdy się nie mylił. Maggie

wiedziała na przykład, że Spider kazałby z miejsca wyrzucić raglanową pelerynkę firmy Bili Blass, którą tak uwielbiała. Chociaż jednak Spider nieustannie mieszał jej szyki, łączyła go z Maggie więź, którą jeszcze umacniał rozkoszny fakt nieskonsumowania przyjaźni. Spidera i Maggie cieszyło, że nigdy nie poszli ze sobą do łóżka, gdyż dzięki temu wciąż mieli dla siebie nawzajem mnóstwo ciepła, rzeczy o wiele ważniejszej dla nich niż seks. Seks mogli w końcu znaleźć - i znajdowali - na każdym kroku. O ciepło było już trudniej.

Jak na swoje trzydzieści dwa lata Spider Elliott uchodził w oczach Maggie za jednego z najbardziej atrakcyjnych mężczyzn na świecie. Oczom tym można było wierzyć, jako że ich właścicielka niejako zawodowo badała mechanizmy, które czynią z mężczyzn i kobiet osoby atrakcyjne. Inteligentnym, bacznym wzrokiem przywykła Maggie oceniać najdrobniejszy szczegół, najtajniejsze arkana sztuki uwodzenia. Jeśli aktor, osoba publiczna, nie ma w sobie nic z uwodziciela lub uwodzicielki, nigdy nie stanie się gwiazdą. Zdaniem Maggie na korzyść Spidera przemawiały pewne oczywiste cechy: miał złote włosy i twarz typowego amerykańskiego chłopca, a także wspaniałą budowę - coś, co nigdy nie wychodzi z mody. Jako nastolatek miał bardzo jasne włosy, które z wiekiem pociemniały nieco, nabierając bogatego, złotawego odcienia. Spider miał też oczy Wikinga, tak błękitne jak gdyby odbijała się w nich morska toń. Kiedy Spider się uśmiechał, zaciskał oczy w szparki jak teraz, gdy wydawał polecenie Rosel. Gwiazdki zmarszczek w kąciach jego oczu pogłębiły się nieco, nadając Spiderowi wyraz wesołości i mądrości, jak u podróżnika, który wojażował daleko i przywiózł z wyprawy mnóstwo wspaniałych opowieści. Co więcej, nos Spidera, złamany w

jakimś dawno zapomnianym szkolnym meczu, i leciutko wyszczerbiony przedni ząb nadawały jego twarzy mniej cukierkowy wyraz. Maggie zdawała sobie jednak sprawę, że najważniejszy jest Spiderowy dar rozumienia kobiet, dzielenia się z nimi myślami i spostrzeżeniami w ich własnym języku, coś, dzięki czemu można było przekroczyć granice dzielące męskość od kobiecości po prostu, nie zaś w pokrętny, oślizgły sposób, zwykły przy takich okazjach. Spidera niezwykle interesowała tajemnica zmysłowej, bezgranicznej kobiecości, nic więc dziwnego, że siłą rzeczy królował na przesyconej erotyzmem i narcyzmem scenie, jaką tworzył dom mody o nazwie Scruples. Spider stanowił na tej scenie arcymęski kontrpunkt i był na niej niezbędny niczym pasza w haremie. Nie nadużywał jednak tej władzy, choć sperma często rzucała mu się na mózg. Gdyby bowiem mężczyźni z Beverly Hills, La Jolli i Santa Barbara dowiedzieli się w jakiś sposób z niewątpliwie bezpośredniego źródła o sławie Spidera jako światowej klasy samca, przestaliby zapewne płacić rachunki swoich żon ze Scruples z dotychczasową dobroduszną rezygnacją.

Rosel zjawiała się powtórnie, tym razem w towarzystwie asystentki ciągnącej ciężki wózek obwieszony sukniami. Zawartość wózka maskował pokrowiec z białego lnu. Billy Orsini obmyśliła taki system po to, by klientki Scruples mogły się cieszyć dyskrecją prawie nieosiągalną w innych kosztownych magazynach Beverly Hills. Rosel odchyliła zasłonę i natychmiast zniknęła za drzwiami. Spider miał zwyczaj odbywać z klientkami sesje sam na sam, bez przeszkadzających w rozmowie asystentek, które zwykle zakochiwały się w sukience pasującej jak ulał nie na klientkę, lecz właśnie na nie. Maggie i Spider sztuka po sztuce

przejrzeli zakupy. Niektóre kreacje Spider odłożył na bok bez komentarza, inne odrzucił, pozostałe zaś kazał Maggie przymierzyć przed podjęciem decyzji. Maggie przebierała się za parawanem w jednym z kątów obszernej przymierzalni. Kiedy uporali się z całą partią ciuchów, Spider zadzwonił do bufetu i kazał szefowi kuchni dostarczyć do przymierzalni duży imbryk herbaty Earl Grey i butelkę dobrego koniaku oraz półmiski kawioru i kanapek z wędzonym łososiem.

- Nawet się nie obejrzysz, jak poziom glukozy we krwi wróci ci do normy - zapewnił Spider wyczerpaną klientkę. Racząc się herbatą z hojną domieszką koniaku, odetchnęli obydwój w poczuciu dobrze spełnionego, trudnego obowiązku.

- Zdajesz sobie sprawę, Maggie - zaczął Spider leniwym tonem - że najważniejszej kreacji w ogóle jeszcze nie wybrałaś.

- Co? - Maggie kręciło się w głowie z ulgi i zmęczenia. Poza tym bolały ją plecy.

- Pytam, co założysz na grzbiet w wieczór wręczania Oscarów, malutka?

- Kto to wie? Coś pewnie założę. Przecież nakupiłam dosyć, chłopczyku?

- Właśnie, że nie. Chcesz mi zrujnować reputację? Ten sabat wampirów idzie przez satelitę na całą kulę ziemską. Sto pięćdziesiąt milionów widzów. Sto pięćdziesiąt milionów wlepionych w ciebie par oczu! Dobrze zrobisz, jeśli założysz na siebie coś ekstra.

- Kurczę, Spider, przestań mnie straszyć!

- Kto straszy? Sama wiesz, że nigdy jeszcze nie prowadziłaś osobiście wieczoru nagród Akademii. Najlepiej będzie, jeśli Valentine

zaprojektuje coś specjalnie dla ciebie.

- Valentine? - Maggie spojrzała niepewnie na Spidera. Dotychczas ograniczała się zawsze do gotowych strojów, gdyż przy swoich licznych obowiązkach nie mogła sobie pozwolić na przymiarki.

- Właśnie ona. I nie rób takiej miny, na pewno znajdziesz czas. Przecież chcesz rzucić cały świat na kolana?

- Spider - zaczęła z wdzięcznością Maggie - jeżeli ucałuję twoje stopy, pomyślisz sobie, że się do ciebie dobieram, nie?

- O nie. Odpadasz w przedbiegach - uspokoił ją Spider. - Daruj sobie stopy, odpowiedz mi tylko na parę pytań. Jakie są szanse Vita na nominację do Oscara? Tak między nami?

- Takie sobie, dobre albo znakomite, to zależy. Po kraju krąży jeszcze z siedem dobrych filmów, które się uplasowały w pierwszych dziesiątkach na rozmaitych listach. Wszystkie mogą liczyć na spore poparcie. Sama bym oczywiście chciała, żeby nagrodę dostał Vito, ale... Nie postawiłabym na niego swojego następnego czeku z telewizji.

- Jak to możliwe, że wiesz równie mało jak ja? - poskarżył się Spider.

- Tak już bywa w rozrywce. A czemu pytasz? Czy Billy zaczyna się łamać? Naprawdę się zadurzyła w tym swoim niebiańskim makaroniarzu, którego wzięła za męża.

- Czy się łamie? Nie, ale ma drobnego fioła na tym punkcie. Inna rzecz, że odkąd ją znam, zawsze szła na całość w uczuciach. Gdyby miała czekać na werdykt jeszcze parę tygodni, obudziłaby się pewnego ranka i ujrzała w lustrze, że jest Lady Macbeth. Sam cholernie lubię Vita, facet ma ogromny talent i tak dalej, ale czasem żałuję, że Billy nie poślubiła kogoś normalnego, akrobatę spadochronowego albo, powiedzmy, kierowcę

formuły pierwszej.

- Tak wsiąkła?

- Gorzej niż myślisz.

Kiedy Maggie i Spider zajęci byli rozmową, Billy nerwowo przeglądała zapasy towarów w stoisku z prezentami, buszując niczym złodziej w Sezamie wśród gąszczy chińskich szkatuł zdobionych osobliwymi symbolami, srebrnych wiktoriańskich pudeł na ciasteczka, obszywanych paciorkami osiemnasto - wiecznych torebek wieczorowych, francuskich klamer do butów zdobnych diamentowymi rozetkami, świeczników z Battersea i georgiańskich tabakierok. Przeglądając towar zarazem dyskretnie obserwowała sześciu mężczyzn schylonych nad stolikami do gry w backgammona w sklepowym pubie. Sześciu ludzi umilało sobie grą oczekiwanie na żony dokonujące zakupów. Nie ulegało wątpliwości, że po tej sesji z rąk do rąk grających przejdzie co najmniej trzy tysiące dolarów. Dom mody, jakim był Scruples, zmieniał się powoli w nieoficjalny, lecz najpopularniejszy i najbardziej ekskluzywny męski klub w całym mieście. Uwagi Billy nie uszły też dwie klientki z Teksasu, które kupowały właśnie dla siebie cztery identyczne płaszczyki z wigoniowymi wyłogami, obszyte szynszylami, norkami, nutriami i - dla śmiechu - futerkiem z kreta, farbowanym w beżowe, brązowe i białe pasy. Siostry? Przyjaciółki? Billy nie mieściło się w głowie, że istnieją kobiety, które wspólnie chodzą po zakupy i wybierają dla siebie identyczne stroje. Zgroza. Billy sama złapała się na tym, że jej irytacja w stosunku do klientek bierze się po prostu z faktu, że Valentine nadal się grzebie. Niech grom z jasnego nieba spali jej jaszczurkowatą klientkę Muffie Woodstock! A gdzie Spider, gdzie ten się znowu zaszył?

Zirytowana obecnością postronnych osób, Billy przeszła przez jedne z czworga podwójnych drzwi po północnej i południowej stronie głównego salonu sklepu i znalazła się w otulającym Scruples ze wszystkich stron ornamentalnym ogrodzie. Karłowate ligustry i szara santonina skomplikowanym wzorem ścieliły się na tle bukszpanowych żywopłotów okalających Scruples z trzech stron. Zaczynały już rozkwitać trzy tuziny różnych odmian geranium w antycznych urnach z terakoty, przywiezionych z należących do Billy szklarni. Billy czuła zapach polan czereśni i eukaliptusa, płonących w mosiężnym palenisku w edwardiańskim ogrodzie zimowym po drugiej stronie salonu, słyszała też ściszone głosy kilkorga spóźnionych klientów, którzy popijali herbatę i szampana. Żaden jednak spośród znajomych zapachów i dźwięków nie mógł ukoić jej rozstrojonych nerwów.

Valentine O'Neill bawiła się doskonale przez całe popołudnie w swoim atelier nad sklepem. Żona Ames Woodstocka stanowiła odpowiedni rodzaj wyzwania dla projektantki mody jako kobieta, która boi się wykwintnych strojów, lecz którą okoliczności - i Valentine - zmuszają do noszenia ich z uśmiechem na twarzy. Valentine nie były także obojętne królewskie sumy, które mąż pani Woodstock, milioner doświadczony w międzynarodowym handlu ropą naftową i mianowany właśnie nowym ambasadorem we Francji, gotów był wydać za przywilej zamówienia całej garderoby żony w Scruples. Na podobny gest nie mogła sobie pozwolić żadna Francuzka.

Valentine opuściła wprawdzie Paryż pięć lat wcześniej i była Irlandką ze strony ojca, lecz nawet w wieku dwudziestu kilku lat francuskością dorównywała wieży Eiffla. Najgłębszym, najmniej

oczywistym szczegółem, który jednak, wbrew rudym irlandzkim włosom, decydował o jej francuskim wyglądzie, były kapryśnie wykrzywione wargi i wąski, cudownie zadarty nosek z trzema piegami, a może także przemyślny błysk w oczach, zielonych jak młode liście. Valentine miała oczy morskiej syreny, osadzone w niewielkiej, bladej, lecz niesłychanie ożywionej twarzy, na której nigdy nie gościł wyraz nudy i która nigdy nie była nadąsana. Valentine była zwinna niczym lisica i wesoła jak piosenka Maurice'a Chevaliera, której tytuł natchnął stęsknioną za mężem - żołnierzem matkę Valentine pomysłem na imię dla dziewczynki. Pod wiecznie zmiennymi minami Valentine krył się jednak rozsądek, fundament żelaznej francuskiej logiki, który aż za często łączył się z wybuchowym celtyckim usposobieniem. Pani Woodstock pomyślała z obawą, że nawet krótko przystrzyżone rude loczki projektantki, drapującej właśnie na klientce kolejną belę jedwabiu, dowodzą jej zaciętości czy nawet agresji nie spotykanej u innych kobiet.

Muffie Woodstock miała przerażoną minę kobiety, która całe życie chodziła w bryczesach, w zaciszu domowym hodując psy i ujeżdżając konie, a teraz musi oglądać szkic sukni na galowe przyjęcie w rezydencji prezydenta Francji.

- Sama nie wiem, Valentine, ale mnie wydaje się to trochę, no... - odezwała się bezradnie. W Waszyngtonie powiedziano jej, że musi zabrać ze sobą przynajmniej pół tuzina kostiumów odpowiednich na podwieczorki z udziałem pań, pewną liczbę sukienek na „kolacyjki” i przynajmniej tuzin oficjalnych toalet wieczorowych i okryć na przyjęcia dyplomatyczne.

- Wystarczy, że ja coś wiem, pani Woodstock - ucięła Valentine,

która spędziła większość dzieciństwa zaszyta w kąciku wielkiego atelier domu mody Pierre'a Balmaina w Paryżu, obserwując przy odrabianiu lekcji, jak powstają suknie wieczorowe. Biła wręcz z niej teraz absolutna pewność siebie; co więcej, Valentine postanowiła natchnąć tą samą pewnością swoją miłą klientkę.

- Nie uznaje pani takich spraw jak galowe przyjęcia, pani Woodstock?

- Wielkie nieba, nienawidzę takich imprez, kochanie.

- Przecież znakomicie się pani nosi, pani Woodstock.

- Naprawdę?

- A poza tym ma pani znakomitą figurę do kreacji, najlepszą, jaką można sobie wyobrazić. Nie prawię pani komplementów. Gdyby miała pani jakieś defekty, usiadłybyśmy nad tym, jak by je tu zamaskować, ale po co? Jest pani bardzo wysoka, bardzo szczupła, świetnie się pani porusza. Doskonale sobie wyobrażam, jakie stroje wieczorowe są pani zdaniem odpowiednie: proste, bezpretensjonalne, nieostentacyjne, takie jakie noszą wszyscy.

Na szyi może jakiś klejnot, i tyle. Zgadłam? No właśnie, tak myślałam. Rzeczywiście, takie rzeczy można nosić w pani chatce w Dolinie Słońca, na ranczu w Kolorado, w rezydencji w Santa Barbara - ale nie w Pałacu Elizejskim! Nie w Operze Paryskiej! Nie na wielkich rautach w ambasadach! W żadnym razie, bo będzie się pani czuła głupio, nie na miejscu, nie tak. Poczuje się pani dobrze dopiero wtedy, kiedy włoży pani na siebie to samo co inne kobiety, dopiero kiedy przestanie pani rzucać się w oczy, zniknie, tak jak pani lubi. Ciekawe, co? Tylko w bardzo, ale to bardzo szykownych rzeczach nie będzie pani wyglądać jak cudzoziemka,

obca, nie ubrana.

- Chyba masz rację - przyznała z ociąganiem Muffie Woodstock, przekonana ostatecznie przez Valentine.

- Doskonale! W takim razie do dzieła! Będę gotowa do pierwszej przymiarki za dwa tygodnie. Kiedy będzie się pani tu wybierać, proszę z łaski swojej wyjąć z sejfów biżuterię i wziąć ją ze sobą, dobrze? Chciałabym zobaczyć wszystko, co pani posiada.

- Skąd ta pewność, że mam biżuterię w sejfie?

- Z pani stylem nie nosi się klejnotów częściej niż dwa razy w roku. A szkoda, jestem pewna, że to wspaniała biżuteria.

Muffie Woodstock poczuła zakłopotanie. Valentine musiała być jasnowidzącą wiedźmą. Lepiej będzie przed następną wizytą w jej atelier kupić sobie nowe buty; inaczej projektantka niechybnie zauważy, że wieczorowe czółenka klientki mają już okres świetności za sobą. Ach, wielki Boże, dlaczego mężowi strzeliło do głowy, żeby zostawać ambasadorem?

- Głowa do góry - pocieszyła ją Valentine. - Proszę tylko pomyśleć, jakie cudowne będą konne przejażdżki we Francji.

Muffie Woodstock poweselała. Jedyłą naprawdę poważną pozycję w jej wydatkach stanowiły buty do konnej jazdy. Ale, ale... czy we Francji też można jeździć w dżinsach i starym swetrze?

- Skoro już nad tym siedzimy - zaproponowała - może mogłabym sobie tu zamówić stroje do konnej jazdy?

- Ależ skąd! - zgorszyła się Valentine. - Pierwsze, co musi pani zrobić w Paryżu, to odwiedzić Hermes. Mogę pani uszyć wszystko, oprócz stroju do konnej jazdy. Po prostu nie byłby taki jak trzeba.

Odprawdzając klientkę do drzwi atelier Valentine odczuwała podwójną radość, bo po pierwsze jej projekty znów miały stanąć w szranki z dziełami europejskiej sztuki krawieckiej, po drugie zaś dlatego, że pani Woodstock, która nie miała dotąd pojęcia o własnych zaletach, wkrótce dowie się o nich, kiedy ozdobią ją dramatyczne w wyrazie, lecz po ważne i eleganckie ubiory, przygotowane dla niej w firmowym atelier Scruples. „Nieostentacyjne”, dobre sobie! Przy swoim wzroście i postawie pani Woodstock mogła dorównać każdej księżniczce. O żonie nowego ambasadora będzie wkrótce mówił cały Paryż - ba, Paryż będzie się wspinać na krzesła, by móc ją lepiej dojrzeć. Pani Woodstock nauczy się zaś doceniać popularność! Zresztą może się nie nauczy. Niestety, choć Valentine miała naturę sztukmistrza, nie potrafiła jeszcze wszystkiego.

Na dodatek Valentine znów udało się dowieść samej sobie, że posiada cechy, które pozwalają jej doprowadzić do skutku transakcję handlową, a tej zalety nie lekceważy żadna rodowita Francuzka. Szycie i sprzedaż ubrań stanowiło w oczach Valentine zajęcie poważne i godne szacunku, nawet jeśli widownią dla tego zajęcia było ekstrawaganckie, ekscentryczne i ociekające dostatkiem wesołe miasteczko o nazwie Scruples. Valentine dowiodła po raz kolejny, że nawet w Beverly Hills, które wraz z Palm Springs jest amerykańską stolicą najgorzej ubranych bogatych kobiet... możliwe jest tworzenie *haute couture* dla tych klientek, które z najrozmaitszych powodów nie chcą chodzić w byle czym.

Nie zdejmując wykrochmalonego, bezosobowego białego fartucha, w którym zawsze pracowała, Valentine przeszła z atelier do swojego gabinetu. W rękę niosła kosztorys nowej garderoby pani Woodstock. W gabinecie czekał już Spider, który oparł nogi o blat obitego starą czerwoną

skórą ich wspólnego biurka.

- To ty, Elliott? Nie spodziewałam się, że cię tu zastanę... - wyjaśniła Valentine przyczynę swojego nagłego zmieszania. Od Bożego Narodzenia, od ich idiotycznej sprzeczki sprzed sześciu tygodni, błyskawicznie zakończonej, lecz wciąż kładącej się cieniem na ich stosunki, Valentine i Spider unikali rozmów sam na sam, którymi dotąd umilali sobie każdy poranek przed otwarciem sklepu, rozwaleni po obu stronach wielkiego biurka.

- Wpadłem tylko, żeby ci powiedzieć, co obiecałem Maggie. Zrobisz jej suknię na uroczystość wręczenia Oscarów - odpowiedział chłodnym tonem Spider.

- O, Boże! Zapomniałam na śmierć o Oscarach! - zawołała Valentine, lądując w fotelu.

- Ostatnio myślałam tylko o pani Woodstock, i... może po prostu już zwariowałam?

Ostatnia uwaga padła dlatego, że dla każdego magazynu mody w Beverly Hills ceremonia wręczenia Oscarów to prawdziwa manna z nieba i taki sam powód do radości jak noc sylwestrowa. Nie chodzi przecież o to, kto zdobył którego Oscara, lecz o to, kto się w czym pokazał na uroczystości.

- Może i tak - stwierdził obojętnie Spider. Valentine nie zwróciła uwagi na te słowa, przejęta nagłą luką w swojej pamięci. Zdziwiona ciągnęła więc:

- Na całe trzy godziny w ogóle zapomniałam, że istnieją jakieś Oscary, a tu, proszę. Zaraz jutro dowiemy się, kto dostał nominację, i natychmiast zbiegną się klientki. Nareszcie będą wiedziały, czy się

wybierają na imprezę i będą się modlić o wynik, czy zostają w domu przed telewizorem. Pomyśl tylko, przez następnych sześć tygodni wszyscy będą w ogromnym napięciu, które tylko dla garstki ludzi zakończy się dobrą nowiną i ulgą. Cudaczne widowisko. Pomyśleć, że cały kraj kłóci się i interesuje - czym? Losem kilku filmów i paru aktorów.

- Dlaczego mówisz o tym tak pogardliwie?

- Wcale nie pogardliwie, tylko z podziwem, Elliott. Zmusz się na chwilę do myślenia i sam zobacz, ile ślicznych pieniędzy wylewa się na rynek dzięki tej komedii! Studia wydają całe fortuny na reklamę, o miliony wzrośnie sprzedaż biletów... Zresztą, co mnie to niby obchodzi? Nas dotyczą tylko stroje i kreacje na jeden szampański wieczór.

- Może i tak - przyświadczył Spider, wciąż nie zmieniając tonu. Tym razem jego słowa wprawiły Valentine we wściekłość.

- Jasne, jasne, Spider, co cię w końcu obchodzą Oscary. Sama wiem, że masz dość roboty z prowadzeniem sklepu, a co do ubrań, wszystko jest gotowe, ty musisz tylko zdecydować, którą kieckę Chloe czy Holly Harp mają kupić twoje kobietki. Co ty wiesz o prawdziwych problemach, takich jak nasze. Nie musisz się martwić tym, że boska Streisand znowu przytyła o dziesięć kilo, chociaż i przedtem miała obfitą rufę, a nie *petite derriere*, a suknia musi być obcisła, a z drugiej strony powinna ukryć to wszystko... - Valentine poderwała się z fotela i podeszła do Spidera, krzyżując zielone spojrzenie z błękitnym wzrokiem rozmówcy. - Ciebie, Elliott, w ogóle nie musi obchodzić fakt, że Raquel Welch chce w tym roku wyglądać jak zakonnica, zakonnica z cyckami na wierzchu; nic cię nie obchodzi, kiedy Cher wbije sobie do głowy, że zniknie w tłumie, jeśli nie ubierze się jak zuluska księżniczka w dzień zaślubin... A ja? Muszę się martwić nie tylko

o prezenterów, ale jeszcze o kandydatów do nagrody, że już nie wspomnę o żonach producentów i kochankach aktorów!

Valentine w gniewie chciała już dodać, że Spider nie musi wciąż obawiać się pytań o swoje życie erotyczne, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili. Dawno już nauczyła się rozpoznawać po odcieniu i tonie niedbałych z pozoru pytań ze strony klientek, czy Spider nie spał jeszcze z daną osobą, czy też trwa jego burzliwy romans, czy może romans właśnie się zakończył. Valentine na szczęście potrafiła znakomicie udawać, że nic nie wie i nic ją to nie obchodzi - bo rzeczywiście tak było - lecz miała po dziurki w nosie delikatnych lekcji, jakich jej nie szczędziły miłosne podboje Spidera tudzież jego ciekawskie przyjaciółki.

- Posłuchaj, Val - przerwał jej Spider głosem tak chłodnym i obojętnym, że jej złość wzrosła jeszcze. - Wiesz, że zyski Scruples nie biorą się ze szmat na Oscara. Przychodzi do nas każda bogata kobieta, która wychyliła nos za rzekę Hudson, więc jeżeli twoje mimozowate artystki są takie wybredne, wyślij je z powrotem do Boba Mackie, Raya Aghayana czy do Halstona i reszty chłopaków, którzy je ubierali, zanim sama się do nich przypięłaś.

- Czyś ty zwariował... - wybąkała Valentine, która dopiero po chwili dostrzegła kpinę w oczach Spidera. Dawniej jego śmiech był zaraźliwy, lecz dziś po prostu ranił. A przecież Spider wiedział równie dobrze jak i sama Valentine, jak ważne było dla niej zwabienie do atelier aż tylu gwiazd Hollywoodu. Wbrew swemu galijskiemu utyskiwaniu Valentine za nic w świecie nie oddałaby centymetra kwadratowego ze zdobytego terytorium, zwłaszcza że zdobyła je tak niedawno. Valentine zdawała sobie zresztą doskonale sprawę, że choć w Beverly Hills i w Bel Air jej

nazwisko zaczynało czynić cuda, wiele ją jeszcze dzieli od zdobycia trwałej pozycji w świecie mody. Prawdę tę znał również Spider. Co go dzisiaj napadło? Pamiętał przecież równie dobrze jak ona kwaśnogorzki smak porażki, jakiej dane im było obydwójgu zaznać niecałe dwa lata wcześniej w Nowym Jorku. Nawet dziś Spider i Valentine pozostawali najemnymi pracownikami - być może niezastąpionymi na swoich stanowiskach, lecz nawet to nie zmieniało faktu, że dom mody w całości należy do Billy Ikehorn Orsini, poczynając od parceli wartości wielu milionów dolarów, a kończąc na najnowszej partii sukien z nowojorskiej Siódmej Alei, które trzeba odebrać z lotniska.

Dokładnie w tej chwili do biura weszła Billy, przyłapując ich na tym, jak mierzą się gniewnym wzrokiem. Billy obrzuciła Spidera i Valentine złym spojrzeniem i odezwała się głosem spokojnym, lecz z intonacją, która kazała parze podwładnych w jednej chwili zapomnieć o swarach.

- Pani Evans odniosła wrażenie, że obydwójce pracujecie i nie wolno wam przeszkadzać. Czy którekolwiek z was ma pojęcie, od jak dawna czekam, aż się raczycie zjawić?

Spider powstał z fotela i posłał Billy uśmiech, uśmiech pełen zmysłowości, wyzbyty najmniejszych śladów sprytu czy zjadliwej ironii, uśmiech, który w swej prostocie zapowiadał przyjemności, które nadejdą. Zwykle mina ta sprawdzała się w najtrudniejszych sytuacjach.

- Możesz sobie oszczędzić zasranych szczerych uśmiechów, Spider - zbyła go Billy.

- Ale, Billy, skończyłem z Maggie ledwo pięć minut temu. Siedzi jeszcze w przymierzalni i nie może się pozbierać. Nikomu do głowy nie przyszło, że się dzisiaj pojawisz w sklepie.

- A ja odprowadzałam panią Woodstock - dodała Valentine z godnością. - Wystarczy spojrzeć, ile zysku przysporzyłam firmie w jedno popołudnie.

Billy zignorowała podane jej arkusze wyceny.

- Posłuchajcie! Do ciężkiej cholery, nie po to kupiłam kawał najdroższego gruntu w całym kraju, nie po to zbudowałam najdroższy sklep na świecie i zatrudniłam was - dodam, kiedy obydwoje nie mieliście cienia szansy na pracę - żebyście mogli go prowadzić i zbić na tym fortunę, to wszystko nie po to, żebym musiała snuć się jak jakiś kretyński, zabijający czas klient właśnie wtedy, kiedy jesteście mi najbardziej potrzebni!

- Żadne z nas nie potrafi czytać ludziom w myślach, Billy - przypomniała spokojnym głosem Valentine, która nie wybuchnęła sama tylko ze względu na bardzo dziwny ton Billy. Valentine nigdy jeszcze nie widziała swojej chlebodawczyni w takiej ślepej pasji.

- Nie musicie czytać w myślach, by wiedzieć, że potrzebuję was dziś po południu!

- Myślałem, że będziesz w domu, razem z Vito - dodał Spider.

- W domu? - Billy nie wierzyła własnym uszom. - Przecież byle półgłówek by się domyślił, że przyjdę zamówić sobie kreację na wręczanie Oscarów. Jutro zwałą się tutaj tłumy. Myślicie, że mam ochotę cisnąć się razem z resztą towarzystwa?

- Ależ, Billy, przecież dopiero jutro... - zaczęła Valentine, a włosy chmurą otoczyły jej głowę, gdy nią potrząsnęła w zdumieniu.

- Billy - dodał delikatnie Spider - po co ten pośpiech? Masz w szafie przynajmniej sto sukni wieczorowych. Dopóki nie ogłoszą nominacji, nie

wiesz nawet, czy...

Przerwał, gdyż Billy groźnie uczyniła trzy kroki w jego stronę.

- Czego to mianowicie nie wiem?

- Popatrz na sprawę realistycznie...

- Na co mam patrzeć realistycznie?!

Spider, który sam był już zły, wypalił jej prosto z mostu:

- Na to, czy *Zwierciadła* znajdą się na liście kandydatów! Dopóki tego nie wiadomo, niepotrzebna ci nowa suknia.

Nastąpiło długie milczenie. Naraz jednak Billy roześmiała się i patrząc na dwójkę pracowników potrząsnęła głową, jak gdyby miała do czynienia z naiwnymi dzieciakami, którym trzeba wybaczyć ich prostoduszność.

- Ach, więc o to chodzi. Masz szczęście, Spider, że nie siedzisz w branży filmowej. Nigdy w życiu by ci się nie powiodło. Co ty sobie myślisz, do diabła? Vito i ja ślęczymy nad sprawą od roku, a po co? Może ćwiczymy zawczasu, jak by tu godnie przyjąć porażkę? Lepiej ruszcie obydwójce tyłki z tych foteli i powiedzcie mi, co mam na siebie włożyć w wieczór rozdania Oscarów!

Dopiero w chwili, kiedy Ellis Ikehorn odszedł z tego świata w wieku siedemdziesięciu jeden lat, Billy Ikehorn pojęła ogrom różnicy, jaka dzieli młodą żonę niezmiernie bogatego człowieka od niezmiernie bogatej młodej kobiety bez męża. Ostatnich pięć lat z dwunastoletniego związku Ellis spędził na wózku inwalidzkim, częściowo sparaliżowany po wylewie, który odebrał mu również mowę. Chociaż od dnia ślubu Billy weszła do grona najzamożniejszych i najbardziej wpływowych ludzi świata, nigdy dotąd nie udało jej się na tyle umocnić na tej zdobytej pozycji, by spokojnie wejść w okres wdowieństwa. Przez kilka ostatnich lat życia męża Billy mieszkała w odosobnieniu, zamknięta niczym mniszka w rezydencji w Bel Air, nie kontaktując się z równymi sobie i godnie znosząc los kobiety, której mąż jest inwalidą.

Teraz oto, w wieku trzydziestu dwóch lat, los uwolnił ją od tego brzemienia, obdarzając za to dochodami, które praktycznie nie miały granic. Billy stwierdziła ze zdumieniem, że panicznie boi się tej góry pieniędzy. A przecież właśnie o niej marzyła przez długie lata dzieciństwa, jako uboga krewna. Szczęście uśmiechnęło się do niej tak nagle, że trudno jej było myśleć o tym bez niepokoju. Możliwości, jakie kryły się w ogromnych sumach pieniędzy, majaczyły niewyraźnie, a cień wielkiej forsy zaciemniał i tak już niewyraźną przyszłość.

Kiedy w ów ostatni poranek jeden z trzech pielęgniarzy Ellisa podszedł do Billy, by oznajmić, że jej mąż miał podczas snu kolejny, śmiertelny wylew, poczuła ulgę przemieszaną ze smutkiem. Tak dobrze wspominała lata przeżyte z Ellisem... Jednak smutek od pięciu lat nie był dla niej niczym nowym. Billy miała aż nazbyt wiele czasu, by pogodzić się

z myślą o utracie męża, jego śmierć nie zabolą jej więc aż tak bardzo. Z tym jednak, że nawet półzywy Ellis był dla niej opiekunem i ochroną. Za jego życia Billy nigdy nie musiała się martwić o pieniądze, zostawiając te sprawy tabunowi prawników i księgowych. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że tuż po ślubie Ellis przekazał na jej wyłączną własność pakiet wolnych od podatku obligacji wartości dziesięciu milionów dolarów, za które zapłaciła tylko podatek od darowizny, a co więcej, powtarzał ten gest przez siedem lat w każde urodziny żony, aż do wylewu, którego doznał w 1970 roku. Zanim więc Billy jako jedyna spadkobierczyni odziedziczyła całość fortuny Ikehorn Enterprises, jej własny majątek urósł do sumy osiemdziesięciu milionów dolarów i przynosił jej roczny dochód w wysokości czterech milionów całkowicie zwolniony od podatków. Po śmierci Ellisa pluton inspektorów z Federalnego Urzędu Podatkowego przez całe tygodnie deliberował nad kwestionariuszem podatkowym masy spadkowej Ikehorna, lecz mimo wysiłków pozostawił Billy dalsze sto dwadzieścia milionów, z grubsza licząc. Nieoczekiwana lawina pieniędzy przyprawiła Billy o lęk i pomieszanie, gdyż młoda wdowa tylko teoretycznie przyjęła do wiadomości, że może robić co zechce i jechać dokąd zechce. Poczucie rzeczywistości wróciło Billy dopiero wówczas, gdy powiedziała sobie głośno, że i tak nie stać ją na lot na Księżyc. Upewniło ją w tym spojrzenie w powiększające zwierciadło, nad którym się pochyliła, by nałożyć cień na powieki. Wciąż stały przed nią codzienne obowiązki: kąpiel, mycie zębów, ważenie się każdego ranka i wieczora, co czyniła regularnie od chwili, gdy skończyła osiemnaście lat, garderoba... Myśl o znajomych czynnościach przywróciła życiu sens i natchnęła nadzieją. Po kolei, po kolei, powtórzyła Billy pod adresem swojego

odbicia w lustrze. Odbita w tafli twarz nie zdradzała przestachu, jaki czuła w głębi duszy jej właścicielka. Gdyby ktoś obcy ujrzał ją w tej chwili pierwszy raz w życiu i dobrze ocenił jej wzrost, dumny krok, wysmukłą linię szyi i władcze uniesienie głowy, pomyślałby, że ma przed sobą osobę niezłomną i mocną jak młoda królowa Amazonek.

Najpilniejsze decyzje dotyczyły pogrzebu Ellisa. Billy prawie ucieszyła się, że ma oto szansę zająć się sprawą, która wymaga precyzyjnych i konkretnych postanowień.

Ellis Ikehorn nie zaliczał się do osób religijnych, nie zaprzętał też sobie głowy sentymentami, chyba że dotyczyły Billy. W testamencie nie zostawił więc najmniejszej wskazówki co do pogrzebu; również za życia nigdy nie wypowiadał się na temat formy przyszłego pochówku. O tym, co nadejście, rozmyślał równie niechętnie jak wszyscy, bez różnicy, bogaci czy biedni.

Oczywiście kremacja, przyszło Billy do głowy. Właśnie, kremacja zwłok, a potem krótka ceremonia żałobna w kaplicy Kościoła Episkopalnego w Beverly Hills. Nie miało znaczenia, w jakiej religii wychował się Ellis, który nie powiedział jej nigdy na ten temat ani słówka. Billy została wychowana w bostońskiej tradycji episkopalnej i nie miała zamiaru od niej odstąpić. Na szczęście znalazła się dostateczna liczba pracowników miejscowego oddziału korporacji Ikehorna i ludzi, z którymi zmarły prowadził interesy, by wypełnić wnętrze świątyni. Gdyby Billy miała zaprosić na uroczystość wyłącznie najbliższych przyjaciół, mogłaby spokojnie wynająć jako kaplicę jeden z gabinetów w głębi restauracji La Scala, a i wtedy zostałyby tam dość miejsca na spory chór i trójkę muzyków.

Zadzwoiła więc najpierw do adwokata Ikehornów Josha Hillmana i poprosiła go, by zajął się przygotowaniami. Teraz mogła już spokojnie zająć się następną sprawą, to jest wyborem stroju odpowiedniego na taką okazję jak pogrzeb. Żałoba? Niestety, nawet jako osoba, która przez lata figurowała na listach najlepiej ubranych kobiet, Billy spędziła zbyt wiele lat w Kalifornii. W swojej niesłychanie zasobnej garderobie nie znalazła nic, co by przypominało krótką, niezbyt grubą czarną sukienkę, w sam raz nadającą się do włożenia we wrześniowy dzień 1975 roku, kiedy to w Kalifornii temperatura sięga trzydziestu dwóch stopni, a podnosi ją jeszcze gorący, suchy wiatr znad Santa Ana. Gdyby już wykończono *Scruples*, Billy udałaby się prosto do sklepu, lecz na razie mogła o tym tylko marzyć.

Wybierając w sklepie Amelii Gray kilka sukienek bez rękawów, z czarnego jedwabiu, firmy Galanos, Billy znów zapatrzyła się w lustro. Dręczyło ją, że jej uroda jest tyleż wspaniała co nie wykorzystana. Billy nie grzeszyła skromnością na punkcie własnego wyglądu. Przez pierwszych osiemnaście lat życia była rozpaczliwie brzydka, teraz więc bez skrępowań rozkoszowała się swoją pięknnością. Nigdy na przykład nie nosiła stanika. Jej wysokie, niemalże zbyt pełne piersi nie potrzebowały wsparcia, tym bardziej że gdyby biustonosz w nieunikniony sposób uniósł je jeszcze trochę, biust Billy uzyskałby rozmiary, jakie nie przystoją kobiecie eleganckiej. Billy była też wdzięczna niebiosom za to, że jej pupa, choć rozłożysta, nie jest specjalnie wypukła i pełne rozmiary uzyskuje dopiero w takiej odległości od talii, że nie rujnuje linii sukienek. Obnażone ciało Billy okazywało się zadziwiająco pełne. Ciało - powtórzyła Billy w myślach, czując beznadziejny, kruchy ciężar tej myśli.

Żaden mężczyzna nie dotykał tego ciała od wielu, bardzo wielu miesięcy. Dokładniej od świąt Bożego Narodzenia, kiedy stan Ellisa zaczął się z dnia na dzień pogarszać, a Billy, wiedzona współczuciem albo poczuciem wstydu, rozmyślnie pozbawiła się sekretnych erotycznych przyjemności, na które zaczęła sobie pozwalać cztery lata wcześniej.

Billy ubrała się i czekała, aż obsługa zapakuje jej nowe sukienki. Zmusiła się, by przestać myśleć o sobie i zająć się następną pilną sprawą: co począć z prochami zmarłego. Wiedziała tylko tyle, że coś musi z nimi zrobić. W czasach, kiedy poznała męża, Ellis wyraziłby prawdopodobnie życzenie, by rozrzucić je do mikrofonów jak największej liczby telefonów biurowych. Uśmiechnęła się niepewnie na to wspomnienie. Ellis dobiegał wówczas sześćdziesiątki i był pełnym energii cesarzem międzynarodowego imperium przemysłowego, człowiekiem, który już trzydzieści lat wcześniej zarobił pierwszy milion zwany przez niego „kieszonkowym”. Może zresztą Ellis wołałby, aby jego prochy wetrzeć szczypta po szczypcie w wyściółkę teczek - dyplomatek, należących do batalionu dyrektorów firmy? Zawsze lubił doprowadzać swój sztab do rozpacz.

Ekspedientka spojrzała dziwnie na Billy, która dopiero teraz zorientowała się, że bezwiednie pozwoliła sobie na niegłośny śmiech. Nie wolno jej się tak rozklejać, bo do kolacji całe miasto będzie już szeptało, że Billy Ikehorn śmiała się w głos w ten sam dzień, kiedy wreszcie umarł jej mąż. Czy jednak Ellis nie darzył głębokim szacunkiem żadnej sfery obyczajów, prócz małżeństwa z Billy, zanim przyszedł wylew? Chwileczkę... Lubiał powtarzać, że ulubiony sposób spędzania wieczoru to dla niego lektura Fortune i Forbesa nad kieliszkiem dobrego wina.

Właśnie! Winnica Ikehornów, Silverado! Billy pomyślała, że śmierć męża wstrząsnęła nią bardziej, niż się tego spodziewała. W normalnym stanie natychmiast wpadłaby przecież na to rozwiązanie.

* * *

Okazało się, że ich mały odrzutowy Learjet nie nadaje się do tego celu. Jak wytłumaczył Billy główny pilot firmy, Hank Sanders, do celu, który mu opisała, potrzebny byłby samolot powolny i taki, w którym da się otworzyć kabinę. Młody pilot latał u Ikehorna od prawie pięciu lat. Właśnie on wiozł małżonków z Nowego Jorku do Kalifornii po pierwszym wylewie Ellisa, on też zasiadał w lewym fotelu podczas licznych podróży sparaliżowanego starca i jego młodej, małomównej żony do winnicy w St. Helena, do Palm Springs i do San Diego. Czasami Hank powierzał stery drugiemu pilotowi i maszerował do kabiny pasażerskiej, by zdać panu Ikehornowi, siedzącemu przy oknie w wózku inwalidzkim, sprawozdanie z warunków atmosferycznych. Była to czysta formalność, jako że starzec nie zwracał najmniejszej uwagi na słowa kapitana, a przynajmniej tak się wydawało. Pani Ikehorn zawsze jednak dziękowała pilotowi poważnym głosem, odkładała na bok książkę czy czasopismo i zadawała kilka pytań na temat nowego życia w Kalifornii albo informowała, jak długo zostaną w dolinie Napa, czasem nawet proponowała pilotowi, by podczas pobytu skosztował butelkę miejscowego rocznika. Hank niezmiernie podziwiał pełną godności postawę pani Ikehorn; pochlebiał mu też fakt, że podczas tych krótkich rozmów milionerka patrzy mu prosto w oczy. W myślach uznał, że pani Ikehorn to wspaniała, niewiarygodna dupa, lecz starał się nad tym nie zastanawiać bez potrzeby.

Teraz jednak, gdy pani Ikehorn siedziała dosłownie centymetry od

niego w wynajętym Beechcraftcie Bonanza startującym z lotniska Van Nuys cztery dni po kremacji, Hank ścisnął stery dosyć nerwowo. Denerwował się nie dlatego, że nie znał tego typu awionetki, bo ostatecznie sam był właścicielem używanej Beech Sierry, która służyła mu do sobotnio - - niedzielnych wypadów nad jezioro Tahoe i do Reno. Pilot dawno przekonał się, że jeśli zabiera się dziewczyny na weekend własnym samolotem, można mieć w łóżku tyle panienek, ile dusza zapagnie. Nie, przyczyną zdenerwowania była właśnie pani Ikehorn, siedząca tuż obok, tak poważna, tak czymś pochłonięta i tak bezsensownie seksowna. Zważywszy na okoliczności, siedziała naprawdę zbyt blisko. Pilot starannie unikał więc patrzenia jej w oczy. Dlaczego nie zabrała ze sobą na ten wypad jakichś krewnych, sióstr czy kogo tam jeszcze!

Hank podał w grafiku lotu, że wybierają się do St. Helena i z powrotem. Odległość wynosiła w sumie tysiąc kilometrów, a wynajęta Bonanza mogła ją pokonać w niecałe cztery i pół godziny - może nawet krócej, w zależności od wiatru. Kiedy samolot zbliżał się już do Napa, Billy odezwała się wreszcie.

- Hank, nie będziemy tu lądować. Proszę lecieć wzdłuż szosy 29, wytracić wysokość dokładnie nad St. Helena i zawrócić na prawo. Będziemy lecieć powoli aż do granicy naszych winnic w Silverado. Tam proszę wyrównać lot do minimalnej wysokości. Wolno nam zejść do stu pięćdziesięciu metrów, prawda? Proszę zejść jak najniżej i okrążyć winnicę.

Dolina Napa nie należy do szerokich, lecz jest niewypowiedzianie piękna, szczególnie, kiedy wrześnie słońce wlewa się pomiędzy gęsto obsadzone, cudowne jej dno i prześwietła strome, lesiste wzgórza, które

chronią ją ze wszystkich stron.

Z dwudziestu trzech zaledwie tysięcy akrów doliny Napa pochodzą najlepsze wina Stanów Zjednoczonych, oceniane przez znawców jako równie dobre, jeśli nie lepsze od najbardziej cenionych win francuskich. Winnice rozpychają się tu między sobą, dorównując ciżbie na wzgórzach Bordeaux, choć są znacznie bardziej rozległe niż plantacje francuskie.

W 1945 roku Ellis Ikehorn, który nie cierpiał nacji francuskiej z zasady - dlaczego, nie chciał wyjawić nikomu - zakupił dawną posiadłość Hersenta i de Moustiersa nie opodal St. Helena. Ta niegdyś znakomita winnica popadła w zaniechanie i legła w ruinie w latach prohibicji, Wielkiego Kryzysu i II wojny światowej, które wymierzyły kolejne ciosy amerykańskiej sztuce produkcji wina. Na trzech tysiącach akrów posiadłości znalazło się miejsce dla potężnego, krytego gontem i ozdobionego dwiema wieżyczkami kamiennego domostwa, w oczywisty sposób wiktoriańskiego w swej architekturze, które Ikehorn wyremontował i przechrzcił na Château Silverado od nazwy starego gościńca, służącego dawniej dyliżansom, ciągnącego się wzdłuż dna doliny. Następnie Ikehorn zwabił z Niemiec Hansa Webera, słynnego mistrza winnych piwnic, i dał mu wolną rękę. Nabycie winnicy i przejęcie, z jakim Ellis Ikehorn konsumował świetny pinot chardonnay i nie ustępujący im cabernet sauvignon, wyprodukowane po siedmiu latach i po zainwestowaniu dziewięciu milionów dolarów, stanowiły chyba jedyne hobby milionera.

Kiedy Hank zataczał krąg nad winnicą, na której polach roiło się od robotników, szykujących się do rychłego winobrania, Billy otworzyła prawe okienko. W rękach trzymała masywną georgiańską szkatułę z litego

złota, o bokach piętnaście na piętnaście centymetrów, zdobną słowem: „London” i datą: 1816 - 1817, a także gmerkiem rzemieślnika, niezrówanego Beniamina Smitha. Wewnątrz szkatuły wygrawerowano następujące słowa:

W darze dla Arthura Wellesley, Księcia Wellington,
Z okazji pierwszej rocznicy
Bitwy pod Waterloo
Od zdjętego szacunkiem cechu Kupców i Bankierów
Miasta Londynu
„Żelazny Książę po wiek wieków
Zamieszka w naszych sercach”.

Billy ostrożnie wysunęła dłoń przez okienko, czując jak pęd powietrza napiera jej na przegub. Kiedy Bonanza z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę zataczała krąg nad winnicami Silverado, Billy leciutko zwolniła zatrzask szkatułki i po troszeczkę pozwoliła prochom Ellisa Ikehorna sfrunąć na dół, ku rzędom ciężkich winnych gron ukrytych w zaciszu ciemnozielonych liści. Kiedy uporała się z zadaniem, schowała pustą szkatułkę do torebki.

- Podobno znów będziemy mieli znakomity rocznik - oświadczyła oniemiałemu pilotowi.

W drodze powrotnej Billy siedziała bez słowa, spowita nienaturalnym, pulsującym milczeniem, które kazało pobudzonej wyobraźni Hanka domyślać się, że wdowa ma dla niego jeszcze inne zadania. Lądowanie w Van Nuys przeszło jednak bez niespodzianek, a kiedy pilot ustawił Bonanzę w blokach na asfaltowym pasie i wszedł do budynku Aeroklubu Beech, by zwrócić kluczyki, pomyślał, że osobliwość

tej wycieczki wypływała po prostu z jej celu. Szybko się jednak przekonał, że Billy czeka na niego na parkingu za kierownicą gigantycznego, ciemnozielonego bentleya, ulubionego wozu Ellisa Ikehorna, którego wdowa nie miała zamiaru sprzedawać.

- Co powiesz na małą przejażdżkę, Hank? Mamy jeszcze dużo czasu - zapytała Billy unosząc w rozbawieniu brwi na widok zmieszania, jakie się odmalowało na twarzy pilota. Hank był kompletnie nie przygotowany na tego typu zaproszenie.

- Na przejażdżkę? Ale dlaczego? Nie, tak, oczywiście, pani Ikehorn. Jeśli tylko sobie pani życzy - wykrztusił pilot, starając się uprzejmością pokryć zawstydzenie. Na ten widok Billy zaśmiała się wesoło. Piegowaty pilot ze swoją grubo ciosaną twarzą, słomianymi włosami i zainteresowaniami, które ograniczały się, jak zauważyła, wyłącznie do samolotów, przypominał jej krzepkiego, młodego syna farmera.

- W takim razie wskakuj. Pozwolisz, że sama będę prowadzić. Nikt nie ma większej wprawy ode mnie jeśli kierownica znajduje się po prawej stronie. Prawda, jakie fajne są te staroświeckie wozy? Czuję się, jakbym szybowiała trzy metry nad jezdnią - powiedziała Billy tonem tak naturalnym i pogodnym, jakby jechała na plażę.

Billy prowadziła samochód swobodnie i najwyraźniej znała z góry cel podróży. Podczas jazdy mruzczała pod nosem wesołe melodie, a Hank Sanders próbował się rozluźnić i poczuć tak jak ktoś, kto codziennie wyrusza na przejażdżki z panią Ikehorn. Mimo najlepszych chęci czuł się w tej chwili okropnie, a wysiłek, by się dobrze zachować, sprawił, że pilot nie zauważył nawet, iż Billy zjechała z autostrady, przejechała kilka kilometrów wzdłuż Lankershim i z szerokiej alei skręciła w jedną z

wąskich ulic, po czym zawróciła nagle w prawo i zatrzymała się na podjeździe niewielkiego motelu. Bentley zahamował przed jednym z pokoi, którego drzwi wychodziły bezpośrednio na parking.

- Zaraz wrócę, Hank. Dobrze byłoby się czegoś napić, więc mi nie znikaj. - Z tymi słowy Billy sama zniknęła na minutę w recepcji moteliku, po czym wróciła z kluczem do pokoju i z plastikowym pojemnikiem z kostkami lodu. Wciąż nucąc do siebie podała Hankowi lód, otworzyła bagażnik bentleya i wydobyla duży skórzany neseser. Potem przekręciła klucz w zamku i machnięciem ręki, ze śmiechem przyzwała pilota do środka.

Hank Sanders rozejrzał się po wnętrzu wzrokiem, w którym obawa szła o lepsze ze szczerym zdumieniem. Billy tymczasem otworzyła neseser, który krył w swoim wnętrzu przenośny barek. Neseser wykonano dziesięć lat temu na specjalne zamówienie w Londynie; na co dzień służył podczas spotkań przy wyścigach konnych i polowań na ptactwo w wiejskich rezydencjach, by obecnie stać się reliktem tej ery w życiu Billy, która wydawała jej się teraz równie zamierzchła jak czasy karafek ze srebrnymi korkami, takich samych, które z braku stołu ustawiała teraz na podłogowej wykładzinie. Całą podłogę klimatyzowanego pokoju pokrywała puszysta, gruba warstwa dywanowej wykładziny w truskawkowym kolorze.

Tą samą wykładziną wybite były po sam sufit trzy z czterech ścian pomieszczenia. Na czwartą ścianę, podobnie jak na sufit, składały się lustra. Hank przeszedł się nerwowym krokiem po wnętrzu, zauważając, że nie ma tu okien, krzeseł, w ogóle nic oprócz niewielkiej komody w jednym z kątów. Światło padało z trzech biegnących od podłogi do sufitu słupków

opatrzonych ruchomymi reflektorkami o różowych żarówkach. Prawie połowę wnętrza zajmowało ogromne, niskie łóżko z różową satynową pościelą, zasłane poduszkami. Hank z braku lepszych pomysłów wziął się za zwiedzanie nieskazitelnie czystej łazienki, kiedy przyzwał go głos Billy.

- Czego się napijesz, Hank?

Pilot wrócił natychmiast do sypialni.

- Czy dobrze się pani czuje, pani Ikehorn?

- Wyśmienicie. Nie masz się czego obawiać. Czym mogę ci zatem służyć?

- P - poproszę scotcha z lodem.

Billy rozsiadła się na podłodze, wsparta plecami o łóżko. Trunek podała pilotowi gestem tak naturalnym, jak gdyby znajdowali się na cocktail party. Hank przysiadł na dywanie - alternatywą było tylko łóżko - i pociągnął solidny łyk whisky, którą Billy wlała mu do kubka z litego srebra. W białej bluzce z grubego lnu i zawiązywanej spódnicy z błękitnej francuskiej bawełny, z długimi opalonymi nogami, rozłożonymi szeroko na dywanie, pani Ikehorn wyglądała jak na pikniku. Sama także naląła sobie trunku i żartobliwie stuknęła się z Hankiem kubeczkiem.

- Zdrowie motelu Essex, zagubionego wśród pól doliny San Fernando. I jeszcze za Eblisa Ikehorna, który nie miałby nic przeciwko temu - wzniosła toast Billy.

- Co takiego? - zachłysnął się zdumiony pilot.

- Nie każę ci niczego rozumieć, Hank. Po prostu uwierz mi, że tak by było. - Billy przysunęła się ku niemu i tym samym swobodnym, lecz odmierzoną ruchem, z jakim podawałaby mu rękę, złożyła dłoń wprost

na opiętym džinsami kroczu pilota. Palcami wprawnie odszukała zarys Hankowego penisa.

- O, Jezu! - Hank drgnął jak rażony prądem, usiłując zerwać się na równe nogi, ale zdołał tylko rozlać swoją whisky.

- Powiem ci tylko, że jeśli nie będziesz się ruszał, będzie ci dużo przyjemniej - wymruczała Billy, rozpinając pilotowi zamek u spodni. Penis zaszokowanego Hanka aż się skurczył i spoczywał teraz bezwładnie na krótkich, jasnych włosach podbrzusza. Billy aż westchnęła z zachwytu. Uwielbiała to, co widziała, właśnie takie: mięciutkie i małe. Mogła teraz z łatwością wziąć w usta całuteńki członek i trzymać go tam, nawet nie dotykając go językiem - mogła czuć jak rośnie, coraz większy w wilgotnym cieple ust i rozkoszować się mocą, jaką roztacza bez jednego poruszenia. Jasnoblond były nawet włosy na mięsistych sączkach, wciśniętych teraz między nogi pilota. Billy łagodnie musnęła jego jądra, wdychając głęboko intymny zapach. Pomyślała leniwie, że kobieta może poznać mężczyznę naprawdę dobrze dopiero wówczas, kiedy poczuje właśnie tę woń. Gdzieś znad głowy Billy dobiegł jękliwy sprzeciw Hanka, lecz nie przejęła się tym, widząc, że odretwienie mija, a członek pilota zaczyna drzeć i rosnąć. Wolną dłonią Billy objęła jądra partnera i środkowym palcem jąła ukradkiem przesuwać po napiętym spojeniu nóg Hanka. Jednocześnie przesuwała wargami i językiem po wzwiedzionym penisie, który osiągnął już prawie pełne rozmiary i choć krótki, okazał się gruby i mocny, dokładnie przypominając budową samego właściciela. Pilot bezwładnie oparł się o łóżko, rozkoszując się nowością, jaką była dlań pasywna rola. Czuł, jak członek podskakuje mu i drży od napływających wciąż nowych fal krwi. Kiedy penis wciąż grubiał, Billy

wysunęła go nieco z ust i zajęła się tylko jego pęczniejącym czubkiem. Ssała go mocno i bez przerwy, oburącz trąc zarazem boki mokrego, wzniesionego członka. Jęcząc z rozkoszy pilot, który nie chciał dojść do końca zbyt szybko, siłą podniósł głowę Billy ze swojego podołka i zatopił usta w jej ciemnych włosach. Całując piękną szyję pomyślał jeszcze, że to tylko dziewczyna, taka sama dziewczyna jak każda. Podniósł Billy z podłogi, przeniósł ją na łóżko i cisnął na dywan swoje dzinsy. Po chwili udało mu się rozpiąć bluzkę Billy. Jej piersi okazały się większe niż sobie wyobrażał w najśmielszych marzeniach, a sutki ciemne i cudowne w dotyku.

- Wyobrażasz sobie, jaka mokra jestem od godziny? - zamruczała znów Billy, kiedy Hank całował jej wargi. - Nie, na pewno sobie nie wyobrażasz. Musisz sam zobaczyć. Poczekaj, pokażę ci - mówiąc to, Billy jednym ruchem rozpięła spódnicę. Pod spodem była zupełnie naga. Podniosła się i popchnęła Hanka na łóżko, dłońmi przyciskając mu ramiona do prześcieradła, a potem docisnęła mu tułów kolanem i okrakiem przesunęła się do góry, do pozycji, w której cipką prawie dotykała ust mężczyzny. Hank wysuniętym językiem co siłą próbował jej dotknąć, lecz Billy kołysała się nieustannie w przód i w tył w taki sposób, że język tylko z przerwami napotykał różowość ciała. Nie mogąc już wytrzymać tego naigrawania się, Hank schwycił wreszcie Billy za pupę i pociągnął zdobycz w dół wciskając usta między spęczniałe, pełne labia, myszując językiem i po omacku, ze wszystkich sił szperając, liżąc, naciskając... Billy zeszywniała i prawie natychmiast poczuła orgazm, któremu towarzyszył zduszony krzyk. Hank miał członek tak napięty, że wydawało mu się, iż lada moment sperma pofrunie ponad łóżkiem. Desperackim

ruchem objął więc kibić Billy i dzikim pchnięciem wdarł się w jej ciało, wciąż wstrząsane miłosnym spazmem.

Godziny, które nastąpiły potem, miały nie powtórzyć się już nigdy, lecz Hank Sanders do końca życia zapamiętał każdą chwilę. Nie musiał nawet odświeżać pamięci widokiem georgiańskiej szkatułki z dedykacją dla księcia Wellingtona, którą Billy podarowała mu, kiedy głęboką nocą zegnała się z nim po powrocie do rezydencji na wzgórzach Bel Air.

Gdy Billy wspinała się szeroką klatką schodową, domostwo wydawało się jej opustoszałe, choć przecież spał w nim tuzin służby. Przyszło jej do głowy, że od tej chwili Ellis zniknął już bezpowrotnie - ten sam jurny, pełen życia Ellis, którego poznała dwanaście lat temu. Hank nie zrozumiał słów Billy, że „Ellis nie miałby nic przeciwko temu”, lecz wdowa mówiła mu prawdę. Gdyby to ona umarła, jako stara kobieta, a Ellis był młodym mężczyzną, przeleciałby niechybnie pierwszą napotkaną kobietę, na swój sposób czcząc pamięć przeszłości i lat, podczas których bez reszty złączyła ich obydwaje miłość. Być może nie wszyscy pochwalali tego rodzaju gest wobec zmarłych, lecz Ellis i Billy uznawali takie postępowanie za najnaturalniejsze w świecie. Prochy zmarłego osiadły na liściach winorośli. Billy czuła we włosach aromat nasienia i miły ból, który zagościł jej między nogami... Ellis nie tylko by się nie sprzeciwiał, Ellis, gdyby żył, biłby jej w tym momencie brawo.

* * *

W latach, kiedy Wilhelmina Hunnenwell Winthrop przyszła na świat, to jest dwadzieścia jeden lat temu i zanim przedzierzgnęła się w Billy Ikehorn, ludzie zwracali jeszcze uwagę na genealogię, zwłaszcza że dla badaczy drzew rodowych Boston jest takim samym miejscem co Perigord

dla miłośników truflí, a Monte Carlo dla posiadaczy jachtów. Nic dziwnego, że dziewczynkę powszechnie uznano za wybrankę losu. Pośród zastępów jej kuzynów znaleźli się nieodzowni Lowellowie, Cabotowie i Warrenowie oraz wielu Saltonstallów, Peabodych i Forbesów, a także z domieszką cesarskiej krwi Adamsowie, wżenający się co drugie pokolenie w ród Billy. Po mieczu najdawniejszym przodkiem dziewczynki był niejaki Richard Warren, który przybył do Ameryki w 1620 roku na pokładzie „Mayflower” - trudno sobie wyobrazić lepsze pochodzenie - po kądzieli zaś wśród jej przodków oprócz przedstawicieli znakomitych rodów bostońskich znaleźli się holenderscy osadnicy z doliny rzeki Hudson i Randolphowie z plantacji stanu Virginia.

Bogate rody z Bostonu swoje fortuny zawdzięczały przeważnie żaglowcom handlowym, składom i handlowi z Indiami Zachodnimi. Majątki te, którymi zawiadywali zawsze i które utrwalali przezorni starsi klanów, tworzą obecnie gęstą sieć funduszy powierniczych. Właśnie im każdy prawdziwie bostoński noworodek może zawdzięczać finansową beztróskę na resztę życia i dziwić się później, dlaczego inni ludzie bez przerwy zamartwiają się sprawami finansowymi. Dopóki rodzinne fundusze kwitną i prosperują po cichu, dostarczając dochodu, dopóty bostończycy mogą nie zawracać sobie głowy rozmowami o pieniądzu, dokładnie tak, jak osoba ciesząca się doskonałym zdrowiem nie zastanawia się w ogóle nad faktem, że wdycha i wydycha powietrze. Na swoje szczęście Stary Boston wykształca w każdym pokoleniu grupę osób o niepoślednim talencie do finansów - ludzi, którzy będą zawiadywać majątkami swoich krewnych z taką samą wirtuozerią, z jaką przyjdzie im sterować powierzonymi im finansami wielkich firm. I właśnie dzięki tym

osobom reszta bostończyków może uznawać rozmowy o pieniądzach za wulgarne.

Tak się jednak składa, że nawet w najlepszym bostońskim rodzie znajdzie się zawsze gałąź, która, jak się zwykle powiadać, „nie cieszy się takim samym dostatkiem”, co reszta rodziny.

Ojciec Billy Ikehorn, Jozajasz Prescott Winthrop i jej matka, Matylida Randolph Minot, byli każde ze swej strony ostatnimi potomkami zubożałych gałęzi owych wielkich dynastycznych rodów Ameryki. Pieniądze rodziny Jozajasza zniknęły nieomal do cna w katastrofie, która zdruzgotała firmę maklerską Lee, Higginson & Company. Bankructwo firmy kosztowało jej klientów dwadzieścia pięć milionów dolarów, a jej „Wielki Mistrz” Ivan Kreuger ogłosił upadłość i popełnił samobójstwo. Rodzina Matyldy z kolei była biedna jak mysz kościelna jeszcze od czasów wojny secesyjnej, czego nie mogła zrekompensować znakomita historia rodu. Mizerna resztki funduszy rodzinnych, jakie Jozajasz wniósł do małżeństwa, dostarczały rocznego dochodu w wysokości raptem tysiąca dolarów. Od pięciu pokoleń oba rody popadały w coraz większe tarapaty finansowe. Co więcej, wbrew mądrym zwyczajowi, który bostońskim rodzinom każe uzupełniać uszczuplone środki przez małżeństwo z osobą z sąsiedniego klanu o bogatszych zasobach majątkowych, Winthropowie z przedostatniego pokolenia uparcie poślubiali potulne i rozsądne córki nauczycieli i pastorów. Obie te profesje cieszą się wprawdzie w Bostonie zasłużoną estymą, lecz w ślad za szacunkiem nie idą wcale korzyści majątkowe. Ostatnia znaczniejsza suma, jaka zachowała się w rodzinnej szkatule, pozwoliła wysłać Jozajasza Winthropa na wydział medyczny Uniwersytetu Harvarda.

Jozajasz okazał się na szczęście wytrwałym studentem i ukończył szkołę z jedną z pierwszych lokat na swoim roku, później zaś z oddaniem pracował jako stażysta i rezydent w słynnej klinice Petera Benta Brigham. Jako specjalność obrał sobie ginekologię i mógł się spodziewać kwitnącej praktyki, nawet jeśli za pacjentki miałby tylko przyjaciółki swoich krewniaczków.

Późno, wręcz zbyt późno, bo podczas ostatniego roku stażu Jozajasz Winthrop zorientował się, że tak naprawdę w ogóle go nie interesuje prywatna praktyka. Zakochał się za to, dozgonnie i bez reszty, w badaniach naukowych. Stało się to w chwili, gdy tylko zajął się nową dziedziną, jaką były podówczas antybiotyki. Zajęcie się badaniami czysto naukowymi to dla lekarza jedyny gwarantowany sposób zabezpieczenia się przed zbiciem majątku. Tak więc dokładnie w dniu, w którym mogła się rozpocząć jego kariera zawodowca, Jozajasz Winthrop otrzymał etat w prywatnym instytucie naukowym Rexforda jako młodszy adiunkt z pensją w wysokości 3200 dolarów rocznie. Nawet tak niewielka suma przewyższała o całe siedemset dolarów kwotę, którą młody doktor mógłby zarobić w finansowanym z kasy federalnej państwowym instytucie badawczym.

Matylda, która wzniosłym ideom oddała się od chwili, gdy przestała raczkować, zbyt była pochłonięta ostatnimi miesiącami swojej ciąży, by martwić się o przyszłość. Jej zdaniem małżeństwo mogło znakomicie przeżyć z połączonych dochodów, wynoszących raptem 4200 dolarów rocznie, a poza tym święcie wierzyła w swojego Jo - wysokiego, szczupłego, kościstego mężczyznę, w którego ciemnych oczach kryła się kwintesencja jankeskiej męskiej dumy. Niezlomny upór Jozajasza i

determinacja, by stać się kowalem własnego losu, kazały Matyldzie dopatrywać się w mężu wzorca mężczyzny skazanego na wielkość. Sama Matylda, szczupła, marzycielska, ciemnowłosa piękność, wyglądała jak przeniesiona żywcem z kart powieści Hawthorne'a. Trudno było dopatrzeć się w jej twarzy znamion rozpustnych Holendrów czy gorącej krwi arystokratów z Virginii, które aż były z oblicz innych przedstawicieli jej rodowej gałęzi.

Kiedy Winthropom urodziła się córeczka, nadali jej imię Wilhelmina na cześć ukochanej ciotki Matyldy, starej panny, która oddała się nauce. Ponieważ jednak byli obydwój zgodni co do tego, że Wilhelmina to zbyt niezręczne imię dla takiego maleństwa, przezwali ją Misią.

Półtora roku po narodzinach Misi Matyldę Winthrop potrafił śmiertelnie samochód. Stało się to, gdy na czerwonym świetle przechodziła Commonwealth Avenue. Jej nagłe roztargnienie w tamtej chwili brało się z podejrzeń, że znowu jest w ciąży.

Przez krótki czas Jozajasz, który nie mógł wręcz pojąć rozmiaru swej tragedii, wynajmował dla Misi nianię, lecz wkrótce zorientował się, że nie może sobie pozwolić na podobne luksusy. Ponieważ powtórne małżeństwo w żadnym razie nie wchodziło w rachubę, doktorowi pozostało tylko jedno wyjście, to jest zrezygnować z pracy w swoim ukochanym instytucie, w którym zaczynał już się cieszyć świetną reputacją. Jozajasz wbrew sobie przyjął więc lepiej płatną posadę oddziałowego lekarza, specjalisty od wszystkiego, poczynając od ospy wietrznej, a na drobnych zabiegach chirurgicznych kończąc, w niewielkim, kiepsko obsadzonym szpitaliku w bardzo nieciekawym miasteczku Framingham, położonym o trzy kwadransy jazdy samochodem od Bostonu. Posada ta miała kilka zalet: po

pierwsze doktor mógł dzięki niej wynająć domek na przedmieściu i oddać Misie pod opiekę Hanny, dobrodusznej i prostej kobiety, która pracowała zarówno jako pielęgniarka, jak i gospoia; po drugie, w pobliżu znajdowała się dobra, publiczna, a więc bezpłatna szkoła, i dzięki temu Jozajasz miał trochę wolnego czasu na własne doświadczenia, które przeprowadzał w zamajstrowanym w piwnicy laboratorium. Jozajaszowi Winthropowi nawet przez myśl nie przeszło, aby na powrót zająć się ginekologią, jako że zdawał sobie jasno sprawę, iż przy takiej specjalizacji nigdy nie znajdzie chwili dla siebie.

Misia okazała się przemiłym dzieckiem, oczywiście troszeczkę zbyt pulchnym i nazbyt nieśmiałym - jak to orzekły niezliczone ciotki, które wraz z kuzynostwem i najrozmaitszymi pociotkami Misi ściągaly do Framingham, aby odwiedzić dziewczynkę albo też zabrać ją na parę dni do krewnych. Trudno było jednak winić za cokolwiek małą dziewczynkę osieroconą i obdarzoną przez los ojcem, który - choć trzeba było przyznać, że nie zaniedbywał obowiązków - wiecznie spędzał czas w szpitalu albo przy swoich diabelskich sztuczkach w piwnicznej pracowni. Misia wychowywała się więc wyłącznie pod okiem Hanny, która oczywiście świetnie dawała sobie radę, ale cóż z tego, skoro jej edukacja pozostawiała jakże wiele do życzenia. Ciotki zdecydowały ostatecznie, że za rok, kiedy Misia skończy trzy latka, trzeba ją będzie koniecznie posłać do słynnego przedszkola z internatem u panny Martingale w Back Bay, do którego wybierała się już kuzynka Liza, kuzyn Ames i kuzyn Pierce. Przybytek panny Martingale był idealnym miejscem na wyrobienie u dziecka podstaw późniejszych zainteresowań muzyką i sztuką, a także na zapoznanie się z innymi dziećmi, wśród których Misia, naturalną koleją

rzeczy, znajdzie przyjaciół na resztę życia.

- Nie ma mowy - brzmiała odpowiedź ojca dziewczynki. - Misia mieszka na wsi, żyje zdrowo i bezpiecznie, może się bawić z całymi tuzinami dzieci z sąsiedztwa, a Hanna to uczciwa i dobra kobieta. Nie przekonacie mnie, że trzyletnia dziewczynka o normalnej inteligencji zamiast biegać po dworze, powinna się uczyć, jak mazać farbami i, Boże uchronaj, wspólnie i na komendę budować domki z klocków. Nie, najzwyczajniej się nie zgadzam, i tyle. Żadnej z ciotek nie udało się przekonać Jozajasa, który odznaczał się zawsze największym uporem w całej upartej rodzinie.

Tak oto Misia w wieku trzech lat stała się rodzinnym wyrzutkiem. Nawet najserdeczniej usposobione ciotki odwiedzały ją coraz rzadziej, gdyż ich własne dzieci miały mnóstwo zajęć w prywatnych przedszkolach, a w wolne dni wolały się bawić z nowymi przyjaciółmi. O przyjęciach urodzinowych nie było nawet co wspominać! Rozsądniej było przecież poczekać do wakacji, kiedy Jozajasz mógł przywieźć kochaną Misie na jeden dzień do Bostonu. Jaka szkoda, że uparciuch nigdy się nie zgadzał przenocować u rodziny, lecz zawsze spieszył się z powrotem do swoich wieczornych zajęć w laboratorium.

Misi wcale nie było żal, że słabną jej związki z hordą nieruchawych kuzynek i rozpanoszonych ciotek. Zupełnie jej wystarczały zabawy z dziećmi ze skromnych domków na tej samej ulicy, a kiedy podrosła, poszła do miejscowego przedszkola. Nie czuła się też wcale samotna mając do towarzystwa Hanne, która dzień w dzień piekła dla niej ciasteczka, placki i torciki. Jozajasz nieodmiennie wracał do domu, jadł z córeczką późny obiad, po czym zaszywał się w piwnicy. Tak upływało

Misi życie, a ponieważ innego życia po prostu nie знаła, godziła się z nim całkowicie.

Po dwóch latach przedszkola Misia poszła do szkoły podstawowej imienia *Ralph Waldo Emersona* we Framingham. Dopiero tam, stopniowo, od pierwszej klasy, dziewczynka zaczęła rozumieć, że w jakiś dziwny sposób jest inna niż rówieśnicy. Inne dzieci miały matki i ojców, braci i siostry, a Misia tylko Hanne, która nie była nawet krewną, i ojca, pokazującego się tylko przy kolacji. Inne dzieci miały życie rodzinne, na które składały się żarty, sprzeczki, bójki i wiele emocji - wszystko to zdumiewało i fascynowało Misie, choć z drugiej strony musiała przyznać, że dzieci z jej szkoły nie mają, tak jak ona, kuzynów mieszkających w wielkich rezydencjach w Wellesley albo na Chestnut Hill lub w olśniewających kamieniczkach przy placu Louisburg i w pałacykach zaprojektowanych jeszcze przez *Bulfincha* przy ulicy Mt. Vernon. Inne dzieci nie miały ciotek należących od *Kółka Rękodzielniczego* i chadzających na wieczorki z walczykiem do pani Welch. Misia nie wspominała tu, że ciotki ostatnio jakoś rzadko odwiedzały ją we Framingham. Szkolni koledzy nie mieli też wujków, którzy ukończyli Harvard i którzy albo grali w squasha albo żeglowali ogromnymi jachtami i należeli jeśli nie do klubu Somerset, to do klubu Union, Myopia Hunt albo Ateneum. Innych dzieci ciotki nie zabierały w piątkowe popołudnia na koncerty *Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej*.

Misia przyzwyczała się przechwalać swoimi krewnymi i kuzynami, ich posiadłościami, głównie po to, by wynagrodzić sobie brak matki, rodzeństwa i normalnego domu. Nic dziwnego, że krok po kroku dzieci ze szkoły przestały ją lubić, co jednak nie oduczyło jej przechwałek. Misia

nie rozumiała bowiem, dlaczego właściwie dzieci już jej nie lubią. A nie lubiły, i wkrótce przestały się z nią bawić po szkole, zapraszać na podwieczorki i wizyty w swych domach. Misia zaczęła z kolei czynić niekorzystne porównania szkolnych kolegów ze swym arystokratycznym kuzynostwem, które ze swej strony, choć tolerowało Misie, również wcale za nią nie przepadało. Powoli i w nieunikniony sposób, nie rozumiejąc, dlaczego tak się dzieje, ani jak temu zaradzić, Misia stała się dzieckiem - samotnikiem. Hanna piekła wciąż nowe ciasta, lecz kolejne porcje placzka z jabłkami i lodów waniliowych niewiele tu pomagały.

Misia nie miała nawet komu się zwierzyć. Nigdy nie przyszło jej do głowy poskarżyć się własnemu ojcu. Od małości wbito jej do głowy, że o takich sprawach jak uczucia po prostu się nie rozmawia, i kropka. Nigdy, pod żadnym pozorem. Sama o tym nie wiedząc, Misia zdawała sobie również sprawę, że gdyby ojciec odkrył, że jego córka jest nieszczęśliwa, rozzłościłby się tylko. Ojciec często powtarzał jej, że ma ją za dobre dziecko, oczywiście nieco zbyt otyłe, lecz i to minie przecież samo z wiekiem. Dobre dziecko nie powinno, wręcz nie ma prawa, przyznać się publicznie do tego, że poza domem nie jest lubiane. Brak popularności traktuje się u dziecka jako ostateczny wyrok, który przekreśla je na resztę życia, z przyczyn, które rozumieją wszyscy prócz samego dziecka. Cóż pozostaje dziewczynce w tych okolicznościach? Tylko pogodzić się z werdyktem i żyć we wstydzie i upokorzeniu? Upokorzenie płynące z braku akceptacji wśród rówieśników bywa zaś tak wielkie, że trzeba je jak najstaranniej ukrywać przed tymi, którzy mimo wszystko wciąż kochają i okazują dziecku swą przychylność. Ich miłość jest zbyt cenna, by wystawiać ją na próbę przez powiedzenie prawdy.

Kiedy przyszła właściwa pora, ciotki uparły się, by posłać Misie do wieczorowej szkoły tańca towarzyskiego. Nawet uparty Jozajasz Winthrop musiał w tym wypadku wyrazić zgodę, gdyż jako bostończyk z krwi i kości instynktownie akceptował święty rytuał lekcji tańca u pana Lancinga de Phistera. Lekcje te stanowiły część dziedzictwa Misi w sposób tak samo oczywisty jak późniejsze członkostwo w Kolonialnym Klubie Dam. Jozajasz bez namysłu uznał, że gdyby Matylda żyła, sama należałaby do gromadki matek o nieskazitelnych manierach, od października do końca maja odprowadzających córeczki w co drugie sobotnie popołudnie do sali balowej klubu Vincent.

Dzieci zaczynały kurs u pana de Phistera w wieku od dziewięciu lat wzwyż, nigdy wcześniej. Adeptci między dziewiątym a jedenastym rokiem życia uważani byli za początkujących. W wieku od dwunastu do czternastu lat zostawało się średnio zaawansowanym, a ponieważ uczniowie między piętnastym a siedemnastym rokiem życia uczęszczali przeważnie do prywatnych szkół średnich z internatem, lekcje tańca musiały się z ich powodu odbywać w wieczory świąteczne i przekształciły się w przygotowania do pierwszego prawdziwego balu.

Dopiero wiele lat później Misia odkryła, że nieomal każda z adeptek szkół tańca towarzyskiego do końca życia przeżywała podobne koszmary, wspominając zagubione w ostatniej chwili rękawiczki, halki, które opadły jej podczas walca, i spoconych chłopców, którzy umyślnie następowali partnerkom na palce. Misia w głębi duszy była jednak przekonana, że kobiety znajdują w tych nostalgicznych i bolesnych opowiadaniach sekretną przyjemność, gdyż dzięki nim mogą pokazać, iż same pochodzą z rodzin, w których lekcje tańca dla dzieci są czymś normalnym. Misia z

kolei nikomu nie pisnęła słówka o lekcjach u pana de Phistera. To, czego się tam nauczyła, miało niewiele wspólnego z tańcem.

Zamiast w przepisowym wieku dziewięciu lat, Misia zaczęła te zajęcia, gdy miała prawie lat dziesięć, przede wszystkim dlatego, że jej urodziny wypadły niekorzystnie w listopadzie. Dziesięcioletnia Misia miała już metr siedemdziesiąt wzrostu i ważyła sześćdziesiąt pięć kilogramów. Misia miała na sobie sukienkę ze stoiska z odzieżą dla nastolatków w tanim magazynie Filene's w Wellesley, gdyż nie można było już na nią dobrać żadnych ubrań dziecięcych. Hanna osobiście wybrała dla Misi tę sukienkę, ohydztwo z krzykliwej niebieskiej tafty.

Kiedy Misia pojawiła się w towarzystwie zawstydzonej Hanny w hallu klubu Vincent, rozmaite ciotki ucałowały ją na przywitanie, po czym wymieniły między sobą zgorszone spojrzenia.

- Niechże w tego Jozajasa grom strzeli! - mruknęła jedna z nich ze złością, zapominając z tego wszystkiego pomachać na pożegnanie własnej sztykownej córeczce, przybranej w gustowną suknię z różowoszarego welwetu, zdobną kołnierzem z irlandzkiej koronki. Kiedy Misia wstydliwie, boczkiem weszła do zatłoczonej sali, rozmaite kuzyneczki pomachały jej na przywitanie.

Swoje powodzenie lekcje u pana de Phistera zawdzięczały przede wszystkim temu, że chesne dla rodziców chłopców było dwa razy niższe niż dla dziewczynek. Dzięki temu w każdej grupie można było liczyć na nadmiar męskich partnerów do tańca. Pierwsza zasada głosiła, że każdy chłopiec musi sobie sam znaleźć partnerkę. Żaden spośród chłopców nie miał też prawa przesiedzieć tańca, jeżeli pod ścianą zostały wolne dziewczynki. W żaden jednak sposób nie udawało się powstrzymać

chłopaków od zbijania się w rozedrgane grupki przed co atrakcyjniejszymi dziewczynkami, które w wieku dziewięciu lat odkryły już, co znaczą niektóre spojrzenia, uśmiechy i ów specjalny, znaczący ton głosu. Nie udawało się też w żaden sposób zmienić faktu, że za każdym razem pod ścianą zostawała tylko jedna, wciąż ta sama dziewczynka, którą koniec końców niechętnie i z ociąganiem prosił do tańca któryś z chłopców. Nic dziwnego, że każdy psychoanalityk z Bostonu prędzej czy później dowiaduje się od swych pacjentów, jak wyglądały lekcje tańca u pana de Phistera.

Ćwiczenia taneczne przeplatały się z sześcioma pokazami, których udzielali pan de Phister i jego małżonka. Dwugodzinne zajęcia przedzielone były przerwą na napoje. Sześciokrotnie więc Misia była ostatnią dziewczynką na parkiecie, a kiedy koszmar ten na chwilę ustał, podeszła do suto zastawionego stołu w końcu sali i stojąc sama jedna, poczęła zajadać się ciasteczkami ryżowymi i herbatnikami, popijając to wszystko szklankami ponczu owocowego. Zaszyta w kąciuku, pospiesznie przelykała ogromne ilości ciasta. Kiedy pani de Phister dała znak, że zaczyna się druga połowa lekcji, Misia nadal stała tam, gdzie przedtem, na siłę przelykając ostatnie ciastka i dziesiątą szklaneczkę ponczu. Nie uszło to uwagi pani de Phister, która widywała już podobne przypadki.

- Misiu Winthrop! - oświadczyła głośno - proszę z łaski swojej dołączyć do reszty dziewczynek. Za chwilę zaczynamy.

Na te słowa Misia zwymiotowała straszliwą, liliowej barwy fontanną. Wszystkie ciasteczka i poncz rozprysnęły się obrzydliwie po półmiskach i śnieżnobiałym obrusie, spadając nawet na woskowany parkiet. Pani de Phister co prędzej wyprowadziła Misie do damskiej

toalety i po kilku minutach zostawiła ją tam samą na foteliku. Później, kiedy lekcja dobiegła końca, Misia posłyszała w pobliżu dziewczęce głosy i natychmiast ukryła się w jednej z kabin.

- O rany, kto to była ta... No, ta gruba, okropna, śmieszna dziewczyna w takiej szmatławej niebieskiej sukience? Patrzcie tylko, tak zwymiotować na stół! Chyba ją znasz, prawda? Ktoś mi mówił, że to twoja kuzynka - zabrzmiał obcy głos. Później Misia usłyszała głos swojej najbliższej kuzynki Sary, która z oczywistą niechęcią odrzekła:

- Nieee, to tylko Misia Winthrop. To taka nasza... nasza daleka kuzynka, bardzo, bardzo daleka. Nawet nie mieszka w Bostonie. Obiecuj, że nikomu nie powtórzysz, ale to taka nasza... uboga krewna!

- Ależ Saro May Alcott, matka powtarza mi, że żadna szanująca się dama nie używa takich określeń! - W głosie drugiej dziewczynki pobrzmiwało niekłamane zgorszenie.

- Wiem o tym - nie zrażona tym Sara zachichotała i ciągnęła: - Ale tak właśnie jest. Sama słyszałam, jak nasza Fraulein w zeszłym tygodniu w parku mówiła tak do Mademoiselle od Diany. Uboga krewna i tyle, dokładnie tak powiedziała.

Misia nie pamiętała dalszych słów, choć wiedziała, że Hanna musiała ją znaleźć w jakiś sposób i że ciotki zorganizowały naradę rodzinną. Od tamtej bowiem pory kolejno prowadziły Misie do sklepu z sukniami w dyskretnym zakątku ulicy Newbury, specjalizującego się w ubraniach dla dziewcząt „nad wiek rozwiniętych”.

Również od tamtej pory Misia zaczęła jeździć do podbostońskiego Cambridge w odwiedziny do swojej ciotecznej babki Wilhelminy. Stara panna, która oddała się karierze akademickiej, była najukochańszą krewną

Misi, gdyż nigdy jej nie wypytywała o szkołę, lekcje tańca czy koleżanki. Zamiast tego opowiadała jej o Francji i o rozmaitych książkach, a na podwieczorek częstowała dziewczynkę ogromną tacą kanapek i ciastek w swoim maleńkim, schludnym mieszkanku. Misia domyślała się, że babcia Wilhelmina jest taką samą ubogą krewną jak i ona.

Od roku 1952, kiedy ukończyła dziesięć lat, do 1954, Misia znosiła swój los w pokorze. Wciąż rosła, a co gorsza, nadal tyła. Dwa lata lekcji tańca w szkole pana de Phistera, dwa lata szkoły imienia Ralpa Waldo Emersona, gdzie dziewczynka utraciła pozostałe jeszcze przy niej przyjaciółki, które zaczęły urządzać wieczorki towarzyskie, rozmawiać o chłopakach i eksperymentować z makijażem i biustonoszami. Przez dwa długie lata rytm życia wyznaczały Misi kolejne święta Dziękczynienia i Bożego Narodzenia, tygodniowe wakacje w Maine i na Cape Cod w towarzystwie ciotek i kuzynek. Przez cały ten czas dziewczynka nie potrafiła zapomnieć tamtych dwóch słów. Uboga krewna. Do tej pory była nieszczęśliwa, lecz ufna wobec świata. Dopiero dwa fatalne słowa przemieniły ją w niezgrabne, ponure, zawstydzone dziwadło. Gdyby czuła się dobrze w towarzystwie, mogłaby się przecież zaprzyjaźnić z kuzynkami, które nie były ani nieuprzejme, ani wyniosłe. Bądź co bądź Misia nosiła nazwisko Winthropów. Jednak wspomnienie owego fatalnego popołudnia w szkole tańca upewniało ją wciąż, że za każdą uśmiechniętą twarzą kryje się pogarda, za każdą uwagą skrywane poczucie wyższości, że rodzina wyrzekłaby się jej przy pierwszej sposobności.

Nietowarzystwo Misia sprawiło, że nawet najprzyjaźniej usposobieni krewni odwrócili się od niej. Ich postawa przekonała Misie do reszty, że nie omyliła się w swych podejrzeniach.

Misia znienawidziła więc rządzące się wiecznie ciotki i rozliczne kuzynki, które zachowywały się wszystkie tak, jakby nie wiedziały, co to takiego pieniądze. Misia nie miała podobnych złudzeń. Wiedziała, że tak naprawdę liczą się tylko pieniądze. Dlatego znienawidziła również ojca za to, że za mało zarabia, że ma nudną pracę, dzięki której może sobie pozwolić na wielogodzinne badania, widocznie o wiele ważniejsze dla niego niż własna córka. Znenawidziła Hannę, która kochała ją, lecz w niczym jej nie potrafiła pomóc. Misia nie znienawidziła tylko jednego - myśli o pieniądzach, o furze pieniędzy. A także jedzenia.

Jozajasz Winthrop z całą surowością kilkakrotnie napominał Misie z powodu jej nawyków. Wygłosił na jej użytek sporo poważnych i pouczających wykładów na temat komórek tłuszczowych, metabolizmu ciała i racjonalnej diety. Oświadczył też córce, że jej tusza jest wyłącznie kwestią niewłaściwego odżywiania, jako że w całej rodzinie nie było ani jednej osoby z wrodzoną otyłością. Nakazał też Hannie zaprzestać wypiekania ciastek. Kiedy jednak odjeżdżał do swojego szpitala albo zniknął w laboratorium, Misia i Hanna natychmiast zapominały o tych uwagach. Misia kończyła już dwanaście lat i ważyła dokładnie siedemdziesiąt pięć kilogramów.

Lato przed dwunastymi urodzinami dziewczynki urozmaiciły odwiedziny ciotki Kornelii, ulubionej krewniaczki Jozajasza. Ciotka przybyła do Framingham w któreś niedzielne popołudnie i oświadczyła:

- Jo, musisz podjąć decyzję co do Misi.

- Kornelciu, zapewniam cię, że wiele razy rozmawiałem z nią na temat tuszy. Mała nie ma w tym domu dostępu do tuczących dań, więc zapycha się pewnie u koleżanek. Nieistotne, bo obydwójce moi rodzice byli

grubokościstej budowy, jak zapewne pamiętasz, więc i Misia zeszczupleje, kiedy tylko wejdzie w okres dojrzewania. Za dwa, najdalej trzy lata powróci do swojej normalnej wagi. W rodzinie Winthropów nie było jeszcze osoby otyłej! Oczywiście mała ma normalny u Winthropów wzrost, ale trudno mieć o to do niej pretensje.

- Jo! Jak na tak inteligentnego mężczyznę, popisujesz się niewiarygodną głupotą! Nie chodzi mi wcale o tuszę Misi, choć Bóg mi świadkiem, że i z tym trzeba by coś zrobić. Poza tym dziewczynka nie jest grubokoścista, jest drobnokoścista, co sam byś zauważył, gdybyś tylko zechciał na nią rzucić okiem. Chodzi mi o to, w jaki sposób dorasta twoja córka. Misia nigdzie nie przynależy, rozumiesz? Jesteś tak pochłonięty tą swoją przekłętą pracą, że w ogóle nie widzisz, jakie to nieszczęśliwe dziecko. Czy nie rozumiesz, że Misia nie ma koleżanek, które mogłyby ją podkarmiać? Misia nie zna nawet ludzi, których powinna znać z natury rzeczy - trudno powiedzieć, że jest członkiem naszej rodziny. A co do lekcji u pana de Phistera, to w ogóle tragedia. Jo, doskonale wiesz, o czym mówię, więc nie próbuj mnie tutaj zbywać głupią miną. A jeżeli nie wiesz, wstydz się. Skoro już mnie zmuszasz, powiem wszystko do końca: ludzie, spośród których wywodzi się Misia, mówiąc bez ogródek, tacy jak ty i ja, wykluczą twoją córkę ze swojego grona, jeżeli natychmiast nie znajdziesz jakiejś rady.

- Czy nie masz wrażenia, Kornelciu, że przemawia przez ciebie lekki snobizm? Misia to Winthrop z krwi i kości, nawet jeżeli mieszka gdzieś za lasem - zaczepliwym tonem skwitował słowa krewnej arogancki i samolubny doktor, który nie cierpiał stawać na dywaniku i potrafił nieustająco się usprawiedliwiać.

- Naprawdę nic mnie nie obchodzi, co na to powiesz, Jo. Wiem tylko, że Misia dorasta jako obca wśród ludzi, którzy dla obcych mają naprawdę bardzo mało czasu. Nie wyobrażam sobie życia gdziekolwiek poza Bostonem, ale znam nasze wspólne wady. Wiele ci ujdzie płazem, dopóki do nas przynależysz, ale Misia lada chwila przestanie być jedną z nas, zupełnie niepotrzebnie i z wielką krzywdą dla niej.

Na twarzy Jozajasa Winthropa pojawił się zupełnie nowy wyraz. Sam przynależał do rodzinnego klanu od tak dawna, w sposób tak pełny i niewątpliwy, że nie miało dlań znaczenia, gdzie mieszka i ile zarabia. Wystarczała mu świadomość, że jest jednym z rodu, świadomość granicząca z niezbitą pewnością. Nawet gdyby stał się trędowatym, mordercą czy wręcz wariatem, pozostałby jednym z bostońskich Winthropów. Nie chciało mu się więc pomieścić w głowie, że jego własne dziecko mogłoby utracić tę więź. Nie, niemożliwe, to nie do pomyślenia. Sprytnie dobrane słowa Kornelii w jednej chwili pokonały jego egoizm.

- Cóż mi w takim wypadku radzisz, Kornelciu? - zapytał spiesznie z cichą nadzieją, że proponowane rozwiązanie nie będzie wymagało od niego poświęcenia zbyt wiele czasu. Czynił ostatnio szalone postępy w swoim piwnicznym laboratorium i żałował dosłownie każdej chwili, każdej straconej minuty.

- Radzę ci po prostu, żebyś dał mi w niektórych sprawach wolną rękę, Jo. Jak pamiętasz, prosiłam cię o to już wcześniej, ale zawsze miałeś inne zdanie. Teraz jest już prawie za późno. George i ja bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś pozwolił nam posłać Misie do Emery. Nasza Liza idzie jesienią do tej samej szkoły, a ja zawsze uważałam, że dwunastoletnie dziewczęta - w tym wieku robią się po prostu niemożliwe - lepiej czują się

w internacie niż w domu. Misia będzie miała towarzystwo mnóstwa sympatycznych dziewcząt. Tak się składa, że do Emery chodziła twoja matka i twoja babka. Nie muszę ci chyba mówić, że to w szkole z internatem zawiera się przyjaźnie na całe późniejsze życie? Jeżeli Misia pójdzie do tutejszego gimnazjum we Framingham, nigdy nie pozna nikogo interesującego. To dla niej naprawdę ostatnia szansa, Jozajaszu. Wolałabym unikać dramatycznych fraz, ale moim zdaniem naprawdę jesteś coś dłużny i Misi, i nieszczęsnej Matyldzie. Musisz się zgodzić - dodała Kornelia, która, jeśli trzeba, potrafiła posunąć się w argumentach aż do samego końca, choć wiedziała, że nie postępuje w ten sposób żaden szanujący się bostończyk.

Jozasz Winthrop wiedział aż za dobrze, że proponowany mu krok jest gestem miłosierdzia i filantropii, lecz nie miał wyjścia. Przy swoich dochodach na pewno nie mógł przecież opłacić za Misie chesnego w szkole Emery. Przez całe życie chlubił się tym, że nikt nie ośmielił się mu nawet zaproponować pomocy. Z całym rozmysłem nie zdecydował się na prywatną praktykę lekarską i gotów był zapłacić za to. Słowa Kornelii przestraszyły go jednak.

- Cóż... Dziękuję, Kornelciu. Z wdzięcznością przyjmę twoją propozycję. Wahałem się do tej pory... To zresztą nieistotne. Jestem pewien, że obydwójce wiemy, co mam na myśli. Powtórz z łaski swojej George'owi, jak się na to zapatruję. Jeszcze dziś, przy kolacji, powtórzę Misi tę nowinę. Jestem pewien, że się bardzo ucieszy. A co z formularzami zgłoszeń i tak dalej?

- Sama się tym wszystkim zajmę. W Emery znajdzie się dla niej oczywiście miejsce, już to sprawdziłam. Posłuchaj, Jo, bądź taki dobry i

powtórz Misi, żeby przyjechała w następną sobotę do Bostonu południowym pociągiem. Spotkam się z nią na dworcu Back Bay i zabiorę, żeby jej zamówić mundurek. Nic prostszego, mój drogi. I tak musiałabym się tym wszystkim zająć, bo wysyłam do Emery moją Lizę.

Kornelia nie napawała się nawet swoim zwycięstwem, lecz i tak nie mogła się doczekać cotygodniowego spotkania z siostrami w sali jadalnej klubu Chilton. Dzięki jednemu błyskawicznemu triumfowi dała nauczkę temu uprzykrzonemu gburowi Jozajaszowi, okazała własną hojność - stać ją było na ten wydatek, ale i tak... - a także uspokoiła własne sumienie, poruszone ostatnio widokiem biednej Misi, której nikt nie zapraszał na wycigi pływackie i przejażdżki na kucykach w ciotczynej rezydencji na Chestnut Hill.

Tejże jesieni Misia dokładnie z tym samym ekwipunkiem, jaki otrzymała kuzynka Liza, wyjechała do Emery, gdzie spędziła następnych sześć lat - w samotności, w przeraźliwej i ohydnej samotności. Dopiero teraz stała się naprawdę wyrzutkiem.

Spośród najrozmaitszych odcieni snobizmu, które rzeszom młodych ludzi przemieniają najlepsze lata w piekło, najokrutniejszym i praktycznie nie znanym wśród dorosłych jest hierarchiczna struktura, jaka się samorzutnie wykształca w najlepszych szkołach dla dziewcząt. W porównaniu z praktykami żeńskiego internatu huśtawki przychylności i niełaski na dworze Ludwika XIV wydają się wzorem demokracji. W każdym roczniku dziewcząt rozróżnić można klikę rządzącą, klikę drugorzędną, trzeciorzędną i czwartorzędną, a po nich nawet i pięciorzędną. Poza klikami egzystują zaś „straszydła”. Misia została oczywiście straszidłem od pierwszego dnia pobytu w szkole. Nie istniało

wprawdzie żadne prawo, które by określało, że aby należeć do którejś z grupek nie wolno być otyłą albo biedną (choć w podobnych szkołach niewiele trafia się dziewcząt z ubogich rodzin), istnieje jednak zasada, która głosi, że każdy rocznik musi mieć swoje straszydła. Straszydłem zostaje się pierwszego dnia i pozostaje nim do samego końca szkoły.

Sytuacja ta miała swoje dobre strony, na przykład to, że Misia mogła się naprawdę skupić na nauce i nie marnowała czasu na plotki ani grę w brydża. Odkryła też kilka nauczycielek, które ceniły u niej żywość umysłu i zaczęła otrzymywać doskonałe stopnie z francuskiego. Języka tego uczono w Emery wyłącznie w piśmie, gdyż nawet w tak znakomitej szkole nauczycielki szybko dawały sobie spokój z próbami francuskiej konwersacji. Misia zawarła trochę zdawkowych znajomości z innymi straszydłami, lecz nad związkami tymi ciążyła zawsze świadomość, że gdyby nie wspólny los straszydła, te same dziewczęta nigdy w życiu nie odezwałyby się do siebie. Najbliższą znajomość zawarła Misia z Gertrudą, jedną ze szkolnych kucharek, młodą i opasłą niewiastą, która żywiła w duszy głębokie uprzedzenie wobec wszystkich chudych dziewcząt, jakie musiała karmić z racji swego zajęcia. Oto jednak kucharka napotkała dziewczę o tuszy niemal tak okazałej jak jej własna. Kucharka świetnie rozumiała, że taka osoba jak Misia nie pociągnie długo na niewymyślnym szkolnym wikcie, toteż co wieczór, trochę na złość, a trochę ze współczucia, zostawiała wychowance szkoły wielką tacę resztek, ukrytą w zakamarku spiżarni i uzupełnioną ciastami z wiejskiej piekarni, zakupionymi za kieszonkowe, które zostawiła dziewczynce ciotka Kornelia.

W ostatnim roku szkoły Misia osiągnęła swój ostateczny, jak się

okazało, wzrost stu siedemdziesięciu siedmiu centymetrów i ważyła dziewięćdziesiąt osiem kilo. Ważyłaby jeszcze więcej, gdyby nie słynna dieta z Emery, uboga w skrobię, za to obfita w białko. Misie przyjęto by na pierwszy rok zarówno na Wellesley jak i w drugim żeńskim kolegium, Smith. Ciotka Kornelia umyśliła sobie wysłać bratanicę na studia z tym samym biletem pierwszej klasy, w jaki zaopatrzyła ją przed pójściem do szkoły z internatem. Misia miała jednak inny plan, uknuty w gniewie i rozpacz. Podczas ostatniej wizyty u Wilhelminy, swojej ciotecznej babki, utrzymywanej przez rodzinę w domu pogodnej jesieni, otrzymała od staruszki potwierdzony czek na dziesięć tysięcy dolarów.

- To całe moje oszczędności - wyjaśniła. - Nikomu nie mów, że ci je dałam, bo George wydrze ci je z ręki i schowa do banku, a wtedy nie zobaczysz z nich nawet odsetek. Wydaj to wszystko, póki jesteś młoda, albo zrób coś nierozsądnego. Byłam rozsądna przez całe długie życie i wierz mi, Misiu, straszliwie tego dziś żałuję! Nie czekaj, aż będzie za późno. Obiecuj mi, że wydasz te pieniądze na siebie.

Tydzień później Misia stanęła przed obliczem ciotki Kornelii i drżącym głosem oznajmiła:

- Nie chcę iść na studia. Nie mogę spokojnie myśleć o kolejnych czterech latach w żeńskiej szkole, ciociu. Mam odłożone dziesięć tysięcy dolarów i chcę - chcę jechać do Paryża i mieszkać tam, dopóki mi wystarczy środków.

- Ależ... Wielkie nieba, skąd wzięłaś dziesięć tysięcy dolarów?

- Dostałam je od babci Wilhelminy. Nie wiecie nawet, gdzie je złożyłam. Nie pozwolę nikomu, nawet wujkowi George'owi, zainwestować tych pieniędzy w moim imieniu. - Mówiąc to, gruba

nastolatka trzęsła się od gwałtownych uczuć, które owładnęły nią, kiedy już raz odważyła się coś powiedzieć. - Jeśli mi się spodoba, to ucieknę i nawet nie będziecie wiedzieć, jak znajdę się w Paryżu. Nawet mnie nie odnajdziecie.

- Absolutnie wykluczone. Paryż nie wchodzi w rachubę, moja droga. Będiesz wprost uwielbiała studia na Wellesley. Sama spędziłam tam cztery cudowne lata, więc... - Kornelia przyjrzała się uważnie Misi, czego nie uczyniła dotąd podczas tej niesłychanej wymiany zdań. Widok, jaki ujrzała, nie dodał jej otuchy. Dziewczyna była najwyraźniej zdecydowana wprowadzić swój plan w życie i nie ustąpić. Gdyby pozwolić sobie na kwieciste frazesy, można by stwierdzić, że wyjazd stał się dla niej kwestią życia lub śmierci. Ach, ta stara Wilhelmina, trzeba przyznać, że straszna z niej ekscentryczka! Obdarzyć dziecko gotówką! Niesłychane: stara Wilhelmina sama widocznie dziecinnieje. Ha, trudno, trzeba jak się da ratować tę pożałowania godną sytuację. Trudno z jednej strony siłą zmusić Misie, by poszła na studia. Kornelia tak czy inaczej zastanawiała się od dawna, co pocnie ze sobą jej wychowanica, gdy opuści mury uczelni. Zapewne pójdzie na studia doktoranckie, może zostanie nauczycielką. Nie na darmo miała w swoim roczniku najlepszą ocenę z francuskiego. Jakaż jednak szkoda, że córka Matyldy zostanie jeszcze jedną starą panną i nauczycielką.

- Podejź tu do mnie, Misiu, i usiądź. Cóż, obiecuję, że się poważnie zastanowię nad twoim zamysłem, ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze, musimy znaleźć dla ciebie we Francji dobrą stancję, gdzie znajdziesz się pod właściwą opieką. Nie zniosłabym myśli o tym, że mieszkasz w hotelu czy w jednym z tych straszliwych domów

akademickich. Po drugie, możesz w Paryżu zostać tylko jeden rok. Jak na Paryż, jeden rok zupełnie wystarczy. Obiecuj mi też, że po powrocie pójdziesz na roczne kursy do Katie Gibbs. W ten sposób, skoro już myślisz o przejściu na własne utrzymanie, będziesz miała później zapewnioną doskonałą pracę jako kwalifikowana sekretarka.

Misia milczała przez kilka minut, rozważając propozycję. Wiedziała, że jeśli już raz znajdzie się w Paryżu, bardzo trudno będzie ją zmusić do powrotu. Również pieniędzy wystarczy jej na dłużej, jeśli zatrzyma się na stacji u rodziny zamiast w hotelu. Podczas pobytu w szkole Emery słyszała nieraz, że właściciele francuskich stacji niewiele troszczą się o to, co czynią lokatorzy pod warunkiem, że nie zalega im się z czynszem. Z kursów u Katie Gibbs też uda się jakoś wykręcić. To śmieszne, planować spędzenie reszty życia w charakterze sekretarki! Prawie tak żałosne, jak myśl o powrocie do drętwej i pełnej przepisów szkoły.

- Zgoda! - mówiąc to Misia posłała ciotce nieczęsty u siebie uśmiech. Kornelia zauważyła, że nawet potrójny podbródek i pyzate policzki nie potrafią odjąć czaru temu uśmiechowi. Ale tak rzadko się go widuje...

* * *

Tego samego wieczora Kornelia napisała list do Lady Molly Berkeley z rodu Lowellów, jednej z najlepszych znawczyń ludzi, „których powinno się znać” w Europie.

Droga kuzynko Molly!

Mam dla ciebie dość niezwykłą nowinę: córka Jozajasza, Misia Winthrop, zamierza spędzić cały następny rok w Paryżu, aby wyszlifować swój akcent przed kursami u Katie Gibbs. Misia to mile dziecko o bardzo dobrym sercu, choć obawiam się, że nie będzie pogromczynią męskich

serc. Ciekawam, czy pośród twoich francuskich przyjaciół nie znalazłaby się miła rodzina, u której Misia mogłaby zamieszkać za opłatą. Niestety, dziewczynka posiada nader skromne zasoby, a co za tym idzie, w przyszłości sama będzie musiała zarabiać na swe utrzymanie; ma jednak niewielką sumę, która powinna jej wystarczyć na kilka najbliższych lat, jeśli będzie nimi mądrze gospodarzyć. Ciekawam, co mi odpiszesz, droga Molly, przed naszym przyjazdem. Będziemy w Claridge jak zwykle w czerwcu i z niecierpliwością oczekujemy obydwój spotkania z Tobą.

Twoja kochająca Nelie

Załatwianie podobnych spraw stanowiło życiową pasję Lady Molly Emlen Lowell Berkeley, która ukończyła lat siedemdziesiąt siedem. Przesłany przez nią w trzy tygodnie później list brzmiał:

Moja kochana Nelie!

Ucieszył mnie niestychanie Twój list. Owszem, mam dla ciebie pomyślnie wieści! Rozejrzałam się nieco i odkryłam na Twój użytek, że Lilianne de Vertdulac dysponuje pokojem dla Twojej Misi. Z pewnością przypominasz sobie męża Lilianny, hrabiego Henri. Miał tak wspaniałe maniere! Niestety, zginął podczas wojny, a rodzinna fortuna podupadła. Lilianne bierze na stancję tylko jedną młodą osobę rocznie. Mamy niezmierne szczęście, jako że w roli gospodyni i opiekunki jest ona nieskazitelna i czarująca. Jej dwie córki są młodsze od Misi, lecz z pewnością staną się dla niej stałym towarzystwem.

Stancja - wliczając oczywiście wszystkie posiłki - będzie kosztowała siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo, co moim zdaniem jest ceną godną uwagi, zważywszy obecne ceny żywności w Starym Świecie. Kiedy tylko uzyskam Twoją zgodę, poczynię wszystkie przygotowania. Uściski

dla George'a.

Twoja kuzynka Molly

Prawdziwa francuska arystokracja, a więc nie osoby z nowymi tytułami, nadanymi przez Napoleona, lecz potomkowie starych rodów książęcych, których korzenie sięgają czasów wypraw krzyżowych i jeszcze odleglejszej przeszłości, jest dwa razy bardziej łasa na pieniądze niż przeciętni Francuzi. Innymi słowy, stara francuska arystokracja kocha pieniądze cztery razy goręcej niż zwykły człowiek. Arystokratom wszystkie fortuny wydają się nuworyszowskie, chyba że dany majątek jest akurat ich prywatną czy rodzinną własnością. Jeżeli któryś z synów wielkiego arystokraty żeni się z córką bogatego kupca winnego, którego prapradziadowie chodzili w łapciach, ma miejsce natychmiastowa reakcja alchemiczna, dzięki której posag zaczyna zaraz jaśnieć blaskiem dorównującym wianu samej Madame de Sevigne.

Sympatia francuskiej arystokracji do zacnych rodów bostońskich sięga czasów rewolucji francuskiej, kiedy to bostoński pułkownik Thomas Handasyd Perkins - jego córka wyszła za jednego z Cabotów - ocalił życie syna markiza de Lafayette i zapewnił chłopcu bezpieczne schronienie po drugiej stronie Atlantyku. Oczywiście nie jest bez znaczenia i to, że choć większość bostończyków to dawni kupcy albo żeglarze, przeważnie pospolitej angielskiej krwi i bez tytułów szlacheckich, z którymi lądowaliby w Plymouth na pokładzie „Mayflower”

- wielu Francuzów miało to bostończykom za złe - nie sposób było nie doceniać ich talentów do zbijania coraz większych majątków. Co więcej, pokaźna liczba córek bostońskich rodów odznaczyła się w historii na tyle, że po pewnym czasie mogły iść w zawody z potomkiniami

najwspanialszych rodów Francji. Bostończycy, choć rzadko posiadali owe cenne rodowe grunta wokół château, które same w sobie tłumaczą uwielbienie, jakim Francuzi darzą wszelkie nieruchomości, mają jednak w kieszeni pokaźną liczbę fabryk, zakładów, banków i firm maklerskich, a co najważniejsze posiadają ton. Nie znajdzie się wśród nich choćby cienia wulgarności. Nie obnoszą się po świecie ze swoim majątkiem, nie chwala się nim, dokładnie z taką samą powściągliwością jak wiele świetnych rodów francuskich, które zmuszone były wyrzec się dawnej, fatalnej w skutkach ostentacji wkrótce po wybuchu rewolucji francuskiej.

Odwieczna zasada stanowi, że młody francuski arystokrata, który nie posiada majątku, musi się w ów majątek wżenić. Świętym obowiązkiem jego rodziców oraz jego samego jest znaleźć korzystną partię, gdyż tylko w ten sposób udaje się ocalić rodowe włości.

Francuska arystokratka bez majątku, której w dodatku nie uda się wyjść bogato za mąż, musi mimo to przestrzegać pewnych form zachowania i kontaktu z otoczeniem, choćby miała to przypłacić śmiercią głodową. Na szczęście tego typu przypadki zdarzają się niezmiernie rzadko.

Hrabina Lilianne de Vertdulac w wyniku drugiej wojny światowej utraciła wszystko prócz poczucia tego, co wypada, prócz odwagi, stylu i dobroci serca. Jej styl stanowił osobliwą mieszankę wrodzonego dobrego smaku, sprowadzonego do najprostszych form, i wrodzonej rezerwy, zdolności do zachowywania dla siebie własnych opinii i unikania bliższych kontaktów emocjonalnych z kimkolwiek. Właściwość ta zmieniała ją w osobę fascynującą w sposób, jakiego nigdy nie będzie dane dostąpić ludziom otwartym i szczerym. Nawet wrodzoną dobroć serca z

biegiem lat zatarły przeżycia z nie kończącym się korowodem młodych lokatorek, przeważnie Amerykanek, które stanowiły główne źródło utrzymania dla całej rodziny. Hrabina była wręcz zachwycona faktem, że przez cały następny rok będzie gościć pod swoim dachem pannę Misie Winthrop, o której Lady Molly wyrażała się w tak ciepłych słowach w swoim liście. Dziewczynka w oczywisty sposób pochodziła z najlepszych sfer i spokrewniona była ze Starym Bostonem w taki sam sposób, w jaki Lilianne sama była spowinowacona z Faubourg St.-Germain.

Francuzka była niewielkiego wzrostu blondynką, liczyła sobie czterdzieści cztery lata i mieszkała przy bulwarze Lannes. Okna mieszkania wychodziły na Lasek Buloński. Dzięki wojennym komplikacjom, które na długie lata udaremniły podwyżkę czynszów, hrabina i jej dwie podrastające córki mogły nadal mieszkać w tej najmodniejszej części Paryża, choć od 1939 roku zabrakło już pieniędzy na jakiegokolwiek remonty. Mieszkanie było olbrzymie i ogromnie zaniedbane, lecz słońce wciąż rozświetlało sufity wysokich pokoi, a całe wnętrze przesiąknięte było ową damską przytulnością, właściwą miejscom, w których nie obsługuje się i nie hołubi żadnego mężczyzny.

Hrabina osobiście otworzyła drzwi, do których zastukała Misia. Zwykle na dzwonki odpowiadała domowa kucharka Louise, która mieszkała na poddaszu; Lilianne wolała leżeć z podkulonymi nogami na wytartych poduszkach kanapy w salonie. Jeśli przychodzili goście, wstawiała jedynie wówczas, gdy miała przed sobą starszą kobietę, lecz dziś chciała w specjalny sposób podkreślić swą gościnność.

Powitalny uśmiech nie zgasł wprawdzie na twarzy hrabiny, lecz kiedy ścisnęła dłoń Misi, w jej oczach pojawił się błysk zaskoczenia i

niesmaku. Nigdy, przenigdy nie dane było jeszcze Lilianne oglądać równie otyłego dziewczęcia. Nowa lokatorka żywo przypominała jej małego hipopotama. Fe, po prostu niemożliwość. Jak można się doprowadzić do takiego stanu? I co począć z kimś takim we własnym domu? Gdzie schować nowego gościa? Kiedy Lilianne wprowadzała Misie do salonu, w którym czekała już herbata, w myślach usiłowała ogarnąć rozmiary nieoczekiwanego horroru. Choć hrabinie dawniej nie przeszłoby przez myśl, że będzie zarabiać na utrzymanie domu wynajmowaniem pokoi, czuła wręcz dumę z faktu, że każda z dziewcząt, które przeżyły rok w jej progach, opuszczała je bogatsza o dwie rzeczy: po pierwsze, o znajomość francuskiego, którego poziom ograniczony był wyłącznie pojemnością mózgu dziewczęcia, i co ważniejsze, o wycucie stylu, płynącego z jedynej i niepowtarzalnej paryskiej atmosfery. Ale co począć z tym stworzeniem?!

Kiedy gospodyni i nowo przybyła zasiadły razem przy herbacie, Lilianne wbrew temu, co odczuwała, zaczęła z całym spokojem:

- Witaj w moim domu, Misiu. Będę cię nazywać Misia, dobrze? Ty z kolei możesz mi mówić *Madame*.

- Proszę *Madame*, czy nie można mnie nazywać moim prawdziwym imieniem? - Misia ćwiczyła tę przemowę bez chwili przerwy, lecąc z Nowego Jorku do Paryża. - Misia to tylko stare przezwisko z dzieciństwa, a ja dawno z niego wyrosłam. Naprawdę mam na imię Wilhelmina, ale chciałabym je zdrobnić na Billy.

- Czemuż by nie? - Lilianne nie dodała, że woli nowe imię, ni to żeńskie, ni męskie, tym bardziej że przy tej ilości tłuszczu płeć lokatorki nie miała właściwie znaczenia. - I druga sprawa, moja Billy. To jest ostatni

raz, kiedy rozmawiamy ze sobą po angielsku. Kiedy pokażę ci pokój i kiedy się już rozpakujesz, zjemy kolację. W tym domu kolację je się wcześnie, bo o wpół do ósmej, jako że moje córki mają mnóstwo lekcji do odrobienia. Od kolacji zaczniemy mówić do ciebie wyłącznie po francusku. Louise, nasza kucharka, zupełnie nie zna angielskiego. Zdaję sobie sprawę, że z początku nie będzie ci szło łatwo, lecz tylko w ten sposób zdołasz się czegoś nauczyć.

Ten warunek Lilianne nieodmiennie przedstawiała młodym lokatorkom na samym początku.

- Najpierw będziesz się pewnie czuła nieswojo, będziesz skrepowana, ale powtarzam ci, w przeciwnym razie nigdy się nie nauczysz, jak naprawdę powinno się mówić po francusku. Nie będziemy się śmiały z twoich błędów, będziemy je za to wciąż poprawiać. Nie obrażaj się za to na nas, bo jeśli pozwolimy ci powtarzać wciąż ten sam błąd, będzie to oznaczało, że zaniedbujemy się w obowiązkach.

Lilianne nie łudziła się, że jej uwagi mają szansę rzeczywiście trafić do Billy. Mimo wysiłków gospodyni jej lokatorki przesiadywały całymi dniami, a często i nocami, w towarzystwie amerykańskich studentów, którzy hurmą najechali Paryż i tak naprawdę nie miały jak ani kiedy zasmakować we francuskim. Twierdziły wszystkie, że „francuski miały w szkole”, lecz, zdaniem Lilianne, uczono je w sposób potworny, a one same zamiast się doskonalić, wolały trwać w ignorancji.

Billy rozpromieniła się. Zamiast wyrazu oczu zwierzęcia schwytanego w potrzask - jaki zwykle pojawiał się w oczach lokatorek po tym obwieszczeniu - pulchne dziewczę miało wypisaną na twarzy chęć do nauki. Lilianne w duchu wzruszyła ramionami. Ha, może będzie z niej

pierwsza poważna uczennica. O takie zaś na pewno coraz trudniej, zważywszy na to, co się dzieje. Nowa lokatorka tak czy inaczej nie pójdzie z pewnością w ślady dziewczyny z Teksasu, która traktowała mieszkanie jak hotel i trzy razy w tygodniu domagała się świeżej pościeli. Nie zachowa się jak dziewczyna z Nowego Jorku, która skarżyła się, że w domu nie ma prysznic, gdyż umyśliła sobie codziennie myć włosy, ani jak dziewczyna z Nowego Orleanu, która zaszła w ciążę i szybko powróciła do domu. Nie powtórzy też błędów dziewczyny z Londynu, która przywiozła ze sobą cztery kufry, dopominała się o całe tuziny dodatkowych wieszaków i potrafiła się nawet wprosić do prywatnej szafy Lilianne.

Porządki w domu hrabiny de Vertdulac oparte były na prostej zasadzie. Do Louise należały wszystkie bez wyjątku ciężkie zajęcia, takie jak gotowanie, pranie i zakupy. Służąca harowała więc osiemnaście godzin na dobę i była niesłychanie szczęśliwa, że całe życie może usługiwać hrabinie. Ani ona, ani też Lilianne nie widziały w tym układzie nic szczególnego czy niezgodnego z ich przekonaniami.

Codziennie rano na długo przed śniadaniem Louise udawała się do sklepów przy ulicy de la Pompę i kupowała żywność na dany dzień. Kupowała jej zaś dokładnie tyle, ile trzeba, i ani grama więcej. Miało to sens, jako że kuchnia nie była wyposażona w lodówkę. Produkty, które trzeba trzymać w chłodzie, takie jak mleko czy ser, wkładano natychmiast do garde-manger, skrzynki z dziurkami, wbudowanej w okno kuchenne i zamykanej na klucz.

Louise była wprawną gospożą i znakomicie umiała wyszukiwać rozmaite okazje. Znali ją wszyscy sklepikarze, którzy dawno zaprzestali

prób wepchnięcia jej towaru nieświeżego czy odrobinę choćby droższego. Mimo to wydatki na żywność pochłaniały aż 35 procent rodzinnego budżetu. Lilianne de Vertdulac wiedziała dokładnie, ile pieniędzy wydała w tym dniu Louise, gdyż osobiście wydzielala je co wieczór z portmonetki, a po powrocie gosposi z zakupów skrupulatnie przeliczała resztę. Wynikało to nie tyle z braku zaufania do służącej, lecz z tej prostej przyczyny, iż pieniądze otrzymywane od zagranicznych lokatorek stanowiły dla rodziny jedyne źródło codziennego utrzymania. Przychody z wynajmu skromnej wiejskiej posiadłości hrabiny w Deauville szły w całości na ubrania i na czesne za szkołę dla dziewcząt.

Goście domu musieli więc zapewnić całej rodzinie jedzenie, czynsz i zaspokoić inne potrzeby.

* * *

Billy rozwiesiła w szafie swój skromny zapas garderoby, na który składały się przeważnie spódnice i bluzki w burych kolorach, a gdy wyszła na balkon, prawie z nabożną czcią wciągnęła w nozdrza zapach Paryża, woń, której nic nie mówiące opisy czytała po tylekroć. Nareszcie rozumiała przyczynę, dla której autorzy, zamiast dać sobie spokój, wciąż na nowo próbowali dokonać rzeczy niemożliwej, to jest oddać słowami aromat miasta. Z wąskiego balkonu Billy wyraźnie widziała kasztanowce i wysoką trawę Lasku Bulońskiego. Umeblowanie pokoju było skromne, a wysokie i pozapadane łóżko zakrywała kapa ze spłowiałego żółtego adamaszku. Tym samym materiałem obity był gruby wałek na łóżku. Z przedpokoju wchodziło się do toalety, osobnego pokoiku wyłożonego kafelkami, ze spłuczką i chudą rolką gładkiego, brązowego papieru toaletowego. W pokoju Billy miała do swojej dyspozycji umywalkę z

niewielkim lustrem. Zapowiedziano jej z góry, że jeśli się będzie chciała wykapać, musi najpierw zawiadomić hrabinę, która sama zadba o udostępnienie łazienki.

Podniecenie podróżą sprawiło, że Billy zapomniała prawie o jedzeniu, lecz kiedy pukaniem do drzwi poproszono ją na obiad, poczuła się głodna jak jeszcze nigdy w życiu. Weszła do saloniku, w którego przeciwległym końcu stał owalny stół z zastawą, i z nadzieją pociągnęła nosem. W odróżnieniu od jadalni w Bostonie i w Emery, nie czuło się tu w powietrzu żadnych kuchennych zapachów.

Obie córki hrabiny czekały już, by je przedstawiono nowej lokatorce. Kolejno uścisnęły dłoń Billy i powiedziały po francusku parę słów tonem śmiertelnej powagi. Billy nie spotkała jeszcze podobnych dziewcząt. Choć młodsza z nich, Danielle, miała już szesnaście lat, a Solange, starsza, siedemnaście, w Ameryce wyglądałyby na dziewczynki czternastoletnie. Miały prawie identyczne, pociągłe i poważne twarze o ostrych, doskonałych rysach, rozczesane pośrodku proste, jasne włosy i jasnoszare oczy. Ubrane były w identyczne mundurki szkoły sióstr zakonnych, czyli w granatowe plisowane spódniczki i jasnobłękitne bluzki. Nie miały oczywiście żadnego makijażu, otaczała je zaś aura godności, niczym u dzieci z prywatnych szkół angielskich. Na pierwszy rzut oka w córkach hrabiny nie było nic francuskiego.

Przybliżający się skrzyp podłogi obwieścił, że Louise wprowadza do jadalni staroświecki drewniany wózek kuchenny z dwiema półeczkami na dania. Kuchnia mieściła się na samym końcu mieszkania, które miało kształt litery L. Billy miała siedzieć u boku hrabiny, która z wielką ostrożnością rozlała na talerze cienką, lecz pyszną zupę jarzynową. Nalała

jej najpierw sobie, później Billy, a na końcu obu dziewczynkom. Po zupie podano jajka na miękko, w skorupkach, po jednym dla każdego z biesiadników, a potem wielką misę zielonej sałaty, w której znalazł się dla każdego plasterk szynki. Po każdym daniu Solange lub Danielle na zmianę uprzątały talerze i ustawiały je w wielkim porządku na wózczyku. Na stole stał także koszyczek z chlebem, lecz Billy spostrzegła, że nikt go nie tyka, więc nie odważyła się sięgnąć pierwsza. Tak czy inaczej odkryła ku swemu niezmiernemu przerażeniu, że nie ma pojęcia, jak po francusku powinno się prawidłowo powiedzieć: „Proszę mi podać chleb”. Czy lepiej odezwać się słowami: *Voulez-vous me passer le pain*, czy może raczej zacząć: *Passez le pain, s'il vous plait?* Billy uznała, że nie wolno jej się odezwać tak długo, dopóki nie uzyska absolutnej pewności w tym względzie. Francuszczyzna, w której Billy z taką łatwością czytała i pisała na Emery, wyraźnie nie miała najmniejszego związku z dźwiękami, które kipiały, bulgotały, syczały i grzechotały wokół stołu, kiedy dziewczynki rozmawiały z matką. Co setne słowo wydawało się brzmieć znajomo, lecz wkrótce spanikowana Billy przestała rozumieć cokolwiek i pojęła, że w jakiś dziwny, nie wiadomo dokładnie jaki, sposób popełniła straszliwy błąd. Jeżeli słyszała wokół siebie francuszczyznę, nie był to ten sam język, którego się uczyła. Zupełnie nie ten sam.

Po sałacie uprzątnięto talerze i postawiono na stole nowe. Sama Madame ustawiła przy swoim nakryciu mały talerzyk przykryty słomkową matą i świeżymi liśćmi, na których spoczywał uroczy serek. Hrabina z wyczuciem ukroiła dla siebie niewielki plasterk i przekazała talerzyk Billy, która czuła się zbyt skrepowana, by ukroić sobie większą porcję niż *Madame*. Nareszcie można było poczęstować się chlebem; na stole

pojawiła się też niewielka, bardzo niewielka maselniczka. W dodatku w maśle odcisnięty był znak firmowy. Ser okrążył stół tylko raz. Na deser podano miseczkę z czterema pomarańczami, które Madame i jej córki obrały natychmiast nożykami z taką zręcznością, że oszołomiona Billy z ledwością potrafiła naśladować ich ruchy. Pośrodku stołu stała karafka z winem, lecz nalała go sobie jedynie *Madame*. Dziewczęta zadowolily się wodą, podobnie jak Billy, która nigdy dotąd nie pijała wina do obiadu.

Po posiłku Danielle i Solange uprzątnęły wózek z jadalni, Louise natomiast przyniosła na tacy dwie filiżaneczki i imbryk z kawą. Gospoia zostawiła tacę na stoliku obok kanapy w salonie, hrabina zaś przyzwała do siebie Billy gestem dłoni, zezwalając jej w ten sposób zasiąść obok siebie. Dziewczęta powróciły do odrabiania zadań domowych. Przez cały ten czas Billy wydusiła z siebie raptem cztery słowa. Ilekroć jedna z dziewczynek zadawała jej jakieś pytanie, Billy uśmiechała się szeroko - podejrzewając, że robi z siebie idiotkę - potrząsała głową i oświadczała tonem wielkiego smutku i zmieszania: *Je ne comprends pas*. Żadna z dziewczynek nie okazała najmniejszego zaskoczenia. Mieszkały przecież od lat pośród korowodu głuchoniemych cudzoziemek i odzywały się do nich jedynie wiedzione uprzejmością. Gdyby Billy wydusiła z siebie jakąkolwiek odpowiedź, zdumiałyby się niesłychanie.

Po pięciominutowej niemej udręce nad mocną czarną kawą, osłodzoną błogosławioną, choć dziwnie brązową kostką cukru, Billy ośmieliła się powiedzieć wreszcie: *Merci*, i umknęła do swojego pokoju. Wnętrznosci jej ściszał straszliwy głód. Ostatnia kostka cukru wyzwoliła w niej łaknienie słodczy, które tylko w niewielkim stopniu ukoily dwie ostatnie tabliczki czekolady przemycone w torebce. Od popadnięcia w

ostateczną rozpacz ocaliła Billy myśl, że Francuzi jedzą główny posiłek po południu, a nie wieczorem, jak w Ameryce, toteż posiłek był odpowiednikiem lekkiej popołudniowej przekąski. Ale tak czy inaczej porcje okazały się przeraźliwie małe, żadnych szans na dokładkę - na litość boską, dlaczego tylko jedno jajko, jeden plasterk szynki? Dlaczego wszyscy ukroili sobie po takim maleńkim plasterku sera? Dumając nad tym wszystkim i marząc o nie kończących się rzędach misek kaszy manny z masłem, cukrem i rodzynkami, Billy nareszcie zasnęła.

Nie wiedziała, na swoje szczęście, że zjedzony przed chwilą posiłek zapamięta wkrótce jako największą z uczt, jakie było jej dane zjeść w progach Lilianne de Vertdulac. Zupa jarzynowa i plasterk szynki wjechały na stół specjalnie dla uczczenia nowego gościa.

Billy odkryła wkrótce, jak odżywiają się na co dzień hrabina, jej córki, a z nimi i ona sama. Śniadanie składało się z dwóch tartinek, kromeczek zapiekanego francuskiego chleba, skośnie przekrojonych i cieniutko posmarowanych masłem i dżemem. Prócz tego pojawiała się przed Billy miska, podobna do wazy bez uszu, lecz wypełniona mieszaniną gorącej kawy z gorącym mlekiem. Na lunch podawano jej nieodmiennie talerz zupy z przecieranych jarzyn, pozostałych z poprzedniego dnia. Tuż przed podaniem Louise dodawała do zupy parę łyżek mleka. W ślad za zupą na każdy talerz trafiał plasterk mięsa, wyjątkowo dwa. Czasem była to wołowina, czasem baranina lub pieczona cielęcina: chude, smakowite i tanie mięso, jakiego Billy nie kosztowała jeszcze nigdy w życiu. Daniom mięsnym towarzyszyła garsteczka frytek posypanych pietruszką. Na osobnym talerzu podawano obfitą porcję gorących jarzyn, prosto z targu i ugotowanych na parze. Czasem błyskała

na nich ociupina masła. Po głównym daniu podawano ser, którego niewielki krążek musiał wystarczyć na dwa dni, misę zielonej sałaty i owoce. Billy spożywała więc około tysiąca stu kalorii dziennie, głównie w postaci białka i świeżych warzyw oraz owoców.

Po dwóch dniach tej przepięknie gotowanej, elegancko podanej i rozpaczliwie nie sycącej diety Billy zaczęła się na serio zastanawiać, jak by tu uniknąć śmierci głodowej. Pewnej nocy z duszą na ramieniu odważyła się na wypad do kuchni, na paluszkach, jak złodziej, skradając się obok sypialni, lecz odkryła tylko, że *garde-manger* stoi otworem, gdyż jest zupełnie pusty. Do porannych zakupów Louise w całym domu rzeczywiście nie było ani okruszyny chleba. Billy postanowiła zaprzyjaźnić się z Louise, ale zaraz poniechała tych planów, przypominając sobie, jak słabo zna francuski. Wpadło jej do głowy, by wypuścić się do kawiarni czy restauracji w mieście na porządny obiad, lecz w dzielnicy, w której mieszkała, próżno było szukać lokali, a oprócz tego Billy wiedziała aż za dobrze, iż nie starczy jej odwagi, by usiąść przy stoliku i zamówić danie po francusku. Ona i taki wyczyn? A może by tak samej wyskoczyć na ulicę de la Pompe, nakupić jedzenia i spałaszować je w zaciszu pokoju? Mogłaby pokazać palcem, co chce kupić, i zapłacić tyle, ile wynosi cena na opakowaniu. Nie, jeszcze ktoś ją zobaczy i zacznie zadawać pytania. Spaliłaby się ze wstydu. Billy zastanawiała się nawet, czy nie kupić czegoś do jedzenia od ulicznego sprzedawcy, ale i to nie wchodziło w rachubę. Do tej pory Billy nie zauważyła, by jakikolwiek Francuz jadł na ulicy, przynajmniej w tej luksusowej dzielnicy, graniczącej z avenue Foch od jednej strony i avenue Henri Martin od drugiej - dwiema najelegantszymi ulicami w całym Paryżu. Czasem tylko

zauważyła, jak spieszący się do domu uczeń pogryza koniec niesionej w rękę bagietki.

Dodatkową komplikację w rozwiązaniu kwestii kulinarnej stanowiła dla Billy niedopowiedziana myśl, która dojrzewała w niej od osiemnastu lat - myśl o bogactwie i ubóstwie.

Chociaż Billy nie miała zielonego pojęcia o rzeczywistej wartości pieniędzy, wiedziała natomiast doskonale, ile pieniędzy ma dana osoba w stosunku do zasobów innych osób z tego samego towarzystwa. Billy potrafiła więc odgadnąć, który z jej kuzynów jest bogatszy, który nie tak bogaty, a który najbogatszy, i które z dziewcząt z Emery są naprawdę bogate, które dość bogate, a które mniej więcej bogate. Całe życie Billy borykała się z kwestią tytułu. Ona sama, Billy, nigdy nie miała tytułu czy prawa do czegokolwiek, podczas gdy inni w oczywisty sposób mogli mieć, co tylko zechcieli. Byli i tacy, którzy posiadali częściowy tytuł do świata - mogli liczyć na tyle i tyle, ale już na nic więcej. Przekonania te utrwaliły się w systemie wartości Billy, która jednak przez wiele lat głowiła się, dlaczego tak się dzieje i dlaczego jedni mogą mieć wszystko, a inni nic. Nie potrafiła jednak znaleźć na to pytanie zadowalającej odpowiedzi. Świat był w obrzydliwy sposób niesprawiedliwy, ale cóż zrobić?

Właśnie z tego względu Billy z całą wyrazistością wyczuwała tabu, jakim w domu Lilianne de Vertdulac otaczano temat jedzenia. Ilość dostępnego jedzenia - Billy zakomunikowano to bez słów, lecz zrozumiała aż nadto dobrze - ściśle odpowiadała wystawności, na jaką Madame pozwalały jej środki finansowe. Jedzenia było tyle, ile było, a na więcej nie można było liczyć. Rozumiało się też samo przez się, iż byłoby skrajną nieuprzejmością i grubiaństwem oświadczyć na głos, że przy tak nikłych

porcjach Billy cierpi na skurcze żołądka i chodzi stale wygłodzona. Jedyna okazja, kiedy lokatorka mogła poprosić hrabinę o dokładkę, nadarzała się wówczas, gdy pokrojonych na półmisku porcji było więcej niż cztery. Ilekroć tak było, pozostałe porcje mięsiwa rozdzielano równo między trzy młodsze stołowniczki.

Co wieczór Billy płakała przed snem, a dni zmieniły się w pasmo udręki. Nic dziwnego, że codziennie traciła pół kilo na wadze. Zjadała w końcu o trzy tysiące kalorii mniej niż zwykła pochłaniać od czasów wczesnego dzieciństwa. Gdyby przebywała w klinice dietetycznej, takiej jak Maine Chance czy Golden Door, nie utrzymano by jej tam pod lufą rewolweru, lecz rosnące u Billy zainteresowanie tajemniczą, czarującą hrabiną i jej francuszczyzną kazało Billy zapomnieć o wszystkim.

Zanim minął pierwszy miesiąc, Billy zaczęła śnić w języku francuskim. Chwytała też znaczenie przypadkowych zwrotów podczas toczących się wokół niej rozmów towarzyskich. Sama zaczęła też nieśmiało wskazywać na rozmaite rzeczy i pytać, jak się nazywają. Przy stole próbowała odpowiadać na pytania, a zasłyszane poprawki zapisywała natychmiast w pamięci, która służyła jej doskonale. Ponieważ Billy nie dane było nigdy rozmawiać po francusku, nie przyswoiła sobie nieprawidłowego akcentu. Jej własne zdania brzmiały przeraźliwie i z trudem dawały się zrozumieć, lecz akcent i intonacja były dokładnie te same co u Madame de Vertdulac.

Pewnego wieczora, w piątym tygodniu pobytu Billy w Paryżu, Danielle i Solange po raz pierwszy pokłóciły się na jej temat. Tak już zobojętniały obie na lokatorki swojej matki, że niezmiernie rzadko zajmowały się nimi w rozmowach.

- To dziwne - zaczęła Danielle czystym, jasnym głosem. - Dawniej też rozmaite dziewczyny tyły, wypijały całe wino biegały co wieczór ze swoimi chłopakami do restauracji, ale takiej grubej jeszcze u nas nie było.

- Nie było i więcej nie będzie - ucięła Solange.

- Nie bądź przeokropna. Może to nie jej wina, może to kwestia gruczołów - zaproponowała łagodniejsza z natury Danielle.

- Może to kwestia amerykańskich obżartuchów, którzy zjadają wszystko, co się da.

- Moim zdaniem, Solange, ta dziewczyna chudnie. Wierz mi.

- Ciekawe, jakim cudem. Nie zauważyłaś, że na śniadanie bierze sobie trzy tartinki? Gdyby mogła, zmiotłaby cztery. Poza tym jestem pewna, że kradnie cukier. Kiedy wczoraj wieczorem odnosiłam do kuchni tackę, cukiernica była prawie pusta, a przecież Maman nigdy nie słodzi kawy.

- Może i tak, ale spódnica zaczęła na niej wisieć, tak samo jak bluzka.

- Od samego początku były źle skrojone.

- Idiotka! Mówię ci, że chudnie! Sama możesz się jej przyjrzeć.

- O nie, dziękuję. Zajmij się lepiej lekcjami, imbecylko, przez ciebie nie mogę czytać tego Racine'a.

* * *

W latach niemieckiej okupacji i w ciężkich czasach, jakie nastąpiły po wojnie, Lilianne nauczyła się natychmiast zapominać o rzeczach, które ją denerwowały lub niepokoiły. Od pierwszego dnia starała się więc nie patrzeć na nową lokatorkę - a właściwie od pierwszego spotkania, kiedy to miała wrażenie, że dzieje się coś groteskowego, coś, wobec czego jest

behradna. Drażnił ją widok masy rozkudłanych ciemnych włosów wokół puciołowatej twarzy, poważne czarne oczy i niemożliwy wprost ubiór, zwłaszcza w połączeniu z drogim zegarkiem i zaskakująco eleganckimi butami. Chociaż hrabina spełniała swój obowiązek jako przewodniczka podczas nieodzownych wycieczek po Paryżu, pokazując Billy zabytki, nie zwracała najmniejszej uwagi na jej reakcje. Nie miała przecież najmniejszego zamiaru regularnie chadzać z Billy po mieście. Poprzednie lokatorki bardzo prędko uczyły się same dawać sobie radę w metropolii, toteż hrabina z niecierpliwością czekała, aż kolejna Amerykanka wobec nadmiaru ciekawszych zajęć przestanie przychodzić na posiłki do mieszkania przy bulwarze Lannes. Z hipopotamem z Bostonu, pomyślała Lilianne, nie pójdzie jednak tak łatwo, bo dziewczynisko przywiązało się do rodziny i co rano, kiedy hrabina kończyła lekturę, pożyczala od niej egzemplarz Le Figaro. Popołudniami Billy czytała w swoim pokoju kolejne tomy Colette, przed obiadem i kolacją sterczała w salonie, nigdy nie opuszczała podwieczorku i czasami tylko wypuszczała się do Lasku Bulońskiego.

Trzymała się jednak pobliskich ulic, aby nie przegapić choćby jednego posiłku. Co też strzeliło tej Danielle do głowy, opowiadać, że Billy traci na wadze?

Tego wieczora Lilianne po raz drugi uważnie przyjrzała się Billy. Ufała swojej spostrzegawczości całkowicie, jak przystało na rodowitą Francuzkę, niezależnie od tego, czy przedmiotem oględzin jest świeży kurczak w Halach czy nowa kolekcja Yvesa Saint Laurenta. Lilianne ujrzała więc przed sobą dziewczynę o zbyt okazałej tuszy i tragicznie za wysoką, lecz przecież do uratowania... Tamta pierwsza dziewczyna,

przysłana kilka tygodni temu przez Lady Molly, była nie do uratowania. Złom.

Francuzki uwielbiają nowe możliwości jeszcze bardziej niż perfekcję. Sytuacja taka pozwala zająć się urządzeniem świata na nowo, urządzenie zaś świata stanowi jedną z galijskich pasji.

Arranger, s'arranger i podobne czasowniki oznaczają we Francji wszystko, od rozstrzygnięcia skomplikowanej kwestii prawnej czy zmiany ekipy rządowej po wybór odpowiednich guzików. *Ça va s'arranger. Je vais m'arranger. L'affaire est arrangée. On s'arrangera* i podobne to we Francji najważniejsze wyrażenia, oznaczające, że obietnice zostaną dotrzymane, sprawy załatwione, a umowy wypełnione co do joty. Podobnego talentu do załatwiania spraw nie ma żadna inna nacja na ziemi, oprócz może Japończyków. Sprawę załatwić można w najtrudniejszych okolicznościach - jest to tylko kwestia odpowiednich układów.

Lilianne postanowiła załatwić sprawę Billy Winthrop w sposób właściwy. Oceniła na oko, że dziewczyna zrzuciła już około dziesięciu kilo albo i więcej, choć przy tak ogromnej tuszy nie można było silić się na dokładną ocenę. Jeżeli aż tyle udało się osiągnąć w ciągu pięciu tygodni, za dwa, trzy miesiące - przy tym tempie - będzie można pokazać lokatorkę świata, a jeżeli panna Winthrop spodoba się światu, kto wie, jakie jeszcze sprawy uda się załatwić. Na razie jednak pozostawała do rozwiązania kwestia ubrań. Billy w żadnym razie nie mogła nadal chodzić w swojej brązowej bawełnianej spódnicy, trzymającej się - Lilianne zauważyła to dopiero teraz - na wielkiej agrafce, niezdarnie zapiętej w talii. A bluzka? Czysta rozpacz! Typowa bostońska moda, co tu kryć.

* * *

- Moim zdaniem to bardzo szykowne połączenie. Jak myślisz? - zapytała Lilianne. Weszły wraz z Billy do sklepu przy avenue Yictor Hugo, w którym eleganterki z Szesnastej Dzielnicy kupują większość swoich niezbyt kosztownych, gotowych kreacji. Billy nie wiedziała, co odrzec. Nie miała zielonego pojęcia, co jest szykowne, a co nie. Słowo „szykowne” w odniesieniu do ubrania słyszała po raz pierwszy w życiu. Przywykła mówić, że ubrania są „praktyczne” albo „stosowne”, ale jak tu ocenić, czy coś jest „szykowne”?

- Owszem, *Madame*, bardzo szykowne - odrzekła, poznając po minie Lilianne, że ta podjęła już decyzję. Odkąd sięgała pamięcią, unikała zawsze spojrzenia w wysokie lustro w przebieralniach. Stała się prawdziwym ekspertem w zezowaniu przy takich okazjach na boki i bez oporu zgadzała się na wszystko, co proponowała jej sprzedawczyni i któraś z licznych ciotek. Nie miała swojego zdania co do ubrań, bo niby dlaczego miało jej na tym zależeć?

Ton odpowiedzi, pełnej fałszywego entuzjazmu, uzmysłowił Lilianne po raz pierwszy, jak młodziutka jest Billy. W rzeczywistości lokatorka była jeszcze dzieckiem, raptem o rok starszym od Solange, która chodziła ciągle do szkoły. Instynkt żeńskiego Pigmaliona, po tylekroć rozczarowanego wyczynami pewnych siebie lokatorek z Ameryki, z pogardą odrzucających wszelkie rady czy sugestie, nie zamarł jednak do cna w Lilianne, która poczuła przypływ dawnej opiekuńczości.

- Sama popatrz, Billy, jak świetnie układa się ta spódnica z szarej flaneli. Jest naprawdę świetnie skrojona. Wyglądasz w niej na o wiele szczuplejszą niż jesteś. Odwróć się i spójrz w lustro, a sama zrozumiesz. Rozkład zakładek, o tutaj - maskuje u ciebie całe kilogramy! A te

ciemnoczerwone swetry? Naprawdę świetnie ci w takich kolorach. Popatrz, jak nadają barwy twojej cerze...

Billy odwróciła się z ociąganiem. Takiego upokorzenia obawiała się zawsze najbardziej: konfrontacji z lustrzanym odbiciem, którego nauczyła się unikać za wszelką cenę. Już dwa skrzyżowania wcześniej umiała rozpoznać niebezpieczną witrynę sklepową. Tym razem jednak Billy zrozumiała, że Madame nie da jej spokoju, dopóki jako jej podopieczna nie wykaże właściwego zainteresowania spódnicą i swetrami. W odróżnieniu od ciotek hrabina nie dawała się zbyć byle czym. Co więcej, Billy nie słyszała dotąd, by Lilianne mówiła o czymś z równym przejęciem, jak gdyby znajdowały się nie w sklepie, lecz na posiedzeniu rządu.

Łypnęła więc pospiesznie w potrójne lustro i odwróciła się od tafl, po czym zadziwiona odważyła się spojrzeć ponownie. Potem zerknęła w jedno z bocznych *Zwierciadel*, w drugie, aż wreszcie ustawiła skrzydła tak, że mogła przyjrzeć się sobie od tyłu. Łzy napłynęły jej do oczu, przesłaniając cudowną wizję. Wyglądała normalnie. Naprawdę normalnie. Słowa te mogła wymówić po raz pierwszy w życiu. Wyciągnęła ramiona ku swojej kruchej hrabinie i pierwszy raz objęła ją, przerywając oficjalność, jaka panowała dotąd między nimi, po czym śmiejąc się i płacząc zarazem wykrztusiła:

- *Vive la France!*

Choć Lilianne de Vertdulac nie miała pojęcia, dlaczego tak się dzieje, sama rozplakała się również.

Narodziny obsesji mogą być rzeczą piękną, zwłaszcza wtedy, gdy w grę wchodzi pierwsza miłość połączona z nadzieją. Billy nie kochała

samej siebie od wielu lat, a wraz z miłością własną od wielu, wielu lat gasła w niej nadzieja. Wyjazd do Paryża był dla niej ostatnią, rozpaczliwą szansą. Właśnie dlatego oglądając się w sklepowym lustrze przy avenue Victor Hugo Billy poczuła pierwszy promyk afektu dla siebie samej.

Co więcej, w Billy natychmiast odezwały się te cechy ojcowskiego charakteru, o których prawie już zapomniała: całkowite oddanie sprawie, surowa samodyscyplina, zdolność dążenia do celu za wszelką cenę, postanowienie, by niezależnie od wszystkiego osiągnąć doskonałość. Wszystkie te obsesje i wewnętrzne przymusy niezbędne są zarówno po to, by stać się wielkim odkrywcą w medycynie, jak i po to, by z dziewczyny grubej przedzierzgnąć się w chudą.

Billy nie brakowało nigdy inteligencji, lecz zwykle unikała zastanawiania się nad sobą. Zamiast myśleć o sobie samej i o przyczynach, dla których świat jej nie kocha, jadła, jadła i jadła. Dopiero teraz zaczęła stawiać pierwsze wstydlive, a potem coraz śmielsze kroki w sztuce kochania własnej osoby. Wkrótce pokochała siebie samą tak mocno, że z radością przyjmowała uczucie głodu - jak odkryła, uczucie, które stało się dla niej czymś niezbędnym. W ciągu niewielu tygodni zaczęła się panicznie bać tego, że może wstać od stołu z mile pełnym żołądkiem. Strach ten miał jej już towarzyszyć do końca życia.

Po powrocie z pierwszej wyprawy po zakupy Lilianne z poczuciem triumfu pokazała Billy swoim córkom. Czuli się tak, jak gdyby przyniosła im niespodziewanie gigantyczny i wspaniały gwiazdkowy prezent. Danielle zaczęła radośnie płaść wokół Billy i gratulować sobie przenikliwości. Nawet chłodna i ostrożna w sądach Solange musiała przyznać, że ich lokatorka przy wadze osiemdziesięciu pięciu kilogramów

nie jest już tak okropna jak przy stu. Lilianne wydobyla skądś wagę łazienkową i umieściła ją w łazience, gdzie co tydzień wszystkie cztery kobiety porównywały swoje wyniki. Billy wstydliwie owijała się szlafrokiem, który - jak zgodnie ustalono - ważył równo kilogram. Przy normalnej diecie Billy regularnie traciła dwa i pół kilo na tydzień. W nagrodę co niedziela otrzymywała dodatkową porcję chudego, pieczonego kurczaka bez skóry. Kiedy zbliżyła się wagą do sześćdziesięciu kilogramów, przestała tak raptownie chudnąć, osiągając wreszcie pięćdziesiąt siedem kilogramów przy 177 centymetrach wzrostu.

Pozbywając się sadła Billy odkryła, że ma kości - drobne, jak w całej rodzinie jej matki, lecz długie, jak w rodzinie ojca.

- Długie, smukłe kości. Długie, smukłe kości - mruczała do siebie całymi godzinami, jak gdyby wypowiadała tybetańską modlitwę. Odkryła wkrótce, że prawie w ogóle nie ma mięśni, oprócz mięśni nóg, które zawdzięczała przymusowym meczom hokeja na trawie i jeździe na rowerze po stromych wzgórzach Emery. Zaczęła więc chodzić na codzienne lekcje tańca nowoczesnego przy ulicy de Lilie, ładnych kilka kilometrów od domu; nie opuściła żadnych zajęć.

Pochłaniało ją teraz wiele podobnych rytuałów; wszystkie w jakiś sposób wiązały się z ciałem. Na lekcje tańca chadzała piechotą, przynajmniej w jedną stronę, a jeżeli opuściła spacer poprzedniego dnia, szła piechotą w obie strony. Zabroniła sobie samej brać przy śniadaniu trzecią tartinkę, piła kawę bez cukru, co wieczór dwieście razy przeczesywała włosy szczotką i niezależnie od tego, jak była zmęczona, co wieczór prała nową bieliznę, którą sobie kupiła. Każdorazowy jadłospis Billy zapisywała w tajnym dzienniczku, obliczając, ile dekagramów

skonsumowała w danym dniu. Odchudzanie stało się dla niej rodzajem nowej religii i gdyby wymagało chodzenia we włosiennicy, Billy oblekłaby się w nią z radością.

Nową szarą spódnicę trzeba było wciąż zwięzać. Zajmowała się tym oczywiście krawcowa Lilianne. Wkrótce na Billy zaczęły też wisieć jej nowe czerwone swetry. Billy postanowiła jednak nie kupować nowych, dopóki do reszty nie upora się z nadwagą. Wszystkie stare ubrania, z wyjątkiem zimowego futra z brązowych nutrii - prezentu od ciotki Kornelii na osiemnaste urodziny - po prostu wyrzuciła. Billy chudła jeszcze, gdy wybrała się z hrabiną do Hermes, by kupić szeroki pasek do zebrania futra i wąski do ściągania swetrów. Kupiła sobie też pierwszą w życiu apaszkę z etykietą Hermes. Lilianne wpoila jej przekonanie, że w dobrze skrojonej spódnicy, w porządnym butach i ładnym sweterku, któremu towarzyszy nieodzowna apaszka z Hermes, każda Francuzka może się czuć równie wytworna jak królowa Anglii, królowa Belgii bądź też *La comtesse de Paris*, żona pretendenta do tronu Francji - a to dlatego, że dokładnie w ten sposób ubierają się owe damy w życiu prywatnym.

* * *

Billy miała tylko jedną tajemnicę. Zaczynała powoli rozumieć wszystko, co słyszała przy stole. Do innych domowników odzywała się nieczęsto, gdyż różnica między rozumieniem a wypuszczeniem się na głębokie wody konwersacji jest po prostu ogromna, lecz w skrytości ducha upewniała się każdego dnia, że naprawdę czyni postępy. Wrażenie to napępniało ją przejmującym uczuciem przerażenia przemieszanego z nadzieją, próbowała je więc od siebie odepchnąć. Zasady gramatyczne i listy słówek, których się kiedyś uczyła na pamięć i które zapisywała w

zeszytach, odżyły w pamięci. Nawet końcówki rzeczowników stały się żelaznym prawem. Obcy język objawił się nagle jako prosty i zrozumiały. Billy czuła się ze swoją francuszczyzną jak skąpiec ze skarbem ukrytym w bezpiecznym miejscu i obiecującym wstęp do królestwa. Nie była jednak na tyle gotowa, by publicznie spróbować swych umiejętności.

Danielle pierwsza zauważyła, co się dzieje.

- Maman?

- Co takiego, *chérie*?

- Moim zdaniem Billy ma słuch do języka.

- Doprawdy?

- Tak, jestem tego pewna. Wczoraj siedziałyśmy razem same przez parę minut, więc pochwaliłam ją za zrzucenie nadwagi. Odpowiedziała mi i rozmawiałyśmy chwilę. Naprawdę ma słuch. Gramatykę i słownictwo ma jeszcze takie sobie, a o takich rzeczach jak tryb przypuszczający w ogóle nie ma pojęcia, ale słuchu trudno jej odmówić.

Lilianne poczuła następny przyływ triumfu. Słuch był najważniejszy. Są ludzie, którzy mieszkają we Francji przez dwadzieścia lat i posługują się nienaganną, podręcznikową francuszczyzną, lecz żaden z Francuzów nie weźmie nigdy ich języka za miejscową mowę. Francuzi, odwrotnie niż Amerykanie, nie uważają mówienia w ich ukochanym języku z obcym akcentem za rzecz czarującą. Uchodzi to płazem tylko Anglikom szlacheckiego rodu, którym można to wybaczyć, trudno jednakowoż przełknąć. Jeżeli Billy rzeczywiście miała słuch, a Danielle można było zaufać w tak ważnej kwestii, zawdzięczała to tylko uporowi Lilianne, która zabroniła mówić do swojej lokatorki po angielsku. Jej własne córki, które co lato jeździły na wakacje do domów angielskich

przyjaciół, mówiły po angielsku z nienagannym akcentem z wyższych sfer, gdyż wiadomo powszechnie, że pełna znajomość drugiego języka to podstawa wszelkiej edukacji. Billy nigdy się jednak nie domyśliła, że może z siostrami porozumieć się z łatwością we własnym języku. Gdyby do tego doszło, wszystko by się popsuło. W samej rzeczy, wszystko jakby się sprzysięgło, by jej dopomóc w przemianie.

Pod koniec grudnia hrabina otrzymała w prezencie cztery piękne, tłuste króliki. Ofiarodawcą był jej bratanek, hrabia Edouard de la Côte de Grace, który upolował je na polach opodal swojego domku myśliwskiego w Ile - de - France, około sześćdziesięciu kilometrów za Paryżem. Louise, która w dostatnich dniach przedwojennych słynęła z tradycyjnych dań regionalnych, pewnego ranka udała się na szczególnie ważną wyprawę zaopatrzeniową, by powrócić z niej z kompletem składników zarówno na klasyczny *ragout de lapin*, jak i swoją specjalność, to jest lukrowaną szarlotkę. Hrabina zaprosiła swoje czcigodne wujostwo, markiza i markizę du Tour la Foret, którym towarzyszyć miała inna zasłużona i miła para w średnim wieku, baronostwo Mallarme du Novembre. Tę ostatnią parę Billy miała już okazję poznać na jednym z nieczęstych wieczornych przyjęć u hrabiny, możliwych dzięki dziczyźnie ofiarowanej przez tego bądź owego z myśliwych, przyjaciół hrabiny.

Lilianne de Vertdulac kierowała się tyle gościnnością w stosunku do grona starych przyjaciół domu, ile pragnieniem, by pochwalić się swoim osiągnięciem. W jej ocenie przemiana Billy mogła najlepiej świadczyć o jej talentach kobiety światowej. Wprawdzie dziewczę nie nabrało jeszcze pełnego szyku - ba, gdyby o wszystkim decydowała jedna apaszka z Hermes, cały świat chodziłby elegancki. Hrabina uznała jednak, że Billy

udała się znacznie trudniejsza sztuka: posiadała bowiem rzecz tak istotną jak klasa. Miała absolutnie nieskazitelną cerę, równusieńkie zęby - znów dzięki ciotce Kornelii, która co rusz wysyłała małą Misie do ortodonta, długie ciemne włosy zebrane w zwykły koński ogon okazały się bujne i zadbane, a spódnica i sweter były z materiału, który mógł już ujść w tłoku. Billy zachowywała się skromnie, miała świetną prezencję - zwłaszcza dzięki lekcjom tańca - i wyglądała dokładnie na osobę, którą była - *une jeune filie americaine de tres bonne familie*. Hrabina dobrze znała kółko swych przyjaciół, którzy oceniali ludzi podług najsurowszych i najstarszych patrycjuszowskich miar. Nawet najsprytniejsi nie mogli ich zwieść imitacją. Hrabina nigdy nie zaprosiłaby ich na obiad w towarzystwie dziewczyny z Teksasu czy dziewczyny z Nowego Jorku, lecz młoda dama z Bostonu to już całkiem inna sprawa. Można było mieć nadzieję, że znajdzie uznanie. Jeśli zachowa milczenie, towarzystwo uzna to za oznakę wrodzonej rezerwy. Co zaś najważniejsze, Billy nie była już gruba. Otyłość jest wśród ludzi z towarzystwa rzeczą wprost niesłychaną, chyba że u osób starszych lub członków rodziny królewskiej.

W ostatnim czasie Billy rozbłysła prawdziwą urodą, przynajmniej w oczach hrabiny. Lilianne powtarzała sobie jednak w myślach, że dużo za wcześnie, by się zastanawiać, co jeszcze może wyniknąć z tej sytuacji. Może to tylko złudzenia? Lilianne uznała więc, że na razie wystarczy jej do szczęścia to, iż Billy nie tyje.

Markiz du Tour la Forêt, który z uznaniem przyjmował odwagę swojej bratanicy wobec jej skromnych środków finansowych, przysłał dar w postaci trzech butelek szampana do obiadu. Podczas uczyty, po otwarciu kolejnej butelki z całą galanterią namawiał Billy, by ta wypła pełny

kieliszek, zupełnie nie zwracając uwagi na jej protesty, że nie jest przyzwyczajona do picia. Stół rozsunięto, by oprócz domowników zmieściła się czwórka gości. Kiedy Danielle i Solange podawały szarlotkę, baron Mallarme du Novembre usiłował wciągnąć wstydliwą lokatorkę hrabiny do rozmowy. Zapytał więc, czy prawdziwe jest stare bostońskie powiedzonko, w myśl którego Lowellowie rozmawiają tylko i wyłącznie z Cabotami, a Cabotowie tylko i wyłącznie z Bogiem.

Nie było to pytanie, które można z całą niewinnością zadać jednemu z Winthropów. Nawet w żartach. Zanim Billy miała czas uśmiechnąć się i odpowiedzieć, że owszem, właśnie tak, zgodnie ze swoim zwyczajem unikania normalnych odpowiedzi na pytania, już wdała się w długi i skomplikowany wywód na temat zalet i wad poszczególnych rodów, a to Gardnerów, Perkinsów, Saltonstallów, Hallowellsów, Hunnenwellsów, Minotów, Weldów i Winthropów, oraz pozycji ich wszystkich w odniesieniu do Lowellów i Cabotów. Opowiadając to Billy nadmieniła jeszcze o genealogii Wolcottów, Birdów, Lymanów i Codmanów, lecz w tym już punkcie jej pełna werwy i podsycana szampanem perora przerwała się. Billy zauważyła bowiem kompletne zaskoczenie na twarzy Madame i zorientowała się po tej minie, że mówi - za dużo? Za głośno? Nie! Po francusku!

Barykada padła, by już nigdy więcej nie blokować szlaku Billy. W nauce języka wystarczy tylko jedno przełomowe doświadczenie tego typu. W głowie Billy otworzyły się naraz wszystkie drzwi, zniknęły wszystkie dotychczasowe opory, przepadła gdzieś dawna lękliwość.

Billy odkryła, że kiedy mówi po francusku, staje się zupełnie inną osobą. Jeśli chodzi o język francuski nie była przecież nigdy

pośmiewiskiem całej szkoły, nie była nigdy ubogą krewną ani najmniej ważną ze wszystkich kuzynek. Nigdy też nie była gruba ani samotna. Ani też niekochana. Billy odkryła, że lekcje, które błyskawicznie wykuwała na pamięć i równie błyskawicznie zapominała, napływają z powrotem z zakamarków umysłu i jest to tak oczywiste i logiczne, że przerażała ją myśl, jak można było niespełna rok wcześniej nie rozumieć, co znaczą poszczególne zwroty. Billy rozgadała się i nie dawała sobie przerwać. Rozmawiała teraz z konduktorami w autobusach, z Louise, z Danielle i Solange, z dziećmi w parku i ze wszystkimi dziewczętami z lekcji tańca, a także ze sprzedawcami biletów w metro i oczywiście z Lilianne.

Dzień w dzień Billy urzędowała swojej francuszczyźnie taką samą gimnastykę, jak na lekcjach tańca i chciwie przyswajała sobie najdrobniejsze szczegóły życia we Francji. Jeśli się było na przykład przedstawioną księżniczkę, nie było niczym zdrożnym zwracać się do niej po prostu: „*Madame*”, lecz do konsjerżki trzeba się było odzywać pełnym tytułem, w tym wypadku: „*Madame Blanc*” i to przy każdym spotkaniu. Nie można było we Francji normalnie egzystować, jeśli się nie umiało rozpalić ognia w kominku, gdyż prawo zobowiązywało właściciela kamienicy do opalania jej tylko w przypadku, gdy zamarzyły rury wodociągowe. Niezameżnej dziewczyny nie wypada całować w rękę, głosiła druga zasada; jeśli ma to jednak miejsce, dziewczynie nie wypada zaznaczać, że nie jest to rzeczą właściwą. Podczas przyjęcia z zimnym bufetem gospodyni i panie z jej rodziny nakładają dżentelmenom na talerze, zanim same mogą się poczęstować czymkolwiek - przynajmniej u *Madame*. Co najdziwniejsze, *Madame* uważała się za wierzącą katoliczkę, choć na mszę chodziła tylko w Wielkanoc. I tak dalej: wysyłanie

gotowego bukietu to gafa, gdyż daje się w ten sposób do zrozumienia, że zdaniem ofiarodawcy obdarowany sam nie potrafi właściwie ułożyć ciętych kwiatów. Nie jest to jednak gafa tak straszna, jak wystukanie prywatnego listu na maszynie.

Billy kupiła sobie nowe ubranie - jak zauważyła hrabina, z typową bostońską ostrożnością. Na garderobę składało się kilka sweterków i spódnic, kilka jedwabnych bluzek, dopasowany wełniany płaszcz i jedna prosta czarna sukienka, do której Billy nosiła sznur niesłychanie pięknych pereł, подарowany jej przez ciotkę Kornelię z okazji ukończenia Emery. Każdy zakup pochodził ze sklepu przy avenue Victor Hugo, za każdym też razem Billy radziła się Lilianne. Ta zaś raz na zawsze wprowadziła podopieczną do niewielkiego grona tych kobiet, które zdają sobie dokładnie sprawę z przepaści dzielącej to, co pasuje, od tego, co nie pasuje. Billy z wolna zgłębiała tajniki i znaczenie poszczególnych krojów i tkanin. Hrabina zaprowadziła ją parokrotnie na pokazy nowych kolekcji u Diora, gdzie dyrektorka agencji, wiotka Suzanne Luling o ochryłym głosie, przyjaciółka Lilianne, znalazła dla nich znakomite fotele w drugim rzędzie zaledwie pięć tygodni po pierwszym pokazie tegorocznej mody, czyli natychmiast po odjeździe poważnych kontrahentów, kiedy zwolniło się trochę miejsc dla zwykłych śmiertelników. Billy i Lilianne chadzały też na pokazy innych kolekcji, u Saint Laurenta i Lanvina, u Niny Ricci, Balmaina, Givenchy i Chanel. Miejsca były już gorsze, czasami wręcz okropne, jako że zubożałych hrabin nie otacza się zbyt dużą czcią w wielkich domach mody. Mimo to szeptany komentarz, jaki Lilianne wlewała w ucho Billy, był celny i dowodził spostrzegawczości godnej najbardziej poważnego kupca.

- Ten fason by ci w ogóle nie pasował, bo jest za fikuśny na to, żeby się nadawał dla osoby przed trzydziestką. A ta sukienka jest zbyt ekstrawagancka. Następnej wiosny będzie już *démodé*. Patrz, tę będzie można nosić przez dobre trzy lata. A ten kostium? Dobry, tylko tweed ma za ciężki i będzie się wypychał. Dalej, płaszcz, jaki niezgrabny ma krój! Nie, w tym kolorze będzie się wyglądało jak trup. A ta sukienka? Doskonała. Gdybyś miała kupić tylko jedną, jedyną rzecz, radziłabym ci właśnie ją.

W cichości ducha hrabina zastanawiała się nieraz, dlaczego Billy nie chce sobie pozwolić przynajmniej na jeden kostiumik firmy Chanel. Nawet osławiony bostoński zwyczaj życia z odsetek od procentów z rocznego dochodu z oszczędności nie zmieniał faktu, że w tym przypadku Billy mogła sobie pozwolić na tak drobny kaprys w Paryżu. Szkoda wielka, że Billy przegapi taką okazję. Wydatki nie były jednak tematem chętnie poruszonym przez taktowną Lilianne w obecności lokatorek, nawet tak miłych jak Billy.

Niesłychanie wyrafinowana kobieta i dziewiętnastoletnia Amerykanka chodziły często ramię w ramię po ulicy du Faubourg St.-Honoré, analizując i oceniając każdy drobiazg w każdej sklepowej witrynie dokładnie tak, jak gdyby jako para rozgrymaszonych kolekcjonerek zwiedzały ogromną galerię sztuki. Billy całą sobą wchłaniała gusty estetyczne Lilianne. Ponieważ jednak hrabinie brakowało środków na wymarzone zakupy, wyrażała się pochlebnie tylko o najlepszych ze wszystkich możliwych ubrań, a i to dopiero po serii dokładnych porównań.

Przyjmując pod swoim dachem lokatorki zza oceanu hrabina de

Vertdulac nigdy, przenigdy nie przedstawiała ich młodym kawalerom. Po pierwsze, nie znała aż tylu nadających się do tego młodych Francuzów, a po drugie, chciała w życiu uniknąć niepotrzebnych komplikacji. Ostatecznie wkrótce miała wypuścić w świat dwie dorastające córki i niezmiernie bała się tej perspektywy, bo brakowało jej talentów swatki, a dziewczęta wnosili w posagu tylko siebie i swój szacowny rodowód.

Kiedy tak oglądała w myślach młodą kobietę, zajmującą ostatnio tak szczególne miejsce w jej domu, wysoką, szczupłą i pełną godności dziewczynę o niesłychanej urodzie, mówiącą po francusku z akcentem, którego nie powstydziliby się żadna Francuzka, osobę powiązaną z najbogatszymi rodami Bostonu, wreszcie osobę, która przybyła do jej domu polecona przez nie byle kogo, bo przez czcigodną i niezmiernie bogatą Lady Molly Berkeley, naszła ją pewna pokusa.

Lilianne powtarzała sobie, że skoro Boston mógł jej przysłać w darze hipopotamiątko, które po francusku nie umiało nawet zapytać, która jest godzina, dlaczego dziewczyna odmieniona tak bardzo przez Lilianne miałaby powrócić w to tak snadź smutne i nieprzychylne jej otoczenie? W odróżnieniu od innych dziewcząt, które mieszkały pod dachem Madame de Vertdulac, Billy w najmniejszym stopniu nie tęskniła za domem. Jeżeli więc bogaci kupcy z Bostonu nie mają pojęcia, jak odkryć w swoich córkach najlepsze cechy, zasługują na to, by ich porzucono.

Dlaczegożby więc nie zatrzymać Billy we Francji? A może by ją tak przedstawić kilku kuzynom, a także dwóm, trzem spośród ich przyjaciół? Wszyscy ci młodzi ludzie mieli jedną wspólną cechę, a mianowicie to, że wojna zubożyła w mniejszym czy większym stopniu ich rodziny. Młode latorośle starych arystokratycznych rodów musiały zarabiać na własne

utrzymanie jak reszta śmiertelników. Dla starej Francji druga wojna światowa dokonała do reszty dzieła, którego nie była w stanie wypełnić nawet gilotyna.

A zresztą, pocieszała się Lilianne, nieważne czy coś wyjdzie z tych planów. Nie jest jednak rzeczą normalną, że Billy nadal żyje jak uczennica, choć od jej dziewiętnastych urodzin upłynęło już dobrych kilka miesięcy i utrzymuje kontakty tylko z innymi kobietami, adeptkami lekcji tańca i przyjaciółkami rodziny. Sama Lilianne miała naturalnie własne, prywatne życie - była przecież wciąż młoda, *voyons* - lecz była co do tych spraw niesłychanie dyskretna i nie dopuszczała do konfidencji żadnej z lokatorek, choćby nie wiadomo jak się do nich przywiązała.

Kiedy jednak zaproponowała Billy, że dla rozrywki może jej przedstawić kilku młodych kawalerów, zaskoczyła ją gwałtowność sprzeciwu.

- O nie, *Madame!* Błagam, wszystko, tylko nie to. Jestem taka zadowolona z życia, po co jeszcze coś zmieniać? Nie ma nic gorszego od randek w ciemno, czy jak się to mówi po francusku. Wiem, że proponuje mi to pani przez uprzejmość, ale prawdę mówiąc, zupełnie mnie te sprawy nie interesują. Pani rodzina to dla mnie aż nadto. Proszę, nie wracajmy więcej do tej sprawy. Naprawdę, proszę. Żadne inne oświadczenie z jej strony nie mogłoby bardziej utwierdzić Lilianne w jej mglistych dotychczas planach. O nie, nie tędy droga. Czy po to było biedzić się nad wielką przemianą, by nie znalazł się nikt, kto mógłby podziwiać zakończone dzieło? Co by się stało z Kopciuszkiem, gdyby nie pojechał na bal? Lilianne miała świętą rację, że cała ta sytuacja nie jest normalna. Czy mogła z czystym sumieniem pochwalić się Billy przed światem, skoro

podopieczna nie ma ani jednego męskiego adoratora? Lilianne nie przygotowywała przecież Billy do życia w klasztorze. Nic tu dodać. Trzeba będzie przechytryć Dziewicę z Bostonu. Trzeba w jakiś sposób załatwić i tę sprawę - tak nakazuje zwyczajne poczucie obowiązku.

Hrabia Edouard de la Côte de Grace był ulubionym bratankiem Lilianne. W odróżnieniu od wielu niepozornych spadkobierców wielkich nazwisk Edouard miał w sobie coś z prawdziwego granda, aurę innej, zamierzchłej epoki. Wyglądał jak *grand seigneur*, ostatni z wielkiej linii, choć nawet Lilianne śmiać się chciało z jego niektórych pów. Edouard był niezmiernie wysoki, nos miał niesłychanie orli, wargi cienkie i arogancko zaciśnięte, minę zaś na przemian poważną lub, jeśli taka była jego wola, ubawioną. Choć ukończył dwadzieścia sześć lat, nadal mieszkał w domu swoich rodziców, gdyż pensja, jaką otrzymywał z L'Air Liquide, nie wystarczała mu na utrzymywanie własnej rezydencji w stylu, do którego przywykł. Jednakże jego przyszła kariera w gigantycznej korporacji nie ulegała wątpliwości, a to za sprawą rodzinnych wpływów i koneksji. Ze strony rodziny matki młody grand mógł liczyć na, jak to się gwarowo powiada, *du piston*.

Pewnego popołudnia Billy powróciła z lekcji tańca prawie spóźniona na podwieczorek. Umyśliła sobie stać na zewnętrznym pomoście autobusu 53 podczas całej półgodzinnej jazdy pomimo dotkliwego lutowego chłodu. Wieczór był bowiem tak czysty i nieskazitelny, że Billy nie chciała uronić ani minuty z paryskich widoków. Teraz płonęły jej policzki i piekły wargi pokąsane mrozem. Włosy wzburzyły się jej wokół zarumienionej od wiatru twarzy. Billy weszła prędkim, zamaszystym krokiem do przedpokojku mieszkania przy bulwarze Lannes, wyprostowana jak struna,

ucieszona perspektywą filiżanki gorącej herbaty. Przy płonącym kominku stał zaś na szeroko rozstawionych nogach Edouard de la Côte de Grace w porannym stroju, to jest we fraczku i prążkowanych spodniach. Arystokrata grzał sobie przy ogniu zziębnięte plecy z miną tak zadowoloną i pewną siebie, jak gdyby sam był Królem Słońce.

- Pozwól, Billy. Oto mój bratanek, hrabia Edouard de la Côte de Grace - odezwała się od niechcienia Lilianne. - Edouardzie, oto Mademoiselle Billy Winthrop, która dzieli z nami dom. Ach, Billy, musisz wybaczyć Edouardowi jego powierzchowność - o tej godzinie rzadko występuje w tym stroju, ale dziś ma zostać przyjęty w poczet członków Jockey Clubu i przyszedł do swojej starej ciotki, zanim wypije duszkiem całą butelkę szampana i w ten sposób oficjalnie stanie się członkiem klubu. Wyobrażasz sobie? Czyste wariactwo! Bardzo to roztropnie z twojej strony, Edouardzie, że raczyłeś do mnie wpaść przed tą cudaczną ceremonią, a nie później.

I tak się to wszystko zaczęło. Wprowadzona od początku w błąd i skąpana w blasku, jaki bił z Edouarda, Billy rzuciła się w odmęt romansu bez wahania czy oporu, okazując przy tym impulsywność, która zaniepokoiła Lilianne de Vertdulac i popsowała jej trochę radość z sukcesu spisku.

Wszystkie dotychczasowe zajęcia Billy zaczęły mieć odtąd tylko jeden cel: uczynić ją godną Edouarda. Billy skupiła na jego osobie wszystkie myśli i wszystkie uczucia. Nie mogła wręcz uwierzyć swemu szczęściu, kiedy w niedzielę Edouard zabierał ją na polowania na zające albo zapraszał na obiad do swoich rodziców. Raz zaproponował nawet, by wypili razem coś mocniejszego w świętym zakątku, jakim był bar Jockey

Clubu, najbardziej ekskluzywnego z męskich klubów.

Sam Edouard nie miał nic przeciwko temu związkowi. Mała Amerykaneczka od Lilianne okazała się znacznie przystojniejsza, niż mógł przypuszczać, zważywszy na jej zupełnie niezłe pochodzenie rodowe. Smutne doświadczenia nauczyły Edouarda, że potomkinie sławnych rodów nie grzeszą nadmiarem urody, nie na tyle przynajmniej, by mógł się zmusić do związków z nimi. Gdyby było inaczej, pojąłby jedną z nich za żonę już dobrych kilka lat temu. Billy nadawała się poniekąd do roli hrabiny de la Côte de Grace, oczywiście pod warunkiem, że uda się wszystko prawidłowo ułożyć z jej rodziną. Była w sam raz niewinna i otaczała hrabiego właściwą czcią. W odpowiedniej fryzurze, w odpowiednim stroju, z odpowiednim makijażem mogła z łatwością stać się kobietą światową, kobietą o zadziwiającej urodzie. Po śmierci ojca i wuja Edouarda mogłaby jako markiza de la Côte de Grace przejąć nazwisko i tytuł. Edouard pomyślał o swoim domku myśliwskim, który tak potrzebuje remontu! Prócz tego, jakże tu ścierpieć polowania pieszo, nie na koniach. A jeszcze rodzinny zamek w Owernii, któremu przydałoby się przywrócić dawny blask... Tak, najwyższa pora się ustatkować.

* * *

Ciotka Kornelia wymusiła na Billy obietnicę, że będzie co tydzień pisać do niej list z Paryża. Billy rozmyślnie zachowała oględność w kwestii swojej wagi, gdyż zamierzała po powrocie zaskoczyć i olśnić cały Boston. Na temat Edouarda czyniła wzmianki dość rzadko, lecz kiedy przyszła wiosna, Kornelia zorientowała się w sytuacji, jaka się wywiązała między Billy i młodym hrabią, choć oczywiście nie znała żadnych szczegółów. W maju minęły się więc dwa listy, adresowane za Atlantyk.

Droga kuzynko Molly!

Raz jeszcze chciałabym Ci podziękować za przysługę, to jest znalezienia dla naszej Misi stancji u Madame de Vertdulac, która jest w stosunku do niej po prostu aniołem. Misia spędziła cudowny rok! Wnosząc z tego, co pisze, jej francuszczyzna polepszyła się wprost niesłychanie. Jakże się z tego cieszę! Zaczęła nawet podobno chodzić na lekcje tańca, co może jej tylko wyjść na zdrowie. Ostatnio często czyni wzmianki na temat pewnej osoby, to jest niejakiego hrabiego Edouarda de la Côte de Grace, który służy jej, jak się zdaje, jako przewodnik po paryskim towarzystwie. Czy wiesz może cokolwiek na temat hrabiego, a także jego rodziny? Muszę przyznać, że jestem tą znajomością niesłychanie i mile zaskoczona, jako że w Bostonie moje małenstwo nie cieszyło się popularnością wśród pici przeciwnej. Zawsze liczyłam po cichu na to, że jednak rozkwitnie, choć później niż inne dziewczęta - na przykład Ty sama, droga Molly! Będę więc ci wdzięczna za jakiegokolwiek wiadomości na ten temat.

Twoja kochająca

Nelie

Droga moja Nelie!

Otrzymałam dosłownie w tej chwili niezmiernie zagadkowy list od Lilianne de Vertdulac. Wygląda na to, że twoja młoda bratanica nawiązała poważny romans z hrabią Edouardem de la Côte de Grace, którego rodzinę znam dobrze, choć nie jesteśmy w aż tak serdecznych stosunkach. Lilianne uważa, że tylko krok dzieli młodą parę od zaręczyn! Bardzo to wszystko pięknie, hrabia - jak powiedziałyby moja gosposia - to najlepszy towar w całym sklepie, lecz musisz wiedzieć, moja droga, że majątku ma dokładnie tyle, co twoja bratanica i utrzymuje się z pensji.

Wielkie nadzieje na przyszłość, lecz na razie zupełny brak środków - tak widzę jego sytuację. Nadzwyczajne jest w tym wszystkim to, że Lilianne najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z możliwości finansowych Misi i dlatego pisze mi o „układach dotyczących małżeństwa”. W samej rzeczy wydaje się wręcz wierzyć, że ojca Misi stać na adwokatów!!! Pyta też, czy prawnicy ojca nie powinni się aby spotkać z adwokatami ojca Edouarda i omówić wszystkie sprawy.

Czytając między wierszami nie sposób się nie domyślić, że Lilianne wyobraża sobie Misie jako spadkobierczynię fortuny, i to tylko dlatego, że mała nosi nazwisko Winthrop. Jakież to okropnie francuskie! Winthropów jest przecież mnóstwo. Inna sprawa, że skąd biedna Lilianne mogła o tym wiedzieć? Rodzina Edouarda to ludzie bardzo wyniośli i dumni, do tego stopnia, że prześcigają Anglików. Ponieważ traktują się tak bardzo serio, mogę z całą pewnością wnosić, że Edouard musi poślubić spadkobierczynię wielkiej fortuny. Nie ma mowy o tym, by zdecydował się na małżeństwo z miłości - zbyt wielką zniewagę wyrządziłby w ten sposób całej rodzinie, zwłaszcza że jest jedynakiem. Cóż więc mam odpisać mojej Lilianne? Sama już nie wiem, co począć. Czy nie wiesz nic o funduszu powierniczym, który przejdzie w przyszłości na własność Misi? Wspominałaś, jak pamiętam, o niewielkim spadku - czy to już wszystko? Pewnie tak. Czuję się Amerykanką na tyle, że nie pochwalam zasady wnoszenia posagu, ale kiedy trafisz między Francuzów... i tak dalej. Tak czy inaczej, odpisz mi, proszę, niezwłocznie i powiedz, jak się mają nasze sprawy.

Twoja jak zwykle kochająca

Molly

(ukłony dla George'a)

Kornelia nie czuła równego wzburzenia od czasu, kiedy jej własna córka oznajmiła, że nie pójdzie na noworoczny bal z kotylionami i zapowiedziała, że nie wstąpi do klubu Vincent. Spokojniejsza była nawet wówczas, gdy jej siostrzeniec, przezywany Śledziem, oblał egzamin na Harvardzie. Ba, temu, co właśnie czuła, nie dorównywało nawet jej zdenerwowanie z czasów, kiedy jej własny syn Henry zakochał się w żydowskiej studentce z Radcliffe. I co z tego, że obaj dziadkowie tamtej dziewczyny walczyli w wojnie secesyjnej?! Kornelia odkryła, że zależy jej na Misi bardziej, niż się mogła tego spodziewać.

* * *

Trzy tygodnie przed wiele mówiącą odpowiedzią Lady Molly na list otrzymany od Lilianne Edouard postanowił zaskarbić sobie po wsze czasy uczucia swojej amerykańskiej dziewczicy. Gdyby Billy była rodowitą Francuzką, poczekałby może do dnia ślubu, lecz ponieważ miał do czynienia z Amerykanką, nie katoliczką, uznał, że nie ma sensu odwlekać tego przynajmniej obowiązku w nieskończoność. Tak się złożyło, że pierwsze wtajemniczenie Billy w sztukę kochania okazało się ceremonią tyleż poważną, co bolesną. Rzecz dokonała się w łóżku stojącym w pozbawionej innych sprzętów sypialni chylącego się ku upadkowi domku myśliwskiego. Budynek otaczały puste stajnie i kompletnie zachwaszczony ogród. Billy na zawsze zapamiętała sufit sypialni, udrapowany zakurzoną, czerwono - niebieską tkaniną podobną do jednego z wojskowych namiotów Napoleona, i empirowe, ciężkie i zmatowiałe meble. Bolało ją okropnie, czego zupełnie się nie spodziewała. Najbardziej jednak wryło jej się w pamięć odkrycie, że w stanie wzwodu penis celuje

czubkiem do góry, a nie do przodu, jak to sobie zawsze wyobrażała. Edouard zapewniał ją, że następnym razem będzie miała o wiele przyjemniejsze doświadczenia, lecz - jak twierdził - nawet jak na dziewicę okazała się właścicielką najciaśniejszej posiadłości, jaką był zwiedzał. Z przyczyny, której nigdy do końca nie zrozumiała, Billy czuła się niezmiernie dumna z tej uwagi.

Młoda para przez trzy tygodnie odwiedzała domek myśliwski w każdą sobotę i niedzielę. Kochanie rzeczywiście stało się z czasem łatwiejsze, co nie znaczy, że bardziej przyjemne. Wprawdzie Billy nie wiedziała, z czym by tu mogła porównać swoje erotyczne doznania, gdyż znała się na tym równie mało jak na szyku i elegancji w chwili przyjazdu do Paryża. Edouard zaś był pierwszym mężczyzną, który pocałował ją w usta, ale ponieważ pochłaniał ją fakt, że jest zakochana, myślała cały czas nie o sobie, lecz o swoim kochanku i jego przyjemności. Pod naporem jego pocałunków topniała jak miód, wierzyła też każdemu słowu Edouarda. Cieleśny związek upewniał ją coraz silniej w przekonaniu, że z czasem miłość przerodzi się u niej w namiętność, lecz na razie wyrywała się z oszołomienia tylko od czasu do czasu, powtarzając sobie z mieszaniną dumy i strachu, lekko tylko mitygowanych rozsądkiem: Hrabina Edouardowa de la Côte de Grace! Billy de la Côte de Grace! Ach, dopiero się zdumieją w Bostonie! Po takich marzeniach Billy wychodziła do miasta i wydawała na piękne stroje kolejną część pieniędzy odłożonych na kursy u Katie Gibbs.

Kiedy Lilianne doręczono wreszcie zdroworozsądkowy list Lady Molly, hrabina zamknęła się w sypialni i rozplakała. Płakała tyleż z żalu nad sobą, co nad Billy. Z własnego doświadczenia w podobnych sprawach

wiedziała, że Billy najprawdopodobniej podźwignie się po doznanych zawodzie, ale i tak nie mogła sobie wybaczyć omyłki. Oceniała, że błąd był rzeczą naturalną, gdyż splot okoliczności sprawił, iż padła ofiarą własnego oszustwa. Nie było także nic zdrożnego w fakcie, że chciała ułożyć Billy życie. Ponieważ jednak skutki zatrały o okrucieństwo, Lilianne czuła się osobiście wszystkiemu winna.

Jeszcze tego samego dnia wybrała się więc na rozmowę z Edouardem w salonie jego rodziców. Oświadczyła mu bez ogródek, że po Billy nie można się spodziewać żadnego posagu. Ojciec dziewczyny to powszechnie ceniony doktor nauk medycznych, naukowiec, człowiek wielkiego intelektu, lecz biedny. Owszem, Billy to czystej krwi Winthrop, lecz w jej gałęzi rodu pieniądze dawno się skończyły... Jeśli Lilianne miała jeszcze jakieś nadzieje, że Edouard mimo wszystko zechce ożenić się z Billy, zniknęły one natychmiast.

Edouard de la Côte de Grace nie krył swojego wzburzenia. Cóż to, czy Madame nie wiedziała, jak się sprawy mają? Jakże to możliwe, by dama o jej rozsądku i jej doświadczeniu mogła jemu samemu wpoić przekonanie, że Billy jest spadkobierczynią wielkiej fortuny? Skąd brał się jej uprzedni brak wątpliwości w tym względzie? Gdzie podziała się jej spostrzegawczość, jej roztropność, jej troska o przyszłość rodziny? Jakże mogła droga ciocia doprowadzić do tak tragicznej pomyłki? Owszem, zgoda, Edouard sam gotów był przyznać, że Billy to niewątpliwie rozkoszna młoda dama, choć sama sobie z tego nie zdaje sprawy, nadająca się rzeczywiście, ba, w sposób perfekcyjny na wybrankę, jeśli nie liczyć faktu, że związek z nią nie wchodzi w rachubę, nie jest możliwy i kropka. Niemożliwy, ale co teraz począć? Co powiedzieć Billy? Jako dżentelmen,

on sam, Edouard nigdy jeszcze nie znajdował się w tak trudnej sytuacji. W grę wchodzi honor...

- O nie! Edouardzie, masz pewne obowiązki, więc może przestań tu udawać wielkiego pana. Dostyc mam twoich wymówek! Sam masz jej powiedzieć, jak sprawy stoją naprawdę, bo inaczej biedna dziewczyna pomyśli, że brak zgody na małżeństwo to wina jej własna, a nie okoliczności. Może nawet... Mieszka już we Francji tak długo, że może to zrozumie.

Wiele lat później, kiedy Billy czuła już do Edouarda co najwyżej niechęć i podśmiewała się z własnej ówczesnej naiwności - czy może głupoty? - zrozumiała, że jest mu wdzięczna za brutalność, z jaką zerwał romans (brutalność wymuszoną okolicznościami), losowi zaś wdzięczna za własną biedę. Gdyby posiadała wówczas jakąś znaczniejszą sumę pieniędzy, stałaby się z pewnością jeszcze jedną nudną, młodą hrabiną, uwięzioną na całe życie w sztywnym gorsecie Faubourg St.-Germain i skrepowaną na wieki uległością, jakiej domagałby się od niej mąż. Dostałaby się jej francuska wersja Bostonu, choć oczywiście stroje i jedzenie byłyby nieco lepsze. Zbyt mało czasu upłynęło zaś od udręki szkolnych lat, aby Billy odważyła się w tym stanie rzeczy na jakikolwiek bunt. Chcąc przypodobać się teściom przeszłaby z pewnością na katolicyzm, stając się więźniarką pustej tradycji, która ścisłałaby ją kleszczami umarłej klasy, trzymającej się przy życiu tylko dzięki temu, że karmi się świeżymi ciałami. Billy udusiłaby się w tym otoczeniu, zanim by zdążyła nauczyć się żyć.

Od przyszłych kochanków dowiedziała się zresztą, że Edouard był w łóżku tak samo pompatyczny i pozbawiony wyobraźni jak w codziennym

życiu.

Wiedza ta i dystans niezbędny do prawidłowej oceny tego, co się stało, były jednak kwestią odległej przyszłości. Billy postanowiła wyjechać z Paryża przed upływem czasu, jaki tam miała spędzić. Postanowiła też wracać transatlantykiem, aby dać umysłowi przestrzeń, w której dokonałaby się metamorfoza jednego świata w drugi.

Chodząc wieczorem po pokładzie, Billy rozmyślała nad tym, że w jej przypadku fałszem okazały się słowa: „i żyli razem długo i szczęśliwie”. Dziwna rzecz, nie zaskoczył jej taki obrót wydarzeń. Gdyby była typową młodą dziewczyną, przyzwyczajoną do tego, że zawsze ktoś ją pieści, podziwia i kocha, czyn Edouarda mógłby jej zwichnąć przyszłość. Billy zaznała jednak tylu upokorzeń, które kazały jej na każdym kroku spodziewać się, że znów zostanie odrzucona, iż nieświadomie uodporniła się na taką ewentualność. Już kilka dni po fakcie potrafiła dzięki temu pogodzić się z losem, dopatrując się w zdarzeniu kolejnej lekcji pogładowej na temat perypetii osób bez majątku. Kres romansu okazał się dla niej nauką, a nie prywatną katastrofą. To, że nie pomyliła się w ocenie życia, choć bolesne, stanowiło dla Billy pewne istotne wynagrodzenie.

Prócz tego była teraz szczupła i piękna. Billy powtarzała sobie to bez przerwy, gdyż tylko owe fakty miały naprawdę znaczenie. Tylko taka wiedza była jej potrzebna - resztę będzie musiała zdobyć. Billy nie miała najmniejszego zamiaru umierać z miłości do mężczyzny, na podobieństwo dziewiętnastowiecznych bohaterek z przeczytanych powieści. Nie nadawała się na Emmę Bovary, na Annę Kareninę ani na Camille - jednym słowem, na potulne, zadurzone po uszy, pasywne stworzenie, które z końcem romansu traci wszelki rozum.

Obiecała sobie solennie, że jeśli zakocha się jeszcze kiedyś, sama będzie dyktowała warunki.

Natchniony wielbiciel kobiet, mężczyzna, który twardo obstaje przy związkach heteroseksualnych, ktoś, kto całym swoim jestestwem chce uczcić fakt, że na świecie istnieją kobiety, nie doczeka się zainteresowania ze strony psychologów. O ile na temat pederastii czy kompleksu Don Juana napisano całe tomy, bardzo rzadko napotyka się wzmiankę o osobach, które całym sercem, zachłannie i z uporem napawają się kobietami w całej ich krasie. Wzmianek tych jest równie mało, co osób tego typu.

Jedno spojrzenie na historię życia Spidera Elliotta mogłoby zapewne uświadomić psychologom, że z materiału, który mają przed sobą, wysnuć można pewną roboczą hipotezę na ten temat.

Ojciec Spidera, Harry Elliott, był oficerem marynarki wojennej, a co za tym idzie, na morzu przebywał dwa razy tyle czasu, ile go miał na życie na lądzie. Spider podejrzewał zawsze, że jest to kwestia umyślnego wyboru, jako że ilekroć ojciec rozmawiał z matką, Helen Helstrom Elliott, miłą absolwentką Westridge rodem z Pasadeny, wybuchała między nimi prawdziwa bitwa morska. Starcia te rzadko przynosiły pomyślne rozstrzygnięcie w postaci zawieszenia broni, takiego jak to, dzięki któremu w 1946 roku przyszedł na świat Spider - najstarsza latorośl i jedyny syn. Po Spiderze państwu Elliottom urodziły się kolejno trzy pary bliźniaczek.

Najstarsza para bliźniaczek, czyli Holly i Heather, była o dwa lata młodsza od Spidera. Kolejne dziewczynki, Pansy i Petunia, przyszły na świat równo dwa lata po pierwszej parze. Ostatnia para urodziła się punktualnie z wybiciem kolejnej pory na rodzinnym zegarze i otrzymała imiona June i January. Spider nawet jako nastolatek nie zżymał się

specjalnie na nadmiar sióstr. Za bardzo kochał matkę, by zwalczać jej dzikie kaprysy, a oprócz tego, kiedy zapadały decyzje, był jeszcze za mały, aby móc się wtrącać z jakąś dobrą radą.

W domu Elliottów wszystkie sześć sióstr wodziło za Spiderem wzrokiem niczym wierne małe psiaki. Odkąd tylko sięgały pamięcią, zawsze był z nimi przystojny, jasnowłosy chłopak, na dobrą sprawę ich maskotka. Chłopak uczył je najrozmaitszych czarnoksięskich sztuczek i zawsze znalazł czas, by czytać im na głos komiksy o Człowieku - Pajaku, kiedy jeszcze nie potrafiły same składać liter. Opowiadał im też zawsze, jakie są piękne i w zamian za to wszystko stał się ich ukochanym, podziwianym bohaterem. Siostry z łatwością potrafiły się podzielić jego względami, zwłaszcza że starszy brat miał w sobie tyle miłości, iż mógł ją rozdawać garściami.

Jeśli idzie o zdanie matki, Helen Helstrom Elliott, jedyny syn, Peter, nie wiadomo dlaczego nazywany przez dziewczynki Spiderem - czyli Pajakiem - był słoneczkiem jej życia. W oczach matki Peter był dzieckiem bezkonkurencyjnym, chociaż w dziwaczny sposób drażniło ją, że aż tyle uwagi poświęca młodszym siostrom. Z zadowoleniem spostrzegła natomiast, iż Peter odziedziczył urodę po niej i jej rodzicach. Wzrost miał może po ojcu, ale bardzo jasne włosy i błękitne oczy dziedziczył po szwedzkich Wikingach. Rodzina Helen w obu liniach pochodziła ze Skandynawii - ich jasne włosy, zamiast pociemnieć, siwiały na starość i tyle. Romantycznie usposobionej Helen nie przeszkadzał nawet fakt, że o prawdziwych Wikingach zaginął wszelki śluch już mniej więcej w dziesiątym wieku naszej ery, a do Kalifornii nie dotarli wcale.

Spiderowi przypadła w udziale rzecz w amerykańskiej literaturze po

prostu nie znana, to jest szczęśliwe dzieciństwo. Komandor porucznik Elliott, człowiek niestety niezmiernie wesoły, odznaczył się w życiu głównie tym, że akademię marynarki ukończył rok przed Jimmym Carterem, kiedy więc przebywał akurat na łądzie, towarzysza męskich zabaw znajdował sobie właśnie w Spiderze. Osobiście nauczył syna żeglować i jeździć na nartach, pomagał mu przy odrabianiu lekcji i odkąd Spider ukończył trzy lata, zabierał go na wycieczki górskie z namiotem, na połów pstrągów i inne podobne wypadki dla prawdziwych mężczyzn. Elliott senior bardzo kochał żonę, lecz obawiał się, że jeśli da jej okazję do kłótni, rezultatem będzie kolejna para córek - bliźniaczek.

Elliottowie mieszkali w bardzo wygodnym domu w Pasadenie. Pani domu posiadała majątek, niewiele, ale zawsze, jak sama mawiała. W tym samym mieście - a właściwie dostatnim, zadowolonym z siebie przedmieściu Los Angeles, przypominającym bogate osiedla Westchester pod Nowym Jorkiem - Spider poszedł do szkoły. Dorastał w latach pięćdziesiątych, dekadzie wygody i konformizmu, najlepszej erze dla młodego człowieka z południa Kalifornii, a w 1964 roku poszedł na Uniwersytet Kalifornijski (oddział Los Angeles), czyli UCLA. Kiedy jego rówieśnicy z takich uniwersytetów jak Berkeley czy Columbia demonstrowali i bili się z policją, Spider zwalczał klasy posiadające w ten sposób, że na prywatce zaciągał się przypadkową trawką.

Dwie tylko cechy różniły Spidera - za to poważnie i na całe życie - od idealnego księcia tego świata, zdrowego Amerykanina z górnej warstwy klas średnich. Po pierwsze, uwielbiał, naprawdę uwielbiał kobiety. Wszystko, co tylko się z nimi wiązało, darzył prawdziwą pasją.

Po drugie zaś, obdarzony był niezwykłą wyobraźnią przestrzenną.

Jego wycucie przestrzeni było wrodzone - Spider nie wyuczył się tej sztuki, lecz odkrył ją w sobie. Nieliczni, którzy zwracali uwagę na takie drobiazgi, także mogli poznać talent Spidera, choćby po sposobie, w jaki umieścił w swoim pokoju w domu akademickim korkową tablicę. Wpinał w nią wciąż zmieniającą się kolekcję zdjęć, wyciętych z czasopism i gazet, w taki sam sposób, w jaki na swoich półkach układał przypadkowe znaleziska - i to na długo, zanim świat sztuki odkrył swoje *object trouvee*. Ustawił więc na półce rząd słoików po marmoladzie pomarańczowej Dundee, stare tablice z nazwami ulic i parę dziecięcych łyżew, tworząc całość w niewytłumaczalny sposób przyjemną dla oka. Nawet dzinsy i białą koszulę z krótkimi rękawami umiał nosić inaczej niż rówieśnicy.

Gdy Spider miał już trzynaście lat, dostał od dziadków pierwszy aparat fotograficzny, małego kodaka. Komandor porucznik Elliott usiłował raz i drugi sfotografować swoją rodzinę, lecz bez uciekania się do gróźb nie umiał nigdy zgromadzić w kadrze wszystkich dziewczynek naraz. Nie miało to znaczenia, bo i tak któraś robiła zawsze małą minę, psując zdjęcie. To, co tak opornie szło ojcu, okazało się dziecinnie łatwe dla Spidera, gdyż siostry biły się wręcz o przywilej wzięcia udziału w nowej zabawie. Jedna przez drugą przebierały się w ogrodowe kapelusze matki i buty na wysokim obcasie, zwieszały się z gałęzi albo u stóp obszernego ogrodu pozowały całą grupą wokół rzeźby przedstawiającej grecką nimfę - obraz rozkwitającej kobiecości.

W wieku lat szesnastu Spider kupił w lombardzie używaną leicę. Migawka nie zamykała się do końca, toteż cena nie była wygórowana. Spider osobiście zaniósł aparat do naprawy, gdzie wyczyszczono wnętrze, wymieniono obiektyw i naprawiono migawkę. Aparat okazał się świetny.

Spider zapłacił za naprawę pracując przez całe lato w ciemni zakładu optycznego.

Na oczekaniu wywoływał klientom zdjęcia paszportowe. Fotografia stała się odtąd jego prawdziwym hobby, siostry zaś dostarczały mu nie tyle natchnienia, ile zamówień, gdyż zaczęły nagle potrzebować ogromnej liczby swoich zdjęć - dla koleżanek, a w przypadku Holly i Heather, dla chłopaków. Spider zamienił więc domową łazienkę w ciemnię fotograficzną, kupił używany powiększalnik i kuwety od swojego letniego pracodawcy i metodą prób i błędów doszedł do perfekcji w wywoływaniu odbitek. Czasem, zachęcony zdjęciami z magazynu *Life*, wychodził na dwór i wypstrykiwał całe rolki filmu, fotografując drzewa, góry, hale fabryczne albo trasę do centrum Los Angeles, umyślił sobie bowiem oddać atmosferę miasta. Za każdym razem odkrywał jednak, że najbardziej podobają mu się sesje zdjęciowe z siostrami, które przed obiektywem stawały się wciąż piękniejsze, doroślejsze i bardziej spięte. Nauczył je więc rozluźniać się i współpracować z fotografem. Gdy ukończył szkołę średnią, otrzymał nowego nikona, w nagrodę od tych samych dziadków, którzy mu sprezentowali pierwszego kodaka. Po wstąpieniu na uniwersytet miał wręcz nadmiar okazji do fotografowania kobiet.

Na studiach Spider wstąpił do uczelnianego klubu fotografii, lecz tak naprawdę interesowało go pstrykanie zdjęć dziewcząt, zajętych wszystkimi wspaniałymi zabawami, z których słyną właśnie kalifornijskie dziewczęta. Za główny przedmiot studiów Spider obrał nauki polityczne, lecz wkrótce uświadomił sobie, że źle wybrał przedmiot zainteresowań. Dawne hobby przerodziło się stopniowo w zajęcie, które chciał w przyszłości uprawiać zawodowo. Właśnie wtedy podjął mocne

postanowienie, że zostanie fotografem mody. Wiedział, że w tym celu musi się przeprowadzić do Nowego Jorku, który dla fotografów jest ośrodkiem tej samej rangi co Amsterdam dla handlarzy diamentami.

Dla młodego człowieka, który uwielbia kobiety, był to zamiar sensowny, w dodatku jeśli miało się doskonałą wyobraźnię przestrzenną i nowego nikon. Młodociany absolwent uniwersytetu może jednak marzyć o natychmiastowej karierze w tej branży z równym skutkiem, co o otrzymaniu posady stażysty w dziale miejskim *Washington Post*.

Nie zrażony marnymi perspektywami Spider Elliott przybył jesienią 1969 roku do Nowego Jorku, zbrojny w oszczędności, jakie przez dwadzieścia trzy lata zgromadził w postaci czeków otrzymywanych na urodziny i gwiazdkę oraz pieniędzy za pracę podczas wakacji. Było tego razem około 2700 dolarów. Najpierw Spider zaczął się rozglądać za tanim mieszkaniem. Wkrótce znalazł odpowiednie locum, dawną halę w wielopiętrowym fabrycznym budynku niedaleko 34 Ulicy, opodal kwartału hurtowni futrzarskich przy Ósmej Alei. Pokój był olbrzymi, kiszkowaty i jak gdyby zapadnięty w środku, ale za to okna wychodziły na rzekę Hudson, a zaopatrzony w siedem świetlików sufit był na wysokości sześciu metrów. Mieszkanie było wyposażone w mizerną łazieneczkę, mogącą od biedy służyć jako ciemnia, stół kuchenny i zlew. Poprzedni lokator zamontował antyczną kuchenkę i jeszcze od niej starszą lodówkę. Spider kupił tylko najniezbędniejsze meble, zamiast łóżka nabył drewniane podium z gąbkowym materacem i zainwestował ostrożnie w poduszki, pościel, dwa garnki i patelnię. Wytarte podłogi sam pomalował na złocistopiaskowy kolor, ściany pociągnął czterema prawie identycznymi odcieniami błękitu, a dla sufitu wybrał kolor kremowy.

Wniósł też na górę trzy trzymetrowe palmy, kupione na wyprzedaży u Kinda, podświetlił je od spodu reflektorkami i już wkrótce mógł z „tratwy” swojego legowiska obserwować przez siedem świateł chmury nad miastem, podczas gdy palmy rzucały na ściany tropikalny cień, a Nat King Cole albo Ella Fitzgerald ze starego gramofonu dostarczali tła muzycznego. Spider czuł się wolny i szczęśliwy jak prawdziwy kalifornijski beach boy.

Budynek, w którym Spider wynajmował tę pracownię, był ponurym, zatechłym gmaszyskiem, w którym mieszkało się na dobrą sprawę półlegalnie. Na górę wjeżdżało się starożytną windą zamykaną składanymi kratownicami. Na dolnych piętrach mieściły się zakurzone lokale rozmaitych firm wysyłkowych, bankrutujących producentów guzików, hurtowników wyrobów bławatnych i dwóch firm zajmujących się księgowością, zdecydowanie dickensowskich w charakterze. Na najwyższym piętrze, gdzie mieszkał Spider, gnieździło się oprócz niego jeszcze kilku lokatorów, którzy wstawali o najosobliwszych porach i nader rzadko mijali go na korytarzu.

Po dwu i półmiesięcznym poszukiwaniu pracy wytrwałość, talent, cierpliwość i szczęście przyniosły wreszcie owoce, co zdarza się czasami, choć nader rzadko. Spider zatrudnił się jako laborant w atelier fotograficznym Mela Sakowitza. Sakowitz, trzecio - czy może raczej czwartorzędny artysta fotografik, pstrykał „na murzyna” mnóstwo zdjęć do katalogów, czasem też fotografował towary na stronie reklamowe podrzędnych czasopism.

Któregoś sobotniego poranka późną jesienią 1972 roku Spider, niczym Robinson Crusoe odkrywający ślad stopy na piasku, spotkał się

oko w oko z nową sąsiadką. Wracał właśnie z włoskiego sklepu spożywczego przy Dziewiątej Alei. Z papierową torbą w ramionach mknął po źle zaprojektowanych schodach, zastanawiając się, czy życie bez tenisa doprowadzi go do upadku. Na drugim piętrze, gdy całym pędem wymijał zakręt schodów, zatrzymał się jak wryty. Jedyne znakomity refleks uchronił go od powalenia na ziemię kobiety, która klnąc po francusku wspinała się do góry obładowana naręczem bielizny z pralni, dwiema torbami z zakupami, bukietem żółtych chryzantem i dwiema butelkami wina, po jednej pod każdą pachą.

- O rany! Przepraszam. Nie wiedziałem, że ktoś oprócz mnie w ogóle korzysta z tych schodów. Chwileczkę, pomogę...

Kobieta stała odwrócona do Spidera plecami. Nie mogła się odwrócić, gdyż walczyła z wymykającymi się spod pach butelkami wina.

- Idioto! Trzymaj tę butelkę, bo mi upadnie!

- Ale którą?

- Obie!

- Dobrze, już mam.

- W samą porę. „Ale którą?” Nie widziałeś, że obie mi lecą? „Ale którą?” Dobrze sobie!

- To niezbyt mądrze nieść je pod pachą - odezwał się łagodnym tonem Spider. - Może lepiej byłoby w torbie?

- Nie mam aż tylu rąk. A i bez tego odpadają mi palce. Ten kretyński właściciel domu! Co sobotę ciemno w korytarzu, winda nieczynna... Ohydztwo, zgroza!

Dopiero teraz kobieta odwróciła się do Spidera, który spostrzegł w mizernym świetle klatki schodowej, że jest młoda i wbrew swojej

pyskatości niebrzydka.

- Może pomogę zanieść na górę cały ten bagaż! - dwornie zaofiarował swoje usługi Spider. Kobieta skinieniem głowy wyraziła zgodę, wręczyła mu wszystko, co niosła, oprócz kwiatów i wina, po czym bez słowa, nawet się nie oglądając, pomknęła trzy piętra do góry. Zatrzymała się dopiero przy swoich drzwiach, które od wejścia do mieszkania Spidera dzieliło może siedem metrów, i wyjęła z torebki klucze.

- Nareszcie spotkałem sąsiadkę w jej cielesnej postaci - odezwał się Spider z przyjacielskim uśmiechem.

- Niby tak. - Sąsiadka nie odwróciła się, nie odwzajemniła uśmiechu, ani też nie otworzyła drzwi.

- Wniosę to może do środka, co? - Spider wskazał ruchem podbródka swoje naręcze toreb.

- Nie, zostaw na podłodze. Zajmę się tym później. - Po czym kobieta przekręciła klucz, nacisnęła klamkę, przestąpiła próg, odwróciła się i zatrzęsnęła Spiderowi drzwi przed nosem. Inaczej niż w mrocznym korytarzu, do jej pokoju wlewało się światło dnia. Przez mgnienie krótkie jak uderzenie pioruna Spider mógł więc podziwiać loki podobne do rudej, zwariowanej koronki, ślicznie zadarty nosek i zielone oczy.

Spider stał przez chwilę jak wryty, oszołomiony opryskliwością nowej znajomej. Wpatrywał się w zatrzęsnięte drzwi, utrwalając w pamięci jej rysy. Wreszcie odwrócił się na pięcie i zbiegł po schodach, owładnięty nowym, dziwnym uczuciem, którego nie potrafił nawet nazwać. Przypominało ono dezorientację, chwilę absolutnej, pustynnej ciszy, jaka następuje w gwarnej restauracji, kiedy kelner upuści tacę pełną

kieliszków i talerzy. Rozmowy urywają się na ułamek sekundy, po czym, gdy biesiadnicy zorientują się już, co się stało, natychmiast wracają do przerwanej wątku. Tym razem jednak przerwa wydawała się Spiderowi dłuższa niż zwykle. Widział już upuszczane tace, natomiast spotkanie w rodzaju dzisiejszego stanowiło dla niego nowość. Przez pierwsze dwadzieścia dwa lata życia w Kalifornii, a także w ciągu trzech i pół roku, jakie zdążył już spędzić w Nowym Jorku, żadna osoba płci przeciwnej nie obdarzyła go równym brakiem zainteresowania. Spotykał już kobiety, które natychmiast obrażały się na niego z tej czy innej przyczyny, lecz pozostałe okazywały mu nieodmiennie mnóstwo ciepła - ba, stawały się dziwnie rozgrzane. Ale żeby kobieta po prostu go nie zauważyła?... Spider wzruszył ramionami. Nie jego zmartwienie. Niewiele się już zastanawiając, poszedł na Madison Avenue, gdzie co tydzień obchodził galerie sztuki.

Do domu wrócił późnym popołudniem. Na progu własnego mieszkania zastał swoją torbę z zakupami (o której na śmierć zapomniał), a obok niej butelkę wina i złożoną kartkę ze słowami: „Napij się, funduję”. Spider z rozbawieniem zauważył, że kartka nie jest podpisana żadnym imieniem czy nazwiskiem. Z butelką w ręku ruszył korytarzem i zastukał do drzwi dziewczyny. Kiedy otworzyła, stał nadal na progu, najmniejszym gestem nie dając do zrozumienia, że chce wejść.

- Matka zabroniła mi pić na koszt obcych ludzi - oznajmił z całą powagą. Dziewczyna podała mu rękę.

- Zapomniałam się przedstawić podczas naszego poprzedniego spotkania. Jestem Valentine O'Neill. Proszę wejść i przyjąć moje wyrazy ubolewania, ale jak pan może zauważył, byłam maksymalnie wkurzona.

- Myślę, że to dobre określenie, choć może nieco zbyt delikatne.

- Wkurzona baba, która nawet nie powie: „Dziękuję”?

- O właśnie. Teraz się mniej więcej zgadza - przytaknął Spider, rozglądając się po wnętrzu. Półcienie pokoju rozjaśniały lampy z różanej barwy abażurami. Stała tam jeszcze pękata kanapa obita czerwonym welwetem i obszyta staromodnym sznurem paciorków, kilka foteli obitych różowo - białym *toile de Jouy* z falbankami wokół nóżek, podłogę pokrywał dywan w kwiaty, a ściany - frędzlaste czerwone draperie. Gdzieś w tle Edith Piaf śpiewała coś znajomego na temat nieuchronnego nieszczęścia, jakie niesie nowa miłość. Każdy stół i stolik zasłany był różnościami w rodzaju fotografii w ramkach, doniczek z paprotkami, kwiatów, książek, płyt i czasopism. Pokój był na tyle mały, że w suficie znajdowały się tylko dwa świetliki. Wnętrze nadzwyczaj przemawiało do Spidera i wyglądało znajomo, choć przecież nigdy jeszcze nie widział podobnego wystroju.

- Podoba mi się ten pokój - zauważył.

- To tylko moje stare graty - zbyła go dziewczyna, znikając za parawanem, również obitym spłowiałym materiałem w pasy. - Strasznie pozostawiałam ten pokój, ale drugi muszę trzymać pusty, żeby tam pracować.

Dziewczyna wynurzyła się zza parawanu, niosąc na tacce otwartą butelkę schłodzonego białego wina, dwa kieliszki, bagietkę, kawałek pasztetu i na osobnym talerzyku połówkę dojrzalego camemberta. Tackę postawiła na podłodze u stóp kanapy.

- Czy wypijemy za coś konkretnego? A może najpierw się dowiem, jak masz na imię?

Spider zerwał się natychmiast i nie bardzo wiedząc, co czyni, znów uściskał dłoń nowej znajomej.

- Przepraszam najmocniej. Jestem Spider Elliott - wykrztusił przyglądając się jeszcze raz Valentine. Ujrzał jednak tylko, że jej włosy, dwa tony ciemniejsze - na szczęście - od marchewki, układają się w masę wzburzonych loków i spadają na niewielką, ładnie ukształtowaną, bladą twarz. Wszystko się zgadzało: wystrój wnętrza, zawartość tacy, ton głosu, płyta z muzyką Piaf.

- Przepraszam, zorientowałem się dopiero teraz, że jesteś z Francji. Ten pokój, cały jakby przeniesiony z Paryża... Nigdy nie byłem w Paryżu, ale tak to sobie...

- Tak się składa, że jestem Amerykanką - przerwała.

- Urodziłam się na dokładkę w Nowym Jorku.

- Jak to możliwe? Amerykanka, przy tej francuskiej twarzy, przy leciutkim akcencie i tym odrobineczkę dziwnym doborze słów?

Valentine rozmyślnie zignorowała to pytanie i sama z zaczepką w głosie spytała:

- Co to za imię „Spider”? Rodzice lubili pająki, czy co?

- To tylko przezwisko, od Człowieka - Pajaka z komiksów.

- Widać było, że informacja ta nic nie mówi Valentine, więc Spider podjął wątek: - No i co? Nie wiesz, kto to Człowiek - Pajak i wmawiasz mi, że jesteś Amerykanką? Wszystko się wydało!

- Nie życzę sobie, żeby mój sąsiad miał takie imię - oznajmiła surowo Valentine. - Mam alergię na pająki. Na samą myśl dostaję plam na calutkim ciele. Też mi imię, Spider! Koszmar. Będę ci mówiła po prostu Elliott.

- Świetnie, proszę bardzo - Spider uśmiechnął się, zastanawiając się, czy nie trafił przypadkiem do uroczej wariatki, która staje w płomieniach, gdy zadać jej byle jakie pytanie. Amerykanką nie była na pewno, a z alergią na pająki też na pewno przesadza.

Ponieważ nie dopytywał się więcej, Valentine z własnej woli zniżyła się do odpowiedzi.

- Urodziłam się w Nowym Jorku, ale kiedy byłam mała, przeniosłam się do Paryża. Przyjechałam stamtąd dopiero miesiąc temu. Pijemy, czy nie?

- Wypijemy, tylko za co?

- Za to, żebym dostała pracę - odrzekła z miejsca Valentine. - Muszę coś znaleźć!

- Za to, żebyś dostała pracę, i za to, żebym dostał lepszą niż mam.

Kiedy Valentine trącała się kieliszkiem z gościem, zdumiała się jego arcyamerykańskim wyglądem, niewinnością, beztroską, oczywistym zadowoleniem z życia. Spider był pierwszym młodym Amerykaninem, z którym zamieniła parę słów na płaszczyźnie towarzyskiej. Czuli się więc wytracona z równowagi, niepewna jak nastolatka. Spider nie przestrzegał żadnej etykiety, był niepokojąco otwarty, a rozmowa z nim prędko zmieniała się w wymianę ciosów. Valentine nie była przyzwyczajona do tego, by się peszyć.

- Czym się zajmujesz? - zapytała, przypominając sobie artykuł w Elle na temat Amerykanów, którzy natychmiast po przedstawieniu się zadają właśnie takie pytanie.

- Fotografuję modę. To znaczy, na razie jestem asystentem fotografa. A ty?

- Choć, to ci pokażę. - Valentine wprowadziła go do drugiego pokoju, mniejszego niż pierwszy. Przy oknie stało krzesło i stół z maszyną do szycia. Na drugim, długim stole spoczywały zwinięte porządnie bele materiału. Pośrodku pokoju stał krawiecki manekin z luźno udrapowaną na nim tkaniną, a na ścianach wisiały szkice. Oprócz tych przedmiotów wewnątrz było zupełnie pozbawione sprzętów.

- Jesteś krawcową? Nie wierzę.

- Jestem projektantką mody. W tym fachu nie zaszkodzi umieć szyć.
A co ty myślał?

- Nic nie myślałem - uspokoił ją Spider. - Sama zaprojektowałaś to, co masz na sobie? Valentine ubrana była w długą sukienkę bez kołnierza, układającą się w miękkie fałdy i uszytą z ciężkiej wełny koloru moreli. Sukienka nie zaskakiwała żadnym nadzwyczajnym szczegółem, lecz mimo to w jakiś sposób nadawała właścicielce wrażenie osoby zamożnej i posiadającej własny, oryginalny gust. Nie pasowała zupełnie do obrazu szarej myszki ze strychu fabrycznego budynku.

- Sama zaprojektowałam i sama uszyłam, od pierwszego do ostatniego szwu. Ale wracajmy do tamtego pokoju. Ser dojrzał w sam raz, żeby go zjeść. Pospieszmy się, bo zacznie łązić po talerzu.

Podając Spiderowi kęs chleba z camembertem, Valentine obdarzyła go najbardziej ujmującym, lecz wyzbytym cienia prowokacyjności uśmiechem, jaki Kalifornijczyk widział u kobiety. Zdał sobie nagle sprawę, że Valentine nie nawiązuje z nim flirtu - ani troszeczkę.

Jak to możliwe, skoro jest pół - Francuzką? A jeszcze pół - Irlandką?
A do tego jeszcze kobietą?

Spider Elliott stracił dziewictwo w ostatniej klasie szkoły średniej.

Odebrała mu je rozbuchana, obdarzona potężnym biustem trenerka dziewczęcej drużyny siatkówki, która od lobów Spidera jeszcze bardziej podziwiała jego szorty, trzy rozmiary za ciasne wskutek wysiłków sióstr, by doprowadzić je w praniu do śnieżnej białości. Do końca życia Spider dostawał wzrodu na sam zapach sportowej szatni, co nie ułatwiało mu ćwiczeń na siłowni. Zrezygnował z nich więc i przerzucił się na tenisa i pływanie.

Na uniwersytecie stanowym w Los Angeles o towarzystwo dziewczyn było równie łatwo jak o smog w upalnym powietrzu, lecz Spider odkrył bardzo prędko, że atelier fotografów mody są prawdziwą kopalnią seksu werbalnego. Chociaż znakomita większość fotografów to homoseksualiści, nawet oni, aby osiągnąć dobry wynik, muszą stworzyć podczas pracy z modelkami atmosferę erotyzmu. Modelce towarzyszy podczas pozowania istna lawina wskazówek, podobna do ilości instrukcji, jakimi kontroler lotów sprowadza na ziemię nerwowego pilota prywatnej maszyny. Werbalne wskazówki składają się nieodmiennie z pochlebstw, czasem wypowiedzianych przez zaciśnięte zęby, a towarzyszy im sącząca się cichutko w tle, naładowana erotyzmem muzyka. Erotyzm, jaki czuje się w atelier, bywa czasem autentyczny, ale przeważnie łatwo stwierdzić, że jest tylko syntetycznym falsyfikatem, podszytym ze strony fotografa nerwowością czy wręcz wrogością wobec modelki, która nie potrafi pozować w sposób absolutnie doskonały.

Gdy Spider pierwszy raz zjawił się w studio Mela Sakowitza, wydawało mu się, że jest niczym „szlachetny dzikus” przywieziony z oceanu przez kapitana na europejski dwór królewski. Jak dzikus kilka wieków wcześniej, Spider w swoich starych białych dżinsach i koszulce z

nazwą uczelni stanowił żywy dowód na to, iż nawet w cieplarni świata mody zdarzają się prawdziwi mężczyźni, poganie pełni witalności, potencji i chęci, by się kochać.

W ciągu niewielu tygodni modelki, które dotąd nie odróżniały utrwalacza od płynu do kąpieli, zaczęły się żywo interesować negatywami i powiększalnikami, tłumnie odwiedzając ciemnię Sakowitza. Z niedowierzaniem ścisnęły muskularne przedramię Spidera, pytając: - Naprawdę tenis tak wyrabia mięśnie? Przedziwne! Doszło do tego, że Spider zaczął dostawać wzwołu także od zapachu ciemni fotograficznej. Tym razem jednak wiedział, jak sobie poradzić w takiej sytuacji i zdołał nawet przemycić do ciemni parę poduszek. Nie mógł znieść przykrew myśli, że dziewczyny siniaczą sobie delikatne pośladki na twardej posadzce ciemni. Większość modelek wołała ze strony Spidera seks oralny, przy którym nie gniotły sobie ubrań i nie rozburzały fryzur - wystarczyło tylko zdjąć rajstopy. Same nie brały zbyt chętnie członka do buzi, bo zawsze psuł im się wtedy makijaż i mogły sobie połamać paznokcie, ale szybko przekonały się, że Spider umie ściągać długie. Nie skarżyły się wcale, a agenci z biura pośrednictwa przekonali się, że coraz łatwiej znaleźć dziewczyny na sesję zdjęciową u Sakowitza, unikanego zwykle jak zaraza.

Każdorazowo Spider ostrzegał dziewczynę, tłumacząc jej, czego wolno jej się spodziewać.

- Pamiętaj, mała, że będzie nam bardzo miło, ale bardzo krótko. Można ze mną zacząć, ale sam wiem, kiedy skończyć. Nie interesują mnie trwałe związki, zaangażowanie uczuciowe i reszta psychologicznych smrodów. Nic ci nie obiecuję, nawet tego, że wieczorem znów się

spotkamy.

- Spider, koteczku, każdy tak mówi, ale tylko do czasu.

- Też już to gdzieś słyszałem. Jeśli nie rozumiem czegoś w kobietach, to właśnie tego, że nie chcą uwierzyć, kiedy się im uczciwie powie, że dalszy ciąg nie nastąpi, że koniec. A przecież trudno się wyrazić jaśniej.

- Nadzieja jest silniejsza niż słowa, i tak dalej, Spider. Lepiej się zamknij i przeleć mnie, tylko powoli i miło. Mam ochotę zaryzykować.

W czasie, kiedy Spider poznał Valentine, dwukrotnie już awansował z laboranta w ciemni u Sakowitza. Pracował jako asystent kolejno u dwóch bardzo dobrych fotografów i w ciągu trzech lat stał się w świecie mody osobną instytucją. Jego zasługą było zwłaszcza to, że uwielbiał swoje modelki, był wobec nich uczciwy, serdeczny, zmysłowy i niczego nie ukrywał. Dziewczyny dobrze o tym wiedziały, jako że same zbyt wiele razy musiały spać z mężczyznami, którzy pletli o miłości, choć tak naprawdę wręcz nie lubili kobiet. Kiedy kochały się ze Spiderem, czuły się tak, jakby ktoś wyprawił im niespodziewanie przyjęcie urodzinowe - przez długi czas było im później tak dobrze... Czuły się jak normalne dziewczyny.

Podczas pierwszych miesięcy w Nowym Jorku Spider zorientował się, że większość modelek nie uważa się wcale za „normalne dziewczyny”. Do czasu matury prawie żadna z nich nie miała chłopaka, z którym mogła pójść na szkolny bal, a poza tym zawsze były najwyższe, najchudsze i najbardziej niezgrabne w całej klasie, padały ofiarą miliona psikusów i przyprawiały o palpitacje własne matki, które nawet nie próbowały ukrywać rozczarowania. Nawet kiedy już odkrywały, że twarz można

sobie poprawić makijażem, a z ciała o wąskiej talii i zerowym biuście uczynić żywy wieszak na ubrania, były o sobie bardzo podłego zdania. Niektóre oczywiście miały więcej szczęścia jako nastolatki, wcześniej rozkwitały szablonową pięknnością, brały udział w konkursie na nastoletnią Miss Ameryki i tak dalej, lecz najlepsze modelki, te o najciekawszej urodzie, wyobrażały sobie z reguły, iż normalna dziewczyna ma najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu, nosi stanik numer pięć, od kołyski umie rozmawiać z chłopakami i nigdy w życiu nie trafiła kijem baseballowym w piłkę.

Dorastając przyszła modelka najbardziej marzy o tym, by stać się małą kobietką. Spider traktował je dokładnie w taki sposób - jak małe misie, które trzeba pieścić, całować, ściskać, łaskotać, szczypać i w ogóle uwielbiać. Spider lubił je wszystkie - wiotkie stworzenia z Teksasu, noszące jeszcze protezy ortodontyczne, zakładane z czcią między sesjami zdjęciowymi; twarde dziewczyny, które uwielbiały kłać jak żołnierz, choć robiło to wrażenie tylko na nich samych; te, którym bez przerwy na puszystą wykładzinę podłogową wypadały szkła kontaktowe; smętne dwudziestoczterolatki, które oczekiwały dwudziestych piątych urodzin jak końca świata; samotniczki, o których mówiła cała Europa, zanim same dorosły do samodzielnego życia. Ba, Spider darzył ciepłym uczuciem nawet te, które cały dzień się głodziły, szarpiąc sobie nerwy, a potem spodziewały się, że dostaną od niego na kolację chudziuteńki stek. Istotnie, chude białko dla głodujących kobiet stanowiło największą pozycję w wydatkach Spidera.

Dawno skończyły się dni improwizacji i przesyconego erotyzmem zamieszania na podłodze ciemni Sakowitza. Spider przekonał się, że

najbardziej lubi się kochać w łóżku, w łóżku dziewczyny, w dziewczęcej sypialni przesyconej dziewczęcym zapachem. Choć w sprawach zawodowych szło mu coraz lepiej, tęsknił za atmosferą domu pełnego kobiet i tylko po części mógł sobie ten brak wynagrodzić węsząc po sypialni modelki i wychwytyjąc wszystkie istotne szczegóły. Z rozkoszą wdychał zapach talku, lakieru do włosów i rozgrzewanej lokówki. Uwielbiał zwłaszcza dziewczyny bałaganiary, które rozrzucały bieliznę po całej podłodze, w łazience rozwieszały na wannie mokre ręczniki, ciskały buty byle gdzie, miały swoje ulubione szlafroki i kosze do śmieci po brzegi pełne chusteczek higienicznych, umywalki zastawione na wpół zużytymi szminkami i pędzelkami do powiek... Spider ubóstwiał te rekwizyty kobiety - dziecka i z sentymentem wspominał swoje rozbałaganione siostry. Ach, jak podziwiał ich apetyty - czy to na nowe ubrania sióstr, czy na trzecią dokładkę lodów czekoladowych. Spider uważał apetyt za podstawowy składnik kobiecej natury.

Jedynym miejscem, w którym seks był dla Spidera absolutnie wykluczony, stanowiło jego własne mieszkanie. Czuł, że zaprowadzić tam może tylko dziewczynę, w której się zakocha - wiedział jednak, że do tej pory ani razu nie był jeszcze zakochany. Zazdrośnie strzegł przystępu do swego wrażliwego serca, w którym mieszkają ze sobą radość i gorycz. Z biegiem czasu zmienił się w inteligentnego, wrażliwego mężczyznę i zdawał sobie jasno sprawę, że kocha kobiety jako gatunek, grupę, część rodzaju ludzkiego. Fakt, że tak łatwo było z nim o przygodę, był jedynie oznaką, że Spider nie mógł trafić w tej gromadzie na jedną, najważniejszą osobę. Spider miał więc jedynie nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy zakocha się w kobiecie. Na razie jednak miłość starannie go omijała.

Chwilowo zadowalał się swoimi dziewczynkami i swoją przyjaciółką Valentine, której przytulne, jak z teatralnej dekoracji paryskie mieszkanie stało się dla niego specjalnym schronieniem, miejscem, w którym chciał przeżywać chwile szampańskiego humoru lub przeciwnie, momenty, kiedy czuł się przybity i wyprany z pomysłów. Firmowa mieszanka Valentine, w postaci jedzenia, współczucia i zwyczajnej rozmowy, zawsze przywracała mu zdrowie.

* * *

Pewnego wieczora, wiele miesięcy, wiele butelek wina, wiele pysznych ragout i wiele długich rozmów po pierwszym spotkaniu, Spider bez pukania wpadł do mieszkania Valentine.

- Val, gdzie ty się kurczę, podziewasz! - zawołał i zaskoczony stanął jak wryty na widok przyjaciółki zaszytej w jednym z foteli. Valentine trzydzieści centymetrów od nosa trzymała zapalonego gauloise bleu i z zamkniętymi oczami z rozkoszą wdychała papierosowy dym.

- Aha, więc taką masz metodę! Zawsze mnie dziwiło, dlaczego, skoro nie palisz, pachnie u ciebie francuskimi papierosami. Palisz je jak kadzidło, co? A w ogóle to cześć, kochanie - tu Spider uściskał Valentine, która wzdrygnęła się, wyrwana ze swych marzeń i zawstydzona, że przyłapano ją na sekretnych zabawach w sentymenty.

- Nie, coś ty, zupełnie nie pachną tak jak w Paryżu. Nic tutaj nie pachnie tak samo, ale muszę sobie jakoś radzić. A poza tym, Elliott, dlaczego wszedłeś tu bez pukania?

- Bo szaleję z radości. Patrz, przyniosłem coś, co pachnie dokładnie jak w Paryżu. Bollinger Brut. - Spider podał ukrytą za plecami butelkę szampana.

- Ależ, Elliott, to bardzo drogie wino... Miałeś jakieś dobre wiadomości?

- A jak! W przyszłym tygodniu zaczynam robotę jako pierwszy asystent u Hanka Levy'ego. Facet jest całe lata świetlne przed resztą stawki. Patrz, dla kogo pracowałem. Sakowitz, Miller, Browne, żaden z nich nie ma nawet połowy zamówień z wielkich domów mody, jakie dostaje Levy. W jego studiu ciągle coś się dzieje, telefon się urywa. Przeważnie katalogi i reklamy. Levy nie fotografuje już tyle ważnych kolekcji co kiedyś, ale i tak trzyma się twardo w drugiej lidze. Nigdy nie przedostał się do pierwszej, fakt, ale dla mnie to i tak olbrzymi awans. Dziś rano usłyszałem od jednej dziewczyny, że Joe Verona, asystent Levy'ego, wraca do Włoch, pognałem więc tam, jak tylko udało mi się wyrwać z atelier. Na szczęście Levy miał luźny dzień. Nieważne, rzecz w tym, że w poniedziałek zaczynam. - Spider w uniesieniu runął na dywan u stóp Valentine.

- Och, Elliott, wspaniała nowina! Cudownie, cudownie. Tak się cieszę! Mam dobre przeczucia, a wiesz przecież, że przeczucia nigdy mnie nie mylą. - Tak praktyczna pod wieloma względami Valentine wierzyła jednak święcie w „prieczucia”, a Spider wyśmiewał się z niej czasami, twierdząc, że krew zwariowanych Celtów jest silniejsza niż głos francuskiego rozsądku. Spoglądając na Spidera, który wciąż ścisnął w ręku szampana, Valentine pogratulowała sobie, że gość nie jest w jej typie. Typowy pieczeniarsz, kobieciarz i łowca posagów. Jeśli kobieta zacznie go darzyć uczuciem, będzie to dla niej wyrokiem na całe życie. Dobrze było mieć w Spiderze przyjaciela, ale na przyjaźni miało się tylko w tym przypadku skończyć. Valentine była zbyt rozsądna, by widzieć w

rozpustniku coś więcej niż ulubionego sąsiada. Dziękowała Bogu, że jako Francuzka wiedziała, jak strzec się przed takimi mężczyznami.

- Wydaje mi się, że jesteś głodny, Elliott, a tak się składa, że zrobiłam *blanquette de veau*. O wiele za dużo jak na jedną osobę, za to świetnie pasuje do szampana.

* * *

Hank Levy okazał się sympatycznym facetem, z małymi „ale”. Miał w sobie mnóstwo brooklyńskiego czaru, niczym podstarzały Huck Finn czy raczej wysoka i chuda wersja Normana Mailera (minus zmarszczki, za to piegowata i z łysinką w miejscu szlachetnej grzywy). Hank zakładał w pracy typowy strój reżysera z Hollywood: francuskie dzinsy i flanelową koszulę rozpiętą aż po sam pepek. Na piersi dyndał mu nieodzowny złoty łańcuch, tylko jeden, za to bardzo ciężki i dobrej firmy, bo Bulgari. Charakterystycznym dla Hanka Levy’ego strojem był też rozpinany sweter a la profesor Henry Higgins, z grubo tkanej kaszmirowej dzianiny, który kosztował go u Harrodsa aż pięćdziesiąt pięć funtów. Levy trzymał w szafie tuziny tych swetrów w rozmaitych kolorach. Uwielbiał zdejmować je i nosić obwiązane wokół pasa, albo zarzucał je sobie na ramiona, pozwalając swobodnie dyndać rękawom. Gdyby wiedział, przyjmując Spidera do pracy, że jego nowy asystent nosi w zimie niewątpliwie autentyczne, seksownie przetarte bluzy i wełniane swetry z ojcowskiej kolekcji strojów akademii marynarki wojennej w Annapolis, może próbowałby nawet pozbyć się asystenta jako zbyt autentycznie wyglądającej konkurencji.

Hankowi ciążyło podwójne brzemie zmartwień. Po pierwsze był biseksualistą, po drugie otrzymał tradycyjne żydowskie wychowanie, a

tym samym wieczne poczucie winy. Jak utrzymywał, życie oszukało go perfidnie: - Wyobraźcie sobie, kurczę, że człowiek zgadza się dać domięśniowy zastrzyk między nogi pewnej miłutkiej blondyneczce, która wcale nie jest od tego, a już dwa dni później okazuje się, że dziewczyna nie dość że jest w ciąży, to jeszcze pochodzi z dobrej żydowskiej rodziny i ma na Brooklynie kilkudziesięcioosobowy tłum krewnych, z których niektórzy należą do tego samego kółka rabinackiego co nasza własna matka.

Hank nie miał innego wyjścia, jak tylko zostać mężem i ojcem, zanim zdołał się upewnić, czy nie lepiej byłoby zdecydować się raczej na mężczyzn. Nie oznaczało to, że mężczyzn zaczął odtąd unikać, przeciwnie.

Małżeństwo nie przywiodło go do ruiny, skądże znowu. Chicky - jak nazywał żonę - była od niego o niebo inteligentniejsza, ambitniejsza i bardziej agresywna. Sobolową czapkę nosiła już wówczas, gdy inne kobiety znały to nakrycie głowy jedynie z kinowej ekranizacji Anny Kareniny. Udawała, że nie stosuje szminki zanim wynaleziono przezroczystą pomadkę - może nawet sama ją wynalazła. Pierwsza nosiła w Nowym Jorku spodniemy, pierwsza przerzuciła się na spódniczki mini, a potem midi... Opisywano ją więc w Women's Wear Daily przynajmniej pięć razy w roku. Chicky nadała poloru poczynaniom Hanka. Wydawała sprytne, pierwszorzędnie obmyślane przyjętka, na które tą czy inną sztuczką zapraszała tyle nieznośnie gburowatych gwiazd, że wszyscy pozostali goście mieli później miłe wrażenie, iż otarli się o kogoś sławnego z olśniewającego świata mody. Dzięki temu studio Hanka nie cierpiało na brak zamówień. Za radą żony Hank umieścił w atelier nieodzowny system hi - fi, z którego cały dzień szły najnowsze nagrania, a

oprócz niego równie nieodzowny ciężki stół („rzeźnicki”) pełen nieodzownych francuskich serów, włoskiego i niemieckiego salami, ciemnego chleba z działu delikatesowego w Bloomingdale’s oraz koszernych kiszonych ogórków. Układ był w sumie pierwszorzędny, a co więcej, podczas rocznej kariery asystenta u Hanka Levy’ego Spider wiele się nauczył.

Asystent fotografa spędza dziewięć dziesiątych czasu na podawaniu chlebobawcy aparatu załadowanego nowym filmem, rozwijaniu kolorowych rolek z tłami, sprawdzaniu światłomierza, przenoszeniu statywów z jednego miejsca w drugie, grzebaniu przy kapryśnych reflektorach stroboskopowych i przesuwaniu rekwizytów. Przez pozostałą jedną dziesiątą czasu zmienia za to taśmy w systemie nagłaśniającym. Na szczęście jednak Hank Levy okazał się leniem, zaabsorbowanym dodatkowo życiem towarzyskim, toteż pozwalał na rzecz niesłychaną, czyli pozostawiał wiele zdjęć uznaniu Spidera. Oznaczało to, że Spider może nareszcie zająć się sprawami, które przyciągnęły go wiele lat wcześniej do zawodu fotografa mody. Spider ustawiał modelki, decydował pod jakim kątem je fotografować, wymyślał swoje własne ustawienie świateł, zmieniał głębię ostrości, naciskał guzik i robił pstryk. Bawił się nawet jeszcze lepiej niż fotografowie z hollywoodzkich filmów, gdyż w odróżnieniu od nich okazał się geniuszem w rozmowach z modelkami.

Hank Levy nie był jednak aż tak zajęty ani tak naiwny, by zezwalać Spiderowi na robienie zdjęć do czasopism. Jeżeli trzeba było lecieć na Wyspy Dziewicze, fotografować trzy modelki w przygotowywanych na przyszły sezon kostiumach monokini i gzić się na plaży przy akompaniamencie rumbi, zadanie przypadało Hankowi. Inna sprawa, że

podobnych zleceń było coraz mniej. Swego czasu Hank stał się nieomalże gwiazdą wśród fotografów, lecz coraz częściej proszono go, by sfotografował sweterki firmy Kimberly na promie na Staten Island albo szorty White Stag w klubie tenisowym na West Side. Inna sprawa, że Hank fotografował te sweterki dla *Vogue* i podpisywał zdjęcia swoim nazwiskiem. Pieniądze marne, za to mnóstwo prestiżu. Spiderowi Hank zezwalał robić mniej ważne zlecenia, zdjęcia zegarków, butów, kremów do tlenienia włosów na skórze - a i te zadania zlecał mu skapo i tylko wówczas, gdy zamówienie pochodziło z niedużej agencji, która nie przysyłała obserwatora do atelier. Spider pracował więc nad najmniej efektowną częścią interesu - tą, dzięki której udawało się zapłacić czynsz za studio.

Reklama, która rozsławiła talent Spidera, zachwalała nowy typ utwardzacza do paznokci, a zamówiła ją firma będąca na skraju bankructwa. Modelka, mająca być ucieleśnieniem południowego romantyzmu, była młodziutka, niedoświadczona i sztywna w swojej falbaniastej sukni z gorsetem. Mimo to Spider z niekłamanym zachwytem przyjrzał się zawstydzonej dziewczynie.

- Pierwszorządnie, kotku. Naprawdę, pierwszorządnie się nadajesz. Nareszcie zamówiliśmy modelkę, która wygląda jak trzeba do tej roli. Zdaję się na ciebie, mała. Masz być po prostu małą flirciarą, z tych, które wpędzały chłopaków z Virginii w alkoholizm. Szkoda, że cię nie było na świecie, kiedy kręcili *Przeminęło z wiatrem*, mogłabyś śmiało zagrać Scarlett O'Hare. Rany boskie, mnie samemu gały wychodzą na widok takiej - trochę w prawo, koteczku - założę się, że nie ma takiego mężczyzny, który nie miałby ochoty zbadać, co tam masz pod tą

krynolinką. Tak, więcej dumy, mała, pamiętaj, że za takie damy jak ty Południe poszło na wojnę. Świetnie! Idzie nam wspaniale, pochyl się trochę w lewo, nie, w moje lewo, dla ciebie w prawo. Chryste panie, najbardziej lubię pracować z debiutantką. Sprytna z ciebie bestia, załapałaś, o co chodzi, niepotrzebny żaden wehikuł czasu. Możesz mi mówić Ashley albo Rett, jeśli wolisz. Tak piękna dziewczyna jak ty powinna móc sobie wybrać chłopaka. No, mała Scarlett, spróbujmy teraz na tej huśtawce...

O, ślicznie!

Rozluźniona, rozchichotana modelka, która całe życie nie wychyliła nosa z New Jersey, wierzyła w każde słowo Spidera. Wystarczyło jej zauważyć w spodniach Spidera wyraźny wzwód - zwyczajny u niego podczas robienia zdjęć - by utwierdzić się w przekonaniu, że rzeczywiście jest boska. Świadomość ta sprawiła, że dziewczyna stała się boska do dziewiątej potęgi, zanim Spider miał czas powiedzieć: - Obliz wargi, laleczko, i jeszcze raz uśmiechnij się do mnie w ten sposób.

Istnieje różnica między wyglądem modelki pozującej dla fotografa - pedała, wykwikującego zdawkowe: „Świetnie, świetnie”, a pozą dziewczyny, która ma przed sobą Spidera z aparatem w ręku i z potężnym fiutem, wyraźnie widocznym przez materiał opiętych białych dżinsów i sama zaczyna czuć lekkie łaskotanie pomiędzy nogami - która, o mamó, zaczyna wilgotnieć pod głupią krynoliną... Jest to taka sama różnica, jak pomiędzy dobrym zdjęciem mody a zdjęciem doskonałym.

Harriet Toppingham, redaktorka żurnalu, która odkryła Spidera, należała w swojej branży do ścisłej czołówki. Tak się jednak składa, że wszyscy redaktorzy, niezależnie od pozycji zawodowej, zamiast obracać

się w eterycznym, pachnącym perfumami świecie mody, plotek z wyższych sfer i obiadów w wykwintnych restauracjach, harują jak niewolnicy. Jednym z obowiązków Harriet Toppingham było przeglądanie wszystkich reklam w czasopiśmie - nie tylko w żurnalach mody, lecz w ogóle w pismach ilustrowanych, które bez pieniędzy z reklam nie mogłyby istnieć. Koszt papieru, druku i dystrybucji każdego egzemplarza zwykle znacznie przekracza jego cenę w kiosku czy w prenumeracie. Bez dochodów z reklam nie byłoby mowy o czasopiśmie, a tym samym straciłaby rację bytu funkcja redaktorki działu mody.

Dobrych redaktorów o tej specjalności jest w całych Stanach Zjednoczonych zaledwie garstka. Każdy z szanujących się żurnali ma redaktora naczelnego, któremu asystuje zwykle dwójka bądź też trójka redaktorów od mody. Prócz nich istnieją też specjaliści redaktorzy od butów, bielizny, dodatków i materiałów. Każdy z nich także ma asystenta, jako że żadna z branży nie oszczędza na reklamie i domaga się od pism ciągłej uwagi i pieczy. W ogólnym piśmie dla kobiet, takim jak *Good Housekeeping*, dział mody może składać się z jednej redaktorki prowadzącej, jej asystentki, redaktorki od obuwia i redaktorki od dodatków oraz redaktorki od całej reszty. Zadaniem tej gromady osób jest wypełnić co miesiąc raptem sześć stron albo jeszcze mniej. W takim piśmie jak *Vogue* pracuje jednak w dziale mody ponad dwadzieścia osób o różnych kompetencjach i statusie, w tym redaktorki wysłane na stałe do Paryża, Rzymu i Madrytu, które zajmują się życiem towarzyskim, a dopiero w dalszej kolejności modą.

Niezależnie od klasy czasopisma, naprawdę dobrze zarabia tylko ścisła czołówka redakcyjnego sztabu. Pozostałym płaci się mniej więcej

tyle, ile dostaje wykwalifikowana sekretarka. Nie brakuje jednak chętnych do tej niewolniczej pracy, zwabionych statusem, atmosferą i prestiżem, jaki przynosi to zajęcie. Młodszym redaktorkom nie może więc zbywać ani na talencie, ani - tym bardziej - na ambicjach. Dobrze jest też pochodzić z grupy społecznej, w której kobieta nie musi się martwić, że z redakcyjnej pensji nie wystarczy na mydło Laszlo czy depilację nóg u kosmetyczki.

Kiedy jest się jak Harriet Toppingham na samym szczycie profesji albo w pobliżu szczytu, można cieszyć się wśród reszty dworzan takim samym mirem jak Madame de Pompadour, jeśli akurat była w łaskach Ludwika XV. Lunch fundowali redaktorze w przyzwoitych francuskich restauracjach wytwórcy odzieży, projektanci i spece od reklamy. Również ubrania otrzymywała może nie za darmo, ale na pewno za pół ceny, a kiedy przychodziły święta, musiała wynajmować limuzynę z kierowcą i robić dwa kursy, by przewieźć z biura do domu wszystkie prezenty. Również podróże przestają nagle być rzeczą kosztowną - wystarczy, że dyskretnie umieści się na fotografii znak linii lotniczej albo wizerunek hotelowego basenu, wraz z kilkoma słowami wyjaśnienia na końcu pisma, by znalazły się darmowe bilety lotnicze i pokoje dla redaktorki, fotografa, modelek i sztabu pomocników.

W elicie całej branży Harriet Toppingham znalazła się dzięki własnym zasługom, nie zaś własnym pieniądzom, choć jej prywatny dochód po ojcu, który za życia wzbogacił świat o setki tysięcy wanien, nie był wcale bagatelny. W pracy była tak bystra i ostra, że powiadano o niej, iż szlifuje sobie styl pilnikiem. Poczucie władzy, jakie roztaczała, było tak autentyczne, że wzbudzało we współpracownikach równie autentyczny

lęk, a wyobraźnią twórczą dorównywała Felliniemu. Z jej pomysłów początkowo się śmiano, później naśladowano, a wreszcie uznano za klasykę gatunku. Kiedy Harriet pierwszy raz zwróciła uwagę na zdjęcia Spidera, była tuż po czterdziestce. Wielu ludzi uważało, że jest brzydka. Nigdy nie przeistoczyła się w to, co Francuzi zwa­ją *jolie laide*, gdyż uznała, że nie ma powodu, by podkreślać nieliczne zalety własnej urody. Wolą­ła dla siebie inną rolę, nie mniej podziwianą we Francji: rolę nietykalnego potwora. Zamiast kryć braki, wystawiła całą swoją powierzchowność na pokaz, szczerze i bez upiększeń: zaczesane gładko do tyłu cienkie ciemne włosy, wydatny, męski nos, wąskie wargi pociągnięte jasnoczerwoną szminką, małe i płytko osadzone brązowe oczy, podobne do oczu żółwia, lecz wychwy­tu­ją­ce najmniejszy, najdelikatniejszy, najważniejszy i najbardziej wyszukany szczegół... Harriet Toppingham była wię­cej niż średniego wzrostu, miała figurę tyczki do chmielu i nosiła zawsze wspaniałe, wyzywająco szykowne stroje, wychodząc z założenia, że najkrzykliwszy ubiór nie zagłuszy urody, której i tak nie miała. Redaktorka nie czyniła też żadnych ustępstw wobec obowiązujących mód. Jeżeli obowiązywał akurat „swobodny styl amerykański”, „powrót do łagodnej linii” albo „czyste kolory”, można było się założyć, że stroju Harriet i tak nie będzie można przypisać do żadnego określonego roku czy nawet dekady. Wszystkie inne kobiety, choćby najwspanialszej urody, w strojach Harriet wyglądałyby jak stado jednakowych owiec. Harriet nie wyszła nigdy za mąż i mieszkała sama w obszernym mieszkaniu przy Madison Avenue, napełniając je kolekcją skarbów z niezliczonych podróży do Europy i krajów Wschodu - przedmiotów w większości zbyt dziwacznych i nie zharmonizowanych dostatecznie, by pasowały do

jakiegokolwiek wnętrza oprócz brązowych pokoi Harriet.

Mniej więcej raz na rok Harriet Toppingham lubiła „odkrywać” nowy talent fotograficzny, głównie po to, by móc zerwać kontakty - przynajmniej na jakiś czas - z którymś ze stałych współpracowników pisma. Na co potrzebna jest władza ludziom, którzy wahają się, czy zrobić z niej użytek? Kiedy Harriet wylansowała już nowego artystę, zostawiała jego wierzycielką do końca życia i nawet kiedy odwracała się od „odkrycia”, fotograf nosił na sobie jej piętno. O odkrytych przez siebie fotografach Harriet myślała w taki sam sposób, jak o przedmiotach z własnej kolekcji. Jako szefowa działu w piśmie *Fashion and Interiors* mogła unikać starcia z najgorszym wrogiem - redaktorem prowadzącym - i pertraktować z artystami (rozmów z agentami nie uznawała z zasady) w swoim własnym gabinecie, zwanym wśród personelu Brązowym Lochem.

Kiedy na ostatnich stronicach Redbook Harriet spostrzegła reklamę utwardzacza do paznokci, sprawdziła natychmiast w agencji, komu zlecono zdjęcia.

- Podobno Hank Levy - odezwała się do sekretarki - ale trudno mi w to uwierzyć. Hank nie zrobił nic oryginalnego od końca lat sześćdziesiątych. Zadzwoń do Eileen albo którejś innej agencji i dowiedz się, kto pozował do zdjęcia. Powiedz dziewczynie, żeby się ze mną skontaktowała.

Dwa dni później Harriet wezwała Spidera na audiencję. Spider przyniósł portfolio swoich prac, wielką tekę z marszczoną czarną skórą, związaną grubym czarnym sznurem. Wewnątrz znajdowały się najlepsze odbitki najlepszych zdjęć, jakie zrobił w życiu. Tylko nieliczne z nich powstały w atelier Hanka Levy'ego. Większość Spider zrobił w wolnych

chwilach dla własnej przyjemności, jako że nie rozstawał się z nikonem F - 2 naładowanym filmem i uwielbiał przyłapywać kobiety wówczas, gdy przestawały pozować. Uwielbiał też kobiety, gdy znalazły się sam na sam z własną kobiecością, przy gotowaniu jajek albo marzeniach nad kieliszkiem wina, gdy zmęczone rozbierały się do snu, ziewały albo myły zęby.

Harriet Toppingham od niechcienia przerzuciła odbitki, bez trudności maskując zdumienie na widok modelek klasy „pięćset dolarów za godzinę” pozawijanych w ręczniki lub paradujących w starych szlafrokach.

- Hmm. Ciekawe. Nawet ładne. Proszę mi powiedzieć, panie Elliott, kto jest pańskim ulubionym artystą? Avedon czy Penn?

Spider wykrzywił się w uśmiechu.

- Degas, kiedy nie maluje dziewczynek z baletu.

- Ach tak? Trudno, lepiej niech już będzie Degas niż Renoir z tą swoją wieczną bielą i różem. Zapytam więc... - Harriet postanowiła zaatakować z najbardziej nieoczekiwanej strony. - Podobno niezły z pana ogier. Czy to plotka czy fakt?

- Fakt - mówiąc to, Spider spojrzał przyjaźnie na redaktorkę, która przypominała mu nauczycielkę matematyki z piątej klasy podstawówki.

- Dlaczego w takim razie nie zdecydował się pan nigdy na zdjęcia do Playboya albo do Penthousa? - Harriet nie dawała się zbić z tropu.

- Może dlatego, że dziewczyny, które przeciągają sobie przez włosy łonowe sznur fałszywych pereł, wbijają się w pasy do pończoch ze sklepu Frederick's w Hollywood i bawią się paluszkami przed dużym lustrem, wydają mi się bardzo samotne. Masturbacja nie jest dla mnie jakąś

specjalną podniętą - odparł uprzejmie Spider. - Albo weźmy zdjęcie z dwiema dziewczynami. Miękka fotografia i ostrość artystyczną diabli biorą, a całość przestaje wyglądać jak seks. Prawdę mówiąc, przygnębiają mnie takie zdjęcia. Widać na nich, ile się marnuje porządnych...

- Właśnie. Owszem. Taak... - Harriet Toppingham zapaliła papierosa i nie zwracając uwagi na rozmówcę, zaczęła obojętnie przeglądać zdjęcia rozrzucone po blacie. Nagle jednak znowu się odezwała:

- Może pan zrobić zdjęcia bielizny do naszego kwietniowego numeru? Musielibyśmy je dostać najpóźniej w przyszłym tygodniu.

- Pani Toppingham, żeby dla pani pracować, oddałbym wszystko prócz lewego jądra, ale mam stałą pracę u Hanka Levy'ego...

- Niech pan rzuci Levy'ego w diabły - zadysponowała Harriet. - Nie zamierza pan chyba pracować dla niego do końca życia, co? Niech pan otworzy własne studio. Zacząć można skromnie. Dam panu dosyć pracy, żeby się utrzymać do czasu, kiedy kwietniowy numer znajdzie się w sprzedaży, a wtedy, jeśli się pan spisie, nie będzie się pan już musiał martwić, skąd wziąć pieniądze na czynsz.

Mówiąc to Harriet posłała Spiderowi najzyczliwsze spojrzenie, jakim nie zaszczyciła dotąd nikogo. Uwielbiała takie chwile, uwielbiała swoją władzę, namacalną zdolność wpływania na losy innych w taki sposób, w jaki jej się tylko podoba. Czuła się podniecona, władcza, niezrównana. Zamówienie na zdjęcia, które miał jej zrobić Spider, redaktor prowadzący przesłał już wcześniej pod adresem Joko, ale Joko stał się ostatnimi czasy taki nudny jako fotograf... Potulny, wyprany z fantazji - jednym słowem, zasłużył na kopa w dupę. Jak każdy redaktor. Oprócz tego Spider Elliott przyniósł Harriet najbardziej seksowne zdjęcia kobiet, jakie kiedykolwiek

trafiły na jej biurko. Dziewczyny, którym płaciło się bająnskie sumy za to, że w reklamach kosmetyków wyglądają jak stwory z innego, piękniejszego świata, na fotografiach tych były jeszcze piękniejsze, a przy tym prawdziwsze, bardziej realne.

Harriet od pewnego czasu zdawała sobie sprawę, że zdjęciom bielizny ze stronic *Fashion and Interiors* brakuje autentyczności. Stronice magazynu stały się tak błyszczące, że odbijały światło. Najwięksi klienci od reklam, wytwórcy biustonoszy i tak dalej, zaczęli już wydzwaniać z pretensjami. Podobała im się wprawdzie robota edytorska, ale klienci zasypywali ich skargami, bo modelki w magazynach hurtowych na Siódmej Alei nie wyglądały ani trochę tak wspaniale jak dziewczyny z zamieszczonych zdjęć. Hurtowi nabywcy z domów towarowych sami zaczęli się więc niepokoić, że klientki zwabione nieskazitelnym pięknem tej bielizny, zawiodą się, gdy włożą ją na siebie i zamiast winić za to własne ciała, zaczną oskarżać producenta. Fotografie wprowadzały w błąd i tyle. Kiedy klienci od ogłoszeń zaczęli marudzić, oznaczało to, że coś jest nie tak - a kiedy coś było nie tak, Harriet Toppingham słuchała instynktu, który dziś podpowiadał jej na cały głos, że Spider Elliott może się bardzo przydać pismu.

Spider znalazł dla siebie atelier w starym budynku przy Drugiej Alei, którego nie zdążono jeszcze zamienić w restaurację albo bar dla samotnych. Dom był na tyle zrujnowany, że odstraszał lokatorów, poza największymi desperatami. Właściciel nie remontował go od dwudziestu lat, czekając na dzień, kiedy chmury rozstąpią się i wychynie spośród nich Królowa Śnieżka, by ofiarować mu za nieruchomość prawdziwą fortunę. Na szczęście Spider mógł mimo wszystko liczyć na bieżącą wodę do

ciemni, a sufity na najwyższym piętrze, gdzie udało mu się wynająć dwa pokoje, były odpowiednio wysokie. Własne mieszkanie Spidera nadawało się na atelier dużo lepiej, ale cóż z tego, kiedy nie było tak korzystnie położone.

Spider postanowił przy pierwszej sesji zdjęciowej nie korzystać z modelek, z którymi zwykle fotografował bieliznę - dziewczyn o ciałach tak doskonałych, że nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby patrząc na nie, iż choć raz w ciągu osiemnastu lat życia myślały o noszeniu stanika czy pasa do pończoch. Zrezygnował ze zwykłych póz. Zwykle modelki ze zdjęć wyglądały jak adeptki baletu, przyłapano w bieliźnie na ćwiczeniach rozciągających, jak plażowe piękności, które przez pomyłkę zamiast bikini włożyły zwykłe majtki albo wreszcie jak kobiety podglądane przez obcego mężczyznę, który gdzieś w rogu zdjęcia podsuwa im bransoletkę z brylantem albo wsuwa w kadr stopę w wypolerowanym wieczorowym buciku.

Spider zdecydował się zamówić modelki po trzydziestce, z pewnością wciąż piękne, lecz o ciałach i twarzach niewątpliwie naznaczonych czasem. Wybudował też dekoracje, które do złudzenia naśladowały wnętrze przebieralni w dziale bieliźnianym domu towarowego. Z jedyne go krzesła i półeczki, umieszczanej zwykle w tych przybytkach ku niewygodzie klientek, zwieszały się całe góry wzgardzonych staników. Modelki zezowały podejrzliwie na swoje zwielokrotnione odbicia w lustrach, siadały na brzeżku jedyne go krzesła ubrane tylko w koszulkę i uspokajały nerwy papierosem, zdzierały z siebie za ciasne pasy, grzebały w torbach w poszukiwaniu szminki, która mogła zmienić obraz całej sytuacji - jednym słowem, na zdjęciach Spidera robiły

wszystko to, co zwyczajne kobiety, które muszą sobie kupić kilka sztuk nowej bielizny. Zdjęcia były zabawne i pełne uczucia, toteż nawet modelki, które z wyglądu rzeczywiście potrzebowały już bielizny, sprawiały wrażenie kształtnych, seksownych kobiet, dla których życie właściwie się dopiero zaczyna.

Również mężczyźni, którym wpadł w ręce kwietniowy numer *Fashion and Interiors*, czuli, że oglądają na własne oczy rytuał, do którego nie mają na co dzień wstępu - migawki z kobiecego misterium dużo bardziej tajemniczego niż to, które mogli oglądać na rozkładówkach w czasopiśmie z golizną. Czytelniczki z kolei porównywały się z modelkami - jak czynią to zawsze, bez względu na kompleksy, w jakie się wpędzają w ten sposób - lecz tym razem nie wpadały w rozpacz z własnego powodu. W gruncie rzeczy staniki ze zdjęć wyglądały rzeczywiście tak, jak gdyby służyły do normalnego podtrzymywania normalnej pary cycków. Jakież to dziwne... I jakie pocieszające.

Na widok stykówek z sesji Spidera redaktor prowadzący *Fashion and Interiors* zagroził odejściem i zaczął wrzeszczeć coś po węgiersku, choć normalnie wrzeszczał w takich sytuacjach po francusku. Słyszając to Harriet roześmiała się głośno.

Kiedy kwietniowy numer pisma wylądował na stoiskach, Spider zrobił już dla *Fashion and Interiors* następne trzy serie zdjęć: stronice z perfumami, w stylu tak przeraźliwie sentymentalnym i tak romantycznie wiktoriańskim, że krytyk filmowy postawiłby przy nich znaczek z trzema chusteczkami; cykl zdjęć obuwia, które fetyszyści z obsesją na punkcie stóp wycinali i włączali do stałej kolekcji; i wreszcie kolekcję zdjęć dziecięcych piżamek i koszulek nocnych, które przekonały niejedną

kobietę do tego, by dla eksperymentu odstawić pigułkę i zobaczyć, co się stanie. Przez cztery miesiące Spider był jednak na łasce i niełasce Harriet Toppingham, która wydzielala mu sesje zdjęciowe niczym skąpa gospodyni zmuszona do podania kawioru. Niewielkie sumy, które fotograf dostaje za stronice z modą (niewielkie w porównaniu z pieniędzmi za zdjęcia reklamowe) z ledwością wystarczają na film, krem do golenia i płatki śniadaniowe. Spider musiał dawać się zapraszać na obiady dziewczynom, z którymi akurat sypiał, mimo że agenci modelek kręcili nosem na taką praktykę.

Publikacja serii „bieliźnianej” nie przyniosła Spiderowi żadnych nowych zamówień na zdjęcia, bo chociaż domy towarowe były zachwycone wynikami kampanii, dyrektorzy agencji reklamowych - choć bardzo sobie cenili współpracę z ich drogą Harriet Toppingham - uznali, iż w tym wypadku redaktorka posunęła się jakby za daleko. Na szczęście nie byli równie złego zdania na temat cyklu o perfumach, który znakomicie do nich przemawiał. Toteż zanim upłynęło kilka miesięcy, pod koniec 1975 roku, Spider mógł śmiało uznać, że odniósł pewien sukces i że czeka go całkiem niezła przyszłość. Nie miał jeszcze trzydziestki, a dorobił się własnego studia fotograficznego, własnego aparatu Hasselblad i własnego sprzętu oświetleniowego. Od ukończenia studiów wszystko to zajęło mu prawie sześć lat.

* * *

Melanie Adams weszła do atelier Spidera w jeden z pierwszych dni maja 1976 roku. Do Nowego Jorku przyjechała dokładnie trzy dni wcześniej z Louisville w stanie Kentucky i z przerażającą niewinnością osoby naiwnej wmaszerowała najzwyczajniej w świecie do poczekalni w

agencji Ford. Zarówno Eileen, jak i Jerry Ford wiedzą na temat modelek więcej niż ktokolwiek w świecie, lecz obydwójce byli tego dnia poza miastem. Na szczęście ich agencja była tak czy inaczej najlepszym miejscem, dokąd mogła trafić dziewczyna o urodzie Melanie Adams. Fordowie zadbali o to, by ich personel umiał nie przegapiać cudów. Całe przedsięwzięcie tego typu opiera się wszak na założeniu, że naprawdę istnieje coś takiego jak cud prawdziwej piękności. Było oczywiście jasne, że uroda jest jak diament, który trzeba wydobyć i wyszlifować; Fordowie wynaleźli więc skomplikowany proces obróbki, każąc modelkom odchudzać się, chodzić do najlepszych fryzjerów, uczyć się siedzieć, stać i poruszać, a także wysyłając je do maksymalnie wielu fotografów w nadziei na to, że któryś z nich odkryje wreszcie możliwości tkwiące w dziewczynie.

Gdy pierwsza z asystentek Eileen rzuciła okiem na Melanie Adams, zdecydowała z miejsca, by dać sobie spokój z przygotowaniami, a jedynie sprawdzić czy dziewczyna o tak oszałamiającej piękności jest fotogeniczna. Jeden telefon do Spidera wystarczył, by umówić Melanie na próbną sesję - zdjęcia, które przywiozła ze sobą z Kentucky, były po prostu beznadziejne. Melanie nie pozowała nigdy zawodowcom, zaprezentowała więc fotki z rodzinnego albumu i szkolne zdjęcie pamiątkowe.

Melanie stała w progu uchylonych drzwi atelier Spidera, dopóki ten ostatni sam jej nie zauważył. - Cześć - powiedziała zażenowanym głosem, odgarniając na bok gęste włosy.

- Ludzie od Forda przysłali mnie na próbne...

Spider poczuł, że za chwilę dostanie zawału. Stał nieruchomo,

wpatrując się w dziewczynę. Czuł się tak, jak gdyby wszystkie kobiety, które spotkał dotąd w życiu, składały się na szybki montaż obrazów towarzyszących tytułowemu napisom filmu. Nareszcie kamera zrobiła najazd na twarz gwiazdy, nareszcie zaczyna się prawdziwa akcja. Już się zaczęła.

- Aha. Dzwonili do mnie. Czekałem na ciebie - odrzekł odruchowo, siłą nawyku. - No to zaczynajmy. Najpierw chcę zrobić parę klatek przy naturalnym świetle. Rzuć płaszcz na krzesło i stań tu przy oknie. Dobrze, teraz wyjrzyj - rozkazał Spider, myśląc w duchu: święty Boże, dziewczyna ma we włosach ze trzydzieści odcieni, od rdzawego po brunatnawy, a niektóre z nich nawet nie mają nazwy.

- W porządku, przysuń się teraz jeszcze bardziej do okna i wychyl się. Prawy łokieć oprzyj na parapecie, a profil zwróć w moją stronę. Podbródek do góry. Uśmiech. Jeszcze więcej. Teraz odwróć się do mnie i opuść najpierw rękę. Dobrze. A teraz podbródek. Spokojnie - komenderował Spider, który zrozumiał na szczęście, że tej modelce pasuje każde światło i każdy kąt. Gorzej, że przy tak drżących dłoniach ciężko mu będzie ustawić ostrość. - Wspaniale. Podejdź teraz i usiądź na krześle, przed reflektorami. Rozejrzyj się po atelier, rób co chcesz, w ogóle nie zwracaj uwagi na obiektyw.

Kiedy dziewczyna wykręcała głowę to w jedną, to w drugą stronę, Spider przyglądał się jej, wciąż nie mogąc wyjść z idiotycznego zaskoczenia gwałtownością swojej reakcji. Widok zamącił mu po prostu w głowie. Na próżno usiłował w tym, co czuje, dopatrzeć się jakiegokolwiek logiki. Uważał się zawsze za ostatniego człowieka na świecie, który zwraca uwagę na zwyczajną urodę dziewczyny. Uroda była założona z

góry, była pewnikiem, który Spider lekceważył, poza nią szukając prawdziwej osoby. Teraz jednak czuł, że chętnie strawi resztę życia próbując zrozumieć, co nadaje owo szczególne znaczenie twarzy, którą ma przed sobą. Dlaczego Melanie ma oczy osadzone w taki sposób, że widz domyśla się w nich i poza nimi nieustającej gry znaczeń? Dlaczego ten, a nie inny wykrój warg każe mu aż do bólu pragnąć obrysowywać je palcem, jak gdyby właśnie dotyk mógł wyjaśnić zagadkę? Uśmiech dziewczyny był leciuteńko rozwiązły, lecz zarazem znamionował wewnętrzną rezerwę. Układ kości twarzy podszeptował Spiderowi, że tej dziewczyny nigdy nie uda mu się osiąść w pełni. Istniała w sposób pełny i perfekcyjny, a mimo to umykała mu wciąż w niezrozumiały i drażniący sposób.

- Mam już wszystko, co trzeba - oznajmił wyłączając reflektory. - Podejź tu i usiądź - dodał, prowadząc dziewczynę na kanapę i siadając przy niej. - Powiedz mi jeszcze, ile masz lat. Czy kochasz swoich rodziców? A rodzice rozumieją cię? Czy ktoś cię kiedyś skrzywdził? Jakie jedzenie najbardziej lubisz? Kim był pierwszy chłopak, z którym się całowałaś? Byłaś w nim zakochana? Czy często miewasz sny?...

- Przestań w tej chwili! - przerwała dziewczyna. Jej głos miał południowy akcent, ostry, lecz podszyty odrobiną słodczy. Lodowato gorący głos piękności z Południa. - W agencji zapomnieli mi powiedzieć, że jesteś stuknięty! Po co zadajesz mi te wszystkie pytania, co?

- Słuchaj, ja tylko... Ja się po prostu w tobie zakochałem. Nie, proszę, nie uśmiechaj się. Boże! Gubię się w słowach, ale naprawdę nie robię żadnych sztuczek. Muszę ci wszystko powiedzieć, i to od razu, żebyś sama mogła się nad tym dobrze zastanowić... I nie rób takiej podejrzliwej

miny. Jeszcze nigdy nie powiedziałem kobiecie, że ją kocham - dopiero kiedy tu weszłaś... Proszę cię! Wiem, że to nie twoja wina, że tak na mnie patrzysz, ale spróbuj mi uwierzyć! - Spider chwycił dłoń dziewczyny i przycisnął ją sobie do piersi. Serce biło mu tak mocno, jak gdyby przebiegł parę kilometrów ratując życie. Melanie ze zrozumieniem podniosła brwi i nareszcie spojrzała mu prosto w oczy. Jej tęczówki były przezroczyste, tej samej barwy co trzymany pod światło kieliszek starego sherry. Melanie zdawała się szukać jakiejś ostatecznej prawdy, w pomieszaniu, lecz uparcie.

- Powiedz mi od razu, w tej chwili, co sobie myślisz - poprosił ją Spider.

- Nie znoszę, kiedy ludzie mnie o to proszą - odrzekła mu delikatnie Melanie.

- Ja też nie znoszę. Jeszcze nigdy nikogo o to nie prosiłem. Obiecuj mi tylko, że nie wydasz się zaraz za męża. Daj mi jeszcze szansę.

- Nic nikomu nie obiecuję - Melanie roześmiała się. Całe lata temu nauczyła się nie blokować sobie drogi obietnicami. Dzięki temu prędzej czy później oszczędzała sobie masy kłopotów. - A w ogóle, jak możesz wygadywać takie rzeczy? Przecież mnie nawet nie znasz!

Słowa Spidera nie zrobiły na Melanie zbyt wielkiego wrażenia, lecz dała się wciągnąć w całą tę zabawną sytuację, przyzwyczajona od wieku lat jedenastu do ciągłych miłosnych wyznań. Jej najwcześniejsze wspomnienia dotyczyły osób, które oświadczały jej, że jest śliczna. W głębi duszy nigdy nie uwierzyła w te zapewnienia, nigdy nie zadowolili się nimi - nie przez skromność, prędzej już dlatego, że aby uwierzyć, potrzebowałyby lepszego dowodu niż ludzkie słowa. Sama próbowała w

myślach nieustannie zrozumieć na własny użytek, co takiego właściwie widzą inni ludzie, gdy na nią patrzą. Melanie nie potrafiła jednak uchwycić całej żywej prawdy o sobie. Najskrytszym jej marzeniem było wyskoczyć z własnej skóry, stanąć obok, spojrzeć na siebie i ostatecznie zrozumieć, o czym to zapewniali ją wszyscy ludzie. Całe życie eksperymentowała więc z otoczeniem, chcąc poprzez ludzkie reakcje odkryć, kim jest.

- Nigdy nic nie obiecuję - powtórzyła, bo Spider zdawał się nie słuchać. - Na pytania też nie odpowiadam.

Siedziała teraz w omalże staroświeckiej pozie, nie garbiąc pleców, pełna uwagi, niczym grzeczna i potulna dziewczynka. Jej uśmiech niósł jednak w swym beczasowym spokoju także cień oczywistej prowokacji, jak gdyby dziewczyna była pewna zwycięstwa. Kiedy wstała, Spider również się zerwał.

- Zaraz! Poczekaj! Dokąd się spieszysz?

- Umieram z głodu. Najwyższa pora coś zjeść.

Spider poczuł ogromną ulgę. Jedzenie - nareszcie jakiś wspólny temat. Jeżeli dziewczyna bywa głodna, znaczy to, że jest człowiekiem jak wszyscy.

- Mam pełną lodówkę rozmaitych rzeczy. Usiądź na minutkę, zrobię ci kanapkę z pasztetem i szwajcarskim serem, najlepszą jaką jadłaś w życiu.

Przygotowując kanapki Spider bawił się pomysłem, by zamknąć drzwi, wyrzucić klucz i zatrzymać dziewczynę u siebie. Życie nie mogło mu zesłać piękniejszego prezentu. Chciał dowiedzieć się o Melanie wszystkiego, poczynając od dnia, w którym przyszła na świat. W myślach

zadawał jej już setki pytań, lecz odrzucał je po kolei, marząc zarazem, by dziewczyna sama opowiedziała mu wszystko. Może w ten sposób udałoby się wytłumaczyć to idiotyczne uczucie?

Spider nigdy nie zastanawiał się zbyt dużo nad sobą. Zamiast snuć refleksje, wolał zwyczajnie być, toteż udało mu się przeżyć radośnie masę lat bez uciekania się do autoanalizy. Nie rozumiał więc, że w gruncie rzeczy sam ukrywa przed sobą własną naturę, trochę przez to, że lubi tyle innych osób i wciąż kontaktuje się z nimi. Zakochanie się było dla niego jak upadek przez dziurę w podłodze, która jeszcze wczoraj wydawała się idealnie mocna. Spider był przygotowany na uczucie mniej więcej tak samo jak uczeń.

Nad kanapkami przestali się przerzucać pytaniami. Każde pytanie wydawało się Spiderowi niewłaściwe i sprzeczne z zasadami Melanie. Ta zaś nie przejmowała się milczeniem. Zawsze wolała milczeć, spokojna, wolna od cudzych pytań. Była zaabsorbowana samą sobą tak bardzo, że nie obchodziło jej specjalnie, co myślą i jacy są inni ludzie. Nic dziwnego, że inni - w jej odczuciu - zasypywali ją niepotrzebnymi wiadomościami na swój temat. Spoglądała jednak badawczo na Spidera, próbując w jego oczach przez mgnienie ujrzeć siebie. Obraz byłby oczywiście przeinaczony, lecz i on mógł jej wyjawić coś istotnego. Czasem, w zupełnej samotności, Melanie nieomalże czuła, że jest konkretną osobą o konkretnej twarzy i konkretnie zarysowanej postaci, ale zawsze okazywało się, że widzi w myślach aktorkę zapamiętaną z filmu. Melanie uśmiechała się jak kobieta z filmu i czuła, że twarz aktorki zakrywa jej własną twarzą niczym maska. Przez chwilę tylko czuła, co znaczy życie w prawdziwym świecie, lecz chwila ta przemijała, a Melanie znów zaczynała nie kończące

się poszukiwania.

Światło w atelier zmieniło się wraz z zachodem słońca. Spider rzucił okiem na zegarek.

- O rany! Za pięć minut zwałą się tu trzy bobasy z mamusiami. Mam pstrykać kostiumy na bal maskowy, a tu wszystko w proszku! - Spider zerwał się i popędził w drugi koniec atelier. Melanie ubrała się w płaszcz. Widząc to Spider zamarł w miejscu i odwrócił się z wyrazem skrajnego niedowierzania na twarzy.

- Zanim pójdziesz, powiedz mi jeszcze, jak ci na imię. Dwa tygodnie później jedna z dawnych dziewczyn Spidera zauważyła pod adresem koleżanki, stojącej pod wielkim lustrem w przymierzalni firmy Scavullo:

- Słyszałaś ostatnią nowinę?

- Co to znaczy nowinę? Dookoła same nowiny.

- Nasz wspólny boski przyjaciel, Spidy, wpadł nareszcie w zasadzkę. Trafiony, zatopiony.

- Co ty wygadujesz?

- Zabujał się. Nasz kochany kretynek zabujał się w nowej Grecie Garbo. Wiesz, o kim mówię - najnowsze odkrycie Eileen, El Misteriosa, Magnolia z Południa.

- Skąd takie wiadomości? Coś ci nie wierzę.

- Sam mi mówił. Inaczej też bym nie uwierzyła. Spider gada teraz tylko o niej. Zachowuje się tak, jakby osobiście wynalazł miłość. Oszalał, zachowuje się jak Cole Porter na koncercie. Rzygać mi się chce, jak na to patrzę. Sama pamiętasz, że Spider nigdy nie chciał, nigdy nie zgadzał się, żeby...

- Nie musisz mi mówić.

- Wiedziałam, że wiesz, co mam na myśli.
- Ech! Ta mała cipa z Południa!
- Niech jej się darzy.

Kiedy Billy Winthrop trzy miesiące przed terminem powróciła z Paryża do Bostonu, oznajmiła ciotce Kornelii, że przygnała ją tęsknota za domem i że przyszła jej nagła ochota, żeby, przed wyjazdem do szkoły Katie Gibbs w Nowym Jorku, spędzić lato w Chestnut Hill razem z rodziną. Ciotka Kornelia z całym przekonaniem udała, że wierzy w to kłamstwo, którego bezwstydnosc uszlaby uwagi większości bostończyków, darzących swoje miasto i okolice uczuciem daleko większym niż Paryż. Ciotka nie dała się jednak zwieść. Z ostatniego listu Lady Molly dowiedziała się wszystkiego o tym, jak okropnie ten szczeniak de la Côte de Grace wykorzystał jej bratanicę i puścił ją w trąbę. Wiedziona macierzyńskim sentymentem ciotka chciała już powiedzieć Misi - Billy - jak bardzo jest jej żal z powodu takiego obrotu sprawy, lecz bratanica zachowywała się tak wyniośle i poważnie, iż rozmowy na intymne tematy po prostu nie wchodziły w grę.

Nie mówiąc już o wyglądzie Billy! Od plotek na ten temat huczało w całym Bostonie - w tej części Bostonu, która się naprawdę liczy. Patrząc na swoje własne, przeciętnawe córki mamy z arystokratycznych rodów z biegiem czasu prawie wybaczyły Billy jej wysmukłe ciało, masę ciemnych włosów, wspaniały sposób poruszania się i nieskazitelną cerę, lecz stawało się to powoli i stopniowo, było zaś w ogóle możliwe tylko dlatego, że winowajczyni należała do Winthropów. Tak długo myślano o dziewczynie jako o żalostnej, grubej, beznadziejnej Misi, że nawet najpogodniej usposobionym paniom trudno było spokojnie przyjąć fakt, że mała Winthrop powróciła z Francji jako oszałamiająca piękność. Gdyby od urodzenia cieszyła się podobną urodą, wtedy co innego, lecz czy tak późna

przemiana nie jest rażąco niesprawiedliwością? Za bardzo trzeba się później przyzwyczajać, zmieniać myślowe nawyki, zupełnie tak, jak gdyby do miasta zjechała przepiękna nieznajoma, niepodobna do nikogo z bliskich i w stroju o fasonie raczej unikalnym w Bostonie, by powitać wszystkich z poufałością członka rodziny. Billy rzeczywiście należała do rodziny. Jakże to irytujące!

Rówieśniczki Billy nie mogły przełknąć tej przemiany. Kaczątka mogą się zmieniać w łabędzia w baśniach braci Grimm, lecz w Bostonie tego rodzaju gesty to czysty kabotyzm, popisywanie się, szczerze mówiąc, zachowanie odrobinę... wulgarne.

Również ciotka Kornelia wdawała się w te słowne utarczki.

- Amando, wstyd mi za twoją Pisie i jej narzekania. Przypadkiem usłyszałam wczoraj przy stoliku w Myopii, jak mówi o mojej Billy, że to „absurdalne” zmieniać imię w jej wieku. Może jednak zechcesz sobie przypomnieć, że Billy nosi imię Wilhelminy, twojej własnej kuzynki z bocznej linii, więc niczego nie musiała „zmieniać”. Wróciła po prostu do poprzedniego imienia. A dalej, co ty na to, że „Billy nie ma pojęcia, jak się ubrać, żeby kibicować przy grze w polo”? Gdyby twoja Pisia choć raz wystąpiła w innym stroju niż bryczesy, może wtedy okazałoby się, że potrafi się ubierać. A jej przezwisko? Mamy ją wszyscy nazywać Pisią, dopóki sama nie zostanie babcią? Na twoim miejscu, Amando, napisałabym do Lilianne de Vertdulac i zapytała, czy nie znalazłby się u niej w przyszłym roku pokój dla twojej córki. Dziewczynie nie stanie się krzywda, jeśli się przekona, że także poza stajnią istnieje jakieś życie.

W rozmowach z Billy Kornelia była szczerą, lecz bardzo miłą:

- Billy, mam wrażenie, że twój pobyt w Paryżu pociągnął za sobą

większe wydatki, niż myślałaś.

- Niestety tak, ciociu. Trochę się zagalopowałam...

- Bzdura. Dziewczyna o twojej urodzie zasługuje na to, by sobie kupić w Paryżu trochę drobiazgów. Nie obwiniam cię ani przez sekundę za te wszystkie ubrania. Potrafisz je nosić, a co istotniejsze, kupiłaś je za własne pieniądze. Sama byłam już skłonna wysłać ci poważny czek na nową garderobę, ale byłaś tak pulchna, że nie miało to wielkiego sensu.

- Pulchna! Jaka jesteś oględna, ciociu Kornelio... Byłam wielka i tłusta jak krowa. Sama powiedz!

- Ha, nie spierajmy się o słowa. Byłaś zupełnie kimś innym i tyle. Nie o to chodzi - teraz najważniejsza jest przyszłość. Co ty na to, żeby zostać w Bostonie i mimo wszystko pójść na studia na Wellesley? - zapytała ciotka z nadzieją, świadoma faktu, że odmieniona Billy może wyjść za każdego mężczyznę, o którym zamarzy. Po co iść do Katie Gibbs i uczyć się, jak zostać nudną sekretarką?

- Wielki Boże, wszystko tylko nie to! Na jesieni będę miała dwadzieścia lat. W tym wieku znów iść do szkoły?

Kornelia tylko westchnęła.

- Rzeczywiście, ta strona medalu nawet mi nie przyszła do głowy. Ale, ale, czy na pewno tak ci zależy na odjeździe z domu? Wiesz, że wujek i ja sama uwielbiamy twoje towarzystwo.

- Wiem o tym, ciociu Kornelio, i bardzo się cieszę, ale muszę uciec z Bostonu, przynajmniej na trochę. Znam tu wszystkich od urodzenia, ale nie mam ani jednej przyjaciółki. Rozmawiam właściwie tylko z tobą i z wujkiem Georgiem. Ojciec cały się zagrzebał w badaniach. Po powrocie ledwo na mnie rzucił okiem. Powiedział mi: „Zawsze wiedziałem, że

odziedziczyłaś kościec po Minotach” i wrócił do pracy. Bardzo trudno mi to wytłumaczyć, ale zaraz kiedy powróciłam, znowu zaczęłam się czuć jak dziwadło. Inaczej niż poprzednio, ale i tak dziwnie. Francuzi powiedzieliby, że nie czuję się tu dobrze we własnej skórze. Chcę wyjechać gdzieś, gdzie nikt nie będzie podchodził do mnie i mówił: „Boże, a cóż to się z tobą stało? Musiałaś strasznie schudnąć! Nie wierzę własnym oczom. To ma być gruba Misia Winthrop?!”

Kornelia zrobiła współczującą minę. Sama słyszała nieraz identyczne słowa.

- Ciociu Kornelio, obiecałaś mi przecież, że kiedy wrócę z Paryża, pojedę do szkoły Katie Gibbs.

- Ależ, moja droga, nie sądziłam, że trzeba się przy tym upierać, zwłaszcza w twojej sytuacji. Masz w tej chwili tyle innych możliwości. Wydzwania do ciebie tylu wspaniałych chłopaków...

- Tylu wspaniałych dzieciaków, chciałaś powiedzieć. Czuję się od nich o dziesięć lat starsza. Nie mogę siedzieć w Bostonie, zajmować się filantropią i żyć twoim i wujka kosztem, dopóki nie poślubi mnie ktoś, kto nie jest zupełnym szczeniakiem. Ale pomyśl, tylko to mnie czeka, jeżeli zostanę w Bostonie.

- Kochanie, wszystkie byłyśmy kiedyś w takiej sytuacji.

- Nie udawaj, ciociu, że nie rozumiesz, o co chodzi.

- Owszem, doskonale to rozumiem. Moim zdaniem masz zupełną rację, więc chociaż przykro mi będzie się z tobą rozstać, sama nie bardzo cię widzę w klubie pań domu. - Mówiąc to Kornelia boleśnie odczuwała utratę bratanicy, ponieważ jednak życie nauczyło ją godzić się z tym, co nieuniknione, oświadczyła: - Cóż, w takim razie szkoła Katie Gibbs!

Jak zwykle, pocieszenie znalazła organizując cudze życie z właściwą sobie sprawnością i talentem. Co tu kryć, założona w 1911 roku szkoła sekretarek Katharine Gibbs to w Stanach Zjednoczonych jedyna tego typu uczelnia, na którą bez żadnej ujmy mogą wstępować dziewczęta z dobrych domów. Adeptki muszą obowiązkowo nosić kapelusze i rękawiczki, a opinia o zawieranych tam znajomościach dorównuje sławie szkoły, która kształci pierwszorzędne sekretarki.

Nim upłynął tydzień, Kornelia znalazła dla Billy odpowiednią współlokatorkę. Jedna z jej starych przyjaciółek z lat studiów miała córkę, która pracowała w Nowym Jorku i mieszkała w bardzo, ale to bardzo, porządnej dzielnicy. W mieszkaniu był wolny pokój, który matka dziewczyny chciała za wszelką cenę wynająć. Kornelia zdobyła się nawet na to, by z własnej kieszeni zapłacić chesne w szkole za rok z góry, wychodząc ze słusznego założenia, że po paryskich wydatkach Billy nie będzie miała pieniędzy ani na szkołę, ani też na życie. Pod pozorem, że trzeba skorzystać z sierpniowych wyprzedaży w sklepach kuśnierskich, Kornelia zaciągnęła Billy do sklepu Roberta - Neustadtera przy ulicy Newbury i na dwudzieste urodziny sprezentowała jej dopasowane, jedwabiste futro z czarnych fok, o kloszowym kroju, z paskiem z tyłu, z kołnierzem i rękawami obszytymi ciemną norką.

- Stare schowaj sobie na czarną godzinę - doradziła, broniąc się przed uściskami zachwyconej Billy. Szczodrobliwość Kornelii nie miała granic, nie znosiła tylko, kiedy ktoś zwracał na to uwagę.

Siedząc w wagonie pierwszej klasy w upalny duszny dzień w pierwszym tygodniu września 1962 roku, Billy - która z dworca Back Bay w Bostonie jechała na nowojorską Grand Central Station - czuła w żołądku

mdlący ucisk, ilekroć pomyślała o czekającym ją wkrótce spotkaniu ze współlokatorką Jessiką Thorpe. Jakże wyniosłe brzmienie nazwiska - wykrochmalone, kostyczne, zaabsorbowane tylko sobą... Co gorsza, Jessica miała dwadzieścia trzy lata, była podobno najlepszą absolwentką na całym Vassar i pracowała w redakcji magazynu Mc CaWs. Zdaniem Billy była to przerażająca suma zalet. Nawet do pochodzenia Jessiki trudno się było przyczepić, jako że obydwójce jej rodzice wywodzili się z najstarszych rodzin w całym Providence w stanie Rhode Island. Oczywiście znacznie lepiej jest się wywodzić z Bostonu, jak uważała ciotka Kornelia, lecz Providence to i tak szlachetniejsze miejsce niż Nowy Jork. Co więcej, Jessica mieszkała przy 82 Ulicy, między Park a Madison Avenue. Samych tych szczegółów wystarczyło, by przekonać Billy, iż jej nieubłagana, nieunikniona współlokatorka okaże się przemądrzałą, skupioną na sobie sprawną karierowiczką, która doskonale wie, co robić w życiu. Może na dodatek okazać się, o zgrozo, intelektualistką.

Podły poranek miała tego dnia także Jessica Thorpe. Zaczęło się od tego, że Natalie Jenkins, sekretarz redakcji pisma, podarła na strzępki ostatni artykuł Jessiki na temat Franka Sinatry. Artykuł napisał znany lew salonowy, Jessica zaś miała tylko przerobić tekst, poprawiając w nim „kropki i przecinki”. Siedziała nad tym zadaniem przez kilka tygodni, próbując pokrętnym anegdotom i kalekiej składni nadać potoczność, która byłaby na miejscu w kobiecym czasopiśmie. Pani Jenkins, słynąca jako pierwsza dziennikarka, która bez zmrużenia oka wypija z kolegami poczwórne martini, wyśmiała pierwszą wersję tego, co jej przyniosła Jessica, krzywiła się na drugą wersję, a trzecią owszem, przyjęła, ale tylko po to, by w trzy kwadransy osobiście ją przerobić, wydzierając z artykułu

flaki i starannie usuwając wszystkie istotniejsze akapity. Artykuł zmienił się w tradycyjne babskie ple - ple, lecz dzięki temu udało się zadowolić panią Jenkins, siedzącą teraz z triumfem przy maszynie. Jenkins po raz kolejny udowodniła, że bez jej pomocy nikt w całej redakcji nie umie napisać nic porządnego.

Jakby nie dość było tych koszmarów, po południu miała się zjawić Dziewczyna z Bostonu. Wilhelmina Hunnenwell Winthrop. Na samą myśl o niej Jessica zaczynała sobie rwać włosy z głowy - delikatne i puszyste jak na obrazach prerafaelitów. Dzień taki, że ręce opadają. Mówiąc nawiasem, niezależnie od okoliczności, Jessice ciągle coś opadało: spódnice, za sprawą zbyt szczupłych bioder (ich właścicielce nigdy nie przyszło do głowy, że ubrania można zwężać); bluzki, gdyż właścicielka zapomniała wsadzić je w spódnicę; i wreszcie ramiona, gdyż mimo dość niskiego wzrostu Jessica wiecznie się garbiła. Jednakże nawet kiedy czuła się przybita, Jessica robiła nieodparte wrażenie na mężczyznach. Na widok rozburzonych włosów i nieporządku w stroju Jessiki mężczyźni odruchowo wręcz uznawali, że kobietom dopiętym i wyprostowanym zbywa na kobiecości. Jessica miała mały zadarty noseć, niewielki podbródek, ogromne, smutne, fiołkowe oczy i śliczne szerokie czoło. Kiedy otwierała w zdumieniu milutkie usta, wszystkich jej adoratorów ogarniała niepowstrzymana chęć, by ją pocałować. Kiedy nie otwierała ust, czuli zresztą dokładnie to samo.

Mężczyźni byli ulubionym hobby Jessiki, która dotąd sądziła, że udaje jej się świetnie ukrywać to niebezpieczne przyzwyczajenie przed matką. Chyba jej się to jednak nie udało, bo jak inaczej wytłumaczyć usilne matczyne namowy, by Jessica zamieszkała z koleżanką albo też

przeprowadziła się do Hotelu dla Pań „Barbizon”, prawdziwego Alcatraz dziewiczej czystości? Dziewiczość była zaś u Jessiki jednym z najmniej cenionych przymiotów.

Trudno się dziwić, że Jessica wzięła Dziewczynę z Bostonu za nasłanego przez matkę szpiega. Idąc zgarbiona do domu pod ostrzałem męskich spojrzeń i psując na cały wieczór spokój tuzinowi mężczyznom, którzy jechali z nią autobusem w górę Madison Avenue, Jessica rozmyślnie lekceważyła wbijane w siebie oczy. Każdemu gapiącemu się na nią mężczyźnie poświęcała ułamek sekundy i wystawiała mu ocenę w skali od jednego do dziesięciu. Jej jedyne kryterium brzmiało: „Jak dobry byłby ten facet w łóżku?” Aby uzyskać ocenę niższą niż cztery, mężczyzna musiał się bardzo starać, jako że Jessica cierpiała na krótkowzroczność, a przy tym nie znośła chodzić w okularach. Przeciętnie w ciągu tygodnia Jessice udawało się spotkać kilkadziesiąt szóstek i siódemek, bo choć z racji słabego wzroku nie miała nigdy całkowitej pewności, dla spokoju sumienia zawyżała wszystkim ocenę.

Ponieważ była godzina szczytu, Billy długo nie mogła złapać taksówki i zjawiła się pod wskazanym adresem dopiero o wpół do siódmej, konając ze zdenerwowania. Portier zadzwonił z hallu na górę zapowiadając jej przybycie, Jessica zdążyła więc w ostatniej chwili ukryć pięć męskich skarpetek nie od pary, męski pasek firmy Brooks Brothers oraz irygator. Czy samotna dziewczyna używa irygatora? Jessica była zbyt przerażona, by umieć sobie odpowiedzieć na takie pytania. Stała więc tylko w otwartych drzwiach mieszkania, patrząc jak pomocnik portiera ciągnie na wózku stertę niezwykle drogich walizek. Za wózkiem postępował drugi portier, a za nim - jak wydało się krótkowzrocznej

Jessice - kroczyła Amazonka. Kiedy portier wnosił bagaże, Jessica wymieniła z wysoką, zamazaną postacią słowa przywitania i z bólem czekała na chwilę, kiedy zostaną wreszcie sam na sam. Amazonka stała nieruchomo pośrodku dużego pokoju, niema i niepewna, co zrobić. Billy potrafiła znakomicie się znaleźć w każdej sytuacji, nawet przy obcych, pod warunkiem że mówiła z nimi po francusku. Perspektywa dzielenia dachu z dziewczyną z jej sfery, lecz trzy lata starszą i o niebo mądrzejszą, cofnęła Billy wprost w piekło dawnych kompleksów, które odbijały się na jej charakterze przez pierwszych osiemnaście lat życia. Widok malutkiej Jessiki, tak drobnej, że prawie kruchej, sprawił, iż Billy nieoczekiwanie poczuła się przeraźliwie ogromna, jak gdyby znowu utyla.

Kiedy portier zniknął, Jessica przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Proszę, może usiadzimy? - zaproponowała bojaźliwie. - Na pewno jesteś strasznie zmęczona po... Tak dziś gorąco.

Tu Jessica niepewnym gestem wskazała obcej dziewczynie fotel. Wysoka postać usiadła z westchnieniem, w którym było zmęczenie i ulga. Jessica rozpaczliwie szukała wspólnego tematu do rozmowy, sposobu, by wydobyć z obcej choć jedno słowo.

- Bo może... - zaczęła - może byśmy się czegoś napiły? Cała się trzęsę z nerwów...

Na te pełne przyjaźni słowa groźna Amazonka wybuchnęła płaczem, Jessica zaś, dotrzymując jej towarzystwa, także się rozplakała. Płacz był jednym z jej ulubionych zajęć i - jak się przekonała - potrafił bardzo pomóc w trudnych chwilach.

Po pięciu minutach Jessica nałożyła wreszcie okulary i dokładnie się

przyjrzała Billy. Całe życie chciała wyglądać jak Billy, co zaraz jej zresztą oświadczyła. Billy odrzekła, że zawsze marzyła o tym, by wyglądać jak Jessica. Obie mówiły szczerą prawdę i zdawały sobie z tego sprawę. W ciągu dwóch godzin Billy zdążyła powiedzieć wszystko o Edouardzie, Jessica zaś wyznać wszystko o trzech dziewiątkach, z którymi przeżywała właśnie romans. Od tej pory ich przyjaźń zaczęła urastać w postępie geometrycznym. Wkrótce Billy i Jessica zrozumiały, że nie starczy im prawdopodobnie czasu, by powiedzieć sobie wszystko, co mają do powiedzenia. Zanim o czwartej nad ranem zniknęły w swoich sypialniach - najpierw wyciągnąwszy ceremonialnie z ukrycia irygator Jessiki - z wielką powagą poprzysięgły sobie, że nikt w Nowym Jorku, Providence ani w Bostonie nie dowie się od nich o współlokatorce niczego poza nazwiskiem i sakramentalną formułą: „Tak, bardzo miła dziewczyna”. Danego wówczas słowa dotrzymały obie przez całe życie.

* * *

Kiedy Billy wysiadła z windy u wejścia do szkoły Katharine Gibbs, przywitał ją najpierw przenikliwy wzrok przełożonej, patrzącej na nią z portretu, który wisiał nad biurkiem recepcjonistki. Pani Gibbs nie wydała się Billy okropna, wyglądała po prostu tak, jakby wiedziała wszystko o danej osobie i tylko nie podjęła jeszcze decyzji, czy mają zganić. Billy kątem oka spostrzegła, że ktoś z personelu stoi przy windzie i sprawdza, czy dziewczęta mają kapelusz i rękawiczki oraz czy makijaż jest dyskretny. Wszystko to na szczęście nie sprawiało kłopotu dziewczynie, której wpajano od dziecka miejscowe zwyczaje.

Kłopot sprawiał jej natomiast niejaki Gregg. Billy przeklinała serdecznie Gregga i Pitmana, choć nie знаła tych dżentelmenów bliżej.

Skąd w Greggu i Pitmanie tyle okrucieństwa, by wynaleźć system stenografii? Billy zastanawiała się nad tym bez końca wśród rozbrzmiewających co godzinę piekielnych dzwonków, lecz z wymaganą precyzją notowała wszystko i biegała z sali stenografowania do sali maszynopisania i z powrotem. Wiele spośród jej koleżanek miało już pojęcie o maszynopisanu przed przyjściem do Katie Gibbs, lecz nawet te, które wyobrażały sobie, że są lepsze od innych, przekonały się prędko, jak niewiele umieją. Kiedy się było „adeptką Gibbs”, trzeba było osiągnąć poziom wydajności, który Billy wydał się po prostu niemożliwy. Czy naprawdę ktoś wyobraża sobie, że nawet po ukończeniu kursu można stenografować w tempie stu słów na minutę i bezbłędnie wystukiwać na maszynie sześćdziesiąt słów na minutę? Billy przekonała się jednak, że można.

Już po tygodniu zdała sobie sprawę, że nie ma sensu mieszanie Gregga i Pitmana z błotem i że ze stenografią trzeba się pogodzić tak samo jak z prawem powszechnego ciężenia. Identycznie wyglądało w przypadku Billy odchudzanie. Cierpiała bardziej, niż mogła to sobie później wyobrazić, lecz opłacił jej się ten wysiłek. Każda z dziewcząt знаła inną wersję o absolwentce Gibbs, która została sekretarką ważnego senatora albo słynnego biznesmena, po czym zrobiła oszałamiającą karierę. Billy przekonała się, że jej obsesyjne dążenie do celu w tym przypadku raczej jej pomaga niż przeszkadza, pozwala z dużą pewnością siebie pogрузić się w pracę i wierzyć, że na pewno uda się sprostać zadaniu i oswoić z nową umiejętnością.

Jessica z kolei zamartwiała się tym, że Billy nie ma swoich - jak to delikatnie nazywała - „narzeczonych”.

- Ależ, Jessie, nie znam w Nowym Jorku żywej duszy, a poza tym przyjechałam tu popracować. Wiesz, jak mi zależy na tym, żeby zarobić trochę pieniędzy i zacząć własne życie.

- Ilu facetom się dzisiaj przyglądałaś, Billy? - zapytała Jessica zbywając milczeniem życiowe ambicje przyjaciółki.

- Czyja wiem? Dziesięciu albo piętnastu... Coś koło tego.

- Ile im dałaś punktów?

- Ależ Jess! Nie bawię się w te gry. Zostawiam je tobie.

- Tak właśnie myślałam. Jeżeli nie patrzysz na nich ani ich nie oceniasz, w ogóle nie będziesz umiała poznać, że spotkałaś ósemkę albo dziewiątkę.

- A jaka to różnica?

- Wiesz, Billy, zastanawiałam się nad tobą. Jesteś typowa, jak ten przysłowiowy jeździec, który spadł z konia i będzie bał się jeździć, jeżeli od razu znowu na niego nie wsiądzie. Zwyczajnie boisz się mężczyzn z powodu tego, co ci się przytrafiło, mam rację? - zamruczała Jessica swym delikatnym głosem, lecz Billy znała ją na tyle, by wiedzieć, że pod słodką powierzchownością przyjaciółka ukrywa błyskotliwą inteligencję i nie warto się z nią spierać. Jessica potrafiła widzieć przez ściany i zamknięte drzwi.

- Pewnie masz rację - odparła więc Billy ostrożnie - tylko co z tego? Nawet gdybym chciała kogoś poderwać, wejdź w moje położenie. Nie mogę przecież zaczepić mojej dziewiątki na ulicy, prawda? Nie patrz tak na mnie, Jessie - podejrzewam, że nawet ty byś nie wybrała takiej metody. Co mi pozostaje? Napisać do cioci Kornelii, która napuści na mnie swoich nowojorskich przyjaciół. Ciotka wygrzebie gdzieś zaraz „miłego

kawalera” ze smyczą, której drugi koniec trzyma ktoś w Bostonie, a jeżeli coś zajdzie między mną a nim, za tydzień będzie o tym głośno w klubie Vincent. Nie masz pojęcia, jakie to plotkary! Nie mogę nikomu, ale to nikomu wyjawić, co robię. Mam zamiar ukończyć Gibbs, dostać świetną pracę, zrobić karierę, dojść na sam szczyt i nigdy nie powrócić do Bostonu!

- A kto mówi, że masz się wiązać z kimś z własnego kółka, idiotko? - przerwała jej Jessica obrażonym tonem. - Sama bym tego nie zrobiła, przenigdy. Wszystkie moje wspaniałe dziewiątki nie mają bladego pojęcia, kim jest moja rodzina i zupełnie ich nie obchodzi, skąd pochodzę. W głowie by mi nie powstało zadawać się z kimś, kto mógłby się później okazać znajomym mojego przyszłego męża - jeśli znajdę sobie jakiegoś bałwana, oczywiście. Sztuka polega na tym, żeby wyjść na zewnątrz.

- Na zewnątrz?

- Kretynko - jęknęła Jessica, uśmiechając się w duchu na myśl o życiowym niedoświadczeniu Billy - trzeba wyjść poza własne środowisko. Nie masz nawet pojęcia, jak ciasny jest światek, w którym się obracasz. Wszyscy wszystkich znają, rozmaici ludzie kontaktują się z twoimi ciotkami w Bostonie, w Providence i w Baltimore czy w Filadelfii, wszyscy spotykają się co chwila w Nowym Jorku, ale to jeszcze nie musi oznaczać, że nie stracą cię z oczu. Wystarczy, że zrobisz maleńki, maluśki krok w bok.

- Dalej nie rozumiem, jakim cudem mogę im zniknąć - westchnęła Billy. Jessica miała zwyczaj owijania wszystkiego w bawełnę.

- Weź się za Żydów. - Jessica uśmiechnęła się do Billy niczym najsprytniejsza kotka na całym podwórku, kotka, której udało się zdobyć

monopol na sardynki i bitą śmietanę. - Żydzi są najlepsi. Sami też nie chcą spać z dziewczynami z porządnych żydowskich domów, bo tak samo jak my mają powiązania rodzinne, znajomych, i tak dalej. Wszystkie moje dziewiątki to Żydzi.

- A co się stanie, jeśli spotkasz żydowską dziesiątkę?

- Wezmę nogi za pas, a przynajmniej spróbuję. Ale, ale, nie zmieniaj tematu. Ilu Żydów zdążyłaś już poznać?

Odpowiedziało jej puste spojrzenie.

- Musisz znać choćby paru - zdumiała się Jessica.

- Chyba nikogo nie znam, oprócz tego miłego sprzedawcy w sklepie z butami u Jordana Marsha - odrzekła zaskoczona Billy.

- Beznadzieja. Tego się mogłam spodziewać. A przecież nikt nie potrafi lepiej od nich - mruknęła sama do siebie Jessica z dziwną mgiełką w fiołkowych oczkach. Umysłem prymuski przepatrywała już, wybierała i rozważała rozmaite możliwości.

- Czego nie potrafi lepiej? - zapytała Billy. Nie słyszała dotąd, by ktoś nie potrafił czegoś lepiej od Żydów, chyba że chodziło o grę na skrzypcach, szachy, no, był jeszcze Albert Einstein i Jezus, ale ten się chyba nie liczył, bo się przecież przechrzcił?

- Nie potrafi lepiej się kochać - odrzekła z roztargnieniem Jessica.

* * *

Billy sama przekonała się wkrótce, że to prawda i zaczęła chodzić z żydowskimi chłopakami do łóżka z entuzjazmem, na jaki nie umiała się zdobyć nawet Jessica. Żydzi przypominali jej w pewien sposób Paryż, gdyż tworzyli osobny świat: nowy ład, krainę swobody, obcy świat, który był zabroniony, a więc tym bardziej podniecał. Przed nowym, nieznanym i

tajnym światem nie musiała mieć żadnych tajemnic. Jakaś Winthrop? Z Bostonu? Fakty interesujące może dla historyka, ale praktycznie bez żadnego znaczenia. Nawet gdyby jej nowi znajomi ukończyli Harvard, z pewnością nie znalazłby żadnego z kuzynów Billy, bo nikt nie wprowadziłby ich przecież do żadnego z ekskluzywnych klubów, może tylko do kółka szachowego. Jednak na wszelki wypadek Billy nie spotykała się z nowo poznanymi absolwentami Harvardu więcej niż raz i nie pozwalała, by ją całowali. Zasada ta dotyczyła nawet dziewczątek. Świat wydawał się tymczasem roić od dziewczynek - wyglądał jak wielka kraina, pełna nieprzebranych zastępów żydowskich dziewczynek. Wystarczyło tylko wiedzieć, gdzie ich szukać. Billy stała się wkrótce ekspertem w sztuce poszukiwań. Otarła się dzięki temu o telewizję NBC, CBS i ABC, o firmę Doyle-Dane-Bernbach, o agencję reklamową Greya, tygodnik Newsweek, wydawnictwo Viking, redakcję New York Timesa, radio WNEW, wydawnictwo Doubleday, program szkolenia kadr menadżerskich w sklepach Sachs'a i Macy... Lista była bogata i, zdawało się, niewyczerpana.

Wkrótce też Billy nauczyła się unikać Żydów niemieckich, których rodziny osiedliły się w Stanach wiele pokoleń temu. Niemieccy Żydzi mieli ten denerwujący obyczaj, że posiadali często matki rodem z kręgu kościoła episkopalnego, a zatem pośrednio mogli znać klan Winthropów. Billy radziła Jessice, by ta trzymała się Żydów rosyjskich, najlepiej takich, których rodzice lub dziadkowie przybyli do Ameryki jako imigranci. Ci zresztą okazywali się zwykle najlepsi.

Właśnie dzięki Żydom Billy dowiedziała się, jak bardzo jest zmysłowa. Sama nigdy by siebie o to nie podejrzewała. Stopniowo

nauczyła się zstępować w głębiny, dawać się unosić prądom, zachłannie zaspokajać swoje apetyty - apetyty te rosły tymczasem. Billy zaś miała coraz większą ochotę, by się rozkoszować swoją władzą, głaszcząc wyprężony, napęczniały członek przez drogi materiał spodni. Wiedziała, że potrafi jednym szybkim ruchem wyłuskać zdobycz, wziąć ją do ręki i trzymać, gładką, rozgrzaną i drżącą. Czuła coraz częściej ochotę na ową elektryzującą chwilę, kiedy gładząca ją powoli męska ręka dotykała wreszcie łechtaczki w jej mokrym już, zaróżowionym gnieździe, błagającym, by je dotykać, gładzić, jeszcze i jeszcze. Billy miała coraz większą ochotę czekać w napięciu, aż do bólu odwlekając chwilę, gdy nowy kochanek rozewrze jej delikatnie srom czubkiem swojego członka, ona zaś kolejny raz zrozumie, co czuje mężczyzna, kiedy w nią wejdzie do samego końca.

Seksualne napięcie tak się udzieliło Billy, że często w przerwie przed kolejną lekcją u Katie Gibbs musiała się wymykać do toalety i zamknięta w kabinie wsuwała sobie palec między uda, doprowadzając się pospiesznie do milczącego orgazmu. Również w stenografii robiła coraz mniej błędów.

Od dziewiątek, których nie kochała, Billy doczekała się siedmiokrotnie oświadczyn. Z żalem musiała się więc rozstać kolejno z całą siódemką. Byłoby z jej strony niesprawiedliwością kontynuować grę i trzymać chłopaków na sznurku po tym, jak zadeklarowali swoje szlachetne intencje. W tym samym czasie mężczyźni oświadczyli się Jessice dwanaście razy, lecz przyjaciółki postanowiły nie uznać tej różnicy, jako że Billy oświadczała się wyłącznie mężczyźni o wzroście powyżej metra osiemdziesiąt, podczas gdy kurczakowata Jessie mogła liczyć na znacznie większe wzięcie.

Koniec końców, z nadejściem lata Billy, która kończyła już szkołę, uznała razem z Jessiką, że był to dla nich bardzo udany rok: rok, który się pamięta. Była wiosna 1963 roku, John F. Kennedy sprawował rządy, a Billy, która wkrótce miała zacząć wizyty w firmach w poszukiwaniu pracy, na żądanie ciotki Kornelii odwiedziła salon kapeluszniczy w luksusowym sklepie Bergdorfa-Goodmana i zamówiła sobie pierwszorzędny model od Halstona - osobistego kapelusznika Jackie Kennedy.

- Chcę wyglądać jak osoba inteligentna, pracowita, zdolna i elegancka, ale bez przesady - surowo przykazała Billy przy składaniu zamówienia.

Rok zajęć u Katie Gibbs w połączeniu z surową szkolną dyscypliną i wysokim poziomem kursów, a także z odkryciem nieskończonych możliwości, jakie niesło jej w podarunku własne ciało, nadały Billy ostateczny szlif, dopełniając przemiany, która zaczęła się w Paryżu. Choć Billy dzieliło od dwudziestych pierwszych urodzin jeszcze pięć miesięcy, wyglądała jak wspaniale rozkwitająca dwudziestopięciolatka. O efekcie zadecydowały zapewne jej wzrost i postawa. Billy sprawiała wrażenie gwiazdy baletu, czekającej za kulisami na wejście na scenę. Być może decydował też jej wytworny bostoński akcent, trochę tylko przytemperowany pobytem w Emery, Paryżu i Nowym Jorku; może również sposób, w jaki nosiła ubrania. Niezależnie od przyczyny, Billy w każdym zgromadzeniu rzucała się w oczy jak flaming, który stanął w stadku nowojorskich gołębi. Dziewczyna fantastyczna pod każdym względem.

- Linda Force? Nie powiesz mi chyba, że chcesz pracować u kobiety?

- wykrzyknęła z niedowierzaniem Jessica. - To idiotyzm. Mało ci moich opowieści o Natalie Jenkins?

- Po pierwsze, chodzi o pieniądze. Firma oferuje mi najwyższą stawkę. Chcą płacić na początek sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, dwadzieścia pięć więcej niż inne firmy. Po drugie, miałabym pracę w wielkiej korporacji, gdzie ma się nieograniczone możliwości awansu: w górę, w górę, a potem do widzenia! Moja szefowa ma dobry układ z kierownictwem korporacji. Jest główną asystentką Ikehorna, tego tajemniczego faceta z pieniędzmi. Poza tym spodobała mi się, kiedy ze mną rozmawiała, a ja spodobałam jej się także. Czasem daje się wyczuć takie rzeczy, wystarczy zdać się na instynkt.

- Tylko mi potem nie płacz, że cię nie ostrzegałam - szepnęła Jessica, garbiąc się złowieszczo.

Przez pierwszych kilka tygodni nowej pracy Billy obszerny gabinet obok pokoju pani Force stał pusty. Nowojorska centrala koncernu Ikehorn Enterprises zajmowała trzy piętra w biurowcu linii Pan Am. Z okien gabinetu prezesa, trzydzieści dziewięć pięter nad ziemią, widziało się całą długość Park Avenue, a na jej końcu Harlem. Ellis Ikehorn zajęty był objazdem swoich filii na całym świecie. Billy zaczęła z czasem ogarniać prawdziwy zasięg wpływów jego korporacji zajmującej się obrotem gruntami, przemysłem, leśnictwem, ubezpieczeniami, transportem, składowaniem, budownictwem i pożyczkami bankowymi. Kilka razy dziennie Linda Force łączyła się z przełożonym przez telefon, rozmawiając czasem przez godzinę, a po każdej rozmowie dyktowała Billy ogromną liczbę listów. Czuło się jednak w całym biurze okres kanikuły, mimo że setki pracowników pociło się cały czas nad swoimi zadaniami.

Billy ucieszyła się niezmiernie, kiedy pani Force zaprosiła ją któregoś dnia na lunch. Nie musiała przynajmniej siedzieć z kanapką przy biurku, czekając na kolejną rozmowę z za oceanu. Ciekawiła ją poza tym osoba przełożonej, obfitych kształtów pięćdziesięcioletniej kobiety o siwiejących włosach, która strojem i zachowaniem nie zdradzała najmniejszych dziwactw, lecz której spokój i siła stawały się oczywiste od pierwszej minuty spotkania. Pani Force była władczą, lecz w ładny sposób nie dawała tego odczuć innym. Billy zauważyła, że jej przełożona ma w małym palcu funkcjonowanie tak potężnego koncernu jak Ikehorn Enterprises, jest po imieniu z prezesami wszystkich firm należących do korporacji, a pod nieobecność Ellisa Ikehorna jej słowo znaczy tyle, ile decyzja szefa, i nikt nie ośmiela się mieć innego zdania. Billy uznała, że ma do czynienia z osobą, która dotarła do samego wierzchołka drabiny zawodowej.

- Sama skończyłam szkołę Katie Gibbs - powiedziała jej Linda Force, gdy już zamówiły dania, i uśmiechnęła się do dawnych wspomnień.

- Prawdziwe piekło, co?

- Autentyczne piekło - westchnęła Billy, zachwycona, że samo życie potwierdza jej teorie na temat sukcesu w pracy. - Ale warto było, prawda, pani Force?

- Ależ naturalnie. Oczywiście szkoła to tylko jeden z czynników. Wykształcenie to jeszcze nie wszystko.

- Dokładnie tak - przytaknęła bez tchu Billy.

Pani Force ciągnęła dalej kwestię, rozmyślając na głos:

- Kiedy sobie pomyślę, że przez wszystkie lata studiów nie umiałam nawet stenografować... Naprawdę zbrodnia.

- Jakie studia pani skończyła? - odważyła się zapytać Billy.

- Kurs przygotowawczy do studiów prawniczych na Bar - nardzie, z naciskiem na prawo handlowe, a oprócz tego letnie kursy biznesu na nowojorskim City College - odrzekła pani Force, popijając swoją mrożoną herbatę. - Zdążyłam skończyć pierwszy rok prawa na Uniwersytecie Columbia, ale potem skończyły mi się pieniądze. Na szczęście podczas każdych wakacji uczyłam się księgowości, nie tracąc więc zbyt wiele czasu uzyskałam licencję buchaltera. Pamiętam, że w tym samym roku poszłam na kursy do Katie Gibbs, na wszelki wypadek. - Pani Force z apetytem zajęła się sałatką drobiową.

Billy odjęło mowę. Sama oblała na Emery egzaminy z algebry i geometrii, a dzielenie dużych liczb szło jej tak sobie. A tu - prawo, księgowość, biznes!

- Teraz, kiedy to wspominam, wszystko brzmi bardzo dostojnie, ale kiedy za młodu chodziło o to, by szybko zarobić trochę pieniędzy... - pani Force przerwała i spojrzała na Billy z zachęcającą miną. - Powiem ci, że dwadzieścia pięć lat temu zaczynałam dokładnie tak jak ty, jako sekretarka sekretarki pana Ikehorna.

- Ależ pani nie jest sekretarką, lecz pierwszym asystentem! - sprzeciwiła się Billy.

- Ech, to tylko oficjalny tytuł, żeby było mi przyjemniej pracować. Tak przynajmniej uważam. W rzeczywistości jestem po prostu sekretarką szefa. Oczywiście jestem najlepszą sekretarką na świecie, ale w naszej branży nie ma po prostu miejsca dla kobiety, która chce zrobić karierę. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, kim mogłabym ostatecznie zostać? Dyrektorem zakładów? Członkinią rady nadzorczej? Głównym radcą

prawnym? Brakuje mi odpowiedniego wykształcenia, a poza tym, mówiąc szczerze, moje ambicje nie sięgają aż tak daleko. Oczywiście bez przygotowania z dziedziny prawa czy księgowości nie zaszłabym tak daleko.

- Czy nie jest pani zbyt skromna? - zapytała Billy, tracąc już nadzieję.

- Skromna? Gdzie tam. Po prostu wiem, co mówię - odparła żywo pani Force. - A tak nawiasem mówiąc, w poniedziałek wraca do nas pan Ikehorn, biorę więc do pomocy oprócz ciebie jeszcze dwie dziewczyny. Kiedy jest na miejscu, ilość pracy rośnie w trójnasób. Nie naoglądasz się swojego szefa, ale przynajmniej będziesz wiedziała, że jest na miejscu.

- Na pewno - odpowiedziała Billy bezbarwnym tonem. A więc została sekretarką sekretarki, czyli innymi słowy - wpadła w pułapkę... Jeżeli nie wytrwa w pierwszym miejscu pracy przynajmniej rok, popsuje sobie ankietę personalną, zwłaszcza że zahaczyła się w tak prestiżowej firmie. - Billy Winthrop, dziewczyna, która miała podbić Nowy Jork - pomyślała z żalem. - Trudno, przynajmniej będzie za co płacić czynsz.

Wkraczający w poniedziałkowy ranek do swego biura, Ellis Ikehorn upodobił się w oczach Billy do Napoleona, który wraca do Paryża po kolejnej triumfalnej kampanii. Mało brakowało, by wszyscy obecni wstali i zaczęli bić brawo. W ślad za przełożonym postępowała procesja marszałków polnych z naręczami neseserów - pełnych łupów, rzecz jasna - a ogromny narożny gabinet natychmiast zyskał rangę kwatery głównej. Billy pomyślała ponuro, że za chwilę usłyszy grzmiące surmy bojowe.

Pani Force w przelocie przedstawiła ją Ikehornowi, kiedy ten wychodził z biura, udając się na lunch. Billy wstała na przywitanie. Miała

wrażenie, że wita się nie z nowojorczykiem, lecz kimś z zachodniej części USA. Jej dłoń uściskał wysoki, mocno opalony mężczyzna o przyszyżonych na jeża, siwych włosach, który ze swoimi zmarszczkami, orlim nosem i głębokimi bruzdami wokół szerokich ust wyglądał jak sędziwy Indianin.

Tego samego dnia, w przerwie między kolejnym listem, Ellis Ikehorn od niechcienia zapytał panią Force:

- Kim jest ta nowa dziewczyna?

- Ach, Wilhelmina Hunnenwell Winthrop. Ze szkoły Katie Gibbs.

- Winthrop? Z tych Winthropów?

- Z Bostonu i Plymouth Rock. Krew osadników z Zatoki Massachusetts. Jej ojciec, Jozajasz Winthrop, jest lekarzem.

- Święty Boże. Co taka dziewczyna robi pośród twoich maszynistek, Lindy? Jej ojciec to jeden z najwybitniejszych specjalistów od antybiotyków w całym kraju. Czy dobrze pamiętam, że opłacamy mu koszty badań? Założę się, że tak.

- Jemu i wielu innym badaczom, owszem. Jego córka znalazła się tu z tego samego powodu, co wszyscy. Rodzina nie ma żadnego majątku, musi więc sama zarabiać pieniądze. Tak mi powiedziała. Zresztą nawet jeśli jej ojciec kieruje zespołem badawczym, na pewno nie zarabia więcej niż dwadzieścia, może dwadzieścia dwa tysiące rocznie. Nasze pieniądze idą na aparaturę i na utrzymanie laboratorium, a nie na jego pensję.

Ikehorn spojrział ze zdziwieniem na asystentkę, która przecież sama zarabiała trzydzieści pięć tysięcy dolarów rocznie i mogła liczyć na dodatkowy dochód z papierów wartościowych firmy. Zasługiwała zresztą na te pieniądze. Nikt lepiej od Lindy nie wiedział, ile kto zarabia.

- Pamiętałaś, żeby mnie umówić z doktorem?

- Jutro rano, o siódmej trzydzieści. Nie był zbyt zachwycony taką porą.

- Biedaczek.

* * *

- Do diabła, Ellis, jesteś cudem światowej medycyny - oznajmił doktor Dan Dorman, najbardziej ceniony internista na wschód od Hongkongu.

- Co ty powiesz?

- Rzadko mam okazję badać sześćdziesięciolatka z ciałem faceta młodszego ze dwadzieścia lat i mózgiem dwuletniego dziecka.

- Co ty powiesz?

- Po twojej poprzedniej wizycie dwa razy sprawdzaliśmy wszystkie wyniki. Zrobiliśmy ci wszystkie prześwietlenia i analizy, jakie zna medycyna, a do tego jeszcze parę, które sam wymyśliłem przy okazji. Obejrzałem cię tak dokładnie, że nie uszedłby mojej uwagi nawet rozszerzony por na skórze. Nie ma najmniejszego powodu do przygnębienia.

- No właśnie. Ale chodzę ponury.

- Chętnie ci uwierzę. Mimo moich nalegań nie pojawiłeś się u mnie od dobrych pięciu lat. Coś cię musi gryźć, skoro zjawiasz się z własnej woli.

- Co mi zatem powiesz? Starzeję się, czy co?

- Wspomniałem o mózgu dwulatka, bo traktujesz sam siebie z piramidalnym brakiem taktu. Nie na darmo mówi się o „straszliwych dwulatkach”.

- Tak się mówi?

- Owszem. W wieku dwóch lat dziecko, jeżeli mu się czegokolwiek odmawia, przez cały dzień biega jak zwariowane i wszystko psuje, a zasypia dopiero wtedy, gdy padnie na nos z wyczerpania, je tylko wówczas, kiedy umiera z głodu, i doprowadza całe otoczenie do obłędu.

- Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

- Przez kilka miesięcy życia dwulatek nie bawi się najlepiej, bo co chwila wali głową w jakąś przeszkodę. Na szczęście dla całej ludzkiej rasy wszystko to mija mu gdzieś po pół roku, a dziecko zaczyna mądrzeć.

- Daruj sobie wstępy, Dan. Wal śmiało.

- Moim zdaniem, Ellis, powinieneś przestać się tak szarpać. Fizycznie jesteś wcale wcale, ale umysłowo jesteś na najlepszej drodze do zawału.

- Radzisz mi, żebym mniej pracował?

- To oczywiste. Nie baw się ze mną w doktora. Poznałem się na tobie wiele lat temu. Powiedz lepiej, kiedy ostatni raz się dobrze bawiłeś?

- Zawsze się dobrze bawię.

- Pewnie dlatego jest ci tak ponuro. A jak tam twoje rozrywki?

- Rozrywki? Dan, rozrywki są dobre dla dzieci. Nie bądź idiotą, nie będziesz mi tu wmawiał byle czego. Mam grać w golfa? Gównno. Kolekcjonować dzieła sztuki? Gównno. Grać w backgammona? Jeszcze większe gównno! Własna awionetka, wędkowanie oceaniczne, hodowla koni, obserwowanie ptaków, patronat nad trupą baletową? Odpiernicz się z takimi pomysłami, doktorku. Mam dość lat na to, żeby robić wszystko, na co mam ochotę, ale nie interesują mnie ani sport, ani kultura.

- To może dupy?

- Zaskakujesz mnie, Dan.

- Już ci wierzę. Ellis, są tylko dwie rzeczy, za którymi szalałeś, odkąd miałem zaszczyt zostać twoim lekarzem: interesy i baby. Jak często chodzisz ostatnimi czasy na baby, Ellis?

- Często.

- Ale dokładnie jak często?

- Zupełnie jakbym rozmawiał z alfonsem. Od śmierci Doris, bo ja wiem, że dwa albo trzy razy w tygodniu, jeśli się zdarzy okazja. Jeżeli się nie zdarza, wtedy rzadziej, raz na tydzień, może dwa tygodnie, zwłaszcza jeśli mam gorący okres w firmie. Ciekaw jestem, Dan, czy sam znalazłbyś czas na baby przy osiemnastogodzinnym dniu pracy.

- Sam mi udowadniasz, że mam rację, Ellis. Lepiej pójdz po rozum do głowy i zrób coś ze sobą. Znajdź sobie kogoś na stałe, i to kogoś, kto nie przyprawia cię o wrzody żołądka. Zaczynj traktować samego siebie jak człowieka, któremu też się coś należy. Zadbaj o siebie. Forsy masz, ile tylko zechcesz, za to ani chwili czasu. Nie będę ci nawet gadał, żebyś trochę poluzował, ale powiem ci za to, żebyś zrobił sobie dobrze.

- Co to znaczy: „żebym zrobił sobie dobrze”?

- Słuchaj, Ellis. Skąd mam, kurwa, wiedzieć, o czym marzysz? Może chciałbyś odkupić od Indii świątynię Tadź Mahal i chodzić ze szmatką, polerując marmur? Może chcesz jak najszybciej wyciągnąć kopyta? Jeśli tak, dalej lataj sobie co chwila naokoło świata, aż zapomnisz do reszty, jak wyglądają cycki z przyległościami. Skąd mam wiedzieć, co zamierzasz zrobić z resztą życia? Nieważne co, ale w każdym razie zacznij się nad tym poważnie zastanawiać i zrób coś.

- Powiedziałeś mi, co miałeś powiedzieć, Dan. Przemyślę to.

Powiadasz, że mam ciało czterdziestolatka?

- Tylko z punktu widzenia medycyny.

- Dokładnie po taką opinię przyszedłem, a nie po całą resztę.

Psychoanalityk - amator!

Za sześć lat będzie mi przysługiwało ubezpieczenie emerytalne, a wtedy rozpędzę was, łapiduchy, na cztery wiatry! Za dużo kłapiecie dziobami!

Obaj mężczyźni wstali i ruszyli ku drzwiom sali przyjęć, przyjacielsko obejmując się ramieniem. Dan Dorman był jednym z nielicznych ludzi na świecie, którym Ellis bezgranicznie ufał.

* * *

Pomiędzy Billy i Jessiką ustalił się pewien rytuał: choćby działo się nie wiadomo co, jednego wieczora w tygodniu zjadały razem kolację. Inaczej przy swoich rozległych stosunkach towarzyskich mogłyby się nie widywać całymi tygodniami.

- Jaki jest ten Ikehorn, Billy?

- Widuję go raptem przez parę minut, więc nie mam pewności co do niego, ale wydaje mi się... Jestem prawie pewna, że za młodu była z niego dziesiątka.

- Za młodu?

- Jessie, facet dobiega sześćdziesiątki. Są w końcu jakieś granice...

- Hmm. Żyd, prawda?

- Tak uważają w Wall Street Journal, chociaż Fortune pisze co innego. Journal ocenia majątek na dwieście milionów, w drugim piśmie uważają, że jest tego sto pięćdziesiąt, ale tak naprawdę, nikt nie wie na pewno. Ikehorn nie udzielał wywiadów od dwudziestu lat, zatrudnia sześć

osób specjalnie po to, by pisano o nim jak najmniej w gazetach, odrzuca propozycje rozmów, i tak dalej.

- A ty sama co myślisz?

- Dla mnie jest trochę jak Robert Oppenheimer, gdyby nie to, że Oppenheimer jest Żydem.

- A widzisz!

- Albo jak Nelson Rockefeller, gdyby ten był Żydem, tylko wyższy.

- No, proszę!

- Może jak Lew Wasserman, minus żydowska krew.

- Wielkie nieba!

- Nie, z drugiej strony...

- Mów mi jeszcze!

- ...jest podobny do... Dlaczego się ze mnie śmiejesz, Jessie?

Wygląda jak żydowski Gary Cooper.

Jessica wybałuszyła oczy na przyjaciółkę. „Żydowski Gary Cooper” było najlepszą kombinacją, jaka kiedykolwiek jej przyszła do głowy.

- Co ci będę mówić, Jess, facet jest po prostu zabójczy. Chryste Panie, Jessie, przestań tak dyszeć! Weź się w garść, dziewczyno.

- Mów mi wszystko, co o nim wiesz. Skąd pochodzi? Jak wszedł do biznesu? Gadaj!

- Próbowałam się czegoś dowiedzieć w wielu miejscach. Wiadomo o nim tylko tyle, że zaczął od jednej fabryczki w Nebrasce, w dodatku zadłużonej po uszy. Skąd wziął tę fabryczkę albo co robił w Nebrasce to dla wszystkich zagadka. Wyprowadził zakład z długów i kupił następną zadłużoną firmę, a kiedy i tę wyprowadził na równą drogę, jeszcze jedną, już nie tak zadłużoną. Wreszcie osiągnął etap, na którym fabryka konserw

kupuje fabrykę butelek, ta firmę transportową, ta biuro ubezpieczeń, a ta własne czasopismo, bo ma także na własność papiernię, która dostarczy papier do drukarni, kupuje więc drukarnię... Może zresztą było odwrotnie. Takie miał początki. Resztę znasz.

- Nie znam. To znaczy, teraz już znam. Serdeczne dzięki.
- Sama się dopytywałaś, to masz!

* * *

Ellis Ikehorn odkrył z rozbawieniem, że bierze sobie do serca radę Dana Dormana. Co pewien czas, w trakcie narady albo rozmowy telefonicznej, wracały mu w pamięci słowa doktora: „Co zrobisz z resztą życia”. Dan nie podkreślał specjalnie tych akurat słów, lecz lepiej niż reszta jego wyводу ilustrowały one stan rzeczy. Ikehorn nigdy nie interesował się urodzinami, lecz siłą rzeczy spostrzegł, że w wieku sześćdziesięciu lat liczba świeczek na torcie niebezpiecznie rośnie, czy się tego chce czy nie. W zasadzie nie miał nic przeciwko temu, żeby trochę sobie poszaleć - nie wiedział tylko, jak ma się do tego zabrać. Żonę, Doris, utracił przed dziesięciu laty. Doris nauczyła się szaleć, kiedy tylko mąż zaczął zarabiać przyzwoite pieniądze, jeśli szaleństwem można nazwać hodowanie w zbytku i luksusie czterdziestu rzadkiej urody perskich kotów. Osobiście Ikehorn uznał takie hobby za żalosne i bałaganiarskie, a już z pewnością nie zastępowało mu posiadania dzieci, których z Doris nie mieli. Żona była jednak szczęśliwa i miała dość zajęcia na cały dzień przy przycinaniu pazurków, chorobach pupilków i koceniu się. Kocie porody odbierała osobiście z asystą dwóch weterynarzy - „na wszelki wypadek”. Ellis postanowił teraz pofolgować sobie przy pierwszej nadarzącej się okazji. Decyzja przypominała poszukiwanie nowej fabryki, którą można

by kupić. Jeżeli wiadomo dokładnie, czego się szuka, okazja nadarzy się prędzej czy później.

* * *

W środku nocy Jessica obudziła Billy, zwaliwszy się na jej łóżko i potrząśnięciem wyrwała ją ze snu.

- Billy, Billy, kochanie, stało się! Znalazłam dziesiątkę! To najwspanialszy facet świata, bierzemy zaraz ślub!

- Co to za jeden? Kiedy go poznałaś? Przestań się tak mazać, Jessie, przestań w tej chwili i opowiedz mi wszystko po kolei.

- I tak wszystko wiesz, Billy. Chodzi o Davida. Kto oprócz niego mógłby być tak cudowny?

- Jessie, David jest Żydem.

- A kto mówi, że nie jest? Nie sypiam z innymi facetami.

- Ale sama mi mówiłaś, że...

- Mówiłam, bo byłam idiotką. Myślałam, że uda mi się nad sobą zapanować. Ha! Nie znałam jeszcze Davida. Jestem tak okropnie szczęśliwa, Billy, że trudno mi samej uwierzyć.

- A co na to Mamuśka? Co powie na taki pomysł?

- Nie wścieknie się ani trochę tak mocno jak matka Davida. Poza tym, czy nie mówiłam ci, że ojciec Davida jest w kierownictwie drugiego co do wielkości banku inwestycyjnego w Nowym Jorku? Nie zawsze brałam sobie do serca twoją radę, żeby się nie zadawać z Żydami z Niemiec, i dzięki Bogu. Matka przyjmie wiadomość bardzo dobrze, a ojciec będzie z radości kwiczał na całe Rhode Island. Ostatecznie, Billy, mam już dwadzieścia cztery lata, a tato ubzdurał sobie nie wiedzieć czemu, że tarzam się w występku.

- Cóż za sprośna wyobraźnia! Taka porządna dziewczyna jak ty i występki?

Kiedy Jessica wciąż kręciła z zachwytem głową nad podejrzliwością ojca, Billy przypomniała sobie nagle o jeszcze jednej sprawie.

- A w jakiej religii wychowacie dzieci? Protestantkiej czy żydowskiej?

- Co do tego, nic jeszcze nie wykombinowałam. Sama popatrz, dzieci będą znały wszystkich, jednych i drugich, więc wszyscy będą je mieli na oku. Może najlepiej niech się same zdecydują, co? Do czasu, gdy dorosną, na pewno będą już jakieś nowe religie.

- Ach, Jessie... Ale co ja pocznę bez ciebie?

* * *

Ellis Ikehorn z niecierpliwością czekał na Linde Force, która tego poranka nie zjawiała się jeszcze w biurze. Jeszcze chwila, a spóźnią się na Barbados, gdzie Ikehorn zaplanował spotkanie z szefami swoich obu brazylijskich konsorcjów drzewnych. Niech to diabli, już po dziewiątej, telefon się urywa, a Lindy ani śladu.

Billy zastukała nieśmiało do drzwi gabinetu Ikehorna. Odkąd powrócił z wojaży, nie miała okazji w ogóle zaglądać do środka, bo szef dyktował listy bezpośrednio pani Force, a ta dopiero przekazywała je trójce dziewcząt z biura.

- Najmocniej przepraszam, panie Ikehorn, ale zadzwoniła do mnie pani Force. Pańska linia jest zajęta, więc połączyła się ze mną, żeby przekazać, że ma ciężką gripę. Obudziła się rano chora i nie może się nawet ruszyć z łóżka. Powiedziała, żeby się o nią nie martwić, bo zajmie się nią gosposia, tylko przykro jej, że pana zawiodła.

- Rany boskie, zaraz wyślę do niej Dormana. Co za dzień, żeby nawet Linda nie mogła się podnieść z łóżka! Pewnie ma obustronne zapalenie płuc. Trudno, ja dzwonię po Dormana, a pani niech łapie kapelusz i płaszcz, aha, i notes do stenogramów. Czy musi pani kogoś uprzedzić, że leci pani na Barbados?

- To znaczy, mam jechać z panem? Tak jak stoję?

- Naturalnie. Kupi sobie pani wszystko co potrzeba na miejscu. - Wysoki, opalony, ostrzyżony na jeża mężczyzna zasiadł niecierpliwie przy telefonie. - Aha, i niech pani tu przyśle którąś z dziewczyn, niech siedzi przy biurku Lindy i notuje, kto dzwoni. Zadzwoń do biura zaraz po przylocie. Pospieszmy się i tak jesteśmy spóźnieni.

- Tak, panie Ikehorn.

Kiedy pędzili na lotnisko, gdzie czekał już mały odrzutowiec z Ikehorn Enterprises, Billy siedziała zdenerwowana u boku chlebodawcy, ten zaś dyktował jej najspokojniej list za listem. Billy zaczęła ze wzruszeniem i wciąż wspominać nieboszczkę Katharine Gibbs.

Nigdy dotąd Billy nie zapuszczała się na południe dalej niż do Filadelfii, toteż kiedy wysiadła z klimatyzowanego samolotu i poczuła wilgotne, bogate, korzenne powietrze Barbadosu, przed jej zmysłami otworzył się zupełnie nowy świat. Dotknięcie leciutkiego wiatru zdawało się czynić jej propozycję.

Nie znany zapach pulchnej ziemi ożywiał i kusił zarazem. Billy czuła, że wciąga zapachy, które może tylko przeżywać, nie zaś rozpoznawać. Straciła orientację także co do samej wyspy, gdyż pędzili lewą stroną wąskiej, krętej szosy, z którą graniczyły pastelowe osiedla i gaje o głębokiej zieleni. Szosa kończyła się łukami i kolumnami ceglanych

domów przy Shady Lane, a okno hotelowego pokoju wychodziło bezpośrednio na szeroką, ocienioną drzewami plażę. Billy wydawało się, że widzi z okna aż połowę widnokregu, z kłębamii żółtawych i fioletowych chmur ulatujących nad tarczą niskiego o tej godzinie słońca.

Zapamiętała, że pan Ikehorn zostawił jej dość czasu, by w hotelowym centrum handlowym mogła sobie kupić wszystko na dwa dni pobytu. Wełniany żakiet gryzł ją w upale, prędko więc wybrała kilka prostych bluz, sandały, bieliznę, kostium bikini, koszulę nocną, szlafrok, a w hotelowej drogerii zaopatrzyła się w przybory toaletowe. Kazała za wszystko obciążyć rachunek hotelowy Ikehorna i popędziła z powrotem do pokoju, w samą porę, by obejrzeć słońce zachodzące w olśniewającej eksplozji barw za horyzont. Kiedy zapadła tropikalna noc, miliony miejscowych owadów zaczęły jej natychmiast szarpać nerwy mieszaniną cykania i świstów. Billy odprężyła się dopiero wtedy, gdy pod drzwiami znalazła wiadomość od szefa. Ikehorn nakazywał w niej, by zamówiła sobie kolację do pokoju i wcześniej położyła się spać. Posiedzenie miało się zacząć następnego dnia zaraz po śniadaniu. Billy miała czekać gotowa dokładnie o siódmej rano.

Przez następne dwa dni Ikehorn omawiał interesy z szefami swoich zakładów w Ameryce Południowej. Potrafił mówić całymi godzinami, podczas gdy Billy i brazylijska sekretarka notowały pospiesznie każde słowo i łączyły rozmowy telefoniczne. Kiedy mężczyźni zasiedli do posiłku, sekretarkom udało się nawet popływać trochę w ciepłej, zniewalającej wodzie, gdzie na dnie, pod jasnym piaskiem, czaiły się kłujące korale. Brazylijka Nina mówiła doskonale po angielsku. Razem z nią Billy jadła posiłki przy osobnym stoliku, ustawionym w sporej

odległości od stołu ich szefów. Późny obiad jedli całą grupą na zewnętrznym, łagodnie zakrzywionym i oświetlonym setkami świec tarasie wysoko nad taflą morza. Hotel był w połowie pusty i miał się zapelnąć dopiero przed Bożym Narodzeniem, kiedy na Barbados przybywają rodziny na tyle przytomne, by na rok z góry zamówić sobie rezerwację.

Trzeciego dnia Latynosi odlecieli o świcie do Buenos Aires. Ikehorn nakazał Billy przygotować się do wyjazdu w południe. Rankiem pierwszy pilot zadzwonił jednak z wiadomością, że zmienia się pogoda i że ogłoszono ostrzeżenie przed huraganem. Niepotrzebnie się trudził, gdyż było to i tak jasne: plażę oddzielała od okien kurtyna deszczu, składająca się nie z kropli, lecz ze strug wody, a wiatr targał po piasku gałęzie karłowatych drzew, na których rosły małe trujące owoce.

- Myślę, że możesz już przestać się spieszyć, Wilhelmino - oznajmił w końcu Ikehorn.

- Huragan skończy się dopiero wtedy, kiedy przewieje do końca. O tej porze roku na Karaibach huragan to normalna sprawa. Dlatego takie pustki w hotelu. Myślałem, że uda nam się skończyć wcześniej, ale teraz już za późno.

- Chciałam tylko powiedzieć, panie Ikehorn, że wolę jak ludzie mówią do mnie Billy. Nikt nie zwraca się do mnie per Wilhelmino. Owszem, mam tak na imię, ale go nie używam. Dopóki byli z nami pan Valdez i pan de Heiro, nic nie mówiłam, ale...

- Trzeba było mnie uprzedzić wcześniej. Dla mnie zostaniesz już na zawsze Wilhelminą. Chyba że nie znosisz tego imienia, co?

- Ależ nie, w porządku. Tylko tak dziwnie brzmi...

- Dziwnie, ale co tam. Aha, przy okazji, mnie też mów po prostu Ellis. Takie samo dziwne imię jak twoje.

Billy zamarła. W szkole Katie Gibbs nie nauczono jej, jak postępować w podobnej sytuacji. Co zrobiłaby w takim razie Jessie? A Madame de Vertdulac? A co ciocia Kornelia? Billy w mgnieniu oka zdała sobie sprawę, co by się stało. Jessie zrobiłaby omdlewającą minę, hrabina obdarzyłaby Ikehorna najbardziej enigmatycznym z uśmiechów, a ciotka Kornelia bez dalszych dyskusji zaczęłaby się zwracać do Ikehorna po imieniu. Billy postanowiła połączyć wszystkie trzy reakcje.

- A może przejdziemy się w deszczu, Ellis? To nie będzie chyba takie niebezpieczne, co?

- Boja wiem? Chodźmy, to się przekonamy. Masz płaszcz przeciwdeszczowy? No tak, jasne, że nie masz. Nie szkodzi, możesz założyć kostium kąpielowy.

Billy pomyślała o spacerze w deszczu wyobrażając sobie odruchowo mżawkę w bostońskim parku. Na Barbadosie spacer oznaczał przechadzkę pod gorącym wodospadem. Musieli obydwójce schylić głowy, by nie zakrztusić się spadającą wodą, musieli też biec co sił w nogach, instynktownie szukając schronienia w oceanie. Dali susa w wodę, jak gdyby właśnie fale mogły ich obydwójce najlepiej uchronić przed ulewą. Trzech kelnerów, których nagła ulewa zapędziła pod parasol nad plażowym barem, podśmiewało się z pary szalonych turystów, którzy przez kilka minut oślepieni deszczem chlapali się w płytkiej wodzie, po czym przez mokry piach popędzili każde do swojego pokoju.

Kiedy spotkali się przy posiłku, Billy zdołała tylko wykrztusić:

- Strasznie cię przepraszam, Ellis. Nie wiem, co mi strzeliło do

głowy. Prawie się utopiłam, a twój płaszcz przemókł do nitki.

- Nie bawiłem się tak pysznie od czasu... No, od bardzo dawna. A ty zniszczyłaś sobie fryzurę.

Gęste i długie włosy Billy, zwykle starannie zaczesane i spryskane lakierem na wzór wczesnych fryzur Jackie Kennedy, spadały jej teraz swobodnie na ramiona. Billy miała na sobie koszulkę w barwie ognistego różu, a podczas sporadycznych kąpieli opaliła się trochę. Wiedziała, że jeszcze nigdy w życiu nie wyglądała tak pięknie jak w tej chwili.

Ellis Ikehorn boleśnie poczuł nagle ciężar ironicznego dystansu, jaki utrzymywał wobec reszty świata. Dystans wydawał się jednak zniknąć, a chłód ulatywać w powietrze klimatyzowanej sali, w której czuło się jeszcze powiew huraganu. Ikehorn pomyślał z goryczą, że chociaż Dan kazał mu się zabawiać, nawet taki babiarz nie mógł mieć na myśli dwudziestoletniej smarkuli, córki doktora Jozajasa Winthropa - Winthropówny z Bostonu.

Kiedy tak gawędzili przyjemnie przy stole, obydwójce czuli w sobie ścieranie się zmiennych uczuć. Żadne nie miało jednak pojęcia, co sobie myśli ta druga osoba. Z jednej strony uczyli się obydwójce siebie, jak zawsze, gdy pozna się kogoś nowego. Zadawali więc i odpowiadali na zdawkowe pytania na własny temat. Głębiej jednak, bezwiednie, jak każdy, kto znajdzie się w takiej sytuacji, wpatrywali się w siebie, notując w myśli każdy szczegół cery, grę mięśni twarzy, szczerłość spojrzenia, ruch, z jakim wargi dotykają zębów, połysk włosów, drobne gesty i odruchy - słowem wszystko, co chciwym, zachłannym oczom uda się wychwycić i ocenić. Nieustanna myśl dotyczyła tego, jak by tu pójść z tą drugą osobą do łóżka. Nie tego, czy pójść do łóżka, lecz w jaki sposób i

kiedy. Zarazem Billy i Ellis zastanawiali się każde z osobna nad przyczynami - doskonale przekonującymi - z powodu których nie wolno im nawet myśleć, marzyć czy zastanawiać się nad łóżkowym finałem, który absolutnie nie wchodził w rachubę. Przemocnym uczuciem, które nimi owładnęło, była krystalicznie jasna świadomość, że niezależnie ile milczących argumentów uda się każdemu z nich wytoczyć przeciwko łóżku, stanie się to, co się ma stać. Coś zaczęło się dziać między nimi, gdy biegli przed siebie w ciepłym, rześystym deszczu - nawiązała się między nimi nić erotycznego porozumienia tak silna, że mocniejszej nie potrafiłyby zrodzić lata wspólnej znajomości. Jako para darowali sobie wszelkie zwyczajowe wstępy i oto siedzieli dostojnie nad jedzeniem. Milioner zachowywał się swobodnie, aby nie onieśmielać swojej młodej sekretarki. Sekretarka wykazywała się opanowaniem i doskonałymi manierami, a także szacunkiem, jaki należy się wielkiemu człowiekowi. Obydwoje zaś, mężczyzna i kobieta, czuli pospolitą chuć.

Stan ten, choćby najsilniej skrywany za zasłoną obyczajów i zakazów, daje się ukryć jedynie z najwyższym trudem, jeżeli w ogóle. Słowa nie są tu wcale potrzebne. Ludzie zachowali w sobie dosyć zwierzęcej natury, aby zwyczajnie czuć, że pożądamy i sami są przedmiotem pożądania.

Gdy zjedli, Ikehorn zaproponował Billy, by odpoczęła trochę, podczas gdy on sam zajmie się wstępną analizą rozmów z Brazylijczykami. Połączenia telefoniczne i tak nie działały, nie trzeba też było pisać żadnych nowych listów. W rzeczywistości Ikehorn grał po prostu na zwłokę, chcąc odbudować dystans między własną osobą a obcą kobietą. Od najwcześniejszego dzieciństwa Ikehornem kierowała w życiu

instynktowna zaborczość. Jego sukcesy brały się stąd, że słuchał tego instynktu, a przy tym miał wprost genialny zmysł do interesów. Wyszlifował więc do finezji życiową filozofię, która podpowiadała mu, w jakim stopniu pożądać, a w jakim odrzucać dobra tego świata. Dla Ellisa Ikehorna niektóre rzeczy warte były więc najwyższej 58 - procentowego nakładu czasu i 45 - procentowego nakładu energii. Innym warto było poświęcić 70 procent czasu, lecz energii już tylko 20 procent. Kiedy Ikehorn interesował się nową dziedziną, niezależnie od nakładów finansowych, musiał być na tyle zainteresowany inwestycją, by chcieć jej poświęcić co najmniej 80 procent czasu i tyleż energii. Sam się bowiem przekonał, że w innym przypadku inwestycja okaże się chybiona, wbrew początkowym widokom.

Wilhelmina Winthrop? Ikehorn nie wiedział, czy myśląc o niej ma się czuć jak stary dureń czy jak młody głupiec, lecz inwestycję ocenił bez wahania na pełne 100 procent. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz miał ochotę poświęcić cemukolwiek cały swój czas i energię. Na pewno nie było w jego życiu takiej inwestycji, odkąd zarobił pierwsze pięć czy dziesięć milionów dolarów. Ikehorn chodził z kąta w kąt apartamentu, klnąc w żywy kamień Dana Dormana, lżąc Linde Force i ciskając gromy na huragan - czuł się najszcześliwszy od wielu, wielu lat i nie miał pojęcia, co postanowić teraz.

Billy siedziała tymczasem przed toaletką i czesała włosy. Postanowiła, że Ellis Ikehorn będzie jej. Kalkulacja nie miała wpływu na decyzję, która zrodziła się w sercu i między nogami Billy. Chciała zdobyć Ellisa bez względu na nieprawdopodobieństwo sukcesu. Chciała go zdobyć zaraz, natychmiast, zanim przepadnie okazja zesłana jej przez złą

pogodę. Źrenice oczu Billy zwały się w napięciu, a wargi - jak zawsze bez szminki - nabrały jeszcze ciemniejszej barwy. Billy przygryzła je, gdyż drżały. Odmierzonymi ruchami, jak gdyby wykonując dawno przygotowany plan, Billy okryła nagie ciało półprzezroczystym białym peniuarem i śmiało, jak boso - noga wojowniczką ruszyła pustym korytarzem do drzwi apartamentu Ikehorna.

Ikehorn nie musiał otwierać drzwi, żeby się przekonać, kto puka. Billy stała na progu milcząca, bez uśmiechu, bardzo wysoka. Ikehorn wciągnął ją do środka, zamknął drzwi i objął ją mocno, bez jednego słowa. Długą chwilę stali tak razem, nie całując się, a tylko mocno przytulając się do siebie mocnymi ciałami, niczym dwoje ludzi, którzy się spotkali po tak długiej rozłące, że słowa nie są im potrzebne. Później Billy poprowadziła Ikehorna za rękę do jego sypialni, w której zaciągnięte story wzbraniały przystępu wichurze. Przy łóżku płonęły dwie lampy. Billy i Ikehorn runęli nagle na łóżko i zdarli z siebie resztki ubrania, pożerani żądzą, która nie znała przeszkód i wahań, nie znała wstydu, zahamowań, różnicy lat. Czas przestał istnieć.

Huragan szalał jeszcze dwa dni. Billy przyniosła ze swojego pokoju torebkę, szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów. Od czasu do czasu wstawali z Ellisem z łóżka, zamawiali posiłek do pokoju i zerkali przez okno na smaganą wiatrem i ulewą plażę. Obydwoje z niechęcią myśleli o chwili, kiedy żywioł uspokoi się wreszcie. Dopóki spowijał ich kokon huraganu, zewnętrzny świat w ogóle przestał dla nich istnieć, wymazany bez śladu z pamięci, lecz oczywiście była to tylko iluzja. Choć rozmawiali z przejęciem i bez przerwy, ani jednym słówkiem nie napomykali obydwójce o przyszłości. Na trzeci dzień Billy zbudziła się i natychmiast

spozobregła, że na dworze świeci jasne słońce. Słychać było, jak tuziny pracowników grabią plażę, kilku cieśli stuka młotkami, a psy szczekają, ganiając po piasku.

Ellis dał Billy znak, by nie rozsuwała zasłon, podniósł słuchawkę i nakazał hotelowej centrali, by nie łączono z nim żadnych rozmów.

- Ale jak długo możemy się dalej bawić w huragan, kochanie? - zapytała go rozmarzonym głosem Billy.

- Nad odpowiedzią zastanawiam się już od piątej rano. Obudziłem się i zobaczyłem, że przestało padać. Musimy o tym wszystkim porozmawiać.

- Przed śniadaniem?

- Przed śniadaniem, zanim ktokolwiek czy cokolwiek wtargnie do tego pokoju. Kiedy się to zdarzy, natychmiast przepadnie nasza jasność myśli. Liczy się tylko to, co postanowimy, ty i ja. Musimy podjąć decyzję dzisiaj, zaraz.

- Ale jak to zrobić?

- Na szczęście bywają sytuacje, kiedy pieniądze coś naprawdę znaczą. Nigdy jeszcze nie rozumiałem tego aż tak jasno. Mamy całkowitą swobodę wyboru.

- A więc jaki jest twój wybór? - zapytała niezmiernie zaciekawiona Billy, obejmując rękami kolana. Nawet w trakcie posiedzenia ze współnikami nie widziała Ellisa tak władczego, tak pełnego koncentracji.

- Ty. Mój wybór to ty.

- Przecież mnie już masz, nie zauważyłeś? Nie roztopię się od słońca, nie zniknę.

- Nie mówię o krótkiej przygodzie, Wilhelmino. Chcę, żebyś została moją żoną. Chcę cię mieć na całą resztę życia.

Billy skinęła głową, zbyt zaskoczona i oszołomiona, by wyrzec choć słowo. Bez wahania zgodziła się na propozycję, jaka jeszcze przed minutą nie powstałaby jej w głowie. Chociaż przez ostatnie dwie doby łączyła ją z Ellisem demokracja nagości i żaru, Billy podświadomie nie liczyła na jakąkolwiek przyszłość tego związku. Zbyt wiele dzieliło ją od Ellisa - zbyt wiele lat, zbyt wiele pieniędzy. Billy pogodziła się z nierównością ról, bo życie przyzwyczało ją do wiecznej nierówności. Nie odważyła się więc nawet marzyć o niczym więcej niż to, co niosła jej terażniejsza chwila. Doświadczenie uczyło ją, że nadzieje to rzecz niebezpieczna. Oddała się Ellisowi zwyczajnie i bez jakichkolwiek oczekiwań, po prostu dlatego, że chciała go posiadać. Dopiero teraz zaczęła go kochać.

- Więc jak będzie? Tak, czy nie? - zapytał Ellis, który rozmaicie mógł rozumieć jej skinięcie głową. W środku drżał cały niczym nastoletni smarkacz.

- Tak! Tak! Tak! Tak! Tak! - Billy rzuciła się na niego i przydusiła do łóżka, okładając go pięściami, by nie pozostawić żadnych wątpliwości.

- Moje kochanie! Kochanie! Nie ruszymy się z tej wyspy w dopóki nie dostaniemy ślubu. Inaczej będę się ciągle bał, że możesz się jeszcze rozmyślić. Będziemy trzymać sprawę w tajemnicy. Możemy tu zostać na miodowy miesiąc albo na zawsze, jeśli tylko zechcesz. Wystarczy jeden telefon do naszej biednej Lindy. Sama będzie już wiedziała, co dalej.

- Chcesz powiedzieć, że ominie mnie ślub w kościele, długa biała suknia z trenem, osiem kuzynek jako druhny i Linda, która przyprowadzi cię do ołtarza? - zażartowała Billy. - W Bostonie taki ślub byłby wydarzeniem roku. Ciotka Kornelia już by się o to postarała.

- W Bostonie! Kiedy rzecz się rozejdzie, będą o niej pisały wszystkie

gazety: „Sędziwy milioner poślubił dziecko!” Musimy być przygotowani i na taką prasę. Ale, ale, kochanie, ile ty właściwie masz lat? Dwadzieścia sześć, siedem?

- Jaki mamy dziś dzień?

- Drugi listopada. Czemu pytasz?

- Wczoraj skończyłam dwadzieścia jeden lat - oznajmiła z dumą Billy.

- Rany boskie!!! - Ellis jęknął i zasłonił sobie twarz. Po minucie zaczął się śmiać, głośno i niepowstrzymanie. W przerwach między paroksyzmami wesołości wyśpiewywał Billy Happy Birthday, co pobudzało go do jeszcze większego śmiechu. Wreszcie zaczęła się śmiać także Billy, zwłaszcza że zgięty wpół Ellis wyglądał naprawdę śmiesznie. Nie potrafiła jednak pojąć, co go aż tak strasznie śmieszy.

* * *

Przez siedem następnych lat najlepszy dział rzecznika prasowego na świecie nie mógłby powstrzymać pism od wzmianek na temat Billy i Ellisa Ikehornów. Dla milionów ludzi, którzy czytali o nowożeńcach albo oglądali w gazetach i pismach ilustrowanych często zamieszczane fotografie wspaniale ubranej, arystokratycznej młodej piękności i szczupłego, białowłosego mężczyzny z orlim nosem, Ikehornowie wydawali się kwintesencją tego wszystkiego, co niesie ze sobą świat bogactwa i władzy. Różnica trzydziestu ośmiu lat i patrycjuszowski, bostoński rodowód Billy dodawały związkowi posmaku romantycznego skandalu, którego próżno szukać pośród równiej dobranych par z towarzystwa.

Nie obeszło się bez domysłów, czy Billy wyszła za Ellisa dla

pieniędzy. Oni sami oczywiście, znając kręgi, w jakich mieli się obracać, zdawali sobie sprawę, że to złośliwe pytanie zadaje sobie każdy, kto ich spotyka. Większości ludzi najłatwiej było uznać, że o wszystkim zadecydowały pieniądze. Tylko dwoje lub troje ludzi wiedziało, jak bardzo Billy kocha Ellisa i jak ogromnie się od niego uzależniła.

Czy jednak wyszłaby za niego, gdyby był biedny? Domysły tego typu z założenia były kompletnie bezsensowne. Ellis był sobą właśnie dlatego, że posiadał ogromny majątek - albo odwrotnie, zdobył majątek właśnie dzięki temu, że był tym, kim był. Bez pieniędzy stałby się zupełnie inną osobą. Domysły okazywały się więc równie pustą zabawą jak pytanie, czy Robert Redford pozostałby nadal Redfordem, gdyby był brzydki, albo czy Woody Allen byłby Woody Allenem, gdyby odjąć mu poczucie humoru.

W pół roku po ślubie na Barbadosie Ikehornowie wyruszyli do Europy, rozpoczynając pierwszy ze swoich licznych wojaży. Zatrzymali się najpierw w Paryżu, dokąd Billy chciała powrócić w triumfie. Całkowicie jej się to udało. Na miesiąc wynajęli dla siebie w Ritzu czteropokojowy apartament, z którego okien widać było szlachetną symetrię placu Vendôme. Pokoje miały wysokie sufity, ściany w stylu chateau, barwione najdelikatniejszymi odcieniami błękitu, szarości i zieleni, wspaniałe, koronkowe, złoczone sztukaterie i najwygodniejsze łóżka na całym kontynencie europejskim. Nawet uprzedzony do Francuzów Ellis Ikehorn musiał przyznać, że znaleźli sobie niezłą kwaterę.

Lilianne de Vertdulac, która zaledwie dwa lata wcześniej odprowadzała Billy na pociąg do portu przed powrotem do Stanów Zjednoczonych, aż zachłysnęła się na widok zmian, jakie zaszły w tak

krótkim czasie w jej podopiecznej. Czowała się dokładnie tak, jak gdyby oglądała zdjęcia młodziutkiej Farah Diby, ślicznej, szczupłutkiej i nieśmiałej studentki wkrótce po jej przemianie w jedyną i absolutną towarzyszkę życia szacha Iranu. Twarz i ciało zostały te same, całkowicie zmienił się natomiast wyraz całej postaci. W sposobie, w jaki Billy poruszała się i spoglądała na otoczenie, Lilianne odkryła coś zupełnie nowego - nieoczekiwany splendor, delikatną władczość, pozbawioną jednak sztuczności.

Również Billy dostrzegła w swojej hrabinie strony, które zupełnie ją zaskoczyły. Lilianne flirtowała z Ellisem w taki sposób, jak gdyby obydwójce mieli lat dwadzieścia trzy i zachwycała się wciąż jego niezdatnymi wysiłkami, by sklecić parę zdań po francusku. Mówiła do niego wciąż, bez względu na okoliczności: „Moje ty niebożatko”, i popisywała się swoją oksfordzką angielszczyzną. Natomiast Billy traktowała teraz jak dorosłą kobietę, zwracała się do niej tak samo jak Ellis, per Wilhelmino, i upierała się, by dawna podopieczna również mówiła jej po imieniu, co z początku przychodziło Billy z dużym trudem.

Ellis towarzyszył obu paniom w wypadach na pokazy nowych kolekcji mody. Poprosili recepcję Ritza o telefoniczną rezerwację zaproszeń na każdy z pokazów, jak przystało na turystów zwiedzających Paryż. Recepcjonista nie mógł jednak zagwarantować, że będą siedzieć w pierwszych rzędach. Okazało się jednak, że tym samym wyniosłym dyrektorkom domów mody, które kilka lat wcześniej łaskawie obdzielały hrabinę podławymi miejscami podczas piątego czy szóstego tygodnia pokazów, wystarczyło jedno spojrzenie na Ellisa - opalonego indiańskiego wodza w garniturze z Savile Row - i rzut oka na Billy i Lilianne, by bez

wahania poprowadzić całą trójkę ku najlepszym miejscom w całej sali. Dyrektorka paryskiego domu mody umie wypatrzeć bogatego i hojnego klienta jeszcze na ulicy. Powiada się nawet, że aby się rzeczywiście sprawdzić na stanowisku, dyrektorka musi zwęszyć klienta z odległości stu kroków, w dodatku z zawiązanymi oczami.

Ikehornowie obejrżeli najpierw pokazy Chanel, firmy, której kostiumy po dwa tysiące dolarów sztuka szykowne paryżanki nosiły w tamtych czasach jak mundury. W tamtym okresie kobiety, które umawiały się na lunch w hotelu Athenee w Relais Plaza - najelegantszym barze restauracyjnym Paryża - nieodmiennie poświęcały pierwszą godzinę spotkania na domysły, która z pozostałych kobiet na sali ma na sobie *une vraie*, a która *une fausse* kostium Chanel. Sprytni imitatorzy potrafili naśladować każdy fason, łącznie z takimi szczegółami jak złoty łańcuch, który obciążał spód zakietu, nadając mu nieskazitelną linię, lecz mimo to zawsze dawało się rozpoznać fałszerstwo: *une fausse* miały trochę nie takie guziki, dwa milimetry za długą albo milimetr za krótką lamówkę kieszeni, albo uszyte były z identycznej tkaniny ale w innym kolorze.

Billy zamówiła sobie u Chanel sześć kostiumów, wciąż kierując się w wielu sprawach opinią Lilianne. Ellis ku zaskoczeniu Billy coś sobie notował w bloczku, który jemu i pozostałym wręczono przy wejściu, choć zamiast tandetnym złotym ołówkiem z nazwą firmy posługiwał się swoim starym parkerem. Kiedy wracali całą trójką ulicą Cambon do Ritza na herbatkę, Ellis odezwał się nieoczekiwanie:

- Lilianne, za dziesięć dni masz pierwszą przymiarę.

- Tyś już zwariował do reszty, moje ty niebożątko - zdumiała się Lilianne.

- A, gdzie tam. Zamówiłem dla ciebie trzy kostiumy z kolekcji. Numer 5, 15 i 25. Nie myślałaś chyba, że będę siedział jak kołek, zamiast się samemu włączyć do zabawy?

- To absolutnie wykluczone - ucięła tonem zgorzienia Lilianne. - Nie pozwalam ci na takie prezenty. W żadnym przypadku. Bardzo to miło z twojej strony, Ellis, ale nie zgadzam się i tyle.

- Nie masz wyjścia. - Ellis uśmiechnął się dobrotliwie do zaszokowanej Francuzki. - Dyrektorka dała mi uroczyste słowo, że osobiście dopilnuje szycia i każe krawcowym natychmiast brać się do dzieła.

- To śmieszne! - Lilianne nie ustawała w gwałtownych protestach. - Niepotrzebnie mówiłam ci przy obiedzie, że od wielu lat nie znoszę tej kobiety. Ellisie, oskarżam cię o szantaż.

- Nazywaj to jak chcesz, niebożatko.

- Och! Oooch! - Po raz pierwszy w życiu Lilianne zabrakło słów, choć właściwe słowa Francuzka pije z mlekiem matki. Ellis wybrał dla niej dokładnie te kostiumy, na które sama miałaby ochotę. Żeby zdobyć dla siebie numer 5, 15 albo 25, Lilianne nie zawahałaby się nawet przed morderstwem. Ale wszystkie trzy?!

- Sama pomyśl, Lilianne. Albo zgodzisz się na moją propozycję, albo się bardzo pogniewamy. Nie chcesz niczego ode mnie przyjąć, tak? Więc jako brutalny Amerykanin zmuszę cię, a ty nic nie będziesz mogła na to poradzić - zagrzmiał Ellis z najgroźniejszą miną, na jaką mógł się zdobyć. Zamiast gniewu miał jednak na twarzy dzikie zadowolenie.

- Cóż mam począć... - odpowiedziała już łagodniej hrabina. - Jestem w tej sytuacji najzupełniej bezradna, czyż nie? Kiedy jest się w zażyłych

stosunkach z szaleńcem, nie można ryzykować, że się go obrazi.

- A więc umowa stoi! - ucieszył się Ellis.

- Jeszcze chwileczkę. Jutro idziemy do Diora. Musisz obiecać, że powstrzymasz się od nowych podłych sztuczek.

- Nie zamówię ci nic, dopóki personel nie weźmie na ciebie miary - zapewnił ją Ellis.

- Inna sprawa, że te kostiumiki od Chanel to wszystko stroje codienne, prawda Wilhelmino, słoneczko moje?

Billy przytaknęła ze łzami w oczach. Nigdy nie przypuszczała, że tak wielką radość może jej sprawić prezent dla kogoś, komu tak wiele zawdzięczała.

- Inaczej mówiąc, Lilianne, nadal nie masz się w co ubrać na wieczór. Dobrze mówię, Wilhelmino? Walmy prosto do Diora.

- W żadnym wypadku nie zgadzam się na takie warunki.

- Ależ proszę cię, Lilianne - zaczęła błagać Billy. - Ellis tak się świetnie bawi! Mnie też nie będzie się podobał pokaz bez twojego towarzystwa. Nie obejdę się bez twoich rad. Musisz z nami pójść i już. Zgoda?

- Ha! - hrabina ustąpiła, czując w duszy uniesienie. - Skoro tak, pójdę z wami, ale pozwalam Ellisowi wybrać dla mnie tylko jeden, jeden jedyny fason.

- Trzy - zaczął się targować Ellis. - To moja szczęśliwa liczba.

- Dwa, to moje ostatnie słowo.

- Umowa stoi. - Ellis zatrzymał się pośrodku olśniewającego korytarza, pełnego witryn z najlepszymi towarami Paryża łączącego przednią i tylną część hotelu Ritz, po czym wyciągając dłoń dodał: -

Dobijmy targu, niebożatko ty moje.

* * *

Garderoba Billy prędko skupiła na sobie uwagę prasy. Przeciętą bogatą kobietą dorabia się własnego stylu w ubiorze dopiero po kilkakrotnych małżeństwach, o ile w ogóle uda jej się znaleźć właściwy styl. Billy miała jednak za sobą długie terminowanie u Lilianne de Vertdulac, które nauczyło ją, jak niezmiernie są możliwości prawdziwej elegancji. Teraz, gdy miała za sobą Ellisa, który domagał się od żony stroju, o jakim tylko mogła zamarzyć - dla uciechy swoich i jej oczu - Billy stała się jedną z najważniejszych klientek świata mody.

Billy wyglądała świetnie w każdym stroju. Gdyby inna kobieta, o mniejszym wzroście i wyczuciu stylu, otrzymała w wieku dwudziestu jeden lat *carte blanche*, łatwo mogłaby z siebie uczynić pośmiewisko, lecz Billy znakomicie potrafiła unikać wszelkiej przesady. Precyzyjne wycucie perfekcji, przejęte od Lilianne, w połączeniu z wrodzoną bystrością oceny ratowało ją od przejaskrawień stylu. Kiedy jednak nadarzała się szczególna okazja zabłyśnięcia bogatym strojem, Billy szła na całość. Na bankiecie w Białym Domu była najbardziej rzucającą się w oczy postacią, mimo że miała zaledwie dwadzieścia dwa lata. Miała na sobie bladoliliową satynową suknię od Diora i szmaragdy, które należały niegdyś do cesarzowej Józefiny. Kiedy Billy skończyła lat dwadzieścia trzy i pozowała do zdjęć na koniu na brazylijskim rancho Ikehorna, liczącym piętnaście tysięcy hektarów, miała na sobie zwyczajne bryczesy, buty do konnej jazdy i bawełnianą koszulę rozpiętą pod szyją, lecz dwa tygodnie później na pokazie nowej kolekcji Yves Saint Laurenta wystąpiła w najświetniejszym kostiumie z poprzedniej kolekcji tego projektanta.

Ellis tymczasem, który w Paryżu czuł się już jak u siebie, szeptał żonie do ucha numery fasonów, które jego zdaniem powinna zamówić, z taką swadą, że bywalcom świata mody przypominała się słynna kolekcja garniturów Jacquesa Fatha z 1949 roku, czyli sprzed lat szesnastu. Podczas owej rewii nieżyjący już Ali Khan rozkazał siedzącej obok, młodziutkiej i wspaniałej Ricie Hayworth:

„Białą do twoich rubinów, czarną do diamentów i jasnozieloną do szmaragdów”.

Również Billy wzbogaciła się o kolekcję biżuterii godną księżniczki, lecz jej ulubionymi klejnotami pozostały na zawsze niezrównane Bliźniaki z Kimberley - kolczyki z doskonale dobranymi, jedenastokaratowymi brylantami, które Harry Winston zaliczył do najpiękniejszych kamieni, jakie sprzedawał komukolwiek na świecie. Nie zważając na przyjęte zasady, Billy nosiła te kolczyki rano, w południe i wieczorem, przekonując się, że wyglądają na miejscu o każdej porze dnia. W dwudziestym trzecim roku życia Billy wydała na ubrania ponad trzysta tysięcy dolarów, nie wliczając w tę sumę wydatków na futra i biżuterię. Pokazną część kwoty Billy wydała w Nowym Jorku, jako że doskonale pasowała jej gotowa odzież rozmiaru 8, a zbyt częste przymiarki w Paryżu zabierały czas i odrywały ją od Ellisa. Tamtego roku po raz pierwszy jej nazwisko pojawiło się na liście najlepiej ubranych kobiet świata.

Wkrótce po powrocie do Nowego Jorku Ikehornowie wynajęli i przebudowali całuteńkie piętro w drapaczu chmur przy Piątej Alei, mieszczącym hotel Sherry-Netherland. Zamieszkali tam, ze wszystkich stron mogąc się napawać panoramą miasta. Central Park ścielił im się u stóp niby zielona rzeka. Ellis Ikehorn nadal sprawował większość władzy

nad swoją własnością i zachował dla siebie najpokaźniejszy pakiet akcji, toteż większość czasu małżonkowie spędzali na Manhattanie. Ponieważ akcje Ikehorn Enterprises posiadało mnóstwo drobnych inwestorów, Ellis konsekwentnie dobierał do zarządu i do rady nadzorczej znakomitych, utalentowanych fachowców, którzy po jego śmierci mogliby nadal prowadzić interesy. Wszyscy ci ludzie sami mieli akcje firmy, toteż nie można było wątpić w ich lojalność. W tym stanie rzeczy Ellis coraz więcej czasu zaczął spędzać z Billy w podróżach. Kiedy Billy skończyła dwadzieścia cztery lata, kupili w Cap-Ferrat willę z legendarnymi ogrodami i porośniętymi murawą tarasami, które schodziły ku tafli Morza Śródziemnego niczym jedno potężne płótno Matisse'a. W londyńskim Claridge utrzymywali na stałe sześciopokojowy apartament, gdyż często tam podróżowali. Ilekroć zawitali w Londynie, Ellis odbywał swoje posiedzenia, Billy zaś wybierała w galeriach srebra z epoki króla Jerzego i królowej Anny. Ikehornowie zakupili także letni dom w ustronnej zatoczce na Barbadosie, do którego latali często na soboty i niedziele. Wiele podróżowali do krajów Dalekiego Wschodu, lecz ze wszystkich domostw najbardziej upodobali sobie wiktoriańską posiadłość w dolinie Napa, gdzie pośród krajobrazu sielskiego i kojącego jak Prowansja mogli obserwować winobranie i tłoczenie Chateau Silverado.

Ilekroć Billy i Ellis wracali do Nowego Yorku, odwiedzała ich na tydzień albo dwa ciotka Kornelia, która wkrótce po ślubie Billy owdowiała. Między Kornelią i Ellisem wywiązała się zażyła przyjaźń. Ikehorn był więc prawie tak przybity jak Billy, kiedy Kornelia zmarła nieoczekiwanie trzy lata po ślubie bratanicy. Ponieważ ciotka całe życie powtarzała, że choroby nie przystoją osobom dobrze wychowanym,

zmarła dokładnie w myśl swoich zasad, bo na atak serca - pierwszy, lecz od razu śmiertelny - nie wyrywając nawet ze snu służby. Przez cały okres małżeństwa Billy wzdragała się przed podróżą do Bostonu ze względu na nadmiar bolesnych wspomnień, związanych z tym miastem, ale oczywiście wybrała się tam wraz z Ellisem na pogrzeb Kornelii.

Zatrzymali się w szacownym hotelu Ritz - Carlton, obskurnym powinowatym galerii innych Ritzów na całym świecie, którą tak dobrze poznali: Ritza w Lizbonie, Ritza w Madrycie, a zwłaszcza najlepszego z najlepszych - Ritza w Paryżu. Mimo wyciszonej, bostońskiej atmosfery hotel pulsował jednak atmosferą godną dostojnej nazwy.

Przed udaniem się do kościoła w Chestnut Hill, gdzie odbywało się nabożeństwo żałobne i gdzie Kornelia miała spocząć u boku wuja George'a, Billy rzuciła ostatnie spojrzenie w zwierciadło. Miała na sobie stonowaną sukienkę firmy Givenchy, płaszcz z czarnej wełny i czarny kapelusz, który zamówiła telefonicznie u Adolfo, gdy tylko usłyszała od kuzynki Lizy wiadomość o zgonie Kornelii. Ellis zdziwił się, gdy odpięła brylantowe kolczyki i schowała je do torebki.

- Idziesz bez nich, Wilhelmino?

- Ellis, jesteśmy w Bostonie. Wyglądałabym z nimi niestosownie.

- Kornelia powtarzała zawsze, że jesteś jedyną w świecie kobietą, która może je spokojnie nosić nawet w wannie. Trochę szkoda.

- Zapomniałam, kochanie. Ciotka rzeczywiście tak mówiła. A zresztą, dlaczego mam się przejmować Bostonem? Biedna ciocia. Tyle lat próbowała przemienić brzydkie kaczątko w łabędzia... Masz rację, muszę jej dzisiaj oddać cześć. Na pewno by się to jej spodobało - z tymi słowami Billy na powrót wpięła kolczyki, które roziskrzyły całe lustro zimnym

światłem zupełnie nie pasującym do pogrzebu, i cicho dodała:

- Nadzwyczaj wulgarny dodatek jak na kościół, w dodatku na wsi. Ciekawa jestem, czy ktokolwiek odważy się zwrócić mi uwagę?

Jeśli ktokolwiek miał nawet taki zamiar podczas stanowiącego bostoński odpowiednik stypy spotkania w salonie wielkiego domostwa w Wellesley Farms, które należało do jednej z sióstr Kornelii, nie pisnął ani słówka. Jak zawsze po pogrzebie, żałobnicy pili dużo - a na pewno więcej niż zwykle - więc już po półgodzinie szmer stłumionych konwersacji przerodził się w głośny i nieoczekiwane serdeczny rozgardiasz. Billy spostrzegła, że stoi wraz z Ellisem w samym środku ciżby własnych krewnych, którzy nie posiadają się z autentycznej radości, iż mogą z nią odnowić związek. Niektórzy przypisywali sobie z Billy zażyłość, która nie miała potwierdzenia w faktach. Billy przygotowała się z góry na cięte uwagi w stylu:

- Co to za nazwisko, na dobrą sprawę, „Ikehorn”. Nigdy go jakoś nie słyszałam! Gdzie urodził się ten twój mąż, do diabła? Mówisz, że jak się nazywała jego matka? - i tak dalej. Nie usłyszała jednak ani jednego przycinka.

- Nie mieści mi się to w głowie, Ellis - poskarżyła się Billy, gdy już wrócili do hotelu.

- Zawsze sobie wyobrażałam, że przy takiej okazji rodzina potraktuje mnie uprzejmie, ale chłodno, a ciebie z góry, a tu nagle wszyscy ci wujowie zachowują się tak, jakbyś się urodził w domu obok, a od ciotek i kuzynek nie mogłam się wprost opędzić. Nawet mój ojciec, który od lat rozmawia tylko ze swoimi bakteriami, gadał z tobą jak najęty, trudno mi to inaczej określić. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby zachowywał się tak

serdecznie. Gdyby nie byli z Bostonu i gdybym ich tak dobrze nie znała, powiedziałabym, że lgną do twoich pieniędzy.

Ellis zreflektował się w duchu, że w samej rzeczy bostończycy nie zwracają uwagi na pieniądze, chyba że w postaci darowizny w imieniu Ellisa i Wilhelminy Ikehorn na swoje szpitale, laboratoria, uniwersytety czy muzea. Trudno się było nie cieszyć ze słuszności decyzji, by przez ubiegłe lata po cichu ofiarowywać pieniądze różnym bostońskim instytucjom charytatywnym. Od samego dnia ślubu Ellis był pewien, że któregoś dnia jego żona powróci do Bostonu.

Swoją Billy Ellis otaczał taką troskliwością, że potrafił zadbać o najmniejszy szczegół ich wspólnego życia. Z biegiem lat Billy przestała w ogóle wychodzić poza to zaczarowane koło, zapominając jak wyglądają zwyczajne, codzienne problemy, przyzwyczajając się za to do tego, że jej najmniejsze życzenie jest prawem. Bezwiednie więc - choć w delikatny sposób - Billy zaczęła się stawać coraz bardziej apodyktyczna. Całą dobę miała do swojej dyspozycji limuzynę z kierowcą, prędko więc przestała nawet pamiętać, do czego służy parasol. Przemoczone nogi stały się dla niej tym samym, co łóżko, w którym nie zmienia się codziennie pościeli. W pokoju, w którym nie ma świeżych kwiatów, Billy czuła się równie obco jak w łazience, w której trzeba samej sobie napuścić wody do wanny. Kiedy Ikehornowie jechali do którejś z licznych rezydencji, zabierali ze sobą kucharza, osobistą pokojówkę Billy i służącą, która nadzorowała służbę przebywającą stale na miejscu. Kucharz, doskonale znający ich gusty kulinarne, codziennie przedstawiał menu do aprobaty Billy. Pokojówka była również dyplomowaną masażystką i fryzjerką. Jednym słowem, dostatek zaczął psuć Billy w sposób, jakiego dane jest zaznać

zaledwie kilkuset kobietom na świecie. Ten szczególny rodzaj zepsucia, choć odbiera się go jak błogosławieństwo, nieuchwytnie odmienia charakter kobiety, każąc jej dążyć do coraz większej władzy nad otoczeniem. Dążenie to wydaje się takiej kobiecie czymś równie naturalnym, jak głód i pragnienie.

Nikt spośród śledzących życie Ikehornów czytelników gazet i pism ilustrowanych - które wciąż zamieszczały artykuły na temat kolei ich losu - nie rozumiał tak naprawdę, że chociaż Billy i Ellis w samej rzeczy wydają się należeć do wielkiego świata i wielkiej finansjery, akceptują tylko jedną stronę takiego życia i nigdy nie włączają się do końca w sprawy socjety. Billy i Ellis zaczęli się bowiem coraz bardziej zamykać w swoim własnym świecie, co nie tyle utrudniało, ile wręcz udaremniało bliskie związki z innymi ludźmi. Jako para nigdy nie starali się włączyć do jakiegokolwiek grupy towarzyskiej, klubu czy kliku. Choć wciąż gdzieś bywali albo podejmowali gości, ich jedynymi bliskimi przyjaciółmi byli Jessica Thorpe Strauss i jej mąż. Kiedy trzeba było się spotykać na gruncie towarzyskim ze współpracownikami Ellisa i ich małżonkami, Billy czuła się dziwnie przy jednym stole z sześćdziesięcioletnimi panami i ich połowicami, kiedy przy innych stolikach bawili się młodzi ludzie, jej rówieśnicy. Obawiała się, że ktoś ją weźmie za córkę albo wnuczkę, którą zabrano do lokalu, bo nie było jej z kim zostawić na cały wieczór. Jednak gdy tylko zostawała z Ellisem sam na sam, różnica wieku między nimi zniknęła jak zdmuchnięta - stawali się dwójką samotników, która trzyma sztamę i podróżuje razem po świecie. Kiedy Billy skończyła dwadzieścia siedem lat, z pewnym przestachem zdała sobie boleśnie sprawę, że kiedy nadejdą urodziny Ellisa, rzeczywiście będzie mógł otrzymywać darmową

opiekę medyczną jako emeryt.

Billy czuła się znacznie bardziej na miejscu w gromadzie nowojorczyków, paryżan czy londyńczyków, w których celują obiektywem fotoreporterzy podczas Prix Diane, Marbelli, wyścigów w Ascot czy na premierach nowych sztuk na Broadwayu. W towarzystwie tym znajdowało się wiele innych młodych kobiet w jej wieku, przemieszanych z kilkoma bardziej już dojrzałymi damami z wielkiego świata. Na pewnym poziomie społecznym spadkobierczynie fortun traktuje się z taką samą atencją jak kobiety zawdzięczające pozycje własnym talentom, toteż księżniczka Monaco Karolina czy księżniczka Yasmin Khan mogły już jako nastolatki zacząć się obracać w najlepszych sferach. Wśród towarzystwa, którego życiem jest luksus i sława, Billy i Ellis Ikehorn byli parą fascynującą w swej zagadkowości, ponieważ nigdy nie dawało się ich do końca zaszufładkować i przypisać do którejś z grup, określających choreografię towarzyskiego wiru. Widowisko, jakie obserwowali Ikehornowie, bawiło ich i stanowiło rozrywkę, lecz nigdy nie wciągnęło do tego stopnia, aby je traktować serio - zupełnie tak, jak gdyby w dniu zaślubin przyjęli niepisaną umowę, że konwenanse i ambicje życia w najwyższych sferach nigdy nie będą miały wpływu na ich związek.

W grudniu 1970 roku, kiedy Billy miała zaledwie dwadzieścia osiem lat, sześćdziesięciosześcioletni Ellis przeszedł pierwszy wylew, na szczęście niewielki. Przez dziesięć dni wydawało się, że szybko się podzwignie z choroby, lecz drugi, znacznie poważniejszy wylew zniweczył te nadzieje na zawsze.

- Jego mózg jest aktywny, choć nie potrafimy stwierdzić, na ile - tłumaczył Billy Dan Dorman. - Wylew dotknął, na nieszczęście, lewy płąt

czołowy; tam mieści się ośrodek mowy i kierowania całą prawą połową ciała.

Lekarz spojrział na Billy Ikehorn, siedzącą przed nim sztywno z białą, obnażoną szyją. Czuł się tak, jak gdyby z okrucieństwem przesuwiał nożem po tej śnieżnej skórze. Wiedział jednak, że musi przygotować Billy na najgorsze, zanim minie jej pierwszy szok.

- Ellis będzie mógł się z tobą porozumiewać, używając lewej ręki, ale nie wiem, Billy, na ile wysiłku będzie go stać. Na razie zostawiam go w łóżku, ale jeśli nic się nie będzie działo, za parę tygodni będzie mógł względnie wygodnie siedzieć na wózku. Zamówiłem trzech pielęgniarzy, którzy go będą non stop doglądać, pewnie już do końca jego dni. Rozpoczęliśmy niezbędną fizjoterapię, żeby utrzymać w sprawności mięśnie lewej połowy ciała.

Billy nie powiedziała ani słowa, skinęła tylko głową, zginając i rozginając spinacz do papieru, którego nie potrafiła odłożyć.

- Billy, wiesz, co mnie najbardziej niepokoi? Że jeżeli zostaniecie w Nowym Jorku, Ellis zacznie się denerwować albo popadnie w klaustrofobię. Kiedy będzie go można posadzić na wózku, powinniście się wyprowadzić, tam gdzie będzie mógł przebywać na powietrzu, obcować z naturą, obserwować rośliny i tak dalej.

Billy przypomniała sobie obraz staruszków na wózkach inwalidzkich, okrytych pledami i toczonych ulicami Manhattanu do Central Parku, ich koce i kosztowne płaszcze, kaszmirowe szaliki, oczy bez wyrazu...

- Dokąd mamy pojechać? - zapytała cicho.

- Najlepszy klimat ze wszystkich miast w Ameryce ma chyba San

Diego - odpowiedział Dan. - Inna sprawa, że zanudzisz się tam na śmierć. Nie daj się wciągnąć w myślową pułapkę i nie wyobrażaj sobie, że będziesz siedzieć u boku Ellisa i nie opuścisz go do końca życia. Nawet jeśli nie masz nic przeciwko temu, Ellis nigdy by się na to nie zgodził. Słyszysz, co mówię, Billy? Byłoby to szczytem okrucieństwa, zwłaszcza że Ellis nie może ci powiedzieć, że nie chce tego.

Billy skinęła głową. Słyszała każde słowo doktora i wiedziała, że Dan ma rację, lecz nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia.

- Rozumiem, Dan.

- Moim zdaniem powinniście się przenieść do Los Angeles. Będziesz tam miała masę kontaktów z ludźmi, tyle że musicie znaleźć dom gdzieś ponad warstwą smogu. Ellis nie może wdychać smogu, zwłaszcza że tak naprawdę oddycha tylko jednym płucem. Znajdź dom gdzieś wysoko w Bel Air, będę tam przyjeżdżał przynajmniej raz w miesiącu. Znam w Los Angeles doskonałych lekarzy, mogę ci paru polecić, i oczywiście polecę z wami, kiedy będziecie się przenosić, tak będzie mu łatwiej.

Doktor Dorman nie zdobył się na to, by spojrzeć Billy w oczy. Siedziała milcząca i wyprostowana niczym królowa, lecz czuło się, że jest zagubiona jak dziecko. O ileż byłoby dla obydwójga łatwiej, gdyby Ellis po prostu umarł... Doktor obawiał się podobnego wypadku od dnia, kiedy dowiedział się o planowanym małżeństwie Ikehorna. Mógł śmiało założyć, że bał się tego również sam Ellis - wyjaśniałoby to jego wystawny styl życia, jakże nietypowy dla Ikehorna z dawnych czasów. W latach, kiedy Dorman poznał Ikehorna, ten ostatni nigdy by się nie rzucił w wir uciech świata, które zawsze ignorował. Widocznie Ellis chciał wyprawić Billy bal, dopóki zostało mu jeszcze trochę życia.

- Czy na pewno nie możemy zamieszkać w naszym domu w Silverado, Dan? Ellis wolałby własną posiadłość od jakiegoś obcego miejsca.

- Cóż, nie doradzałbym tego. Owszem, możecie jeździć do Silverado na winobranie, ale moim zdaniem Ellis powinien mieszkać tam, gdzie może w każdej chwili liczyć na pełną opiekę lekarską.

- Jutro rano wyślę Linde, żeby nam znalazła odpowiedni dom. Moim zdaniem do czasu, kiedy Ellisa będzie można przewieźć, wszystko powinno już być gotowe.

- W takim razie możesz myśleć o pakowaniu się w połowie stycznia - oznajmił Dorman wstając, by się pożegnać. Kiedy Billy odprowadzała go do drzwi, pojęła, że w jego głosie znać ból, maskowany zawodowym chłodem. Dorman znał Ellisa Ikehorna jak nikt w świecie, prócz Billy oczywiście, lecz jako lekarz musiał zdobyć się na opanowanie, zajmować się wyłącznie faktami, zapomnieć o smutku. Billy poczuła, że musi go pocieszyć, choć nie bardzo wiedziała, czy to w ogóle możliwe. Kiedy Dorman założył na siebie płaszcz, objęła go i spojrzała mu w oczy ze słabym uśmiechem na ustach - pierwszym uśmiechem, na jaki się zdobyła od czasu ponownego wylewu Ellisa.

- Wiesz, co muszę jutro zrobić, Dan? Kupić sobie trochę nowych ciuchów. W Kalifornii zupełnie nie będę miała co na siebie włożyć.

Pośród swojej kolekcji sentymentalnych pamiątek Valentine upodobała sobie zwłaszcza pewną fotografię. Nie było to nawet zdjęcie rodzinne, lecz tylko zwyczajna, pożółkła gazetowa fotografia, jakich całe setki zrobiono 25 sierpnia 1944 roku, czyli w dniu, kiedy alianckie wojska wkroczyły do Paryża. Na fotografii roześmiani od ucha do ucha amerykańscy żołnierze machali rękoma ze swoich czołgów, sunących w triumfie po Champs - Elysées. Ku wozom bojowym rzucały się upojone tym widokiem Francuzki, obdarowujące rozradowanych, wyczekiwanych wyzwolicieli nareęczami kwiatów i pocałunkami. Jednym z tych żołnierzy, nie uwiecznionym na zdjęciu, lecz obecnym podczas owej słynnej, legendarnej parady zwycięstwa, był ojciec Valentine, Kevin O'Neill - jedną zaś z uradowanych, bliskich łez kobiet na ulicy jej matka, Hélène Maillot. Młodej parze udało się w radosnym zamieszaniu wymienić kilka słów - wystarczyła jedna chwila, by rudowłosy dowódca czołgu zapisał sobie imię i adres małej midinetki o zielonych oczach. Pułk czołgów, w którym służył O'Neill, rozlokowano tuż pod Vincennes, toteż kiedy z końcem wojny całą jednostkę odwołano do Stanów Zjednoczonych, żołnierz wzbogacił się o francuską żonę.

O'Neill przy pierwszej sposobności ściągnął Hélène do Nowego Jorku. Zamieszkali w kamienicy bez windy, przy Trzeciej Alei, a dowcipny, porywczy Irlandczyk, wychowany w bostońskim sierocińcu, szybko uczył się nowego fachu drukarza. Do 1951 roku, to jest do chwili urodzenia córki, matka Valentine pracowała dla Hattic Carnegie i chociaż była o wiele młodsza, niż większość najzręczniejszych krawcowych tego słynnego domu mody, jej paryskiemu warsztatowi nie dało się nic

zarzucić. W ciągu trzech lat Hélène ze szwaczki awansowała na krojączynię, specjalizującą się w dodatku w materiałach trudnych w obróbce, takich jak szyfon, krepdeszyn i jedwabny aksamit.

Po narodzinach małej Valentine Hélène O'Neill pożegnała się z dawnym zajęciem i z radością oddała się domowym obowiązkom, wyżywając się w kulinariach, drugim ze swych talentów. Zanim dziewczynka nauczyła się rozumieć w jakimkolwiek języku, matka przemawiała do niej wyłącznie po francusku, a kiedy do domu wracał Kevin, przerzucali się na angielski. Valentine uwielbiała ciepły, wesoły harmider rodzinnych rozmów. Z najwcześniejszych lat życia zapamiętała niewiele, ale na całe życie został jej po nich optymizm, wesołość i serdeczność, którymi żyła rodzina, odizolowana od reszty świata na swej małej wysepce szczęścia i błogości. Na muzykę tamtej epoki ogromny wpływ miała Francja: Charles Trénet, Jean Sablon, Maurice Chevalier, Jacqueline François, Yves Montand, Edith Piaf. Tylko słuchając tych płyt matka Valentine pozwalała sobie na chwilę nostalgii, podśpiewując zwłaszcza jedną piosenkę, zaczynającą się od słów: *J'ai deux amours, mon pays et Paris...*

W 1957 roku, gdy Valentine miała sześć lat i za rok miała iść do pierwszej klasy, Kevin O'Neill zmarł na wirusowe zapalenie płuc. Choroba zmogła go w ciągu zaledwie kilku dni. Tydzień później młoda wdowa postanowiła powrócić do Paryża. Zostały tylko we dwie; Hélène musiała znaleźć stałą pracę dla siebie, a kochającą rodzinę dla Valentine. W Nowym Jorku skazane byłyby na samotność, gdy tymczasem tuż pod Wersalem mieszkała cała liczna rodzina Maillotów.

W świecie haute couture posady inne niż praca prostej szwaczki są

zamknięte dla nowicjuszy - chyba że ma się łut szczęścia. Pod koniec lat pięćdziesiątych paryżanki pracujące dla wielkich projektantów mody oddawały się swemu zajęciu z tak nabożną czcią, jak gdyby złożyły specjalne śluby. W glorii chwały chodziły zwłaszcza szefowe całego atelier, odpowiedzialne za wszystkie przymiarki i mające pod sobą od trzydziestu do pięćdziesięciu szwaczek. Wydawało się czasem, że kobiety te nie znają życia innego niż gorączkowa, miarowa histeria ich *maison de couture* i często starzały się w tej służbie, w której jak nigdzie doceniano ich zdolności i uznawano ich rozmaite kaprysy za prawo.

Wczesną jesienią 1957 roku, w najgorszym z możliwych momentów, bo tuż przed prezentacją nowej jesiennej kolekcji, zdarzyła się rzecz nieprawdopodobna: główna krojczyń, ostoja porządku w firmie Pierre'a Balmaina, uciekła z mężczyzną. Zalotnik, którym był rozpustny, podstarzały restaurator z Marsylii, oświadczył jej, że po czterech latach odkładania związku, już to z powodu wiosennej, już to jesiennej kolekcji mody, przyszła pora na ostateczną decyzję. Krawcowa, która dobiegała czterdziestki, spojrzała w lustro i przekonała się, że zalotnik ma rację. Sprytna krawcowa wymknęła się bez powiadamiania o tym kogokolwiek. Następnego dnia, kiedy w całej rozciągłości świat poznał to okropne przestępstwo, gniew firmy Pierre'a Balmaina był taki, że pomieszczenia przy ulicy Francois Premier numer 44 omal nie stanęły w ogniu.

Dokładnie tego samego dnia po południu Hélène O'Neill zgłosiła się do Pierre'a Balmaina w poszukiwaniu pracy. W normalnych okolicznościach musiałaby się zadowolić posadą głównej albo i średniej pomocnicy - na poziomie kwalifikowanej szwaczki - ale wobec nawału zamówień, mając przed sobą najbardziej dochodowy sezon w całym roku,

Balmain musiał ją przyjąć do przymiarek. Jeszcze tego samego wieczora korpulentny Savoyard mógł się przekonać, jakie ma szczęście. Szczupłe dłonie Hélène dotykały szyfonu z należną temu materiałowi czcią i cierpliwością. Nowa pracownica przeszła chrzest bojowy, gdy musiała dokonać przymiarki sukni dla Madame Marleny Dietrich. Dietrich znała się na szyciu jak każda normalna klientka, lecz od normalnych klientek była dwa razy bardziej wymagająca i kapryśna jak nikt na świecie. Cała firma odetchnęła z mieszaniną ulgi i niedowierzania, kiedy przymiarka zakończyła się bez wymiany ostrych słów. Kiedy Dietrich nie mówiła ani słowa, oznaczało to, że jest zachwycona robotą. Tak zrodziła się sława Madame O'Neill jako cudotwórczyni - jej miejsce w domu mody Pierre'a Balmaina było zapewnione.

Przy przymiarkach pracuje się od rana do nocy, tym bardziej w takiej firmie jak Balmain, która szyje nie tylko dla bogatych pań z towarzystwa, lecz i dla wiecznie zajętych aktorek. Na przymiarki dla tych ostatnich trzeba się umawiać wczesnym rankiem albo późnym popołudniem. Jeżeli spóźni się choć jedna klientka, ciasny harmonogram zmienia się w rujnujący nerwy, nieustanny wyścig z czasem. Krawcowa jest na nogach - czy raczej na kolanach - cały dzień, wyjąwszy przerwę na obiad, a kiedy zapada wieczór, często jest bliska omdlenia albo załamania nerwowego. Przed premierą kolekcji pracować trzeba jeszcze dłużej, do czwartej czy piątej nad ranem, dopasowując nowe fasony na modelkach, które ze zmęczenia padają już z nóg. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych tym, co się naprawdę liczyło we francuskiej modzie, nie była nieskończona defilada nowych fasonów, którymi zachłystywano się w żurnalach, lecz to, że sukienka, kostium czy płaszcz idealnie pasują na

osobę, która je nosi. Bez dobrych specjalistek od przymiarek największe natchnienie projektantów nie uchroniłoby firm krawieckich od bankructwa. (W dzisiejszych czasach, kiedy mało kto zaopatruje się w odzież w paryskich domach mody, słynne firmy utrzymują się już tylko ze sprzedaży ubrań gotowych i perfum własnej marki. Haute couture stało się skarbonką na pieniądze, która jednak przydaje codzienności blasku).

Wkrótce po rozpoczęciu pracy u Balmaina Hélène O'Neill zorientowała się, że jest niemożliwością pracować w centrum Paryża i mieszkać nadal wraz z resztą klanu pod Wersalem. Jeżeli do nawału obowiązków dochodziła jej jeszcze codzienna, dwukrotna podróż zatłoczoną ciuchcią, bardzo trudno było młodej matce znaleźć w sobie dość siły do pracy. Hélène znalazła więc dla siebie i Valentine mikroskopijne mieszkanko w starej kamienicy w labiryncie uliczek położonych parę kroków od siedziby firmy, a co więcej, zapisała córkę do pobliskiej szkoły. W niedziele i święta obie panie składały wizyty braciom i siostram Hélène, którzy mieszkali wszyscy tak blisko jedno drugiego, jak to było tylko możliwe, i prześcigali się w rozpieszczaniu owdowiałej siostry i jej osieroconej córeczki.

Większość francuskich dzieci wraca na obiad do domu. Dla Valentine domem tym stała się firma Balmaina. W wieku lat sześciu i pół mała przyzwyczała się już wślizgiwać do środka przez wejście dla pracowników, przy którym sędziwy strażnik witał ją uściskiem dłoni. Pod pokrywką matczynego koszyka zawsze znalazło się dla matki i córki coś pożywnego, gorącego i pysznego. Domowe obiady przynosiło ze sobą wiele szwaczek, toteż Valentine przekonała się wkrótce, że ma nie jedną, lecz czterdzieści matek, spośród których wiele darzy się wzajemnie

wrogością, ale wszystkie mają zawsze ciepłe słowo dla dobrze wychowanej dziewczyneczki bez ojca od Madame Hélène.

Valentine nie chciała wracać po lekcjach prosto do domu, gdzie czekało tylko puste wnętrze. Wolała dźwigając ciężki tornister powrócić do swojego kącika w krawieckim atelier, gdzie czasem w skupieniu odrabiała lekcje, a czasem z przejęciem obserwowała krzątanie załatanych krawcowych i napszonych klientek. Mała bardzo starała się nie plątać pod nogami. Po kilku miesiącach wszyscy tak się już przyzwyczaili do jej obecności w kąciku, że otyłe, słynące z niewyparzonego języka pracownice rozmawiały przy niej swobodnie. Valentine poznawała więc niewiarygodne historie o potyczkach, jakie zdarzają się w zaciszu przymierzalni, opowieści o wadach i zaletach klientek noszących dziwne imiona - Bardot, Loren, księżna Windsoru - albo o bojach na śmierć i życie pomiędzy jedną a drugą *premiere vendeuse* o miejsca na pokazie, o nową klientkę... Valentine dowiadywała się o walkach i scenach zazdrości w przebieralni, gdzie gnieździły się modelki, wspaniałe, rozpędzone kobiety o teatralnym makijażu i imionach takich jak Bronwen, Lina i Maria Teresa. Przeważnie jednak, jeśli Valentine nie odrabiała akurat lekcji, zajmowała się nie plotkami, a przyglądała się pracy, która wrzała wokół niej bez chwili przerwy. Suknia, którą dziewczynka widziała w postaci paru nic nie mówiących kawałków sztywnego białego muślinu, już po kilku tygodniach i po spędzeniu nad nią przez szwaczki co najmniej stu pięćdziesięciu godzin, po trzech czy czterech przymiarkach, szew po szwie zmieniała się w szyfonową kreację balową dla księżnej de La Rochefoucauld. Nawet w tamtych czasach cena takiego cacka wahała się od dwóch do trzech tysięcy dolarów.

Nie ulegało oczywiście kwestii, że hierarchia nadzorców i kierowników u Balmaina nie ma pojęcia, iż w jednej z pracowni firmy przebywa dziecko. Mimo dobrego serca Pierre Balmain i jego wszechpotężna menadżerka, Madame Ginette Spanier, rządząca firmą zza swojego biurka u szczytu frontowych schodów, z pewnością patrzyliby krzywo na to uchybienie. Kilkakrotnie, przy rzadkich okazjach, gdy kruczowłosa, wybuchowa, nieokiełznana pani Spanier wdzierała się do atelier, by skutecznie tłumić dojrzewającą tam rewoltę, Valentine kryła się zawsze za wieszakiem z gotowymi sukniami balowymi, ustawionym w tym celu obok stołeczka małej.

Gdy Hélène uporała się już z ostatnią przymiarką, a ostatnia klientka zniknęła w paryskich ciemnościach, odjeżdżając czekającą dotąd limuzyną - w tamtej epoce do Paryża przybywało bowiem każdego sezonu dwadzieścia i trzydzieści tysięcy kobiet chcących sobie skompletować niepowtarzalną garderobę - matka i córka wracały do domu na niewymyślną kolację. Po jedzeniu Valentine znów brała się do lekcji, ale rzadko kiedy umiała się powstrzymać, by nie zapytać matki o nowiny z firmy Balmaina. Fascynowały ją zwłaszcza szczegóły wykończenia każdej kreacji, przyczyny, dla których każdy szew i dziurka wyglądają tak, a nie inaczej. Dlaczego Monsieur Balmain stosuje zawsze nieparzystą liczbę guzików? Dlaczego Madame Dietrich sześć razy odsyłała podszewkę od spódnicy, żeby ją na nowo przesyty? Przecież chodziło o podszewkę, a nie o spódnicę? Dlaczego wszystkie atelier, w których szyje się garnitury męskie, są tak dokładnie oddzielone od pracowni sukien? Dlaczego jedna pracownia zajmuje się żakietem i spódnicą od kostiumu, a zupełnie inna bluzką i apaszką od tego samego kostiumu, choć przecież wszystko to

będzie się nosić razem? Na czym polega ogromna i pozornie nie do przeskokowania różnica między umiejętnością krojenia wełny a krojenia jedwabiu? Dlaczego ciężkim krawiectwem zajmują się przeważnie krawcy - mężczyźni, a lżejszymi tkaninami kobiety?

Hélène bez trudności znajdowała odpowiedź na większość tych kwestii, lecz nie potrafiła nic odrzec na pytanie, które małą Valentine interesowało najbardziej: - Skąd Monsieur Balmain bierze pomysły? - Matka oświadczyła więc w końcu naprzykrzającemu się dziecku: - Gdybym to wiedziała, moja mała, sama byłabym panem Balmain, a może Mademoiselle Chanel czy Madame Gres.

Obie roześmiały się głośno na sam pomysł.

Valentine nigdy nie przestała się nad tym zastanawiać. Kiedy miała lat trzynaście, zaczęła rysować rozmaite sukienki i znalazła odpowiedź. Pomysły bierze się z głowy, i tyle. Wystarczy sobie wyobrazić fason i spróbować go narysować. Jeżeli sukienka wyglądała jakoś nie tak, trzeba było się zastanowić, dlaczego, i narysować ją znowu, i znowu, i jeszcze raz.

Oczywiście zadanie wcale się na tym nie kończyło. Trzeba było jeszcze wiedzieć, w jaki sposób ubrania ze szkiców będą leżeć na ciele. Valentine umiała prześlicznie szyć. Uczyła się tej sztuki od matki przez długich osiem lat. Sama umiejętność szycia mogła jej jednak w najlepszym razie przynieść pracę podobną do zajęcia Hélène, zajęcia, które z roku na rok stawało się coraz bardziej wyczerpujące. Valentine mogłaby też zostać jedną z tych małych couturiere z sąsiedztwa, które podkradały pomysły z wielkich kolekcji i naśladowały je najlepiej jak umiały na użytek klientek z klas średnich. Nawet w tym wieku Valentine wiedziała

jednak, że nie odpowiada jej zupełnie taka przyszłość.

Valentine nie przypominała przeciętnej francuskiej uczennicy. Kiedy w wieku sześciu lat osiedliła się z matką w Paryżu, była rudym, zaczepnym amerykańskim dzieckiem, które z łatwością dałoby sobie radę wśród pierwszoklasistów - z tym tylko, że w Nowym Jorku. Z dnia na dzień musiała zmienić się w małą Francuzeczkę, w jedno z legionu przepracowanych, dobrze ułożonych, bladych stworzonek, które mają za zadanie poświęcić swój młodziutki żywot nauce. We Francji nawet najmniejsza wiejska szkoła daje uczniom wykształcenie, którego mogą pozazdrościć najlepsze prywatne szkoły amerykańskie. Valentine dobrze zniosła tę przemianę, toteż jako dziesięciolatka wkuwała już łacinę i zapoznawała się po raz pierwszy z Moliere'm i Corneille'em, doskonaliła się w i tak już doskonałej kaligrafii i spędzała nie kończące się godziny w labiryncie francuskiej gramatyki, której nauczyć się można tylko w trakcie długich lat powtarzania i analizy.

Valentine zaczęła zwracać na siebie uwagę innych. Jej delikatne, ostre i wyraziste rysy, z których biła bystrość i inteligencja, znamionowały typową galijską urodę, lecz włosy, płomiennorudej barwy, w połączeniu z lśniącymi, wyzywającymi, jasnozielonymi oczami, a z nimi trzy piegi na nosie, oraz wspaniała mleczna cera brały się z krwi celtyckiej. Nawet w mundurku francuskiej uczennicy - w okropnym fartuszku, zawsze przykrótkim i noszonym razem z bluzką z długimi albo krótkimi rękawami, zależnie od pory roku - Valentine wyróżniała się spośród tłumu. Może działo się tak z powodu jej wiecznie rozplątujących się, miedzianych warkoczy, związanych wstążką, może przyczyną była żywość dziewczynki, spętanej wymogami tego, co przystoi małej

uczennicy. Valentine trzymała się zawsze skrajności. Była najlepsza z całej klasy w angielskim i rysunkach, za to najgorsza z matematyki, a o ocenie z zachowania w ogóle lepiej nie wspominać.

Jako nastolatka Valentine jedyna w całej szkole kolekcjonowała płyty grupy Beach Boys. Wszystkie koleżanki uwielbiały Johnny'ego Hallidaya. Z poczuciem misji chadzała też w każde sobotnie popołudnie na amerykańskie filmy, które wolała oglądać sama, gdyż nikt jej nie przeszkadzał. Chociaż myślała po francusku, nie pozwalała sobie na to, by wyjść z wprawy w angielskim, czy wręcz zapomnieć tego języka, co często zdarza się dzieciom, które we wczesnych latach posługiwały się płynnie innymi językami. Valentine pamiętała, że jest pół - Amerykanką, lecz nigdy nie rozmawiała na ten temat, nawet z matką. Podwójne obywatelstwo było magicznym talizmanem Valentine, zbyt cennym - i zbyt nieosiągalnym - by go przedstawiać światu.

Zbliżając się do wieku lat szesnastu Valentine zdecydowała, że kontynuowanie szkolnej nauki nie ma sensu. W tym wieku mogła już legalnie porzucić szkołę i znaleźć sobie pracę. Jaki jest pożytek z wkuwania na pamięć obszernych fragmentów poezji i prozy francuskiej, nie mówiąc już o matematyce, jeśli ma się zamiar zostać projektantem mody? Valentine wiedziała, że tak będzie i nie dzieliła się z nikim tym sekretem.

Nawet gdyby w Paryżu istniał odpowiednik nowojorskiej Parsons School of Design czy też Fashion Institute of Technology, Valentine i tak nie miała na razie pieniędzy na lata dalszej nauki. Jediną drogą, jaka jej pozostała, było czeladnictwo. Kłopot polegał na tym, że czeladnikowi wzbroniony jest wszelki instynkt twórczy. Nawet największe krawcowe i

krojczynie mają unikać „pomysłów”, które są wyłączną domeną mistrza atelier. Ta ostatnia grupa wyuczyła się swojego metier w innych domach mody, często zaczynając od stanowiska zwykłego rysownika. Nawet Chanel w początkach kariery, kiedy ówczesny kochanek kupił jej pracownię kapeluszy, brakowało wiedzy fachowej. Bardzo rzadko się zdarza, by projektant umiał własnoręcznie kroić i szyć, tak jak Balmain czy Madame Gres.

Bardzo niewielu jednak spośród wielkich projektantów startowało z tak niskiej pozycji jak Valentine, która w 1967 roku została midinette, jedną z niewolnic świata mody. Posadę tę wywalczyła dla niej matka, lecz odtąd Valentine musiała sobie radzić sama. Jeżeli midinetka zepsuje metr brokatu wartości dwustu dolarów, może się już nie pokazywać w pracy. Jeżeli midinetka za długo się grzebie przy obrębianiu spodów, może już więcej nie przychodzić. Cena każdej sukni w kolekcji obejmuje najdrobniejszy szew, haftkę i dziurkę, każdy centymetr lamówki, każdy guzik i każdy arkusik bibułki, w który zawija się strój przed zapakowaniem go w biały karton z firmowym znakiem Pierre’a Balmaina. Jedna niezręczna szwaczka może więc odebrać firmie cały zysk z danej kreacji.

Pięć długich lat, od 1967 do 1972 roku, Valentine pięła się w górę, ze szwaczki stając się kolejno pomocnicą, a później asystentką. W kilka lat przeszła więc drogę, która przeciętnej osobie zabiera dwie dekady albo całą wieczność. Valentine przewyższała resztę debiutantek umiejętnościami, a to dzięki szkole, jaką otrzymała od matki przy domowej maszynie do szycia. Teraz musiała się jednak nauczyć umiejętności, których nabywa się poza krawieckim atelier. Po dwóch

pierwszych latach często wzywano ją do pomocy przy przymiarkach, gdzie księżniczki, gwiazdy kina i żony najbogatszy ludzi Ameryki Łacińskiej całymi godzinami stały w negliżu, spływając potem w dusznej, przesyconej wonią perfum przymierzalni, a czasem płakały z wściekłości i rozczarowania, gdy okazywało się nareszcie, jak wyglądają w nowych kreacjach. Valentine nauczyła się w ciągu paru sekund rozpoznawać kobiety, które lada chwila wybuchną i zwałą na dom Pierre'a Balmaina odpowiedzialność za to, że w tej samej kreacji wyglądają mniej powabnie i zupełnie inaczej niż modelka na wybiegu, o pół głowy wyższa i trzydzieści kilo szczuplejsza od nich. Valentine nauczyła się radzić sobie z tak w końcu częstymi awanturami w sposób wypróbowany od wieków przez sprytne, cyniczne i twarde szefowe od sprzedaży, czyli *vendeuses*. Od klientek, które często zwijały się z bólu, zmuszone do stania nieruchomo przez długie godziny w przepięknych, ręcznie wykonanych butach na wysokich obcasach, Valentine dowiedziała się, jak potężną siłą może być ludzka próżność, upór i wytrwałość w postanowieniu, że suknia ma być właśnie taka, a nie inna, choćby przeróbka wiązała się z nie wiadomo jaką torturą. Valentine nauczyła się o kobietach, zwłaszcza tych bogatych, o wiele więcej, niż jest to potrzebne w tak młodym wieku.

Mogła odtąd sama uczestniczyć w próbach generalnych przed pokazem nowej kolekcji, imprezach, na które wstęp mieli tylko najbliżsi współpracownicy projektanta. Oglądała przy tych okazjach suknie, nad którymi ślęczała długie godziny, a także setki innych wzorów, widzianych pierwszy raz w życiu. Prezentowały je drepcące prędko po wybiegu, chore ze zdenerwowania modelki. Widziała, jak Balmain i jego najbliższy sztab obraduje nad doborem dodatków, biżuterii, rękawiczek, kapeluszy i mufek

w taki sposób, aby każda kreacja zbliżyła się do doskonałości. Valentine miała wrodzone wyczucie dobrego smaku, a w szkółce pana Balmaina talent ten wzrastał z dnia na dzień coraz wyraźniej. Przekonała się, że sama potrafi dokładnie przewidzieć - po oględzinach próby generalnej - które suknie i kostiumy będą się cieszyć największym wzięciem, a których kreacji nie kupi nikt, ale to nikt - nawet kiedy już wylądują na wieszaku z wyprzedzą po zakończeniu pokazów nowej kolekcji. Na stroje z wyprzedzą kobiety czyhają jak sępy, kupując za gotówkę sukienki noszone dzień w dzień przez cztery czy pięć miesięcy przez modelki; te zaś pocą się gorzej od koni wyścigowych na linii mety, kalkulując w myśli, czy aby udało im się skusić klientki do zakupu sukni, które mają na sobie, z czym wiąże się dla modelki niewielka premia.

Valentine nigdy nie zniżyłaby się do tego, by zakupić cokolwiek *en solde*, nawet gdyby ją było stać na taki wydatek. Sama szyła sobie garderobę, w której znać było nawiasem mówiąc tchnienie prawdziwego artyzmu. W pracy nie mogła się oczywiście pojawiać w innym stroju jak tylko w tradycyjnej czarnej spódnicy, sweterku i białej bluzeczce, lecz nawet ten poważny przyodziewek, mający podkreślać głębię przepaści, jaka w krawiectwie dzieli krawcowe od klientek, wyglądał na Valentine dość szczególnie - nie na tyle jednak, by adeptka zwracała tym na siebie uwagę. Valentine maksymalnie też przystrzygła niemożliwie kędzierzawe włosy, a kokardy schowała do szuflady. Wyglądała teraz prawie tak jak poważna, pracowita szwaczka - jeśli oczywiście nie zwracało się uwagi na jej twarz ani nie patrzyło w oczy. Klientki domu mody, całkowicie pochłonięte swoim własnym odbiciem w lustrze, rzadko zniżały się do tego, by zwracać uwagę na otoczenie.

Chociaż Valentine miała wybuchowy charakter, zupełnie jej nie bolał fakt, że musi w ten sposób ukrywać własną naturę. W końcu nawet sama pani Spanier, która nosiła wyłącznie kreacje projektu Balmaina, chodziła w poważnych kostiumach z szarej lub czarnej flaneli, za całą ozdobę mając nieodzowny potrójny sznur pereł. Pełne czci plotkarki z atelier donosiły jednak, że pani Spanier posiada niesłychanie wspaniałą garderobę wieczorową i korzysta z niej ilekroć się udaje z mężem na kolejną paryską premierę w gronie przyjaciół, do których zaliczały się takie gwiazdy jak Noel Coward, Laurence Olivier, Danny Kaye i sama przerażająca Madame Dietrich.

Na szczęście w niedziele i święta Valentine mogła się ubierać w co chciała - czyli w stroje własnego projektu. W czternastym roku życia stała się swoją własną modelką i z pomocą matki rozpoczęła przymiarki. Po dniu spędzonym na wpinaniu i wyciąganiu szpilek z ubrań obcych kobiet Hélène O'Neill z radością poświęcała kolejne godziny pracy projektom niezwyklej córki. Oczywiście matka nie powiedziała Valentine słowa o tym, że uważa ją za osobę nadzwyczajną, zachowując tę opinię dla siebie pewnie dlatego, że obawiała się stronniczości. Było jednak faktem, że szczupła, nerwowa i bystra dziewczynka, podatna na dziedziczone po ojcu Irlandczyku nieoczekiwane skoki nastrojów i posiadająca w rękach tę samą zręczność, a w umyśle tę samą logikę co matka, daleka jest od przeciętności. Tego Hélène O'Neill była najzupełniej pewna, i nie miało zupełnie znaczenia, że chodzi o jej własną córkę.

Od pierwszego dnia, kiedy zabrała się za projekty, Valentine jasno zdawała sobie sprawę, że nawet gdyby udało jej się zainteresować tymi modelami samego pana Balmaina, nic by nie osiągnęła. Niezależnie od

zdania, jakie właściciel firmy mógł sobie wyrobić o jej talencie, styl Valentine kłócił się z ogólnym tonem projektów, z jakich słynęło atelier, szyjące kosztowne stroje dla bogatych kobiet. Tymczasem Valentine nie projektowała swych fasonów z myślą o żonach multimilionerów, paniach przeważnie w średnim wieku, które całe życie spędzały na balach charytatywnych albo na lunchach w hotelu Ritz. Kiedy szkicowała suknie, nie czyniła tego z myślą o korpulentnej Begum Aga Khan ani o sztywnej, jakby połknęła kij, księżnej Grace. Wyobraźnią zwracała się Valentine ku innemu typowi klientek. Czy jednak знаła takie kobiety, oprócz siebie samej? Owszem, była całkowicie przekonana, że istnieją klientki w jej typie. Gdzie ich szukać? Jak je znaleźć? Nieważne - powtarzała sobie z optymizmem, który skalą dorównywał w niej tylko jej niecierpliwości - wszystko jakoś się samo ułoży, musi się ułożyć... - I Valentine znów radośnie przebiegała ulicą Francois Premier, zmierzając do La Belle Féfé, kawiarni pod czerwoną markizą, stanowiącej nieomalże przybudówkę firmy Balmaina. Miała stamtąd przynieść imbryk mocnej herbaty dla opasłej angielskiej hrabiny, która oświadczyła, że za chwilę zemdleje, choć przymiarka sukni na ślub jej córki dobiegała dopiero połowy.

* * *

Hélène O'Neill wciąż chudła. Jej dłonie radziły sobie z materiałem z dawną zręcznością, lecz coraz więcej czasu zabierało jej wpięcie wszystkich szpilek tak, by sama była zadowolona z efektu, toteż klientki zaczynały się irytować. Valentine odziedziczyła po matce znakomity talent kulinarny, a mimo to Hélène coraz częściej nie była w stanie dokończyć obiadu, który ugotowała córka. Czasem też, choć niezmiernie rzadko, kiedy myślała, że jest sama, wyrywał się Hélène zduszony jęk bólu. Zanim

Valentine udało się nakłonić matkę do wizyty u doktora (- A co oni tam wiedzą! - fukała pogardliwie), Hélène pozostało już tylko kilka miesięcy życia. Zmarła w wieku czterdziestu ośmiu lat na błyskawicznie przemieszczający się nowotwór. Na pogrzeb, który się odbył na starym cmentarzu w Wersalu, przyszli wszyscy pracownicy domu Balmaina.

Tydzień później Valentine udała się do ambasady amerykańskiej przy placu de la Concorde z metryką urodzenia w ręku. Matka zawsze pieczołowicie chroniła ten dokument razem z metryką ślubu i legitymacją wojskową męża. Valentine nie rozmawiała z nikim o swej decyzji wystąpienia o amerykański paszport - ani z rozsądną, choć raczej przyziemną rodziną matki, ani z koleżankami u Balmaina. Ponieważ znalazła się sama na świecie, słuchała własnego instynktu, w sposób pełny i bez reszty pozwalając strumieniowi impulsów odnajdywać dla niej drogę, podobnie jak w przeszłych latach.

Valentine dobiegała dwudziestej drugiej wiosny, lecz miała za sobą pięć lat terminowania u Balmaina, gdzie od roku była pierwszą asystentką. Nie łudziła się co do przyszłości: czekało ją następne pięć lat w charakterze asystentki, a potem, jeżeliby się zdecydowała zostać w Paryżu, praca przy przymiarkach. Na tym zakończyłaby się jej kariera, choć oczywiście Valentine mogła też wyjść za mąż i w ogóle zrezygnować z pracy. Jednak wizja siebie samej jako gospodyni, którą bardziej interesuje cena kilograma wołowiny niż życie wielkiego świata, jakie Valentine obserwowała bezwiednie w eterycznej atmosferze paryskiego domu mody - o nie! Valentine nudziły zawsze jej kuzynki, dobrze ułożone dziewczęta z klas średnich, które nie posiadały się z zachwytem nad niedzielnymi kreacjami Valentine, ale które poza tym nie miały z nią o czym

rozmawiać. Zresztą Valentine po raz ostatni zakochała się w wieku lat szesnastu, co gorsza w młodym księdzu z Wersalu, który koncelebrował niedzielą mszę, lecz nawet ta, cudownie niemożliwa do skonsumowania namiętność, trwała raptem sześć miesięcy. Nie, nie i nie - z Paryżem koniec. Na samą myśl o matce Valentine rozplakała się. Trzeba się spakować i przenieść do Nowego Jorku!

Wymówiła mieszkanie z miesięcznym wyprzedzeniem i wycofała wszystkie swoje i matczyne oszczędności z Credit Lyonnais, by ruszyć w ślad za meblami i szukać szczęścia w Stanach Zjednoczonych. Ostatecznie trudno o bardziej tradycyjną decyzję, czyż nie?

Nowy Jork zmienił się bardzo podczas piętnastoletniej nieobecności Valentine - w jej opinii zdecydowanie na gorsze. Wystarczyło jej przejść się bojaźliwie po okolicach Trzeciej Alei, gdzie bawiła się jako dziecko. Dziś z trudnością mogła się przecisnąć przez sobotni tłum, stłoczony w kolejce do kina, jak gdyby sztuka stania w kolejce stała się ważniejsza od samego filmu. Przez tydzień szukała mieszkania przy mgliście zapamiętanych ulicach, lecz bliskość perły amerykańskiej kultury, jaką jest dom towarowy Bloomingdale's i obfitość kin wyświetlających „trudne” filmy, sprawiły, że okolica stała się modna, a czynsze absurdalnie wysokie.

Valentine mogła na szczęście liczyć, że bufor w postaci okazałej sumki z własnych i matczynych oszczędności pozwoli jej spokojnie szukać pracy projektantki. W najgorszym wypadku ze swoimi umiejętnościami mogła w ułamku sekundy znaleźć zatrudnienie w firmach odzieżowych przy Siódmej Alei, ale nawet na chwilę nie powstało jej w głowie, by znowu zarabiać szyciem na utrzymanie. Nie po to porzuciła

resztę rodziny, jaka jej została na świecie, nie po to zostawiła we Francji własnych krewnych i przyszywane matki i ciotki z firmy Balmaina, które zmieniły ostatni miesiąc pracy Valentine w nieprzerwany ciąg łzawych scen, opóźniając przymiarki ku konsternacji samego pryncypała. Doszło wręcz do tego - gdy nie jedna, lecz dwie baronówny de Rothschild nie mogły się doczekać na swoją kolejkę - że szefowa atelier sama zgłosiła się do Madame Spanier z prośbą, by ta namówiła Valentine do pozostania we Francji. Jednak Madame la Directrice, która w sprawach handlowych stanowiła kwintesencję francuskiej kobiety interesu, nosiła w piersi śmiałe i do cna brytyjskie serce. Urodziła się i wychowała w Anglii, więc choć jej matka była Francuzką i chociaż była uosobieniem paryżanki, 85 procent sentymentów kierowała ku Anglii właśnie, a pozostałe 15 procent w stronę Nowego Jorku. Jedno uważne spojrzenie na prześliczną, żywą twarz Valentine - która, jak się dowiedziała pani Spanier, mówiła płynnie po angielsku - sprawiło, że przełożona sama poczuła w sobie awanturniczą żyłkę, każącą natychmiast i bez wahania skorzystać z nadarzającej się niezwyklej sposobności. Pani Spanier nie wyobrażała sobie wręcz, by istniało na świecie coś bardziej boskiego, bardziej podniecającego i bardziej przejmującego dreszczem niż odniesienie ogromnego sukcesu w Nowym Jorku - a tego właśnie życzyła Valentine, o czym nie omieszkała poinformować zaskoczonej dziewczyny. Niech Valentine wybije sobie z głowy myśl o spędzeniu reszty życia nad maszyną - ostatecznie któż, jeśli nie Jenny Spanier, zaczynała karierę od sprzedaży pamiątek na stoisku w podziemiu londyńskiego magazynu Fortnum and Masc i, by błyskawicznie awansować na osobistą specjalistkę od zakupów przy Księżu Walii, gdy ten ostatni zjawił się pewnego dnia po gwiazdkowe sprawunki?

Oczywiście, że Valentine musi jechać! A kiedy wróci, będzie odwiedzać dom mody już tylko jako klientka. Firma może jej nawet obiecać specjalny rabat!

Wspominając tę optymistyczną audiencję u pani Spanier Valentine poczuła nowy przypływ odwagi i postanowiła skorzystać z dobrej rady recepcjonisty z niedrogo hotelu, w którym się tymczasem zatrzymała. Recepcjonista powiedział jej mianowicie, że w całym centrum miasta pełno jest starych biurowców, w których można sobie wynająć locum. Ogłoszenia nic o tym nie wspominają, bo rzecz nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu legalna, ale mnóstwo jest takich mieszkań, niezbyt wykwintnych, ale zawsze, zwłaszcza w starych budynkach fabrycznych, których zmurszałe stropy nie są już w stanie utrzymać ciężkich maszyn.

Valentine obejrzała sobie cztery takie mieszkania, jedno bardziej zaniedbane i okropne od drugiego. Piąty strych zajmował część najwyższego piętra w budynku niedaleko 34 Ulicy. Dozorca powiedział jej, że trzy inne mieszkania na tym samym piętrze mają lokatorów. W jednym mieszka małżeństwo, które pracuje nocami, a we dnie śpi, w drugim cichy, starszy pan, który od dziesięciu lat pisze książkę, a w trzecim fotograf. Valentine przekonała się naocznie, że w obu pokojach nie ma dziur w podłodze, za to coś w atmosferze mieszkania - może widok na rzekę Hudson, a może dwa świetliki w suficie - przypomina jej Paryż. Zdecydowała się od razu, zastanawiając się w duchu, czy zawsze już będzie czuła nostalgię.

W Paryżu wydawała całe kieszonkowe na amerykańskie płyty i bilety na amerykańskie filmy; teraz, w Nowym Jorku, pociągały ją wnętrza, które światłem i rozkładem przypominały Paryż. W ciągu dwóch

tygodni Valentine przewiozła z tymczasowego składu swoje meble i ustawiła je dokładnie tak, jak przedtem we Francji. Z dawnego domu brakowało jej tylko pełnej spiżarni - dlatego wybrała się zaraz na ogromne zakupy. Właśnie wracając z nich poznała Spidera, który uchronił od rozbicia się obie butelki wina.

Kiedy Elliott wrócił do siebie - gdy zapychał się pasztetem i serem, przestawało się żałować tak ogromnych zakupów - Valentine stwierdziła w duchu, że rozmawiało się z nim bez kłopotu, kiedy już raz przemogła skrępowanie wynikające z faktu, iż pierwszy raz podejmowała u siebie w mieszkaniu mężczyznę, w dodatku Amerykanina. Kuzynki przedstawiały jej jako szesnastolatce potencjalnych chłopaków, ale żaden z nich nie pasował do wyobrażeń Valentine o mężczyznach. Zadzierała więc piegowaty nos, lekceważąc nawet tak świetne partie jak chłopak z dobrą biurową posadą w firmie Renault czy innej z licznych fabryk otaczających Paryż - posadą, dzięki której stać go było na własny samochodek marki Simca. Valentine nie chciała się zadawać z tym towarzystwem, bo chłopcy albo się zachowywali jak uczniacy, wychodząc na głupców w oczach nad wiek dojrzałej koleżanki, albo starali się powagą i dostojeństwem prześcignąć własnych dziadków. Ten drugi gatunek był tak szablonowy w zachowaniu, że Valentine mogła ich sobie z góry wyobrazić, jak przy stole przewodniczą rodzinnemu zgromadzeniu wnuków i prawnuków. Choć Valentine nie zdawała sobie z tego sprawy, jej ideał mężczyzny wziął się z oglądanych przez lata w każdą sobotę amerykańskich filmów. Na film *Butch Cassidy i Sundance Kid* Valentine wybrała się nie mniej niż dziewięć razy, na *Bullita* sześć razy i osiem razy na *Bonnie i Clyde*. Prawdziwy mężczyzna był więc dla niej idealną mieszaniną cech

Redforda, Beatty'ego, Newmana i McQueena. Nic dziwnego, że nie mogła odnaleźć tego ideału we francuskich mieszczałach.

W porównaniu z ogromną większością amerykańskich dziewcząt w tym samym wieku Valentine była ogromnie niedoświadczona seksualnie, do tego stopnia, że dobiegając dwudziestego drugiego roku życia, wciąż była jeszcze dziewicą. Do lat szesnastu jej jedyną wieczorną rozrywkę stanowiło odrabianie lekcji, a kiedy rzuciła szkołę, czas zajmowało jej szycie, będące luksusową wersją tłuczenia kamieni na drodze. Po dziewięciu godzinach pracy Valentine spędzała wieczór z matką, projektując i szyjąc ubrania. Nieczęste wolne chwile spędzała sama, wypuszczając się do kina albo odwiedzając rodzinę w Wersalu, co również nie prowadziło do jakichkolwiek miłosnych przygód. Zła na to wszystko Valentine pytała samą siebie, czy ktokolwiek w tych warunkach potrafiłby się wyzbyć dziewictwa. Z pewną niechęcią pozwoliła się pocałować kilku, ale tylko kilku, spośród nudnych kawalerów, których jej przedstawiły kuzynki. Będąc z natury otwarta i prostolinijna, nie miała nigdy ochoty - ani, jak sądziła, potrzeby - uczyć się sztuki flirtu. Nie należała zresztą do kobiet, które w sztuce tej odnajdują się w sposób naturalny. Jedyny raz, kiedy Valentine zapłonęła namiętnością, zwróciła uczucia ku księdzu, który nie miał nawet okazji wysłuchać jej spowiedzi na ten temat. Tyle przynajmniej miałyby z całej historii, myślała później z goryczą. Tymczasem wszyscy zdawali się wierzyć, że francuskie dziewczęta są pierwsze, jeśli idzie o seks, szybkie, łatwe i w ogóle o - la - la, jak gdyby nic nie zmieniło się od czasów typowych żołnierskich opowieści z I wojny światowej. - Rzeczywiście, fiki - fiki parle - france! - wyniośle podsumowała te myśli Valentine i zabrała się za pasjonującą lekturę

egzemplarzy *Women's Wear Daily* z trzech ostatnich tygodni.

Valentine, która zawsze skłaniała się ku skrajnościom i z zapierającym często dech w piersiach skutkiem potrafiła w sobie łączyć galijską logikę z celtycką fantazją, jak się to często zdarza, nie miała pojęcia, co w niej naprawdę siedzi. Jej brak doświadczeń erotycznych nie miał nic wspólnego z namiętnością czy raczej jej brakiem. Namiętność kryła się w Valentine od zawsze, trzymana na wodzy i stłumiona wydatkami energii i skupieniem, jakich wymagało od niej życie w Paryżu. Zmysłowość ta znalazła sobie jednak nieoczekiwane ujście, o czym Valentine nie miała pojęcia, choć tylko ta jedna dziedzina życia obchodziła ją naprawdę, a mianowicie: znalazła upust w projektowaniu mody. Jej projekty miały w sobie cechę, którą zwykle dostrzec można tylko w samych kobietach, cechę nazywaną przez Francuzów *du chien*. Kiedy kobieta posiada *du chien*, oznacza to, że oprócz szyku, elegancji czy blasku bije z niej coś jeszcze, nienazwane, lecz należące do tej samej kategorii co poprzednie określenia. „Szyk” dotyczy nie samego stroju, lecz sposobu, w jaki kobieta się nosi. „Elegancja” odnosi się z kolei do linii i jakości jej stroju, linii ciała i wagi, jaką się przywiązuje do doskonałości każdego szczegółu. „Blask” to zaledwie słabe echo słowa „glamour”, niemożliwego do uściślenia do tego stopnia, że istnieje właściwie tylko w angielskim. „Blask” budzi więc skojarzenia z wyrafinowaniem, tajemnicą, magią i światem kina. „Du chien” tymczasem to określenie pieprzne, cierpkie, radosne, wonne, kuszące - słowem ta cecha, która oznajmia mężczyznom wszem i wobec, że nie mają bynajmniej do czynienia ze zwyczajną kobietą. Cechę taką, jak „blask” ma Catherine Deneuve, lecz „du chien” ma w sobie tylko Cher. „Blask” bije też od Jacqueline Bisset

czy Jacqueline Onassis, lecz obu im brak owego „du chien”, jakie kryje się w Susan Blakely, Brendzie Vaccaro, Sarze Miles, Barbrze Streisand, nie mówiąc już o powieściowych Becky Sharp i Scarlett O’Hara, czy o zupełnie realnej Valentine O’Neill. Ta ostatnia umiała nadać ową cechę również swoim projektom. Własne „du chien”, można najczęściej rozpoznać wyłącznie po wrażeniu, jakie się robi na innych, toteż niewiedza Valentine na temat siebie samej była rzeczą zupełnie zrozumiałą wobec faktu, że całe życie otaczały przyszłą projektantkę wyłącznie kobiety. „Du chien” tymczasem dotyczy tej strony kobiecości, którą dostrzec w sobie można wyłącznie w obecności mężczyzn. Inne kobiety rzadko zwracają uwagę na tę cechę, zwłaszcza że nie wzbudza ona w nich żadnego odzewu.

Valentine kupowała *Women’s Wear Daily* co rano, od pierwszego dnia pobytu w Stanach Zjednoczonych. Dziennik branży odzieżowej jest absolutnie niezbędny każdemu, kto w jakikolwiek sposób, twórczy czy handlowy, związał się z niezmiernie ważną dziedziną gospodarki, jaką jest sprzedaż gotowej odzieży. Jeżeli jest się fabrykantem guzików z Indiany, japońskim producentem tenisówek, bądź też projektantem tkanin z Mediolanu albo zaopatrzeniowcem domu towarowego w stanie Wisconsin, czyli osobą w ten czy w inny sposób powiązaną z czwartym co do wielkości obrotów przemysłem Stanów Zjednoczonych, tylko głupota może powstrzymać od lektury *Women’s Wear Daily*. Słowem, jest to najpoważniejszy branżowy dziennik na świecie, który w dodatku zamieszcza fachowe recenzje ze wszystkich dziedzin sztuki, drukuje fascynujące komentarze polityczne z Waszyngtonu, podaje arcyciekawe plotki ze świata teatru i filmu i zatrudnia przenikliwych felietonistów.

Najważniejsze są jednak w tej gazecie artykuły i studia poświęcone modzie, projektantom i osobom, które w najpiękniejszych ubraniach chadzają na najbardziej ekskluzywne przyjęcia na świecie. Kobieta z towarzystwa, mająca wybierać między *Women's Wear Daily* a całą resztą magazynów i żurnali, nieodmiennie wybiera ten właśnie dziennik.

Właśnie z artykułów wyczytanych w tej gazecie Valentine zaczerpnęła przekonanie co do właściwego kierunku poszukiwania pracy. W poniedziałek, dwa dni po nieoczekiwanym pikniku ze Spiderem, wybrała się na łowy, mając na sobie najoryginalniejszą sukienkę i płaszcz, tudzież znakomite dodatki. Pod pachą trzymała tekę ze szkicami. Wiedziała dokładnie, o jaką posadę jej chodzi: o pracę asystentki projektanta.

Każdy, najpodrzedniejszy nawet projektant musi mieć asystenta, który przeniesie szkice w domenę rzeczywistości i będzie służył jako pośrednik między projektantem a halą maszyn, a także jako pierwszy arbiter nowych pomysłów - czasem także jako ich źródło. Po śmierci Annę Klein jej asystentka, nikomu dotąd nie znana Donna Karan, z dnia na dzień znalazła się na ustach wszystkich, gdyż potrafiła sama zaprojektować doskonałą kolekcję w stylu Annę Klein. Dziś Karan ma swoje własne asystentki, a interesy kwitną jak nigdy przedtem.

Na podstawie artykułów z *Women's Wear Daily* Valentine ułożyła długą listę projektantów, których prace jej się podobały, a potem znalazła w książce telefonicznej adresy ich pracowni. Amerykański ośrodek projektowania mody to dosłownie kilka wysokich biurowców przy Siódmej Alei. Valentine zapało dech już na widok nazwisk na liście użytkowników w westybulu pierwszego z budynków, choć i tak brakowało

jej już tchu po przecięnięciu się przez tłum na ulicach, tłum u wejścia i najgorszy ze wszystkich, tłum w windzie. Serce Siódmej Alei może stanowić koszmar dla każdego, kto cierpi na klaustrofobię. We wszystkich bezbarwnych gmachach, zupełnie pozbawionych wdzięku, panuje ciasnota rodem z uliczek Hongkongu.

Każdej galerii mody strzeże bystrooka recepcjonistka która na naczelną redaktorkę *Harper's Bazaar* spogląda dokładnie z taką samą podejrzliwością, jak na chasydzkiego rabina, proszącego o datek na swą synagogę. Valentine miała jednak talent do rozmów z podejrzliwymi kobietami, jako że każda *vendeuse* z paryskich domów mody traktuje podwładnych jak naczelniczka kobiecego więzienia. W tych warunkach skuteczną bronią mogła być jedynie bezczelność.

- Jestem Valentine O'Neill - obwieściła więc w pierwszej firmie, tonem dyskretnej, lecz oczywistej arogancji, któremu towarzyszył lekki, pobłażliwy uśmiech, tak częsty na twarzy zadowolonych z siebie klientek, kiedy się zjawiały u Balmaina. Valentine podkreśliła również francuski akcent. - Chciałabym się widzieć z Monsieur Blassem. Billem Blassem.

- W jakiej sprawie?

- Proszę powtórzyć panu Blassowi, że chciałaby się z nim zobaczyć Valentine O'Neill, asystentka pana Pierre'a Balmaina.

- W jakiej sprawie?

- W interesach. Dosłownie przed chwilą przyleciałam z Paryża i nie widzę powodu, żeby marnować czas, więc może będzie pani tak uprzejma i zawiadomi Monsieur Blassa o moim przybyciu.

Czasem sztuczka skutkowała, a czasem przeciwnie. Czasem też powiadano Valentine, aby przyszła innym razem, lecz zwykle umiała

wykrzesać tyle władczości w głosie, tyle zapierającego dech luksusu w stroju i tyle pewności siebie w postawie, że stawała wkrótce przed obliczem projektanta lub, jeszcze częściej, jego asystenta. Nikt też nie usiłował sprawdzić, czy rzeczywiście pracowała dotąd jako asystentka Pierre'a Balmaina. Mimo jej młodego wieku łatwo było w to uwierzyć, zwykle więc Valentine mogła wreszcie zaprezentować swoje szkice. Projektanci mody z Siódmej Alei nieczęsto przepuszczają okazję, by złowić nowy talent, zwłaszcza że sami byli niegdyś pełnymi nadziei nowicjuszami i chodzili z teką rysunków po piętrach. W każdym szkicowniku może się przecież trafić coś wspaniałego.

Na nieszczęście 1972 rok był jak najgorszą chwilą na poszukiwanie na Siódmej Alei pracy z teką pełną oryginalnych projektów, które co do jednego wykraczały poza ustalone normy. Przemysł odzieżowy nie otrząsnął się wówczas jeszcze z krwawej łaźni, jaką był bój o długość do pół łydki, a co za tym idzie, transakcje z domami towarowymi po prostu leżały, Amerykanki zaś poprzysięgły sobie, że prędzej już dzielnie przechodzą jeszcze parę lat w starych portkach niż kupią cokolwiek nowego. Nikt w całej branży nie miał pojęcia, w którym kierunku dążyć, wiadomo było tylko, że każdy nowy i świeży styl nieodwołalnie musi zrobić klapę.

- Elliott, wyobraź sobie, że w trzy tygodnie odwaliło mnie dwudziestu dziewięciu projektantów. Jeżeli mi powiesz, żebym spokojnie próbowała dalej, to cisnę w ciebie tym zdechłym kurczakiem.

Spider popadł w nałóg i co sobota wypuszczał się z Valentine po zakupy do włoskich bazarów ulicznych przy Dziewiątej Alei. Pretekstem tych wypraw było to, że Valentine z pewnością nie da sobie rady z

dźwiganiem zakupionych gór jedzenia. Spider interesował się jednak żywo także tym, co miało dopiero powstać z nabytych artykułów, i z góry cieszył się myślą o nowym pysznym daniu. Modelka, z którą się ostatnimi czasy prowadził, trzymała w lodówce wyłącznie mleczko kosmetyczne. W dni, kiedy nie zapraszał więc nowej przyjaciółki na kolację do lokalu, Spider człapał z hałasem do swojego mieszkania w nadziei, że na odgłos kroków wychyli się zza swoich drzwi Valentine, skarżąc się, że gotowanie dla jednej osoby to żadna przyjemność. Valentine zwlekała jednak dopóty, dopóki Spider nie puścił na gramofonie Elli i Louisa, śpiewających w duecie *A Foggy Day in London Town*. Wkładała wtedy w szparę pod drzwiami sąsiada karteczkę ze słowami *pot-au-feu* albo *choucroute alsacienne*. Elliott był jedyną osobą, jaką знаła w Nowym Jorku, a poza tym Valentine nie widziała powodu, żeby jadać sama. Rozsądek nakazywał jej zaprosić współbiednika.

- Nie chodzi nawet o to, żebyś się nie zniechęcała - brzmiała odpowiedź Spidera. - Myślę po prostu, że źle się za to wszystko zabrałaś. Chciałabyś, żeby ci dali pracę na podstawie projektów, na widok których srają w gacie. Moim zdaniem twoje szkice są niesamowite, porywające, ale to tylko moje zdanie, a ja nie utrzymuję się ze sprzedaży ciuchów i nie muszę się martwić, co mają ochotę włożyć na siebie gospodynie domowe z Oshkosh. Wyprzedzasz epokę, w dodatku nie w tym kraju co trzeba, ale jesteś zbyt uparta, by samej się do tego przyznać. Nie możesz wciskać ludziom tych pomysłów na siłę. Mało ważne, że to wszystko świetni projektanci, bo i co z tego?

- W takim razie co mi proponujesz? - Rozgniewana Valentine wczepiła się wzrokiem w twarz Spidera. - Nie rozumiesz, że jeżeli szybko

nie dostanę pracy, czeka cię śmierć głodowa?!

- Aaa, bez ciosów poniżej pasa, ty Francuzico! Mało razy błagałem cię na kolanach, żebyś pozwoliła mi zapłacić za to wszystko? - W odpowiedzi na gniew Valentine Spider objął ją i uściskał.

- Dobrze, Elliott. Dzisiaj zapłacisz mi za wszystko. Rachunek będzie długi.

- Poddajesz się nareszcie? Jak to dobrze. Skoro zaczęłaś myśleć jak osoba rozsądna, może pójdziesz na jeszcze jedno małe ustępstwo?

- Najpierw powiedz mi, jakie. Nie ufam ci ani trochę, Elliott.

- Zrób trochę nowych szkiców. Caluteńką, kurczę, nową tekę. Daruj sobie raz na zawsze pomysły, w jaki sposób kobiety powinny się ubierać na najlepszym z idealnych światów i przejdź się po mieście. Po paru dniach będziesz już wiedzieć, co kobiety noszą naprawdę - nie te najbogatsze, nie te najuboższe, ale te pośrodku, od lat osiemnastu do sześćdziesięciu, bez różnicy.

Valentine cisnęła trzy pomidory z powrotem do miski, objając je niemiłosiernie, i z przerażeniem spojrzała na Spidera.

- Chcesz mnie namówić na naśladownictwo? Chcesz, żebym oparła nowe projekty na tym, co baby mają już na grzbiecie? Jakże niesmaczny i wulgarny pomysł! Ohydny pomysł, Elliott, powiem więcej...

- Nie rób z siebie głupka. Jak to się stało, że w ogóle dorostaś? - powstrzymał ją Spider, który uwielbiał doprowadzać płęć przeciwną do pasji. Odkąd pamiętał, któraś z sióstr zawsze się o coś wściekała. - A teraz posłuchaj. Nie, nie, zwyczajnie zamknij się i posłuchaj. Idź sobie obejrzyć, w czym chodzą kobiety, a potem zaprojektuj coś lepszego. Lepszego, ale nie innego, przynajmniej nie na tyle, żeby musiały bidulki od nowa

przyzwyczajając się do ubrania. Tak naprawdę ludzie nie znoszą zmian, nienawidzą nowości, a tymczasem cała nasza branża zmusza kobiety do zmiany, bez przerwy. Jeżeli nic się nie zmienia, nie potrzeba przecież nowych fasonów. Dlatego musisz się za to zabrać delikatnie, w taki sposób, żeby się nie trzeba było martwić, czy aby coś nie jest za dziwaczne, albo zbyt szalone, albo takie, że nie ma tego do czego nosić - ani z czym nosić - ani czy nowość nie będzie się zbyt rzucała w oczy... Podkradnij się i zrób zasadzkę. Ludzie nie znoszą wrzaskliwych proroków.

Valentine zamilkła nagle, rozdarta między ideą mody jako indywidualnej ekspresji twórczego talentu a poczuciem, że ten skurwysyn Elliott ma świętą rację. Z reakcji wszystkich projektantów, z którymi rozmawiała, mogła się zorientować, że przyniesione szkice nie zapewnią jej pracy. Nawet najuprzejmiejsi i najbardziej zachwyceni rozmówcy pocieszając ją tłumaczyli, że pomysły ze szkicownika są zbyt nowatorskie, zbyt mało praktyczne. Valentine nie znosiła jednak myśli, że musi się poddać, nienawidziła faktu, że jej wizja musi ustąpić przed dyktatem szarej rzeczywistości. Przez pięć minut milczała, wybierając na straganach najlepszą główkę sałaty, lecz w środku aż kipiała. Spider, który prawidłowo odczytał malującą się na jej twarzy grę uczuć, współczuł Valentine, lecz postanowił nie ustąpić ani na krok.

- Konserwatywny, drobnomieszczański gówniarz! - wrzasnęła na niego Valentine. Spider roześmiał się, pojmując już, że udało mu się ją przekonać. - Skąd ta twoja zasrana pewność, że się w ogóle znasz na kobietach, Elliott? Spójrz tylko na siebie! Ubierasz się jak łachudra, ale wyobrażasz sobie, że potrafisz odczytać wszystko, co myśli kobieta? Ty łajzo w tenisówkach!

Valentine najbardziej rozwścieczała u Spidera jego pewność siebie, zwłaszcza że wiedziała, kto ma rację i nie mogła sobie wybaczyć, że sama nie wpadła pierwsza na nową koncepcję.

- Skromność nie pozwala mi... - zaczął Spider, lecz umilkł, bo Valentine porwała ze straganu wielką kiść winogron i natarła na niego wojowniczo. Spider upuścił torbę na zakupy i podniósł Valentine do góry, bez wysiłku trzymając ją w powietrzu w taki sposób, że patrzyli sobie prosto w oczy.

- Domyślam się, że chcesz wyrazić swoją wdzięczność, Valentine, ale naprawdę nie jestem godzien tych winogron. Daj je może Cezarowi Chavez. Jeśli chcesz, możesz mnie zamiast tego pocałować - dodał Spider, patrząc zaskoczonej Valentine prosto w oczy koloru - jak pomyślał - świeżych, młodych liści.

- Puść mnie w tej chwili, Elliott, bo cię kopnę w jaja!

- Francuzki nie wiedzą, czym jest prawdziwa poezja - skwitował to Spider, nadal nie wypuszczając Valentine z uścisku. Zastanawiał się, czy pocałować ją, czy może jednak nie. Miał na to olbrzymią ochotę i normalnie nie zastanawiałby się ani chwili. Całował każdą kobietę, którą miał ochotę pocałować, i tyle. Z Valentine była jednak taka mimoza, taka dumna dziwaczka... Spider potrafił też się zorientować, że Valentine czuje się upokorzona i może odebrać pocałunek jako gest politowania. Opuścił więc delikatnie dziewczynę na chodnik i wyjął jej z rąk kiść winogron, nadal myśląc, że nie może tego zrobić własnej sąsiadce i przyjaciółce, z którą jest mu dobrze na dotychczasowych zasadach. Powtarzał sobie, że nie chce przelecieć Valentine, bo gdyby to uczynił, ich romans zakończyłby się tak jak się zaczął. Nawet gdyby pozostali wówczas

przyjaciółmi - dziewczyny nie umiały gniewać się na Spidera - znajomość nie byłaby już taka sama, co dawniej.

- Wybaczam ci - oświadczył więc Valentine. - Może nie znasz się na poezji ani na romansach, ale za to świetnie gotujesz. Co na obiad?

- Przejrzałam cię, Elliott. Kogoś takiego jak ty nie da się nawet obrazić, bo myślisz tylko o własnym żołądku. Za karę dostaniesz na obiad cielecą głowiznę w galarecie. - Valentine ruszyła w stronę włoskiej jatki, w której witrynie dyndały ohydne obdarte ze skóry króliki i cielece łby.

- A fe Valentine! Brzydkie żarty.

- Zobaczysz, jak ci będzie smakowała. Pora, żebyś się wyzbył tych naleciałości z amerykańskiej prowincji i zaczął jeść jak światowiec.

- Nie znoszę szantażu, Valentine - Spider złapał ją za rękę, więc stanęła jak wryta. - Pytam poważnie: co na obiad?

Zaskoczona dziewczyna zawahała się, zapatrzona w chodnik, upstrzony barwnymi plamami - skórkami pomarańczy, rozgniecioną papryką, strzępami gazet, okruchami. Cóż, typowy Amerykanin. Żadnej wyobraźni kulinarnej, kubki smakowe w zaniku, ale mimo to... Poczula nagle dziwną sympatię do zwalistego barbarzyńcy.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłam, Elliott. Nie miałam pojęcia, że jesteś aż taki głodny. Skoro *tête de veau* to dla ciebie zbyt egzotyczne danie, zafundujemy sobie prosty *côte de porc* po normandzku, gotowany w calvadosie, z gęstym sosem śmietanowym i garnirowany jabłkami z cebulką. Może takie danie zdołasz przełknąć, co? - zapytała Valentine, wymieniając najulubieńszą potrawę Spidera.

- Przyjmuję przeprosiny - odezwał się Spider z godnością i leciutko uszczypnął Valentine, po to tylko, by pokazać mimo wszystko, kto tu

rządzi.

Przez następne dwa tygodnie Valentine jak widmo krążyła po mieście, od centrum Greenwich Village po Muzeum Guggenheima na północy. Nawiedzała domy towarowe, lepsze sklepy, westybule wielkich biurowców i oczywiście kręciła się po ulicach, zwłaszcza po Madison Avenue, Piątej Alei, Trzeciej Alei, 57 i 79 Ulicy na wschód od Central Parku. Pięć wieczorów z rzędu Spider zabierał ją do niezbyt kosztownych, lecz popularnych restauracji. Valentine zamiast szkicownika miała do dyspozycji tylko własną pamięć i oczy. Usiłowała zanurzyć się cała w strumieniu czystych doznań estetycznych. Później na tydzień zamknęła się w mieszkaniu, z paskudnym zapaleniem zatok, z obolałymi stopami i z wirem pomysłów w głowie. Po siedmiu dniach prawie nieprzerwanej pracy wynurzyła się na światło dzienne z teką gotowych szkiców. Spider ochoczo zaczął przerzucać karty.

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna!

- Nie wiedziałam, że jesteś katolikiem.

- Nie jestem, odleciałem tylko. Takie wyrażenia zostawiam na szczególne okazje, na przykład kiedy Tarany zwyciężają w dogrywce.

- Że jak?

- Mniejsza z tym. Kiedyś ci wyjaśnię, jak znajdę sześć, siedem godzin wolnego czasu. Teraz pakuj tę tekę, księżniczko, i do roboty! Szkice są tak świetne, że nie wiem nawet, jak ci to powiedzieć.

Następnego ranka Valentine znów przedzierzgnęła się w byłą asystentkę Monsieur Balmaina i zaszła do kilkorga asystentów projektantów, u których jeszcze się nie pojawiała. Pierwsza dwójka błagała ją na kolanach, by zostawiła im portfolio do przejrzania, a wtedy,

kto wie, może znajdzie się dla niej jakaś posadka... Valentine nie dała się jednak nabrać. U Balmaina wisiała długa lista osób, wśród nich kilku projektantów z USA, których nie wpuszczano się za próg firmy, gdyż przy swojej fotograficznej pamięci goście byli w stanie zapamiętać całą linię w danej kolekcji i skopiować ją później u siebie, zanim w Paryżu zdążyła złożyć zamówienie pierwsza klientka. Valentine podejrzewała zresztą, że asystenci, z którymi rozmawiała, mogliby łatwo ukraść jej pomysły i przedstawić je swoim chlebodawcom jako własne, nawet im nie wspominając, że istnieje taka osoba jak O'Neill.

Trzecia firma, w której się zjawiała, była nowa i nazywała się po prostu Wilton. Projektanta nie było akurat w Nowym Jorku, lecz zrzędzeniem opatrzości recepcjonistka okazała się młoda i niedoświadczona. Poprosiła Valentine, by ta usiadła i poczekała na samego pana Wiltona.

- Projekty robi ktoś inny, kochanie, pan Wilton przyjmuje tylko i wyrzuca z pracy. Z czymkolwiek się przychodzi, najlepiej iść prosto do niego - wyjaśniła „projektantce z Paryża”.

Alan Wilton robił wrażenie. Miał garnitur równie nienaganny jak Cary Grant i minę, z której nic nie dawało się odczytać na pewno. W każdym z krajów basenu Morza Śródziemnego wyglądałby na bogatego, bywałego w świecie tubylca. W Grecji łatwo byłoby go wziąć za pomniejszego armatora statków, we Włoszech za zamożnego florentyńczyka, w Izraelu za Żyda (lecz imigranta, nie sabrę). W Anglii jednak dałoby się w nim natychmiast rozpoznać cudzoziemca. Na szczęście w Nowym Jorku Wilton wyglądał jak uosobienie całej metropolii. Miał ciemnobrązowe oczy, obojętne jak ślepiec żbika,

oliwkową cerę i pięknie utrzymane, proste krucze włosy. Z wyglądu można by mu dać trzydzieści pięć lat, choć faktycznie był osiem lat starszy. Wilton miał; też wyśmienite maniery, a głęboki głos nie zdradzał ani trochę, gdzie i w jakiej rodzinie urodził się jego właściciel.

Wilton ssąc fajkę przejrzał starannie szkice Valentine, kiwając co pewien czas głową.

- Dlaczego rzuciła pani firmę Balmaina, panno O'Neill? Wilton był pierwszą osobą, której przyszło do głowy takie pytanie. Valentine czuła, że blednie. Zawsze bladła wówczas, gdy inni rumienili się.

- Nie miałam tam perspektyw.

- Rozumiem. A ile pani ma lat?

- Dwadzieścia sześć - skłamała.

- Dwadzieścia sześć lat i już była pani asystentką Balmaina? Hmm... W pani wieku była to znakomita okazja do kariery. - Ze sposobu, w jaki Wilton przygryzał dolną wargę, Valentine zorientowała się, że przejrzał ją od samego początku.

- Nie w tym rzecz, panie Wilton, dlaczego rzuciłam pracę u Balmaina, tylko w tym, czy podobają się panu moje projekty - Valentine przywołała na pomoc całą swą irlandzką zuchwałość i przesadzony francuski akcent.

- Są fantastyczne. Doskonale przy obecnym zwariowanym rynku. Dokładnie to, co powinny zacząć teraz kupować u mnie kobiety. Kłopot tylko w tym, że mam już asystenta, który współpracuje ze mną od wielu lat.

- Ha... Wielka szkoda.

- Szkoda albo i nie szkoda. Sergio będzie się musiał pożegnać z

dotychczasowym asystentem. Nie prowadzę tej firmy po to, by uszczęśliwić cały świat, panno O'Neill. Nie zajmuję się tylko stroną finansową. Do mnie należą wszystkie decyzje, bez wyjątku. Kiedy mogłaby pani zacząć pracę?

- Może jutro?

- Nie, nie uważam, żeby to był najlepszy pomysł. Muszę najpierw poprzestawiać to i owo na miejscu. Co pani powie na najbliższy poniedziałek? Aha, przy okazji, czy umie pani szyć?

- Naturalnie.

- Kroić?

- Oczywiście.

- Przygotowywać próbki?

- Rozumie się.

- Przymiarki?

- Prosta sprawa.

- Rysować wykroje?

- To podstawowa umiejętność.

- Nadzorować szwaczki?

- Jeśli będzie trzeba...

- Jeśli potrafi pani to wszystko, mogłaby pani zarobić znacznie więcej niż sto pięćdziesiąt tygodniowo, które mogę pani zaproponować.

- Doskonale sobie z tego zdaję sprawę, panie Wilton, ale tak się składa, że nie jestem krojczynią ani szwaczką od próbek, tylko projektantką.

- Rozumiem. - Wilton spojrzał jej prosto w oczy, podnosząc brwi z zaciekawieniem i rozbawieniem. By zdobyć tyle umiejętności kandydatka

z pewnością nie mogła poświęcać czasu pracy jako asystentka Balmaina. Wilton wiedział skądinąd, że do pomocy Balmain dobierał sobie wyłącznie mężczyzn, nie zaś młode dziewczęta.

Valentine zebrała szkice tak pospiesznie, na ile tylko pozwalała jej duma.

- Zjawię się w takim razie w poniedziałek - oznajmiła, wychodząc z obszernego gabinetu Wiltona krokiem osoby nawykłej do tego, że się ją przyjmuje do pracy. Kiedy trzęsąc się, wdzięczna losowi, czekała na windę, modliła się w duchu, by pan Wilton nie wychylił się znów z gabinetu i nie zaczął jej zdręczać nowymi pytaniami.

* * *

Żadne wydarzenie w życiu Valentine nie przygotowało jej do spotkania z Sergiem, głównym projektantem w firmie Wiltona. Jej znajomość światka homoseksualistów ograniczała się bądź co bądź do przypadkowych obserwacji poczynionych w tygodniach, kiedy obnosiła swoje szkice po firmach odzieżowych. O projektantach tej orientacji wiedziała więc tylko tyle, że bardzo umiejętnie potrafią ją splawiać. U Balmaina ogólna atmosfera promieniowała zewsząd intensywną kobiecością. Podstarzali krojcy i krawcy mieli w sobie tyle samo męskości co stare kastrowane kocury. Również życie rodzinne Valentine oszczędziło jej kontaktów z homoseksualnym półświatkiem Paryża, choć oczywiście wiedziała dobrze, że coś takiego istnieje.

Kiedy w poniedziałek rano przyszła do pracy i spotkała Sergia, ujrzała przed sobą nie tyle chłoptasia, ile napuszoną, niedotykalną, naburmuszoną księżniczkę. Sergio był młody i miał prześlicznie zarysowaną szyję i podbródek. Jego wargi były pełne i prowokacyjnie

wydeptę, twarz w klasyczny sposób zmysłowa, a kasztanowe włosy dość długie i połyskliwe. Sergio ubierał się w najnowsze kreacje z Włoch. Koszulę z czystego jedwabiu nosił rozpiętą prawie do pępka, dzięki czemu świat mógł podziwiać jego gładki i opalony tors. Wąskie biodra opinał pas z ciężką, szczerozłotą klamrą, a spodnie nie wydawałyby się może zbyt opięte, gdyby je nosił na arenie hiszpański torero, lecz na Siódmej Alei ich krój mógł oznaczać tylko jedno.

Sergio był w tym momencie bardzo, ale to bardzo złą księżniczką. Kompletnie wypłuty powrócił właśnie z o wiele za krótkich wakacji po to tylko, by odkryć, że jego wierny sługa i podnózek w osobie poprzedniego asystenta zniknął, a na jego miejsce Alan wytrzasnął skądś jakieś osobliwe numero. W tej branży nikomu nie można zaufać! Francuska cipka! Podstępna polityka, nie ma co.

- Przestań mi tu się mazać, Sergio. Dziewczyna ma talent i na pewno ci się przyda. Jeżeli chcesz mi zacząć tupać swoimi tyciutkimi stopkami albo dostać hysterii, zrób to gdzieś na stronie. - Alan Wilton spojrzał na Sergia z ledwo skrywaną pogardą.

- Zapłacisz mi za to, Alan.

- Nie waż się grozić mi w ten sposób, pizdeńko ty moje. Chyba wiesz, kto tu rządzi, co? No, wiesz czy nie wiesz? No to bierz swoją cudną ciałniutką dupę w troki i gnaj do atelier, bo robota czeka. Aha, i nie próbuj zadzierać nosa i odgrywać się na Valentine. Na twoim miejscu bardzo, ale to bardzo bym tego unikał.

Sergio wyszedł do pewnego stopnia ułagodzony tym, co mu powiedział Wilton. W niektórych sytuacjach lubił, żeby dawano mu rozkazy. Alan potrafił czasem być takim twardym skurwielem! Jeżeli

myśli sobie, że Sergio natychmiast zabierze się posłusznie do pracy, grubo się myli - na pewno nie teraz, kiedy kutas nabrzmiał mu tak mocno, że Sergio musi sobie natychmiast ulżyć, bo inaczej spuści się w spodnie.

Sergio wbiegł schodami pożarowymi dwa piętra wyżej do publicznej toalety, o której słyszało się jak Siódma Aleja długa i szeroka. W okolicy istniało kilka podobnych przybytków. Sergio rozejrzał się szybko na obie strony, upewnił się, że nikogo nie ma na korytarzu, po czym zanurkował do środka. Wewnątrz stał dobry tuzin mężczyzn, z których paru prowadziło przyciszone rozmowy, a inni kręcili się nerwowo, stali na boku, palili papierosy i strzelali oczami na prawo i lewo. Sergio rozpoznał wśród obecnych poważnego kupca odzieży męskiej, portorykańskiego gońca, wiceprezesa wielkiego domu towarowego, modela z włosami blond i młodego pakowacza z sąsiedniej wytwórni odzieżowej. Sergio nie przywitał się z nimi, nie doczekał się także przywitania z ich strony. Serce biło mu mocno, kiedy szperał po kieszeniach, udając, że zapodział gdzieś papierosy i upewniając się, że tamci widzą wyraźnie zarys sztywnego członka pod cienkim, opiętym materiałem spodni. Jeden z mężczyzn, nieznajomy, lecz ubrany jak urzędnik bankowy, zbliżył się natychmiast z wyciągniętą zapalniczką.

- Jak lubisz? - zwrócił się do Sergia.

- W siedzenie.

- Jeśli tak, to wybrałeś sobie głupie miejsce.

- Zgoda, ale co robić... To jak, wolisz obciągnąć?

- Jak tyś się tego domyślił? - nieznajomy aż rozchylił wargi z rozkoszy.

- Telepatia. Schowaj się w tej kabinie, trzeciej od końca. Wysokość

powinna być w sam raz.

Nieznajomy usłuchał go natychmiast i zamknął się w kabinie. Sergio od niechcienia poszedł w tamtą stronę. W drzwiach boksu widniała dziura mniej więcej dziesięciocentymetrowej średnicy, o brzegach wygodnie obłożonych gumą piankową. W podobne urządzenia zaopatrzone były drzwi wszystkich kabin w toalecie. „Bramy triumfalne” umieszczone były na różnych wysokościach, stosownie do potrzeb i wzrostu gości. Sergio przytulił się do powierzchni drzwi, odwracając się plecami do mężczyzn w drugim kącie pomieszczenia, rozsunął zamek w spodniach i włożył twardy penis w otwór tak głęboko, aż oparł się jądrami o drzwi. Mężczyzna w kabinie zdążył już osunąć się na kolana i ze stłumionym jękiem rozkoszy wziął członek Sergia w usta. Sam też wydobył twardniejący penis z rozporka tweedowych spodni i ssąc namiętnie sterczącego z drzwi, trzymanego jedną ręką kutasa, drugą dłonią doprowadzał się pospieszonym, bezlitosnym ruchem do orgazmu. Sergio zamarł przy drzwiach, przyciskając ręce do boków i z zamkniętymi oczami oddał się całej pieczytom nieznajomego, którego język dotykał go, łaskotał, szarpał i lizał po drugiej stronie kabinowych drzwi. Zdawał sobie niejasno sprawę, że sprawi nieznajomemu zawód: po burze otrzymanej od Alana był tak gotowy i chętny, że już po minucie spuścił się serią dziko wyzwalających się spazmów. Nieznajomy w kabinie nie zabrał się jeszcze na dobre za fiuta Sergia, kiedy odkrył, że ma pełne usta spermy. Przełknął ją gorączkowo, próbując jak najdłużej się da zatrzymać w ustach drżący członek. Sergio jednak, skoro już dokończył dzieła, bezceremonialnie oderwał się od „bramy triumfalnej”, podciągnął zamek i krokiem bywalca opuścił toaletę. Nieznajomy zaklął pod nosem, ostrożnie schował prężący

się, fioletowy i bolesny członek z powrotem do spodni i wyszedł z kabiny. Miał zamiar znów popróbować szczęścia - w żaden sposób nie mógł go zadowolić szybki numer w tym stylu. Nie po to przyjechał do Nowego Jorku aż z Darien.

* * *

Valentine najchętniej usunęłaby się Sergiowi z drogi. Nie był wobec niej niegrzeczny czy grubiański, przynajmniej nie w oczywisty sposób, na który mogłaby przynajmniej zareagować, lecz jego niekłamana wyniosłość i pogarda tworzyły między nimi twardy mur. Łączyła jednak Sergia z Valentine wspólna praca. Często musieli się nachylać nad tym samym kawałkiem materiału czy szkicem i wciąż konsultowali się w tej czy innej sprawie. Valentine musiała przyznać, że Sergio ma dobry gust, szczególnie jeśli chodzi o specjalność firmy, jaką były sportowe damskie marynarki, spódnice i spodnie z pierwszorzędnych wełen, wełny kaszmirowej, skóry, lnu i prawdziwego jedwabiu. Chociaż firma istniała zaledwie od pół roku, Alan Wilton jako były współwłaściciel olbrzymiego koncernu odzieżowego zainwestował w nią całkiem przyzwoity kapitał. Z biurowych plotek Valentine dowiedziała się stopniowo, że Wilton odprzedał swoje udziały w koncernie, kiedy wziął rozwód z dotychczasową żoną, a zarazem córką założyciela tamtej firmy. Na temat jego przeszłości nie znano ani jednego szczegółu, ponieważ, podobnie jak Valentine, wszyscy byli w firmie od bardzo niedawna. Wyjątek stanowił tu jedynie Sergio, który pracował razem z Wiltonem w poprzednim miejscu i razem z nim zmienił pracę.

Sergia pochłaniała praca nad letnią kolekcją firmy Wiltona, nie do tego jednak stopnia, by nie zdążył wprowadzić do swoich planów wielu

pomysłów żywcem przeniesionych ze szkiców Valentine. Często przerysowywał po prostu jej fasony, nie troszcząc się nawet, by cokolwiek w nich zmienić.

Dwa miesiące po rozpoczęciu przez Valentine pracy Alan Wilton poprosił ją po południu do swojego gabinetu.

- Nie pytałaś mnie o to, Valentine, więc sam muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem w bardzo istotny sposób wpłynęłaś na kształt naszej nowej kolekcji.

- Och, dziękuję. Czy to Sergio...

- Sergio nie jest z tych, którzy by dzielili się zasługą z innymi. Nie, nic mi nie mówił. Rzecz w tym, że mam znakomitą pamięć - ciągnął Wilton, wpatrując się w Valentine nieruchomym wzrokiem żbika. - Czy chciałabyś może zjeść ze mną w ten piątek kolację? Byłoby mi bardzo miło... Ale może masz inne plany na te dni?

Valentine poczuła, że włosy stają jej dęba na głowie. Dotychczas Alan Wilton odnosił się do niej miło, lecz chłodno podczas swoich częstych wizyt w atelier. Czowała się przy nim dość niepewnie, choć nie przyznałaby się do tego za nic w świecie, nawet przed Elliottem.

- Nie! To znaczy... Nigdzie nie wyjeżdżam... i bardzo chętnie umówię się na kolację - dodała w zupełnym pomieszaniu.

- No, to świetnie. Wpadnę po ciebie w takim razie, zgoda? Valentine wyobraziła sobie, jak nienagannie ubrany szef wspina się sześć pięter do jej mieszkania przy świetle jedynej, czterdziestowatowej żarówki.

- Nie wiem, czy to najlepszy pomysł - zaczęła i w duchu skarciła się za głupotę. Wykręty nie miały sensu, lecz brnęła dalej: - Będzie piątek... Duży ruch... jak to w piątek. Może spotkamy się gdzieś na mieście?

Z przerażeniem stwierdziła, że nie wie nawet, o jakim ruchu ulicznym mówi. W piątek wieczór wszystkie samochody tłoczyły się na wyjazdach z miasta.

- Jak tylko zechcesz. Wpadnij w takim razie do mnie, napijemy się czegoś i pójdziemy na kolację do „Lutèce”. Powiesz mi, czy wytrzymuje porównanie z „La Tour d’Argent”. - Mówiąc to, Wilton spojrzał na biały kitel Valentine. - Będziesz miała przynajmniej okazję pójść w jednej z tych sukni od Balmaina. Pogawędzimy sobie o tym, co porabia nasz poczciwy, kochany Pierre. Będzie ze trzy lata, kiedy ostatni raz umawiałem się z nim na kolację.

- Muszę wracać do Sergia - przerwała co prędzej Valentine.

- Cóż, nie wątpię, nie wątpię. Powiedzmy, w takim razie, że o ósmej? Mieszkam po wschodniej stronie, niedaleko 60 Ulicy. Tu masz mój adres. Stara kamieniczka. Na zewnątrz jest dzwonek, naciśnij, to cię wpuszczę. Drzwi na wprost.

- Aha. No, tak. W takim razie... do piątku...

Valentine z duszą na ramieniu wyszła z gabinetu. Trochę zbyt późno zdała sobie sprawę, że do piątku uda jej się pewnie tuzin razy zobaczyć Wiltona w pracy.

Pod drzwiami Alana Wiltona Valentine zjawiała się w krótkiej, czarnej, szyfonowej sukience i w dopasowanej do niej, otwartej marynarce lamowanej czarną satyną, jej własnego pomysłu i szycia. Balmain byłby jednak dumny z tej kreacji. Spodziewała się, że dom Wiltona urządzony będzie w tym samym stylu, co gabinet, zawierający w sobie wszystkie obiegowe elementy: ściany barwy szarej flaneli, dywan w czarno - białe geometryczne wzory projektu Davida Hicksa, meble z polerowanej stali i

szkła - gabinet tak męski i zorganizowany, jak sam jego właściciel.

W odpowiedzi na dzwonek Wilton wprowadził jednak Valentine do dwupoziomowego mieszkania, w którym połączyły się w oszałamiającą całość fantazja i sztuki piękne. Wśród kolekcji wspaniałych mebli w stylu art deco leżały perskie kobierce; para osiemnastowiecznych chińskich krzesełek z obu stron otaczała wspaniałe greckie popiersie Aleksandra Wielkiego. Wijące się kambodżańskie smoki strzegły sarkofagu egipskich Ptolemeuszów. Wszystkie barwy w tym wnętrzu były ciemne i nasycone - kolory wina, brązu, laki i terakoty. We wnętrzu nie brakowało też luster, które walczyły o przestrzeń z książkami, antycznymi chińskimi drzeworytami, oprawnymi fotografiami i niewielkimi obrazami kubistów, wśród których znalazły się dwa płótna Braque'a, jeden Picasso i kilka Legerów. Skórzane i aksamitne kanapy zarzucone były futrami i osobliwymi poduszczkami ze złotej i srebrnej lamy. Na wszystkich stołach piętrzyła się zadziwiająca ciżba wazonów i statuetek, szkła takiej marki jak Lalique i Galie, chińskiej porcelany, asyryjskich figurek z kamienia, ruchomych metalowych ryb. Wnętrze nosiło na sobie tak silne indywidualne piętno, że Valentine nie wiedziała nawet, czy kiedykolwiek zdoła je wchłonąć zmysłami i rozszyfrować. Gdyby jej się to udało, rozszyfrowałaby zarazem osobę właściciela. Mieszkanie kryło jednak tyle zadziwiających kontrastów i dziwacznych zestawień, że samo mogło stanowić rodzaj zasłony dymnej.

Valentine odjęło mowę. Wnętrze stanowiło tak dopracowane dzieło sztuki, że wręcz osłupiała. Wilton czekał spokojnie, z wyraźnym zadowoleniem spijając wzrokiem reakcje gościa.

- Aha - odezwała się w końcu Valentine. - Widzę, że nie wierzy pan

w słowa: „Mniej znaczy więcej”.

Po tych słowach ujrzała na twarzy Wiltona pierwszy szczerzy uśmiech.

- Zawsze uważałem, że staruszek Corbusier niepotrzebnie tak się upiera przy tym dogmacie - rzekł i nie kryjąc dumy ze swych skarbów oprowadził Valentine po obu piętrach i po niewielkim, nader starannie zaprojektowanym ogrodzie. W swoim własnym domu wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Ani razu nie uczynił najmniejszej wzmianki na temat „pocziwego Pierre’a”. Valentine czuła, że Wilton nie będzie jej już więcej dręczył tą sprawą.

Na wzmiankę o kolacji w „Lutèce” Valentine zmieszana się, bo choć w Nowym Jorku mieszkała dopiero od trzech czy czterech miesięcy, wiedziała, że jest to najdroższa restauracja w całej metropolii, niezrównana w jakości kuchni. Spodziewała się też ujrzeć pełne przepychu wnętrza z tych, o których rozpisują się francuskie pisma ilustrowane, kiedy na użytek czytelników donoszą o wspaniałościach „Maxima” albo „Lasserre”. Okazało się jednak, że stoją z Wiltonem przed wąską, przyjemną kamieniczką, w której mieści się mały lokalik. Kiedy wspięli się po spiralnych żeliwnych schodach, znaleźli się w niewielkiej, biało - różowej sali, rozjaśnianej wyłącznie blaskiem świec i wychodzącej na ogród pełen kwitnących róż i dalszych stolików. W całym wnętrzu nie dało się dopatrzeć cienia ostentacji, mimo że w sali wionęło wręcz luksusem i komfortem, a to za sprawą pierwszorzędných materiałów, grubych, różowych lnianych obrusów i serwet, świeżych róż w wazonach, pierwszorzędných kryształów i sztucców z autentycznego srebra. Nawet kelnerzy w długich, białych fartuchach darzyli swoich gości opieką i

służyli im radą, zamiast razić pompatyczną sztuczną, której się początkowo obawiała Valentine. Kiedy popijali Lillet z lodem w delikatnych, obłych pucharkach o długich, smukłych nóżkach, Valentine rzuciła okiem na kartę i ku swojemu zaskoczeniu przekonała się, że nie widnieją na niej ceny potraw. Dopiero później odkryła, że ceny umieszczono wyłącznie w karcie dla osoby, która zaprasza, dzięki czemu w delikatny sposób pozwala się gościowi zapomnieć o wydatkach. Niech krzywi się ten, kto zapraszał - lub, jeśli musi się krzywić, niech nie zaprasza i nie przychodzi wcale.

Choć w mieszkaniu Wiltona, gdzie można było śmiało rozmawiać o pięknych przedmiotach, ustąpiło nieco dziwne u Valentine zawstydzenie, gdy obydwoje zamówili dania, przyszło jej do głowy, że nie wie, o czym rozmawiać z Alanem przy stole. Wilton jednak, jak gdyby wyczuwając ten niepokój, opowiedział Valentine historię restauracji. Był stałym bywalcem lokalu od samego początku.

- Spodziewałem się, że zdobędą sławę już w dniu otwarcia - zaczął - ale uzyskałem co do tego absolutną pewność dopiero wówczas, kiedy usłyszałem, że właściciel, Andre Surmain, odmówił podania jednemu ze stałych gości mrożonej herbaty do obiadu, chociaż klient poprzysiągł, że jeśli jej nie dostanie, jego noga nie postanie więcej w lokalu.

- Ale dlaczego? - zapytała zdumiona Valentine.

- Ja też się dziwiłem, bo restauracja nie zaczęła jeszcze nawet wychodzić na swoje, ale Andre tak się uparł, żeby utrzymać zasady francuskiej kuchni, że wolał utracić dobrego klienta niż zdobyć się na świętokradztwo i zepsuć smak dobrej potrawy. Przy takiej czelności - sam przyznam, że Andre jest trochę stuknięty - nie mogło mu się nie udać. A

klient rzeczywiście nigdy się tu więcej nie pokazał.

Valentine poczuła przyływ pewności siebie. Sama też nie pozwoliłaby nikomu tutaj pić mrożonej herbaty, a już na pewno nie do pieczonej młodej kaczki garnirowanej gotowanymi brzoskwiniami, którą miała na talerzu.

Alan Wilton czuł, że zaczyna się w nim budzić uśpione od wielu lat uczucie. Miał przed sobą czarodziejskie dziecko, tak jak się tego spodziewał od początku. Tak młoda, tak niewinna, bez względu na to, jakie miny robiła, w tak cudowny sposób nie zepsuta, mimo swej urody. Cudowne uczucie, cudowny wypoczynek, móc pokazać takiemu dziecku kawałek świata. Dziecku, które znakomicie wiedziało, jak podkreślić swój typ urody - szczupłość młodego chłopaka, niewielkie piersi, kędzierzawe, absurdalnie rude loki ponad surowością czarnego szyfonu... Znakomita robota.

Przez następnych pięć tygodni Valentine czternaście razy umawiała się na kolację z Alanem Wiltonem. On zaś wprowadził ją do „Le Veau d’Or”, gdzie królowała atmosfera autentycznego bistro. Pokazał jej też przyćmioną, źle oświetloną, perwersyjnie podwracaną elegancję „Pearl”, gdzie największą atrakcją jest nie tyle chińska kuchnia, powiedzmy szczerze, że taka sobie, ile poczucie przynależności do uprzywilejowanej elity, która uwiła tam sobie gniazdko. Razem zakosztowali szczególnych wdzięków takiego lokalu jak „Patsy’s”, bezpretensjonalnej, lecz drogiej włoskiej restauracji po zachodniej stronie Manhattanu, gdzie polityczni wyjadacze z Partii Demokratycznej i panowie, których interesami zajmowała się pilnie policja, siedzieli nad najlepszymi włoskimi potrawami, jakie się podaje na zachód od Mediolanu. Najczęściej jednak

Alan i Valentine szli do „Lutèce”, gdzie czasami jedli na dole, w nieco mniej oficjalnej atmosferze większej sali, a czasem w ogrodzie, pod osłoną markizy i wysokich lamp, które w chłodne wieczory emanowały ciepłem. Czasem też wybierali sobie salę, w której jedli pierwszy raz. Z biegiem czasu Valentine trochę lepiej poznała Wiltona, który uwielbiał rzucać na swój temat okruchy informacji, kiedy miał na to ochotę, lecz zarazem nieustannie, w milczący sposób podkreślał, że nie tylko nie odpowie na ciekawskie pytania, ale wręcz się obrazi. Miał dwóch synów, obecnie nastolatków. Rozwiódł się pięć lat wcześniej, po małżeństwie, które przetrwało dwanaście lat. Żona wyszła drugi raz za mąż i prowadzi beztrudne życie w Locust Valley.

Wilton nigdy nie rozmawiał z Valentine o sprawach firmy. Interesowała go zresztą głównie sama Valentine i jej przeszłe życie, które stopniowo opisała mu ze szczegółami. Przyniosło jej to wielką ulgę, gdyż nareszcie mogła przestać udawać, że jest kimś innym, niż jest. Teraz, gdy naprawdę stała się asystentką projektanta mody, mogła wyjawiać prawdę o latach pracy u Balmaina. Mimo wszystko jednak nie czuła się przy Wiltonie tak otwarta i swobodna jak w towarzystwie Elliotta, i chociaż nie denerwowała już się tak jak przedtem, jej impulsywna szczerłość wciąż zderzała się z nienagannymi manierami Alana.

Zastanawiała się bez końca, co właściwie ją łączy z Wiltonem. O tym, że się spotykają, wiedziała cała firma, choćby dlatego, że sekretarka Wiltona rezerwowała im za każdym razem stolik. Valentine udawało się jakoś wykręcić od odpowiedzi na pytania, jakie skrycie próbowała jej zadawać zaprzyjaźniona recepcjonistka i, co ważniejsze, kobiety z hali maszyn. Również postawę Sergia Valentine rozumiała doskonale, bo im

częściej się widywała z Alanem, tym bardziej oziębły i złośliwy stawał się projektant. Naturalna sprawa, biorąc pod uwagę, że Valentine mogła mu odebrać pracę w niesprawiedliwy wobec Sergia, ale skuteczny sposób, a mianowicie nawiązując z Wiltonem romans.

Czy jednak był to rzeczywiście romans? Pytanie to tkwiło w samym środku jej problemów. Valentine i Wilton ustalili już sposób, w jaki spędzają wieczory. Ona przychodziła do niego, wypijali coś dobrego, wychodzili do restauracji, potem spacerowali po ulicach i wypijali w barze dwie kolejki koniaku, a wreszcie Wilton taksówką odwoził Valentine do domu, upierając się za każdym razem, że ją odprowadzi do samych drzwi mieszkania. Na dobranoc nieodmiennie całował ją w oba policzki, po europejsku, lecz nigdy nie chciał wejść, chociaż po pierwszych trzech randkach Valentine zapraszała go za każdym razem.

Wilton miał w sobie subtelny czar i twardą przebojowość. Dla Valentine, która nigdy jeszcze nie traktowała serio niczyich zalotów, ich związek stawał się coraz bardziej kuszący. Jako że Wilton był pierwszym mężczyzną w jej życiu, Valentine nie miała żadnej skali porównawczej i nie wiedziała, jak ocenić jego nienaganne zachowanie. Po czternastu kolacjach spodziewała się poza tym czegoś więcej niż tylko pocałunku, jakim Francuz żegna własną ciocię. Coraz częściej wpatrywała się w pełne usta Wiltona, ciekawa, jakie są w dotyku jego wargi, dopóki nie zorientowała się sama, co wyrabia, i nie spuściła oczu.

Czasem też dostrzegała na twarzy Wiltona wyraz dziwnego bólu, a wówczas co prędzej opowiadała zabawną anegdotę na temat szalonego tempa pracy u Balmaina na przykład, obawiając się z przyczyn, których sama nie potrafiła dociec, że Wilton powie coś przerażającego. Bo też w

samej rzeczy, dlaczego tak zwlekał? Może Valentine czegoś nie dopełniła? Nie dała mu znaku, nie wypowiedziała właściwego słowa? Może uznał, że jest dla niej za stary? A może to ona nie była w jego typie? Nie, to ostatnie nie wchodziło zupełnie w rachubę. Nie ma takiego mężczyzny, który by poświęcił setki dolarów na podejmowanie kobiety nie w swoim typie. Tak podpowiadał Valentine rozsądek, a rozsądek nigdy się nie myli. Może wszystko przez to, że to ona sama nie umie flirtować, może przez to, że w głębi duszy Wilton jest bardzo wstydliwy, może kobiety skrzywdziły go w przeszłości tak mocno, że nie odpowiada mu nowy związek, a może...

Valentine poczuła niesmak do siebie samej. Po co jej te wszystkie fałszywe wątpliwości i domysły, kiedy tak naprawdę chciała się po prostu dowiedzieć, jak prędko pójdzie do łóżka z Alanem Wiltonem? Oto minęły jej dwudzieste drugie urodziny - i co z tego, skoro nadal była dziewicą tak nieskalaną, że gdyby wyznawała katolicyzm, mogłaby bez obawy o rumieniec iść do spowiedzi. Co tu kryć, nawet ten kłocowaty Elliott nie pofatygował się jakoś, żeby...

Valentine z goryczą przypominała sobie niedawną rozmowę z rozbrykaną modelką, która zjawiała się w pracowni Wiltona z okazji przymiarki przed premierą nowej kolekcji mody. Modelka, pokrecone stworzenie o akcencie z londyńskiego przedmieścia, miała ton, który agresywnością dorównywał prawie zarysowi jej kości biodrowych.

- Co ty, naprawdę? Rozplodowiec Spider to twój sąsiad? Szczęściara z ciebie, nie powiem!

- Bądź łaskawa wybaczyć, ale...

- A wiesz, w Anglii jak ktoś tak mówi, od razu wiadomo, że się sady nie wiadomo na kogo. Za to w Nowym Jorku takie teksty to szczyt

elegancji. Ciekawe, dlaczego?

- Co ty pleciesz, na Boga?

- Mówię o tym twoim wyrażeniu: „Bądź łaskawa wybaczyć”.

- Daruj sobie może dygresje! - warknęła Valentine. - Co miałaś na myśli, mówiąc o Elliocie? No?

- Wszyscy wiedzą, jaki z niego ogier, nie? Znasz takie słowo po angielsku, Valentine? Ogier? Krótko mówiąc, Elliott pieprzy wszystko, co popadnie. Każda okazja jest dobra dla naszego Spiderka, zwłaszcza jeśli dziewczyna nie jest z tych najbrzydszych. Sama nie miałam dotąd, kurczę, szczęścia się z nim wyłomotać, ale słyszałam, że chłopak ma prawdziwy talent.

- *Salope! Conasse!*

- Powiedziałaś, że co jestem?

- Plotkara! - skłamała Valentine, której wyzwiska dałoby się w rzeczywistości oddać słowami: „świńska kurwa” i „brudna cipa”.

- W naszej branży wszystko się opiera na plotkach, nie? Widzi mi się, że nie miałaś okazji dać się wygrzmocić naszemu kochasiowi? Nie przejmuj się nic, chłopak na pewno szanuje cię jak rodzoną siostrę. Sama słyszałam, że uwielbia swoje siostrzyczki. Oj! Ukłułaś mnie!

- O, przepraszam - syknęła Valentine, wyciągając szpilkę.

Cóż miała jednak począć? Dla Elliotta była siostrą - Valentine pomyślała z wściekłością, że tym lepiej, nie będzie się zadawać z rozpasanym, obrzydliwym knurem - a dla Alana Wiltona zagadką. Widocznie coś musi być z nią nie tak.

* * *

Tydzień później Wilton zaproponował Valentine, żeby po kolacji

wpadli do jego domu i napili się czegoś. Valentine poczuła ulgę. Naoglądała się w życiu dosyć filmów, żeby rozpoznać ten klasyczny manewr. Alan uczynił nareszcie pierwszy krok, Valentine zaś była oczarowana swoim talentem do czekania bez okazywania zniecierpliwienia.

Kiedy przed kolacją opuszczali mieszkanie, Wilton zgasił prawie wszystkie światła. Teraz, gdy wrócili, nie zapalił ich na powrót, lecz zamiast tego, rozbijając nerwowymi ruchami nalał im obydwójgu po dużym kieliszku koniaku i bez słowa, drżąc lekko, ciepłą ręką ujął Valentine pod ramię i poprowadził ją do sypialni. Kiedy zniknął w łazience, Valentine pospiesznie przełknęła trunek, zrzuciła szpilki i stanęła przy oknie, spoglądając w mrok ogrodu. W głowie czuła zupełną pustkę. Spoglądała w ciemność tak uporczywie, jak gdyby spodziewała się ujrzeć tam niesłychanie ważny znak. Naraz jednak zorientowała się, że Alan stoi tuż za nią, zupełnie nagi. Całując Valentine w szyję rozpinął jednocześnie rząd drobnych guziczków na plecach jej sukni. - Śliczna, śliczna - zamruczał jeszcze, zsuwając z niej suknię, rozpinając stanik, pomagając zrzucić koszulkę. Kiedy Valentine spróbowała odwrócić się przodem, Alan uwięził ją w uścisku i ściągnął jej cieniusieńkie majteczki, a potem przesunął dłonią wzdłuż jej grzbietu, boków, na mgnienie objął palcami piersi, po czym znów, delikatnie i z rozmysłem pieścił jej plecy, powoli dochodząc aż do niewielkiej, chłopięcej pupy. Rozpalonym, chciwym dotykiem długo pieścił pośladki Valentine, ścisnął je i rozdzielał, bawiąc się przedzielającą je bruzdą tak długo, aż uwięził w niej palec. Valentine czuła, jak penis Alana twardnieje i zeszywniały ociera się o jej plecy. Alan zaś wciąż wypowiadał tylko dwa słowa:

- Śliczna, śliczna!

Uklęknął teraz na podłodze i delikatnym gestem kazał Valentine szerzej rozstawić nogi. Poczowała na pupie dotyk ciepłego języka, a wrażenie to było tak rozkoszne, że odpychając Alana Valentine bezwiednie zaczęła kręcić biodrami. Kiedy czuła, że nie wytrzyma już ani minuty dłużej i zaraz się odwróci, Alan przeniósł ją jednak na rozścielone łóżko, zgasił jedyną lampkę, i nareszcie ucałował rozchylone, czekające usta.

Valentine poczuła, że staje się coraz bardziej mokra; próbowała przyciągnąć Alana do siebie, objąć go, przemierzyć dłońmi jego muskularne, owłosione ciało, którego nie widziała w ciemnościach. Nie odważyła się dotknąć penisa, trochę dlatego, że nigdy dotąd nie miała męskiego członka w ręku i nie wiedziała, co się z nim robi, jak się go dotyka... Pocałunki Alana były jednak tak zachłanne i gwałtowne, że zaraz przestała się zamartwiać swoimi reakcjami. Naraz jednak Valentine poczuła, że Alan usiłuje obrócić ją na brzuch. Wróciło jej nagle przerażenie. Jak to, jej usta, jej sutki błagały o pocałunki, o dotyk warg... Posłusznie odwróciła się jednak plecami do Wiltona, który zaczął delikatnie całować ją po plecach i niżej, po pupie, prawie zostawiając siniaki na białej skórze, którą całował, gładził językiem, gryzł i ścisnął mocnymi dłońmi, w przyływie pożądania ugniatając pośladki dziewczyny. Valentine nie potrafiła w mroku sypialni dokładnie rozpoznać, gdzie jest Alan. Dopiero po chwili zorientowała się, że klęczy nad nią, szeroko rozpierając kolanami jej uda i rozchylając dłońmi jej pośladki. Potem poczuła między nogami raptowny napór wzwiedzonego penisa, który wszedł początkowo gładko, lecz nagle natrafił na przeszkodę, Valentine zaś wydała westchnienie bólu. Alan znów napał, Valentine

znów wydała z siebie bolesny okrzyk. Alan wyszedł z niej i brutalnym ruchem odwrócił ją na plecy.

- Nie jesteś chyba dziewicą? - szepnął przerażony.

- Oczywiście, że jestem. - Valentine zamartwiała się swoim stanem bez przerwy; nie przyszło więc jej do głowy, że Alan może nie mieć pojęcia o jej dziewictwie.

- Kurwa, tylko nie to!

- Proszę cię, Alan, proszę! Nie przestawaj, proszę, nie przejmuj się, że mnie będzie trochę bolało. Chcę, żebyś to zrobił! - napomniała go błagalnie, po omacku szukając jego członka. Chciała za wszelką cenę pokazać, że naprawdę tego pragnie. Alan sapnął w pasji i dwoma palcami, jak obłączony taran wbił się brutalnie w Valentine, która leżała nadal na plecach, czując coraz większe podniecenie, ból i początki zawstydzenia. Przygryzła wargi, powstrzymując bolesny krzyk. Kiedy Wilton upewnił się, że droga jest już wolna aż do samego końca, znów kazał Valentine przewrócić się na brzuch i wśliznął się w nią. Jego członek był mniej twardy i napięty niż jeszcze kilka minut wcześniej, ale wystarczyło kilka poruszeń i sapnięć, by znowu urósł i powiększył się do poprzednich rozmiarów. Orgazm Alana przyszedł o wiele za wcześnie, a towarzyszył mu okrzyk triumfu, który równie dobrze mógł być jękiem cierpienia.

Leżeli teraz bez słowa, choć w Valentine obudziły się nagle setki pytań. Była zszokowana i bliska łez. Więc tak się to wszystko odbywa? Dlaczego Alan zatracił nagle całą delikatność? Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że i ona, podniecona tak jak i on sam, też chce coś z tego mieć? Zaraz jednak Alan objął ją i przyciągnął do siebie, szepcząc jej prosto w twarz:

- Valentine, kochanie moje... Wiem, że nie było ci dobrze, ale skąd miałem wiedzieć, że... Tak mnie zaskoczyło... Przepraszam cię. Pozwól...

Umiejętny dotyk palców Alana na łechtaczce sprawił, że i Valentine spełniła się w kochaniu, w sposób tak nagły i pełny, że zniknęły gdzieś wszystkie pytania. Kiedy Valentine odzyskała wreszcie zdolność myślenia, przeszła jej przez głowę mglista myśl, że oczywiście, wszystko przez to, że Alan nie spodziewał się znaleźć w łóżku dziewicy. To jedyne wytłumaczenie.

Kilka następnych tygodni stanowiło najbardziej osobliwy okres w życiu Valentine. Co drugi albo trzeci dzień szli z Alanem na kolację i za każdym razem wracali do jego domu, by się kochać. Po pierwszej nocy Alan nieodmiennie dbał o to, by podniecić Valentine nim w nią wszedł, palcami i wargami doprowadzając ją do erotycznego uniesienia, lecz ku rozpaczy dziewczyny upierał się, by kochali się w zupełnej ciemności i bez słowa. A przecież tak chciała ujrzeć jego nagie ciało, tak chciała sama być oglądana, świadoma przecież, w swej niewinnej próżności, że jej biała, nieskazitelna skóra, delikatne ciało, zadarte piersi i zwięzły, rozkosznie twardy tyłek, mogą się podobać każdemu mężczyźnie. Najgorsza ze wszystkiego była jednak oczywista niechęć Alana do wchodzenia w nią od przodu, w sposób zgodny z wyobrażeniami Valentine o kochaniu się. Alan kazał jej zamiast tego kłaść się na brzuchu i wsuwał jej pod biodra kilka poduszek, dzięki czemu pupa Valentine znajdowała się wysoko w powietrzu, jemu zaś - jak twierdził - łatwiej było dosięgnąć palcami jej łechtaczki, kiedy w nią wchodził od tyłu. Niezmiernie rzadko próbował zwyczajnej pozycji od przodu, do której

Valentine tak wzdychała. Tłumaczył zresztą, że to dla jej dobra, bo przy tradycyjnej pozycji niewiele by czuła, tym bardziej że orgazm zależy od stymulacji ręcznej, a nie od penetracji, przy której lechtaczka nie jest bezpośrednio pobudzana - i tak dalej. Valentine czuła jednak w sobie potrzebę spotkania twarzą w twarz, oznaczającego dla niej w dziwny, symboliczny sposób, pojedynek równych sobie przeciwników w miłosnym turnieju.

Miłosnym, gdyż to, co czuła, było przecież miłością? Valentine powtarzała sobie te słowa bez przerwy i nie potrafiła już właściwie myśleć o niczym innym, jak tylko o narastającym w niej ciepłym uczuciu do Alana Wiltona. Nie chodziło nawet o to, że się w nim zakochała. Obsesja Valentine wzmagala się dlatego, że Wilton stanowił dla niej coraz większą zagadkę. Traktował ją jak swoją ukochaną, wykazywał wobec niej nadzwyczajną troskliwość i oddanie, w łóżku wykrzykiwał głośno jej imię, lecz mimo to Valentine ani przez chwilę nie czuła, by cokolwiek między nimi - ustaliło się? Nie, to złe słowo. Szło o to, że pomiędzy nimi dwojgiem brakowało wciąż głębszego zrozumienia, tego, co Francuzi zwa *compréhension*. Niezależnie od liczby kolacji, rozmów i nocy w łóżku Valentine wciąż nie potrafiła zgłębić zagadki, odnaleźć prawdziwego Wiltona, który - jak wiedziała - ukrywał się przed nią gdzieś bardzo głęboko.

Prace nad nową kolekcją strojów zbliżały się do końca, toteż Valentine musiała przez dwa ostatnie tygodnie pracować do późna w nocy. Wilton opuszczał zwykle biuro o szóstej, zostawiając Valentine, Sergia i ich asystentów wciąż pochylonych nad zadaniem. W któryś poniedziałek jednak, późną porą, kiedy Valentine szła już do wyjścia, usłyszała zza

uchylonych lekko drzwi gabinetu Wiltona głosy. Rozmawiali ze sobą Wilton i Sergio. Już przyspieszyła kroku, kiedy nagle usłyszała swoje imię. Ciekawa była, czy Sergio skarży się na pracę z nią. Zatrzymała się więc, by posłuchać. Wiedziała, że nie przepuści takiej okazji.

- ...z tą twoją francuską cipą.

- Sergio, zabraniam ci mówić w ten sposób!

- Rzygać mi się chce, jak tak mówisz. I ty mi czegoś zabraniasz?!

Patrzcie, jestem normalny, zabraniam tak mówić! Nie ma na świecie nic bardziej żalosego od pedała, który próbuje sam sobie wmówić, że potrafi to zrobić z kobietą...

- Posłuchaj mnie, Sergio! Czy tylko dlatego, że...

- Że co? Że jak z nią jesteś w łóżku, to ci nie opada? Pewnie że nie opada, ale dlaczego miałyby to być taka niespodzianka, skoro prawie dwanaście lat potrafiłeś go postawić, kiedy żyłeś z Cindy? Tak stawiałeś, że się z tego dorobiłeś dwójki dzieci, może nie? Ale, ale, panie hipokryto: może powiesz mi, z jakiego to właściwie powodu Cindy wzięła z tobą rozwód? Czy nie dlatego, że kiedy odkryłeś, co naprawdę lubisz, przestał ci przy niej stawać? A może sobie wyobrażasz, że skoro robisz to mnie, a nie ja tobie, nie jesteś znowu aż takim pedałem?

- Zamknij pysk, Sergio! Owszem, różnie bywało, ale całe to gówno jest już za mną. Zamknięty rozdział. Valentine jest inna - świeża, młoda...

- Rany boskie! Słuchajcie, co mi opowiada największy lizydupa świata! Zanim pojawiła się tu ta twoja Francuzeczka, nie mogłem się od ciebie opędzić, nie pamiętasz? A wczoraj wieczór gdzie się niby podziewałeś? Coś mi się wydaje, że pamiętam, jak wsadzałeś mi tego swojego grubasa w siedzenie z taką ochotą, że już myślałem, że mnie

rozerwiesz! A potem, kto mi obciągał druta, kto jęczał i wzdychał? Święty Mikołaj? Nie kto inny, jak ty sam, kretynie! Zapomniałeś o całym bożym świecie!

- Zbłądziłem, ale więcej już się to nie zdarzy. Skończone.

- Skończone, Alan? Ależ oczywiście, że skończone. Spójrz tylko na moją fujarę. Nie chciałbyś może jej poczuć w ustach? Ślicznej i soczystej? A może masz ochotę na co innego? Chcesz, to się położę na tym krześle i rozchylę nogi. Będziesz mnie miał, ślicznego, otwartego, dokładnie tak jak lubisz. Co, a może teraz będziesz mi jeszcze wmawiał, że ci nie stanął? Może nie stanął? Zdechłbyś, żeby tylko się do mnie dorwać. Tylko na tym ci zależy, i na niczym więcej, więc przestań sobie wmawiać bzdury. Chcesz, to zamknę drzwi, będziesz mnie mógł wziąć na podłozę, od tyłu, i w ogóle jak tylko chcesz. Jak tylko chcesz, Alan. No? Sam powiedz, co jeszcze ze mną zrobisz? No, powiedz, zrobisz ze mną to wszystko, co?

- Zrobię, zrobię!

W zduszonych słowach, które dobiegły Valentine, kryło się tyle ulgi i melancholijnej radości, że wyrwana nimi z transu dziewczyna otrząsnęła się i uciekła w głąb korytarza.

Gdy Valentine dotarła do domu, poczuła, że odpływa z niej wszelkie życie. Potrafiła zdobyć się tylko na to, by umyć zęby i spryskać sobie twarz wodą. Przez dwa dni i dwie noce leżała skulona w łóżku, pod kołdrą, kocami i w najgrubszym ze swoich szlafroków, lecz w żaden sposób nie mogła przestać się trząść z zimna. Nic nie jadła, wypila tylko kilka szklanek wody. Czas przestał istnieć. Valentine miała wrażenie, że w jej mózgu i w sercu ktoś zawiązał dwa gigantyczne, bolesne supły. Gdyby odważyła się zacząć myśleć, jeden z supłów natychmiast by się rozwiązał,

a wtedy nie wiadomo, co by się stało. Valentine wolała sobie tego nie wyobrażać. Strach sparaliżował ją całkowicie i bez reszty.

Trzeciego dnia rano Spider zaczął się nie na żarty niepokoić. Podświadomie zauważył już, że z poddasza Valentine nie dochodzą najmniejsze oznaki życia, ale nie odwiedzał już sąsiadki aż tak regularnie, odkąd zaczął się jej związek z Wiltonem. Mimo to zdziwiło go, że spod drzwi nie widać nawet światła. Trudno było przypuszczać, że w środku tygodnia Valentine wybrała się na niedzielną wycieczkę. Sam Spider również śleczął przez dwie ostatnie noce nad pilnymi zamówieniami dla Hanka Levy'ego, lecz wreszcie poczuł, że coś jest nie tak.

Podszedł do drzwi sąsiadki i zastukał. Czekał długo, ale na próżno. Miał jednak wrażenie, że lokatorka, czy przynajmniej ktoś, czuwa w środku. Parę miesięcy wcześniej Spider i Valentine wymienili się kluczami od swoich mieszkań. Spider tłumaczył sąsiadce, że to tak, na wszelki wypadek, i czuł się dumny z podstępu. Nie ma to jak umożliwić sąsiadce bezproblemowe wtargnięcie do mieszkania obok. Oprócz tego reszcie lokatorów z piętra rzeczywiście trudno było zaufać. Na dobrą sprawę, nie wiadomo było nawet, czy już się nie wyprowadzili. Spider wygrzebał więc klucz, znowu zastukał, znowu nie doczekał się odpowiedzi i wszedł do środka. Zaskoczony sytuacją rozejrzał się uważnie po wnętrzu. Żadnego dźwięku, oprócz mrużenia lodówki. Nagle jednak Spider zrozumiał, że podłużny, prawie niewidoczny pod grubą kołdrą kształt, to nic innego jak ludzkie ciało. Przerażony podkradł się na palcach bliżej wiedząc, że nie ma innego wyjścia jak tylko sprawdzić, co się dzieje. Niezmiernie ostrożnie odchylił rąbek kołdry, by ujrzeć tył głowy Valentine, a potem jej twarz, wciśniętą w materac tak mocno, że dziewczyna ledwie mogła w tej

pozycji oddychać.

- Valentine? - Spider okrążył łóżko i nachylił się, chcąc sprawdzić, czy sąsiadka rzeczywiście jeszcze oddycha. Z uwagą zlustrował jej twarz. Był prawie pewien, że Valentine nie śpi. Dlaczego zatem nie mogła czy też nie chciała otworzyć oczu?

- Valentine, jesteś chora? Słyszysz mnie? Valentine, kochanie? Powiedz do mnie chociaż słowo!

Dziewczyna nadal leżała bez ruchu i nie odzywała się, lecz Spider domyślił się, że go usłyszała.

- Słuchaj, Valentine... Wszystko będzie dobrze. Dzwonię do kliniki, niech tu zaraz przyślą karetkę. Nie wiem, co ci jest, ale zaraz zajmie się tobą lekarz, nic się nie martw. Patrz, dzwonię po karetkę...

Kiedy Spider nie odwracając się odchodził od łóżka w stronę telefonu, Valentine otworzyła oczy i wychrypiała:

- Nic mi nie jest. Idź stąd.

- Nic ci nie jest! Jezu, żebyś mogła siebie teraz widzieć... Valentine, muszę natychmiast sprowadzić do ciebie doktora.

- Proszę, nie. Nie. Zostaw mnie tylko. Przysięgam, że nic mi nie jest!

- W takim razie co się z tobą dzieje? Otrząśnij się, mała.

- Nie wiem, co się dzieje - wyszeptała Valentine i po raz pierwszy od trzech dni zaniósł ją gwałtownym szlochem. Przez ponad godzinę Spider siedział obok Valentine na łóżku i nie wypuszczał jej z objęć. Nie wiedział, co by tu jeszcze jej powiedzieć ani jak ją pocieszyć. Wybuch łez trwał długo, przerywany łkaniem i zawodzeniem, lecz cały czas z ust Valentine nie padło ani jedno słowo. Spider zagubił się w tym wszystkim zupełnie, ale mimo to nie wypuszczał z ramion swojego trzęsącego się

węzełka, jakim była dziewczyna, i cierpliwie, z czułością czekał, od czasu do czasu przypominając sobie własne siostry. Iloma to nieszczęśliwymi dziewczynkami o złamanym sercach musiał się już zajmować?

Kiedy zawodzenie ucichło na tyle, że Spider mógł się odezwać bez obawy, że nie zostanie usłyszany, zaryzykował kilka pytań. Czy może przyszedły jakieś złe wieści z Paryża? Czy Valentine straciła pracę? Czy można jej jakoś pomóc?

Valentine podniosła oczy zapuchnięte od płaczu tak, że zmieniły się w wąskie szparki, i odezwała się z pasją, jakiej Spider nigdy by się po niej nie spodziewał sprawdzić, czy sąsiadka rzeczywiście jeszcze oddycha. Z uwagą zlustrował jej twarz. Był prawie pewien, że Valentine nie śpi. Dlaczego zatem nie mogła czy też nie chciała otworzyć oczu?

- Valentine, jesteś chora? Słyszysz mnie? Valentine, kochanie? Powiedz do mnie chociaż słowo!

Dziewczyna nadal leżała bez ruchu i nie odzywała się, lecz Spider domyślił się, że go usłyszała.

- Słuchaj, Valentine... Wszystko będzie dobrze. Dzwonię do kliniki, niech tu zaraz przyślą karetkę. Nie wiem, co ci jest, ale zaraz zajmie się tobą lekarz, nic się nie martw. Patrz, dzwonię po karetkę...

Kiedy Spider nie odwracając się odchodził od łóżka w stronę telefonu, Valentine otworzyła oczy i wychrypiała:

- Nic mi nie jest. Idź stąd.

- Nic ci nie jest! Jezu, żebyś mogła siebie teraz widzieć... Valentine, muszę natychmiast sprowadzić do ciebie doktora.

- Proszę, nie. Nie. Zostaw mnie tylko. Przysięgam, że nic mi nie jest!

- W takim razie co się z tobą dzieje? Otrząśnij się, mała.

- Nie wiem, co się dzieje - wyszeptała Valentine i po raz pierwszy od trzech dni zaniósła się gwałtownym szlochem. Przez ponad godzinę Spider siedział obok Valentine na łóżku i nie wypuszczał jej z objęć. Nie wiedział, co by tu jeszcze jej powiedzieć ani jak ją pocieszyć. Wybuch łez trwał długo, przerywany łkaniem i zawodzeniem, lecz cały czas z ust Valentine nie padło ani jedno słowo. Spider zagubił się w tym wszystkim zupełnie, ale mimo to nie wypuszczał z ramion swojego trzęsącego się węzełka, jakim była dziewczyna, i cierpliwie, z czułością czekał, od czasu do czasu przypominając sobie własne siostry. Iloma to nieszczęśliwymi dziewczynkami o złamanym sercach musiał się już zajmować?

Kiedy zawodzenie ucichło na tyle, że Spider mógł się odezwać bez obawy, że nie zostanie usłyszany, zaryzykował kilka pytań. Czy może przyszły jakieś złe wieści z Paryża? Czy Valentine straciła pracę? Czy można jej jakoś pomóc?

Valentine podniosła oczy zapuchnięte od płaczu tak, że zmieniły się w wąskie szparki, i odezwała się z pasją, jakiej Spider nigdy by się po niej nie spodziewał.

- Żadnych pytań. Koniec. Nic się nie zdarzyło. Nigdy nic nie było. Nigdy.

- Ależ, Valentine, kochanie... Nie można się przecież tak zamknąć we własnej skorupie...

- Elliott! Ani słowa więcej!!!

Spider zamarł. W głosie Valentine usłyszał coś strasznego, coś, co napawało lękiem. Zrozumiał, że jeśli zada dziewczynie jeszcze jedno pytanie, nigdy więcej jej już nie zobaczy.

- Wiesz, czego ci potrzeba, mała? - zapytał więc. - Zrobię ci

zabielaną pomidorową zupę Campbella z puszki, a do tego krakersy Ritza z masłem.

Matka Spidera wierzyła święcie, iż to właśnie danie jest przysmakiem takiej rangi, że nie żałuje się go jedynie bardzo choremu dziecku. Nic dziwnego, że wszystkie siedmioro jej potomstwa uważało pomidorową z krakersami za najlepsze lekarstwo na świecie.

Przez cały następny tydzień Valentine jadła wyłącznie zupę pomidorową i płatki kukurydziane z mlekiem oraz drugie z dań w skąnym repertuarze Spidera: grzanki z żółtym serem. Pozwoliła się jednak wypędzić z łóżka, wzięła prysznic i zasiadła w ulubionym fotelu.

Za nic jednak nie chciała się ubrać. Co rano Spider przynosił jej herbatę i płatki kukurydziane. Kiedy wychodził, Valentine nadal trwała bez ruchu w fotelu i gapiła się w pustkę, dręczona rozpaczliwym poczuciem straty i żalem, że tak ją oszukano. Ohydne, wstrętne uczucie poniżenia brało się w Valentine przede wszystkim ze sposobu, w jaki rzeczywistość - nawet rzeczywistość pamięci - jednym ciosem zdruzgotała jej dar uczucia dla Alana Wiltona, obracając ten dar w pośmiewisko. Co wieczór Spider pędził z pracy prosto do domu, gotował zupę, przypiekał grzanki z serem i siedział do północy z Valentine, od czasu do czasu puszczając sobie płyty, lecz przeważnie po prostu milcząc w jej towarzystwie.

Załamanie Valentine nie tylko zaniepokoiło Spidera, lecz przede wszystkim niezmiernie rozpało jego ciekawość. Wiedział, że pomocy, o jaką chodziło, próżno się było spodziewać od lekarza. Ponieważ Valentine z tak straszliwym, niezłomnym uporem zatrzasnęła się w sobie, trudno też było wzywać do niej psychiatrę. Spiderowi pozostał więc tylko jeden

sposób, by się dowiedzieć, co właściwie zaszło: drobiazgowo przetrząsał każdy kolejny numer *Women's Wear Daily*, szukając wyjaśnienia. Było bowiem oczywiste, że Valentine rzuciła pracę u Wiltona. Przez sześć dni Spider nie znajdował nic. Pierwsze artykuły ukazały się dopiero po pokazach wiosennej Kolekcji Projektantów Amerykańskich. Dwa razy do roku, przez kilka tygodni wypełnionych co do jednej minuty, nowe amerykańskie kolekcje mody przedstawia się kupcom i prasie, a pokazy urządzone są tak, by wszyscy zainteresowani mogli sobie obejrzeć znakomitą większość całej ekspozycji. Podczas tygodnia targowego *Women's Wear Daily* poświęca całą rozkładówkę, często wraz z sąsiednimi stronami, by przedstawić fotografie i szkice najbardziej udanych fasonów. Szóstego dnia przyszła kolej na kolekcję Wiltona, którą uhonorowano mnóstwem płomiennych komplementów. Kolekcji Wiltona poświęcono także obie środkowe strony, na których między innymi zamieszczono cztery szczegółowe szkice. Trzy z nich Spider rozpoznał na pierwszy rzut oka, jako że pochodziły ze szkicownika Valentine. W artykule nie wymieniono jednak ani razu jej nazwiska. Było mało prawdopodobne, by ten afront mógł stać się przyczyną aż tak poważnego załamania nerwowego - bądź co bądź, Spider doskonale zdawał sobie sprawę, że tak właśnie wygląda dola większości pomocników głównego projektanta - lecz postanowił pójść tym tropem z braku lepszych informacji. Podniósł więc słuchawkę i zadzwonił w kilka miejsc.

Kiedy tego samego wieczora siedzieli sobie obydwójce w mieszkaniu Valentine, Spider odezwał się niegłośnie:

- Jutro o trzeciej masz rozmowę z Johnem Princem.
- I jeszcze co? - burknęła Valentine, nie wykazując nawet

zaciekawienia. Prawie nie słyszała tego, co mówił Spider.

- Dzwoniłem dziś do niego i umówiłem cię.

- Co ty pleciesz? - Prince, podobnie jak Bili Blass czy Halston, był w końcu jednym z tych tytanów świata mody, których nazwisko jest tak cenne, iż za specjalnym zezwoleniem nadaje się je perfumom czy wzorom torebek, dzięki czemu roczny dochód ze sprzedaży potrafi przekraczać sto milionów dolarów, nie licząc sum uzyskanych ze sprzedaży kolekcji ubraniowych.

- Dzwoniłem dzisiaj do Prince'a. Oświadczyłem mu, że większość kolekcji Wiltona to twoje dzieło, a Prince sprawdził to u samego Wiltona, który potwierdził. Prince chce, żebyś do niego przyszła porozmawiać o pracy na stanowisku głównej asystentki. Na początek chce ci dać dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie. Będzie na ciebie jutro czekał w swoim gabinecie.

- Czyś ty na głowę upadł? - Takie ożywienie na twarzy Valentine Spider widział po raz pierwszy od dnia, w którym znalazł sąsiadkę w łóżku.

- Może się chcesz założyć? Przedstawiłem się jako twój agent, a to oznacza, że jesteś mi winna procent od kontraktu. Jeszcze nie wiem dokładnie, ile zażądam, ale nie myśl sobie, że będę tolerował długi.

Nie ma lepszych argumentów niż prawdziwe. Valentine pojęła natychmiast, że Spider nie zmyślił tego wszystkiego, lecz nadal udawała, że mu nie wierzy, niepewna, czy ma wyjść ze swojego czyścica żałoby i depresji.

- Ale... moje włosy! - wrzasnęła, powracając nagle na ziemię.

- Nie zaszkodziłoby umyć - przytaknął Spider tonem znawcy. - Może

nawet szarpnąć się na mały makijaż? Możesz już zdjąć z siebie ten szlafrok. Mówiąc między nami, masz oprócz niego jeszcze parę ciuchów.

- Ach, Elliott, dlaczego to dla mnie zrobiłeś? - zapytała go nagle Valentine i znów prawie się rozpłakała.

- Bo mi obrzydły grzanki z serem. - Spider roześmiał się. - Ale jeżeli zobaczę u ciebie jeszcze jedną łzę, przestanę ci gotować zupę pomidorową.

- I dzięki Bogu - odetchnęła Valentine. - Rób co chcesz, wszystko tylko nie zupa pomidorowa!

Mówiąc to gnała już do łazienki, by zająć się nareszcie myciem włosów.

Rezydencja w Bel Air, którą Linda wybrała dla sparaliżowanego Ellisa Ikehorna, powstała jeszcze w latach dwudziestych na zamówienie bogatego nafciarza, któremu najwyraźniej spodobał się pałac Alhambra w Granadzie. Potężne zamczysko w stylu mauretańskim, na tyle autentyczne, na ile mogły to sprawić wsadzone w nie miliony dolarów, stało na szczycie wzniesienia, górującego o dobre sześćset metrów nad niecką Los Angeles. Otaczał je dziesięciohektarowy, wypielęgnowany park, którego główną atrakcją stanowiło mnóstwo wszechobecnych fontann. Od zamku ciągnęły się we wszystkich kierunkach aleje drzewek oliwnych i cyprysów - zstępujące nieodmiennie w dół, jako że budynek stał na samym wierzchołku wzgórza - dzięki czemu rezydencji prawie nie było widać z sąsiednich wzgórz, tak licznych w Bel Air. Ukryty wśród zieleni zamek czarował swoją romantyczną, tajemniczą cudzoziemskością. Nic dziwnego, że znano go jako najbardziej odludną budowlę w okolicy słynnej i bez tego jako odludzie milionerów. Jedynie osoba uzbrojona w mapę miała szansę trafić do strzeżonej bramy wjazdowej, zadaszanej i ukrytej pośród oszalałającego labiryntu zarośniętych, krętych i niebezpiecznych drózek. Gdyby jednak zabłąkany turysta spróbował zbliżyć się do budynku, ujrzałby najwyżej domek przy bramie wjazdowej i potężne, podwójne odrzwia tej ostatniej. Brama stanowiła jedyną przerwę w wysokim murze, który otaczał posiadłość. Widząc, jak bardzo cała rezydencja jest odcięta od zewnętrznego świata, Billy domyśliła się, że magnat naftowy musiał mieć potężnych wrogów.

Mimo niedogodności spowodowanych odludnym położeniem, rezydencja - nie bez racji nazywana często cytadelą, fortecą lub zamkiem -

posiadała jedną zasadniczą zaletę: mikroklimat. Na szczycie wzgórza przez okrągły rok panowała wiosna, jeśli nie liczyć kilku deszczowych dni podczas zimowych miesięcy. Jednakże nawet przez większość zimy niezliczone balkony, tarasy i dziedzińce posiadłości prawie przez cały dzień kąpały się w słońcu, pozwalając Ellisowi wygrzewać się na dworze. W lecie, gdy wiał gorący wiatr od Santa Ana, wewnętrzne patia i dziedzińce, obsadzone setkami róż i wonnych ziół, dostarczały chłodu i wypełniały się odgłosem spadającej wody. Miejski smog widać było tylko jako brązowo - żółty kożuch u stóp mieszkańców zamku. Na szczyt wzgórza nie docierały też nigdy mgły znad Pacyfiku. Nawet ponure tygodnie czerwca, kiedy słońce wydaje się świecić tylko przez godzinę dziennie ponad ulicami Beverly Hills, tutaj, na wzgórzu, okazały się świetliste i przesycone zapachem wiosny.

Billy pochwaliła jednak wybór Lindy bez żadnych zastrzeżeń dopiero wówczas, kiedy się zorientowała, ile osób będzie musiało zamieszkać w rezydencji. W zamku znalazła schronienie cała służba, z wyjątkiem piątki ogrodników. Na szczęście skrzydło dla służby z łatwością pomieściło całą piętnastkę - kuchmistrza, kamerdynera, pomoce kuchenne, praczkę, pokojówki i ochmistrzynię, która otrzymała osobny apartament. W czasie wolnym od pracy służba mogła korzystać z pięciu specjalnie do tego celu przeznaczonych samochodów. Każdemu zresztą, kto mieszkał w „cytadeli” niezbędny był własny środek transportu, jako że posiadłość leżała dobre siedem czy osiem kilometrów od wjazdu do Bel Air na końcu Bulwaru Zachodzącego Słońca, a tym samym od najbliższego przystanku autobusowego. Trzech pielęgniarzy Ikehorna mieszkało w skrzydle gościnnym. Każdy pielęgniarz miał wyznaczony

przy chorym jeden ośmiogodzinny dyżur dziennie. Pielęgniarkom także trzeba było zapewnić kwaterę i wikt, aby mogli bezszmerowo zmieniać się przy Ellisie. Dla nich również trzeba było znaleźć samochody, chociażby po to, by nie zaczęła im doskwierać przymusowa izolacja od świata i od atrakcji Westwood czy uciech the Strip. W samotnej cytadeli na wierzchołku wzgórza jadło więc swoje trzy posiłki dziennie aż dwadzieścia osób.

Ochmistrzyń, pani Post, prawie każdy rano schodził na składaniu zamówień w delikatesach Jurgensena i Schwaba, na rachunkach z pralnią United - która zajmowała się praniem wszystkich ręczników, pościeli i kitli pielęgniarskich - i na negocjacjach ze sklepem gospodarstwa domowego Pioneer, który trzymał całe Beverly Hills w żelaznym uścisku swojego monopolu.

Linda dokonała cudów, przygotowując potężną rezydencję na przyjęcie Ellisa. Na jej polecenie urządzono zupełnie od początku kuchnię, wyposażono w nowe filtry i podgrzewacz stary basen pływacki, leżący na końcu alei wysokich, czarnych cyprysów, a także wyremontowano przebieralnię obok basenu. Większość pomieszczeń w potężnej rezydencji zamknięto po prostu na klucz, lecz wszystkie wnętrza mieszkalne odmalowano nie żałując ani pieniędzy, ani jasnych barw, dzięki czemu nad dawnym mauretańskim smutkiem wewnątrz zaczęła brać górę radosna, wielobarwna hiszpańskość. Billy sama urządziłaby posiadłość zupełnie inaczej, lecz w tym stanie rzeczy machnęła po prostu ręką na wszystko. Park udało się już na połę doprowadzić do porządku, trwały prace remontowe w pomieszczeniach dla służby i gości. Na szczęście w starych garażach było dość miejsca, by pomieścić tuzin samochodów.

Podczas kiedy Linda zajmowała się jeszcze remontem posiadłości, Billy, Ellis i Dan Dorman przylecieli do Kalifornii odrzutowcem firmy, specjalnie przystosowanym na tę okazję do przewozu chorego. Kabinę pasażerską przedzielono na dwie części, z których jedna, sypialniana, mieściła szpitalne łóżko Ellisa i kanapkę dla Billy, druga zaś służyła jako salonik - ogołociono go jednak z mebli pozostawiając nieliczne fotele i składane stoliki, aby można było w środku swobodnie manewrować wózkiem inwalidzkim. Trzech pielęgniarzy miało swoje fotele z przodu, tuż za kabiną pilotów.

Billy miała tyle roboty z wynajęciem pielęgniarzy, przebudową kabiny odrzutowca, akceptacją planów Lindy co do nowej rezydencji, likwidacją mieszkania w Nowy Jorku i sprzedażą domów na francuskiej Riwierze i na Barbadosie, że nie pozostało jej dosłownie ani chwili na refleksję o tym, jaki kształt przybierze teraz jej życie. Dotąd żyła pod kloszem Ellisowej troski i opieki - Ellis był zaś dla niej kochankiem, mężem, bratem, ojcem i dziadkiem, wszystkimi opiekuńczymi mężczyznami, których jej dotąd brakowało - toteż choć rozkwitła, nie dorosła wcale do prawdziwego życia. Przez siedem lat jaśniała w wielkim świecie jako smarkata dwudziestojednolatka, którą Ellis wziął sobie za żonę. Stąd ominęły ją także dorosłe doświadczenia, których by zaznała, biorąc sobie za męża kogoś młodszego. Podczas lat ich związku Ellis wyraźnie odmłodził, Billy za to ani trochę nie wydozrosła.

Teraz jednak, w zamku na wzgórzu, pięć tysięcy kilometrów od nowojorskich przyjaciółek, od nowojorskich rozrywek, samotna w domu, w którym wciąż czuło się obecność służby, pielęgniarzy i jednego sparaliżowanego starca, Billy poczuła nagle, że ogarnia ją panika. Nic, co

do tej pory przeżyła, nie przygotowało jej na taką ewentualność. Billy zaczęła się wszystkiego bać. Znikąd pociechy, nigdzie bezpiecznego miejsca, żadnego oparcia! Przegrała. Przegrała, a co gorsza, trzydzieści kilometrów dalej, nad Pacyfikiem, zaczynało też tonąć w falach słońce.

- Uspokój się, Billy! - napomniała szorstko samą siebie metodą ciotki Kornelii. Właśnie, któż, jeśli nie ciotka Kornelia, mógł stać się dla Billy w takiej sytuacji wzorcem do naśladowania? Przynajmniej na jakiś czas, dopóki Billy sama nie znajdzie lepszego sposobu. Billy zapaliła więc natychmiast wszystkie światła w swojej sypialni i salonie, po czym starannie zaciągnęła zasłony. Koniec z ciemnością. Czym to zajmowała się na co dzień ciotka Kornelia, kiedy jeszcze żyła? Billy zasiadła przy biurku, przygotowała notatnik, ołówek i zaczęła sporządzać listę. Po pierwsze, trzeba znaleźć księgarnię. I to zaraz jutro! Po drugie, musi nauczyć się prowadzić samochód. Trzy, zorganizować dla siebie lekcje tenisa. Po czwarte - tu Billy poczuła w głowie zupełną pustkę. Powinna oczywiście spisać nazwiska osób, do których powinna zadzwonić, ale nie miała tutaj żadnych przyjaciół, przynajmniej na tyle bliskich, by chciała z nimi teraz porozmawiać. Na szczęście i bez tego poczuła, że jej panika stopniowo słabnie. Billy dałaby ogromnie wiele za to, by móc w tej chwili porozmawiać z ciotką Kornelią... Zaraz, a może zadzwonić do Jessie do Nowego Jorku? Może udałoby się ją jakoś namówić, żeby zostawiła swoją piątkę dzieci i przyjechała z wizytą do Bel Air?...

Nim upłynął miesiąc, Billy znalazła praktyczny sposób na zapełnienie sobie życia. Najważniejszy był czas, jaki codziennie spędzała z Ellisem - cztery do pięciu godzin, podczas których czytała, na głos albo po cichu, oglądała telewizję albo po prostu siedziała w milczeniu obok

męża, trzymając go za rękę, tę nie sparaliżowaną i słuchając szumu któregoś z licznych ogrodów. Billy spędzała przy Ellisie dwie godziny każdego ranka, czas od trzeciej do piątej po południu i godzinę po kolacji, kiedy chorego przygotowywano do snu. Starła się mówić do niego najczęściej jak tylko mogła, lecz Ellis odpowiadał jej coraz rzadziej. Okazało się, że zamiast uczyć się od nowa pisanie lewą ręką, łatwiej mu jest układać słowa na blaszanej tablicy z literek, wyposażonych od spodu w magnesy. Jednak nawet ta forma kosztowała go coraz więcej wysiłku. Jak wyjaśnił Billy Don Dorman podczas którejś ze swych comiesięcznych wizyt, z upływem czasu w mózgu Ellisa następowały kolejne, niedostrzegalne mikrowylewy, a tym samym powiększało się jego kalectwo. Inwalidzie ogólnie dopisywało jednak zdrowie, a organizm pozostawał silny. Nawet w obecnym stanie - Dorman nie odważył się powiedzieć tego Billy - Ellis mógł żyć jeszcze sześć czy siedem lat, a może i dłużej.

Billy dała posłuch radzie Dormana, by nie spędzać całego czasu z mężem. Codziennie jeździła na lekcje tenisa do Country Club w Los Angeles, a trzy razy w tygodniu chodziła na gimnastykę w sali Rona Fletchera w Beverly Hills. W obu miejscach nawiązała trochę niezobowiązujących znajomości z innymi kobietami i starała się co tydzień umawiać z kolejnymi spośród nich na przekąskę w mieście. Południowe spotkania z przyjaciółkami stanowiły odtąd 99 procent jej życia towarzyskiego.

Ellis zabraniał wpuszczać Billy do siebie, kiedy go karmiono, a że wczesnym popołudniem, po jedzeniu, lubił sobie uciąć długą drzemkę, Billy czuła się podczas tych godzin zwolniona z obowiązku przebywania

na terenie rezydencji. Kiedy zabrakło podpory w postaci mieszkającej w pobliżu rodziny czy też kółka przyjaciół, kiedy zabrakło wolnego czasu, który można by spędzić na działalności charytatywnej czy pomocy w którejś z ochotniczych organizacji, Billy odkryła, że pozostały jej w życiu zaledwie trzy schronienia: książki, wysiłek fizyczny i stroje.

Jej nieustanne napięcie nerwowe wydawało się słabnąć jedynie podczas codziennych wędrówek po butikach i domach towarowych Beverly Hills. Billy kupowała, nieustannie kupowała nowe rzeczy - jakie znaczenie miało, czy potrzebowała tych nowych strojów czy nie? Była więc właścicielką setek wieczorowych tunik, tuzinów prześlicznie odszytych spodni, czterdziestu strojów tenisowych, dziesiątek jedwabnych koszul i całych szuflad bielizny marki Juel Park, ze sklepu, w którym para zwyczajnych majtek potrafi kosztować dwieście dolarów. Miała też całe szafy pełne sukni wieczorowych po dwa tysiące dolarów od sztuki ze stoiska Miss Stelli w magazynie I. Magnin, choć na przyjęcia chodziła teraz niezmiernie rzadko. Do kąpieli zostawiła sobie trzy tuziny kostiumów, które przechowywała w ozdobnej przebieralni przy codziennie odwiedzanym basenie. Jako magazyn dla nowych zakupów ubraniowych służyły Billy specjalnie przeznaczone na ten cel trzy puste sypialnie.

Kiedy Billy wkraczała do Dorso, Saksa czy General Store, zdawała sobie doskonale sprawę, że wpada w zwykłą pułapkę bogatych, próżniących kobiet - że na próżno zapycha wewnętrzną pustkę zakupami najzupełniej jej do niczego niepotrzebnych ubrań. - Albo to, albo znów będę gruba - powtarzała sobie, wędrując po Cameo albo Rodeo Drive i z erotycznym dreszczem szukając w witrynach nowego towaru. Największy dreszcz krył się w przymierzaniu, w kupowaniu, bo w chwili, kiedy Billy

miała już w ręku najnowszy nabytek, przestawał on mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie... Ilekroć więc Billy rozglądała się za nowym zakupem, popychała ją do tego nie prawdziwa potrzeba, lecz zawsze ta sama, osobliwa żądza. Nie znaczy to, że Billy zadowalała się byle czym. Nabytek musiał być wart fatygi. Wyniesiona z Paryża wybredność Billy, jeśli chodzi o jakość i krój, stawały się dla niej tym istotniejsze, kiedy dostrzegała nonszalancję i brak smaku w sposobie ubierania się innych kobiet z Beverly Hills. Gdyby kiedykolwiek pozwoliła sobie na to, żeby paradować w dżinsach i bawełnianej koszulce, straciłaby ostatnią motywację do zakupów. Z dnia na dzień stawała się więc coraz kapryśniejszą i bardziej autokratyczną klientką. Oderwany guzik lub źle wykończony szew odbierała jako osobistą zniewagę, a wtedy jej pełne usta wydymały się w wyrazie furii.

Women's Wear Daily zamieszczał czasami przeglądowe artykuły na temat damskiej mody w południowej Kalifornii. Autorzy nieodmiennie załączali w nich fotografie Billy jako dowód, że i na zachodnim wybrzeżu można spotkać kobiety szykowne. Tylko nie ustając w ubraniowej perfekcji, tylko pozostając na liście najlepiej ubranych kobiet Ameryki i biorąc udział we wzmacniających mięśnie i niezbędnych dla figury zajęciach gimnastycznych, tylko nie zaniedbując częstych wizyt u fryzjera, manikiurzystki i pedikiurzystki - tylko więc trwając przy wszystkich tych obsesjach Billy mogła udawać, że zapomniała o swej rozpaczliwej, wciąż narastającej potrzebie seksu.

Do chwili pierwszego wylewu Ellis potrafił dostarczyć Billy przyjemności w wymiarze dostatecznym, by ją zadowolić, choć może nie nasycić. Teraz jednak od ponad roku Billy żyła na erotycznej pustyni,

pozwalając sobie tylko od czasu do czasu na masturbację. Jednak nawet te nieśmiałe zabawy zabarwiało ogromne poczucie winy, wyniesione z dzieciństwa, kiedy to wpajano Billy, odkąd pamiętała, że zabawy z samą sobą to rzecz zdrożna. Nie było zupełnie jasne, przeciwko komu czy czemu grzeszy się w ten sposób, lecz skutek był taki, że zaraz po orgazmie Billy zaczynała czuć ogromne przygnębienie i smutek. Uciekała się jednak do tej metody, by zaspokoić potrzebę dręczącą ją teraz dzień i noc bez przerwy.

Przez długie godziny Billy zastanawiała się, jak rozwiązać ten problem i jak dorobić się normalnego życia seksualnego. Spróbowała najpierw, jak zawsze, zastanowić się, co by na jej miejscu zrobiła ciotka Kornelia, ale tym razem porzuciła natychmiast tę myśl, zupełnie jak gdyby niechęć podniosła nagle na ulicy psie gówno. Nawet gdyby ciotka Kornelia kiedykolwiek przez nieuwagę dopuściła do siebie takie myśli, z miejsca wybiłaby je sobie z głowy i zapomniała, że istnieją. Billy spróbowała więc z kolei wejść w skórę Jessiki. Tu także niewiele się nauczyła, bądź co bądź świadoma, że Jessica nie marnowałaby czasu na głupie rozmyślanie - zamiast zwlekać całymi miesiącami, wyszłaby po prostu z domu i dała dupy pierwszemu napotkanemu przechodniowi. Między Billy a Jessie istniała jednak pewna różnica. Billy nadal była żoną i kochała męża, choć tylko częściowo trwał on pośród żywych. Nie mogła i nie chciała wyprzeć się tej miłości, wymazać jej jakąś nic nie znaczącą przygodą z którymś z zawodowych tenisistów z klubu czy jednym z przyjaciół męża.

O ile się mogła zorientować, inne możliwości były przed nią zamknięte. Billy przyjmowała tylko nieliczne spośród zaproszeń, jakie jej

wciąż przysyłano, a kiedy szła w odwiedziny, unikała domów, których gospodynie - jak podejrzewała - mogły chcieć jej użyć jako wabika czy cyrkowej atrakcji gwoli zaspokojenia powszechnej ciekawości. Nawet podczas tych nielicznych wizyt, gdy przedstawiano ją obcym mężczyznom, ci ostatni traktowali Billy dokładnie tak, jak gdyby już stała się wdową, której jednak - niestety - nie można złożyć kondolencji. Wszyscy oni znali - ba, znał je cały świat - prasowe fotografie Billy kroczącej obok wózka inwalidzkiego, kiedy przy boku Ellisa szła przez pas startowy przed lotem z Nowego Jorku do Kalifornii. Billy wydawało się więc, że każdy, z kim wymieniała uścisk dłoni, słysząc jej nazwisko myśli natychmiast o starcu umierającym w swej fortecy. Podczas wszystkich niewiarygodnie wystawnych bankietów w Beverly Hills, Bel Air czy Holmby Hills, na które zapraszano Billy jako „dameę bez pary”, nieodmiennie znajdowano jej „pana bez pary”. Każdy z okazji, których usadzano obok Billy przy stole, okazywał się nieodmiennie albo homoseksualistą, albo też zawodowym pieczeniarem, co wieczór biorącym udział w bankiecie jedynie dzięki temu, że nie jest żonaty i jako tako się prezentuje. Niesłychanie rzadki okaz, jakim jest mężczyzna tuż po rozwodzie, w każdym przypadku przyprowadzał ze sobą własną partnerkę, zwykle dobre dwadzieścia lat młodszą od niego. Billy pojęła zresztą, że jej twarz jest zbyt znana, a ona sama zbyt tkwi w centrum uwagi plotkarskiej prasy, by pozwolić sobie na anonimowy romans, nawet gdyby trafił się jej odpowiedni mężczyzna.

Ważniejsze niż wszystkie te przeciwwskazania było dla Billy jeszcze jedno, to mianowicie, że dawno już postanowiła ze wszystkich sił bronić się przed spekulacjami, jakim mógłby dać asumpt jej związek z nowym

mężczyzną. Tylko i wyłącznie fakt, że była żoną Ellisa Ikehorna czynił ją nietykalną, choćby w głębi duszy sama uważała się za bezbronną ofiarę. Gdyby z pani Ikehorn przedzierzgnęła się w zwyczajną Billy, która sypia z tym i tamtym, cała jej pozycja, bezpieczne miejsce w świecie i rola dziewczęcej królowej, którą z takim zapałem grała przez lata małżeństwa - wszystko to rozpadłoby się na kawałki pośród lawiny docinków, domysłów i szyderczej złośliwości. Przez skórę mogła nieomalże wyczuć plotkę, czającą się gdzieś niedaleko i czekającą, aż Billy Ikehorn zrobi pierwszy błąd.

Jedynym męskim towarzystwem stanowiła dla Billy trójka dyplomowanych pielęgniarzy, którzy zajmowali się Ellisem. Billy często zapraszała dwójkę, która akurat nie miała dyżuru, do wspólnego obiadu i cieszyła się ich towarzystwem. Pielęgniarze byli tyleż dowcipni, co delikatni. Całą trójkę stanowili homoseksualiści, którzy w wolnych chwilach nawiedzali swoje lokale w Los Angeles i dolinie San Fernando.

Gdy pielęgniarze zorientowali się, jak bardzo Billy spragniona jest ich towarzystwa, stracili dotychczasową rezerwę i odtąd zawsze bawili ją rozmowami. Przewali swoje skrzydło zamku „gejówką”, opowiadali Billy niestworzone historie o swoich podbojach, zawsze jednak uważając, by nie doszło do zbytnej poufałości. Nadmiar bezceremonialnych manier mógł ich przecież narazić na utratę półtora tysiąca dolarów miesięcznej pensji, do której dochodziło darmowe utrzymanie i dostęp do samochodu.

Billy z kolei nie miała pojęcia o tym, jak bardzo się uzależniła od całej trójki. Zrozumiała ten fakt dopiero wówczas, gdy dwóch spośród pielęgniarzy zapowiedziało odejście. Jim, chłopak z Miami, musiał wracać do swojego miasta z przyczyn rodzinnych, a Harry, wyszczekany, jak

przystało na człowieka z zachodu USA, przez ostatnich kilka miesięcy związał się bardzo z kolegą i bez ogródek oświadczył Billy, że za bardzo zależy mu na związku z Jimem, by mógł go puścić samego.

- Strasznie nam przykro, pani Ikehorn - zapewnił ją jeszcze - ale w Los Angeles jest przecież pierwszorzędne biuro pośrednictwa. Znajdzie pani nowych pielęgniarzy bez najmniejszego kłopotu. Za każdym krzakiem roi się od byłych sanitariuszy z Wietnamu, co to później pokończyli kursy pielęgniarские i szukają zajęcia. Kiedy szli do wojska, byli tuż po szkole średniej, a taka praca to przecież świetna fucha. Nie będzie kłopotu.

- Owszem, Harry, ale nie w tym rzecz. Jesteś tu z nami od samego początku. Panu Ikehornowi też będzie żal, że odjeżdżasz.

- Teraz czy trochę później, to naprawdę wszystko jedno, wie pani. Taki nasz zawód, dryfujemy od jednego zajęcia do drugiego, bo jak się za długo siedzi na jednym miejscu, człowiek pierniczeje. Bez obrazy, u pani naprawdę miałem najlepszą posadę w życiu.

Billy doskonale rozumiała, co chce jej powiedzieć Harry. Gdyby sama mogła zacząć dryfować, wtedy, kto wie? Jednak musiała tkwić jak w więzieniu w swoim podrabianym zamku, nie wiedząc nawet, jak długo przyjdzie jej tu zostać. Postanowiła więc dołożyć wszelkich starań, by znaleźć jak najsympatyczniejszych pielęgniarzy na miejsce tych, którzy właśnie odchodzili. Oprócz nich nie miała w końcu wokół siebie prawie nikogo.

Na poszukiwania Billy przeznaczyła cały miesiąc, tyle bowiem pozostało Jimowi i Harry'emu do wyjazdu. Osobiście rozmawiała z piętnastką kandydatów, lecz nieprędko zdecydowała się na wybór, mając

na uwadze tyleż ich zawodowe umiejętności, co charakter i sposób bycia. Pierwszy wybrany, John Francis Cassidy - przezywany Jake - miał wygląd ulicznego urwisa, typową u niektórych ciemnowłosych Irlandczyków mleczną cerę i spokojne, błękitne oczy. Drugi pielęgniarz, Ashby Smith, urodził się i wychował w stanie Georgia. Miał długie, rudawe włosy, a w jego cichym głosie czuło się dumę połączoną z powściągliwością. Głos ten pasował świetnie do jego smukłej, wysokiej sylwetki i długich szczupłych rąk. Obaj kandydaci walczyli w Wietnamie jako sanitariusze. Billy domyślała się, choć nie wiedziała tego na pewno, że żaden z nich nie jest homoseksualistą.

Mijały kolejne miesiące. Nad południową Kalifornią trwała niezwykle upalna wiosna. Billy zauważyła u siebie coraz bardziej pogłębiającą się depresję. Codziennie musiała się siłą zmuszać do tego, by się ubrać i pojechać na lekcje tenisa albo na ćwiczenia. Jeżeli zostawała w domu, nie mogła później zasnąć. Wreszcie jednak, kiedy upalna pogoda nie pozwalała już uganiać się w ostrym słońcu za piłkami, Billy zaczęła zamiast tego pływać w wielkim basenie, w nadziei, że w ten sposób znuży ciało. Niestety, nawet kiedy pływała tak długo, aż zaczynały jej z wysiłku drżeć wszystkie mięśnie, musiała przed snem zażyć pigułkę nasenną, czasem nawet dwie. Odkryła przy okazji, że w zasypianiu dopomaga alkohol, mimo że zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa takich nawyków. Nigdy więc nie pozwalała sobie na więcej niż mały kieliszek ciepłej wódki. Bez lodu wódka smakowała zupełnie jak lekarstwo, toteż Billy wychylała ją jednym haustem, a dreszcz obrzydzenia kazał jej za każdym razem zapomnieć o niedozwolonej przyjemności, jaką zaczynała czuć po wypiciu.

Coraz więcej czasu spędzała Billy w przebieralni przy basenie. Plastyk, którego wynajęła Linda, dał tam upust wszystkim fantazjom, na jakie nie było miejsca przy zmianie wystroju samego domu. Przebieralnia była sporym pawilonem z dużą salą pośrodku - zaprojektowaną z myślą o ogrodowych przyjęciach - i dwoma skrzydłami kabin, osobnych dla mężczyzn i kobiet. Rozglądając się po kapiącym od ozdób, luksusowym wnętrzu pawilonu, przygnębiona Billy zachodziła w głowę, co też strzeliło do głowy plastykowi. Czyżby wyobrażał sobie, że nowa właścicielka będzie wiecznie urządzać przyjęcia nad brzegiem basenu? W pawilonie stały trzy wyściełane kanapy, obite grubym, czerwonym materiałem frotte, a posadzka wyłożona była fioletowymi, różowymi i białymi płytkami, tworzącymi marokański wzór. Wszędzie piętrzyły się miękkie frotowe poduszki w rozmaitych odcieniach fioleto, a kopulaste sklepienie pokrywały stylizowane arabeski. Kotary z paciorków szeleściły miękko za każdym razem, kiedy się je rozgarniało. W kącie pawilonu znajdował się bar, którego kontuar stopniowo zaczęły zaścielać książki wciąż przynoszone tu przez Billy. Przebieralnia stała się jej ulubioną czytelnią, gdyż było tu cicho i przytulnie. Nikt się tu nie kręcił, toteż na całe godziny Billy mogła nareszcie zapomnieć o budowli na wzgórzu i o jej mieszkańcach. O południowej godzinie nikt, nawet ogrodnik, nie miał więc przystępu do przebieralni i jej pobliza.

Trwała upalna wiosna. Pewnego wieczora okazało się, że Billy zje kolację sam na sam z Jakem Cassidy. Morris, trzeci pielęgniarz z pierwotnego składu, miał bowiem akurat dyżur, Ash zaś wypuścił się gdzieś samochodem. Apetyt nie dopisywał Billy, lecz zmusiła się do przełknięcia paru kęsów sałatki z krabów i owoców avocado. Ilekroć

kładła swój widelec na talerzu, kątem oka dostrzegała ciemne włosy na białej skórze nadgarstka Jake'a. Prawie zahipnotyzowały ją poruszenia jego silnych dłoni. Poczowała nagle między nogami miły, wiercący ból. Pospiesznie przymknęła oczy, by Jake nie mógł w nich wyczytać tego, co czuła - by nie zorientował się, że Billy dokładnie w tej chwili wyobraża sobie miękkość i fakturę włosów na jego podbrzuszu, że zastanawia się, do jakiej wysokości sięgają...

- Jake - zaczęła swobodnym tonem Billy - jak to jest, że nigdy się nie kąpiesz w basenie?

- Nie chcę pani przeszkadzać, pani Ikehorn.

- Bardzo to uprzejmie z twojej strony, ale szkoda, żeby marnowało się tyle wody. Jutro po południu możesz śmiało przyjść i wykąpać się. Nic mi to nie będzie przeszkadzało.

- Świetnie, dziękuję! Będę panią trzymał za słowo, nie wiem tylko, czy nie mam o tej porze dyżuru.

Billy uśmiechnęła się tylko. Nazajutrz po południu Jake nie miał oczywiście dyżuru. Billy miała zamiar zatroszczyć się o to zaraz po kolacji.

* * *

Billy wyciągnęła się swobodnie na jednej z czerwonych kanapek, okryta tylko wielkim, tureckim ręcznikiem i z ogromną miękką poduszką pod głową. W przebieralni panował półmrok. Do środka docierał tylko pomarańczowy odblask słońca i chwilowe rozbłyski promieni odbijanych przez wodę basenu. Billy nie otwierając przymrużonych oczu westchnęła, prawie nie mogąc już wytrzymać z niecierpliwości. Nareszcie dobiegł ją szelest rozsuwanej kurtyny z paciorków. Do wnętrza wszedł Jake Cassidy,

ubrany tylko w cienkie, nylonowe spodenki pływackie. Kiedy ujrzał Billy wyciągniętą na kanapie, stanął jak wryty, wpatrzony w jej rozburzone włosy i długie opalone nogi, rozrzucone na czerwonej tkaninie.

- Tak gorąco, że nawet się pływać nie chce, co? - wymruczała Billy.

- Nie, dlaczego... Zanurkuję sobie raz dwa...

- O nie. Jeszcze nie teraz. Za chwilę. Podejdz tu do mnie, Jake.

Pielęgniarka zbliżyła się z ociąganiem i stanęła obok kanapy.

- Siadaj, Jake. Tu, koło mnie. Mamy mnóstwo miejsca.

Młody człowiek przycupnął nieśmiało na wskazanym skrawku kanapy. Billy śmiałym gestem wzięła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

- Usiadłeś za daleko, Jake. No, zbliż się trochę.

Tym razem Jake posłuchał natychmiast, a na twarzy nareszcie zaświtało mu zrozumienie. Billy ujęła jego dużą dłoń i wciągnęła ją pod ręcznik, który zasłaniał jej ciało. Jake wstrzymał oddech, czując pod palcami napór ciała, gdy jego ręka posłusznie sunęła w dół, między nogi Billy, gdzie spomiędzy włosów wychylała się już nabrzmiąta łechtaczka. Billy ujęła środkowy palec Jake'a, położyła go sobie delikatnie na rozpalonym, mokrym ciele i powoli zaczęła nim przesuwając w przód i w tył, dokładnie w miejscu, skąd na całe jej ciało rozchodziło się gorące promieniowanie. Jake natychmiast podchwycił ten rytm, a jednocześnie zdarł z Billy ręcznik kąpielowy i ujrzał ją w całej nagości. Pochylił się natychmiast i mocno ścisnął wargami ciemny sutek, a potem drugi. Billy poczuła, że całe ciało wygina jej się w łuk w przemożnym pragnieniu, by jeszcze mocniej poczuć władcze dotknięcie dłoni, twarde męskie palce, gorące męskie usta. Ach, jakaż różnica w porównaniu z własnym dotykiem, ów napór obcego ciała... Po krótkiej chwili, kiedy Jake wciąż

znęcał się nad jej piersiami, Billy podniosła wzrok i ujrzała nad górną krawędzią kąpielówek wysunięty czubek członka, uwięzionego pod materiałem. Z zapartym tchem Billy pociągnęła za sznurek majtek i czując suchość warg spojrzała na wielką maczugę, twardą jak skała i różowawą na tle białego brzucha i czarnej gęstwiny włosów.

- Włóż mi go - rozkazała.

- Jeszcze nie! Ja chcę najpierw...

- Wkładaj!

Przełożył nogę nad tułowiem Billy i uklęknął na kanapie. Billy ujęła sztywny, drżący członek i centymetr po centymetrze wprowadziła go w siebie, przedłużając rozkosz tej chwili tak długo, aż Jake zajęczał z niecierpliwości. Kiedy poczuła, że jest już cały w środku, domyśliła się, że za chwilę nastąpi dzika szarża.

- Powstrzymaj się jeszcze, Jake - szepnęła mu prosto w usta. - Nauczę cię czegoś miłego, tylko poczekaj. Spodoba ci się... - Wsunęła dłonie pod biodra Jake'a i popchnęła go do tyłu, na tyle daleko, że członek wyjechał z niej prawie aż do końca, a potem zwolniła uścisk, pozwalając mu na powrót rozgościć się w środku. Usłyszała jęk z trudem powstrzymywanej żądy, lecz nie zwracając na to najmniejszej uwagi powtórzyła swój manewr jeszcze kilka razy. Za ostatnim razem pchnęła Jake'a tak mocno, że członek po prostu wyskoczył na zewnątrz. Wzięła go natychmiast w dłonie i leniwie przeciągnęła sobie całą jego długością po lechtaczce, a potem w górę, w stronę pępka, by szybko zawrócić narzędzie z powrotem w stronę wejścia do pochwy. Jake szybko pojał, czego się od niego oczekuje, i raz za razem zaczął trzeć członkiem o podbrzusze Billy, ani na chwilę nie przestając dotykać rozkwitającej do swych największych

rozmiarów łechtaczki, którą Billy porównywała teraz w myślach do ciemnoczerwonego, dojrzałego owocu.

- Popatrz tylko, popatrz! - wymamrotał. Billy rzeczywiście nie mogła oderwać oczu od lśniącego wilgocią, wspaniałego penisa, spowitego mocną siecią żył. Nur do ciemnej jaskini sprawił, że żołądź członka powiększyła się jeszcze dwukrotnie. Billy aż jęknęła w niepoohamowanej chęci, by znowu poczuć go w środku.

- O nie - usłyszała głos Jake'a. - Nie tak prędko. Miało być dokładnie tak, no to będzie, do końca. Spokojna głowa. No, popatrz, popatrz! Patrz, co ci zaraz wsadzę! Patrz, czy nie za duży! O masz! - Jake odchylił się i jednym brutalnym, cudownym pchnięciem wprowadził w Billy członek jak obłądniczy taran. Billy zaś poczuła nieprzytomny, gwałtowny, rozdzierający jaźń dreszcz ostatecznej ekstazy.

Przez długie minuty leżeli na kanapie, czekając bez jednego słowa, aż wciąż twardy, wciąż nie wyjęty członek opadnie powoli. Billy czuła, jak między nogami cieknie jej gorąca strużka spermy. Nie wyobrażała sobie w tej chwili, jakim cudem umiała tak długo wytrzymać bez tego wszystkiego - bez drżącego, lepkiego i spoconego dotknięcia rzeczywistości.

* * *

Billy jadła tego wieczora kolację osobno, w swoim saloniku. Kamerdynerowi kazała po prostu zostawić wszystkie dania na stoliku.

- Niech stoją, John. Sama sobie nałożę - zapewniła. - Jestem jakaś zmęczona. Dopilnuj, proszę, żeby nikt mi teraz nie przeszkadzał.

Nawet nie tknęła jedzenia. Rozrywały ją dwa sprzeczne, walczące ze sobą uczucia: głęboki niepokój i nawrót rozdzierającego, cielesnego

pożądania. Choć skupiła się wyłącznie na wspomnieniach popołudnia, wspomnieniach, których obrazy przyprawiały ją o rozkoszny skurcz między nogami i sprawiły, że Billy od niechcienia gładziła się po kępie włosów łonowych pod lekkim okryciem, jednocześnie nie potrafiła się opędzić od niepokojących przeczuc co do reperkusji tego, co się stało. Czy Jake powie o tym pozostałej dwójce? Czy będzie się przechwalał? Spróbuje ją szantażować? Co będzie, jeżeli sprawa dotrze do wiadomości publicznej? Co Jake myśli o niej? To ostatnie nie miało akurat najmniejszego znaczenia, pomyślała Billy, kręcąc patrycjuszowską głową ze zdumienia, że tak głęboko mógł w niej utkwić purytanizm. Inna sprawa, że właściwie nic nie wiedziała o Jake'u i nie miała pojęcia, czy może mu zaufać. Billy nie знаła odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania, a co gorsza, nie miała jej u kogo szukać. Była pewna tylko jednego - mianowicie, że niedługo, jak najszybciej, musi znowu osiąść Jake'a Cassidy. Posiąść, połknąć. Głęboko. Prędko. Billy zacisnęła dłonie w pięści. Oblizwała wargi i przeszła się z kąta w kąt saloniku. Potrzebowała Jake'a natychmiast. Wygłodzone przez półtora roku postu, erotyczne apetyty wzięły ją w swoje posiadanie jeszcze gwałtowniej niż podczas pierwszych miesięcy w Nowym Jorku czy któregośkolwiek okresu małżeństwa z Ellisem.

Billy zarzuciła prawie zupełnie swoje dawne wycieczki do Beverly Hills - z wyjątkiem wizyt u fryzjera - i południowe spotkania z innymi paniami. Nie miała odwagi tak przestawić rozkładu dyżurów, by Jake mógł mieć wolne każdego popołudnia, gdyż bała się, że pozostali pielęgniarze czegoś się domyśla, lecz i tak co najmniej cztery razy w tygodniu szła po lunchu do przebieralni i czekała, naga, z bezwstydną,

szeroko rozrzuconymi nogami, aż zjawi się Jake.

Wbrew temu, co się stało, Jake w obecności osób postronnych odnosił się do niej dokładnie tak samo jak przedtem. Nie mrugał do niej i nie rzucał ukradkowych spojrzeń, wskazujących, że pamięta to, co zaszło między nimi. Odnosił się do chlebodawczyni z tą samą wytwornością i grzecznością co przedtem. Wyczułone instynkty Billy podpowiedziały jej, że nikt trzeci niczego się nawet nie domyśla. I nie domyśli, chyba że Billy sama się przypadkiem wygada. Nawet w przebieralni, z członkiem wibrującym w Billy niczym stalowy pręt, wsuwającym się i wysuwającym z niej, Jake nie mówił do Billy po imieniu i po każdym razie dyskretnie się oddalał, dzięki czemu nie trzeba było uciekać się do słów, rozmawiać o tym, co robią, poznawać się bliżej w tym nowym partnerstwie. Billy zdumiała się na myśl o tym, że choć językiem czuje w ustach Jake'a swoje własne soki, ten najbardziej intymny sposób porozumiewania się odbywa się zupełnie bez słów - jak gdyby Jake i ona sama zamieszkiwali razem w miejscu, które istnieje tylko od czasu do czasu, w przestrzeni, do której codzienna osobowość ich obojwojga w ogóle nie ma przystępu.

Erotyzm Billy stopniowo skupiał się coraz bardziej na tajemniczych, zabronionych rozkoszach pawilonu przy basenie. Wszystko, co działo się w mrocznym wnętrzu, nie miało najmniejszego wpływu na prawdziwy świat, ale zarazem żadne z wydarzeń prawdziwego świata nie dotyczyło pawilonu. Nic dziwnego, że we wnętrzu przebieralni, gdzie Billy miała do swojej wyłącznej dyspozycji wspaniałe i zadziwiająco posłuszne ciało Jake'a Cassidy, ich miłosne akty stawały się coraz bardziej zwierzęce, coraz śmielsze w eksperymentach. W pawilonie Billy przestawała być smutną, bogatą żoną umierającego Ellisa Ikehorna. Była kimś innym -

kimś, dla kogo nie miała nawet imienia - kimś, kto przedtem po prostu nie istniał. Potrafiła nieomal fizycznie poczuć, jak rodzi się ta nowa osoba, jak oddziela się od niej samej nowa kobieta, wolna od poczucia winy, nieświadoma norm zachowania - ktoś, komu wolno dosłownie wszystko, pod warunkiem że odbędzie się to w tajemnicy. Ścisłej tajemnicy.

Podczas pierwszych popołudni z Jakem Cassidy Billy zastanawiała się nawet, czy nie ma aby czegoś nienormalnego w sposobie, w jaki pielęgniarz rozdzielał czas w pawilonie od pozostałych spotkań z Billy w trakcie długiego dnia. Wreszcie jednak zdała sobie sprawę, że sama także woli taki porządek rzeczy, nie dlatego nawet, że tak było bezpieczniej, lecz dlatego, że wcale jej nie zależało na tym, by lepiej poznać Jake'a Cassidy. Jake był miły i sprawnie wykonywał obowiązki pielęgniarza. W pawilonie nad basenem był mężczyzną o zachłannych ustach i ze sztywnym przyrodzeniem. Billy zupełnie wystarczała taka wiedza. Nic ją nie obchodziła rodzina Jake'a, jego dzieciństwo, jego uczucia, jego gusty i cała reszta spraw, które anonimową osobę zmieniają w kogoś ważnego i znajomego. Nie chodziło jej nawet o to, by świadomie wzbraniać Jake'owi przystępu do swego serca. Problem brał się z innej przyczyny, mianowicie stąd, że Jake od samego początku nie zdołał w żaden sposób trafić do tego serca - niezłomnego serca, które uparcie nie chciało pomylić żądz z uczuciem. Billy aż za dobrze pamiętała smak miłości. Jake Cassidy z miłością nie miał nic wspólnego. Billy potrafiła obejść się w życiu bez miłości. Trudno, nie miała innego wyjścia.

Dan Dorman bystro przyjrzał się żonie swojego pacjenta. Było jasne, że od czasu ostatniej wizyty Billy znalazła sobie kogoś, kto ją łomotał. Dan dałby głowę, że ma rację. Dziwnego wyrazu, jaki promieniował z

Billy, doktor nie widział u niej od czasu choroby Ellisa. No i bardzo dobrze. Była już najwyższa pora na ten krok.

- Wspaniale wyglądasz, Billy. Sam bym się wziął na serio za tenis, gdyby nie świadomość, że w moim wieku padłbym trupem po pierwszym gemie.

- To nie tenis, Dan, tylko pływanie. Funduję sobie teraz kilometr albo i dwa dziennie. Wspaniałe ćwiczenie. Może i ty się namówisz? Parę długości basenu dziennie nikomu nie zaszkodziło.

- W Nowym Jorku? Tam jest dość miejsca najwyżej na parę głębokich przysiadów. Aha, a co do twojego planu, żeby na zimę znów zabrać Ellisa do Palm Springs... Moim zdaniem nie jest to takie konieczne. W tym roku naprawdę nie sprawi mu to już wielkiej różnicy... No, chyba że tobie podobałby się taki wyjazd.

- Wielki Boże, cóż znowu? Palm Springs to raj żywych trupów, Dan. Nawet młodzi ludzie są tam jacyś tacy wysuszeni i starzy. Poza tym nasz dom w Palm Springs nie ma tylu wygód, co ten. Najchętniej bym go w ogóle sprzedała.

- A co z odrzutowcem? Chcesz go sobie zatrzymać?

- Oczywiście. Jestem pewna, że Ellis nadal lubi wycieczki do Silverado. Samolot warto zatrzymać, nawet gdybym miała z niego korzystać parę razy do roku, bo przy tej liczbie pielęgniarzy i całej reszty, ilekroć gdzieś wyjeżdżamy, i tak wyglądamy jak wyprawa na safari. Mistrz winnicy w Silverado zabiłby mnie zresztą, gdybym nie pokazała się w tym roku na degustacji nowego rocznika. Masz pojęcie, ile winorośli musieliśmy wykarczować, żeby wybudować tam lądowisko? Ale, ale, Dan... Dlaczego mówisz, że Ellisowi jest w tym roku wszystko jedno, czy

pojedziemy do Palm Springs?

- Coraz bardziej zapada się w siebie, Billy. Pewnie tego nie zauważasz aż w takim stopniu, bo widzisz go codziennie, ale ja sam obserwuję wyraźnie, że z miesiąca na miesiąc Ellis mniej się interesuje życiem. Z każdą moją wizytą robi się coraz bardziej daleki. Kiedy przyjdą zimowe deszcze, zostanie po prostu w zamku, będzie patrzył w ogień albo oglądał telewizję, jeżeli to go jeszcze w ogóle zajmuje. Nic się nie stanie, jeżeli go ominie parę słonecznych dni.

- Sama też to zauważyłam, Dan. Jest taki... Taki strasznie... daleki. Bałam się już, że to moja wina, że o coś się na mnie gniewa.

- Wybij sobie w ogóle z głowy takie myśli, Billy. Otaczasz go najlepszą opieką pod słońcem. Nic nie poradzisz na to, co dzieje się w czyimś mózgu, kiedy pęka naczynie krwionośne. Nic nie poradzisz i tyle. Ile masz właściwie lat, Billy? Prawie trzydzieści, co? Powiem ci, że nie zazdroszczę ci takiego życia.

- Jakoś daję sobie radę, Dan.

Z każdym kolejnym popołudniem w pawilonie przy basenie zachodziła w Billy coraz większa zmiana. Nigdy by nawet nie przypuszczała, jak agresywna potrafi się okazać z mężczyzną. W dawnym życiu tylko dwa razy Billy wzięła inicjatywę w swoje ręce - raz, kiedy na Barbadosie zapukała do drzwi pokoju Ellisa, i drugi raz w pawilonie, z Jakem - nic więc dziwnego, że wyobrażała sobie, iż to mężczyzna powinien sięgać pierwszy po kobietę, okazywać jej pożądanie, podniecać kuszącą, lecz bierną samicę. Teraz oto Billy mogła się rozkoszować smakiem nowej, nieomalże bolesnej przyjemności jako ta, która sama szuka, domaga się, żąda, otwiera i wysysa soki. Ilekroć Jake zjawiał się w

przebieralni, wygłodzona Billy czekała już na niego. Wczesną jesienią, kiedy Jake zaczął się spóźniać, najpierw pół godziny, a później całą godzinę, odbierała czekanie i niepewność jak torturę, o wiele perfidniejszą i bardziej bolesną, niż gdyby Jake nie przychodził w ogóle. Zawsze oczywiście miał dla siebie usprawiedliwienie, lecz Billy nie wierzyła tym słowom. Zaczęła podejrzewać, że Jake po kryjomu zaczyna wykorzystywać sytuację, mając pewność, że Billy już czeka tak podniecona, że bliska wybuchu, niczym dobrowolny więzień, myślący już tylko o zwierzęcej uldze, jaką się mu przyniesie w darze. Billy zawładnęła Jakem, który próbował oto odplacić jej tą samą monetą. Całkowitą pewność co do tego uzyskała Billy kolejnego popołudnia, kiedy Jake nie przyszedł w ogóle i tłumaczył się jej później, że zasnął na słońcu. Płonąc z ukrytego gniewu, przerażona i upokorzona, lecz ciągle ulegająca swojej żądzy, swojej obsesji, Billy podniosła pensję Jake'a o tysiąc dolarów miesięcznie.

Bez ustanku nękało ją teraz pożądanie. Kiedy rankiem widziała, jak Jake prześlizguje się korytarzem, obserwowała go spod przymkniętych powiek, wspominając szczegóły ich pierwszej schadzki. Gdy jadła obiad w towarzystwie pielęgniarzy Ellisa, jeżeli Jake także znajdował się przy stole, Billy patrząc na jego ręce z trudnością przełykała każdy kęs, przypominając sobie wszystko, co para tych dłoni potrafi z nią zrobić. W któryś poniedziałkowy ranek - po pustej sobocie i niedzieli - Billy zaczęła, aż Jake będzie mijał jej pokój, złapała go za rękę i wciągnęła do środka, zatraskując za nim drzwi. Wewnątrz rozpięła mu spodnie, trzęsącą się dłonią wyjęła członek i prędkimi ruchami doprowadziła Jake'a do wzwodu, a potem ocierała się o niego tak długo, dopóki się jej nie

spuścił na nocną koszulę. Stali później oparci o ścianę i dyszeli jak para nastolatków. Innym razem, kiedy Jake spędził całe popołudnie przy chorym, Billy zdybała go po kolacji i zaciągnęła do gościnnej łazienki na parterze rezydencji. Tam zerwała z siebie rajstopy i figi, usiadła na sedesie, a potem zmusiła Jake'a by przyklęknął i wsunął głowę między jej rozkraczone nogi. Długo ocierała o jego wargi swoje bolące, mokre krocze, podczas gdy Jake razami języka doprowadzał ją do orgazmu, lecz przekonała się wkrótce, że nie o to jej chodzi. Kazała Jake'owi stanąć przed sobą i wciąż nie zmieniając siedzącej pozycji wzięła jego penisa w usta. Kiedy ssała go ile sił, cały świat skurczył się w jej oczach do kęsa ciała, który tak zachłannie, z taką łapczywością atakowała. Jake wysliznął się wreszcie, a Billy przez godzinę nie wychodziła z łazienki, roztrzęsiona, lecz wciąż daleka od zaspokojenia. Było dla niej jasne, że sytuacja wymyka jej się z rąk. Każdy z mieszkańców kręcących się po rezydencji mógł zauważyć zdarzenie w sypialni czy jednoczesne zniknięcie Billy i Jake'a tego wieczoru.

Na początku listopada w ciągu jednego dnia zmieniła się pogoda. Nie ulegało kwestii, że długi, gorący okres wiosny, lata i jesieni dobiegł końca. Nad południową Kalifornię nadciągnęła zima, niezwykle deszczowa jak na tę okolicę. W innych stronach ta pora roku mogłaby uchodzić za mokrą, uprzykrzoną jesień, lecz tutaj, gdy temperatura na dworze spadła poniżej dziesięciu stopni, długie popołudnia w nieogrzewanym pawilonie, który w dodatku stał na końcu ociekającej wodą alei, przestały wchodzić w rachubę. Billy zrozumiała, że do nadejścia prawdziwej wiosny, a może aż do kwietnia, od którego dzieliło ją prawie pół roku, musi znaleźć zupełnie nową scenę dla swojego sekretnego życia.

Całe popołudnie zastanawiała się, penetrując zakamarki cytadeli na wzgórzu i z namysłem lustrując dziesiątki pomieszczeń, pustych, więc i nie odnowionych przez zapobiegliwą Linde. Niektóre okna można było obserwować z innych części domu, niektóre znów spośród pokoi leżały zbyt blisko korytarzy uczęszczanych przez służbę. Inne nie podobały się Billy, gdyż z okien widziała skrzydło zamku, w którym mieszkała ona sama i Ellis - to zaś przypominało jej natychmiast, że zamek jest w rzeczywistości prywatnym szpitalem. Wreszcie jednak na szczycie zapuszczonych, spiralnych schodów natrafiła na ośmiokątną komnatę, którą zbudowano chyba tylko po to, by przydać zamczysku dziwaczного charakteru, gdyż nigdy jej nie używano. Billy wychyliła się przez jedno z wąskich okienek i poczuła we włosach powiew wiatru. Deszczowe chmury, które zawisły nad całym Bel Air, ocierały się prawie o tę napowietrzną komnatę. Billy widok ten przypomniał historię Roszponki, księżniczki uwięzionej w zamkowej baszcie. W odróżnieniu od baśniowego pierwowzoru - pomyślała Billy - ta nowa księżniczka będzie jednak miała hobby. Czy zdecydować się na szkice węglem, akwarele czy malarstwo olejne? A może pastele? Zresztą, czy to ważne? Najważniejsze w życiu artysty jest to, że spędza się długie godziny w odosobnieniu pracowni - godziny, które dostarczają najlepszego usprawiedliwienia, gdzie się jest i co się porabia. Każdy przecież uszanuje potrzebę artystycznego odosobnienia. A poza tym, dodała w myślach Billy, czy jest jeszcze na świecie ktokolwiek, kto chciałby obejrzeć jej dzieła?

Przez kilka dni meblowano nową pracownię Billy. Najpierw jednak przyszła artystka wpadła na sekundę do Gucciego, gdzie zauważyła ostatnio gruby dywan ze srebrnych lisów podszyty jedwabiem i

fantastycznie szeroki. Następnie jak sęp spadła na sklep firmy May i zarzuciła zamówieniami sprzedawcę, przyzwyczajonego do klientów, którzy mierzą, wahają się, porównują wszystko i konsultują. Tym razem sprzedawca ledwie nadażał z wypisywaniem rachunków. W ciągu pół godziny Billy kupiła - z wystawy - skórzaną leżankę, zaprojektowaną przez najbardziej awangardowego projektanta w całym Mediolanie. Kupiec martwił się zresztą o ten mebel, za drogi dla przeciętnego nabywcy i dominujący w każdym normalnym wnętrzu. Prócz leżanki Billy kupiła stary perski dywan, w opinii sprzedawcy zbyt cenny, by nadawał się na cokolwiek innego niż ścienny arras, a ponadto kilka szalonych lamp. Sprzedawca wiedział, lecz nie pofatygował się poinformować klientki, że dają one wyłącznie przyćmione światło.

Następnym przystankiem Billy był magazyn Sama Flaxa, gdzie sprzedawca doznał osobliwego uczucia, w ciągu paru minut sprzedając farby, pędzle i wszystko, co niezbędne jest artyście malarzowi, na sumę dwóch tysięcy dolarów - w dodatku nabywcą okazała się dama, którą najbardziej w całym sklepie zainteresowały pędzle z sobolowego włosia. Zdziwiłby się jeszcze bardziej, gdyby widział, z jakim wysiłkiem Billy rozstawia następnego dnia kompletnie jej dotąd obce sztalugi. Kiedy to się jej nareszcie udało, Billy sięgnęła po jeden z tuzina gotowych blejtramów, pieczołowicie go ustawiła i pastelową kredką namazała przez środek płótna czerwony zygzak. Potem w jednym ze szkicowników starannym liternictwem napisała: ATELIER. ARTYSTKA PRZY PRACY. NIE PRZESZKADZAĆ POD ŻADNYM POZOREM. Gotową kartę Billy przypięła po zewnętrznej stronie drzwi, zamykanych od środka na klucz i nareszcie zadowolona z efektu, przeniosła wszystkie sobolowe pędzelki do

swojej garderoby, gdzie mogły jej się przydać do kładzenia cieni na powiekach.

Podczas urządzania pracowni Billy spostrzegła, że mimo zmiany pogody Jake nadal zachowuje się w obecności innych spokojnie i obojętnie. Swoimi oczami chłopca z chóru spoglądał na Billy z dawną szczerością, bez cienia powątpiewania, choć musiał sobie przecież zdawać sprawę, że upłynął równy tydzień, odkąd dotykali się po raz ostatni. Nie zaszczycił nawet swojej pani hołdem w postaci niecierpliwego spojrzenia. Początkowo Billy chciała mu sprawić niespodziankę swoim pomysłem z pracownią, lecz instynkt nakazał jej ukryć przed Jakem wszystkie przygotowania.

Kiedy prace zostały skończone, Billy usiadła wieczorem do kolacji w towarzystwie Jake'a i Asha. Miała na sobie suknię ze srebrnej lamy, obszytą czarnymi norkami, a włosy zaciesała swobodnie do tyłu. Jej mocną szyję okalały ciężkie sznury szmaragdów, pereł i rubinów. Przyjrzała się Jake'owi ponad blatem, pielęgniarz zaś odwzajemnił się jej niewyraźnym, bezosobowym uśmiechem. Billy zrozumiała nagle, że Jake jest jej nie tylko niepotrzebny, ale może się okazać wręcz groźny. Nigdy nie wybaczyła mu tych kilku popołudni, kiedy to musiała na niego czekać - i miała mu ich nie wybaczyć do końca życia.

Postanowiła poprosić nazajutrz adwokata rodziny, Josha Hillmana, by zajął się Jakem. Po namyśle postanowiła jednak wziąć sprawę w swoje ręce. Josh nigdy by nie zrozumiał, skąd wzięła się premia z okazji odprawy, nieprzyzwoicie hojna premia, którą Jake miał otrzymać na pożegnanie. Pieniądze i kilka starannie dobranych słów powinny załatwić sprawę. Jake zapewne nie zrozumiał do końca, co się właściwie stało, lecz

Billy miała pewność, że ten obrót wydarzeń nie zaskoczy go w sposób szczególny. Z pewnością nieraz zastanawiał się, czy nie posuwa się w swojej grze za daleko - tymczasem jak na grę, którą wybrał, był w tym domostwie zbyt słabym partnerem.

Billy przeniosła spojrzenie na Asha. Ash o delikatnym głosie z południowym akcentem, Ash o długich, szczupłych palcach. Ash, który drżał leciutko, ilekroć Billy podchodziła doń zbyt blisko, i który wodził za nią oczami, gdy myślał, że Billy tego nie zauważy. Szczupły, grzeczny Ashby. Ciekawe, jak też wygląda bez ubrania?

- Ash - zapytała więc - czy interesujesz się sztuką?

- Tak, pani Ikehorn. Sztuka zawsze mnie pociągała. Billy uśmiechnęła się leciutko i patrząc mu prosto w oczy powiedziała:

- Wcale mnie to nie dziwi. Nie wiem czemu, ale zawsze byłam tego pewna.

Twiggy, Veruschka, Penelope Tree, Lauren Hutton, Marisa Berenson, Jean Shrimpton, Susan Blakely, Margaux Hemingway - to właśnie Harriet Toppingham wypatrzyła je wszystkie w początkach ich karier. Czasami spóźniała się i odkrywała, że nowe modelki tak się zrosły z tytułem konkurencyjnego żurnalu, iż nie można albo nie powinno się już korzystać z ich usług. Między redaktorami pism o modzie trwa nieustanny wyścig o pierwszeństwo w odkryciu Następnej Najnowszej Piękności. Redaktorzy polegają w dużej mierze na informacjach od swoich wtyczek w agencjach zatrudniających modelki, a także na uwagach fotografów. Naturalnie Spider przyniósł Harriet Toppingham odbitki z sesji z Melanie, zaraz gdy tylko je wywołał i wysuszył.

Harriet przeglądała zdjęcia, niepostrzeżenie mrużąc piwne, matowe oczy. We wnętrzościach czuła już pragnienie, by zawładnąć nowym znaleziskiem. Ilekroć ujrzała coś lub kogoś, kogo chciała posiadać, reagowała całym organizmem. Właśnie tu ulokowała Harriet Toppingham wszystkie swoje uczucia: w sztuce wypatrywania tego, co nieuchwytnie, w sztuce chwytania w ręce tego, co rzadkie i niezwykle.

- Aha. Hmmm. No, owszem.

- Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia, Harriet? - prawie ze złością przerwał jej wreszcie Spider.

- Jest piękna, niewiarygodnie piękna, Spider. To chciałeś ode mnie usłyszeć, prawda? Okrutnie, morderczo piękna.

- Chryste panie, takie komplementy pasują prędzej do dziewczyny z Bonnie and Clyde, nie do niej.

- Nie masz racji, Spider. Chodzi mi tylko o to, że takiej twarzy nie

sposób zapomnieć. Strach pomyśleć, co? Nie boisz się? No tak, jesteś jeszcze młody.

- Czyś ty z byka spadła, Harriet? Przecież wiem, że nie boisz się niczego i nikogo. Sama powiedz.

- Nic ci nie powiem. - Harriet dmuchnęła dymem w Spidera, rozkoszując się sposobem, w jaki w nieskończoność można odwlekać to, co nieuniknione. Naturalnie miała wszelki zamiar kupić dziewczynę. Wielka modelka musi się wyróżniać. Wszystkie ładne dziewczyny wyglądają mniej więcej tak samo, lecz twarz ze zdjęć była zupełnie inna. Kryło się w niej coś tak niepokojąco niezwykłego, że Harriet Toppingham po prostu brakowało słów. Ciągnęła jednak dalej: - Zamawiam ją na wyłączność na najbliższe dwa tygodnie, zrobię z nią najważniejsze zdjęcia do prezentacji jesiennej kolekcji. I okładkę.

Harriet powiedziała to głosem rozmyślnie obojętnym, odartym z intonacji i emocji, ale w sercu czuła wzbierającą falę podniecenia. Poczucie władzy gorzało w jej wnętrzu jak rozpalony kamień.

- Odsunę inne prace - obiecał niezmiernie ucieszony Spider. - Do tej pory uda mi się uporać z resztą roboty.

- Jak to? - W głosie Harriet pobrzmiwało zaskoczenie, mieszające się z konsternacją.

- Bez sztuczek, Harriet! To ja ją odkryłem! Dasz mi z nią zrobić te zdjęcia, czy nie? - Spiderowi nie mieściło się w głowie, że Harriet może zakupić Melanie, nim samym zaś wzgardzić.

Jaskrawoczerwone usta Harriet Toppingham wykrzywiły się w cienkim uśmiechu. Redaktorka prawie nie dała Spiderowi poznać, jak bawi ją ta sytuacja. Czekwała wciąż, udając namysł. Dopiero kiedy

metodycznie zdusiła niedopałek w ciężkiej, jadeitowej popielniczce, odezwała się:

- Nie przeczę, Spider, że masz talent. Ale z drugiej strony jesteś zupełnie nowy, nieotraskany. Co takiego dla nas fotografowałeś do tej pory? Biustonosze? Buty? Pizamki dziecięce? Pamiętaj, że wrześniowy numer to dla nas najważniejsza edycja w całym roku. Nie mogę sobie zwyczajnie pozwolić na błąd.

Harriet wydobyla następnego papierosa z empirowej szkatułki z brązu i zapaliła go ostrożnie, z miną osoby, której udało się mimo wszystko zamknąć temat.

Spider przełknął złość i zmusił się do spokojnego tonu.

- Przecież wiem, że nic nie ryzykujesz z tą dziewczyną, Harriet. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że chociaż zaniósłem te zdjęcia do ciebie, a nie do *Vogue* czy *Bazaar* wcale nie musi oznaczać, że to mnie należy się kontrakt. Chcesz wyłączność na Melanie? Proszę, jest twoja. Powiem ci jednak, że moim zdaniem z nikim nie będzie się jej tak dobrze pracować jak ze mną. Dziewczyna jest zupełnie zielona, nigdy w życiu nie pozowała do zdjęć. Nie wiedziałaś o tym, co? Nie da się tego poznać na moich zdjęciach, chociaż fotografowałem ją w zwyczajnych ubraniach, bez makijażu czy fryzury. Zaufaj mi, Harriet. Jestem gotowy do takich zdjęć. Więcej niż gotowy.

Harriet od niechcienia spojrzała w sufit i z namysłem zastukała paznokciami w blat biurka. Powoli, jeszcze raz od początku przekartkowała zdjęcia, czując w całym jestestwie falę zadowolenia, że każe Spiderowi czekać. Prace Spidera spowodowały więcej rozgłosu niż którykolwiek inny debiut na przestrzeni ostatnich lat. Harriet wiedziała, że

jeśli wypuści Spidera z rąk, inne pisma wyrwą go jej natychmiast. Stać go było także na to, by wywiązać się z zadania - to także Harriet wiedziała od samego początku. Nie znosiła jednak, kiedy ją zmuszano do czegokolwiek, choć w tym wypadku, może...

- Cóż, będę musiała się zastanowić... Chociaż... Może nie. Powiedzmy, Spider, że zaryzykuję. Dam ci ten kontrakt na próbę.

Nigdy jeszcze Spider nie czuł równie dobitnie, co to znaczy znaleźć się na cudzej łasce i niełasce. Nie dotarła jeszcze do niego ulga, którą powinien przynieść werdykt redaktorki. Stał nadal bez ruchu, trzęsąc się z wściekłości i nie posiadał się ze zdumienia, że ktoś w dręczeniu go może znajdować aż tak wielką, okrutną przyjemność. Harriet obserwowała go bardzo uważnie. Czy nareszcie udało się jej wystraszyć Spidera? Strach pozostawał zwykle poza sferą jego emocji - Harriet dostrzegła to od razu i niezmiernie w Spiderze ceniła, gdyż praca z nim stawała się dzięki temu jeszcze ciekawsza.

- Dziękuję - powiedział wreszcie Spider, posyłając jej spojrzenie zbyt skomplikowane na to, by nawet tak szczwana osoba jak Harriet mogła od razu rozszyfrować jego znaczenie.

Na twarzy Spidera malowała się pogarda, poczucie krzywdy, zaskoczenie i niesmak, pomieszane wszystkie z wdzięcznością i kiełkującą, cichą radością z zadania. Strach nie zagościł jednak na jego twarzy. Harriet zrozumiała to, kiedy Spider zbierał zdjęcia i bez słowa wychodził z jej gabinetu. Redaktorka z namysłem zaciągnęła się papierosem. Chłopaka trzeba jeszcze wiele nauczyć.

Podczas zdjęć do wrześniowego numeru pisma atelier Spidera zaroilo się od ludzi. Wszyscy co do jednego próbowali za wszelką cenę

wywrzeć swój wpływ na końcowy efekt prac. Wokół modelki i fotografa czuwała ekipa złożona z Harriet i pary jej asystentek. Obok stał redaktor od dodatków i redaktorka od butów wraz z asystentami, cała czwórka obładowana torbami i paczkami jak włoskie osiołki, wiozące towar na targ. Od Spidera nie odstępował też ani na krok jego własny asystent, bystry chłopak, który ukończył właśnie studia na Yale i zatrudnił się jako pomocnik. Z pracowni najrozmaitszych projektantów wciąż przybywali nieprzerwanym strumieniem posłańcy dźwigający w ramionach bezcenne oryginały kreacji. Przybysze dreptali nerwowo w miejscu i ciągle spoglądali na zegarek, bo tuż po ukończeniu kolejnej partii zdjęć musieli w te pędy zwrócić modele do pracowni. Tymczasem asystentki Harriet co chwila kazały im nie kręcić się pod nogami albo bez skutku nakłaniały, by poszli sobie i wrócili dopiero po zakończeniu zdjęć. Wysłannicy od Davida Webba i Cartiera przychodzili z walizeczkami wypożyczonych specjalnie klejnotów i obserwowali każdy krok modelki, dopóki biżuteria nie wróciła do nich z powrotem, podczas gdy asystentka redaktorki od butów, młoda, odstrzelona debiutantka z wyższych sfer, świeżo po studiach na Vassar, musiała przynosić wszystkim ze sklepu kawę i kanapki albo uprzątać do połowy opróżnione kubki i papierowe talerzyki. W przebieralni gwiazda sztuki fryzjerskiej z pomocnikami zwijała się do spółki z charakteryzatorką i jej asystentką zajęta nie tylko Melanie, lecz całą kolekcją mężczyzn, zamówionych do pozowania z nią. Co chwila wpadał też do atelier redaktor prowadzący *Fashion and Interiors*, przyglądał się widowisku, chrząkał znacząco i wychodził, by za godzinę zawitać ponownie.

Spider pracował jak nawiedzony. Do jego świadomości nie docierała

obecność kibicujących tłumów. Czuł się tak, jak gdyby został w studio sam na sam z Melanie, nie licząc aparatów fotograficznych i zwinnego cienia asystenta.

Melanie dorównywała mu przytomnością umysłu. Kiedy ubierano ją, rozbierano, malowano, czesano i mówiono, jak się ma uśmiechać, poruszać i trzymać głowę, gdzieś w głębinach jej osobowości zaczynał rozwijać płatki ciasny pęk gigantycznego pytania - zaczynało w niej kiełkować pewne przeświadczenie, które samo w sobie było prędzej pytaniem niż odpowiedzią. Długie godziny pozowania znosiła Melanie zaskakująco lekko, pomimo braku doświadczenia. Sesja zdjęciowa wydawała się jej czymś naturalnym, najoczywistszym w świecie. Im więcej od niej żądano, tym więcej ofiarowywała, szczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu.

Po zakończeniu kolejnego dnia zdjęć Harriet i redaktor prowadzący zasiadali razem, złączeni chwilowym rozejmem, i pochylali się nad maleńkimi kwadracikami przezroczy, które też zaraz wyświetlali na białej ścianie. Brak sporów między nimi najlepiej unaoczniał, że obydwójce są zachwyceni postępami. Żadne nie chciało jednak ustąpić przed drugim poprzez wyrażenie aprobaty dla materiału, a ponieważ w zdjęciach nie było się na co skarżyć, nie było też powodu do dyskusji. Wieloletnie doświadczenie mówiło dwójce redaktorów, że niektóre z przezroczy to najczystsze w swoim pięknie zdjęcia mody, jakie kiedykolwiek opublikowało ich pismo. Klasyczne zdjęcia. Poezja kadru i niezgłębiona uroda modelki nadawały każdej kolejnej kreacji nowy wymiar, obecny dotąd może tylko w natchnieniu projektanta.

Podczas wiosennych i letnich miesięcy, jakie potem nastąpiły,

kariera Melanie zarazem rozwijała się lawinowo i trwała w miejscu. Do czasu publikacji wrześniowego numeru pisma Harriet odradzała jej pracę zawodową, chociażby po to, by zadebiutowała na światowej scenie z absolutnie nie opatrzoną twarzą. Zamiast tego Harriet znalazła dla Melanie pracę przy zdjęciach do kolejnych numerów żurnalu, układając plan sesji zdjęciowych w taki sposób, by Melanie nie mogło podkupić żadne inne pismo. Zdjęcia do wszystkich pism odbywały się bowiem mniej więcej w tym samym czasie. Redaktor działu mody ma prawo na stałe współpracować wciąż z tą samą modelką, numer w numer. Dzięki temu nie ma do niej dostępu konkurencja, a czasopismo zyskuje nowy szczególny charakter.

Melanie bez wahania stosowała się do wszystkich wskazówek Harriet i unikała jak mogła biur agencji Forda, załatwiając wszystko przez telefon. Instykt podpowiadał jej, że Harriet bardziej niż ktokolwiek inny na świecie może znaleźć odpowiedź na jej wciąż jeszcze nie sformułowane pytanie. Fascynowały ją zdjęcia, które robił jej Spider. Studiowała je całymi godzinami, z ciekawością i uwagą. Czasem, kiedy zostawała sama, podnosiła do oczu powiększone zdjęcia swojej twarzy i przez długie minuty oglądała w lustrze własne oblicze i jego fotograficzny obraz. Zdjęcia odsłaniały nareszcie, kim jest w oczach innych ludzi, lecz nawet one nie potrafiły zaspokoić wciąż gryzącego Melanie pragnienia ostatecznej odpowiedzi. Zdjęcia Spidera odsłaniały tylko, jak Melanie wygląda w oczach Spidera, nic więcej. Zawierały więc w sobie tajemnicę, która tylko podsyciała niepokój Melanie, marzącej o tym, by stanąć przed obiektywem innego fotografa. Harriet nie chciała jednak za nic ujawnić swoich dalszych planów wobec podopiecznej i do września zabraniała

Melanie pozować komukolwiek oprócz Spidera.

Pewnego grudniowego wieczora młoda dziewczyna imieniem Sondra zostawia swą nowo narodzoną córeczkę na progu plebanii przy kościele Świętego Klemensa na Manhattanie. W tym samym czasie drobny złodziejasek Lenny Centino kradnie z kościoła zabytkowy srebrny kielich z brylantem. Zarówno dziecko, jak i bezcenne dzieło sztuki znikają bez śladu... Mija siedem lat. Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem umiera bogata staruszka mieszkająca w parafii Świętego Klemensa - Bessie Durkin Maher, a para jej lokatorów zamierza w majestacie prawa zagarnąć schedę po zmarłej. Do akcji wkracza sympatyczna Elwira Meehan, niegdyś doskonała sprzątaczką, obecnie milionerka, która uwielbia rozwiązywać zagadki kryminalne. Okazuje się, że wydarzenia sprzed lat i obecna sprawa mają ze sobą wiele wspólnego.

* * *

- Melanie, kochanie... Dlaczego nigdy mi nie mówisz nic o sobie?

Siedzieli przy kuchennym stole na poddaszu u Spidera, jedząc na kolację kanapki z długiej bułki.

- Jesteś dla mnie bardzo miły, Spider, ale nie spotkałam jeszcze kogoś tak wścibskiego jak ty. Powiedziałam ci już wszyściuteńko. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

- Rany boskie, nic mi nie opowiedziałaś, oprócz gołych faktów, które na dodatek brzmią jak początek baśni. Przystojny i bogaty ojciec, piękna, uwielbiana w towarzystwie matka, żadnego rodzeństwa, rodzice nadal żyją, nadal szalenie się kochają, a zazdrości im całe Louisville. Albo weź siebie samą: pyszne dzieciństwo, półtora roku nauki w Sophie Newcombe, zanim nakłoniłaś tatusia, by zezwolił ubóstwianej córeczce popróbować

szczęścia w Nowym Jorku. Koniec historii. Jak śmiesz mi w ogóle wmawiać, że nie masz mi już nic do opowiedzenia?

- Czy to moja wina, że miałam szczęśliwe dzieciństwo?

- Pewnie, że nie twoja. Nie rozumiem tylko jednego: co takiego łączy wszystkich ludzi z twojej opowieści? Wszyscy są śliczni i ślicznie się kochają, wszystko jest cacy, cacy... Wszystko tu jest takie bezwolne, bezbarwne, zbyt jasne i kolorowe, żeby było prawdziwe!

- Ale tak naprawdę było. Sam powiedz, Spider, czego ty właściwie ode mnie chcesz? Na mój rozum ty też miałeś wcale udane dzieciństwo, więc gdzie tu widzisz różnicę między nami? Mówisz tak, jakbym coś przed tobą ukrywała. Mam ci opisać krok po kroku mój pierwszy taniec na szkolnym balu? Okropne przeżycie, jak z filmu grozy, mówię ci...

Melanie nadal zachowywała cierpliwość. Życie przyzwyczało ją do tego, że wszyscy wokół niej starają się za wszelką cenę wygrzebać coś w jej życiorysie. Powiedziała Spiderowi wszystko, a innej prawdy nie знаła. Jej ukryte marzenie o tym, by wyjść z siebie i spojrzeć na siebie z zewnątrz, nie oblekło się nawet dotąd w słowa. Zresztą, gdyby nawet, i tak nie pisnęłaby o tym absolutnie nikomu.

Spider nadal przeszywał ją oburzonym spojrzeniem. Melanie nie miała, prawdę mówiąc, pojęcia, do jakiej furii go doprowadza swoimi uwagami. Spider zdawał sobie sprawę, że Melanie nie przekomarza się z nim ani nie ukrywa niczego rozmyślnie. Wiedział jednak, że jej historia musi mieć drugie dno, że Melanie musi nosić w sobie coś, co nada specjalną wagę wyznaniu, coś, co okaże się odzewem na okazywane uczucie. Melanie była dla Spidera tak cholernie nieprzystępna, że czasami miał już wrażenie, iż sypia z najpiękniejszą głuchoniemą kobietą na

świecie. Największym diabelstwem było jednak to, że im mniej miała mu Melanie do ofiarowania, tym bardziej tego pragnął. Im częściej zbywała jego pytania zdawkowymi uwagami, tym głębsze stawało się przekonanie Spidera, że Melanie coś przed nim ukrywa - coś, kluczowy szczegół, który trzeba poznać za wszelką cenę.

Spider, zanim się zakochał, od niechcienia dobrodusznie wysłuchiwał nie kończących się opowieści każdej kolejnej flamy na temat głębin jej psychiki, wewnętrznej podświadomości, psychicznych okaleczeń wyniesionych z dzieciństwa, braku zrozumienia u rodziców, a nawet przepowiedni astrologicznych. Bawiło go to wszystko - ba, często Spider był wręcz oczarowany sposobem, w jaki znajome kobiety potrafią dręczyć się i drażnić zakamarki własnej psychiki, wywlekając na pokaz kolejne kawałki. Sam Spider ofiarowywał im tylko tyle, ile chciał, to znaczy niewiele. Teraz usiłował poznać tajniki duszy Melanie i przekazać jej z kolei wszystko o samym sobie. Niestety, Melanie żyła jak we śnie, łagodna, lecz nieprzenikniona w swym oporze. Spidera przepełniało pragnienie, by całym sobą ogarnąć dziewczynę, otoczyć i zatrzymać przy sobie, by wysłuchiwać cierpliwie jej najbardziej intymnych pragnień, nadziei i lęków, poznać jej najśmielsze ambicje, najbardziej przyziemne i niesmaczne odczucia, dowiedzieć się o jej najsmutniejszych dniach, najgłupszych pomyłkach... Dowiedzieć się wszystkiego.

Nawet kiedy się kochali, Spider wyczuwał w Melanie dziwną nieobecność. Pierwszy raz poszli ze sobą do łóżka w dniu, kiedy zakończyli zdjęcia do wrześniowego numeru pisma. Melanie nie była wprawdzie dziewicą, lecz zachowywała się jak całe ich stado, biorąc pod uwagę ogrom starań Spidera, by zwabić ją pod kołdrę. Wreszcie zezwoliła

otumanionemu požądaniem Spiderowi zabrać się do jego mieszkania, może dlatego, że łatwiej jej było zgodzić się, niż nadal się opierać. Spider był delikatny, cierpliwy, kunsztowny w sztuce. Umiejętnie trzymał na wodzy własną żądzę, skupiając się wyłącznie na tym, by dostarczyć Melanie jak najwięcej doznań. Spider nawykł do tego, że kobiety wyłażą na jego widok ze skóry, chcą go i są jeszcze bardziej podniecone od niego, toteż wychodzą naprzeciw wszystkim gestom i same nurkują do łóżka, spragnione jego ciała. Melanie kochała się zawsze w sposób delikatny. Na pocałunki i dotyk reagowała jak dziecko, które poddaje się pieścizotom, i za wszelką cenę próbowała przeciągnąć wstępne karesy. Chciała wręcz, by Spider zadowolili się pocałunkami, pieścizotem jej ust i piersi, do tego stopnia, że Spider zaczął już podejrzewać, iż na tym się zakończą ich zabawy. Wreszcie jednak z nieobecną miną, prawie z żalem, Melanie pozwoliła mu w siebie wejść, a potem popędzała go głośno - nie z namiętności, czego domyślił się dopiero po fakcie, lecz po to, by jak najszybciej mieć to wszystko z głowy.

- Ależ, kochanie, jeszcze nie jest ci dobrze... Proszę, pozwól mi... Znam tyle sposobów, żeby...

- Odczep się, Spider, jest mi wspaniale, dokładnie tak jak teraz. Nie musisz mi „robić dobrze”, ja zresztą prawie nigdy nie mam orgazmu. Obejmij mnie zwyczajnie, pocałuj, popieść mnie jeszcze trochę, udawaj, że jestem twoją małą dziewczynką. Właśnie tak, lubię to najbardziej ze wszystkiego, wiesz?

Jednak nawet podczas tych delikatnych, miękkich pieścizot Spider czuł, że Melanie zwraca się cała do wewnątrz, unika psychicznego kontaktu z nim i kieruje całą swoją uwagę gdzieś daleko, choć przecież

leżeli spleceni w tak ciasnym uścisku, że być osobno wydawało się po prostu niemożliwe. A przecież wciąż byli osobno.

Po pierwszym wieczorze Spider postanowił użyć wszystkich sztuk ze swego repertuaru, by doprowadzić Melanie do orgazmu, zupełnie jak gdyby właśnie tutaj krył się klucz do wciąż dzielącej ich bramy. Czasem Melanie rzeczywiście przez mgnienie czuła przelotny spazm, choć Spider za nic by się nie domyślił jego źródła, w postaci uparcie powracającej do Melanie erotycznej fantazji. W myślach wyobrażała sobie samą siebie, braną przez bezpostaciowego kochanka, kochankę? Leżeli obydwoje na niskim łożu, wokół którego stał krąg łapczywie się jej przypatrujących mężczyzn z rozpiętymi spodniami. Kiedy patrzyli na to, co kochanek robi z Melanie, ich członki stopniowo grubiały, powiększały się i twardniały. Widzowie bez reszty pochłonięci byli obserwowaniem reakcji Melanie na pieszczoty. Mężczyźni ci - ich członki stawały się już tak nabrzmięte i wielkie, że wydawały się eksplodować - kręcili film, rejestrując każdy szczegół sceny. Jeżeli Melanie odpowiednio długo skupiała myśli na ich podnieceniu i męskiej frustracji, potrafiła osiągnąć orgazm.

* * *

W świecie mody krążyło oczywiście mnóstwo domysłów na temat życia erotycznego Harriet Toppingham. Większość osób widziała w Harriet lesbijkę, lecz ponieważ nigdy nie udało się natrafić na poszlaki, które by tę teorię potwierdzały, uznano z biegiem czasu, że przy tak bezwzględnej brzydocie, samotniczym trybie życia i niesamowitym prestiżu zawodowym, Harriet jest jednym z tych całkowicie aseksualnych typów, które interesuje wyłącznie praca.

Tak się jednak stało, że wszyscy poszukiwacze poszlak usiłowali się

ich dokopać w złych miejscach, zbyt oczywistych. Chcieli bowiem natrafić na ślad związku między Harriet a jakąś młodą ślicznotką. Wszyscy oni nie mieli pojęcia, że Harriet należy do najbardziej dyskretnej ze wszystkich seksualnych podziemi, to jest do międzynarodowej siatki lesbijek w średnim wieku i na arcyważnych stanowiskach. Kobiety te, w wieku od trzydziestu kilku do sześćdziesięciu kilku lat, piastują wysokie pozycje, są sławne, dzierżą władzę i znają się wszystkie doskonale, niezależnie od tego, czy mieszkają w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu czy w Los Angeles. Są pośród nich legendarne aktorki, słynne agentki literatów, wspaniałe projektantki wnętrz i form przemysłowych, znakomite reżyserki teatralne, szefowe największych agencji reklamowych i artystki z rozmaitych dziedzin sztuki. Ich stowarzyszenie jest luźne, lecz członkinie popierają się wzajemnie, choć starannie unikają ostentacji, jaka cechuje analogiczną społeczność mężczyzn - homoseksualistów na wysokich stanowiskach. Wiele spośród tych kobiet wychodzi za mąż, niektóre są nawet oddanymi matkami i babciami. Ludziom, którzy oglądają je w codziennych rolach, nie przyjdzie nawet do głowy, jak silne są seksualne preferencje członkiń klubu.

Aby uchronić swoje drugie życie przed ciekawością świata, kobiety te starannie rozdzielają swoje życie z kobietami od pracy zawodowej. Ich partnerkami są więc najczęściej kobiety o podobnym statusie, dysponujące podobną władzą. Czasem tylko decydują się na przygodę z bezimiennymi, kompletnie nikomu nie znanymi dziewczętami, poderwanymi w barze dla lesbijek - ale nawet takie eskapady potrafią być niebezpieczne. Dla kobiet na stanowiskach bezceremonialna maniera mężczyzn - homoseksualistów,

którzy twierdzą, że „nam najweselej” i że „elegancja to my”, nie wchodzi po prostu w grę; przeciwnie, popisując się w ten sposób, kobiety te prędko utraciłyby cały prestiż i władzę. W swoim drugim życiu kierują się więc taką samą ostrożnością, z jaką obstawa zajmuje się prezydentem USA, który ma kochankę, albo senatorem z zamiłowaniem do kieliszka. Oczywiście istnieją osoby wtajemniczone, osoby, które z racji swojego zajęcia wiedzą więcej niż inni, lecz motłoch nie ma dostępu do tych informacji, tym bardziej że miłość lesbijska, niezależnie, w czym wykonaniu, nosi na sobie nawet dziś dużo cięższe piętno niż identyczne związki z udziałem mężczyzn. Stąd też większość lesbijek o ustalonej pozycji zawodowej dokłada wszelkich starań, by pozostać w ukryciu.

Harriet również przestrzegała tej zasady, i to od czasu, kiedy zaczynała karierę w świecie mody jako asystentka redaktora działu obuwia. Poprzysięgła więc sobie, że nigdy, przenigdy nie będzie się wiązać z modelkami, nawet gdyby modelka sama była lesbijką próbującą zrobić karierę. Dwudziestoparoletnia Harriet sypiała więc wyłącznie z kobietami po trzydziestce i czterdziestce, by z biegiem lat wstąpić stopniowo w szeregi międzynarodowego podziemia. Kiedy na jej biurku wylądowały zdjęcia Melanie, żyła z dwa lata starszą od siebie redaktorką dużej agencji reklamowej z Madison Avenue. Ich związek trwał od dawna, był wygodny, wyprany z namiętności, lecz spełniał swój cel. Bardzo mylą się ci, którzy twierdzą, że istnieją osoby aseksualne i zainteresowane tylko pracą.

Oto jednak, po latach żelaznego panowania nad swoim życiem, Harriet ujrzała czarodziejsko nieobecne oczy Melanie. Delikatne ciało Melanie zaczęło bezustannie nawiedzać jej marzenia, we śnie i na jawie.

W przeszłości zdarzało się Harriet zadurzyć w tej czy innej modelce, lecz nigdy nie uczyniła pod ich adresem najmniejszego gestu, nigdy też nie wypatrywała z ich strony sygnału. Zbyt wiele ryzykowała. Nie mogła przecież dopuścić do tego, by dziewczyny, których los Harriet mogła odmienić jednym wskazaniem palca i słowami: „Wezmę tę”, dowiedziały się, jaka jest słaba strona redaktorki. Harriet obserwowała więc związek Melanie ze Spiderem, zauważając natychmiast chwilę, kiedy młodzi zaczęli ze sobą sypiać. Przywykła być biernym świadkiem męsko - damskich romansów i traktowała je z kamienną obojętnością. Tym razem jednak poczuła ból; ból, który wypływał oczywiście z zazdrości. Harriet, kobieta tyleż twarda, co dumna, nie wiedziała już, co jest gorsze: sama zazdrość czy świadomość, że odczuwa ją wskutek słabości. Przez całą wiosnę i lato obserwowała swoją parę: Spidera, rozpromienionego szczęściem, i Melanie, która wydawała się tylko dla niego przeznaczać chłodny, niezwykle półuśmiech kryjący obietnicę.

* * *

W każdą pierwszą sobotę lipca, w okolicach Dnia Niepodległości, Jacob Lace, który był właścicielem *Fashion and Interiors* oraz sześciu innych czasopism składających się na jego imperium prasowe, miał zwyczaj wydawać przyjęcie. Gości nie trzeba było zmuszać, by na nie przybyli, jako że w świecie mody zaproszenie do Jacoba Lace'a równało się nadaniu szlachectwa. Harriet Toppingham pojawiała się na tych imprezach zawsze, choć na co dzień starannie unikała kontaktów towarzyskich ze współpracownikami. W tym roku zaproszenie otrzymał również Spider, jako stały fotograf pisma. Spider zaś przyprowadził ze sobą oczywiście Melanie.

Lace mieszkał w okręgu Fairfield, pośród piętnastu hektarów łąk i zagajników, nie opodal klubu myśliwskiego Fairfield. Domostwo zbudowano w latach trzydziestych XVIII wieku, a z biegiem lat pieczołowicie rozbudowywano je i remontowano. W wieczór przyjęcia na konarach starych drzew rozbrzły tysiące jasnych białych lampek, nadając każdej kępie krzewów wygląd dekoracji do Snu nocy letniej. Goście przybywali na wieczory u Lace'a nawet z Dallas, Houston, Chicago, Bel Air i Hawajów. Właścicielki rezydencji na Fire Island, w Hamptons i na Marthas Vineyard klęły wydawcę w żywy kamień, wiedząc, że muszą przesunąć swoje własne świąteczne przyjęcia w taki sposób, by nie kolidowały z kalendarzem najważniejszych gości - tych, których na pewno zaprosił Lace i którzy samym nazwiskiem zwabiali pozostałych zaproszonych. Na spotkaniach u Lace'a obywano się bez fotografów, pstrykających zdjęcia do kroniki towarzyskiej, a zawodowi plotkarze z gazet nie sporządzali notatek. Przyjęcia miały charakter ściśle prywatnych spotkań obecnej i przyszłej elity ze świata mody, teatru, baletu, reklamy, handlu, prasy i wzornictwa.

Przemyślna żona Jacoba Lace'a dawno już znalazła odpowiedź na pytanie, czym nakarmić setki gości. Zdała się mianowicie na to, co nazywała „tradycyjną amerykańską kuchnią”, w postaci hot - dogów, hamburgerów, pizzy i lodów Baskin - Robbins we wszystkich trzydziestu jeden smakach. W roku obchodów dwóchsetlecia niepodległości USA menu tego typu wydawało się jak najbardziej na miejscu. Trzymając się amerykańskiej tradycji, pani Lace ustawiła także cztery obficie zaopatrzone bary pod namiotami w czerwone, białe i niebieskie pasy, rozbitymi na murawie nad brzegiem basenu kąpielowego.

Harriet Toppingham przepadała za alkoholem. W pracy stroniła od kieliszka, ale co wieczór, gdy tylko dobiła do bezpiecznego portu w postaci swojego mieszkania, z miejsca nalewała sobie podwójnego bourbona z lodem, a później następnego, i następnego, zanim jeszcze zasiadła do późnego obiadu, podawanego przez milkliwą gosposię. Nie cierpiała wina, nie piła też nigdy przy lunchu ani późnym wieczorem w obawie, że ucierpią na tym jej obowiązki w pracy, lecz obowiązkowe kilka kolejek wychylała przed posiłkiem już od dobrych dwudziestu lat. Bała się jednak pić w obecności ludzi spoza najbliższego otoczenia, wiedząc, że po alkoholu zachodzi w niej pewna przemiana. Nie miało to znaczenia, jeśli była sama albo w towarzystwie takich samych kobiet jak ona - ba, żadna z nich nie zwracała na to najmniejszej uwagi - ale przy ludziach wołała nie ryzykować.

Na przyjęcie do Lace'ów Harriet przybyła sama, w limuzynie z kierowcą. Jak większość mieszkańców Nowego Jorku, obywatela się bez własnego samochodu. W innych okolicznościach zabrałaby ze sobą któregoś z kolegów z pracy, chętnie towarzyszących jej przy takich okazjach, lecz w tym roku nie napotkała nikogo, kto by zasługiwał na podobny zaszczyt. Harriet, która znała osobiście prawie wszystkich uczestników przyjęcia, przywitano jak gwiazdę - jedynie kilkoro gości witało się z nią jak równi z równą. Harriet przechodziła od grupy do grupy z agresywnością matadora, spowita na tę okazję w antyczną, zapierającą dech suknię Schiaparellego z czarno - różowej satyny, suto obszytą złotą lamówką. Taka suknia mogła zdobić jedynie muzealną galerię lub figurę Harriet Toppingham. Redaktorka spacerowała między gośćmi ze szklanką toniku w dłoni, by nagle kątem oka ujrzeć Spidera i Melanie, którzy stali z

boku, trzymając się za ręce i rozglądali się, zafascynowani przyjęciem. Znali tutaj tylko bardzo nieliczne osoby, tym bardziej że na przyjęciach tego typu nie było zwyczaju przedstawiania nowych gości - każdy radził sobie jak umiał. Spider ze swą złotą opalenizną i grzywą złotych włosów wyglądał jak triumfujący dziesięcioboista. Zarówno on, jak i Melanie wybrali na tę okazję biel, toteż nic dziwnego, że kiedy szli przez trawnik wciąż oglądano się za nimi.

Na widok Harriet obydwójce podbiegli, by się z nią przywitać. Melanie nie ukrywała radości ze spotkania znajomej twarzy w tym olśniewającym, lecz obcym tłumie. Cała trójka gwarzyła przez kilka minut, lecz poza miejscem pracy ich konwersacja dziwnie się nie kleiła. Spider, który nie mógł znaleźć sobie miejsca, namówił wreszcie Melanie do obejrzenia stajni, konie były bowiem wielką pasją Jacoba Lace'a. Odprowadzając ich wzrokiem Harriet poprosiła najbliższego kelnera o podwójnego bourbona z lodem. Godzinę później, kiedy prądy i wiry potężnego przyjęcia znów połączyły ze sobą całą trójkę obok pawilonu przy basenie, Harriet zdążyła już wychylić dwa następne podwójne bourbony i przegryźć je lodami owocowymi.

- Czy mógłbyś zostawić nas na chwilę same, Spider? Był to rozkaz, nie propozycja.

- Chciałabym przedstawić Melanie paru osobom, które moim zdaniem powinna poznać. Jeżeli będzie rozmawiała tylko z tobą, i jeżeli dalej będziesz się tak nad nią nachylał, straci okazję. Idź lepiej porozmawiać z którąś z twoich byłych, Spider. Wielki Boże, jest ich tu tyle, że uskładałby się z nich spory burdel.

Melanie również rzuciła Spiderowi błagalne spojrzenie.

- Nogi mnie już bolą, Spider, a poza tym... chyba wypięłam za dużo szampana. Idź, ja tu zostanę z Harriet. Idź i baw się, mówię ci. Zaraz mi będzie lepiej.

Spider odwrócił się na pięcie i poszedł.

- Myślisz, że się wściekł? - zapytała Harriet. Obie panie weszły do pawilonu przy basenie i przysiadły na wyściełanej żaglowym płótnem, wiklinowej kanapce. Melanie zrzuciła szpilki i odetchnęła z ulgą.

- Prawdę mówiąc, Harriet, niewiele mnie to obchodzi. Spider nie jest moim właścicielem, chociaż wiem, że chętnie by nim został. Jest naprawdę kochany i mam dla niego wielką sympatię, ale naprawdę są pewne - pewne granice!

- A ja myślałam, że jesteście w sobie zakochani po uszy - zdumiała się Harriet, która nigdy dotąd nie zadawała Melanie pytań na tematy osobiste. Spodziewała się, że dziewczyna odpowie w typowy dla siebie, obojętny sposób. Pytanie wytrąciło jednak Melanie z dotychczasowej bierności.

- Kto ci nagadał takich bzdur! Nigdy nie zakochałam się w nikim po uszy i nie znoszę tego określenia, a poza tym nigdy się nie zakocham, bo nie chcę, rozumiesz? Gdybym miała dać jakiś kawałek siebie wszystkim, którzy się o to dopraszają, nic by ze mnie już nie pozostało. Nie mogę odpowiadać: „Tak, ja też cię kocham” każdemu, kto mi się oświadcza!

- No, dobrze, ale przecież mieszkacie razem. Nawet w naszych czasach oznacza to coś więcej niż sympatię, prawda?

- zapytała Harriet, choć wiedziała, że powinna powściągnąć wścibstwo. Nie potrafiła się jednak pohamować.

- Wcale nie mieszkamy! Jeszcze nigdy nie zostałam u Spidera do

rana i nigdy, nigdy nie dałam mu się dotknąć w moim mieszkaniu. Może jestem przeczulona na tym punkcie, Harriet, ale muszę mieć osobne miejsce tylko dla siebie. Boże, to straszne, to okropne, że tak sobie pomyślałaś! Mieszkać razem, przecież to obrzydliwe. Nie wiem, być może wszyscy tak robią w Nowym Jorku, ale na pewno nie ja. Wstyd mi, wstydę się, że mogłaś tak pomyśleć.

Na pewno wszyscy teraz mówią o mnie, że żyję ze Spiderem!

W oczach Melanie zabłyśły łzy upokorzenia. Podczas swojej perory wyprostowała się i nachyliła nad starszą kobietą. Harriet podświadomie zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, z ogromnej groźby, ale nie potrafiła się dłużej powstrzymać. Objęła mocno dziewczynę i przyciągnęła ją do siebie, muskając wargami włosy Melanie tak lekko, że jej podopieczna nawet nie poczuła tej pieczyoty.

- Nie, nigdy tak nie myślałam. Naprawdę, wcale tak nie myślałam, Melanie. Ani ja, ani w ogóle nikt. Wszystko jest w porządku, kochanie, naprawdę...

Siedziały tak przez dłuższą chwilę - Melanie wdzięczna za słowa pociechy i zupełnie nie zaniepokojona sytuacją, Harriet w mękach, gdyż wiedziała, że jeśli natychmiast nie odepchnie dziewczyny od siebie, za chwilę pocałuje jej rozpaloną skórę. Kiedy podniosła wzrok znad włosów Melanie, dostrzegła jak Spider pospiesznie cofa się od progu, a na jego twarzy świta nagły przeblysłk zrozumienia.

* * *

Nazajutrz wypadła sobota, a poniedziałek miał być dniem wolnym od pracy. Harriet Toppingham sama otworzyła drzwi opustoszałej redakcji Fashion, schowała klucz i prędko przemierzyła pusty korytarz, znikając w

swoim gabinecie. Kiedy się tam znalazła, pochwyciła wrześnieowy numer czasopisma - jeden z trzech próbnych egzemplarzy, które wróciły właśnie do redakcji do ostatecznej korekty - i wygrzebała w kartotece wszystkie zdjęcia Melanie, które się miały znaleźć w kolejnych prezentacjach. Potem wdarła się do gabinetu redaktora prowadzącego i odszukała makiety stron ze zdjęciami Melanie do numeru październikowego i listopadowego, dodając je do kolekcji. Następnie pospieszyła z powrotem do domu i kazała się połączyć z Wellsem Cope z Beverly Hills.

Wells Cope cieszył się sławą największego szczęściarza spośród wszystkich producentów filmowych. Jeszcze pół roku wcześniej kierował kręceniem filmów w jednej z największych wytwórni w Hollywood. Podczas trzyletniej kadencji Cope nakręcił dla studia pięć filmowych szlagierów, a także przeciętną liczbę filmów takich sobie i zdecydowanie słabszych. Mimo tych porażek dochody z filmowych przebojów - w każdym wypadku Cope osobiście doglądał każdego szczegółu produkcji - przyniosły wytwórni prawdziwe kokosy i pchnęły ceny akcji firmy wysoko ponad resztę stawki. Cope widząc to zdecydował, że jeżeli chce kiedykolwiek zacząć pracować dla siebie, ma oto po temu najlepszą okazję. Nie było w końcu tajemnicą, że szefowie produkcji w wytwórniach filmowych mają mniej więcej takie same szansę dożycia emerytury jak fachowcy od mokrej roboty z sycylijskiej mafii.

W asyście zahartowanej w bojach, elitarniej ekipy prawników i księgowych Cope wypracował z wytwórnią kontrakt, który czynił z niego niezależnego producenta, a jednocześnie dawał mu prawo korzystania z pomocy finansowej macierzystej firmy. Dzięki temu Cope miał za co kręcić filmy, a zarazem zostawiał sobie znacznie większą część zysku niż

w przeszłości, kiedy musiał się zadowalać jedynie gażą i procentem od wpływów. Zazdrośni powiadali w Hollywood, że tak korzystnych warunków nie daje się nawet własnym kochankom. Niewykluczone więc, że w mieście, gdzie zawiść pije się na śniadanie, a w nocy śni zawistne sny, największa zawiść otaczała właśnie Cope'a.

Światy mody i filmu żyją w stanie symbiozy. Modelki grają w filmach, aktorki imają się pozowania, filmy wprowadzają nową modę, żurnale poświęcają mnóstwo uwagi kinematografii. Ludzie, którzy władają każdym z tych dwóch światów, współpracują więc ze sobą, choć rzadko się tym chwala.

- Cześć, Wells, mówi Harriet. Co porabiasz w takie fantastyczne święto?

- Prawdę powiedziawszy, moja droga, to się ukrywam. Wszyscy myślą, że wyjechałem. Chyba bym nie wytrzymał kolejnego zaproszenia do Malibu na plażowe przyjęcie z fajerwerkami. Za dużo byłych żon spotyka człowiek przy takich okazjach. Nie, na razie leżę sobie jeszcze w łóżku i mam przed sobą dwadzieścia pięć scenariuszy, do których jakoś mi się nie pali. Aha, mam jeszcze za towarzystwo grzanek z jajkiem, ale nie dosmażoną. Kto to widział, żeby Ameryka fundowała sobie trzydniowe wakacje? Pieprzę wakacje.

- Zupełnie się z tobą zgadzam. Po prostu nieprzyzwoitość. Posłuchaj, jest taka osoba, którą bym ci chciała pokazać. Chodzi o twoją branżę. Pomyślałam sobie, że siądę po południu w samolot i wrócę do miasta w poniedziałek. Znajdziesz dla mnie chwilę czasu?

- Ee tam, chwilę! Znajdę dla ciebie całą wieczność! Jakie szczęście, że jest jeszcze oprócz mnie na świecie ktoś, kto ma ochotę pilnować

sklepiku. Przyjeżdżaj, Harriet, urządzimy sobie orgietkę. Już dzwonię do Boba, tego od winiarni, niech tu przyśle parę misek świeżego astrachańskiego kawioru. Każę kucharzowi, żeby zrobił dla ciebie pompano w papierowej torbie. Pamiętam, że za tym przepadasz. Harriet, z nieba mi spadasz!

Wells Cope przywitał Harriet ubrany w sweter od Dorso, jasnobezowe spodnie z ukośnie tkanej wełny i wieczorowe pantofle z czarnego aksamitu, lamowane złotem. W salonie usiedli we dwójkę na miękkiej kanapce z szarego welwetu. Cały stół z przezroczystego tworzywa zakryły wkrótce fotografie Melanie, które wysypały się już na dywan, oryginalny Edward Fields za dwanaście tysięcy dolarów. Dzięki klimatyzacji w pomieszczeniu utrzymywała się temperatura dwudziestu stopni, a miły chłodek rozpraszał tylko ogień kłód płonących w kominku. Kamerdyner zostawił przy nich karafkę francuskiego koniaku i udał się na spoczynek. Na dworze był początek lipca, ale we wnętrzu domu trwał niezmienny klimat, klimat luksusu. Cope przyjrzał się bacznie Harriet spoza błękitnych szkieł.

- Jest niewiarygodna. Kurwa, po prostu niewiarygodna. Z każdego centymetra jej skóry bije blask. Nie miałem pojęcia, że w ogóle jeszcze rodzą się takie dziewczyny. Przypomina mi gwiazdy filmowe z czasów, kiedy sam byłem szczeniakiem. Jednego tylko nie rozumiem, Harriet. Twój numer pisma ukaze się dopiero za jakieś sześć tygodni, tak? Do tego czasu nie musisz się martwić, że ci ukradniemy tę dziewczynę, więc dlaczego pokazujesz mi jej zdjęcia już teraz? Gdybyś chciała, mogłabyś ją przy sobie uwiązać na następne pół roku, jeśli oczywiście dogadasz się z Eileen Ford.

- Powiem ci, dlaczego. Dlatego, że świetnie sobie zdaję sprawę, że za chwilę wszyscy rzucą się na tę dziewczynę i ktoś ją w końcu dopadnie. Pogodziłam się już z myślą, że nasze pismo musi ją utracić, ale wolałabym sama ustalić, kto nam ją odbierze. Melanie bardzo mnie słucha, a ja z kolei uważam, że byłbyś dla niej najlepszym rozwiązaniem. Ujmijmy rzecz inaczej, Wells: wolę wyświadczyć komuś przysługę, niż wyjść na taką, która przegrała.

- A ja będę miał u ciebie dług?

- A ty będziesz miał u mnie dług - przytaknęła Harriet. - Pewnie nigdy się nie zgłoszę po zapłatę, ale miło jest wiedzieć, że ktoś jest nam coś niecoś winien. W dodatku będziesz pamiętał o tym długu, odwrotnie niż większość facetów. Znam cię nie od dzisiaj, Wells.

- Ano, znasz - zgodził się Cope, zachodząc w głowę, co skłoniło starą lesbiję, żeby zabawiać się w impresaria jakiejś gówniary. To zupełnie nie w stylu Harriet. A zresztą, nieistotne. Najważniejsze, że odpaliła mu tę dziewczynę, usiedli we dwójkę na miękkiej kanapie z szarego welwetu. Cały stół z przezroczystego tworzywa zakryły wkrótce fotografie Melanie, które wysypały się już na dywan, oryginalny Edward Fields za dwanaście tysięcy dolarów. Dzięki klimatyzacji w pomieszczeniu utrzymywała się temperatura dwudziestu stopni, a miły chłodek rozpraszał tylko ogień kłód płonących w kominku. Kamerdyner zostawił przy nich karafkę francuskiego koniaku i udał się na spoczynek. Na dworze był początek lipca, ale we wnętrzu domu trwał niezmienny klimat, klimat luksusu. Cope przyjrzał się bacznie Harriet spoza błękitnych szkielec.

- Jest niewiarygodna. Kurwa, po prostu niewiarygodna. Z każdego centymetra jej skóry bije blask. Nie miałem pojęcia, że w ogóle jeszcze

rodzą się takie dziewczyny. Przypomina mi gwiazdy filmowe z czasów, kiedy sam byłem szczeniakiem. Jednego tylko nie rozumiem, Harriet. Twój numer pisma ukaze się dopiero za jakieś sześć tygodni, tak? Do tego czasu nie musisz się martwić, że ci ukradniemy tę dziewczynę, więc dlaczego pokazujesz mi jej zdjęcia już teraz? Gdybyś chciała, mogłabyś ją przy sobie uwiązać na następne pół roku, jeśli oczywiście dogadasz się z Eileen Ford.

- Powiem ci, dlaczego. Dlatego, że świetnie sobie zdaję sprawę, że za chwilę wszyscy rzucą się na tę dziewczynę i ktoś ją w końcu dopadnie. Pogodziłam się już z myślą, że nasze pismo musi ją utracić, ale wolałabym sama ustalić, kto nam ją odbierze. Melanie bardzo mnie słucha, a ja z kolei uważam, że byłbyś dla niej najlepszym rozwiązaniem. Ujmijmy rzecz inaczej, Wells: wolę wyświadczyć komuś przysługę, niż wyjść na taką, która przegrała.

- A ja będę miał u ciebie dług?

- A ty będziesz miał u mnie dług - przytaknęła Harriet. - Pewnie nigdy się nie zgłoszę po zapłatę, ale miło jest wiedzieć, że ktoś jest nam coś niecoś winien. W dodatku będziesz pamiętał o tym długu, odwrotnie niż większość facetów. Znam cię nie od dzisiaj, Wells.

- Ano, znasz - zgodził się Cope, zachodząc w głowę, co skłoniło starą lesbiję, żeby zabawiać się w impresaria jakiejś gówniary. To zupełnie nie w stylu Harriet. A zresztą, nieistotne. Najważniejsze, że odpaliła mu tę dziewczynę.

- Może głupio zapytam, ale czy ona w ogóle umie grać?

- Czy umie? Ja już to wiem, a ty sam się dowiedz - ucięła Harriet, która, kiedy już raz dopięła swego, lubiła to zaakcentować racami humoru

ze staropanieńskiego repertuaru.

- Dowiem się, i to już w przyszłym tygodniu. Czy byłabyś taka dobra, żeby zadzwonić do niej w moim imieniu, umówić nas i najszybciej jak się tylko da wsadzić ją w samolot?

- Niestety, Wells, sam musisz się tym wszystkim zająć. Możesz jej mówić, co tylko zechcesz, pod warunkiem, że nie wymienisz mojego nazwiska. Dam ci jej telefon do domu. Powiedz, że dostałeś go od znajomych znajomych, zresztą sam potrafisz coś wymyślić. Nie życzę sobie, aby ktokolwiek się dowiedział, że pokazywałam ci te zdjęcia. Kiedy przyjdzie pora, odbiorę dług. Takie są moje warunki, Wells. Mówię serio, jak jeszcze nigdy w życiu. Zaszkoziłabym sobie w redakcji, gdyby wyszło na jaw, że woziałam gdzieś te zdjęcia.

- Doskonale cię rozumiem, Harriet. Daję ci moje słowo. - Cope nic oczywiście nie rozumiał, ale wiedział, że z czasem sam się wszystkiego dowie. Wiedział też, że kariery w Hollywood nie buduje się chlapiąc o wszystkim na prawo i na lewo. Jednym z jego największych darów była dyskrecja.

Harriet odleciała do Nowego Jorku dopiero we wtorek. Wells Cope nakłonił ją do tego, żeby jeszcze przez jeden dzień była mu towarzyszką podczas tajnych wakacji. Tylko w jego domostwie mogły człowiekowi po trzech zaledwie dniach obrzydnąć pasztety z gęsich wątróbek, kawior z białugi, canard a lorange, wspaniałe wina i prywatne pokazy nie wypuszczonych jeszcze na rynek filmów. Harriet czuła się uhonorowana i dopieszczona, lecz spieszno jej było wrócić do przerwanej pracy.

W środę rano Harriet zadzwoniła do ośmiu różnych osób, w tym do dwóch kobiet, które uważała za najbardziej liczące się redaktorki żurnalów

w mieście - nie licząc jej samej. Na pozostałą szóstkę składali się dyrektorzy artystyczni największych nowojorskich agencji reklamowych. Z każdą z tych osób Harriet umówiła się w ciągu nadchodzących tygodni na spotkanie. Nie trzeba było czekać do ostatniego z tych spotkań, by uśmiercić Spidera jako fotografa mody.

- Ależ Harriet, słyszeliśmy że Spider to twój nowy królewicz z bajki.

- Nikt nigdy się nie dowie, co z nim przeszłam, Dennis. Talent nie wystarczy jako usprawiedliwienie dla wszystkich ekscesów. Spider nie zna takiego pojęcia jak robota na termin. Spóźnia się po prostu notorycznie. Ilekroć miał robić zdjęcia, czekaliśmy w studio po dwie godziny, aż łaskawie zechce się wreszcie zjawić! W połowie wypadków modelki musiały zrezygnować ze zdjęć, żeby się nie spóźnić na następne sesje. A do tego jeszcze powtórki! Na palcach jednej ręki mogę ci wyliczyć zdjęcia, których nie musieliśmy aranżować po kilka razy. Szczerze mówiąc, chociaż nie znoszę tego skurwysyna, muszę pochylić czoła przed naszym redaktorem prowadzącym. Gdyby nie to, że trzymał wszystko żelazną ręką, w ogóle moglibyśmy powyrzucać te zdjęcia do kosza.

- Dobry Jezu, ale dlaczego godziłaś się na to wszystko?

- Może dlatego, że chłopak ma rzeczywiście talent, jeśli nie zwracać uwagi na całą resztę... Ale teraz mówię: „Koniec”. Każdy numer, w którym dawałam jego zdjęcia, rujnował nam budżet. Lacie chyba mi głowę urwie. Zwykle bywa w takich sprawach wyrozumiały, ale dawno nie widział tak przekroczonego kosztorysu. Spider Elliott chce moim zdaniem prześcignąć Stanleya Kubricka. Gdyby nie mój staż, sama bym pewnie wyleciała za to wszystko na bruk.

- Mówisz, że powtarzaliście zdjęcia?

- Ba, żeby tylko to. Nie chodzi mi już o to, że nasz gwiazdor wiecznie łomotał modelki w przebieralni. Gorzej, że jego ostatnia seria zdjęć jest do niczego. Po prostu do niczego. Cały listopadowy numer musieliśmy zdjąć z makiet i powierzyć innemu fotografowi. W gruncie rzeczy to wszystko moja wina. Co mi do głowy strzeliło, żeby dawać szansę takiemu szczeniakowi? No, ale dosyć już moich koszmarnych historii, Dennis. Przepraszam, że tak ci się wyplakuję w mankiet, ale od lat nie pozwoliłam sobie na równie kosztowny eksperyment. Zapomnijmy o całej tej sprawie. Powiedz mi lepiej, co porabiasz? Jak praca dla tej nowej firmy? Moim zdaniem ostatnia seria reklam była kapitalna. Musisz mieć świetnego fotografa, co?

* * *

- Naprawdę nie wiem, czym się tak denerwujesz, Spider - zauważyła Melanie swoim lodowato aksamitnym głosem, w którym nie było złości, lecz tylko zwyczajna ciekawość.

- Wprawdzie dalej nie wiem, jakim cudem Wells Cope dowiedział się, że istnieję, ale sprawdziłam wszystko w jego biurze na zachodnim wybrzeżu. Naprawdę mnie zapraszają. Facet chce, żebym przyjechała na próbne zdjęcia. Na dwa tygodnie, nie dłużej. Dwa tygodnie to na pewno nie wieczność, a poza tym bardzo się cieszę z tej propozycji. Za to ty zachowujesz się tak, jak gdyby Wells był handlarzem żywym towarem, a niejednym z najślawniejszych producentów w Hollywood, o czym doskonale wiesz.

Melanie leżała wyciągnięta na płóciennym leżaku Spidera, zaprojektowanym bardziej z myślą o drzemkach niż o siedzeniu, lecz nadal zdołała zachować sztywną, poważną pozę.

- Ech, Spider, wiesz, że jest jedna szansa na milion, żeby coś z tego wyszło, ale przynajmniej studio pokryje za mnie wszystkie koszty, a przy okazji obejrzę sobie Kalifornię. Dlaczego tak na wszystko kręcisz nosem?

- A co będzie, jeżeli mi nie wrócisz z tej Kalifornii? Sam słyszałem historie o ludziach, którzy wyskoczyli tylko raz do Hollywood, właśnie na dwa tygodnie, i nigdy ich już więcej nie widziano na obiedzie w Dino's!

- Ty głuptasie - roześmiała się Melanie, która doskonale widziała, ile strachu i pożądania kryje się za żarcikami Spidera. Ten fakt najbardziej ze wszystkiego umacniał ją w przekonaniu, że najwyższa pora odjechać. Na dodatek Spider zaczął wysnuwać najdziwsze, bezsensowne teorie na temat Harriet, która przecież próbowała ją tylko pocieszyć w trakcie przyjęcia. Ach, te jego maniackie, zboczzone aluzje! Melanie była wręcz zadowolona, że zamiast słuchać, z miejsca kazała mu zamilczeć. Teraz znów Spider próbował odwieść ją od wyjazdu na próbne zdjęcia. Na samym początku, kiedy Spider fotografował ją do wrześniowego numeru czasopisma, uznała go za najwspanialszego i najbardziej nieobliczalnego faceta ze wszystkich. Ktoś tak pewny swojego talentu na pewno mógł jej pomóc stać się kimś innym, kimś nowym... Cóż, kiedy ostatnio Spider zrobił się taki sam jak wszyscy jego poprzednicy: wciąż czegoś od niej chciał, chciał więcej, niż Melanie miała zamiar dać jemu czy komukolwiek. Pozwoliła mu zaciągnąć się do łóżka i zapłaciła za to, bo odtąd Spider zaczął sobie wyobrażać, że ma do niej jakieś prawa. Jakie znów prawa?!

Spider porwał nagle Melanie z leżaka i delikatnie przeniósł ją na łóżko.

- Kochanie, kochanie moje, pozwól mi zostać twoim niewolnikiem. Zrobię tylko to, co chcesz, moja śliczna, tylko to, co zechcesz.

Zdziwiona Melanie spostrzegła, że Spider cały drży, bezwstydnie okazując jej swe uczucia. Zrozumiała, że w tym stanie rzeczy będzie jej niezmiernie trudno mu się wymknąć. Spider wiedział, że Melanie ma już bilet na pierwszy jutrzejszy samolot. Najprościej było więc zezwolić mu na wszystko, co chciał.

Leżała więc nieruchomo, posłusznie poddając się wszystkim jego gestom, kiedy ją rozbierał i kiedy pospiesznie zrzucił z siebie ubranie, a jego smukłe, atletyczne ciało przesłoniło cieniem słabe światło wnętrza. Postanowiła sobie, że nie kiwnie nawet palcem, że będzie leżeć i czekać, aż Spider skończy swoje zabawy.

Spider tymczasem nachylił się nad nią delikatnie, cały ciężar ciała opierając na kolanach i łokciach i spojrzał na spokojną twarz dziewczyny i na jej szeroko rozwarte oczy. Jego gruby członek nabrzmiał już tak mocno, że stał w poziomie, opierając się o brzuch, kiedy Spider przykłękał nad Melanie. Odwróciła wzrok, by nie patrzeć. Powoli, dotykając jej wyłącznie wargami, Spider pocałował cudowne usta dziewczyny, obrysowując ich kontur czubkiem języka tak starannie, jak gdyby sam je właśnie projektował. Kiedy nie otworzyła ust i nie pozwoliła się całować głębiej, uznał, że prosi go niemo, by zajął się jej sutkami. Przysiadł więc na piętach, nachylił się i objął dłońmi małe piersi Melanie, kolejno składając im hołd i dotykając językiem każdy z sutków dopóki nie stwardniały. Ssał je starannie przez długie, długie minuty, a ciszę przerywał tylko szelest języka. Raz tylko zapytał szeptem: - Dobrze ci? Dobrze? - a Melanie westchnęła w odpowiedzi. Po długiej chwili Spider obiema dłońmi zwarł razem piersi Melanie w taki sposób, że oba sutki dzieliło od siebie tylko kilka centymetrów i nie zwalniając uchwytu

przemknął po nich językiem, na przemian dotykając ich, ssąc, delikatnie podgryzając i szeroko otwierając usta, dzięki czemu biorąc wdech wciągał ciało daleko, jak tylko mógł do środka, pieszcząc Melanie nie tylko językiem, lecz także policzkami i gardłem. Piersi dziewczyny były już całe mokre i zaróżowione. Nagle wydały się Spiderowi większe, obfitsze niż przedtem. Ani przez chwilę nie poczuł jednak na ciele dotyku palców Melanie, której ramiona wciąż spoczywały bezwładnie wzdłuż boków. Pomyślał z czułością, że jego mała bawi się w dziewicę. Na pewno jest już gotowa. Spider zmienił pozycję, próbując wejść w dziewczynę.

- O nie! - syknęła. - Obiecałeś mi, że będziesz niewolnikiem. Nie masz prawa go we mnie włożyć. Zabraniam ci kategorycznie. Nie wolno!

- Wiesz, co w takim wypadku musiałby uczynić niewolnik, prawda? - wyrzekł gardłowym głosem Spider, rozplómienny zakazem. - Zrobiłby to, czego nigdy nie pozwalałaś mi robić. Po to przecież trzyma się niewolnika.

- Nie wiem, o czym mówisz - odpowiedziała Melanie głosem bez wyrazu, udzielając milczącego zezwolenia.

Spider wsunął dłonie pod jej pośladki. Melanie pospiesznie splotła sobie ręce na futerku, lecz nie protestowała. Język Spidera długo macał wejście. Wreszcie napotkał między splecionymi palcami szczelinę i wcisnął w nią gorący, niecierpliwy język, głaszcząc nim jedwabiste włosy i ciepłą skórę. Melanie wciąż milczała. Spider z miną zwycięzcy rozchylił jej kolana, mocno złapał ją za nadgarstki i przycisnął jej ręce do boków, a potem ześlizgnął się w kierunku nóg wielkiego łóżka i legł płasko, z głową tuż przy jej kroczu, z całych sił dociskając pulsujący członek do prześcieradła. Jedwabisty puch tylko częściowo okrywał dziewczęce,

rozkosznie różowe labia. Długimi pociągnięciami języka Spider zmierzwił runo Melanie, zlepiając je śliną. Potem, samym czubeczką języka zaczął przesuwając tam i na powrót wzdłuż linii dzielącej zewnętrzne płatki ciała od bardziej różowych warg wewnętrznych, stulonych w swojej kryjówce. Wreszcie jednak język odnalazł bruzdę między środkowymi płatkami i wcisnął się głęboko w prześwit między nimi, wyprężając się i wijąc w wysiłku, by sięgnąć do samego środka.

- Nie! Nie! Przestań! Pamiętaj, co mi obiecałeś. Masz tam nie wchodzić - wykrztusiła Melanie, zupełnie poważnie usiłując wyrwać się z uścisku Spidera. Słyszając to, Spider nie wypuścił jej wprawdzie, lecz posłusznie wciągnął język i wargami zaczął szukać guzka jej łechtaczki. Okazała się maleńka, zagubiona głęboko pośród fałd ciała, lecz urosła, kiedy już ją znalazł i uparcie zaczął ssać, przerywając tylko po to, by przejechać po niej językiem. Ssać zaś, sam o tym nie wiedząc, rytmicznie tarł potężnie wzwiedzionym penisem o prześcieradło. Milcząca dotąd dziewczyna z całych sił wtuliła nagie krocze w jego twarz i niepomna już na nic, wychrypiała: - Nie wkładaj we mnie kutasa. Rób co chcesz, ale nie wkładaj. Przysiękłeś mi, niewolniku. - Spider coraz szybciej całował i lizał guziczek Melanie, słysząc jej jęki i zduszone okrzyki. Jeszcze chwila, a dziewczyna zacznie wrzeszczeć. Spider bez reszty zatracił się w tym, co robi. Przysięgłby, że w szeroko przed nim otwartej pochwie mieści się cały świat, świat, do którego wzbroniono mu przystępu, lecz któremu miał dostarczyć rozrywki. W pewnej chwili jednak Melanie zeszywniała, napinając wszystkie mięśnie. Kiedy wstrząsnął nią pierwszy rozkoszny skurcz, zakrzyczała. Czując tę ekstazę, Spider, podniecony do nieprzytomności tarcieniem o prześcieradło, poczuł, że strzela spermą na całe

łóżko, niezdolny powstrzymać się ani sekundy dłużej.

Oderwali się od siebie i legli wyczerpani, wciąż czując odchodzący spazm. Po minucie Spider, który wciąż leżał z twarzą wtuloną w pościel, usłyszał jak Melanie wstaje.

- Nie ruszaj się. Idę tylko do łazienki - uspokoiła go Melanie i wyślizgnęła się z pokoju. Spider był zbyt wyczerpany wysiłkiem i szczęściem, by podnieść głowę. Pomyślał, że dziewczynie nareszcie się udało poczuć rozkosz. Nareszcie. A więc to tego chciała od samego początku... Jaka wstydliva, jaka głupiutka... Bała się poprosić o to, co cieszyło ją najbardziej. Następnym razem będę wiedział, co jej dać, i dam jej to, och, jak dam - przyrzekł w myślach Spider i zadowolony, niepostrzeżenie zapadł w drzemkę.

Kiedy się obudził, Melanie już nie było.

- Valentine, Val, powiedz mi prawdę. Czy myślisz, że zwariowałem z tymi podejrzeniami?

Valentine uważnie się przyjrzała Spiderowi. Kulił się w największym ze swoich foteli, jak gdyby mu było zimno, choć na jego czole perlił się pot, jak przy wielkim zdenerwowaniu. Cerę miał ziemistą, oczy podbite, usta opuchnięte. Valentine sama nie wiedziała, skąd wzięło się w niej poczucie, że za chwilę serce jej pęknie na widok takiego nieszczęścia. Spider był jej najlepszym przyjacielem, ale nikim więcej. Przyjaźń to oczywiście sprawa istotna, może nawet bardziej istotna niż miłość, przez to że trwalsza - w odróżnieniu od miłości, co do której... Wystarczyło spojrzeć na Spidera. Valentine żałowała, że nie przestrzegła go przed Melanie, ale w tamtych dniach nie chciała się do niczego wtrącać.

- Jesteś jeszcze głupszy niż myślałam przy naszym pierwszym

spotkaniu, Elliott - rzekła łagodnie.

- Że jak?

- Oczywiście, że nie zwariowałeś. Sam popatrz: pewnego wieczora spostrzegasz, jak Harriet Toppingham zaczyna się dobierać do twojej dziewczynki. Tydzień później twoja dziewczyna jest już w Kalifornii, a nowy agent informuje cię przez telefon, że klienci odwołali wszystkie zdjęcia na najbliższy okres nie tylko dla redakcji *Fashion*, ale i dla trzech innych agencji reklamowych. Potem znowu dzwoni, tym razem z wiadomością, że nie potrafi zdobyć nowych zamówień nie tylko na najbliższy tydzień, ale w ogóle jakichkolwiek, bo na dźwięk twojego nazwiska klienci z miejsca go wyrzucają. Musiałbyś zwariować, żeby nie połączyć ze sobą tych faktów.

- Ale dlaczego? Kurwa, dlaczego? Dlaczego ktoś miałby mi zrobić takie świństwo? Co ta Harriet sobie wyobrażała? Że naopowiadam wszystkim, co widziałem, że rozdmucham sprawę? Że zacznę ją szantażować albo wyzwę ją na pojedynek na pistolety? Jaki miała powód, żeby mnie niszczyć, co?!

- Czasami wydajesz mi się naiwny, Elliott. Tyle mi opowiadałeś o tym, jaka jest Harriet Toppingham i jak się zachowuje. Sama wychowywałam się całe życie wśród kobiet i powiem ci zwyczajnie, że to zła baba. Dalej tego nie rozumiesz? Spróbuj wejść w jej skórę i zastanowić się, co czuła, kiedy się okazało, że nie kłaniasz się jej w pas i nie włazisz do dupy jak wszyscy pozostali. - Tu Valentine, by przydać wagi kwestii, potrząsnęła rozczochną, kędzierzawą głową. - Spotkałam całą masę kobiet, które najbardziej ze wszystkiego chcą władzy, wiem więc, do jakich podłości są zdolne, kiedy czują się zagrożone. Myślałeś, że skoro

Toppingham jest babą, na pewno cię z miejsca polubi? Wiem, Elliott, że kobiety uważają cię za luksusowy towar - ale nie wszystkie.

- Więc myślisz, że tylko o to poszło? Że odezwała się w niej lesbijka?

- Ależ skąd. Spotkałoby cię to z jej strony prędzej czy później, nawet gdyby nie istniała żadna Melanie. Nie potrafiłeś dać Toppingham tego, czego się spodziewa od każdego mężczyzny, od każdego, z kim wchodzi w interesy.

- Nie wiem, do czego zmierzasz, Val. Zawsze ją szanowałem, ba, wszyscy ją szanują, dla niej starałem się zawsze jak mogłem najlepiej, o czym doskonale wiedziała...

- Ale czy się jej bałeś?

- Jasne, że nie.

- Alors... - Valentine zawiesiła po tym słowie głos, ucinając kwestię, zwyczajem Francuzów stwierdzających niepodważalny fakt, który nie wymaga dalszych sporów.

- Jest jeszcze coś. Głos Melanie bardzo dziwnie brzmi przez telefon – wymamrotał Spider po długim milczeniu. Wstydził się swojego cierpienia i był wyraźnie cichszy. - Za nic nie chce mi powiedzieć, jak tam jej sprawy. Mówi tylko, że ma mnóstwo roboty, ale brzmi to tak, jak gdyby mówiła nie z Kalifornii, ale z Księżyca. Ciekaw jestem, czy ta stara zdzira nie naopowiadała jej jakichś kłamstw... - Spider przerwał, widząc na twarzy tak spokojnej i logicznej zwykle Valentine wyraz bólu i współczucia. - Nie myślisz chyba, że to zrobiła, co? Nie, wiesz, że chodzi o coś innego, ale o co? Powiedz mi, jeśli wiesz!

Spider krzyczał, gdyż nie mógł wymazać z pamięci ostatniego

wieczoru z Melanie. Był przekonany, że nareszcie odkrył tajemnicę i zdoła dzięki temu całkowicie sobie podporządkować dziewczynę. Kiedy jednak rozmawiał z nią przez telefon, była wobec niego jak zwykle chłodna i zdawkowa.

- To naprawdę nie moja sprawa, Elliott, co dzieje się między tobą a Melanie. Może po prostu przerasta ją ta nowa sytuacja. Zamiast gadać, lepiej otwórz któreś wino, odgrzejemy sobie jedzenie...

- Valentine, do diabła! Przypomina mi się, jak tak mówisz, historyjka o matce, której syn wpełza do domu, krwawiąc z pięciu ran postrzałowych, a ta mówi mu: - Najpierw zjedz, potem będziemy rozmawiać. Przestań próbować mnie karmić i powiedz mi bez ogródek, co sądzisz o Melanie. Zawsze umiem poznać, kiedy kłamiesz, więc nie próbuj mi wycinać żadnych numerów. Poza tym nie mów, że to nie twoja sprawa. Poza tobą nie mam żadnych przyjaciół.

- Od czego ma się przyjaciół, co? - skwitowała to wyznanie Valentine, licząc, że zyska na czasie i próbując ubrać w słowa to, co chciała powiedzieć.

- Powiedz mi - poprosił znowu. - Powiedz mi, co się dzieje, zdradź mi swoje domysły, nie wiem, nie będę ci miał niczego za złe... Ja muszę z kimś porozmawiać!

- Moim zdaniem, Elliott, jesteś tu zupełnie bez winy. Myślę po prostu, że Melanie szuka czegoś, czego ty nie jesteś jej w stanie dać. Byłam o tym przekonana, od kiedy ją pierwszy raz spotkałam. Melanie nie jest szczęśliwa. Nawet ty nie potrafiłeś jej uszczęśliwić. Nie, nie przerywaj. Jeżeli ktoś potrafiłby jej przynieść szczęście, to na pewno ty, ale jej wcale nie chodzi o to, żeby zdobyć mężczyznę. Ani kobietę. Ani w

ogóle nikogo. Jej chodzi o coś innego.

- Po prostu i zwyczajnie jej nie lubisz - zauważył Spider, czując nagłą niechęć do Valentine.

- Nie wiem, czy nie lubię. Prędzej już jest tak, jak pisze Colette: „Olśniewająca piękność nie budzi współczucia”.

- Colette?

- Może chodzi o zwykłe, typowe, amerykańskie marzenie o tym, żeby zostać gwiazdą filmową - ciągnęła Valentine nie zwracając uwagi na sarkazm Spidera. - Dlaczego zabrała się tak prędko? Naprawdę musiała odwołać sesje zdjęciowe na i - ?* cały dzień naprzód? Skąd wiesz, czy Melanie nie ma dokładnie tej samej ambicji, co dziesięć milionów innych amerykańskich dziewczyn? Urody ma dosyć...

- Dosyć! - przerwał ostrym tonem Spider.

- Przecież mówię, że dosyć, ba, aż za dużo. Sam przyznaj, jakie to dziwne, że głupi przypadek, przesunięcie zaledwie o milimetr wyróżnia jedną twarz spośród tylu innych. Zastanów się, Elliott. Melanie ma parę oczu, nos i usta, tak samo jak wszyscy. Chodzi tylko o nieznaczące przesunięcia, o to, jak są rozmieszczone. Jeden czarodziejski ruch, i jaka różnica. Mnie samej, Elliott, ciężko to zrozumieć. Dlaczego, u licha, właśnie tych parę milimetrów, parę szczegółów ma być takie ważne dla facetów, a już zwłaszcza dla ciebie, Elliott? Wygodnie być taką Melanie i już nie musieć być czarującą. Powiedz, czy Melanie chociaż raz cię rozśmieszyła? Czy kochała cię tak mocno, jak ty ją? Czy opiekowała się tobą, grzała własnym ciałem i chroniła od złego? - Valentine odwróciła wzrok, nie mogąc znieść wyrazu jego twarzy, wystarczającego za najdłuższą odpowiedź, lecz nie zamilkła. Chciała wreszcie powiedzieć

wszystko, co ciążyło jej od tak dawna. - Widziałam, jak fascynowała cię jej tajemnica. Co do mnie, myślę, że tajemnice wydają się najgłębsze tam, gdzie najwięcej jest wiesz czego? Pustki. Ktoś, kto jest pełen życia, nie wydaje się nam zagadką, przeciwnie. Gdyby Garbo sama miała coś ciekawego do powiedzenia, skończyłaby jako normalna kobieta.

- Do diabła z tą twoją francuską przemądrzałą pierdoloną obiektywnością! Jak możesz studiować pod szkiełkiem ludzkie uczucia? Od razu wiem, że nigdy nie zdarzyło ci się kochać!

- Może nie... A może tak. Sama do tej pory nie wiem. A teraz, do diabła, jak powiedziałaś, zjedzmy coś! Sam, jeśli sobie chcesz, możesz się zamorzyć głodem z miłości, ale ja nie mam takiego zamiaru. - Valentine naląła sobie i Spiderowi wina, jak samica jastrzębia śledząc gościa czujnym okiem, dopóki nie wypił. W jej sercu dojrzewało powoli pragnienie, a właściwie modlitwa, wielce wielkoduszne życzenie. Oby temu małemu ladaco, do którego Spider tak wzdychał, udało się zostać największą gwiazdą filmową na świecie...

* * *

Melanie zatrzymała się w domku gościnnym na terenie posiadłości Wellsa Cope. Przez dziesięć dni bez przerwy pracowała z Davidem Walkerem, słynnym mistrzem sztuki aktorskiej. Co rano kamerdyner Cope'a zawoził ją do domu Walkera w Hollywood Hills i odbierał ją stamtąd o czwartej. Melanie sama zdumiewała się, że każdy szczegół nauki wydaje się jej tak oczywisty, tak nieziemsko logiczny. Może upadła na głowę, ale zaczynało się jej wydawać, że daje sobie radę z aktorstwem. David nie obsypywał jej komplementami, ale z drugiej strony nie kręcił nosem na jej postępy aż tak, jak się tego obawiała. Przedwczoraj zaś, dzień

przed próbnymi zdjęciami, po ojcowsku ucałował ją, mówiąc, że to na szczęście. Melanie wiedziała, że Walker nie obdarza takim gestem każdego swojego adepta.

Wieczorami siadała do kolacji z Wellsem - zawsze w jego rezydencji, domu jak ze snu, pełnego kwiatów, obrazów, kryształów, srebra i muzyki. Nigdy jeszcze nie spotkała takiego człowieka jak Cope - dowcipnego, lecz powściągliwego, wręcz wyniosłego, inteligentnego, rozumiejącego ją bez słów. Cope niczego się od niej nie domagał, za to był wyraźnie zadowolony z jej towarzystwa; Melanie czuła się więc doceniona. Czasami żałowała, że poddała się próbnym zdjęciom. Przecież życie w tym bezpiecznym, kojącym świecie, w którym nikt niczego od niej nie chciał - oprócz tego, by udawała, że jest kimś innym - mogłoby trwać w nieskończoność, tak było wspaniałe. Melanie pławiła się wręcz w poczuciu, że jest kimś innym, niż w rzeczywistości, i nie czuła już dawnej chęci, by przyglądać się samej sobie, odgrywającej jakąś rolę.

Z daleka zobaczyła, jak przez otwartą specjalnie bramę rezydencji wjeżdża mercedes Wellsa. Producent nie wszedł do domu, jak to miał w zwyczaju, lecz przeciął ogród, ominął basen, przeszedł przez trawnik i podszedł do miejsca, gdzie Melanie siedziała sobie z książką na kolanach i szklanką zimnego napoju w dłoni. Cope zabrał jej szklankę oraz książkę, odkładając je na stolik, po czym oburącz porwał Melanie w objęcia. Nie musiała już o nic pytać. Mina Wellsa tłumaczyła wszystko. Zapytała jednak, by dłużej cieszyć się triumfem:

- Potrafię grać?
- Oczywiście - odkrzyknął Cope, w którym zaszła dziwna odmiana.
- A co teraz? - Melanie czuła niespodziewaną radość, oczekiwaną,

lecz nieobliczalną, podobną do tej, która następuje po mękach porodu.

- Teraz będę cię musiał odkryć. Bo przecież chyba właśnie na to czekałaś?

- Całe życie. Czekałam całe życie!

* * *

Tego wieczora Wells Cope zabrał Melanie na kolację do „Ma Maison” i przedstawił ją wszystkim swoim znajomym. Nie wyjaśniał przy tym, czym zajmuje się młoda dama. Melanie jednak zdawała sobie sprawę, iż kiedy udaje, że nie zwraca uwagi na otoczenie, połowa osób w restauracji obrzuca ich stół ukradkowym spojrzeniem. Melanie czuła na skórze gorąco tych chciwych, zaciekawionych spojrzeń, mimo że nie widziała nawet oczu, które na nią patrzyły. Wrażenie było oszałamiająco wspaniałe.

Po kolacji Wells Cope kochał się z nią po raz pierwszy. Uznała później, że była to najlepsza scena miłosna w jej życiu, podobna do niespiesznego walca. Chyba przez godzinę Cope delectował się widokiem jej nagiego ciała, odwracając ją i układając na różne sposoby, dotykając i penetrując miękkimi palcami, niczym ślepiec, zagubiony we śnie, który nie wymagał z jej strony udziału, a tylko samej obecności. Wreszcie, kiedy ją posiadał, akt okazał się kontynuacją snu - był wystudiowany, powolny i pełen cielesnej gracji. Nie miało to nic wspólnego z gorącą, niecierpliwą pasją, której się tak obawiała. Co najważniejsze, Cope nie zapytał, czy i jej było dobrze. Dlaczego mężczyźni zawsze się o to dopytują? Przecież to nie ich sprawa. Kochanie się bardzo poprawiło jej samopoczucie. Czuła się jak kot, przez długie godziny miękko głaskany po futerku. Kiedy wreszcie podniosła się z łóżka, Cope wydawał się domyślać bez pytania, że Melanie

nigdy jeszcze nie wytrwała do rana z mężczyzną. Bez sprzeciwów pozwolił jej odejść do domku gościnnego, na pożegnanie obdarzając ją spojrzeniem natchnionych oczu, w którym kryła się obietnica. Melanie wiedziała, że Cope dotrzyma tej obietnicy.

Spider!

25 lipca 1976 roku

Proszę cię, żebyś więcej do mnie nie dzwonił. Jeżeli zadzwonisz, nie podejść do telefonu. Przeszkadzają mi te twoje telefony, a ja chcę mieć spokój. Nie wiem, dlaczego nigdy nie umiałam powiedzieć głośno, o co mi chodzi, i przekonać ludzi, że nie żartuję, może więc lepiej mi to wyjdzie na piśmie. Nie kocham cię i nie wyjdę za ciebie za mąż. Nie wracam do Nowego Jorku, zostanę w Kalifornii, a kiedy tylko Wells znajdzie fundusze, wystąpię u niego w filmie.

Dlaczego nie potrafisz zrozumieć, że między nami koniec? Mogłeś się tego domyślić ze sposobu, w jaki z tobą rozmawiałam przez telefon za każdym razem, kiedy dzwoniłeś. Dopiero teraz zrozumiałam, że chciałeś mnie zakuć w kajdany. Chciałeś mnie pożyć, do ostatniej okruszynki, jak ludożerca. Kiedy się koło mnie kręciłeś przez ostatnie parę tygodni, nie mogłam już oddychać w twojej obecności. Dusiałam się przy tobie. Musisz sobie zdać sprawę, że nie masz teraz żadnego wyboru. Odeszłam od ciebie na dobre. Może teraz cię wreszcie przekonałam?

Potrafię grać, Spider. Film to nie taki „głupi pomysł”, jak mi to tłumaczyłeś przez telefon.

A swoją drogą, pierwszy raz uświadomiłam sobie, że potrafię grać tamtej ostatniej nocy u ciebie, kiedy się uparłeś, żeby się ze mną kochać, chociaż wcale nie miałam ochoty. Uwierzyłeś wtedy, że było mi dobrze.

Prawda, że uwierzyłeś? A przecież nie czułam nic. Nic, a nic, przysięgam.

Melanie

John Prince, projektant, dla którego pracowała Valentine, kiedy Spider otrzymał od Melanie ów list, był jednym z władców Siódmej Alei. Uwielbiał powtarzać dziennikarzom, że ludzie, którymi się otacza, to szczególna rasa.

- To nie byle kto, to Ludzie z Życiem - chwalił się więc i wyjaśniał: - Bardzo, ale to bardzo rzadko zdarza się człowiekowi spotkać kogoś nadzwyczajnego, a wtedy między dwojgiem ludzi przechodzi iskra. Dlatego od razu wiem, że spotkałem kogoś ze swoich Ludzi. Takie rzeczy wyczuwa się podświadomie.

W rzeczywistości jednak Prince dobrał sobie grupę asystentów - wśród nich Valentine - kierując się wyłącznie takimi kryteriami jak talent, pracowitość i znajomość rzemiosła. Prince nigdy zresztą nie ograniczał się do użyczania wytwórcom odzieży swojego nazwiska i inkasowania za to gotówki. Jeżeli partia prześcieradeł i ręczników nosiła etykietkę „BY JOHN PRINCE”, znaczyło to, że projektant osobiście zatwierdził wzór, stworzony na Jego Obraz i Podobieństwo przez któregoś z Jego Ludzi. Ta sama zasada dotyczyła Jego kostiumów kąpielowych, butów, płaszczy deszczowych, biżuterii, apaszek, okularów słonecznych, peruk, pasków, futer, strojów wieczorowych i perfum. Prince za bardzo dbał o swoją reputację projektanta, by dobierać sobie podwładnych kierując się wyłącznie podszeptem podświadomości. Znajdował sobie jednak swoich Ludzi z życiem, na przykład przyjmując do pracy nowego asystenta i przemieniając go w kogoś zupełnie nowego, godnego etykietki „BY JOHN PRINCE”.

Valentine przyjął właściwie w ciemno, bo dopiero po umówieniu się na rozmowę odkrył jej talent, przeglądając projekty kolekcji Wiltona, przyniesione mu przez Spidera Elliotta.

Kiedy Valentine zjawiała się w końcu w jego gabinecie, ucieszył się, widząc przed sobą kogoś niezaprzeczalnie żywego, nawet zbyt żywego. Valentine przekroczyła próg ze swoją płomienną czupryną, nastroszoną ponad bladą twarzą z parą zaskakująco jasnych, zielonkawych oczu. Valentine zawsze kładła na rzęsy potrójną warstwę tuszu, akcentując swój wygląd rodem z ulicy du Faubourg St.-Honore, a tego dnia podkreśliła jeszcze swą urodę zielonym cieniem do powiek - wszystko po to, by odwrócić uwagę od swojej figury. Odkąd dowiedziała się prawdy o Alanie Wiltonie, schudła osiem kilo, choć i przedtem była niesłychanie szczupła. Ubierając się w ostatniej chwili, musiała więc narzucić na spadający z niej brązowy kombinezon obszerne, rdzawopomarańczowe poncho.

- Wygląda, moja milusia, że można zagrzać sobie o ciebie ręce - przywitał Valentine Prince, uśmiechając się miło. Wstał i uściskał jej dłoń, a potem usadził Valentine w stojącym przed biurkiem skórzanym klubowym fotelu. Cały jego gabinet wydawał się wyjęty żywcem z londyńskiego klubu i wyglądał jak elegancka palarnia, pełna ciemnego drewna, książek w pięknych oprawach, błyszczącej skóry i mosiądzu. Prince'owi nie udało się wprawdzie skończyć szkoły średniej w rodzinnym Des Moines, ale umiał sam siebie stworzyć od nowa, nadając sobie postać angielskiego arystokraty. Od mówienia z fałszywym brytyjskim akcentem powstrzymywał go nie tyle dobry smak, ile zwyczajny brak talentów językowych. Prince wzbudzał zaufanie ze swoją pokaźną posturą, szpakowatymi włosami i sympatycznie pomarszczoną

twarzą. Wyglądał jednocześnie jak zbliżający się do emerytury brytyjski generał po cywilnemu i jak niesłychanie dobrze prosperujący makler z wyścigów konnych. Wrażenie to osiągał dzięki przemysłnemu połączeniu rozmaitych sztuk odzieży ze swych kolekcji. Nigdy nie wkładał na siebie niczego, co nie było tweedowe, kraciaste lub prążkowane - nie licząc oczywiście ubrań w jodełkę. Dobierając sobie na przykład spodnie z brązowo - białego tweedu, uzupełniał je prążkowaną szkocką kamizelką w brązowo - zielone pasy i kosmatą marynarką w wyraźną kratkę, do której pasował oczywiście tylko krawat w tradycyjne, wijące się wzory, podkreślający podszycie kołnierza marynarki. Prince marzył zawsze, żeby chodzić z laską, lecz tymczasem zadowalał się dużym parasolem. Jeden z jego pracowników lubił powtarzać, że Prince jest chyba nieśmiertelny, bo w całej garderobie nie ma ani jednego spokojnego garnituru, w którym mógłby pójść do trumny. W skrytości ducha Prince lubił porównywać się z arystokratą ze starego rodu posiadaczy ziemskich, powiedzmy z Earlem Northumberlandu, który mecenasuje trupie wędrownych aktorów. Żadne z tych nieszkodliwych dziwactw nie zmieniało faktu, że Prince był najbogatszym projektantem mody w Stanach Zjednoczonych.

- Kiedy rozmawiałem wczoraj z pani agentem - oświadczył Prince Valentine - powiedziałem mu, że potrzebna mi jest pani ścisła współpraca przy projektowaniu gotowej odzieży damskiej. Nie chciałbym wściubiać nosa w przyczyny, dla których zrezygnowała pani z pracy u Wiltona, ale co do jednej sprawy musimy się umówić od razu i bez ogródek.

Na etykietkach będzie się znajdowało moje nazwisko, a nie pani. Tak już jest, moja droga, że w tej firmie może pani być tylko moim współpracownikiem. Później, oczywiście, trafi pani gdzie indziej, i wyrobi

sobie własne nazwisko. Nie wątpię, że tak się stanie, ale na razie cała osobista zasługa będzie przypadła mnie.

Widząc, że Valentine natychmiast i bez zdziwienia przytakuje mu ruchem głowy, Prince pomyślał, że nie omylił się w przeczuciach. Nowa asystentka musiała drzeć koty ze słynną, niegrzeczną i zarozumiałą księżniczką imieniem Sergio. Agent Valentine, Elliott czy jak mu tam, dawał mu w rozmowie do zrozumienia, że chodzi o pominięcie nazwiska Valentine, lecz zdaniem Prince'a sprawa nie była taka prosta, zwłaszcza że Alan Wilton pod niebiosa wychwalał talenty Valentine. Ba, mniejsza z tym. Ileż można się interesować intrygami wśród konkurencji? Bóg świadkiem, że Prince miał dosyć zmartwień u siebie. Usiłował właśnie wypuścić na rynek nową serię kosmetyków dla mężczyzn, lecz po sześciu miesiącach poszukiwań chemicy wciąż nie potrafili mu dostarczyć wystarczająco męskiej formuły zapachowej. Kryterium, jakie przykładał tu Prince, brzmiało: „Czy tej wody kolońskiej użyłby książę Edynburga?” Dziwnym trafem odpowiedź wciąż była przecząca, choć Prince napominał sam siebie, by się nie zrażać i próbować dalej. Imperium Brytyjskie też nie od razu zbudowano.

* * *

Pośród wszystkich mężczyzn zajmujących się w Ameryce projektowaniem mody 95 procent - jeżeli nie więcej - to homoseksualiści.

Istnieją rozmaite wariacje na temat upodobania do tej samej płci. John Prince wyróżniał się tu oryginalnością ze swoim arystokratycznym angielskim stylem przemieszonym z przaśnym amerykańskim rodowodem. Inni projektanci - homoseksualiści przybierali styl funkcjonalny, niezależnie od pory dnia chodząc w ciemnych okularach. Ubierali się przy

tym wszyscy w identyczne, starannie dobrane ciemne pulowery i ciemne obcisłe spodnie, sprawiając wrażenie, że przed chwilą przybyli z przyszłości na pokładzie luksusowego gwiazdolotu. Meblowali mieszkania sprzętami ze stali, szkła i plastyku, urządając wnętrza tak ascetycznie i surowo, że dreszcz przechodził na sam widok tych bezlitosnych pomieszczeń. Na zdjęciach w czasopismach istniała obok nich rozkoszna trzódka projektantów snobujących się na Gatsby'ego: ślicznych chłoptasiów w doskonale skrojonych, granatowych marynarkach i białych spodniach noszonych do niewinnych, jasnoniebieskich studenckich koszul bez krawata i sweterków z szetlandzkiej wełny. Chłopcy ci sprawiali wrażenie, jakby lada chwila mieli człowiekowi wprowadzić jacht do portu i zarzucić kotwicę u stóp. Kolejna grupa to homoseksualni projektanci o niekwestionowanej pozycji, którzy mogą już sobie pozwolić na zapuszczenie bród czy noszenie dżinsów i amuletów, a nawet dziwnych marynarek bez guzików. Wszyscy ci projektanci cieszą się ogromnym wzięciem jako goście i opiekunowie najbogatszych - lecz niestety samotnych - kobiet w Ameryce. Nie ma w towarzystwie pań, które bez drogocennej listy pewniaków - pedałów potrafiłyby ustalić właściwą listę zaproszonych gości.

W środowisku tym istnieje także niewielka, ale wpływowa grupa homoseksualistów żonatych z kobietami. Ich żony są z reguły niesłychanie wygadane i niesłychanie dekoracyjne. Osoby z tej grupy za swą religię przyjęły elegancki styl życia i posiadają mieszkania, które zapierają dech, a także wiejskie posiadłości w sam raz do urządzania wymyślnych kolacyjek przy niewielkich okrągłych stolikach, dźwigających na sobie kolekcje rzadkiej porcelany i sreber. Bez osób z tej grupy nie może się

obyć żadne ważne przyjęcie czy premiera prasowa.

Nie kto inny, jak ta właśnie homoseksualna mafia decyduje, kto zrobi karierę w świecie mody. Jeśli nie brać pod uwagę powierzchownych różnic w stylu życia członków tego podziemia, tworzą oni potężny klub, w starciu z którym żaden projektant o tradycyjnych upodobaniach seksualnych nie ma najmniejszych szans. Dotyczy to tylko mężczyzn, bo kobiety potrafią robić karierę nawet w tych warunkach, by wspomnieć tylko Holly Harp, Mary McFadden, Paulinę Trigere i Bonnie Cashin, nie mówiąc już o sporej grupie projektantek z Kalifornii. Kobiety stanowią jednak w tym towarzystwie nieliczną grupkę.

Między homoseksualnymi projektantami a z reguły tradycyjnymi w gustach kupcami utrzymuje się trwałe przymierze, oparte na dobrze pojętym interesie. Biznesmeni są albo właścicielami firm, albo inwestorami, a ponieważ większość z nich to Żydzi, mają oni liczne powiązania rodzinne z resztą żydowskiej społeczności Nowego Jorku i zajmują się na dużą skalę działalnością dobroczynną. Właśnie kupcy stanowią balast, który utrzymuje nawę Siódmej Alei na równej ścieżce. Poza godzinami pracy projektanci i biznesmeni spotykają się niezmiernie rzadko, właściwie tylko podczas reklamowych przyjęć urządzanych przez domy towarowe lub innych imprez dotyczących świata mody, takich jak wręczenie nagród Coty.

Homoseksualni projektanci stanowią awangardę całego eleganckiego Nowego Jorku. To oni pierwsi odnajdują nowo otwarte restauracje. To oni decydują o sukcesie bądź klęsce nowego baletu, nowego artysty, nowej dyskoteki i nowego salonu fryzjerskiego. Są prawdziwymi gwiazdami, którym należą się wszystkie bez wyjątku przywileje. Każdy z

projektantów skupia też wokół siebie dwór, orszak, który kąpie się w blasku bijącym z artysty lekceważącego normy, jakie krępują resztę ludzkości. Projektant upewnia się wkrótce w wiedzy - dzielonej przez resztę świty - że jest dowcipniejszy, bardziej odważny, zdolniejszy, bardziej awangardowy, bardziej wyrafinowany, złośliwy i co najważniejsze, dużo lepiej ustawiony niż inni.

Nikt nie posiadał tej manieri w większym stopniu niż John Prince.

Otoczający go Ludzie z Życiem pod każdym względem zastępowali mu rodzinę. Prince, posłuszny pragnieniu, by hojnością dorównać prawdziwemu arystokracie, czuł się po prostu fatalnie bez towarzystwa osób, które skrycie nazywał swoim „orszakiem”, i w ogóle uwielbiał tłum. Po skończonym dniu pracy Prince powracał na swój dwór w pobliżu 70 Ulicy, po wschodniej stronie Manhattanu. Na jego dom składały się dwie przylegające do siebie kamieniczki, które kupił i połączył w jedną całość, dodając im wspólną fasadę z miodowej barwy palladyjskiego marmuru i wspólną, szlacheckich proporcji bramę. Wewnątrz kryła się klatka schodowa godna rodowej posiadłości, o szerokich półpiętrach, które prowadziły na kolejne poziomy. Prince kazał wyburzyć wewnętrzne ściany i stropy, całkowicie zmieniając rozkład pomieszczeń, a następnie ogołocił z najrzadszych eksponatów sale wystawowe Stair and Co. oraz Ginsberga & Levy’ego, dwóch najpoważniejszych firm handlu antykami. Dopiero wówczas zorientował się, że nawet on, Prince, nie obejdzie się bez zawodowego projektanta wnętrz. Zanim minął rok, „Siostra” Parish, czyli żona Henry Parisha juniora, ulubiona wśród osób z towarzystwa dekoratorka wnętrz, słynąca ze swych kuszących sypialni i zmysłowych połączeń kolorystycznych, a także z tego, że przemeblowała swego czasu

Owalny Gabinet w Białym Domu i prywatne apartamenty prezydenta Kennedy'ego, wyczarowała dla Prince'a iście książęce wnętrze. Jak wymagały tego dobre maniery, Prince powstrzymał się i nie poprosił dekoratorki o wyhaftowanie złotą nicią swojego „rodowego” herbu na baldachimie łoża w stylu Chippendale, domyślając się skądinąd, że jego gderliwej babci ze stanu Maine jakoś by to nie przypadło do gustu. Nie odważył się też wspomnieć o galerii dla minstreli nad salą jadalną, o której także po cichu marzył, lecz jeśli nie liczyć tych szczegółów, imponująca nowa rezydencja bardzo przypadła mu do gustu.

Prince posiadał nawet majordomusa: swojego wieloletniego kochanka imieniem Jimbo Lombardi. Lombardi przypominał zaczepnego, zajadłego cherubina, miał raptem metr sześćdziesiąt wzrostu, ale za to był urodzonym zabijaką i jednym z najbardziej odznaczonych podoficerów w wojnie koreańskiej. Drugim oprócz zabijania wrogów talentem Jimba było malarstwo, trzecim zaś lenistwo. Jimbo zadowalał się świetnie samym faktem przebywania w pracowni, którą ogromnym kosztem stworzył mu Prince na poddaszu rezydencji. Rankiem, długo po tym, jak Prince wstał ze wspólnego posłania i oddalił się do pracy, Jimbo zstępował wreszcie w dolne rejony domostwa, gdzie wraz z kucharzem Luigim i dwiema pulchnymi pokojówkami, Luchianą i Renatą, opowiadali sobie pieprzne, wysrane z palca historie w łamanym włoskim języku, który Jimbo posiadał w dzieciństwie, spędzonym w dalekim, egzotycznym Bridgeport w stanie Connecticut. Jimbo miał za zadanie układać codzienny jadłospis, zapraszać gości i planować każdy szczegół przyjęć w danym tygodniu.

O ile Prince był urodzonym gospodarzem imprez, Jimbo stworzony został na trefnisią. Miał niesamowity dar ożywiania zgromadzeń i

rozweselania gości, a co więcej, w trakcie cudzych imprez potrafił świetnie rozpoznawać potencjalnych Ludzi z Życiem i wcielać ich natychmiast do orszaku zwolenników Prince'a.

Jimbo natychmiast przekonał się do Valentine. Ponieważ czuł się pewnie jako nieodzowny i ukochany towarzysz życia Prince'a, zamiast urządzić sceny zazdrości, mógł dać upust swoim przyjaznym uczuciom. Znudziła go już zresztą serdecznie najnowsza świta przyjaciela w postaci:

- a) dwumetrowego Murzyna, z zawodu modela, a z zamiłowania najbardziej zwariowanego tancerza muzyki disco w Nowym Jorku,
- b) projektantki biżuterii, która choć pochodziła z jednej z najbardziej arystokratycznych rodzin w Brazylii, strzygła się na jeża i nosiła na szyi trzy wysadzone klejnotami krucyfiksy,
- c) małego Portorykańczyka, który wspaniale malował na jedwabiu,
- d) kapryśnej hollywoodzkiej gwiazdy, która w przerwach między zdjęciami z religijnym oddaniem pędziła do Nowego Jorku, by zamówić sobie u Prince'a kompletnie nową garderobę i kąpać się w blasku, jaki bije z jego osoby,
- e) młodego małżeństwa, potomków dwóch najstarszych rodzin w Filadelfii, które wciąż przynosiło Prince'owi źle widziane prezenty w postaci haszyszu i które na miejscu wypalało większość tej substancji, i wreszcie o legendarnego rosyjskiego tancerza baletowego, który uciekł z ZSRR tak dawno, że urząd podatkowy zdążył go już uznać za jednego ze swoich amerykańskich pupilków.

Owszem, wszyscy oni mieli w sobie mnóstwo życia, lecz była już najwyższa pora znaleźć nową krew. Jimbo wyczuł też, że Valentine na dobrą sprawę niczego nie chce od Prince'a. Dziewczyna roztaczała wokół siebie urzekającą aurę samowystarczalności, podobną do ślicznego, lecz trwałego chitynowego pancerza. Nie paliła się w dodatku wcale, by

dołączyć do grona, które otaczało jej szefa. Wszystko to niezmiernie zaintrygowało Jimba, który przywykł do tego, że ludzie biją się o miejsce w otoczeniu Prince'a, przekonani, że tylko w ten sposób zyskają nowy wymiar. Prince nie ograniczał się do podejmowania swoich gości w domu. Zabierał ich często do miasta, gdzie zajmowali połowę stolików w restauracji albo dwa najlepsze rzędy podczas pokazu najświetniejszego musicalu na Broadwayu, lub też wprowadzał całą gromadę jak niesłychanie elegancką paradę cyrkowców na dobroczynne przyjęcie czy wystawę, gdzie witała go oczarowana takim gestem gospodyni. Wejście w wykonaniu Prince'a fotografowali często reporterzy z Women's Wear Daily z myślą o kolumnie zatytułowanej „OKO”, poświęconej ploteczkom i niesłychanie wpływowej. Od rubryki tej zaczyna zwykle lekturę każdy, kto sięga po tę gazetę, z wyjątkiem najbardziej strupieszających wytwórców zamków błyskawicznych.

Jimbo należał zawsze do tych homoseksualistów, którzy przepadają za kobietami, podobnie zresztą jak Prince. Wiedział też doskonale, w jaki sposób z miejsca wytworzyć nastrój zaufania i znakomicie uwodził kobiety we wszystkich sprawach, które nie dotyczyły łóżka. Arogancja Valentine i jej agresywna fryzura stanowiły dla niego prawdziwe wyzwanie.

Valentine zaczęła pracować u Prince'a na początku 1973 roku. Już przed świętami Valentine, komplementowana i wabiona przez czarującego, małego Jimbo, czuła się w otoczeniu Prince'a jak w domu. Nie zabłysnęła jako Osoba z Życiem - zawsze była pełna życia, niczego więc nie musiała udawać - różniąc się od reszty orszaku tym, że wcale jej nie zależało, by się pokazać. Kiedy trwa zjadła rywalizacja o miejsce w

grupie, dokładnie taka, w jaką zaangażowali się ludzie Prince'a, najlepiej wychodzą na tym ci, którym nie zależy na walce. Kiedy towarzystwo przekonało się, że Valentine absolutnie na niczym nie zależy, i że z takim samym uśmiechem przyjmie ona zaproszenie i będzie się dobrze bawić, jak i spędzi wieczór w domu bez zaproszenia; kiedy odkryto, że z niewiadomej przyczyny Valentine jest tak pewna swojej pozycji, że nie zamierza wspinać się po szczeblach towarzyskiej drabiny i nie boi się stygmatu odepchniętej, pokochano ją tak, jak stadko kociaków kocha kłębek włóczki.

Przejścia z Alanem Wiltonem na długi czas uodporniły Valentine - kiedy się już pozbierała z największej depresji - na pokusę romantycznych przygód. Ten głęboki chłód z jej strony odbierano jednak powszechnie jako pewność siebie i brak skłonności do wygórowanych oczekiwań, nie zaś jako brak talentów towarzyskich. Chociaż upodobania seksualne osób z otoczenia Prince'a pozwalały Valentine uniknąć kolejnego romansu, jej życie erotyczne stało się jednym z ulubionych tematów do domysłów. Lesbijka? A może ma żonatego kochanka? A może jest typową „pedalską mamą” zdolną do uczuć tylko wobec mężczyzn, których nie interesują kobiety? Nikomu jakoś nie przyszło do głowy, że w sercu Valentine, jak w sercu Królowej Śniegu z dawnej baśni, utkwiał lodowy sopel, wzbraniający tam dostęp miłości. W oczach Prince'a i Jimba Valentine wydawała się całkowicie zadowolona ze swej roli asystentki i członkostwa w gronie najbliższej świty wielkiego projektanta.

Od 1973 do 1976 roku Prince i Valentine współpracowali ściśle, bo chociaż użyczenie nazwiska rozmaitym wyrobom przynosiło projektantowi ogromne pieniądze, wysokość tych kwot zależała

bezpośrednio od kolejnych sukcesów kolekcji ubraniowych, które rozślawiły jego nazwisko. Gdyby Prince zaczął się obsuwać i tracić pozycję zawodową - a kilka z rzędu nie trafionych kolekcji może wykończyć każdego z wielkich amerykańskich projektantów zarówno w oczach kupców, jak i redaktorów żurnali - dotychczasowe zamówienia na jego znak firmowy skończyłyby się natychmiast. Prince dumiał często, z goryczą nad historią niejakiego Christiana Diora, który nie żył od ponad dziesięciu lat, kiedy wynaleziono rodzaj rajstop po dziś dzień noszący jego imię. To tylko jeden przykład praktyk całej branży. Jak ci uprzykrzeni Francuzi mogli się zdobyć na taką bezczelność? Typowe dla żabojadów.

Valentine nauczyła się pracować z Prince'em i stała się jego prawą ręką. Pojęła przede wszystkim zasady, które sprawiają, że droga odzież ze znakiem firmowym Prince'a różni się w sposób wyraźny od kolekcji innych projektantów. Pojęła je do tego stopnia, że tylko naoczni świadkowie prac potrafili stwierdzić, czy to Prince czy Valentine jest autorem szkicu lub osobą, która wybrała ten, a nie inny materiał.

Dziewczynie daleko jednak było do pełnej satysfakcji. Praca, owszem, cieszyła ją, zwłaszcza że Prince płacił jej teraz 4 tysiące dolarów, a co więcej, miała własnych asystentów. Nadal jednak była murzynem odwalającym cudzą robotę i boleśnie to odczuwała. Owszem, jeśli się uprzeć, jej praca miała twórczy charakter, ale tworzenie to odbywało się pod dyktando Prince'a. Valentine była co najwyżej wiernym uczniem, owszem, zdolnym, lecz bez jakichkolwiek samodzielnych perspektyw. Klientki Prince'a były bogate i wystrzegały się nowatorstwa. Żądały od firmy ubrań „jak od Prince'a”, takich, które ich otoczenie natychmiast umiało rozpoznać i docenić. Toteż praca zawodowa dawała Valentine

mniej satysfakcji niż zajęcie fałszerza dzieł sztuki. Gdyby była fałszerzem, miałyby przynajmniej poczucie, że wmawia coś łatwowernej publiczności.

Sama jednak nigdy nie porzuciła własnych projektów. Niepomna na to, co w danej chwili nosiło się na ulicach Nowego Jorku, nie zwracając uwagi na apodyktyczny gust Prince'a, zapępiała w szkicowniku stronicę za stronicą własnymi pomysłami. Jediną publiczność stanowił dla niej Spider, za modelkę zaś miała tylko samą siebie i tylko z rzadka miała teraz czas, by rzeczywiście uszyć którąś z zaprojektowanych kreacji - tym bardziej że Prince wymógł na niej, by ubierała się - wprawdzie za darmo - wyłącznie w rzeczy z jego firmy. Traktował jako rzecz oczywistą, że kobiety z jego orszaku muszą się ubierać w jego fasony, a już Valentine była dla niego kimś nieodzownym, gdyż przydawała strojom nutkę owego *du chien*, którego nie dane było posiadać większości pospolitych klientek, przeważnie bogatych, konserwatywnych, wciąż jeszcze młodych i znakomicie powiązanych towarzysko. Valentine uparcie jednak szyla każdego sezonu przynajmniej cztery własne fasony i wieszała je w garderobie obok poprzednich. Za nic nie chciała się wyzbyć tego zajęcia i zapomnieć, że jej talent ma także prywatną stronę.

Prince musiał kilka razy do roku porzucać Nowy Jork, by prezentować nowe fasony podczas dobroczynnych pokazów w innych dużych miastach USA. Zniżał się wręcz do tego, że przykładał rękę do znienawidzonych, choć ogromnie dochodowych „objazdów z kramikiem”, podczas których w towarzystwie szefa działu sprzedaży i dwóch modelek pokazywał próbki z kolekcji w wielkich domach towarowych i przez trzy gorączkowe dni, wspierany lawiną reklam w prasie i w samym sklepie, co

sił zbierał zamówienia od kobiet, ściągających w rozgorączkowanych stadach, by próbować wcisnąć się w eksponaty. Oscar de la Renta, Bili Blass, Adolfo, Kasper, Geoffrey Beene i cała reszta najbardziej liczących się projektantów również uważa, że „objazdowy kramik”, jak żadna inna taktyka, przyciąga te bogate Amerykanki, które same bardzo rzadko wypuszczają się po zakupy do Nowego Jorku.

Tą drogą nie tylko zdobywa się więc nowych nabywców i odświeża zainteresowanie dawnych, lecz co więcej, obserwuje się, co wybierają kobiety z kolekcji w sytuacji, gdy mają przed sobą całość, a nie egzemplarze z góry wyselekcjonowane przez superostrożnych zaopatrzeniowców domu towarowego.

Na lato 1976 roku Prince zaplanował dłuższy objazd niż zwykle, postanawiając połączyć charytatywne pokazy organizowane przez chicagowską Gastrointestinal Research Foundation z prezentacją swojego „kramiku” w miejscowej filii Saksa. Potem zamierzał ruszyć dalej - do Detroit i Milwaukee, a ponieważ i tak był już w rodzinnych stronach, chciał przy okazji po cichu odwiedzić Des Moines, gdzie jego owdowiała matka słynęła na całe miasto z faktu, że wydała na świat taką sławę. Inna sprawa, że jej przyjaciele i znajomi, podobnie jak ona pochodzący z dołów społecznych, wiedzieli, że istnieje ktoś taki jak Prince wyłącznie z wycinków prasowych, które wciskała im zapobiegliwa matka projektanta.

Valentine nie mogła się więc oprzeć pokusie i wiedząc, że przez półtora tygodnia jej szefa nie będzie w Nowym Jorku, postanowiła po kryjomu przemycić do swojego pokoju najnowsze spośród własnych projektów. Chciała poprosić którąś z dyżurnych modelek, by ta przymierzyła jej kreacje, bo tylko w ten sposób mogła im się odpowiednio

dobrze przyjrzeć. Nie ma nic gorszego niż szycie strojów, które ogląda się później wyłącznie w lustrze, na samej sobie. Valentine coraz częściej niepokoiła myśl, że jej kreacjom brakuje inspiracji z zewnątrz i że stają się zbyt dziwaczne. Ciekawe, jak by też wyglądały na dziewczynie o innym kolorze skóry i innym sposobie noszenia się.

W ostatnim okresie nie mogła nawet pokazywać swych projektów Spiderowi. Dręczyła ją świadomość, że prawie przestała go widywać od czasu wyjazdu Melanie Adams. Ba, nawet kiedy Melanie na dobre pozostała w Hollywood, Spider unikał towarzystwa. Valentine musiała więc sama jeść obiady, które gotowała, a dawna przyjaźń, tak wydawało się niewzruszona, rozwiąła się w mgnieniu oka. Valentine nie przyznawała się głośno do tego, lecz czuła się jak rozbitek na łasce prądów. Sama nigdy by nie uwierzyła, gdyby ktoś jej powiedział, że przebierający w dziewczynach, dziki i swobodny Elliott tak się zadurzy w jakiejś obrzydliwie urodziwej szmacie. Elliotta zaś - tego durnia - rzeczywiście zły duch opętał do tego stopnia, że Valentine żałowała, że nie jest katolikiem, jako że wtedy mogłaby dla niego zorganizować egzorcyzmy. Elliott naprawdę miał diabła za skórą, jak powiadała o niektórych ludziach matka Valentine. Z jego romansu nie mogło wyjść nic dobrego. Nawet idiota by spostrzegł, że jego wybranka nie kocha absolutnie nikogo oprócz siebie samej, ale czy można się spodziewać, że zakochany mężczyzna posłucha głosu rozsądku? Albo zakochana kobieta? Te ostatnie słowa Valentine dodała po namyśle, ponuro wspominając własne przejścia. Otrząsnęła się jednak i pospiesznie zaczęła pakować swoje ostatnie kreacje w nieprzezroczysty plastik. Postanowiła przyjść do pracy przed wszystkimi i rozwiesić nowe kiecki w szafie w swoim pokoju. Niczym nie

ryzykowała, jako że Beth, czarna modelka, była jej dobrą przyjaciółką i słynęła z odporności na pokusę plotkowania.

Pół godziny przed południową przerwą Valentine zapytała Beth, czy ta mogłaby jej poświęcić po południu chwilę czasu i przymierzyć kilka fasonów.

- A może już teraz, Val? Wzięłam do pracy jogurt, bo nie miałam zamiaru wychodzić na lunch. Po południu mogą się zjawić klienci, a wtedy będę potrzebna na sali pokazów...

- Naprawdę będziesz taka miła, Beth? Wspaniale! Posłuchaj tylko... Może to głupio zabrzmie, ale wolałabym, żebyś przymierzyła wszystko w tym pokoju. Nie chcę, żeby ktoś oglądał te wzory - to parę kiecek, które sama sobie uszyłam dla zabawy, nic ważnego, ale sama wiesz, co myśli o takich sprawach pan Prince...

- Jasna sprawa - uspokoiła ją czarna modelka, która była tylko trzy centymetry wyższa od Valentine i mniej więcej tak samo szczupła. Poza tym jednak różniły się między sobą w sposób skrajny. Valentine aż drżała z niecierpliwości, by się przekonać, jak jej stroje wyglądają na Beth.

Godzinę później obie panie legły wyczerpane na kanapce w pokoju Valentine, każda ubrana w zaprojektowaną po kryjomu suknię. Reszta ubrań piętrzyła się na podłodze i krzesłach, tam gdzie rzuciła je Beth przy przebieraniu się.

- Taką zabawę miałam ostatni raz przy ubieraniu lalek!

- zawołała wreszcie uszczęśliwiona Beth. - W głowie mi nie pozostało, że jestem taaaka śliczna! A ty, kochanie, chyba na głowę upadłaś, jeśli się martwisz, jak to wszystko będzie na tobie wyglądało. Podobasz mi się w tej sukience, owszem, ale jeszcze bardziej podobam się sobie w tej swojej!

- Jesteś boska, Beth, po prostu boska! - przytaknęła jej Valentine z ulgą, upojona widokiem Beth, zwykle obnoszącej prezentowane stroje z nadętą wyniosłością, a dziś fikającej nogami i podskakującej z radości przy każdej kolejnej sukience. Beth rzeczywiście była oczarowana szykiem, fantazją i oryginalnością kreacji Valentine.

Kiedy ktoś zapukał nerwowo do zamkniętych drzwi pokoju, obie podskoczyły jak przyłapano na gorącym uczynku.

- Kto tam? - zapytała Valentine, znacząco podnosząc brwi pod adresem Beth.

- To ja, Sally! - dobiegł jej głos recepcjonistki. - Valentine, proszę natychmiast się zjawić, bo mamy alarmową sytuację. Prędko!

- Co się stało? Czy pan Prince wrócił bez uprzedzenia? - zapytała Valentine, wciąż nie otwierając drzwi.

- Ba, wiele bym dała, żeby się zjawił! Przyszła pani Ikehorn! Wdowa po Ellisie Ikehornie! Powiedziała, że będzie rozmawiać tylko z panem Prince albo z panią i jest po prostu wściekła. Nie wiedziała, że pan Prince wyjechał. No, proszę wyjść! Ikehorn jest jeszcze na pokazach, ale lada chwila sama się tu zjawi!

Beth błyskawicznie wyskoczyła z kreacji i wdziała na siebie szarą, satynową narzutkę, w jakich modelki chodzą w przerwach między kolejnymi wyjściami na wybieg. Wymieniły z Valentine przerażone spojrzenia. Obie doskonale zdawały sobie sprawę - podobnie jak cała Siódma Aleja - że Billy Ikehorn, przezwana ostatnio na łamach *Women's Wear Daily* „złotą wiedźmą z zachodniego wybrzeża” należy do najbardziej hołubionych i ubóstwianych osobistych klientek Prince'a. Zwłaszcza teraz, kiedy zbudowała Scruples, bajkowy dom mody w

Beverly Hills, o którym plotkowała cała branża, awansowała w oczach Prince'a, gdyż kupowała od niego towar nie tylko dla siebie, lecz i dla sklepu.

- Beth, biegnij krzyknąć reszcie dziewcząt, żeby się przebrały w zestaw numer jeden, ale gazem! Potem powiedz pani Ikehorn, że już do niej idę. A zresztą, nie ma czasu, sama pójdę, a ty pędź się przebrać i czekaj przed wybiegiem - cicho rozkazała modelce Valentine, palcami przeczesując włosy i błyskawicznym ruchem wkładając buty. Beth zniknęła, a Valentine w te pędy pospieszyła do sali pokazów.

Billy Ikehorn stała przed jednym z ogromnych *Zwierciadeł*, każdym całem arystokratycznej figury dając światu do zrozumienia, jak bardzo się gniewa.

- Coś podobnego, pani Valentine! Co porabia John w amerykańskim buszu, na litość boską? - wybuchnęła z miejsca, nie próbując nawet ukryć złości. - Specjalnie się fatyguję do tej zapomnianej przez Boga dzielnicy, w dodatku w tak nieznośny upał, po to tylko, żeby się dowiedzieć, że zamiast pilnować interesu, Prince bawi się w filantropię! - Billy rzuciła Valentine wściekłe spojrzenie, lecz nawet złość tylko w niewielkim stopniu potrafiła uszczuplić jej królewskie piękno.

- Będzie płakał z żalu, kiedy się dowie, że rozminął się z panią, pani Ikehorn - przytaknęła Valentine z leciutkim francuskim akcentem, który powracał jej ilekroć była silnie wzburzona. - Powiem więcej: jeżeli się dowie, że nie uhonorowaliśmy pani najwspanialszym prywatnym pokazem, na jaki nas stać, udusi nas tu wszystkie.

- Mam mało czasu - rzekła Billy w możliwie opryskliwy sposób, bez uśmiechu, przekonana, że nie da się ułagodzić, lecz ostatecznie usiadła w

jednej z łóż przy biurczku z przezroczystego plastyku, przy którym nabywcy zapisywali numery i liczbę zamówień. Valentine strzeliła palcami. Pięć dyżurnych modelek rozpoczęło paradę przed dwiema obserwującymi je paniami, przebierając się w takim tempie, że między kolejnymi zmianami fasonów nie było właściwie przerw. Chociaż pokaz przebiegał bez zakłóceń, struchlała Valentine zauważyła, że pani Ikehorn nie odzywa się, a jej kartka nadal jest zupełnie pusta.

Co więcej, milionerka siedziała sztywno, roztaczając wokół siebie aurę irytacji. Nie sposób było jednak podejrzewać, że chodziło jej o brak odpowiednich fasonów, jako że nowa kolekcja była naprawdę świetna. Spanikowana Valentine zaczęła więc snuć domysły, że Billy Ikehorn notuje numery trafionych modeli w pamięci.

Kiedy ostatnia modelka zniknęła z wybiegu, nastąpiła chwila przerwy. Billy Ikehorn wzięła głęboki wdech i tonem absolutnej wyższości orzekła:

- Nudne, nudne, nudne! Valentine aż się zachłysnęła.

- Powiedziałam „nudne”, bo wiem, co mówię. Owszem, te rzeczy są w stylu Prince’a, ale nie widzę w nich nic nowego. Wszystkie te zaszrane pomysły są tak oczywiste, że chce się od nich rzygać. Nie musi mnie pani przekonywać, że uda się sprzedać tę kolekcję, ale mnie pani na nią nie namówi. Żaden z tych fasonów mi nie odpowiada. Ani jeden. Kłapa, nie kolekcja.

Sytuacja była katastrofalna. Valentine zdawała sobie sprawę, że gdyby John był na miejscu, przymilałby się i ugłaskiwał Billy Ikehorn tak długo, aż ta zaczęłaby notować numery fasonów jak maszyna. Valentine nie miała innego wyjścia, jak stawić czoło kobiecie, która siedziała w loży

przekonana bez reszty, że jej słowo jest tutaj prawem.

- Musi pani zrozumieć, pani Ikehorn, że pani gust nie ma nic wspólnego z przyziemnymi upodobaniami zwykłych nabywców - zaczęła, świadoma, że pozwala sobie na zbytnią śmiałość, lecz zdecydowana zrobić wszystko, by uratować sytuację. - Ostatecznie dokonuje pani zakupów nie tylko dla siebie, ale dla klientek sklepu, a te na pewno nie odważą się chodzić w tym, co pani, i nawet nie będą mogły pojąć takiego stylu... - Valentine zawiesiła głos, widząc w oczach Billy Ikehorn nową iskierkę zainteresowania.

- A co to za kreacja, którą ma pani na sobie? - zażądała wyjaśnień Billy. Valentine ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że wciąż ma na sobie jeden z własnych projektów. Wybiegła z pokoju w takim pośpiechu, że zapomniała się przebrać w regulaminowy strój od Prince'a.

- Kreacja? - wybąkała.

- Proszę nie udawać głupszej, niż pani jest, bo i tak pani nie uwierzę. Ma pani na sobie sukienkę, która mi się podoba. Sukienkę, którą chcę kupić. Proszę mi więc sprzedać tę sukienkę! Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

- Nie mogę.

Billy Ikehorn była tą odpowiedzią tak oszołomiona, jak gdyby ktoś chlusnął jej w twarz pełnym kieliszkiem czerwonego wina. Gdyby Valentine nie była taka przerażona, roześmiałyby się w głos.

- Jak to nie może pani? Czyja to sukienka? A może to tajemnica? Proszę mi powiedzieć!

- To moja sukienka.

- Naturalnie, ale kto ją zaprojektował? Tylko proszę mi nie mówić,

że Prince, bo za diabła pani nie uwierzę. A właśnie. Ciekawe, nie powiem: kiedy pani szefa nie ma w mieście, nie chce pani nawet chodzić w jego rzeczach. Może niewygodnie pani, co? Czy o to chodzi?

- W tonie Billy Ikehorn pobrzmiwała groźba, toteż Valentine uznała prędko, że lepiej się przyznać do autorstwa sukienki niż pozostawić klientkę w przekonaniu, że ma na sobie wyrób od konkurencji.

- Czasami... To znaczy, bardzo rzadko... Sama sobie czasem coś szyję, po prostu, żeby nie zapomnieć rzemiosła. Dlatego mam to na sobie, pani Ikehorn. Ot, niedrogie i praktyczne. Sama ją uszyłam, w domu, i właśnie dlatego nie mogę jej pani sprzedać. To jedyny egzemplarz.

- Niedrogie! Przecież to najlepsza wełna Norella po sto dolarów metr, o czym pani doskonale wie. Proszę się odwrócić - rozkazała Billy. Kiedy Valentine z ociąganiem odwracała się na pięcie, do pomieszczenia wszedł biurowy goniec, tocząc przed sobą wózek z wieszakiem, z jej pozostałymi kreacjami.

- Przepraszam, pani O'Neill, ale recepcjonistka kazała mi zabrać to wszystko z pani pokoju. Gdzie mam to poukładać?

- Tutaj, koło mnie. Już to wszystko zabieram - oświadczyła gońcowi Billy Ikehorn.

- *Bon Dieu d'un bon Dieu!* - jęknęła ku własnemu zaskoczeniu Valentine.

- *Parfaitment!* - odpowiedziała jej Billy, uśmiechając się złośliwie. Był to jej pierwszy uśmiech tego dnia.

* * *

Jeśli nawet Valentine wbrew wszelkiej nadziei modliła się, by John Prince nie dowiedział się, co zaszło pod jego nieobecność, modły te

zniweczyła mina projektanta, który dwie minuty po powrocie wkroczył do jej pokoju z twarzą nie do poznania zmienioną przez furję. Valentine nigdy by nie uwierzyła, że kogoś tak miłego i hojnego jak Prince, z którym pracowała od trzech lat, stać na podobne zachowanie. Prince ze złości prawie nie mógł wydusić słowa, lecz chrząkał głosem, którego Valentine nigdy jeszcze u niego nie słyszała.

- Ty podstępna mała pizdo! Ty niewdzięczna szmato, brudna, szczywana oszustko! Myślałem, że mogę ci ufać, a ty... Nóż w plecy! - mówiąc te ostatnie słowa, podsunął jej pod nos jakąś kartkę.

- To nie moja wina! Ikehorn sama chciała... - zaczęła się tłumaczyć Valentine.

- Nie próbuj mi tu zmyślać, złodziejko! Ty kurwo! Czytaj!

- Prince prawie cisnął jej kartkę w twarz. Valentine ujrzała przed sobą list od Billy Ikehorn, nakreślony na jej prywatnym papierze listowym dużym, eleganckim charakterem pisma.

John, pieseczku mój!

Jaka szkoda, że nie było Cię w firmie, kiedy tam zajrzałam. Przykre, że Cię nie zastałam, ale może nawet lepiej, że tak się stało, bo nie zauważyłam w Twojej kolekcji rzeczy, które absolutnie i nieodwołalnie chciałabym zaraz kupić. Jestem pewna, że ostatni raz doszło między nami do takiego nieporozumienia, ale trudno, tak to już bywa. Byłam zachwycona własnymi projektami Valentine, które była uprzejma mi wszystkie co do jednego pokazać. Są tak czarujące, tak świeże i tak nowe! Z żalem się dowiedziałam, że nie może mi ich odprzedać. Może byś się ulitował i jej na to zezwolił? Nie miałam pojęcia, że dziewczyna jest taka świetna. Powinieneś być z niej dumny, zamiast ukrywać jej talent przed

światem.

Czy zjawisz się na przyjęciu, które Mary Lasker wydaje na cześć doktora Salka? Mam ochotę jeszcze raz przylecieć i pofatygować się na nie. Jeśli też na nie idziesz, może byśmy połączyli siły? Szkoda, szkoda, że Cię nie spotkałam, mój ptaszku...

Billy

- Proszę mi dać wytłumaczyć jak do tego doszło... Było zupełnie inaczej... Nie miałam zamiaru niczego jej pokazywać... - Valentine zamilkła, widząc, że Prince nie zwraca najmniejszej uwagi na jej słowa.

- Jesteś skończona! - usłyszała. Krzyżąc Prince bryzgał jej w twarz śliną. - Skończona w mojej firmie, skończona na Siódmej Alei... Nikt cię nie zechce, kiedy usłyszą, jaki mi wywinęłaś numer... Nie chcę cię więcej wiedzieć. Kiedy pomyślę, że cię przygarnąłem, że cię nauczyłem wszystkiego od podstaw... Nikt nie znieważył mnie jeszcze w ten sposób, nikt mnie tak nie obsrał...

- Assez! - parsknęła Valentine, nie potrafiąc już utrzymać nerwów na wodzy.

- Coś ty powiedziała, zdziro?

- Powiedziałam: „Dosyć”! I tak tu nie zostanę, za nic w świecie! Sam się przekonasz, że nie masz racji, ale ja nie pozwolę, żeby ktokolwiek się do mnie tak zwracał. Nie zniosę tego!

- Valentine pobiegła do swojego pokoju, porwała z krzesła torebkę i nie odzywając się do nikogo ani słowem wypadła z pracowni. Złapała taksówkę, rzuciła kierowcy adres i dopiero wtedy zaczęła dygotać. Nie uroniła ani jednej łzy - trzęsła się tylko jak w febrze. Wszystko to wydawało się tak idiotyczne, tak kurewsko smutne...

* * *

- Sama powiedz, jaka z nas świetna para - skomentował rzecz rozpromieniony Spider.

- Nie bądź taki Woody Allen, Elliott - skarciła go Valentine.

- Gubi cię właśnie brak hucpy, Valentine. Dlaczego cudzoziemcy nigdy nie potrafią się poznać na ironii? - tu Spider wznosił oczy do nieba.

- Jeszcze raz się tak uśmiechniesz, to cię wyprowadzę na dwór i zastrzelę. - Valentine także próbowała obrócić wszystko w żart, ale mniej się w tym momencie przejmowała utratą pracy niż udręką, w jakiej się pograżał Spider. Jej szalony Elliott, tak śmiały, tak odporny, tak dzielny, zaczął przypominać nieustraszonego torero, pierwszy raz, za to poważnie, przedziurawionego byczym rogiem. Jednak nawet w tak oklapłym stanie Spider starał się nadrabiać miną.

- Czy ktoś już ci mówił, że masz świetny cyc?

- Elliott!!!

- Próbuję tylko zmienić temat, żeby cię podnieść na duchu. Zresztą, sama im się przyjrzyj: są małe, ale zadarte, proporcjonalne, powabne i pikantne. Masa miłych słów zaczyna się na „p”.

- Przestań pierniczyć!

- Nie bądź taka sroga, Valentine. Co powiesz na odrobinę ciepła i czułości?

- Białe czy czerwone?

- Zobacz, które jest otwarte. - Spider rozparł się w fotelu i jednym haustem wychylił kieliszek wina. W zaciszu swojego mieszkania zaczął pić wódkę - i wcale się przy tym nie oszczędzał - ale dziś na szczęście przypomniał sobie, że za ścianą czeka Valentine. Nie znosił picia do lustra.

Spalił wprawdzie list od Melanie, lecz każde jej słowo wiło się wciąż w jego myślach jak tasiemcowe napisy pod podłym, niemieckim filmem grozy. Trwał w tym stanie już od trzech dni i nocy. Nawet Valentine, szczególnie już Valentine, nie powinna się dowiedzieć, co się naprawdę stało.

- Może jeszcze wina? - zapytała.

- Skoro nalegasz... A wiesz, złapałem dziś robotę. Valentine podniosła brwi ze zdumienia.

- Gdzieżbym śmiał ci opowiadać bajki. Słowo daję, pierwsza robota od prawie trzech tygodni. Dwa czy trzy dni temu przyplątała się do mnie taka dziewczyna, chciała żebym jej zrobił próbne zdjęcia, jako kandydatce na modelkę. Urodziwa, owszem, ale kompletnie beznadziejna. Z gęby kurwison numero uno, jeśli moja opinia coś tu znaczy. Pozować mogłaby najwyżej do Hustlera, ale i tak wypstrykałem z nią trzy rolki filmu. Najbardziej seksowne zdjęcia, jakie zrobiłem w życiu. W końcu, kurczę, dlaczego nie? Przyszła dzisiaj odebrać ten materiał i z radości tańczyła mi po całym atelier. Dzień w sam raz, żeby wyświadczyć przysługę jakiejś kurwie. Nawet jej nie pozwoliłem zapłacić - na razie mogę sobie pozwolić na hojność, nie? Co, a może bym tak otworzył następną butelkę? - zaproponował, mocując się już z korkiem.

- Może byś tak coś zjadł, Elliott?

- Masz chyba hopla na punkcie przyjmowania pokarmów, kochaniutka. A właśnie. Porozmawiajmy o tobie. Nie podoba mi się twoje zachowanie, wiesz?

- Co takiego? - Valentine zaczęła podierać się z miejsca.

- A tak. Powinnaś zacząć się rozglądać za nową pracą, zamiast tu

siedzieć i trąbić wino. Szkodzi na wątrobę, nie wiesz o tym? Prince nie jest jedyną firmą w tym mieście. Tym razem nie będę się bawił w twojego agenta. Sama umiesz dać sobie radę.

- Pierdolę.

- Pierdol króliczki, pierdol zajączki, lecz nie złap syfa ani rzeźączki!

- zaczął podśpiewywać Spider.

- Nie mam najmniejszego zamiaru znowu szukać pracy na Siódmej Alei. Wystarczy i basta! Koniec! Nie zaciągnąłbyś mnie tam wołami.

- Trudno powiedzieć, że ci się dziwię, ale co w takim razie zrobisz?

- Zostanę praczką. Nic się nie martw, zaoszczędziłam kupę forsy, więc na razie nie muszę się spieszyć z decyzją.

- Chciałbym móc to powiedzieć o sobie - Spider zrobił smętną minę. Agent ostrzegł go, że jeżeli wkrótce nie pojawią się nowe zamówienia, zabraknie pieniędzy na atelier. Co więcej, sam agent zaczął już zdradzać objawy świadczące, że ma zamiar uciec z tonącego okrętu. Ale kij mu w bok! - Valentine, ch-chciałbym wznieść toast... Zdrowie dwójki artystów, którzy mimo że mają największy talent w mieście, nie zaczęli jeszcze brać zasiłku dla bezrobotnych!

Spider wychylił kolejny kieliszek i dolał sobie jeszcze, rozlewając wino po podłodze.

- O, przepraszam... Chyba lepiej, jak będę pił z butelki. Tak jest łatwiej... - z tymi słowy podszedł chwiejnym krokiem do łóżka i padł na nie jak długi, pociągając z butelki długi łyk.

Naraz zadzwieczał telefon. Valentine poderwała się z miejsca. Nie pracowała dopiero od tygodnia, nie miała więc pojęcia, kto mógłby do niej dzwonić w późne popołudnie, kiedy zwykle była jeszcze w pracy.

- Tak?

- Valentine? Mówi Billy Ikehorn. Dzwonię z Kalifornii. Sama nie wiem, jak zacząć. Powiem krótko, że jestem bardzo, bardzo wstrząśnięta tym, co się stało. Dopiero teraz się dowiedziałam o wszystkim od jednego z moich zaopatrzeniowców, starego kumpla tego Jimbo. Spotkała pani oczywista niesprawiedliwość, i to wyłącznie z mojej winy. Wyłącznie.

- Co pani powie?

- Myśli sobie pani oczywiście, że jestem wydrą, bo rzeczywiście tamtego dnia miałam podły humor. Wszystko przez to, że nic mi się tu nie układa. Scruples to najpiękniejszy dom mody na świecie, ale co z tego, kiedy w ogóle nie mam ani towaru ani nikogo, kto by to wszystko zorganizował. Plułam i strzykałam żółcią, bo cała firma sypie się na moich oczach. Nie ma pani pojęcia, jakie to okropne uczucie.

- O, mój Boże.

- Nie dziwię się, że przemawia przez panią gorzko, ale musi mi pani uwierzyć, że kiedy pisałam list, myślałam, że w ten sposób się pani przysłużę.

- Przysłużyła się pani, owszem.

- Teraz sama już to wiem. Przy okazji, pogodziłam się z Prince. Wkrótce powinien się zwrócić do pani, kłopot tylko, że nie wie, jak zacząć, po tym, jak...

- Może się nie fatygować.

- Aż tak był okropny?

- Gorszy niż pani myśli.

- Jest pani pewna tej decyzji?

- Absolutnie pewna.

- Miałam nadzieję, że to usłyszę! Valentine, proszę przyjechać do Kalifornii i pracować dla mnie. Sama pani sobie wyznaczy zakres obowiązków. Rozpaczliwie poszukuję projektanta, bo bez własnych fasonów jesteśmy tylko zwyczajnym, nieprzytomnie drogim sklepem. Potrzebuję też kogoś, kto by sprowadzał z Paryża nowe kolekcje. Myślałam, że i w tym mogłaby mi pani pomóc. Do Nowego Jorku też będzie pani mogła jeździć do woli, bo uznałam niedawno, że nie warto spędzać całego życia w windach na Siódmej Alei. Są takie przygnębiające...

- Tylko tyle się pani ode mnie spodziewa? Mam być projektantem, nabywcą... Może jeszcze pokojówką?

- Proszę przynajmniej wysłuchać do końca mojej oferty. Osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie i pięć procent wszystkich zysków sklepu.

Oszołomiona Valentine nie wiedziała, co odpowiedzieć, lecz zaraz złośliwy irlandzki chochlik podszeptał jej słowa:

- Sto tysięcy. Skąd wiadomo, że w ogóle będą jakieś zyski?

- Dobrze, ale w tym wypadku będzie to po prostu pensja, bez udziału w profitach - przestrzegła Billy.

- Nie ma mowy, pani Ikehorn. Stać nas przecież na optymizm, prawda? Może sklep zacznie przynosić zyski i co wtedy. Sto tysięcy i pięć procent.

- Przecież to majątek!

- Takie jest moje ostatnie słowo. Albo mnie pani potrzebuje, albo podziękujemy sobie.

- No, ostatecznie niech będzie. Umowa stoi.

- Aha, no i oczywiście pensja dla mojego partnera. Siedemdziesiąt pięć tysięcy plus dwa i pół procent od zysków.

- Jakiego znów partnera?

- Petera Elliotta. To najlepszy sprzedawca na świecie, ma mnóstwo doświadczenia w tej branży. Tylko on będzie potrafił zreorganizować Scruples tak, żeby zaspokoić pani oczekiwania. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Od kiedy dorobiłaś się partnera, Valentine?

- A od kiedy to przeszliśmy na ty, pani Ikehorn?

- Ale ja nigdy o kimś takim nie słyszałam.

- Od kiedy zajmuje się pani sprzedażą? Proszę mi wybaczyć ten ton, ale spójrzmy prawdzie w oczy.

Billy na chwilę zamilkła, zdumiona bezceremonialnością Valentine. Pomyślała jednak, że ktoś, kto ma czelność zwracać się do niej w ten sposób, na pewno wie, o czym mówi.

- Bardzo mi się nie podobają te warunki, Valentine, ale jestem zbyt zajęta, żeby się dalej spierać. Owszem, zatrudnię was obydwoje i wierz mi, dopilnuję, żebyście robili, co do was należy. O pisemnych kontraktach oczywiście nie ma mowy.

- Musimy dostać roczny kontrakt na piśmie, pani Ikehorn. Za rok sama pani przestanie się wahać.

Billy nie wahała się dłużej. Jej dom mody w lawinowym tempie tracił pieniądze, co wprawdzie nie sprawiało Billy najmniejszej różnicy, bo stać ją było na większe wydatki, ale na pewno wystawiłoby ją na pośmiewisko, gdyby w Womeris Wear Daily opublikowano wszystkie statystyki. Nie tylko najadłaby się wtedy wstydu, ale przy okazji wystawiła

na drwiny ze wszystkich stron. Tymczasem Billy postanowiła, że cokolwiek się wydarzy, nigdy już, przenigdy ludzie nie będą się z niej śmiać. Właśnie dlatego działalność Scruples musiała się okazać sukcesem. Dom mody Scruples musi być perfektny!

- Jak szybko możecie się tu zjawić? - zapytała. Valentine dokonała w myślach szybkich obliczeń. Była środa. Jeżeli zaczną się zaraz pakować i w niedzielę wsiądą w samolot...

- Powiedzmy, że w poniedziałek. Czy mogłaby pani zarezerwować dla nas miejsca w hotelu? Na nasz koszt, oczywiście, dopóki nie znajdziemy sobie jakiejś kwatery.

- Wynajmę wam pokoje w Beverly Wiltshire. Od Scruples to dosłownie dwa kroki.

- Naprawdę? Będziemy mieli blisko przy dwunastogodzinnym dniu pracy.

- Osiemnastogodzinnym - poprawiła ze śmiechem Billy, zadowolona, że postawiła na swoim.

- W takim razie do poniedziałku, pani Ikehorn.

- Do zobaczenia, Valentine. Całe szczęście, że już się nie muszę tak przejmować, że straciłaś przede mną pracę. Zapłacę paręset tysięcy dolarów i po kłopotach.

- Na pewno nie aż tyle. Chociaż z drugiej strony mamy siedem i pół procent udziału w zyskach.

- Prince jak się dowie, wysra wieszak - Billy zachichotała.

- Na pewno polubi to uczucie - odpowiedziała Valentine i odłożyła słuchawkę.

Rozmowa tak ją pochłonięła, że zupełnie zapomniała o Spiderze. Bała

się teraz spojrzeć mu w oczy. Jego milczenie brzmiało jak oskarżenie. Jak mogła podjąć za niego tak ważną decyzję? Ale też dlaczego się nie sprzeciwiał? Valentine spod przymkniętych powiek zerknęła w stronę łóżka. Spider spał jak kamień. Było oczywiste, że przespał całą rozmowę. Jedna rzecz przemawiała z całą pewnością na jego korzyść: nie chrapał.

Spider Elliott nie wierzył, że polubi Billy Ikehorn i, że w ogóle się z nią dogada. Ona zaś miała dokładnie takie same zapatrywania na jego temat. Co więcej, Spider płonął z oburzenia, dowiadując się szczegół po szczególe, w jaki to arogancki i perfidny sposób Ikehorn postąpiła wobec Valentine, wywołując konflikt tej ostatniej z Prince. Fakt, że Valentine udało się nakłonić Ikehorn, by zatrudniła go - Boże, dopomóż! - jako szefa działu sprzedaży, upewniał Spidera w przekonaniu, że milionerka jest zwyczajnie głupia, a jej potrzeba zawładnięcia wszystkim bez wyjątku odebrała jej resztki zdrowego rozsądku.

Billy z kolei wywiedziała się dokładnie u tych spośród przyjaciółek, które regularnie czytywały *Women's Wear Daily* i upewniła się, że nikt, ale to nikt nie słyszał o gwiazdzie sprzedaży detalicznej nazwiskiem Peter Elliott. Jeżeli *WWD* nie znało takiego nazwiska, osoba po prostu nie istniała. Valentine chciała widocznie wyciąć numer i znaleźć posadę dla swojego gacha. Billy nie miała najmniejszego zamiaru puścić jej tego płazem. Postanowiła poczekać, aż „sprzedawca” palnie pierwsze głupstwo i dopiero wtedy przyprzeć go do muru.

„Kontrakt”, dobre sobie! Jeżeli Valentine potrzebuje tego gówniarza w charakterze pomocnika do wszystkiego, może go sobie mieć, ale nie za pieniądze, których zażądała. Za jedną dziesiątą tej sumy, owszem. Dla osoby bogatej najbardziej denerwujące jest to, że inni ludzie nie ustają w staraniach, by przywłaszczyć sobie cały jej majątek.

Od śmierci Ellisa, która nastąpiła przed rokiem, w Billy zaszło kilka poważnych zmian. Kiedy uświadomiła sobie, że jest wdową i spadkobierczynią jednej z największych fortun na świecie, pierwszą

rzeczą, na jaką się zdobyła, było sprzedanie więziennej cytadeli wysoko na wzgórzach Bel Air i kupno posiadłości w Holmby Hills, raptem cztery minuty jazdy od centrum handlowego w Beverly Hills. Nawet gdyby podczas pięciu lat zamknięcia w Bel Air Billy czyniła plany na przyszłość, nigdy by jej nie przyszło do głowy, że pozostanie w Kalifornii. Teraz jednak wydawało jej się to jedynym logicznym rozwiązaniem. Tutaj miała swój sklep, Scruples, tutaj chodziła na aerobik, tutaj miała koleżanki, z którymi umawiała się w restauracjach na pogwarki. Kiedy Ellis cieszył się jeszcze zdrowiem, przyjeżdżał z Billy do Kalifornii tylko wtedy, gdy przyszła mu ochota odwiedzić swoje winnice w St. Helena. Gdy zachorował, byli skazani na Kalifornię ze względu na klimat. W nieuchwytny sposób zachodnie wybrzeże stało się dla Billy jedynym miejscem, które mogła śmiało nazwać domem.

Billy, jak zawsze punktualna co do minuty, czekała na Valentine i Spidera u wejścia do Scruples. Jej śmiała uroda uderzała teraz jak nigdy przedtem. Billy należała do kobiet, które szczyt piękności osiągają dopiero po trzydziestce, a pod wpływem nieustannej, sekretnej stymulacji seksualnej i usług wyświadczanych przez szpaler kolejnych pielęgniarzy jej usta nabrały żarłocznego, namiętnego wyrazu rozpustnej gotowości i pełni, kontrastując przez to z wystudiowaną elegancją jej strojów.

Będą kłopoty - pomyślał Spider, kiedy ją tylko ujrzał.

Billy, która w tejże sekundzie spostrzegła Valentine i Spidera, odkryła nagle, że nie tylko w swoim ukrytym, drugim życiu, słucha głosu swojego krocza. To, co czuła, nie miało dotąd przystępu do jej codziennego, normalnego życia, nie mogło mieć, ze względu na zbyt wielkie ryzyko, zbyt dużą stawkę. Reputacja Billy, jej szczególna pozycja,

objawiająca się chociażby szacunkiem, z jakim odnosiła się do niej prasa, wszystko to wypływało z przeświadczenia, że wdowa jest kimś szczególnym i lepszym niż inni. Dla własnego bezpieczeństwa Billy nie mogła sobie pozwolić na najmniejszą szczelinę w zbroi pozorów, zwłaszcza im bardziej oddalała się od dnia pogrzebu. Tymczasem na widok Spidera poczuła się jak uderzona pięścią w brzuch - na widok jego męskiej postaci, której obca była zarówno chełpliwość, jak i wstyd. Wyczuwając radosną, zmysłową aureę, jaką wokół siebie roztaczał, Billy wprawnym okiem oceniła pokusę i w mgnieniu oka wydała wewnętrzny werdykt. Na tego właśnie spośród wszystkich mężczyzn nie mogła sobie pozwolić. Za blisko. A zresztą, dosyć rozklejania się, przykazała sobie Billy, idąc na spotkanie Valentine, której na przywitanie położyła dłonie na ramionach, w geście serdeczniejszym od uścisku dłoni, lecz nie przesadnie poufałym.

- Witam w Kalifornii - rzekła poważnie i szczerze. Była zachwycona przybyciem Valentine. Nareszcie ktoś do pomocy.

- Dziękuję, pani Ikehorn - z pewnym napięciem odpowiedziała jej Valentine. - A to mój partner, Peter Elliott.

- Przyjaciele mówią na mnie Spider - odezwał się nowy sprzedawca i schylił się, by ucałować dłoń Billy z gracją Freda Astaire'a. Nie wiedział nawet, że posiada ten dar, grację, z którą się trzeba urodzić, i której nie zastąpią lata ćwiczeń. Valentine nigdy nie widziała, by Spider całował dłoń jakiegokolwiek kobiety oprócz niej samej.

- Mówcie mi po prostu Billy. Ty też, Valentine. Każdy, kto się przeprowadza na zachodnie wybrzeże, musi się od nowa uczyć manier. A to mój sklep, Scruples. Co powiecie?

- Billy dumnym gestem wskazała wspaniały budynek, który przyćmiewał swą elegancją całe olśniewające przecież sąsiedztwo. Spider przeszedł wzdłuż frontu budynku, zawrócił, podszedł do obu pań i beznamiętnie orzekł:

- Okna do niczego.

- Jak to do niczego?! Ten budynek stoi dopiero od roku, a już zdobył trzy ważne nagrody architektoniczne. Mówi się o nim na całym świecie, a ty kręcisz nosem na okna! - Billy natychmiast wpadła w złość. - Jest doskonały, więc nie wiem, co byś chciał jeszcze zmieniać.

- Nie zmieniałbym tych okien. Tylko barbarzyńca mógłby chcieć przy nich jeszcze majstrować. Mówię tylko, że przyćmiewają towar w witrynie. Scruples to ostatecznie sklep, nie tylko perła architektury. Ale to wszystko szczegóły, Billy, i łatwo się będzie z nimi uporać. Znajdę sposób, nie ma obawy. To co, może wejdziemy do środka?

Z tymi słowy Spider położył obu paniom dłoń u nasady pleców i delikatnie poprowadził je ku podwójnym drzwiom, kiwając głową nieznanemu portierowi i uśmiechając się w duchu. Witryny były rzeczywiście fatalne. Dobry Bóg zesłał mu na szczęście natchnienie. Oby nie po raz ostatni.

Billy nie mogła się doczekać reakcji gości na widok wnętrza domu mody, przedmiotu jej dumy i radości. Wnętrze to w każdym misternym szczególe naśladowało słynny dom Diora w Paryżu.

Spider zamarł tuż za progiem i rozejrzał się, jak gończy pies wciągając w nozdrza zapachy.

- Miss Dior - oznajmił obojętnym tonem, mając na myśli unoszącą się w powietrzu woń perfum.

- To już nie twoja działka - ucięła Billy, wciąż nie mogąc przełknąć jego komentarza na temat okien wystawowych. - Wnętrze jest doskonałe, i nie trzeba w nim niczego zmieniać. Przejdźmy lepiej do magazynów, pokażę wam, co mamy w zapasach. Musicie mi dokładnie opowiedzieć, co o tym wszystkim sądzicie, jakie będą nowe zasady zakupów, i...

- Przepraszam cię, Billy, ale to zły pomysł - przerwał jej Spider. - Obejrzymy sobie towar w odpowiednim czasie, mogę ci to obiecać. W handlu nie chodzi tylko i wyłącznie o towar. Handel to przygoda. Handel to wielka zagadka...

Zwłaszcza dla nowojorskiego fotografa, przeszło mu przez głowę.

- Zakładam, że co miesiąc zmieniasz asortyment towaru, więc może zajmijmy się najpierw przygodą i tajemnicą. Pozwolą panie za mną - tu Spider ruszył przed siebie, nawet się nie oglądając, by sprawdzić, czy Billy i Valentine idą za nim. Przystając na środku wielkiej sali, Spider zlustrował wnętrze Scruples od podłóg do sufitu, zajrzał do podziemnego garażu dla klientów i zwiedził wszystkie zakamarki, ograniczając swój komentarz do niewyraźnych chrząknięć, które mogły oznaczać dosłownie wszystko, lecz przynajmniej w jego uszach brzmiały jak opinia eksperta. Valentine nie kryła już oszołomienia, przerażona, że lada chwila wszystko się wyda, lecz Spider nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Billy tylko zaciskała wargi w wyrazie konsternacji, lecz postanowiła pokazać gościom wszystkie kąty sklepu. Była pewna, że wnętrze nie ma sobie równych, jeśli chodzi o elegancję, wielkość, rozmiary przy - mierzalni i luksus.

Pod koniec zwiedzania Spider spojrział na zegarek i zaproponował wspólny lunch, przy którym mogliby wymienić komentarze, a potem wrócić do sklepu i przejrzeć zapasy towaru. Billy zgodziła się tylko

dlatego, że sama zaczynała być głodna.

- Gdzie tu najbliżej można coś zjeść? - zapytał Spider.

- Możemy pójść do Brown Derby, po przeciwległej stronie Rodeo, ale odkąd zmienił się tam rok temu właściciel, zeszli na psy. Najbliższy porządny lokal to La Bella Fontana, w waszym hotelu. Idziemy!

Cała trójka z narażeniem życia przemknęła przez dwie jezdnie, przekraczając Rodeo Drive w najszerszym miejscu tej ulicy, przeskakując przez wysepki na jezdni i umykając spod samochodów, które na czerwonym świetle skręcały w prawo, zgodnie z przepisami. Trzeba było jeszcze przebiec bulwar Wilshire w takim tempie, by zdążyć zanim na przejściu dla pieszych zgaśnie zielone światło. Nareszcie jednak Billy, Valentine i Spider znaleźli schronienie w cichej, oddzielonej od sali zasłoną, restauracyjnej loży w La Bella Fontana, gdzie ściany były obite czerwonym aksamitem, a pośrodku lokalu szemrała fontanna. Wszędzie dookoła stały kwiaty, a całe wnętrze umiejętnie naśladowało swoją atmosferą staromodną knajpkę w Wiedniu albo Budapeszcie.

- Jak tu ślicznie, Billy - odezwała się Valentine, szczęśliwa, że nareszcie może usiąść.

- O to też mam pretensję - dodał Spider.

- O co ci chodzi? - zdumiała się Billy, którą bardzo bolały stopy.

- Powiedzmy, że wybrałaś się do Scruples kupić sobie masę ubrań przed wypadem do Nowego Jorku czy Londynu, albo przed weselem, albo przed wyjazdem do Palm Springs czy na festiwal do Cannes. Wyjazd jest dla ciebie tak ważny, że będziesz całymi godzinami wybierać wszystko i przymierzać, nie wspominając już o przeróbkach.

- Nie powiedziałaś niczego nowego. Dokładnie tak się zachowują w

Scruples wszystkie klientki - odparła Billy z pewnym napięciem w głosie.

- No więc, powiedzmy, że klientka zjawiała się w twoim sklepie o jedenastej rano, przez dwie godziny przymierzała różne rzeczy i dalej nie jest gotowa.

- Co z tego?

- To, że zrobi się głodna. To, że będą ją bolały nogi. Widzę, Billy, że ty też zdjęłaś buty.

- Co to wszystko ma wspólnego ze sprzedażą, Spider?

- zapytała Billy, pewna już, że za minutę opowie mu o wynikach swojego prywatnego śledztwa.

- To, że cię bolą nogi? Nic, a nic. To, że klientki bolą nogi? Wszystko. To, że klientka jest głodna? Tym bardziej. Tutaj kryje się klucz do całej sprawy.

- Wolałabym, żebyś przestał mówić zagadkami. Nie sprzedajemy butów i nie prowadzimy restauracji. Prowadzimy sklep, z lepszym czy gorszym skutkiem.

- Zawsze z gorszym, dopóki nie otworzysz restauracji. - Tu Spider posłał Billy dobrotliwy uśmiech. - Wiesz, co się stanie, kiedy klientka zgłodnieje i rozbolą ją nogi? Spadnie jej poziom glukozy we krwi. Jeżeli mimo to dalej będzie przymierzać ubrania, stanie się kłótniwa i opryskliwa, a co gorsza, uzna, że nie widzi tutaj nic dla siebie. Jeżeli teraz przerwie zakupy, żeby pójść coś zjeść, istnieje duże prawdopodobieństwo, że powróci po konkretną kreację konkretnie z twojego sklepu tylko wtedy, jeśli bardzo jej będzie na tym zależało. Moim zdaniem klientka, która raz wyjdzie, nie wróci, tylko pójdzie gdzie indziej. Musimy zacząć od tego, żeby wygrodzić część garażu - i tak jest za duży jak na nasze potrzeby - i

urządzić tam kuchnię. Potem wynajmie się paru kucharzy, może na początek tylko jednego, paru kelnerów... Klientki dostaną przekąskę na koszt firmy. Nic wymyślnego, Billy, ot sałatki, kanapki. Zauważyłem, że w każdej przymierzalni stoi szezlong. W sam raz, żeby kiedy już usiądą i zaczną jeść, zrobić im masaż stóp. Dobry masaż potrafi ożywić całe ciało.

- Tu Spider podniósł znacząco brew pod adresem Billy. - Na pewno znasz najlepszych masażyстів w tym mieście, co? Wątpię, czy na początek będziemy potrzebowali więcej niż trójkę. Potem, kiedy panie już zjedzą i nieco się odświeżą, będziemy im mogli wepchnąć cały, kurczę, sklep.

Spider skinął na szefa sali, który przyniósł im natychmiast menu.

Przez minutę Billy była oczarowana pomysłem. Oczami duszy widziała wszystko dokładnie tak, jak jej to odmalował Spider. Potem jednak wróciła do siebie i warknęła:

- Doskonały pomysł. Rozwiążemy w ten sposób małe i niezbyt ważne zagadnienie, mianowicie, jak zatrzymać klientki w sklepie w porze posiłku. Kłopot w tym, że z dnia na dzień ubywa mi klientek. W sklepie w ogóle nie ma ruchu. Nie mam dla nich towaru, który by chwycił, żadne więc sztuczki w rodzaju kuchni nic tu nie pomogą. Jesteś pewien, Spider, że twoja specjalność to odzież, a nie gastronomia?

Spider posłał Billy swój najbardziej szatański uśmiech, godny prawdziwego kowboja. Valentine pomyślała z wściekłością, że za chwilę Spider teksańskim akcentem odpowie: Eee tam, łaskawa pani. Co to dla nas, facetów z Dzikiego Zachodu. Spider rzekł jednak:

- Od czegoś trzeba zacząć, Billy. Nie powiedziałem ci jeszcze ani słowa na temat tego obrzydliwego purytańskiego wystroju, bo przecież ten sklep odstrasza ludzi.

Billy spojrzała na niego zaszokowana i zbyt zaskoczona, by natychmiast wpaść w furję. Widząc to, Spider uznał, że zwycięstwo samo wpada mu w ręce. Ciągnął więc:

- Ale o tym pogadamy, jak podpiszemy kontrakty. Nie należy sobą szastać, jak powiadała jedna moja koleżanka. Moje panie, pora byłoby coś przegryźć.

* * *

Biuro prawnicze Strassbergera, Lipkina i Hillmana zajmowało całe dwa piętra jednego z niedawno zbudowanych, bliźniaczych wieżowców Century City, szklanych gigantów, na których widok, podczas jazdy bulwarem Santa Monica, mieszkańcy Beverly Hills kręcili głowami i rozmyślali o trzęsieniach ziemi. Biuro, które w kręgach wtajemniczonych cieszyło się sławą najpotężniejszej żydowskiej firmy prawniczej w Los Angeles (gdzie jak w większości wielkich miast instytucje tego rodzaju, podobnie jak podmiejskie kluby, dzielą się na zdecydowanie żydowskie i zdecydowanie gojowskie), miało szczęście do dekoratora wnętrz. Artysta ten chciał uzmysłwić klientom biura, że nawet jeśli trzęsienie ziemi zaskoczy ich uwięzionych na dwudziestym albo dwudziestym pierwszym piętrze, umrą z fasonem, a nawet w glorii chwały.

Kiedy Valentine i Spider wysiedli z windy, odnieśli wrażenie, że znajdują się w mahoniowo - orzechowym gąszczu przetykanym grubą tkaniną nowych dywanów i cienką stary kobierców. Mnóstwo tu było ciętych kwiatów i antyków, a recepcjonistka miała na twarzy szczerzy uśmiech. W Los Angeles prawdziwą wizytówką każdej szanującej się firmy jest właśnie przyjazna, czarująca recepcjonistka. Spider i Valentine mieli podpisać kontrakt przygotowany przez osobistego adwokata Billy

Ikehorn Joshuę Izajasza Hillmana.

Chociaż prawnicze zaplecze działalności koncernu Ikehorn Enterprises znajdowało się nadal w Nowym Jorku, od śmierci Ellisa Billy bardziej niż przedtem zaczęła polegać na usługach Josha Hillmana. Większość zleceń dla niego polegała na kontrolowaniu poczynań prawników w Nowym Jorku. Przed śmiercią Ellisa Billy podpisywała wszystkie niezbędne dokumenty nie myśląc o tym, co robi, bo choć Ellis nie mógł już służyć jej radą, wciąż czuła się pod jego opieką. Ten nierzeczywisty stan rzeczy trwał do chwili, w której Billy w spadku po mężu przejęła kontrolny pakiet akcji koncernu. Kiedy się to stało, Billy uznała, że powinna przynajmniej wiedzieć wszystko, co niezbędne, o każdym podpisywanym dokumencie. Josh Hillman stwierdził więc wkrótce, że sprawom pani Ikehorn poświęca więcej niż połowę czasu. Aby doglądać jej spraw w każdym szczególe, musiał zatrudnić w swojej firmie kilka nowych osób, w związku z czym urosły też ogromnie honoraria, jakie Billy płaciła za te usługi. Nikt nie uskarżał się na taki układ, pochwalany nawet przez nowojorskich prawników Billy, dla których Josh Hillman był zawsze wzorem adwokata. Jego radom rzeczywiście nie można było nic zarzucić. Josh chronił interesy Billy, nie próbując podważać starannie wyważonych, istotnych decyzji kolegów z Nowego Jorku.

Josh Hillman dobiegał czterdziestego drugiego roku życia i osiągnął stan, który powinien być udziałem każdego, kto w przeszłości był cudownym dzieckiem: dostał się do elity swojej grupy zawodowej i miał nieograniczone możliwości kariery.

Urodził się i wychował na Fairfax Avenue, w sercu żydowskiej

dzielnicy Los Angeles. Był jedynym synem rabina z małej, podupadłej synagogi. Czytać nauczył się w wieku dwóch i pół lat. Kiedy skończył czternaście, otrzymał na Harvardzie pełne stypendium. Mając osiemnaście i pół roku ukończył studia z najwyższym wyróżnieniem, a trzy lata później otrzymał dyplom harvardzkiego wydziału prawa jako redaktor studenckiego Harvard Law Review. Pozycję tę zdobyć jest równie trudno, jak zostać naczelnym redaktorem New York Timesa.

Tradycja nakazuje młodemu człowiekowi o takich zasługach zatrudnienie się jako młodszy prawnik i pomocnik jednego z dziewięciu sędziów z gremium Sądu Najwyższego USA. Można wówczas zacząć marzyć o dniu, w którym po czterdziestu latach coraz błyskotliwszych osiągnięć w pracy, będzie można przejąć fotel po swoim mistrzu.

Układ szans nie przemawiał jednak do Hillmana, który doskonale wiedział, że niepisany zwyczajem w gronie dziewięciu sędziów każdorazowo mógł się znajdować tylko jeden Żyd, i że członkowie gremium Sądu Najwyższego USA żyją nieprzyzwoicie długo, ustępując pod tym względem tylko wdowom po miliardach.

Hillman tymczasem po siedmiu latach na chudym stypendium był żywotnie zainteresowany zbiciem majątku. Przez te siedem lat tylko dwa razy stać go było na wakacyjne odwiedziny u rodziców, którzy nie ruszyli się krokiem z Fairfax Avenue. Pracując w wakacje zarabiał zaledwie tyle, by mieć co na siebie włożyć i czym zapłacić u fryzjera. Odłożony zapas gotówki przeznaczył młody Hillman właśnie na obie podróże do rodziców w Kalifornii. Ominęła go także większość atrakcji studenckiego życia na Harvardzie, bo nie było go na nic stać. Na wydziale prawa z kolei nie zajmował się niczym oprócz nauki. W 1957 roku przyjął więc posadę w

Los Angeles u Strassbergera i Lipkina, by dwie dekady później stać się partnerem tej dwójki, młodszym wprawdzie, lecz wcale nie ustępującym im wpływami.

Hillman był człowiekiem poważnym, a o romansach słyszał tylko jako o średniowiecznym wynalazku, którym umilały sobie czas damy dworu, kiedy ich mężowie wyruszali na krucjaty. Owszem, lubił seks, ale nie widział powodu, by tracić głowę z tego powodu. Czuł więc miłą wyższość w stosunku do swoich rówieśników, którzy co chwila, znudzeni w łóżku swoimi żonami, rozwodzili się i natychmiast pozwalali młodym dziewczynom robić z siebie durni. Cała ta sprawa wydawała mu się przereklamowana. Fakt, że i jego żona dawno go znudziła, ale czy to ma być dobry powód, żeby się rozglądać na boki? Hillman, poważny człowiek, wam powie, że to nie jest dobry powód.

Josh Hillman ożenił się w sposób inteligentny i z całą powagą. Za żonę wziął Joanne Wirthman, córeczkę hollywoodzkiej arystokracji - tej prawdziwej, nie ersatzowej. Dziadek Joanne był założycielem jednej z największych wytwórni filmowych Ameryki, jej ojciec jednym z wielkich producentów filmowych. Żona wniosła więc w posagu tradycję oglądania filmów w domowym kinie. Co więcej, nie jej matka, ale wręcz babka była posiadaczką pierwszej łazienki firmy Porthault w całym Bel Air.

Do czasu spotkania z Joshem Hillmanem Joanne Wirthman nigdy nie słyszała o *gefilte fisch*, ale po niedługim czasie przekonała się, że danie to może być smaczniejsze niż szkocki łosoś - tak jak Josh okazał się ciekawszy i bardziej męski niż bogaci chłopcy, wśród których się wychowywała. Młoda para odkryła ze zdumieniem, że dziadkowie zarówno Joanne, jak i Josha urodzili się w Wilnie. Nie znaczy to wcale, że

dopiero ten figiel genealogii - czyniący z młodych, kto wie, czy nie dalekich kuzynów? - przeważył szalę na rzecz ubogiego Josha z Fairfax Avenue, bo rodzice Joanne Wirthman byli uszczęśliwieni, że ich pokaźnej tuszy, spokojna i metodyczna córka znalazła oblubieńca w postaci redaktora *Harvard Law Review*, który okazał się wysoki i przystojny, a na dodatek wciąż sprawiał młodzieńcze wrażenie. Ponieważ czekała go olśniewająca przyszłość, dla Wirthmanów było również jasne, że nie jest on łowcą posagów.

Joshowi rzeczywiście nie chodziło wyłącznie o pieniądze Joanne. Mówiąc uczciwie, Josh polubił swoją wybranekę, a poza tym zbliżał się wówczas koniec roku, jaki młody człowiek wyznaczył sobie na ożenek i rozpoczęcie życia rodzinnego. Josh niezmiernie poważnie traktował wszelkie harmonogramy - ba, w ogóle był niezmiernie poważny.

Joanne okazała się mizerną zawodniczką w łóżku, za to prawdziwym championem, jeśli chodzi o ciążę, gdyż błyskawicznie urodziła Joshowi dwóch synów i córkę. Znakomicie się też spisywała w damskich turniejach tenisowych w klubie Hillcrest, bezkonkurencyjnie zbierała też datki na Centrum Muzyczne, Szpital Dziecięcy, Ośrodek Cedars-Sinai, Radę do Spraw Sztuki i na Muzeum Sztuk Pięknych w Los Angeles. W wieku lat trzydziestu pięciu stała już na czele bardzo ekskluzywnej grupki pań z Los Angeles, których poparcie jest niezbędne przy jakiegokolwiek akcji dobroczynnej, żydowskiej czy nieżydowskiej. Grupa ta tworzy swoisty most pomiędzy starą socjetą Kalifornii, a nową żydowską falą biznesmenów, którzy także usłyszeli, że nigdy nie pada tu deszcz. Do krainy, w której źródłem bogactwa były wyłącznie majątki ziemskie, drewno, koleje żelazne i ropa naftowa, ściągnął tę ostatnią grupę nowy

wynalazek, jakim była kamera filmowa.

Z biegiem lat Josh Hillman coraz mniej przypominał niedopiętego, przerośniętego studenta. Przeistoczył się w smukłego, schludnego mężczyznę, z którego postaci biła władczość. Jego ciemnoszare oczy o zewnętrznych kącikach leciutko zadartych do góry nadawały reszcie twarzy wiecznie pytający wyraz, co nie zmieniało faktu, że Hillman cieszył się opinią starego spryciarza. Uśmiech pojawiał się na tej twarzy rzadko, lecz w sposób nieomylny znamionował sardoniczny typ humoru. Hillman miał też szerokie, słowiańskie kości policzkowe i szeroki, prosty nos, który w przeszłości ciągle dostarczał obu babciom prawnika tematu do kłótni - jedna przez drugą oskarżały wzajemnie swoje córki, że dały się zgwałcić Kozakom, tuzinom Kozaków. Hillman starannie strzygł szpakowate włosy i ubierał się w szalenie tradycyjne, szyte na miarę garnitury z dopasowanymi kamizelkami, kupowane u Erica Rossa albo w Carroll and Company. Materiał na garnitury pochodził z Anglii, a stonowane kolory pasowały do spokojnego kroju. Koszule również szyto dla Hillmana na miarę w firmie Turnbull i Asser, do której prawnik zaglądał, ilekroć zjawiał się w Londynie. Jego krawaty wyróżniały się wyłącznie ceną. Hillman nie ubierał się w ten sposób przez próżność, lecz dlatego, że jego zdaniem tak właśnie powinien się nosić szanujący się adwokat.

Josh Hillman był też względnie zadowolony ze swojego małżeństwa - do czasu, kiedy ujrzał Valentine. Jego matka, osoba o tradycyjnych poglądach, nieraz wbijała mu do głowy, że na każdego porządnego chłopca z dobrej żydowskiej rodziny czyha gdzieś w świecie żółtowłosa, niebieskooka gojka, a jeżeli jej syn da posłuch owym syrenim zewom, sam

siebie wyda na hańbę i zatracenie. Tak się jednak złożyło, że klasyczna anglosaska uroda kobieca nigdy jakoś nie przemawiała do Josha, który uważał, że piękne jasnowłose dziewczęta są nudne w typowości swojej urody. Książki w stylu Kompleksu Portnoya uznawał za przejaw chorej, fetyszystycznej wyobraźni, która nadaje niepotrzebne znaczenia zadartym noskom i włosom koloru blond. Niestety, sędziwa matka Hillmana nie przewidziała rozmaitości pokus. Nie pomieściłoby się jej w głowie, że jej własny syn może zapłonąć ogniem na widok rudowłosej damy, pół - Irlandki, pół - Francuzki o jasnozielonych oczach morskiej syreny i inteligentnej, delikatnej twarzy. Kiedy Valentine weszła do gabinetu, Joshua, niezbyt skory do romantycznych scen, instynktownie poderwał się na równe nogi. Spidera, postępującego tuż za Valentine, zarejestrował tylko w postaci rozmazanej smugi i bez namysłu podbiegł do nowo przybyłej. Całym sobą czuł, że oto natknął się na coś niemożliwego do określenia, coś, czego nigdy nie czuł do tej pory.

Lekkie pomieszanie wysokiego prawnika nie uszło oczywiście uwagi Valentine, która jednak ściskając podaną dłoń uznała, że widocznie Billy rozmyśliła się co do kontraktu po tym, jak okropnie zachowywał się wobec niej Spider tego poranka. Bezwiednie podkreśliła więc swój francuski akcent, co jeszcze bardziej zamąciło Joshowi Hillmanowi w głowie i podsunęło mu głupie i zupełnie nie na miejscu przebłyski myślowe na temat wiosennego Paryża.

Kiedy czekali wszyscy troje, aż sekretarka przyniesie teksty kontraktów, w głowie Hillmana trwała myślowa gonitwa.

Gdy Billy pierwszy raz przedstawiła mu treść kontraktów, jakie wynegocjowała z Valentine przez telefon, adwokat był po prostu

zgorzony. Jego klientka wykazała pewną nierozwagę, odstępując tak pokaźny udział w zyskach sklepu i za tak kolosalne pensje najmując młodzieńką projektantkę, spotkaną raptem parę razy w życiu, a z nią dżentelmena, o którym nie wiedziała dosłownie nic. Doradził więc Billy, aby wprowadziła do obu kontraktów klauzulę o unieważnieniu umowy. Dzięki temu paragrafowi Billy z trzytygodniowym wyprzedzeniem mogła rozwiązać umowę o pracę i umowę o udziale w zyskach. Hillman musiał cierpliwie tłumaczyć Billy, że nie ma najmniejszego znaczenia, iż Scruples połyka pieniądze jak smocza gardziel, a na zmianę tej sytuacji i nowe zyski nie ma najmniejszych szans. Chodziło o zasadę, o to, by utrzymać maksimum władzy nad dwójką nowych pracowników. Billy natychmiast pojęła, do czego zmierza Hillman. Teraz jednak adwokat zżymał się na własną dalekowzroczność. Nie podobało mu się wcale, że panna O'Neill może pożegnać się z pracą przy byle kaprysie najbardziej władczej, zepsutej i wymagającej klientki biura. Było jednak za późno na jakiegokolwiek zmiany.

Gdy Spider i Valentine studiowali treść kontraktów, Hillman zza zasłony złożonych dłoni studiował Valentine. Opierając kciuki na policzkach, a palce wskazujące na skroniach, mógł ukryć prawie całą twarz, nie tracąc wyrazu głębokiej zadumy. Często uciekał się do tej sztuczki. Z fascynacją przyglądał się grze uczuć na drobnej twarzy Valentine, tak zachwycony, że nie spojrział nawet na Spidera, który znad stronicy odezwał się:

- Coś mi się tutaj nie zgadza.

Hillman otrząsnął się jednak natychmiast z rozmarzenia, gdy Valentine także zerwała się z fotela z głośnym okrzykiem:

- *Merde! Merde!* - powtórzyła. - A to, co za gówno, co? Kiedy trzasnęła kontraktem o biurko, jej twarz była tak blada z wściekłości, że gdyby nie burza rudych włosów, dziewczyna wyglądałaby jak czarno - biała fotografia.

- To znaczy, że można nas wypieprzyć z trzytygodniowym wypowiedzeniem?! Nie przypominam sobie takiej umowy z panią Ikehorn. Jak śmiała! Mam powiedzieć głośno, jakie kobiety robią takie numery? To nieuczciwe, niehonorowe, podłe, obrzydliwe! Nie spodziewałam się tego po niej, ale się pomyliłam. Nigdy nie podpiszemy tych kontraktów, panie Hillman. Proszę zadzwonić do swojej klientki i natychmiast ją o tym poinformować. I proszę jej powtórzyć, co o niej myślę. Zbieraj się, Elliott, idziemy!

- To nie ona wprowadziła ten zapis! - odezwał się pospiesznie Josh Hillman. Nie ona, tylko ja. Zwykła prawnicza ostrożność. Proszę nie winić pani Ikehorn. Nie miała z tym nic wspólnego.

- Zwykła prawnicza ostrożność! - Hillman aż zamrugął, zdumiony gwałtownością wybuchu Valentine. Pluję na zwykłą prawniczą ostrożność! Jeżeli to nie ona, w takim razie pan powinien się za siebie wstydzić. Co za podła sztuczka!

- Wstydzę się - przyznał Hillman natychmiast. - Proszę mi wierzyć, że się wstydzę.

Na jego twarzy malował się ból i przerażenie. Tak bezradnie i żałośnie nie wyglądał od dnia swojej bar mykwy, kiedy to na długą i koszmarną minutę opuściła go cała znajomość hebrajskiego w chwili, kiedy miał wygłosić zwyczajową mowę. Do dziś drżał na samo wspomnienie tamtego momentu. Valentine wpiła się w niego złym

wzrokiem, w którym kipiała cała jej wojownicza natura.

- Val, malutka, zamknij się, kurczę, na sekundę - zaproponował przyjaźnie Spider. - A więc, panie Hillman, jeżeli to pańska ostrożność podpowiedziała, że klauzula o wypowiedzeniu powinna się znaleźć w kontrakcie, czy pańska ostrożność nie podpowiada panu aby, że klauzula ta powinna z kontraktu natychmiast wylecieć? Jak pan sądzi?

- Musiałbym porozmawiać z panią Ikehorn - odezwał się z ociąganiem prawnik.

- Poczekamy na wynik tej rozmowy na zewnątrz - uspokoił go Spider, czyniąc palcem znaczący gest w stronę telefonu. - Może mógłby pan także skłonić swoją sekretarkę, żeby nam przyniosła kawy.

Po tej kwestii wziął Valentine pod rękę miażdżącym uchwytem i wyprowadził z gabinetu, nie czekając, aż dziewczyna znów zerwie pertraktacje.

Josh Hillman przez minutę karał czubkiem buta swoje biurko, a potem przewertował prywatny notes z telefonami. Znalazł numer i połączył się z nim bezpośrednio, omijając sekretariat. Przez krótki moment mówił coś z ożywieniem i bardzo szybko do słuchawki, a potem przez interkom nakazał sekretarce wprowadzić Valentine i Spidera.

- Wszystko załatwione - oznajmił im z uśmiechem pełnym ulgi. - Za pięć minut dostaniemy poprawione teksty kontraktów. Zatrudnienie na rok, pełna gwarancja, żadnych dodatkowych warunków.

- Ha! - w głosie Valentine nadal pobrzmiwała pogarda zmieszana z podejrzliwością. Kiedy przyniesiono jej papiery, prześledziła w nich najdrobniejsze słówko, mając na twarzy wypisany odwieczny francuski sceptycyzm. Kiedy i Spider upewnił się, że w umowie nie ma już żadnych

kruczków, obydwójce złożyli swoje podpisy na dokumencie.

Kiedy tylko wyszli z gabinetu, Josh Hillman nakazał sekretarce, by nie łączyła z nim żadnych rozmów. Z doświadczenia wiedział, że potrzebuje co najmniej pół godziny, by odszukać Billy Ikehorn i poinformować ją, że pomimo najlepszych starań, mimo potoków wymowy i wszelkich innych sposobów nie udało mu się skłonić dwójki pracowników Billy do podpisania kontraktów, dopóki nie usunął z nich kontrowersyjnego zapisu. W ocenie Hillmana samo przekonanie Billy, że wymazana klauzula nie była wcale aż tak niezbędna, mogło mu zająć dobre dziesięć minut. Wiedział jednak, że postawi na swoim. Potrafił przecież przekonać wszystkich, w dowolnej sprawie. Tak przynajmniej sobie wyobrażał do dzisiaj.

- *Merde* - mruknął do siebie, uśmiechając się na samo wspomnienie, po czym kazał sekretarce zadzwonić w rozmaite miejsca, gdzie mogła akurat przebywać Billy Ikehorn. Natychmiast.

Kiedy pod wieczór Valentine weszła do swojego hotelowego pokoju, znalazła na stoliku pleciony irlandzki koszyk. Z wyściełającego dno zielonego mchu zdawały się wyrastać wysokie łodygi bukietu białych pierzastych orchidei, z których niektóre rozkwitły, a niektóre były jeszcze w pąkach. Bukiet oznaczał wiosnę i wiosenne, bolesne błogosławieństwo. Na karteczce obok koszyka Valentine przeczytała: „Z wyrazami najgłębszego ubolewania z powodu naszych dzisiejszych *contretemps*. Żywię nadzieję, że zechce pani jednak przyjąć moje zaproszenie na kolację, po upływie stosownego okresu pokuty z mej strony. Josh Hillman”.

Valentine natychmiast wybaczyła adwokatowi, a jej serce zmiękło

jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, jak bardzo biedził się Hillman, by przeliterować słowo „contretemps” sprzedawcom u Davida Jonesa, w najlepszej kwiaciarni w Los Angeles. Josh dzwonił do kwiaciarni w chwili, gdy Valentine i Spider popijali kawę w przedsiionku jego gabinetu, przekonani, że adwokat omawia z Billy Ikehorn nieszczęsną klauzulę na temat wypowiedzenia pracy.

* * *

O trzeciej nad ranem Spider, który nadal nie mógł zasnąć, usłyszał cichutkie stukanie do drzwi swojego pokoju. Otworzył je, by ujrzeć roztrzęsioną Valentine, otuloną granatowym szlafrokiem. Objął ją i wprowadził do środka, usadził w fotelu i z zaskoczeniem i lękiem zapytał:

- Co się stało, Val? Boże, źle się czujesz?

Valentine wyglądała jak przerażona dziewczynka. Zielone oczy bez czarnej mascary były wilgotne od łez. Nawet rude loki straciły coś ze swej zadziorności.

- Ach, Elliott! Chyba umrę ze strachu!

- Ty?! Kochanie, mam ci powiedzieć, jak sam się czuję?

- Sądząc z tego, jak się dziś zachowywałaś, byłam przekonana... Byłeś taki opanowany, tak pewny siebie, taki nieposłuszny wobec Billy...

- A ty sama, co? Prawie wyszłaś z gabinetu tego prawnika, już chciałaś trzasnąć drzwiami. W takiej złości nigdy cię nie widziałem, nawet kiedy byłaś na mnie wściekła.

- Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło. Kiedy robię się zła, przestaję myśleć. Ale co z tego, Elliott? Leżę w łóżku i nie mogę się opędzić od myśli, że jesteśmy tylko parą nieudolnych oszustów. Nigdy w życiu nie robiłam zakupów dla sklepu, ale z doświadczenia z zaopatrzeniowcami

wiem, że wszyscy oni mają za sobą całe lata praktyki. A ty? Przecież ty nie masz zielonego pojęcia o handlu! Żadnego! Kiedy Billy do mnie zatelefonowała, byłam taka wściekła, że umyślnie zażądałam od niej gwiazdki z nieba. Wtedy nie miałam nic do stracenia, ale teraz dostałam swoją gwiazdkę z nieba i konam z przerażenia, że ją stracę. Elliott, co my tu właściwie robimy?!

Spider delikatnie potrząsnął Valentine i położył jej rękę na szyi w taki sposób, że musiała mu spojrzeć w oczy.

- Moja niemądra Valentine. O trzeciej nad ranem zawsze ma się chandrę, co to, nie wiesz? - Widząc, że dziewczyna nie przyjmuje takiego argumentu, spowaźniał i tłumaczył dalej: - Zastanów się, Valentine. Gdybym nie uważał, że z naszym smakiem i wyobraźnią stać nas obydwójce na to, żeby się nam udało... Co z tego, że nigdy nie sprzedawaliśmy odzieży? Pamiętaj, że wiemy wszystko o modzie. Ty projektujesz ubrania, by kobiety wyglądały lepiej niż w rzeczywistości, a ja robię im zdjęcia, żeby im dodać urody. Obydwójce jesteśmy iluzjonistami, najlepszymi na świecie! Potrzeba nam tylko trochę czasu, żeby nauczyć się miejscowych zwyczajów i postawić Scruples na nogi. Wiem, że się nam uda.

- To wszystko nie jest takie proste - sprzeciwiła się przybita Valentine. - Tyle jest naokoło spraw, o których nie mam pojęcia, w tej całej Kalifornii. Nie jestem tu u siebie. Przerażające. A najbardziej się boję tego, w jaki sposób rozmawiasz z panią Ikehorn, Elliott. Czy ty masz w ogóle pojęcie, jak się ją traktuje na Siódmej Alei? Jak boginię! Nie tylko tam, wszędzie! Dzisiaj, owszem, położyła uszy po sobie, ale jutro zapłacisz jej za to. Potrafi być bezwzględna, uwierz mi. Nie zapominaj, jak

mi się odpłaciła, kiedy chciała obejrzeć moje kreacje, a ja jej nie pozwoliłam.

- Czy znasz takie stare amerykańskie wyrażenie, że ktoś jest „pizdą zadziobany”, Valentine?

- Nie znam, ale chyba wiem, co to znaczy. - Valentine uśmiechnęła się po raz pierwszy w tym długim dniu.

- Val, kochanie, wczuj się w całą sytuację. Są faceci zadziobywani od dnia, w którym przyszli na świat, innym znów przytrafia się to dużo później, niektórym udaje się wyjść cało. Sam na szczęście urodziłem się jako pan i władca na zamku. Dopiero Harriet Toppingham nauczyła mnie, co znaczy to wyrażenie. Kiedy nie pozwoliłem jej robić ze mną co zechce, zniszczyła mnie. - Valentine taktownie nie przypominała, że Spider nie wspomniał o Melanie Adams. - Billy Ikehorn ma w sobie talent na największą zadziobywaczkę świata, a może nawet już nią jest, z tym, że nie pozwolę i nie ścierpię tego z jej strony. Nie chodzi tylko o dumę czy o to, by jej tego nie puścić płazem, bo cała sprawa siedzi we mnie tak głęboko, że nie ma mowy o kompromisach. Jeżeli moim szefem ma być zadziobywaczka, nie ma dla mnie mowy o pracy, kontraktach czy sukcesach.

- Doskonale cię rozumiem, Elliott, ale czy to oznacza, że zawsze będziesz się z nią o wszystko spierał, zawsze wyśmiewał to, czego dokonała, zawsze ją podpuszczał?

- Nie. Chyba masz rację. Jak na pierwszy dzień, byłem trochę za ostry.

- A może i na drugi, i na trzeci dzień? Elliott, ona jest taka bogata!

- Jeżeli zaczniesz myśleć, ile ma forsy, koniec z tobą, mała.

Zapomnisz wtedy, że masz do czynienia z normalnym człowiekiem. Nie będziesz potrafiła wykrztusić do niej słowa, bo będziesz miała przed sobą fantom, a nie człowieka. Co z tego, że Billy jest bardzo, ale to bardzo bogata, tak bogata, że wybudowała sobie sklep, który nigdy nie wyjdzie na swoje, choćby pani Ikehorn stawała na głowie, wmawiała sobie, że jest artystką i królowała w Scruples jak Maria Antonina bawiąca się w pastereczkę. Maria Antonina, owszem, ale Golda Meir, Barbara Jordan, królowa Elżbieta czy Madame Curie to ona nie jest! Jeżeli zaczniesz podliczać sobie w głowie jej dochody, sparaliżują cię. To zupełnie tak, jakbyś sobie próbowała wyobrazić, jak daleko jest do najbliższej gwiazdy albo jak mała jest Ziemia w porównaniu z Mleczną Drogą. Ale pamiętaj, że Billy Ikehorn to normalna baba, która siada na sedesie, pieprzy się, siusia, puszcza bąki, je, płacze, boi się, cieszy, martwi tym, że się starzeje... To normalna kobieta, Valentine, a jeżeli stracisz ten szczegół z oczu, nigdy z nią nie dojdiesz do ładu. Ja też nie dojdę, jeżeli o tym zapomnę.

- Racja Elliott. Och rzeczywiście Billy to nie Joanna D'Arc ani Madame Chanel, ani Gerry Stutz, ani nawet Sonia Rykiel. Za to ja jestem idiotką! Żal Valentine zniknął bez śladu. Jej oczy zajaśniały nowym blaskiem. Błyskawicznie poderwała się z fotela i szybkim ruchem uchyliła drzwi.

- Dzięki, Elliott. Dobrze, że chociaż ty nie tracisz głowy. Teraz lepiej idźmy już spać. Jutro oszuści będą mieli wielki dzień.

- A buzi na dobranoc, współniczko?

Valentine podejrzliwie przyjrzała się Spiderowi. Prawie zapomniała o jego okropnych, rozwiązłych obyczajach. Wiedziała za to, że od czasu

historii z Melanie Adams Spider nie spał z żadną inną kobietą. Z wdziękiem wyciągnęła więc dłoń w jego kierunku, by mógł złożyć na niej pocałunek, po czym umknęła korytarzem, szepcząc słowa, którymi francuskie matki żegnają dzieci układając je do snu: - *Dors bien, et fais des bons rêves.*

* * *

Billy Ikehorn poszła spać wcześniej, co było błędem. Uświadomiła to sobie dobitnie, kiedy obudziła się o piątej rano, podrywając się nerwowo z posłania. W sercu miała złe, natrętne uczucie, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Kiedy na powrót ułożyła się wygodnie w pościeli, zrozumiała, co ją gnębi - co gnębi ją dzień w dzień już od prawie roku. Scruples.

Gdyby sklep mógł za machnięciem ręki zniknąć, rozsypać się w pył, uczyniłaby ten gest natychmiast, bez namysłu.

Na pomysł założenia Scruples wpadła Billy w ostatnim, wlokącym się okropnie roku życia Ellisa, czyli mniej więcej przed dwoma laty. Udało jej się już wówczas bez kłopotu zorganizować sobie drugie życie w pracowni malarskiej. Po krótkim okresie zainteresowania Ashem Billy najęła nową trójkę pielęgniarzy do opieki nad Ellisem. Dobierała ich z taką samą starannością, z jaką Katarzyna Wielka selekcjonowała żołnierzy do swej głośnej gwardii przybocznej. Świadomość, że może przebierać wśród dowolnej liczby mężczyzn, dopóki nie znajdzie dokładnie takich, jakich potrzebuje, dodawała Billy skrzydeł. Czasem któryś z jej wybranków nie mógł sprostać wymaganiom, czasem jeden i ten sam młody człowiek dostarczał jej erotycznych doznań przez długie miesiące, lecz koniec końców stało się dla Billy jasne, że nawet najlepsi i najsprawniejsi szybko jej się nudzą. Za każdym razem kończyło się to tym samym -

wypowiedzeniem z dnia na dzień, okraszonym sutą premią. Przez pewien czas wystarczały Billy rytuał selekcji, poczucie władzy i świadomość dominacji, lecz wkrótce rutyna zabiła dreszcz, a atrakcyjność zakazanego owocu zbladła pośród murów ośmiokątnego atelier, gdzie na sztalugach nadal stał wciąż ten sam blejtram, a w pudełkach czekały nie rozpakowane farby i pędzle. Przez długi czas Billy w dzień i w nocy napawała się atmosferą tajemnicy, towarzyszącą zakazanym schadzkom w pracowni, lecz z biegiem czasu wszystko to jej spowszedniało. Usług młodych pielęgniarzy potrzebowała teraz już tylko na tej zasadzie, na jakiej samotni mężczyźni zdają się na płatną miłość. Obsesja, która przedtem wiodła Billy od jednego do drugiego młodego mężczyzny, nakazując zdobywać ich i brać na własność, w ostatnim roku życia Ellisa wypaliła się do cna. Chociaż więc Billy wciąż szukała w swojej pracowni spełnienia i odpowiedzi na pytania, które zadawała sobie w swojej samotności, wiedziała, że do niczego to już nie doprowadzi.

Ellis tymczasem prawie całkowicie ztracił kontakt z otoczeniem, nawet z Billy i z pielęgniarzami. Nie poznawał już żony, kiedy przy nim siadała - a może, choć ją rozpoznawał, stała mu się obojętna. Kiedy brała go za rękę i spoglądała na jego zapadniętą twarz - twarz mężczyzny, który niegdyś władał finansowym imperium - czuła w sercu ból tak nieznośny, że nierzadko wybiegała z pokoju. Często po takich chwilach mówiła sobie, że przynajmniej dzięki temu wie, że nadal ma serce.

Całymi dniami Billy musiała sobie szukać zajęcia, co przychodziło jej tym trudniej, że nie należała do kobiet, które lubią działalność dobroczynną w towarzystwie innych żon bogatych ludzi. Może ten stan rzeczy był skutkiem samotniczego dzieciństwa. Fakt pozostawał faktem,

że ilekroć Billy znalazła się w dużej grupie swoich rówieśniczek, umierała ze wstydu i sztywniała, co poczytywano jej za oznakę wyniosłości i snobizmu. Billy zdawała sobie z tego sprawę, ale cóż mogła poradzić? Łatwiej jej było rozdawać miliony za pośrednictwem Fundacji Ikehorna, niż zmusić się do wydania balu na cele dobroczynne.

Nie potrafiła też zapełnić sobie czasu grą w tenisa. Czowała instynktowną odrazę na myśl o tym, że mogłaby się stać jeszcze jedną maniaczką kortu, od jakich roi się w Beverly Hills. Owszem, zaczęła znowu chodzić na zajęcia gimnastyczne do Rona Fletchera, gdzie przynajmniej nikogo ani trochę nie obchodziło, czy klnąca i spocona kobieta w trykotach to Billy Ikehorn, Ali McGraw czy Katherine Ross. Nazwisko przestawało być ważne, gdy wszystkie kobiety zrównywała kolejna seria skłonów i wymachów nogami, zmieniająca każdą uczestniczkę zajęć w szamoczącego się z własną słabością atlete.

Billy zaczęła też znowu dzwonić do swoich nielicznych koleżanek, z którymi w większości nie kontaktowała się od ponad roku. Poumawiała się z nimi i wytłumaczyła swoje zniknięcie jednym słowem: „Ellis”. To przez niego musiała trzymać się bliżej domu. Zdała też sobie prędko sprawę, że utraciła miejsce w elicie eleganckich kobiet. Dwa lata wcześniej przestano zamieszczać jej nazwisko na liście najlepiej ubranych pań - nic dziwnego, skoro od czasu romansu z Jakem nie kupiła sobie ani jednego nowego ubrania. Teraz jednak jej namiętność do strojów odżyła z nową siłą. Znów chciała obfitością strojów zapewnić sobie emocjonalny komfort, poczucie, że przynajmniej na zewnątrz nadal jest tak samo powabna i romantyczna jak wówczas, gdy Ellis był jeszcze władcą, a o niej samej pisano na pierwszej stronie *Women's Wear Daily*. Żaden, ale to żaden ze strojów nie

pasował już na nią - zupełnie, jak gdyby kupiła je inna osoba, żyjąca innym życiem.

Billy wypuściła się więc na piracką wyprawę szlakiem butików i domów towarowych Beverly Hills. Choć w zakupach kierowała nią teraz zupełnie inna motywacja, nie zmieniło się krytyczne oko Billy ani jej jawna dezaprobata dla wszystkiego, co nie reprezentowało najwyższej jakości. Usatysfakcjonowało ją bardzo niewiele spośród zgromadzonych łupów, lecz niestety, w sytuacji, kiedy była uwięziona w Kalifornii, zakupowa wycieczka do Nowego Jorku albo Paryża po prostu nie wchodziła w rachubę.

Któregoś dnia, idąc Rodeo i obserwując, ile nowych budynków powstaje wzdłuż tej prześlicznej, długiej alei, pełnej luksusowych sklepów - alei, którą znała na pamięć, lecz na której nie potrafiła teraz znaleźć niczego odpowiedniego - nagle Billy postanowiła sama wybudować dom mody: Scruples.

Przez dwa dni lustrowała zbieg Rodeo i Dayton, wymierzała potrzebną powierzchnię. Sąsiedni budynek domu Van Cleef & Arpels, z przyległym drugim budynkiem, mieszczącym sklep Battaglii i sklepik Frances Klein z zabytkową biżuterią, obserwowała z taką pogardą, że aż dziw, iż obie budowle natychmiast nie rozsypały się w gruzy. Okazało się, że sklep musi zająć swoim obszarem także parking przy Battaglii - w sumie 33 - metrowy odcinek Rodeo Drive. Długość działki wynosiła 28 metrów. Billy poczuła w sercu napięcie i łaknienie, jakiego nie znała od lat. Scruples wypełni puste miejsce w jej życiu. Musi je wypełnić.

Bez wahania odrzuciła na bok wszystkie przestrogi i obiekcje Josha Hillmana. Przy cenie trzech milionów dolarów działka przy Rodeo Drive

stanowiła, jej zdaniem, niesłychaną okazję. Wszystkie koszty pokryła Billy z fortuny, jaką przez lata ofiarowywał jej stopniowo Ellis. Scruples nie stanowił części Ikehorn Enterprises - sklep należał tylko i wyłącznie do Billy Winthrop. Postanowiła sobie, że pokaże Beverly Hills, jak powinno się prowadzić prawdziwy dom mody. Scruples - nazwa sugerowała skrupuły, słabostki i kaprysy - miał znaleźć się na ustach całego świata mody jako ostoja elegancji i wdzięku na skalę, którą do tej pory spotykało się wyłącznie w Paryżu.

Budowa Scruples zabrała Billy rok. Nowa obsesja zawładnęła nią teraz bez reszty. Pragnęła, by architektem obiektu został sam I. M. Pei, lecz ten był zbyt zajęty wznoszeniem za 70 milionów dolarów nowego skrzydła budynku Rockefeller Foundation. Billy musiała się zadowolić usługami najzdolniejszego spośród jego asystentów, który zaprojektował jej budynek mający zyskać natychmiastową sławę. Nie poprzestając na tym, co chwila odwiedzała plac budowy, nękała robotników, susząc głowę głównemu inżynierowi i prawie doprowadzając architekta do zerwania kontraktu. Przez całe życie nękały ją pragnienia i niecierpliwość, lecz w tym przynajmniej wypadku wiedziała, że aby marzenie mogło się ziścić, potrzeba tylko czasu.

Kiedy zmarł Ellis - stało się to jesienią 1975 roku, tuż przed otwarciem Scruples - Billy prędko zdała sobie sprawę, że dawno zakończył się dla niej okres żałoby. Prawdziwa, pracowita i straszliwa żałoba pochłaniała ją przez dwa pierwsze lata choroby męża. Billy wiedziała, że do śmierci będzie kochać Ellisa Ikehorna, którego poślubiła w 1963 roku - musiała jednak przyznać się sama przed sobą, że sparaliżowany, milczący starzec, który rozstał się właśnie ze światem, nie

był jej Ellisem, lecz kimś zupełnie innym. Billy nie chciała uciekać się do hipokryzji. Mimo to wybierając dla swojego domu mody nazwę, zdecydowała się na Scruples - „słabostki”, „skrupuły” - w hołdzie dla ciotki Kornelii, całej reszty eleganckiego Bostonu, dla Katie Gibbs i dla żalösnej Wilhelminy Hunnenweil Winthrop, która wyjechała do Paryża, by powrócić odmieniona i nigdy już więcej nie czuć najmniejszych skrupułów. Było jasne, że spośród wszystkich ludzi na świecie pozna się na tym żarcie może jedynie Jessica, lecz Billy wystarczała ta świadomość. Nazwa była dla niej gestem wobec samej siebie, przeciwwagą dla malarskiej pracowni w cytadeli w Bel Air. Nazwa niezmiernie się jej zresztą podobała.

Leżąc teraz w łóżku, Billy z żalem wspominała świetne początki działalności Scruples. Wydawało się zrazu, że nowy sklep zapragnęły obejrzeć wszystkie zamożne kobiety od San Diego po San Francisco. Przybywały tłumnie, kupując wszystko, co popadnie - toteż przez kilka upojnych miesięcy Billy wierzyła, że jej dom mody zyskał powodzenie. *Women's Wear Daily* na bieżąco śledził działalność Scruples. Billy Ikehorn była jedną z ulubienic tego pisma, tym bardziej że zawsze chętnie się pisze o paniach z towarzystwa, które postanowiły spróbować sił w świecie interesu. Na specjalnej, podwójnej rozkładówce pokazano czytelnikom zdjęcie Billy przed frontonem sklepu, a także fotograficzną kronikę lat spędzonych przez nią z Ellisem. Po otwarciu sklepu to samo pismo poświęciło kolejną podwójną rozkładówkę ofercie Scruples i wystrojowi wnętrza - dwa razy więcej miejsca, jak przechwalała się Billy, niż dostało się C. Z. Guest i modnym wówczas kombinezonom jej projektu, tudzież książce C. Z. Guest o uprawianiu ogródka czy jej

perfumowanym środkiem przeciwko komarom. Billy wbijała się w coraz większą dumę, w poczuciu, że kiedy panie w rodzaju Guest tracą czas na duperele, ona sama wznosi imperium handlowe o nazwie Scruples. Najbardziej zachwycał Billy jej własny pomysł, by wystrój wnętrza naśladował w każdym szczególe wnętrze paryskiego Diora.

Doskonale pamiętała, co czuła, kiedy w towarzystwie hrabiny piętnaście lat wcześniej przekraczała próg sławnych drzwi przy avenue Montaigne, czekając w podnieceniu i napięciu, aż znajdą się dla nich fotele w głównym salonie wystawowym. Piękno tamtego wnętrza zaparło jej dech w piersiach, podobnie jak niewiarygodnie piękne kolekcje, które przed jej oczami przepływały na wybiegu. Później wraz z Lilianne de Vertdulac buszowały po części sklepowej na parterze, płonąc beznadziejnym pożądaniami. Obie wiedziały dobrze, choć za nic nie powiedziałyby tego głośno, że nie stać ich na żadną z precudownych falban i riuszek. Billy postanowiła, że teraz będzie je miała wszystkie. Przeniesie Diora do Beverly Hills.

Billy oczywiście nie oczekiwała, że Scruples przyniesie jakikolwiek dochód. Josh Hillman ostrzegał ją niejednokrotnie, że pieniądze, które tak nieopatrnie wydała na działkę, budynek i wystrój wnętrza, nigdy już do niej nie powrócą. Jego zdaniem nie było sposobu, żeby zyski ze sprzedaży najdroższych nawet ubiorów mogły zrównoważyć pierwotny koszt inwestycji w rodzaju Scruples - i to pomimo faktu, że w sklepach tego typu ostateczna cena towaru jest dwukrotnie większa od hurtowej, po jakiej sklep zakupił rzeczy u producenta.

- Ależ, Josh - napominała Billy adwokata - nie robię tego przecież dla pieniędzy! Wiesz, że nie jestem w stanie wydać wszystkich moich

dochodów. Nawet wliczając wszystko, co zapisuję organizacjom charytatywnym, nawet bez tych milionów, majątek rośnie mi z roku na rok. Funduję sobie przyjemność, więc niech nikt mi nie mówi, że nie stać mnie na nią. Oczywiście, że mnie stać, a ty dobrze o tym wiesz. To moja sprawa i tylko moja!

Billy żałowała w duchu, że Scruples nie jest wyłącznie jej sprawą. Żałowała też, że Women 's Wear Daily poświęcało tyle uwagi jej przedsięwzięciu. Gdyby była dyskretniejsza, nie męczyłaby się aż tak w tej chwili. Co innego bowiem nie przejmować się traceniem pieniędzy, których człowiek i tak by nie wydał, choćby żył dziesięć tysięcy lat - co innego zaś zostać obsmarowaną w jedynej gazecie na świecie, której opiniami Billy się przejmowała. Ostatnio na łamach pisma pojawiły się wzmianki o „Szalonej Billy”, podpisane pseudonimem Louise J. Esterhazy, widniejącym zwykle pod komentarzami kierownictwa redakcji. Billy mogła sobie dośpiewać resztę. Kiedy gazeta opublikuje kolejny półroczny bilans działalności branży, razem ze Scruples stanie się ogólnym pośmiewiskiem. W dodatku nie było nadziei na utrzymanie haniebnej statystyki w tajemnicy, bo chociaż tylko księgowi Scruples - wyłącznej własności Billy - znali prawdziwy bilans, wszędzie roiło się od szpiegów i ludzi gadatliwych. Najściślejsza dyskrecja nic zresztą nie pomoże, kiedy krótka wycieczka do Scruples unaoczni aż nadto dobitnie, jak mizerne są obroty sklepu. Billy czuła się jak właściciel domu, który na własnym progu znalazł najpiękniejszego trupa na świecie, nie ma sposobu, żeby go usunąć i wie, że za chwilę wszyscy sąsiedzi obudzą się i przyjdą sprawdzić, co właściwie tak okropnie i dziwnie śmierdzi.

Co jej strzeliło do głowy? Billy czuła, że lada chwila zacznie

krzyżeć z wściekłości, albo szczypać się do krwi na myśl o niewczesnym telefonie do Valentine. Tak przecież chciała zatrudnić tę dziewczynę, przekonana w tamtej chwili, że tylko osoba o podobnym talencie postawi na nogi niezbędny w Scruples dział krawiectwa na miarę. Właśnie dlatego Billy przekupstwem namówiła Valentine do zjawienia się w Kalifornii. Oczywiście! Oczywiście, że szycie na miarę niczego już nie zmieni! Nawet St Laurent, Dior i Givenchy, a na dobrą sprawę wszystkie słynne pracownie w Paryżu, nawet te sławy skarżyły się nieustannie, że szycie ubrań na zamówienie przynosi im wyłącznie straty, choć rozśławia na cały świat ich markę i pozwala sprzedawać perfumy czy odzież gotową. Francuskie haute couture dawno już umarło z braku pieniędzy, kontynuując swe istnienie tylko po to, aby podtrzymywać aurę Paryża sprzed drugiej wojny i służyć jako natchnienie klientkom domów towarowych czy projektantom, zjeżdżającym co pół roku do Paryża. Dzięki tej sztuczce kobieta kupująca za 300 dolarów gotową sukienkę St Laurenta w pobliskim butikku może poczuć, że i na nią spływa w ten sposób cząstka paryskiej magii. Billy wiedziała o tym od samego początku, mogła więc winić wyłącznie siebie samą. Teraz zaś na dodatek zatrudniła dwójkę zupełnych amatorów, którzy mieli uporać się z zadaniem przerastającym najbardziej wytrawnych zawodowców.

A przecież... A przecież, pomyślała Billy, impulsywność nie zawsze musi być wadą. Patrząc w przeszłość rozumiała, że to właśnie impuls kazał jej zastukać do drzwi pokoju Ellisa na Barbadosie i rzucić się milionerowi w ramiona. Oczywiście również impuls kazał jej widzieć się już w myślach jako francuska hrabina tylko dlatego, że oddała dziewictwo arystokracie polującemu na posag; impuls również podszeptał jej, że rok

nauki w szkole Katie Gibbs wystarczy, by mogła odnieść sukces w handlu. W ciemności sypialni Billy smutno potrząsnęła głową, zdając sobie sprawę, jak często spodziewała się w życiu, że cud nastąpi po prostu dlatego, że ona sama bardzo tego pragnie. Nie inaczej było ze Scruples. Ale, zaraz - przecież jest faktem, że wróciła z Paryża szczupła, że poślubiła Ellisa i przez siedem lat była doskonale szczęśliwa. Kim by zaś była, gdyby nie to, że poddawała się impulsom? Groteskowo otyłą bostońską nauczycielką, która za jedyną osłodę marnego życia miałaby jedzenie. Wieczną samotniczką, dziwadłem uwięzionym w rodzinnym kółku bostońskiej elity, do której w tak opaczny sposób należała.

Czy impuls pomógł jej choć trochę? Dzięki impulsowi stała się bajecznie szczupłą, niesłychanie bogatą i ogromnie szykowną kobietą, klasyczną wesołą wdówką. Szkoda tylko, że wcale nie było jej wesoło. Wszystko przez Scruples, który okazał się kompletną katastrofą. Lepiej od razu spojrzeć prawdzie w oczy. Tym razem impuls zaprowadził Billy na manowce.

* * *

Rano, po przebudzeniu się z krótkiej drzemki, w którą zapadła o świcie, Billy zadzwoniła do domu Josha Hillmana. Ten zły obyczaj przejęła od Ellisa Ikehorna w dniach jego sławy i chwały.

- Josh, jak trwałe są moje zobowiązania wobec tej dwójki, Elliotta i Valentine?

- Hmm, wprawdzie mają podpisane kontrakty, ale można im oczywiście zaproponować odstępnę i pozbyć się ich za mniejszą sumę niż roczne pobory, jeżeli o to ci chodzi. Moim zdaniem nie posuną się do tego, żeby oddać sprawę do sądu. Prawdopodobnie nie stać ich na wynajęcie

dobrego adwokata, nie mówiąc już o tym, że żaden dobry adwokat nie zajmie się ich sprawą bez perspektywy pewnego honorarium. A czemu pytasz? - dodał Josh dziwnie, jak na niego, nieswoim głosem.

- Chcę tylko wiedzieć, na czym stoję - zbyła go Billy, która nie miała zamiaru przyznać się otwarcie do tego, że pragnie pozbyć się Spidera i Valentine. Nie chciała zbyt sromotnie przegrać pierwszej rundy subtelnych zgadywanek, jakie toczą się nieodmiennie między adwokatem a jego klientami. Kiedy obudziła się i zaczęła na dobre bawić się myślą o sprzedaniu Scruples, uświadomiła sobie, że przynajmniej w jednej kwestii nie myliła się wcale: już teraz wartość działki budowlanej znacznie przekroczyła pierwotną wysokość, a i sam budynek mógł znaleźć nabywcę, na przykład stając się jednym ze sklepów firmy Neiman-Marcus albo Bendel. Nawet gdyby trzeba było odstąpić sklep za bezcen, Billy oszczędziłaby sobie przynajmniej wielkiego wstydu, który niechybnie będzie towarzyszył Scruples, jeśli sklep nie stanie na nogi. Billy uznała, iż najlepiej będzie udawać, że straciła zainteresowanie zabawką, zamiast trzymać się Scruples do końca i znosić drwiny świata, zadowolonego snadź, że można się pośmiać z upokorzenia właścicielki i z jej zawiedzionych ambicji. Billy poczuła, jak spływa na nią przygnębienie; tyle nadziei włożyła w swój dom mody, w sklep, który nadal kochała jak własne dziecko. Nie mogła jednak znieść myśli o publicznym upokorzeniu. Tego właśnie obawiała się przecież najbardziej spośród wszystkich złych rzeczy, jakie jej się mogły przytrafić. Tylko pod względem wyglądu udało jej się odsunąć od siebie koszmar pierwszych osiemnastu lat życia. Skazy psychiczne miały w niej pozostać na zawsze, deformując ją trwale. Nic, co zdarzyło się później, nie mogło wymazać

wspomnienia dzieciństwa.

Kilka godzin później, kiedy ubierała się, zadzwonił do niej Spider.

- Wiesz, Billy, przez pół nocy nie zmrzyłem oka, żeby wymyślić, jak by tu postawić Scruples na nogi i zrobić ze sklepu przebój. Znajdziesz dzisiaj czas, żeby porozmawiać?

- Chyba nie jestem w najlepszym nastroju. Szczerze mówiąc, zaczyna mnie już nudzić ten temat. Jeszcze wczoraj tańczyłaś mi na suficie kankana i opowiadałaś, że tu się usytuuje restaurację, tu salę masażu... Nie mam dziś siły słuchać twojego bajdurzenia, Spider.

- Chcę porozmawiać serio o interesach. Ale posłuchaj, wytrzasnąłem wreszcie samochód. Jest świetny dzień. Może byśmy tak podjechali do Santa Barbara i zjedli coś w Biltmore? Moglibyśmy przy okazji pogadać. Dziesięć lat nie jeździłem w tamte strony. Nie masz ochoty urwać się stąd na parę godzin?

Dziwna rzecz, Billy rzeczywiście miała na to ochotę. Czowała się od niepamiętnych czasów uwięziona między domami Beverly Hills i niskim pasmem gór Santa Monica, które wyrasta za zachodnimi dzielnicami Los Angeles i oddziela to miasto od doliny San Fernando. Upłynęła wieczność, odkąd Billy ostatni raz wyrwała się do restauracji za miastem, nie licząc wiecznie takich samych niedzielnych pikników z towarzystwem z Malibu.

- Hej, nad czym się tak zastanawiasz, Billy? Będzie wesoło, dam ci słowo skauta!

- No... dobrze. Przyjedź po mnie za godzinę - mruknęła Billy i w zamyśleniu odłożyła słuchawkę. Ile lat upłynęło od czasów, kiedy jeździła sto pięćdziesiąt kilometrów do restauracji? A jeszcze więcej czasu minęło, odkąd ktokolwiek zapraszał ją na wycieczkę takim tonem, jak gdyby była

po prostu zwyczajną, nieco oporną dziewczyną...

Billy doskonale pamiętała, jak zwracają się do niej ludzie bez majątku. Przez trzynaście ostatnich lat, odkąd wzięła ślub z Ellisem Ikehornem, wszyscy zwracali się do Billy unizonym tonem, specjalnie zarezerwowanym dla osób, które są niezmiernie bogate. Billy często zastanawiała się nad słynnym amerykańskim sportem, w którym chodzi o to, by dowiedzieć się, co właściwie, dokładnie różni ludzi bogatych od reszty. Scott Fitzgerald, (O'Hara i tuziny pomniejszych pisarzy, wszyscy oni namiętnie chłonęli sceny z życia bogaczy, jak gdyby pieniądze okazywały się najbardziej fascynującym z ludzkich przymiotów - nie uroda, nie talent, nie władza nawet, lecz właśnie pieniądze. Billy uważała po cichu, że bogatych różni od pozostałych tylko sposób, w jaki są przez tych pozostałych traktowani i czasami zastanawiała się, o co chodzi w tym szaleństwie, i co przemawia przez ludzi, którym przecież nie przybywa pieniędzy na koncie przez to, że ocierają się o milionerów. A przecież wciąż, rano i wieczorem, słyszała wokół siebie ten niepewny ton, w którym czuło się chęć przypodobania się i zrobienia na niej jak najlepszego wrażenia.

Billy wcale może nie zdawałaby sobie sprawy, że z osobami bogatymi ludzie rozmawiają inaczej niż ze sobą nawzajem, gdyby nie jej własny, pokrętny los. Mogła się domyślać, że gdyby urodziła się bogata, zabrakłoby jej doświadczenia niezbędnego, by docenić bezceremonialny ton Spidera. Tak jak Spider nie zwracał się do niej bowiem nikt, oprócz kilku kobiet w Los Angeles, których pozycja i władza pozwalała nie zwracać na pieniądze Billy najmniejszej uwagi.

* * *

Tylko Spider potrafił również z dnia na dzień wyczarować mercedesa z odkrytym dachem. Niepisane zawieszenie broni między Billy a nim weszło w życie w momencie, kiedy zapytał pasażerkę, czy życzy sobie jechać z podniesionym czy z opuszczonym dachem.

- Jasne, że z opuszczonym - zażądała Billy, łapiąc się na myśli, że mimo ukończenia trzydziestu trzech lat nigdy jeszcze nie jechała kabrioletem, co na świecie uważa się za codzienną rozrywkę młodych Amerykanek. A może to już przeszłość, która zniknęła wraz z poprzednim pokoleniem? Tak czy inaczej, Billy po raz pierwszy w życiu wsiadła do kabrioletu.

Kiedy wyjechali za Calabasas, autostrada prawie całkowicie opustoszała. Wokół nich rozpościerała się obszerna dolina, rozchodząca się rzędami brunatnych, spieczonych przez słońce, falujących wzgórz porośniętych dębami. Pejzaż był prosty jak na dziecięcym malunku. Wkrótce też, bo za Oxnard, ujrzeli po lewej stronie Pacyfik. Najbliższym suchym miejscem po tej stronie była Japonia, nie licząc rozsypanych po oceanie platform wiertniczych. Spider prowadził jak wściekły tancerz flamenco, klnąc ograniczenie szybkości z taką pasją, jak gdyby ktoś ukradł mu buty z podwyższonym obcasem.

- Kiedy ostatni raz tędy jechałem, można było spokojnie pruć sto mil. Za godzinę byłeś w Santa Barbara.

- Po co było się tak spieszyć?

- Jak to po co? Dla zabawy, nie? Czasami, kiedy impreza kończyła się późno w nocy, musiałem odwozić dziewczynę, zanim jej rodzice zrobią alarm na cały stan.

- Jak prawdziwy chłopak z Kalifornii, co?

- Najprawdziwszy autentyk. Tylko jeden krok dzielił mnie od życia na desce surfingowej. Jeżeli masz zamiar zmarnować młodość, nie ma lepszego miejsca niż tutaj. - I Spider roześmiał się, wesoło i od niechcienia, pod adresem miliona dawnych wspomnień.

Billy uznała, że nadarza się w rozmowie znakomita okazja, by zapytać Spidera, czym właściwie zajmował się w latach, jakie upłynęły od szaleńczej młodości, ale miała zbyt dobry humor, by zaczynać ten temat. Czuła wiatr we włosach, dotyk słońca na twarzy, siedziała w kabriolecie - zupełnie jak dziewczyna na dawnej reklamie Coca - Coli. Czuła, że rozkurcza się i pogodnieje z każdą kolejną milą, jaka oddziela ją od Rodeo Drive.

W Santa Barbara nie była jeszcze nigdy w życiu, bo w czasach małżeństwa z Ellisem podróżowała wyłącznie odrzutowcem. Nie skusiły jej też nieliczne zaproszenia na przyjęcia w Montecito - dzielnicy bogaczy tuż pod Santa Monica, gdzie zamożni ludzie mieszkają na strzeżonym obszarze kilku kilometrów kwadratowych, słynącym nie tylko z pięknego krajobrazu, lecz i z oficjalnego zakazu sprzedawania tam alkoholu - tudzież z fantastycznie zaopatrzonych prywatnych piwniczek na wino. Chociaż Biltmore nie brzmiało zbyt zachęcająco jako nazwa lokalu, Billy oszołomił wyłaniający się zza zakrętu widok frontonu starego hotelu, wzniesionego nad wysokim nadmorskim urwiskiem. Romantyczny, przepięknie utrzymany budynek sprawiał wrażenie przeniesionego czarodziejskim sposobem z lepszej, szlachetniejszej przeszłości. W tle rozpościerały się wzdłuż wybrzeża błękitne góry, a na przybrzeżnych skałach łamały się białe grzywacze.

- Tak pięćdziesiąt lat temu musiało wyglądać Lazurowe Wybrzeże! -

wykrzyknęła.

- Nigdy tam nie byłem - zapewnił ją Spider.

- Często jeździłam tam z mężem. Ale tutaj... Tu jest wspaniale! Nie wiedziałam, że istnieją takie miejsca, i to tak blisko miasta.

- Bo też nie istnieją. To jest pierwsze na liście, a im dalej jedziesz w górę mapy, tym jest ich więcej. Będziemy jedli w środku czy na tarasie?

Kiedy stali przed hotelem, Billy pomyślała, że Spider jest oszałamiający ze swoim uśmiechem, który zdaje się zwiastować wyłącznie dobre nowiny. Pierwszorzędny towar, Billy mogła coś na ten temat powiedzieć. I to mimo tak konwencjonalnej urody, na którą składały się złote włosy i błękitne, błękitne, błękitne oczy. Jak to się dzieje, że tak banalne połączenie zawsze i tak potrafi zrobić wrażenie?

- Na tarasie, oczywiście. - Spider miał w tym wszystkim ukryty cel, lecz Billy czuła się na szczęście przygotowana. Mógł sobie wystrzałowo wyglądać, ale niech nie liczy, że ją tym sterroryzuje. Billy nadal miała zamiar pozbyć się uciążliwego sklepu.

* * *

Posyłając Valentine kosz pierzastych orchidei, Josh Hillman uczynił pierwszy spontaniczny i absolutnie niepotrzebny gest w całym życiu. Drugim takim gestem było zaproszenie Valentine na obiad, zaraz następnego dnia.

Hillman wiedział dokładnie, dokąd zabrać Valentine - do specjalnego lokalu na terenie bazy 94 dywizjonu lotniczego za portem lotniczym Van Nuys. Nigdy przedtem nie zabierał tam swoich gości, choć latać awionetką zaczął już pięć lat wcześniej. Przez całe życie nie uprawiał sportów, ale o lataniu marzył od dzieciństwa, więc kiedy uznał, że może już bezpiecznie

poświęcić na ten cel jedno popołudnie w tygodniu i jedno popołudnie w weekendzie, zamiast spędzać je w pracy i z rodziną, ku zgorszeniu żony zapisał się na lekcje pilotażu. Joanne latała wyłącznie linią Pan Am, a i to dopiero po zażyciu dwóch pastylek i po trzech podwójnych martini w lotniskowym barze. Josh natychmiast po zdobyciu licencji pilota kupił małą awionetkę Beechcraft Sierra i zaczął upajać się lotem przez stopniowo coraz większą część sobót i niedziel. Joanne niewiele to obchodziło: jej z kolei czas zajmowały turnieje tenisa i gry w backgammona. Nie martwiły ją też długie wieczory, jakie Josh musiał spędzać w biurze. Cały tydzień praktycznie nie odkładała słuchawki telefonu usiłując dyrygować stadem pań harujących nad poprawą stanu szpitali i sztuk pięknych. Po wylądowaniu Josh często zaglądał do 94 dywizjonu, gdzie wypijał kolejkę przed jazdą do domu.

Lokal stanowił prawdziwy wybryk natury - restauracja przypominała bowiem dokładnie starą francuską farmę z poczerniałych cegieł z odpadającym tynkiem. Legenda głosiła, że cały budynek przeniosła tu brytyjska jednostka lotnicza, która zarekwirowała go we Francji podczas pierwszej wojny światowej. Wokół parteru piętrzyły się setki worków z piaskiem, z ustawionymi na stanowiskach karabinami maszynowymi Hotchkissa, a obok wejścia stał drabiniasty wóz, pełen siana. Z głośników sęczyły się pieśni w rodzaju *It's a Long, Long Way to Tipperary* i *Pack Up Your Troubles in Your Old Kit-Bag*, a napisy na ścianach kierowały gości ku „SALI ODPRAW”. Ściany ozdobiono słowiałyymi zdjęciami poległych pilotów. Między tym zjawiskiem z innego świata a końcem równoległych pasów startowych lotniska Van Nuys stał zaparkowany prawdziwy dwupłatowiec z dawnych lat. Na Van Nuys startuje lub ląduje

każdego dnia około 1700 prywatnych awionetek. Josh uwielbiał nostalgiczną, nieco melancholijną atmosferę tego miejsca, które mimo że było oszustwem, sprawiało jakże autentyczne wrażenie. Joanne kręciłaby oczywiście nosem na „podrabianą” restaurację i utyskiwałaby, że skoro już muszą jeść w tej okolicy, lepiej byłoby pojechać do La Serre.

Valentine jednak Dywizjon Lotniczy po prostu oczarował. Dokładnie takie miejsca pragnęła znaleźć i odkryć w Kalifornii, krainie, która sama jest olśniewającym fałszerstwem.

Co więcej, oczarował ją już trochę Josh Hillman. Nie licząc Spidera, przez ostatnich kilka lat obracała się w towarzystwie mężczyzn o mało męskich zainteresowaniach, a w każdym razie mężczyzn, których głównym zajęciem, niezależnie od upodobań, było kupno i sprzedaż damskich ciuchów. Dość tego! Valentine tęskniła za poważnym mężczyzną, choć może nie śmiertelnie poważnym. Za kimś nadzianym, ale nie nadętym - jednym słowem, za prawdziwym facetem! Josh Hillman tymczasem, który zapraszając Valentine do lokalu zerwał dwudziestoletni pozamałżeński celibat, poczuł nagle w powietrzu wolność i nieskończoną swobodę wyboru. Zamiast długiej, prostej drogi odkrył nagle przed sobą panoramę, która rozciągała się na wszystkie strony świata. Przez minutę obracał więc w myśli ulubione przysłowie swego dziadka, które mówiło: „Jeżeli uczciwy Żyd zdecyduje się jednak jeść wieprzowinę, powinien tak wcinać, żeby mu tłuszcz ciekł po brodzie”. Czy Valentine O’Neill dorówna smakiem pieczeni wieprzowej? Josh Hillman miał szczerzy zamiar sprawdzić to osobiście.

Ich stolik stał tuż przy oknie. Kiedy zapadł zmrok, widać było tylko światła lądujących maszyn, a samoloty przepływające za dźwiękoszczelną

szybą przybrały wygląd niesamowitych ryb o jaśniejących oczach.

- Skąd takie imię, Valentine? - zapytał. Valentine zauważyła ze zdziwieniem, że wypowiedział je po francusku, a nie w amerykańskim brzmieniu.

- Matka uwielbiała piosenki Chevaliera. Nazwała mnie tak na cześć jednej piosenki.

- Ach, to o tę Valentine chodzi!

- Zna pan tę piosenkę? Niemożliwe!

Hillman zanucił pierwsze takty melodii i z ogromnym zawstydzeniem, cichutko wyrecytował słowa: *Elle avait de tout petits petons, Valentine, Valentine, Elle avait de tout petits tétons, Que je tâtais à tâtons, Ton ton tontaine!*

- Ależ... Skąd pan zna tę piosenkę?

- Mój współlokator z lat studiów bez przerwy puszczał tę płytę.

- No tak, ale pan rozumie na dodatek słowa.

- Trochę rozumiem: „Ona miała maluteńkie stopki i maluteńkie piersi”, tak?

- Niezupełnie, bo *tétons* to w slangu po prostu cycki. A dalej.

- Dalej chyba nie wiem...

- Miała maluteńkie cycusie, które ja *tâtais*, których dotykałem, a właściwie macałem zachłannie.

- Jakoś mi się nie mieści w głowie, żeby Chevalier „macał zachłannie”.

- Mnie też nie. Ale czy pamięta pan resztę słów?

- *Elle avait un tout petit menton* - padła odpowiedź. - Miała malutki podbródek, i jeszcze *elle était frisée comme un mouton!* - Była

kędzierzawa jak baranek. Albo jak pani.

- Nadzwyczajne! A dalej? Oho, nie wie pan! Trudno, przegapił pan najciekawszą część tych słów. Nie miała, widzi pan, najlepszego charakteru ta dziewczyna z piosenki! Więcej, nie była specjalnie mądra, za to była zazdrosna i rządziła się bez przerwy, była *autoritaire*. Aż wreszcie, wiele lat później, rozumie się, Chevalier spotyka ją na ulicy i widzi babsko z wielkimi stopami, podwójnym podbródkiem i potrójnym *poitrine*!

- Valentine, pani łamie mi serce! Byłem szczęśliwszy bez takiej wiedzy!

Obydwoje zanieśli się śmiechem, podniecającym śmiechem, jaki łączy parę decydującą się na ucieczkę od codziennego życia choćby tylko na ten jeden wieczór. Jest to dźwięczny śmiech dwojga współników, pierwsza oznaka, że czują się ze sobą znacznie lepiej, niż się tego zrazu spodziewali.

- Aha, więc masz na imię Joshua na cześć bohatera z Biblii, który skruszył mury Jerycha, a ja mam być tylko zwyczajną Valentine, pierwszą kochanką Chevaliera, osiemnastolatką napotkaną na ulicy Justine? To niesprawiedliwość.

- Tak? Ale może masz wspaniałe drugie imię?

- Owszem, ale to straszna tajemnica.

- Wyjaw mi ją.

- Marie-Ange - oznajmiła przekorna Valentine, próbując przybrać skromny wyraz twarzy. - Czyli Maria - Anioł.

- Jakże skromnie i bezpretensjonalnie. Twoja matka najwyraźniej wołała nie ryzykować, co?

- Ależ tak. W końcu my, Francuzi, jesteśmy przezorni.

- Ale też wy, Irlandczycy, jesteście szaleni, panno O'Neill.

- A wy, Żydzi, czy nie jesteście przezorni? I czy nie jesteście trochę szaleni?

- Wszyscy, co do jednego. Słyszałaś chyba teorię, że w rzeczywistości Irlandczycy to jedno z zaginionych plemion Izraela.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było, ale na twoim miejscu nie wchodziłabym do irlandzkiego baru na Trzeciej Alei, żeby podzielić się z gośćmi tą dobrą nowiną.

- Masz prawdziwy nowojorski styl.

- Niestety, nie mam chyba nic prawdziwego. Jestem kobietą bez ojczyzny, ani paryżanką, ani kimś z Nowego Jorku, nikiem. A jeszcze teraz doszła Kalifornia. Po prostu śmieszne. Czy istnieje sposób, żeby stać się prawdziwym Kalifornijczykiem?

- Już się nim stałaś. Wszyscy prawdziwi Kalifornijczycy ściągnęli tu z innych stron. Na początku, ze dwieście lat temu, mieszkała tu dosłownie garstka ludzi, a przedtem tylko Indianie i franciszkańscy mnisi. Jesteśmy stanem emigrantów w kraju emigrantów.

- Ale czy czujesz się tu jak we własnym domu?

- Kiedyś, może niedługo, pokażę ci Fairfax Avenue. Sama zrozumiesz, dlaczego - obiecał Josh, zdumiony własnym zaproszeniem. Nigdy nie zabrał Joanne do dzielnicy przy Fairfax Avenue, choć często mijali tę okolicę w drodze na targowisko ze zdrową żywnością. Joanne nienawidziła żydowskiej dzielnicy. Dlaczego więc chciał pokazać to miejsce Valentine, która w swej elegancji zdawała się emanować atmosferą Paryża? Dlaczego chciał zaprowadzić ją do rojnego, hałaśliwego, zatłoczonego i obskurnego getta, w którym spędził

dzieciństwo?

* * *

Spider i Billy raczyli się posiłkiem na tarasie, pod markizą hotelu Biltmore w Santa Barbara. Od rzeńskiego powiewu, który ciągnął w głąb lądu od strony Pacyfiku, chroniła ich szklana ściana, obramowana kwiatami i drzewkami palmowymi. Billy czekała spokojnie, aż Spider uczyni pierwszy ruch. Oczekiwanie skracala sobie popijając sherry Dry Sack z lodem. Zjadła też potężną kanapkę z podwójnym majonezem, by grzech opilstwa uzupełnić obżarstwem (za oba miała wkrótce odprawić pokutę postu). Czuła się cudownie, wiedząc, że całkowicie i niepodzielnie panuje nad sytuacją.

Doświadczone oko podpowiedziało wkrótce Spiderowi, że jego partnerka może się rozluźnić jeszcze bardziej, jeśli z pionu przejdzie do parteru, toteż od niechcienia zauważył:

- Ładnie tu, prawda?

Billy uśmiechnęła się w odpowiedzi, nie chcąc powiedzieć za dużo.

- Tak długo siedziałem na wschodnim wybrzeżu - ciągnął więc - że w ogóle nie pamiętam Kalifornii. Ani Beverly Hills! Rany boskie, cała ta okolica sprawia wrażenie, że pewnej nocy zniknie jak Latający Holender i pojawi się znowu dopiero za sto lat, prawda?

- Być może - odpowiedziała ostrożnie Billy.

- Coś mi mówiło, że czujesz to samo co ja, Billy. Kiedy wczoraj przyjechaliśmy z Val do tego miasteczka, zrozumiałem, że będzie to dla nas zupełnie nowa sytuacja. - Billy zbierała się dopiero do riposty, lecz Spider naciskał dalej: - Gdybyś wzięła swój dom mody i przeniosła go do Paryża, Nowego Jorku, Mediolanu czy Tokio, stałabyś się władczynią

ósmego cudu świata - kolejka do drzwi zaczynałaby się na sąsiedniej ulicy, mówię ci. Sklep jest doskonały, pierwszej klasy! Ale powiem ci jedno. Nie pasuje do Beverly Hills! W końcu Beverly Hills to miasto najswobodniej ubranych bogatych kobiet w całym wszechświecie! Sam tak się przyzwyczailem do nowojorskich obyczajów, że cały wczorajszy dzień musiałem się kopać w kostkę, żeby sobie przypomnieć, że tutaj kobieta w dżinsach i bawełnianej koszulce może sobie zapewne zafundować dowolny strój za dowolne pieniądze. Dobrze mówię? Ponieważ Billy sama często myślała w ten sposób, mimowolnie odwzajemniła się Spiderowi miną pełną zrozumienia. Zanim jednak zdołała przerwać potok jego wymowy, Spider osadził ją w miejscu najbardziej wymownym ze swoich spojrzeń i ciągnął:

- Jestem przekonany, że jeśli dasz mnie i Valentine tydzień, góra dwa, na zaznajomienie się ze zwyczajami, rozejrzenie się po mieście, sprawdzenie, na co najczęściej decydują się kobiety, kiedy chcą sobie nakupować drogich ubrań, i kiedy na dodatek sprawdzimy, co lubią nosić wieczorami, przejrzymy stroje w Bistro, Perino, Chasens i reszcie nowych lokali, aha, przy okazji może mogłabyś spisać nam listę takich miejsc? Bardzo byś nam pomogła. No więc, gdybyśmy dostali trochę czasu, żeby się na nowo zaznajomić z atmosferą tego miasta, moglibyśmy zmienić Scruples w najślawniejszy dom mody na świecie. Wiadomo przecież, że chociaż kobiety chodzą tu w byle czym, na pewno wydają na stroje furę pieniędzy. Inaczej nie byłoby w takiej dziurze jak Beverly Hills tylu sklepów Saksa, Bonwita, Magnina i całej reszty. Nie widzę powodu, żeby Scruples nie miał dołączyć do tej stawki, Billy, jest tu pełno nadzianych klientek, ale sama rozumiesz, że potrzeba nam trochę czasu.

- Trochę czasu? - Billy próbowała nadać tym słowom możliwie sarkastyczne brzmienie, choć zwykła logika podpowiadała jej, że jeśli odmówi Spiderowi tych paru tygodni, wyjdzie sama na osobę głupią i irracjonalną, na tępą, bogatą wydrę, która z dnia na dzień zmienia zdanie, jednym słowem na dyletantkę.

- Właśnie. Tyle samo czasu, ile byś przed ostateczną oceną dała nowemu fryzjerowi. Kiedy zmieniasz fryzjera, nie spodziewasz się chyba cudów podczas pierwszej wizyty? Po tygodniu zgłaszasz się znowu, a potem może nawet idziesz trzeci raz, żeby dać mu szansę, aby poznał każdy twój lok, każdy odstający kosmyk, wagę twoich włosów, to, czy ma je układać samym grzebieniem, czy grzebieniem i suszarką... Dopiero wtedy, jeśli się nie spisze, zaczniesz szukać nowego fryzjera.

- Oczywiście, że zacznę - przytaknęła. Spider spojrzał na nią z aprobatą. Oto nareszcie przydały mu się do czegoś lata wysłuchiwanie gadatliwych modelek. - Zapasami towaru zajmie się Val. Ja biorę na siebie koncepcję sklepu.

- „Koncepcję”? A cóż to znowu, Spider? Przez telefon Valentine oświadczyła mi, że jesteś najlepszym sprzedawcą na świecie, i że kompletnie zmienisz organizację sprzedaży. Dobrze, więc czemu wyjeżdżasz mi z jakąś „koncepcją”?

- Rzeczywiście, jestem najlepszym sprzedawcą na świecie, ale żeby coś wskórać, najpierw muszę się dowiedzieć, kim są moje klientki, jak żyją, na kim mam skupić promocję i jaką odzież uczynić największym atutem Scruples. To właśnie „koncepcja” decyduje o tym, czy klientki chcą kupować czy nie. Czy nie rozumiesz, Billy, że kupowanie sobie strojów może dawać kobiecie taką samą satysfakcję jak pieprzenie się w

łóżku? Można się pieprzyć na różne sposoby - muszę się tylko dowiedzieć, który z nich najlepiej się sprawdza w Beverly Hills.

Billy ze zgrozą przyłapała się na tym, że bezwiednie potakuje tym słowom. Nigdy jeszcze nie słyszała słów, których prawdziwość mogła poświadczyć całym ciałem. Pamiętała doskonale dni, kiedy jej życie płciowe sprowadzało się do momentu zakupu nowego stroju.

- W porządku, Spider. Powiedziałeś mi, co miałeś do powiedzenia. Jasno i bez ogródek. Kiedy mogę się spodziewać, że spuścisz swoją „koncepcję” ze smyczy?

- Nie dalej niż za dwa tygodnie, Billy. Jeżeli skończyłaś jeść, zbierajmy się, bo utkniemy w popołudniowych korkach. Gotowa jesteś?

W powrotnej drodze do Holmby Hills Billy miała mnóstwo czasu, by się zastanowić nad Spiderem. Kimkolwiek był w rzeczywistości, bez wątplenia nadawał się znakomicie na sprzedawcę. Mimo to Billy dała Spiderowi i Valentine tylko dwa tygodnie. Jeżeli po upływie dwóch tygodni Spider dalej będzie próbował jej tylko mącić w głowie, wyleci na pysk razem z Valentine bez dalszych dyskusji. Billy obiecała sobie, że dotrzyma tego słowa.

Po kolacji Josh Hillman pierwszy raz w życiu musiał się uporać z kolejną kwestią, niesłychanie i absurdalnie staromodną, lecz jakże prawdziwą. Dotychczas łączyło go z Valentine tylko wspólne przebywanie pod dachem restauracji. Znali się obydwójce zbyt słabo, by mogli bez wahania pojechać w jakieś ustronne miejsce. Josh modlił się o natchnienie. W jakiej zacisznej alejce mógłby zaparkować samochód? Pamiętał, że w dawnych czasach, jeszcze przed jego ślubem z Joanne, jako miejsce samochodowych randek służył Mullholland Drive, jedyne miejsce, gdzie

można było spokojnie się całować w zaparkowanym wozie. Od tamtej pory wzniesiono jednak w owym ustroniu tuziny nowych domów, czyniąc gwałt tradycji. Josh zabiłby się jednak prędzej, niż pozwolił Valentine odejść bez pocałunku. A może jest na to za stary, może jest wapniakiem, jak nazywali go czasem nastoletni synowie?

Na szczęście w ostatniej chwili przypomniał sobie o samochodowym kinie Pickwick w Burbank. Oczywiście! Jego dzieciaki uwielbiały przecież tam jeździć. Josh z kolei w samochodowym kinie nie był od czasów szkoły średniej.

- Jeżeli rzeczywiście chcesz się poczuć jak w domu, Valentine, muszę ci pokazać jedną z wielkich tradycji Kalifornii - obwieścić, płacąc rachunek.

- Może chcesz mnie zabrać na premierę filmu w Hollywood? - Na szczupłej, lisiej twarzy Valentine malowało się pytanie. Nie miało ono zresztą nic wspólnego z premierami filmów w Hollywood.

- Nie dzisiaj. Poza tym premiery dawno przestały być taką sensacją, opatrzyły się, są urządzone coraz rzadziej, jednym słowem, to nie to samo, co kiedyś. Nie, chciałem cię zabrać do samochodowego kina.

- Na jaki film?

- O to właśnie chodzi, że nie na film, tylko do kina. Film nie ma znaczenia. No, chodź! Jechali do Burbank w milczeniu, które wydawało się pulsować napięciem. Kiedy tylko wyszli z restauracji, przecucie tego, co miało teraz nastąpić sprawiło, że obydwójgu słowa uwięzły w krtani, tym bardziej że o podobnych sprawach trudno z góry dyskutować. Josh kupił bilety z wprawą starego wygi kin dla zmotoryzowanych i poważnym tonem wyjaśnił Valentine, jak działa podwieszany w oknie samochodu

głośnik. Valentine zdążyła jeszcze ujrzeć na ekranie czołowe zderzenie czterech samochodów, kiedy poczuła jak Josh przesuwając się z fotela kierowcy i bierze ją w ramiona. Przez długie, długie minuty czuła tylko jego ciepło. Josh objął mocno Valentine, ona zaś przyłgnęła doń w uścisku. Nie mówili do siebie ani słowa, trwali tylko w objęciach, słuchając swoich oddechów i bicia serc. Czuli się niezmiernie szczęśliwi, mogąc rozkoszować się swoim ciepłem, bliskością, obecnością. W uścisku znajdowali ujście dla wszystkich swych pragnień, a milczenie poruszało ich bardziej, niż mogłyby to sprawić setki słów... Chwila, która ich połączyła, nie miała nic wspólnego z myślami, umowami i deklaracjami. Nie planowali jej - zdarzyła się po prostu. Bywają właśnie takie chwile, które choć pozornie są zupełnie bezsensowne, kryją w sobie głęboki sens i niosą wraz ze sobą poczucie, że potrzebuje się tej drugiej osoby, i że można jej się oddać całkowicie. Wrażenie to może przerażać, ale nie sposób mu się oprzeć. Bardzo długa chwila upłynęła zanim Josh i Valentine, wiedzeni jak gdyby tym samym przypiływem uczucia, zaczęli nawzajem szukać swoich warg, całując się i wymawiając tylko swoje imiona.

Pocałunek z Valentine był dla Josha jak zanurzenie ust w świeżym, wiosennym bukacie po długiej, suchej zimie. Wargi dziewczyny stały się dlań źródłem nieustannych odkryć - najpierw jednak Josh musnął językiem trzy piegi na nosie Valentine, na co miał ochotę od samego początku wieczoru. W odpowiedzi Valentine jak mały szczeniak kłapnęła zębami. Muskała go teraz po policzkach czarnymi rzęsami, Josh zaś dotknął nareszcie językiem jej szyi.

Kiedy oderwali się od siebie, na ekranie pojawiły się już tytułowe

napisy drugiego filmu. Gdy całuje się dwoje dorosłych, pieszczota nie może trwać w nieskończoność, a kiedy na dodatek chodzi o dwoje tak skomplikowanych indywidualistów jak Josh i Valentine, pocałunki muszą ustąpić wreszcie miejsca rozmowie. Ale rozmowie o czym? Valentine i Josh zawstydzili się nagle jak para uczniów. Dotarła do nich nagle nowość całej sytuacji. Jak to się stało, że zaledwie po paru godzinach padli sobie w objęcia? Spontaniczność musiała ustąpić teraz miejsca wątpliwościom.

- I co teraz? - zapytał powoli Josh. - Valentine, kochanie, co teraz?

- Nie wiem - odrzekła. - Wiem tyle, co i ty, nie, jeszcze mniej...

- W takim razie obydwójce musimy się wszystkiego dowiedzieć - powiedział Josh ostrożnie, jak ktoś, kto szuka drogi przez pokój pogrążony w mroku.

- Może i tak - odpowiedziała, odsuwając się nieznacznie.

- Może? Dlaczego tak mówisz?

- Bo jestem rozważna. Bo muszę myśleć o sobie, i o tobie też.

- Do diabła z rozważą. Będziemy rozważni na emeryturze, ale na razie, Valentine, moja śliczna, moja piękna Valentine, przynajmniej raz zdobądźmy się na szaleństwo. Przynajmniej ten jeden raz w życiu!

Całował ją raz za razem, jak młody chłopak, na chybił trafił, gorączkowo dotykając wargami jej oczu, brody, uszu, włosów. Odezwała się w nim cała spontaniczność, tak bezlitośnie zepchnięta w kąt w latach młodości. Chciał w romantycznych słowach wypowiedzieć wszystko, co czuje, ale zdołał tylko wyjąkać:

- Bądź ze mną szalona, Valentine.

- Może i tak - odrzekła czując, że jakaś część jej samej bardzo mocno

i bardzo stanowczo nie pozwala ustąpić i dać się porwać. Poddawała się wprawdzie pierwszej, niewyobrażalnej, słodkiej fali uniesienia w ramionach Josha, lecz zaraz cofnęła się, okopała na nowych pozycjach, powróciła do swojego sceptycznego „ja”. Wróciło jej poczucie rzeczywistości, a wraz z nim ciche niedowierzanie, że stało się to, co się stało, i że całuje się w samochodzie z mężczyzną, którego poznała zaledwie wczoraj, mężczyzną z żoną i dziećmi. Inteligentna, logiczna i sceptyczna córka Madame Hélène O'Neill wzdragała się przed szaleństwem. Przynajmniej na razie, na początku, na pewno nie w samochodowym kinie. Zobaczymy, pomyślała Valentine, uciekając się do tradycyjnego francuskiego frazesu, który może oznaczać zarówno niezdecydowanie, stanowczą odmowę, jak i prawie całkowitą zgodę. Głośno powtórzyła jednak tylko:

- Być może.

* * *

Spider z żalem zwrócił mercedesa do sklepu z zabytkowymi i klasycznymi samochodami dokładnie naprzeciwko hotelu Beverly Wilshire. Niestety, okazało się, że model nie odpowiada mu w stu procentach, ale oczywiście właściciel może być pewien, że klient zgłosi się jeszcze. Po tych wykrętach Spider popędził do hotelu, by wystraszyć Valentine opowieścią o negocjacjach z Billy. Kiedy okazało się, że Valentine nie można nigdzie znaleźć, Spider zamówił sobie kolację do pokoju i położył się na łóżku, żeby spokojnie pomyśleć. Nadzwyczaj wyczulona intuicja co do tego, co myślą kobiety, podpowiedziała mu, że najbliższe dwa tygodnie zadecydują o wszystkim. Gdyby nie dzisiejsza rozmowa z Billy, pewnie by się już oboje z Valentine pakowali w

oczekiwaniu na jutrzejszy samolot do Nowego Jorku. Właścicielka Scruples okazała się kapryśna i pokrętna, a co gorsza, tylko jeden krok dzielił ją od decyzji, by umyć ręce od całego przedsięwzięcia. Życie tak ją przyzwyczało do stawiania na swoim, że nawet jeśli kiedykolwiek zwracała uwagę na innych ludzi, dawno się tego oduczyła. Była zepsuta, rozpuszczona i agresywna, lecz przecież dawało się w niej wyczuć pewną bezbronność. Spider oceniał, że w ostatecznym rozrachunku będzie umiał powodować Billy, jeżeli oczywiście wystarczy mu natchnienia. Na szczęście, wbrew własnym obawom z poprzedniej nocy, Spider odkrył, że Billy nie jest drugą Harriet Toppingham. Nie zależało jej na tym, by ujrzeć w mężczyźnie strach. Przeciwnie, żądała od mężczyzn odwagi i potrafią wynagrodzić śmiałość. Potrafiła też być sprawiedliwa. Spider musiał przyznać, że w gruncie rzeczy Billy Ikehorn nie jest wcale taka zła.

Najpierw jednak - ostrzegł Spider sam siebie - zanim można będzie zacząć nawracać Billy Ikehorn, trzeba w ciągu dwóch tygodni nauczyć się dwóch zupełnie nowych sztuk. Po pierwsze, trzeba wchłonąć atmosferę, jaka panuje w prosperujących, luksusowych sklepach w Beverly Hills, by umieć ją odtworzyć w Scruples. Po drugie, trzeba odkryć, w jaki sposób kalifornijskie panie wydają pieniądze na ciuchy. Najważniejsze, to wiedzieć, jak poznać sposób. Było oczywiste, że żadna z miejscowych pań nie kompletuje sobie garderoby według zasad, które Spider znał z Nowego Jorku. W Kalifornii nie liczyły się cudowne miejskie płaszcze, eleganckie kostiumiki, sztywne stroje noszone na ulicy i w biurze. Spider prawie zasnął, usiłując sobie wyobrazić różnicę stroju kobiet widywanych na rogu Piątej Alei i 57 Ulicy i tych ze skrzyżowania Wilshire i Rodeo, kiedy nagle wyrwała go z pólśnu nagła idea, dająca się wyrazić w dwóch słowach.

Spider aż zaklął na myśl o własnej gapiowatości i pogratulował sobie pomysłu, który przyszedł mu do głowy w tak kluczowym momencie. Myśl jego brzmiała zaś: jestem tutejszy.

Chryste Panie na wysokościach! Spider czuł się jak odkrywca skarbu gór Sierra Madre. Nie było go w rodzinnych stronach tyle czasu, fakt. Od ostatniej gwiazdkowej wizyty u rodziny upłynęły trzy czy cztery lata, a ostatni znak życia Spider dał matce przed sześcioma miesiącami, ale z drugiej strony, na Boga, jak można, nawet jeśli krwawi się z ran zadanych przez Melanie Adams, i nawet jeśli jest się w szoku wskutek zmiany wszystkich planów życiowych w ciągu tygodnia, i nawet biorąc pod uwagę wczorajsze wariactwa z kontraktem i dzisiejsze rozmowy z „delikatną” jak żyletka Billy Ikehorn - nawet jeśli to wszystko prawda, jak można nie pamiętać, że się wróciło do domu?!

Do osiemnastego roku życia Spider mieszkał w Pasadenie, a raczej w San Marino, cichej, zamożnej dzielnicy tegoż miasta. Przez resztę lat spędzonych w Kalifornii nie opuszczał właściwie miasteczka akademickiego UCLA w Westwood, lecz nawet jeśli Beverly Hills stanowiło dla niego terra incognita, nadal miał przecież w tej części świata swoje korzenie - rodziców, kumpli, a przede wszystkim (Alleluja!) sześć sióstr!

Pijany szczęściem Spider zrozumiał nareszcie, że każdy, kto ma sześć sióstr, jest bogaczem - chyba że jako Grek ma obowiązek zapewnić im wszystkim odpowiedni posag. Zaczął więc pospiesznie czynić notatki. Pięć spośród sióstr wyszło za mąż - trzy całkiem nieźle, jak pamiętał. Zakładając więc, że świat nadal kupuje ropę naftową, drewno i polisy ubezpieczeniowe, przynajmniej trzy siostry musiały znaleźć się w elicie

tutejszej społeczności. Holly i Heather miały po 28 lat. Holly wyszła za mąż za spadkobiercę imperium naftowego i mieszkała w superkonserwatywnym, zasiedlonym przez stare, dobre rodziny Hancock Park. Pansy wzięła za męża jedynaka, którego ojciec był właścicielem połowy sekwojowych lasów w północnej Kalifornii, ale jej mąż zamiast iść w ślady taty, kierował własną firmą ubezpieczeniową w San Francisco, gdzie również mieszkał. Nawet jedna z najmłodszych sióstr, mała June, umiała sobie świetnie ułożyć życie, w wieku 24 lat stając się najbogatszą osobą w rodzinie. Dzięki sieci barów szybkiej obsługi, należących do jej męża, June mogła sobie zafundować posiadłość w Palm Springs, domek plażowy w La Jolla i potężną rezydencję ze stajniami w Palos Verdes. Reszcie dziewcząt także nie powodziło się najgorzej - Heather i January również powychodziły za mąż, może niezbyt bogato, ale zupełnie dobrze. Co do Petunii, ta w opinii Spidera za bardzo lubiła facetów, żeby się ustatkować. Spider musiał tymczasem poznać zakupowe obyczaje zarówno warstw najbogatszych, jak i tych średnio zamożnych. Myśl o elicie finansowej przypomniła mu, że istnieje ktoś taki jak Herbie. Rzeczywiście, Herbie! Jego najlepszy kumpel ze studiów. Potomek właścicieli wytwórni w Hollywood, z hałdami pieniędzy. Co najlepsze, Herbie sam zaczął prowadzić rodzinny interes.

Spider zrozumiał też nareszcie, że kiedy sam gnieździł się na nowojorskim poddaszu, 90 procent rozbrykanej młodzieży z jego lat szkolnych zmieniło się w zamożnych, statecznych obywateli. Przez chwilę kusilo go tego popołudnia, by poprosić Billy, aby na jego i Valentine cześć wydała przyjęcie. Dzięki temu mógłby zaobserwować, czym się charakteryzują tutejsze stroje wieczorowe. Po namyśle zrezygnował

jednak z proszenia Billy o pomoc w czymkolwiek. Da sobie radę sam. Jak to dobrze, że zaczekał, aż przejdzie mu myślowa blokada. Pod spodem swojej listy imion Spider wypisał wołowymi literami: WSZYSCY. POWITALNE PRZYJĘCIE NIEZBĘDNE W CIĄGU DWÓCH TYGODNI. STROJE WIECZOROWE! Drugą ręką nakręcał już stary, pamiętany z dawien dawna numer telefonu - jedyny, którego nie musiał sobie nigdy zapisywać. - Mama? Cześć, mamó! Jestem... Wróciłem!

W ciągu dwóch tygodni, jakie upłynęły od telefonu do domu, Spider musiał przywołać na pomoc całą odporność nerwową, oko wyćwiczone w wyłapywaniu szczegółów, błyskotliwe wyczucie stylu, wyobraźnię i umiejętność osądu, aby zorientować się które efekty wizualne sprawdzają się w praktyce, a które nie. Na szczęście był już prawie wrzesień, okres, kiedy sklepy w Beverly Hills otrzymują dostawy jesiennych kolekcji, a także czas letnich wyprzedaży w całym Los Angeles.

Spider i Valentine rozdzielili się, na piechotę przemierzając kolejne ulice na północ od Wilshire. Odwiedzili wszystkie sklepy po obu stronach Rodeo, Camden i Bedford Drive, potem w ten sam sposób przemierzyli Dayton Way, Brighton Way i „mniejszą” Santa Monica, zygzakowatym szlakiem posuwając się ze wschodu na zachód. Na bulwarze Wilshire poznali bez przesady każdą płytę chodnikową. Zwiedzili sklep Robinsona na zachodnim krańcu bulwaru, po nim przybytki Saksa, Magnina, Elizabeth Arden, firmę Delmana i wreszcie, na wschodnim krańcu handlowej części tej ulicy, magazyn firmy Bonwit Teller. Cały obszar tworzył rodzaj gęsto zabudowanej siatki o trójkątnym obrysie i w Nowym Jorku ciągnąłby się całymi dzielnicami wzdłuż Piątej i Madison Avenue. W Beverly Hills było jednak tak ciasno, że do każdego kolejnego sklepu czy butików z łatwością można było dotrzeć na piechotę. Przeciętny, średniej wielkości butik przy Rodeo Drive pochłaniał roczny czynsz w wysokości 96 tysięcy dolarów, toteż gorzej prosperujące firmy szybko zwijały tu interes.

Czasami Spider, który powstrzymywał się tylko przed ścieraniem farby ze ścian, obracając w myślach sposoby ulepszenia Scruples jako

sklepu, spotykał na ulicach Valentine, przegarniającą ubrania na wieszakach z towarem wyprzedawanym za pół ceny. Aby się zorientować, jakie fasony okazały się niechodliwe w poprzednim sezonie, Valentine oglądała je wszystkie i szkicowała w pamięci każdy szczegół, doprowadzając ekspedientki do białej gorączki. Po tak starannych oględzinach okazywało się bowiem nieodmiennie - jak przepraszająco tłumaczyła sprzedawczyniom - że strój „nie zachwyca jej aż tak bardzo”. Spider w nowym, przepięknie skrojonym ubraniu, naprędce kupionym tuż przed wyjazdem z Nowego Jorku, również sprawiał wrażenie pierwszorzędnego klienta. Najczęściej udawał w kolejnych sklepach, że chodzi mu o kupno prezentu dla matki albo dla którejś z sióstr. Kręcił się po wnętrzach, podsłuchiwał, o czym się mówi, nawiązywał niby to przypadkiem rozmowę z właścicielami, klientami i obsługą. Razem i każde z osobna odwiedzili z Valentine wszystkie mniejsze butiki, a także oddziały tak słynnych firm jak: Dorso, Giorgio, Amelia Gray, Jax, Matthews, The Right Bank Clothing Company, Kamali, Alan Austin, Dinallo, Ted Lapidus, MrGuy, Theodore, Courrèges, Polo, Charles Galley, Gunn-Trigère, Hermes, Edward-Lowell i Gucci.

W ciągu tych dwóch tygodni na cześć Spidera wydano też osiem dużych i hucznych, choć pospiesznie zorganizowanych przyjęć.

Chociaż córki państwa Elliottów w dzieciństwie żywiły zawsze święte przekonanie, że Spider kocha je wszystkie tak bardzo, iż nie trzeba konkurować o jego względy, teraz gdy dorosły, próbowały się wzajemnie prześcigać w podejmowaniu legendarnego brata, o którym tyle się słyszało, a który tak rzadko przyjeżdżał. Ponieważ żadna z sióstr nie uwierzyłaby za nic w świecie, że Valentine jest wyłącznie współniczką

Spidera w interesach - kogo ten Spider chce nabrać, myśli może, że nikt się nie pozna na tej seksownej francuskiej elegancji i nie zrozumie, co oznacza żywość ruchów i iskra w oczach dziewczyny? - były wszystkie wobec niej niezmiernie, a nawet przesadnie uprzejme. Valentine myślała często - w rzadkich chwilach, kiedy miała czas na myślenie - że o ile jej stosunki z kobietami Spidera układały się zupełnie nieźle, z siostrami było już gorzej, jako że wszystkie one, Bóg świadkiem, miały w głowie tylko jedno. Oczywiście nie było nic złego w tym, że siostry odnoszą się do niej w tak czarujący sposób, dając Valentine do zrozumienia, że uważają ją za złodziejkę, mającą każdą z nich pozbawić ich największego skarbu, gdyż na szczęście kolejne przyjęcia, bardziej niż inne okazje podczas tych szaleńczych dwóch tygodni, pozwalały Valentine zobaczyć, co kobiety od San Diego do San Francisco uważają za elegancki strój wieczorowy. Josh wydzwaniał do niej codziennie, ale naprawdę nie mogła mu poświęcić ani sekundy, przynajmniej do końca obecnego maratonu. Valentine tęskniła za Joshem, lecz w tak decydującym, zwariowanym okresie nie mogła niestety zajmować się jeszcze życiem uczuciowym.

Billy z kolei podczas dwóch tygodni, jakie darowała Spiderowi i Valentine, kilkakrotnie wpadała wściekła do Scruples, gdzie wyprzedawano za bezcen całe góry strojów. Choć był to zabieg konieczny, widok ten zmroził Billy do szpiku kości i tylko konieczność zachowania pozorów ustrzegła ją od tego, by załadować cały towar z wyprzedaży na ciężarówkę i wysłać wszystko do Armii Zbawienia. Na szczęście potrafiła sobie wyobrazić, jak szybko rozniosłaby się plotka o podobnym kaprysie. Billy nie mogła się więc doczekać dnia, w którym miała się odbyć ostateczna konfrontacja z dwójką oszustów. Wręczy im wymówienia,

sprzeda sklep i będzie miała nareszcie święty spokój.

Kiedy nadszedł ów dzień, Billy usiadła za swoim biurkiem upodabniając się do kamiennego posągu. Na Spidera i Valentine popatrzyła z miną obojętnego, zawczasu opłaconego oprawcy. Zdążyła już sobie wmówić prawie do końca, że brak sukcesu Scruples to przede wszystkim właśnie ich wina.

Spider rozsiadł się wygodnie pod ścianą, doskonale nonszalancki w swoim leciutkim garniturze firmy Glen, jednym z kilku doskonałych garniturów, jakie kupił sobie w sklepie Dunhill Tailors w Nowym Jorku. Billy ucieszyło, że wbrew pozorom beztroski Spider jest poważny i skupiony. Valentine przysiadła na brzeжку krzesła, czekając - co było jasne - aż Spider zacznie mówić pierwszy. Billy spostrzegła, że Valentine jest wyczerpana i dosłownie chwieje się na nogach.

- Co masz mi do powiedzenia, Spider - zaczęła znudzonym, beznamiętnym tonem. Z całej jej sylwetki promieniował brak zainteresowania.

- Mam dobre wiadomości.

- Czym mnie zaskoczysz?

- Masz tylko jednego rywala, który nie pozwala ci stać się najlepszym sklepem w Beverly Hills. Jest tylko jeden sposób, żeby wyjść na czoło.

- Pleciesz bzdury, Spider. Spróbuj może wyrażać się w sposób zrozumiały. Myślałam, że umówiliśmy się co do bajerów?

- Twój rywal to Scruples. - Spider podniósł rękę, by powstrzymać ewentualny wybuch Billy i spojrzał jej prosto w oczy. Zamilkła, podnosząc tylko brwi w wyrazie złości i zaskoczenia. - Dobrze, postawię

sprawę jasno. Tym rywalem jest twoje własne wyobrażenie o Scruples, twoje marzenie o tym, jaki ma być ten sklep. Wbiłaś sobie do głowy, że cała południowa Kalifornia czeka właśnie na twoje Scruples i omyliłaś się. Omyliłaś się o dziesięć tysięcy kilometrów. Rozumiem, skąd wzięło się twoje marzenie. Wynikło oczywiście z twoich osobistych gustów, ale spodziewać się tu z nim sukcesu można równie dobrze, jak próbować przenieść Petit Trianon do Disneylandu. Niektórych rzeczy nie da się, ot tak, przenieść. Możesz sobie sprzedawać Coca - Colę w Afryce, w centrum Abu Dhabi może być więcej mercedesów niż w Beverly Hills, ale sklep Diora istnieje tylko jeden. Mieści się na Avenue Montaigne i tam jest jego miejsce. Wybij sobie z głowy marzenia o Diorze, Billy, albo kup sobie bilet do Paryża. W Kalifornii jest inne światło, inna pogoda, inna cywilizacja, inne klientki i ich potrzeby, inne jest od początku do końca całe podejście do kupowania strojów. Właśnie ty powinnaś wiedzieć najlepiej, jak poważną sprawą jest wybór właściwej kreacji. To przecież kolosalna decyzja.

Billy była wciąż zaskoczona, nie tym jednak, co mówił Spider, ale raczej tym, jak się do niej zwracał. Nie próbowała nawet zdobyć się na odpowiedź.

- Popatrzmy, jakie są fakty. W Beverly Hills masz do czynienia z dzielnicą handlową, która jeśli idzie o luksus i wybór towaru, bije na głowę Nowy Jork. Dzielnicą nie jest wielka, ale i ludzi mieszka w Beverly Hills nie tak wiele. Gdyby nie było tu zasobnych klientów, nie byłoby i tej dzielnicy, ale mimo to klienci omijają Scruples. Dlaczego? Bo sklep jest do kitu.

- Do kitu? - oburzyła się Billy. - Scruples to najszykowniejszy,

najbardziej luksusowy sklep na świecie. Nawet w Paryżu takiego nie ma, sama sprawdziłam!

- Jest do kitu, bo się tam nie możesz ZABAWIĆ! Valentine i Billy bez słowa patrzyły na Spidera, który ciągnął:

- Zakupy, Billy, stały się jeszcze jedną formą zabawy, rozrywki, niezależnie, co ty sama sądzisz na ten temat. Tymczasem wizyta w Scruples to żadna zabawa, a twoje potencjalne klientki, idąc do sklepu, chcą się właśnie trochę zabawić. Owszem, można wręcz powiedzieć, że w tutejszym handlu potrzeba mniej Diora, a więcej Disneylandu.

- Disneylandu! - wycedziła Billy ze zgorzeniem.

- Właśnie Disneylandu. Zakupy powinny być jak narkotyk, zakupy powinny cieszyć. Nieważne, że i tu, i tam przechodzą z ręki do ręki te same pieniądze. Chodzi o to, że twoja klientka z Beverly Hills albo przyjezdna z Santa Barbara, albo turystka z zagranicy, mając do wyboru pójście do Scruples albo do sklepu Giorgia, zaraz po drugiej stronie ulicy, wybierze... No, co wybierze? Kiedy wchodzisz do Scruples, czujesz nagle wokół siebie ogromną, przeładowaną ozdobami przestrzeń, ściany w dwudziestu pięciu subtelnym odcieniach szarości, tu i tam małe połączane krzeselka, a oprócz tego przerażające stado wypindrzonych, podstarzałych, wyniosłych ekspedientek, które robią wrażenie zgorzonych, że mówisz do nich po angielsku, a nie po francusku. A kiedy wchodzisz do Giorgia, widzisz w środku wesoły tłum, który popija coś przy barze i gra w bilard. Ekspedientki chodzą w zwariowanych kapeluszach i patrzą ci w oczy, jak gdyby miały nadzieję, że wpadłaś po prostu na plotki. Traktują cię tak, że zaraz masz ochotę się tam rozgościć i oddać pod ich opiekę.

- Giorgio to dokładnie przeciwieństwo tego, czym ma być Scruples -

oznajmiła Billy lodowatym głosem.

- Zgoda, ale Giorgio to także najbardziej popularny ze wszystkich domów mody w USA, wliczając nawet Nowy Jork.

- Co takiego? Nie wierzę!

- Jeden metr kwadratowy powierzchni sklepowej przynosi im rocznie obroty około 10 tysięcy dolarów. Uwierzysz w to? Teraz policzmy. Giorgio ma poniżej 500 metrów kwadratowych, czyli rocznie na samych ubraniach i dodatkach zarabia 4 miliony dolarów, chociaż to tylko butik, trochę może większy niż inne. Tymczasem miejscowa filia Saksa przy 40 razy większej powierzchni przyniosła w 1975 roku zysk zaledwie 20 milionów dolarów.

Od razu widać, że Giorgio potrafi wycisnąć, ile się da, ze swojej powierzchni. Znam całe tuziny kobiet, które wydają rocznie u Giorgia przynajmniej 50 tysięcy dolarów. Giorgio ma klientów ze wszystkich metropolii świata. Niektóre kobiety wpadają tam codziennie, żeby sprawdzić, co przyszło nowego. Przynajmniej mają w ten sposób jakąś rozrywkę. A co więcej - kupują! I to jak kupują!

- Skąd mam wiedzieć, że to prawdziwe informacje, Spider? - Billy zdołała mimo wszystko zachować obojętny ton.

- Skąd to wszystko wiem? Rozmawiałem, to znaczy wdałem się w rozmowę z właścicielem, Frankiem Haymanem. Sam mi to wszystko powiedział. Później sprawdziłem statystyki w redakcji *Women's Wear Daily*. Ale tu nie chodzi tylko o Giorgia, Billy. W całym mieście znakomicie prosperują tylko te sklepy, które próbują rozbawić klientów, szczególnie Dorso. Wystarczy tam pójść, żeby się fajnie poczuć. Nie musisz nawet nic kupować. Trochę tak, jakbyś się wybrała na imprezę,

trochę jak do miłego muzeum. Doświadczenie dla zmysłów, ot co. Mówię ci, Billy, że kiedy kobiety kupują sobie stroje, chcą być kochane! A już zwłaszcza bogate kobiety!

- Coś takiego, Spider. - Billy wzruszyła ramionami.

- A co więcej, nie chcą być oceniane przez ekspedientki - ciągnął nie zrażony Spider.

- Nie dalej jak wczoraj grałem w Giorgio w bilard i zobaczyłem, jak do sklepu wchodzi dwie laski, jedna w szortach tenisowych, a druga w brudnych dżinsach, koszulce, bez stanika i w starych sandałach. Zabawiły niedługo - mogłem obserwować każdy ruch, bo w Giorgio jest tak mało przymierzalni, w dodatku tak niewygodnych, że żeby się dobrze obejrzeć w lustrze, musisz wyjść z kabiny. W każdym razie każdy z tych obdartusów kupił sobie trzy sukienki, po jednej od Chloe, Thei Porter i Zandry Rhodes. Ani jedna z tych sukienek nie kosztuje mniej niż dwa tysiące dolarów. Zapytałem jedną z tych dziewczyn, czy kupuje sobie cokolwiek w Scruples. Zagraliśmy sobie nawet w bilard. Powiedziała mi, że owszem, była w Scruples zaraz po otwarciu, ale - powtarzam słowo w słowo, co mówiła, Billy. - „Za dużo się trzeba stroić, żeby tam pójść, a na dodatek jest tam nudno, wszyscy są nadęci, a ekspedientki to kupa snobek”.

- Cytujesz tę w szortach czy tę w brudnych dżinsach? - zapytała z pogardą Billy.

- Mało ważne. Chodzi o to moim zdaniem, że jeżeli nie stworzysz atmosfery Disneylandu i nie zmienisz domu mody w dom rozrywki, moja dalsza współpraca z tobą nie ma sensu. Jeśli chcesz, od razu składam rezygnację.

Billy przyjrzała się kwaśno Spiderowi. Tym razem nie próbował jej czarować zniewalającym uśmiechem i zachowywał śmiertelną powagę. Billy miała na tyle doświadczenia z mężczyznami, by poznać się na każdym podstępie. Facet, którego miała przed sobą, nie próbował tym razem żadnych sztuczek.

- Boże, zaczynam żałować, że zamiast Scruples nie kupiłam sobie sklepu Giorgia! - zauważyła i roześmiała się z goryczą. Nagle pod powiekami poczuła łzy.

- Nonsens! Scruples może być dziesięć razy lepszy od Giorgia, a to dlatego, że posiada trzy rzeczy, o których tamci mogą tylko marzyć: przestrzeń... Valentine... i mnie - dodał Spider, który wyczuł już w ostatniej uwadze Billy zmianę nastawienia. Billy najwyraźniej miała ochotę opuścić swoją tak rozpaczliwie bronioną pozycję, bo zapytała:

- Ale jaki jest twój plan? Chcesz wstawić do sklepu stół bilardowy i poprosić ekspedientki, żeby nosiły zwariowane stroje?

- Nie, to byłoby za proste, a poza tym po co małpować innych? Trzeba kompletnie zmienić wystrój wnętrza, rozwalić te twoje nieskazitelne przymierzalnie, zmienić je tak, żeby się stały seksowne, niepowtarzalne i zabawne! Będzie to oznaczało, że wydasz dodatkowe 700 czy 800 tysięcy dolarów, oprócz milionów, które już utopiłaś w Scruples, ale dzięki temu uda się wszystko pozmieniać. Na przykład, zaraz kiedy przekroczysz próg Scruples - to znaczy, po zmianie wystroju - znajdziesz się w najbardziej niezwykłym i czarującym sklepiku wiejskim na świecie. Wszędzie pełno będzie towaru, mnóstwa najrozmaitszych rzeczy, potrzebnych i niepotrzebnych: staroświeckich guzików, lilii w doniczkach, cukierków w szklanych słojach, staromodnych zabawek, najdroższych na

świecie nożyc do żywopłotu, ryz czerpanego papieru, poduszek z babcinych pierzyn, szkatulek, gwizdków i czego tam jeszcze. Wiejski sklep, taki jak na westernach, od razu cię wprowadza w dobry nastrój, nieważne, czy coś kupisz, czy nie. Tak jak to sobie obmyśliłem, klienci będą tam kupować odruchowo różne rzeczy, już wychodząc, ale najpierw będą musieli przez ten sklep wejść do środka, na Pchli Targ.

- Pchli Targ, Billy, będzie zajmował większość parteru. Dla mężczyzn urządzimy tam angielski pub, w którym, czekając aż panie skończą zakupy, będą sobie mogli spokojnie siedzieć i nie czuć się tak, jak gdyby niechcący wdepnęli do jakiegoś przybytku tylko dla kobiet. Będą mogli sobie pograć na bilardach elektronicznych, dostaną cztery stoły do backgammona, no i oczywiście stoisko z modą męską, a właściwie z samymi dodatkami, za to najlepszymi na świecie. Może uda się wcisnąć parę stołów do ping - ponga, zobaczymy. Co do reszty sali, oprócz tylnej części, wszędzie będą stoiska z dodatkami dla pań. Całe stosy przewspaniałych drobiazgów, wyłącznie najlepszych i najdroższych, najnowszych, najpiękniejszych, i w ogóle naj-, rozumiesz. Wszystko będzie ustawione tak, żeby robiło wrażenie obfitości, po którą tylko ręką sięgnąć. Kiedy można samemu dotknąć i pomacać, nikt nie potrafi się oprzeć. Baśń z Tysiąca i jednej nocy. Skarby sułtana. Po to chodzi się po zakupy, Billy, bo przecież, wielki Boże, nie dlatego, że kobieta naprawdę potrzebuje jeszcze jednej torebki i jeszcze jednej apaszki - tylko dlatego, że kupując każda od razu inaczej się czuje. Kobiety chcą, żeby je wodzono na pokuszenie, stacje na to. Na końcu sali urządzimy zimowy ogród, oranżerię w edwardiańskim stylu, przytulną, zaciszną, staroświecką... W sam raz taką, żeby chciało się tam usiąść i odsapnąć, pokrzepić się herbatą,

tościkami, lemoniadą czekoladową czy kieliszkiem szampana. Oczywiście wszystkie witryny i wieszaki będzie się dawało łatwo przesuwać, tak samo jak ściany między ogrodem zimowym a wiejskim sklepem, w taki sposób, że kiedy będziesz tam wydawać przyjęcia, zrobi się mnóstwo miejsca dla orkiestry i dla tańczących... - Spider urwał, gdyż zabrakło mu tchu.

- Tańczących? - zapytała Billy dziwnym tonem.

- No pewnie, a co? Żeby zmienić wystrój, musimy zamknąć sklep, więc pewnie urządzimy bal na otwarcie, a potem będziesz mogła dwa razy w miesiącu organizować przyjęcia z tańcami. Wliczyłem do kosztorysu cenę przerobienia parteru na salę balową, a wiesz czemu? Bo oprócz balów na cele dobroczynne i dosłownie paru prywatnych przyjęć, tutejsze kobiety nie mają okazji, żeby się pokazać w najlepszych kreacjach. Wszystkie mają na to ochotę - znajdź mi kobietę, która nie ma - ale zamiast balów w Beverly Hills urządza się przeważnie małe, nieformalne imprezy, chyba że zdarza się jakaś szczególna okazja. Jeżeli sama zaczniesz więc wydawać bale, dwa razy w miesiącu, wyłącznie za zaproszeniami, panie będą musiały sobie zafundować nowe piękne kreacje, prawda? Poza tym raz w miesiącu, może w jakiś nudny niedzielny wieczór, kiedy nikt w tym mieście nie ma nic do roboty, możesz wydawać przyjęcia dla hazardzistów. Nagrodą byłaby oczywiście tylko sukienka ze Scruples, ale hazard byłby autentyczny. Dochód przeznaczony się oczywiście na cele dobroczynne, ale pomyśl, zawsze łatwiej jest przyjechać tutaj niż do Las Vegas, a poza tym miliard razy szykowniej, bo trzeba by się na taką okazję wystroić, i w ogóle...

- Ale co ze strojami? Gdzie się podzieją ubrania, skoro ma tu być

sala balowa? - W głosie Billy dało się słyszeć już tylko jedno uczucie: ciekawość.

- Myślałem, że już mówiłem o ubraniach? Na parterze w ogóle ich nie będzie. Ubrania to w Scruples poważniejsza część zabawy. Wszystkie kreacje będą na pierwszym piętrze po to, żeby klientki mogły spokojnie obejrzeć się w lustrze. Boże, pomyśleć, że nawet u Saksa na Park Avenue mają tylko parawany, w dodatku nieszczelne. Każdy, kto przechodzi, może cię obejrzeć w samej bieliźnie, niezależnie od tego, ile tysięcy kosztuje sukienka. Nie rozumiem, dlaczego ludzie godzą się na takie warunki. Nie, jeżeli przyszedł do Scruples, żeby naprawdę coś kupić, idziesz na górę i jesteś podejmowana po królewsku: masz dla siebie przymierzalnię, pełny luksus, darmową przekąskę, masaż stóp... Pamiętasz? Nawet jeśli przyszedł tylko popatrzeć, będziesz traktowana jak księżniczka. Ci, którzy mówią, że tylko się rozglądają, pewnego dnia też zechcą sobie coś kupić.

- Cóż, Spider, wszystko to brzmi bardzo... ciekawie, ale skąd klientki będą wiedziały, jaką ofertę mamy na pierwszym piętrze? Mówiłeś, że na parterze będą tylko dodatki i upominki. Nie rozumiem, jak mogłeś przeoczyć ten szczegół - warknęła Billy.

- Do tego właśnie zmierzam, Billy. Na parterze, gdzie tak czy inaczej zawsze będzie najwięcej kupujących, będziemy urządzać pokazy. Najmiemy na stałe ze dwanaście modelek, które co parę minut będą się przebierały w nowe kreacje i spacerowały po sklepie, pokazując ofertę. Nie znoszę manekinów, na sam widok robi mi się zimno, ale modelki to inna sprawa. Kobiety, widząc modelkę, od razu chcą dotknąć materiału, zapytać o różne sprawy, od razu też widzą siebie w tej samej kreacji.

Modelka potrafi rzeczy, których trudno żądać od wieszaka, prawda? Co do witryny, może już wspomniałem, że napakujemy na wystawę wszystko, co się da, nie zostawimy ani centymetra miejsca. Upchamy tam tyle pięknych rzeczy, że witryna będzie cały rok wyglądać jak choinka z prezentami. Co trzy dni będziemy zmieniać dekoracje, więc zbiegną się tłumy, żeby... Czekać, narysuję ci...

- Proszę, nie fatyguj się, Spider - przerwała mu znów Billy. - Czy bardzo się omyłę stwierdzając, że chcesz zmienić Scruples w rodzaj Pchlego Targu z bilardami elektrycznymi, gwizdkami, darmowym lunchem, seksownymi przymierzalniami i zgrają modelek, z masażem stóp, hazardem i balami tanecznymi? Czy też może przesadzam? - Billy wyrecytowała to wszystko, jak gdyby odczytywała na głos listę zakupów.

- Mniej więcej się zgadza. - Spider miał oczywiście znacznie więcej pomysłów, lecz na początek postanowił nie przesadzać. Jeśli Billy nie zrozumie choćby tego...

- WSPANIALE! - Billy poderwała się zza biurka jak wyrzucona sprężyna i ucałowała oszołomioną Valentine, która nie zdążyła jeszcze odezwać się ani słowem. - Valentine, kochanie! WSPANIAŁY POMYSŁ!

- Jak powiadają - wtrącił Spider - każdy ma dwie twarze: swoją własną i tę sceniczną. Oderwał się od ściany, żeby ofiarować Billy pocałunek, którego się od niego - jak sądził - spodziewała, ale zabrakło mu śmiałości. W duchu pomyślał, że zaczyna powoli rozumieć Billy. Straszna wydra, ale nie tak beznadziejnie głupia.

* * *

Następnego dnia Scruples zamknął podwoje. Billy spędziła cały dzień przy telefonie, usiłując znaleźć znanego dekoratora wnętrz,

Billy'ego Baldwina, który miał się zająć wystrojem każdej z dwudziestu czterech osobnych przymierzalni. Artysta nigdy wprawdzie nie zajmował się podobnymi wnętrzami, lecz Billy nauczyła się mu ufać, kiedy przerabiał dla niej mieszkanie w Sherry-Netherland, dom na Barbadosie i willę na południu Francji - wszystko to jeszcze za życia Ellisa. Rozumieli się z Baldwinem w pół słowa, a oprócz tego dla Billy Ikehorn Baldwin był skłonny zająć się nawet jakimiś przymierzalniami. Wystrój parteru powierzyła Billy Renowi Adamsowi, geniuszowi scenografii teatralnej, jako że ta część sklepu miała w istocie zmienić się w spektakl godny scenicznej oprawy.

Billy nie tylko potrafiła przegrywać - umiała przegrywać aż do samego końca. Dlatego nie dość, że przyjęła podstawową koncepcję Spidera, to jeszcze zrobiła wszystko, by zapewnić pomysłowi możliwie świetne wykonanie. Kiedy już raz ustąpiła, zezwalając na stworzenie w Scruples restauracji, podkupiła jednego z najlepszych kuchmistrzów w Scandii i dała mu wolną rękę. Spider, który wyobrażał sobie prostą tacę z kanapkami, złapał się za głowę słysząc, jak Billy i mistrz patelni uzgadniają, jaką ilość wędzonego łososa zamówić w Szkocji, ile kawioru sprowadzić z Iranu, ile endywii z Belgii, ile marylandzkiego mięsa z krabów, ile sztuk świeżych paryskich rogalików... Zwyczajna taca okazała się ostatecznie składanym przezroczystym stolikiem, porcelana przybrała postać zabójczo drogiego serwisu Blind Earl, kryształy były marki Steuben, masywne srebrne sztuce kupiono u Tiffany'ego, a serwetki okazały się prowansalską wzorzystą bawełną ze sklepu Pierre'a Deux na Rodeo Drive, gdyż zdaniem Billy Porthault dawno już się wszystkim opatrzył.

Spider postanowił sam napisać do Billy'ego Baldwina, jako że nie był pewien, czy jego chlebodawczyni zrozumiała dokładnie, co miał na myśli, mówiąc o uczynieniu przymierzalni seksownymi.

Drogi Panie Baldwin!

Nasze klientki przychodzą do nas trochę dlatego, że mają chętkę wydawać pieniądze, że potrzebna im nowa sukienka, ale najbardziej dlatego, że chcą przeżyć jakiś mały romans bez przyprawiania mężowi rogów. Są z reguły wyrafinowane, zepsute, lubią sobie dogadzać, lubią podróżować i niezależnie od wieku uważają się za nastolatki. Wszystkie co do jednej chcą, żeby je głaskano, oczywiście psychicznie, nie dosłownie. Ujmując rzecz brutalnie, dogadzanie sobie to dla nich narkotyki.

Chciałbym więc, by popuścił Pan cugli fantazji. Zamiast jednej klientki będzie ich pan miał całe setki. Każda z przymierzalni zyska sobie własną grupę zwolenniczek, niezależnie od tego, czy upodobni pan wnętrze do willi w Port oj ino, do marokańskiego seraju czy wręcz do buduaru królowej Anny w hrabstwie Kent. Naszym jedynym żądaniem jest, aby w każdej przymierzalni znalazła się duża komoda bądź też szafa ścienna, w której można będzie trzymać dodatki, a oprócz tego mnóstwo luster i wygodny mebel, na którym każda klientka mogłaby się wygodnie wyciągnąć. I jeszcze jedno, choć może zabrzmi to w sposób nieco wyuzdany - niech mi będzie wolno zasugerować panu, by atmosfera i nastrój każdej przymierzalni były tego rodzaju, żeby całkiem na miejscu był w nich widok bidetu ukrytego w kącie za parawanem. Nie proponuję oczywiście, by instalować tam prawdziwe bidety, rzecz w tym, by atmosfera wnętrza podpowiadała, że podobny sprzęt może się tam w samej rzeczy przydać.

Z wyrazami podziwu i szacunku

Spider Elliott

Nie kto inny jak Billy natchnęła Spidera pomysłem z komodami. Wiedziała przecież, że kiedy kobiety idą po zakupy ubraniowe, wkładają zwykle najwygodniejsze, rozdeptane buty i zostawiają w domu prawie całą biżuterię. Billy nie mogła ścierpieć, że przejdzie jej koło nosa okazja sprzedania szyfonowej sukni od Galanos tylko dlatego, że zabrakło na podorędziu pary wieczorowych butów i sznurów pereł, których widok w połączeniu z suknią nakłoniłby klientkę do kupna. Billy miała zamiar napęłnić komody mnóstwem najnowszych butów i drobnej biżuterii wszelkiego rodzaju, nie na sprzedaż, lecz właśnie po to, by przydać charakteru kreacjom.

Największy jednak wkład Billy w przebudowę Scruples wynikał z jej talentu do kidnapingu. Jeszcze w dawnych czasach, podczas przymusowych zakupów Billy poznała dosłownie wszystkie ekspedientki w Beverly Hills. Kiedy więc dało się ją już przekonać, że znajomość francuskiego niewiele znaczy w porównaniu z indywidualnym wdziękiem i ciepłem, z chęcią zabrała się za porywanie personelu. Z filii Saksa Billy porwała Rosel Korman, spokojną, pełną uczucia i wyrafinowaną, w przeciwieństwie do hippisowatej Marguerite w kapeluszu, dotąd zatrudnionej u Giorgia. Ze sklepu Alana Austina przyszła do nowych Scruples przemądrzała Sue z końskim ogonem, od Dinalla dwie Francuzeczki, Elizabeth i Mirelle, z General Store przyjacielska blondynka Christine i swobodna, rudowłosa Ellen, od Charlesa Galleya taktowna, zawsze entuzjastyczna Holly, a oprócz nich jeszcze tuzin najlepszych sprzedawczyń w Beverly Hills. Billy najęła też najlepszych krawców do

przeróbek, na których czele stała Henriette Schor, dawniej zatrudniona u Saksa. Jediną porażkę odniosła Billy w przypadku ślicznej Kendall, która za nic nie chciała porzucić pracy w Dorso, niezależnie od proponowanej sumy. Nawet zawiedziona Billy musiała przyznać, że Dorso to szczególne miejsce. Billy udało się także zorganizować dostawę zakupów do domów, co nie było wcale łatwe w mieście, gdzie nawet multimilionerzy muszą sami odbierać towar w każdym butik.

W okresie, kiedy sklep był zamknięty, Valentine i Billy przejrzały zapasy towaru. Billy sama zajmowała się wyborem fasonów dla Scruples od pierwszego dnia, w którym wpadła na pomysł założenia domu mody. Jej głównym zastrzeżeniem wobec innych sklepów w Beverly Hills było przede wszystkim to, że nigdy nie umiała w nich znaleźć nic odpowiedniego dla siebie. Trwała więc w przekonaniu, że jeśli tylko uda jej się pojechać do Nowego Jorku i przejrzeć wszystkie kolekcje mające wejść do produkcji, sama najlepiej wybierze fantastyczny towar.

Billy nie miała jednak zielonego pojęcia o takich zakupach, a jej decyzje okazały się taką samą totalną i katastrofalną omyłką, jak jej pomysł odtworzenia w Kalifornii wnętrza Diora. Valentine również nie zajmowała się zawodowo tego rodzaju zakupami, lecz przynajmniej współpracowała ściśle z zaopatrzeniowcami podczas czterech lat na Siódmej Alei. Przedtem jeszcze wchłonęła szczegółowo punkt widzenia nabywcy podczas prób przed pokazami nowych kolekcji u Balmaina i towarzyszące takim okazjom spory, czy dana sukienka „wpadnie w oko”. Teraz musiała więc delikatnie oznajmić Billy prostą prawdę, że w zakupach dla sklepu najważniejszy jest nie osobisty gust nabywcy, lecz potrzeby i poziom upodobań przyszłych klientek.

Sztuka gromadzenia towaru jest zawiła, a każdy sezon przynosi nieoczekiwane porażki nawet weteranom, doskonale wyszkolonym i dysponującym ogromnym doświadczeniem. Wśród czyhających pułapek można wyliczyć te oczywiste, takie jak omyłki w ocenie nowego fasonu czy ewentualnej reakcji klientek na nową modę. Istnieją także pułapki, których nie sposób przewidzieć: opóźnienia w dostawach, niewłaściwy dobór tkanin, perturbacje wśród elit Siódmej Alei, niedotrzymywanie obietnic, kaprysy aury oraz wzloty i upadki na rynku papierów wartościowych.

Billy słysząc to wszystko poczuła, jak stopniowo zmniejsza się jej upokorzenie z powodu braku powodzenia Scruples wśród klientek. Podobny pech mógł się przytrafić każdemu. Kiedy tylko Valentine odgadła, że Billy przestała być tak przeczulona na punkcie swoich towarów, odważyła się stwierdzić, że większość rzeczy zamówionych w przeszłości jest dla przeciętnej kobiety zbyt - hmmm - intelektualna. Owszem, Valentine sama chętnie przyznawała, że osoba doskonale elegancka i obdarzona wzrostem Billy Ikehorn może spokojnie nosić wszystko, co oferuje sklep, ale gdzie podziały się oprócz tego stroje dla kobiet mniej wyczulonych na miejską elegancję, zwyczajne ubrania w dobrym guście, gdzie stroje seksowne, gdzie stroje bardzo kobiece, kiecki, których chciałoby się dotknąć, suknie zapierające dech? Jednym słowem, gdzie podział się towar, który da się sprzedać? A co z „drobiazgami” w postaci sukienek na wszelkie okazje, nie rzucających się w oczy na tyle, by można było się w nich pokazać po wielekroć? Czy Billy nie pojęła jeszcze, że wprawdzie kobiety przychodzą do Scruples po oryginalne suknie z kolekcji najlepszych projektantów, ale muszą też mieć możliwość kupienia

sobie przy okazji strojów sportowych, kostiumów, marynarek, strojów wakacyjnych, ubiorów na po domu? Wszystko to musiałyby być oczywiście tańsze, ale z drugiej strony, dlaczego zostawiać zyski z tego tytułu innym sklepom? Nie ma oczywiście mowy o sprzedaży towaru drugiej jakości, ale trzeba chyba poszerzyć horyzonty i urozmaicić ofertę.

- Chcesz mnie do czegoś namówić i to w sprytny sposób, Valentine - przerwała jej wreszcie Billy.

- Bo mam rację - odparła Valentine.

- I jesteś o tym przekonana, jak sądzę?

- Owszem.

- Do czego mianowicie? - zapytała Billy, próbując sama odgadnąć zamiary demonicznej istoty, której powierzyła swój sklep.

- Do tego, żeby przed otwarciem kupić zupełnie nowy towar. Musiałabym oczywiście pojechać w tym celu do Nowego Jorku. Może zresztą także do Paryża, Londynu, Rzymu i Mediolanu po gotową odzież od najlepszych projektantów. Jest jeszcze trochę czasu, żeby zdążyć zamówić ofertę jesienno - zimową. Do odzieży sportowej musisz znaleźć innego zaopatrzeniowca, może nawet dwójkę, w każdym razie najlepszych speców. Nasze klientki są leniwe i wcale im się nie uśmiecha parkować samochodu, żeby kupić jeden rodzaj kiecki, a potem wsiadać i parkować go znów gdzie indziej, żeby szukać spodni, swetrów i bluzek.

- Skoro wytłumaczyłaś mi już, na czym polega ta praca i jakie niebezpieczeństwa grożą, jeżeli źle się oceni rynek... - zaczęła Billy z namysłem.

- Tak?

- Czy myślisz więc... Ostatecznie, Valentine, nigdy sama nie robiłaś

zakupów do sklepu. Czy nie uważasz zatem, że byłoby rozsądniej wysłać do Nowego Jorku i do Europy kogoś o dużo większym doświadczeniu?

- To już zależy od ciebie. Kiedy mnie przyjmowałaś, miałam być także zaopatrzeniowcem. Mogę w samej rzeczy zostać po prostu twoją projektantką, oczywiście na tych samych warunkach finansowych. Możesz jednak wypróbować mnie przy zakupach. W najgorszym przypadku zmarnujemy po prostu jeden sezon.

Billy udała, że zastanawia się nad decyzją. Było już za późno na szukanie kogoś innego, o czym Billy doskonale wiedziała - co gorsza, wiedziała o tym również Valentine. Nie zostało już ani sekundy na poszukiwania nowego człowieka. Valentine już tydzień wcześniej powinna była wyruszyć po zamówienia.

- Moja ciotka Kornelia miała zwyczaj powtarzać, że jeśli się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”. Może zresztą mówiła, że jak szaleć to szaleć?

- Nadzwyczaj rozsądna osoba - oświadczyła Valentine beznamiętnie.

- A tak. Owszem. Jak szybko możesz ruszyć po te zamówienia?

* * *

Doświadczeni podróżnicy często spierają się o to, który szatańsko zaprojektowany port lotniczy dostarcza im większej udręki: międzynarodowe lotnisko O'Hare w Chicago czy też raczej Heathrow w Londynie. Valentine, która nigdy nie była w Chicago i raczej tam się nie wybierała, z pasją wzięłaby stronę tych, którzy za przedsiónek piekła uważają właśnie Heathrow. Kiedy objuczona ciężkim bagażem podręcznym i przygięta pod ciężarem wełnianego płaszcza dowlokła się po kilometrowym marszu nagim, oszklonym korytarzem do końca,

odkryła, że czeka ją teraz przeprawa z następnym kilometrowym odcinkiem ruchomego chodnika. Za oknami trwała zaś wilgotna, angielska noc. Kiedy wstąpiła na chodnik, metalowa powierzchnia pod stopami zatrzęsała się niepokojąco. Wolała jednak tę atrakcję niż dalsze spacerowanie. Kiedy przedarła się wreszcie przez stanowisko urzędników imigracyjnych i dowlokła do kontroli celnej, słaniała się już na nogach ze zmęczenia. Błyskawiczny wypadek po towar wyczerpał ją już zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Z całego serca pragnęła, by Scruples znów odniósł sukces, lecz najsprytniejsze nawet pomysły Elliotta nie mogły pomóc ani krztyny, jeżeli towar miałby okazać się poniżej oczekiwań jakże szczególnej klienteli, którą Valentine obserwowała w Beverly Hills i na przyjęciach wydawanych na cześć Elliotta.

Celnicy niczego od niej nie chcieli. Na razie w ogóle nie myślała teraz o Scruples, lecz tylko o tym, by odnaleźć człowieka z hotelu Savoy. Ostatnie instrukcje Billy były zupełnie jasne:

- Rozejrzyj się za mężczyzną w szarej liberii i w czapce z napisem Savoy na otoku. Ma czekać na lotnisku na wszystkich, którzy korzystają z usług tej sieci. Zamówiłam ci pokój w ich hotelu Berkeley. Podobno to najlepsze miejsce. Tam będą już umieli się tobą zająć.

Valentine istotnie wypatrzyła wysokiego, sympatycznego mężczyznę w świetnie skrojonym, szarym uniformie i z ulgą podeszła do niego.

- Jestem Valentine O'Neill i mam rezerwację w hotelu Berkeley. Czy mógłby pan złapać mi taksówkę i coś zrobić, sama nie wiem co, z moimi bagażami?

Mężczyzna spojrzał na nią z wyrazem szacunku w doskonały sposób łączącego się z podziwem, jak gdyby znał ją od lat i od lat czekał na

lotnisku w nadziei, że dotrwa do jej przybycia.

- Ach, madame! Oczywiście, madame! Z przyjemnością, zapewniam panią! Mam nadzieję, że lot z Paryża okazał się znośny. O ile wiem, na zewnątrz czeka na panią samochód z szoferem. Bagażowy! Ba-ga-žo-wy! Ach nieważne, proszę za mną *Madame*, i proszę nie przejmować się bagażami, za minutę je tu przyniosą. - Mówiąc to wysłannik uwolnił Valentine od płaszcza i podręcznego bagażu, po czym dziarsko ruszył przed siebie. Podreptała za nim posłusznie, wdzięczna Billy za to, że udało się zamówić dla niej samochód z kierowcą. Samochód przydałby się jej w Paryżu. Człowiek z Savoyu podprowadził ją do zaskakująco wielkiej, popielatej limuzyny marki Daimler. Z przodu, za szczelną szybą, siedział za kierownicą szofer w liberii.

- Wiem, co cię gnębi - odezwał się z tylnego siedzenia Josh Hillman. Valentine spojrzała nań w zupełnym zaskoczeniu. - Nie wiesz, jaki napiwek dać facetowi z Savoyu i bagażowemu. Nie przejmuj się, już się tym wszystkim zająłem.

- Co ty tu robisz?

- Porywam cię. Odtąd jesteś na mojej łasce i niełasce!

- Ależ, Josh! - Valentine prawie omdlała ze śmiechu. - Ty się zupełnie nie nadajesz na Bogarta!

- Poczekaj, aż znów zagram dla ciebie Chevaliera, Valentine, Valentine... Tak za tobą tęskniłem. Musiałem przyjechać. Myślałem, że oszaleję, kiedy tak nagle wyjechałaś. Fakt, że nigdy jeszcze nie musiałem przed drugą randką przelecieć 10 tysięcy kilometrów, ale kiedy widzę twoją wymizerowaną buźkę, nie żałuję tego ani trochę.

- Ale ja dalej nic nie rozumiem! Jak się wyrwałeś z domu? Co

powiedziałaś żonie? - Valentine udało się zadać te pytania, mimo że Josh całował ją tak zachłannie i bez przerwy, iż zanim odpowiedział, minęli 15 kilometrów londyńskich przedmieść.

- Powiedziałem, że jadę do Londynu w interesach. Zamknij buzię, kochanie i przestań mi zadawać pytania. Nie przejmuj się byle szczegółami, przyjmij po prostu, że jestem przy tobie.

Valentine odetchnęła. Josh miał rację, a poza tym brakowało jej sił, by rozsądnie się nad wszystkim zastanowić.

- Obudź mnie, kiedy dojedziemy do pałacu Buckingham - szepnęła i z miejsca zasnęła na ramieniu Josha.

Pół godziny później Josh zbudził ją pocałunkiem, jako że samochód rzeczywiście zbliżał się do wrót pałacu Buckingham. Kiedy przejeżdżali powoli wzdłuż Mali, mając po prawej ręce park St. James z potężnymi, szlachetnymi drzewami, mającymi w ciemnościach, a po lewej architektoniczne cuda Carlton House Terrace, Valentine co chwila odwracała się, by jeszcze raz spojrzeć na rzęsiście oświetlony pałac. Przed nimi piętrzył się masyw Łuku Admiralicji. Dla osób, które kochają Londyn, miejsce to jest najpiękniejszą promenadą na świecie.

Valentine, która w Londynie była pierwszy raz w życiu, aż się trzęsła z podniecenia. Kiedy dotarli wreszcie do hotelu, przyglądała się z podziwem potężnemu foyer, obwieszonemu sztandarami jak sala jadalna królewskiego pułku. Wewnątrz szumiał w kącie teleks, a po marmurowych posadzkach uwijał się tuzin dyskretnych mężczyzn w liberiach. Każdy z nich miał jakieś określone z góry zadanie, choć Valentine nie potrafiła odgadnąć celu ich krzątania ani ich roli w bezszmerowym funkcjonowaniu hotelu. Ruszyli wraz z Joshem śladami młodego,

rumianego recepcjonisty we fraku, przechodząc mnóstwem korytarzy, zanim dotarli do swojego apartamentu. Natychmiast kiedy recepcjonista wyszedł, Valentine podbiegła do okna, rozchyliła zasłony i z zapartym tchem wyjrzała na dwór.

- Ach, Josh, chodź tu prędko! Patrz, księżyc odbija się w rzece, a kiedy się wychylić, widać, jak sądzę... Tak, to Parlament, a za rzeką, co to za wielki oświetlony gmach? A tutaj, tuż pod nami, zobacz, jeśli wyjrzysz, zobaczysz ogród, a w nim posąg. Szybko mi powiedz, gdzie jesteśmy. Billy nie wspominała, że z hotelu Berkeley jest taka panorama...

- Może dlatego, że Berkeley stoi daleko od Tamizy, kochanie.

- Ale gdzie w takim razie jesteśmy?

- Gdzie dokładnie? Nad ogrodami przy Nadbrzeżu Wiktorii. To, co widzisz w dole, to Igła Kleopatry, ten gmach za rzeką to Royal Festival Hali, a jeżeli chcesz jeszcze dokładniejszych informacji, znajdujemy się w apartamencie Marii Callas w hotelu Savoy.

Valentine powolnym ruchem przysiadła na obitej aksamitem kanapce w wykładanym drewnem, prześlicznie ozdobionym i pełnym mebli Chippendale saloniku. Spojrzała w ogień płonący na kominku. Wszystko było dokładnie jak w staromodnej powieści dla dorastających panienek: niewinne, zagubione dziewczę napotyka u celu podróży przystojnego, choć nieco złowrogo wyglądającego mężczyznę, na poły nieznanego, ten zaś uwozi ją do nieznanego hotelu w nieznanym mieście i otacza złowrogim luksusem...

- Czy masz wobec mnie niehonorowe zamiary? - zapytała, a jej spojrzenie z ukosa nie zdradzało ani trochę tego, co naprawdę myślała.

- Boże, jak najbardziej! - westchnął Josh. Jak na niesłychanie

szanowanego adwokata ucieczka od kryzysów i natłoku spraw ze strony Strassbergera i Lipkina, tudzież od żony i dzieci, w dodatku ucieczka do Londynu tropem niesłychanie perwersyjnej, podobnej do chochlika, młodej osoby... Określenie: „niehonorowe” niezbyt odpowiadało rzeczywistości, ale oddawało z grubsza sens zamiarów Josha Hillmana.

- Cóż, skoro tak - odezwała się Valentine możliwie wyniosłym tonem - żądam przede wszystkim gorącej kąpieli, zimnej wódki, zupy i... I jeszcze... I jeszcze muszę rozpakować bagaż.

Josh przycisnął trzy guziki na prostokątnej metalowej płycie przy stoliku. Po kilku minutach w drzwiach apartamentu stanęli portier, pokojówka i kelner.

- Proszę przygotować Madame kąpiel i rozścielić łóżka - przykazał Josh pokojówce. - Chciałbym zamówić butelkę polskiej wódki, dwie butelki wody Evian, kubełek lodu, gorącą zupę jarzynową i talerz kanapek z kurczakiem - poinstruował z kolei kelnera, a do portiera zwrócił się: - Proszę wnieść bagaże Madame do apartamentu. Proszę je rozpakować i zabrać ze sobą to, co wymaga uprasowania. Chciałbym, by wszystko było gotowe na jutro rano.

Cała trójka bez słowa zajęła się wykonywaniem poleceń.

- Savoy dawno przestał być najmodniejszym hotelem. Tych musisz teraz szukać w dzielnicy W.1. - wyjaśniał Josh Valentine, która słuchała go z szeroko otwartymi oczami.

- Wciąż jednak nie ma sobie równych, jeżeli chodzi o obsługę. Dopóki pokojówka i portier nie opuścili pokoju, obydwójce pograżyli się w zamyśleniu.

- Należy ci się ode mnie tylko jedno ostrzeżenie.

- Jakie?

- Na litość boską, nie utop się w wannie. Jest bardzo głęboka i metr dłuższa od ciebie.

- Może przydałby mi się ratownik?

* * *

- Być może, ale na pewno nie podczas pierwszej kąpieli, kochanie, bo obydwójce się utopimy. Poza tym zaraz przyniosą ci zupe.

- Myślisz, że kelner bardzo by się zgorszył?

- Kelner z Savoyu? Nic podobnego!

Valentine zniknęła w łazience, obdarzając Josha zniewalającym spojrzeniem przez ramię.

W jej zielonych oczach płonęła iskra, nie mająca nic wspólnego z rozwagą, a lekki uśmiech wyglądał równie prowokacyjnie, jak prześlicznie zapakowany i obwiązany wstążeczką gwiazdkowy prezent. Josh, którego nikt nie uwodził od dobrych dwudziestu lat, potrzebował całych czterech sekund na decyzję, by zrzucić z siebie marynarkę i całą resztę stroju.

Ani pokojówka, ani portier, ani też kelner nie zdziwili się takim obrotem spraw, a dyskutując później o scenie w apartamencie Marii Callas - ulubionych pokojach primadonny, kiedy zjeżdżała do Londynu - uznali, że tego typu zachowanie stanowi raczej regułę niż wyjątek. - Ten pokój ma coś takiego w sobie - wyjaśnił portier. - Wcale bym się nie zdziwiła - westchnęła pokojówka, a kelner, który zawsze musiał mieć ostatnie słowo, wtrącił: - Sam mówię zawsze żonie, że to przez całą tę Iglę Kleopatry. Kleopatra, powiem wam, też podobno była niezła latawica.

Josh i Valentine mieli dla siebie pięć dni, podczas których z niczym nie musieli się liczyć - pięć porywających, prywatnych dni, podczas

których istniały dla nich tylko rozkosze ciała i dreszcz towarzyszący szaleństwu. Obydwoje wiedzieli, że przyszłość wystawi im rachunek za ten brak rozsądku, lecz na razie przyszłość zupełnie się nie liczyła, zupełnie tak, jak gdyby nie istniała.

Valentine prędko załatwiła interesy z Zandrą Rhodes, Billem Gibbem, Jeanem Muirem i Theą Porter. Zamówienia składała pewnie i szybko. Josh tymczasem odbył kilka rozmów telefonicznych i wysłał kilka teleksów. Nie licząc tych zajęć, obydwójce nie opuszczali luksusowych wnętrz Savoyu, choć wieczorami zwiedzali Londyn, posilając się w takich lokalach jak Tramp, Drone, Tiberio i White Elephant Club, a także w jadalni hotelu Connaught, chociażby ze względu na przyjemność, jaką sprawiało im przebywanie w tłumie, a zarazem całkowita anonimowość.

Na początku każdego romansu zdarza się okres, kiedy obydwójce kochanków przechwala się przed całym światem swoim znaleziskiem, podziwia się nawzajem i szuka w oczach tej drugiej osoby własnego odbicia. Nawet najbardziej dostojny krajobraz zmienia się wówczas w rodzaj teatralnej dekoracji. Czy skazana na śmierć Lady Jane Grey rzeczywiście przed czterystu laty przyjęła koronę Anglii w tej długiej, mrocznej, zdobnej złotem i błękitem galerii Syon House? Słuchając smętnej opowieści przewodnika, Josh myślał tylko o wrażeniu, jakie na innych turystach musi robić Valentine.

Za wcześnie było, aby którekolwiek z nich zastanawiało się nad naturą ich miłości. Valentine zbyt pochłaniała adoracja własnego ciała, własnej urody, która po raz pierwszy obudziła się do życia. Nigdy jeszcze nie pozwalała sobie samej na tak zwierzęce przeżycia jak poranek w łóżku pachnącym jeszcze ich nocną miłością. A kiedy czuła, jak Josh z bijącym

sercem znów bierze ją w objęcia, ich wonie mieszały się ze sobą do tego stopnia, że Valentine nie wiedziała, czy to Josh pachnie nią, czy może to ona Joshem. Próbowwała zatrzymać w pamięci woń ich wspólnego łóżka w hotelu Savoy. Wiedziała już, że obraz jej mężczyzny pośród różowo - kremowej sypialni o lekko secesyjnym wystroju i z łukowatymi oknami, które wychodziły na Tamizę, na zawsze pozostanie jej w pamięci, może zatarty i zniekształcony, lecz przecież wyraźny. Co do zapachu jednak... Valentine wciągnęła go w nozdrza, czując z góry tęsknotę. Po raz pierwszy w swoim życiu nauczyła się nie bać zmysłowych doznań ani długich godzin zmierzchu, kiedy wystarczy po prostu świadomość, że się jest żywą i kiedy wszystkiego jest w bród, i jeszcze kiedy radość cielesnych doznań nadaje pogodną barwę całej reszcie świata.

Josh z kolei zbyt był przejęty nowo nabytą wolnością, faktem, że pękła tama poczucia obowiązku i misji życiowej, która trzymała jego życie w ryzach od dnia, w którym nauczył się składać litery, aby zapytywać siebie teraz, ku czemu zmierza i co przyniesie przyszłość. Obydwoje starali się odsunąć od siebie jak najdalej ową chwilę, kiedy decydują się losy każdego trwałego związku, przyjmując za pewnik, że rozmyślenia nad przyszłością są w ich sytuacji po prostu niedorzeczne.

- Nie wyobrażam sobie kochania się z mężczyzną bez owłosionego torsu - zauważyła Valentine, przyciskając nos do porośniętej ciemnym, siwiejącym włosem skóry Josha i jak kulinarny znawca wciągając jej aromat. - A ty?

Było to najpoważniejsze z pytań, jakie Valentine zadała podczas tych pięciu dni.

W samolot lecący do Los Angeles trasą nad biegunem Valentine

wsiadła jeden dzień wcześniej niż Josh, ze względu na to, że żona adwokata wraz z dziećmi nieodmiennie i obowiązkowo wyjeżdżała odebrać go z lotniska. Fakt ten przypomniawszy Hillmanowi o rzeczywistości w Los Angeles. Nawet kiedy się żegnali w hali odlotów, Valentine nie wspomniała słowem o tym, co będzie z nimi za tydzień, za miesiąc. Cóż mogła zresztą powiedzieć? Przyszłość swą Valentine mogła poznać dopiero z upływem czasu. Owładnął ją teraz całkowicie irlandzki fatalizm, który zawsze stanowił część jej porywczej natury. Nic nie mogło jednak bardziej ująć i zauroczyć Josha Hillmana niż niechęć Valentine do planowania czegokolwiek, umawiania się, snucia zamysłów. Kochał w Valentine właśnie owo oddanie się ulotności chwili. Cierpiał szaleńcze męki na myśl, że Valentine nie stara się złapać go na haczyk, zażądać czegoś, poznać jego zamiary. Więc to tak? Mają się rozdzielić jak dwa statki, które minęły się nocą pośrodku oceanu? Gównu! Zrobi wszystko, żeby zdobyć tę kobietę, bez względu na koszty. Josh odprowadził Valentine aż do ostatniego wejścia, zauważając zarówno miłosną tęsknotę w oczach dziewczyny, jak i nonszalancki, lekki krok, jakim się oddalała, po czym prawie pobiegł do czekającego samochodu.

- Do British Museum - nakazał kierowcy. Tylko pośród monumentalnych, kamiennych sal muzeum, wypełnionych mnóstwem łupów, gromadzonych przez stulecia, mógł znaleźć w otoczeniu smutek, który by odpowiadał dzikiemu poczuciu straty, jakie nim nagle owładnęło.

Billy Ikehorn będzie zaszczycona mogąc Państwa gościć podczas uroczystości otwarcia SCRUPLES

W pierwszą sobotę listopada 1976 roku godzina 9 wieczór

TANŃCE

STRÓJ WIECZOROWY

Zanim jeszcze rozesłano wszystkie zaproszenia, *Women's Wear Daily* zdążyło okrzyknąć bal najwspanialszą imprezą od czasu, kiedy Truman Capote ujawnił, kim naprawdę jest jego Kay Graham. Gdy Billy zastanawiała się, kogo ma zaprosić, Spider powiedział tylko jedno słowo:

- Wszystkich.

- Ale ja wcale nie znam „wszystkich”, Spider. O czym ty w ogóle gadasz?

Spider wcześniej już, podczas wspólnej pracy nad przywróceniem *Scruples* do życia, zauważył dziwny brak kontaktów Billy z życiem towarzyskim Beverly Hills, choć wyobrażał sobie zawsze, że kto jak kto, ale wdowa po Ikehornie musi być wprost rozrywana. Całe prywatne życie Billy, pozbawione więzów rodzinnych i bliskich przyjaciół, wydawało mu się puste i samotnicze. Nie miał oczywiście pojęcia, że samotność to stan, w którym Billy trwała właściwie od zawsze. Koleje losu uczyniły z niej istotę izolowaną od świata, zwłaszcza że przeżycia w młodości pozbawiły ją, kto wie, czy nie na dobre, umiejętności nawiązywania przyjaźni. Po latach bycia „dziwadłem” pozostały w Billy blizny, których nie mogła usunąć żadna cielesna przemiana. Co do rodziny, związki z nią ustały, odkąd Billy wyjechała z Bostonu. Po wyjeździe z Nowego Jorku i przeprowadzce ze sparaliżowanym Ellisem do Kalifornii Billy nigdy nie odbudowała kręgu swoich znajomych z tamtego miasta. Wśród nich zresztą także nie miała prawdziwych przyjaciół, oprócz Jessiki. Los Angeles, zamiast pozwolić jej zacząć wszystko od początku, stało się dla niej więzieniem, a jedynym zajęciem było dla Billy dogłębne oglądanie chorego w cytadeli w Bel Air. Nic dziwnego, że Billy Ikehorn prawie nie znała

innych kobiet z tych okolic.

Co więcej, mimo że czytelnicy gazet i pism ilustrowanych znali ją jako „Billy”, podobnie jak znali z imienia „Lizę” i „Jackie”, sama Billy wcale nie czuła się sławna i nie akceptowała takiego stanu rzeczy. W Nowym Jorku Ellis wpoił jej nieufność i powściągliwość wobec miejscowej socjety, a zresztą sama Billy wolała się zbytnio nie angażować w życie towarzyskie. Po przeprowadzce do Los Angeles nie uczyniła też najmniejszego gestu, który by ją zbliżył do kół towarzyskich Kalifornii. Ponadto, chociaż Billy nie w pełni podzielała opinię bostońskiej elity, że poza tym właśnie miastem nie istnieją kręgi, w których warto się obracać, jej bostońskie maniery i ślad bostońskiego akcentu wciąż trwały, potęgując wrażenie, że jest obca i taka pragnie pozostać.

- Nawet jeśli ty nie znasz wszystkich, wszyscy znają ciebie - upierał się Spider.

- Dobrze, ale jakie to ma znaczenie? Nie mogę przecież zaprosić zupełnie obcych osób, prawda?

- Jasne, że możesz, bo inaczej będzie źle - uciał Spider.

- Dopiero co wywaliłaś lekką ręką milion dolarów. Byłoby nietaktem pochwalić się tym wyłącznie przed sąsiadami.

- Słuchaj, Spider... Skoro jesteś takim ekspertem, to sam mi ułóż listę gości - ustąpiła Billy. Na minutę ogarnęło ją nerwowe uczucie, że nie panuje nad sytuacją. Spider coraz częściej wprawiał ją w takie stany. Mądrała, pomyślała o nim z przekąsem, zirytowana własnym brakiem talentów towarzyskich.

Spider postanowił przeprowadzić studia w terenie. Na czele listy umieścił najznamienitszych mieszkańców najbliższych okolic, a następnie

arystokrację całego zachodniego wybrzeża; od Meksyku do granicy Kanady. Klient przede wszystkim. Do listy Spider dołączył też starannie dobrane znakomitości z Nowego Jorku, Chicago, Detroit, Dallas i Palm Beach. Oczywiście także Hollywood, reprezentowane przez starą gwardię i nowe elity. Czołówkę świata mody, rzecz oczywista. Waszyngton? A dlaczegóż by nie? Może niekoniecznie trzeba od razu zapraszać prezydenta Cartera, ale na przykład wiceprezydenta Mondale'a? Poza tym cóż to za przyjęcie, na które nie zawita Tip O'Neill? Spider dodał też do listy przedstawicieli międzynarodowego jet-setu, choć tutaj jego selekcja była szczególnie staranna. Wiadomo, jakie typy należą do tego towarzystwa. Czy o kimś zapomniał? O rany! A gdzie prasa?! Spider walnął się w czoło w obliczu własnej głupoty. Przecież prasa jest w tym wszystkim najważniejsza! Jak można się podniecać znakomitościami filmu czy polityki, a zapomnieć o ludziach, którzy ich stworzyli? A zatem - prasa. Nie tylko reporterzy z pism ilustrowanych i żurnali mody, ale prawdziwi dziennikarze z magazynu *People*, z *New York Magazine*, z *New West*, z pisma *Los Angeles*, z czasopism koncernów Conde Nasta i Hearsta, z głównych sieci telewizyjnych. A z pisma *Rolling Stone*? Może lepiej nie. Czy zjawi się sam Walter Cronkite? A Norman Mailer? A takie dziennikarskie sławy jak Woodward i Bernstein? O co chodzi, Scruples mogło spokojnie pomieścić sześć czy siedem setek gości, jeśli rozsunie się wszystkie ściany i uprzątne na bok gabloty, jak to zaplanował Ken Adams. W ten sposób będzie można zaprosić około czterystu par. Spider był pewien, że wielu z zaproszonych gości nie będzie się chciało podróżować taki szmat drogi tylko po to, by zaliczyć kolejny bal. Dołączył więc do listy jeszcze kilka tuzinów nazwisk, nie zapominając o własnej

rodzinie i Joshu Hillmanie z żoną.

Po namyśle uznał, że może za bardzo ponosi go fantazja, wykreślił więc kilka nazwisk z Florydy i Teksasu. Na pewno i tak nie zaglądali nigdy do Kalifornii. Potem Spider jeszcze raz przejrzał wszystkie spisy, wykreślając osoby, co do których nie miał zupełnej pewności, czy są dostatecznie znane i czy nadają się jako klienci sklepu. Rezultatem tych przygotowań była lista 360 par i przyjęcie na skalę dekady. Może to już Ostatni Taki Bal? Na pewno bal najdroższy, najbardziej obfotografowany, najbardziej elektryzujący i głośny w latach siedemdziesiątych.

Billy bezwiednie wybrała doskonałą datę. Pierwsza sobota listopada 1976 roku wypadła tuż po wyborach prezydenckich. Przegrani chcieli jak najszybciej o wszystkim zapomnieć, zwycięzcy pragnęli uczcić swój triumf. Wszyscy zaś chcieli jak najszybciej zapomnieć o takich tematach, jak polityka, kurs funta szterlinga i zanieczyszczenie środowiska.

Kiedy z sali zniknęli ostatni specjaliści od bukietów i oświetlenia, do wnętrza Scruples wkroczyły zamówione ekipy gastronomiczne, zabierając się do urządzania barów i bufetów.

Na parterze, gdzie zostawiono na parkiecie mnóstwo miejsca na tańce, mieściło się kilka dużych barków z alkoholem. Największym wyczynem Spidera było urządzenie bufetu i baru z tuzinem stołków w każdej z dwudziestu czterech obszernych przymierzalni. Żadnego z zaproszonych gości nie mogło ominąć zwiedzanie pierwszego piętra Scruples, które Billy Baldwin z prędkością charakterystyczną w jego pełnym przejściu życia zdążył przekształcić w fascynujący i zabawny, niesłychanie erotyczny architektoniczny pastisz w postaci labiryntu prześlicznych pokoi, z których każdy miał przez całe lata służyć jako

źródło pomysłów mniej utalentowanym dekoratorom wewnątrz. Na dole ani na chwilę nie ustawały tańce. Trzy najlepsze orkiestry Petera Duchina grały na zmianę, dzięki czemu muzyka nie cichła ani na chwilę. Otwarto na oścież drzwi edwardiańskiej oranżerii z tyłu sklepu, aby goście mogli się przechadzać w ornamentalnym ogrodzie za Scruples. Udało się nawet wyczarować księżyc w pełni. Ciepła noc wydawała się nasycona czarem: wśród świateł projektu Kena Adamsa kobiety czuły się piękniejsze niż kiedykolwiek, mężczyźni bardziej niż kiedykolwiek romantyczni, a zarazem jeszcze silniejsi, może po prostu dlatego, że znajdowali się na balu pełnym gwiazd i najwspanialszym ze wszystkich takich spotkań, a może i dlatego, że wewnątrz Scruples stanowiło ucieleśnienie wszystkich ich głęboko skrywanych fantazji. Nawet nieustanne błyski fleszy przydawały balowi radosnej nuty. Trzeba rzeczywiście należeć do pół tuzina znakomitości, które nienawidzą rodzaju ludzkiego, by nie cieszyć się faktem, że ktoś nas fotografuje.

W poniedziałek Scruples otworzył podwoje dla klientów. Już przed południem stało się jasne, że nowy sklep zwyciężył. Towary zamówione przez Valentine tak późno, bo pod sam koniec sierpnia, przybyły na czas, a połączone z wyselekcjonowaną resztą jesiennych nabytków Billy, wykonały niesłychanie dochodowy manewr, bo - jak nazywa taką sytuację świat mody - „wyszły ze sklepu”. O wpół do jedenastej rano Spider musiał na gwałt zamówić w agencji pośrednictwa pracy sześć sekretarek, by zajęły się lawiną otwieranych przez klientki rachunków. Nawet kuchmistrz, który przyzwyczajony w Scandii do tego, że codziennie podaje góry jedzenia, przygotował się na najgorsze, toteż pod koniec dnia stwierdził, że gigantyczne lodówki świecą pustką. Czterech kelnerów,

trójka kuchcików i dwóch kelnerów od wina padało z nóg ze zmęczenia. Sprzedawczynie aż drżały z podniecenia, z niedowierzaniem sprawdzając wyniki. Żadnej z nich nie zdarzyło się sprzedać tyle towaru w ciągu jednego dnia. Natomiast znużone masażystki zapowiedziały, że rzucają tak wyczerpującą pracę, lecz na szczęście skończyło się tylko na groźbach.

Kiedy po skończonym dniu sklep zamknął podwoje, Spider, Valentine i Billy spotkali się w gabinecie tej ostatniej. Spider wyciągnął się jak długi na podłodze, a Valentine, która przez cały dzień pomagała ekspedientkom, runęła na bezcenną kanapę w stylu Ludwika XV i zrzuciła buty.

- Czy jutro też tak będzie? - cicho zapytała Billy.

- Pewnie że tak - odrzekł Spider.

- Niedługo zacznie się okres zakupów świątecznych - przypomniała w zadumie Valentine.

- UDAŁO SIĘ! - wrzasnęła Billy.

- Pewnie, że się udało - przyświadczył Spider.

- JESTEŚCIE OBYDWOJE WSPANIALI! - Billy nie posiadała się ze szczęścia.

- Pewnie, że jesteśmy - przytaknął Spider.

- Trzydzieści osiem pań prosiło mnie dzisiaj, żebym im zaprojektowała coś niepowtarzalnego. Będą mi potrzebni asystenci, krawcowe, materiały, no wszystko... - wykrztusiła Valentine.

- Dostaniesz wszystko, co potrzeba, ale jutro - wtrącił Spider.

- Poza tym muszę znów jechać po towar. I tak jestem parę tygodni spóźniona na gotowe kolekcje wiosenno - letnie z Francji i Włoch - oznajmiła ze znużeniem Valentine.

- Powiedz mi wreszcie, Spider, czy zajmowałeś się już kiedyś handlem? – zapytała Billy.

- Ależ naturalnie, Billy. Dziwię się, że w ogóle o to pytasz!

- i Spider roześmiał się głośno.

- W każdym razie już się zajmuje - wymruczała Valentine.

- I TO JAK! KURCZE, I TO JAK!!! - wzniosła triumfalny okrzyk Billy.

* * *

Przez cały następny tydzień i miesiąc obroty Scruples przerastały najśmielsze oczekiwania. Nawet kiedy klientów przestały już wabić nowość i niezwykłość sklepu, sprzedaż ustaliła się na poziomie, który pozwalał wierzyć w przyszłość domu mody.

Wiejski sklepik na parterze, urządony głównie po to, by swoją różnorodnością rozbawić klientów, stał się najmodniejszym miejscem zakupu upominków i najrozmaitszych potrzebnych i niepotrzebnych drobiazgów. Był tam tak duży ruch, że na kolejne święta Scruples wydał katalog, dzięki któremu można było towary zamawiać pocztą.

Oszklony ogród zimowy z mnóstwem ustronnych zakamarków, puszystymi kanapami, artystycznymi wiklinowymi fotelikami i okrągłymi blatami, krytymi uroczą staromodną ceratą w kwieciste, lilioworóżowe wzory, z koszami begonii, cyklamenów i storczyków, donicami potężnych paproci i przyćmionym, intymnym światłem - stał się dla ludzi z towarzystwa ulubionym miejscem przekazywania sobie różnych plotek i nadzwyczaj ważnych informacji. W wielu przypadkach trudno zresztą rozdzielić obie te kategorie.

Główna sala, obmyślona przez Spidera jako Pchli Targ - mieściły się

tam dział galanterii męskiej, jaskinia Ali Baby z dodatkami dla pań, pub, stoły do gry w backgammona i bilardy elektryczne - stała się w Beverly Hills substytutem domu towarowego Bloomingdale, na którego brak zawsze się tu uskarżano. Pchli Targ zmienił się w plac zabaw dla dorosłych, miejsce, w którym wszyscy chcieli się pokazać, spotkać znajomych, rozbawić się, a zarazem nacieszyć widokiem przeogromnej obfitości pięknych przedmiotów.

Projektowanie strojów zaczęło zabierać Valentine tyle czasu i energii, że Billy zatrudniła także dwójkę doświadczonych zaopatrzeniowców. Dzięki temu Valentine, choć to ona decydowała o nabytkach Scruples, mogła zająć się pracą, która przydawała niezmiernego prestiżu domowi mody Billy Ikehorn. Zamawianiem dodatków, galanterii i upominków zajmowało się dwoje kolejnych specjalistów, którzy prawie nieustannie jeździli po świecie, zwożąc towar ze wszystkich zakątków.

A Spider? Spider nadzorował każdy szczegół życia sklepu, od pracy podziemnego garażu do punktualności chłopca na posyłki, od czystości okien wystawowych do funkcjonowania kuchni. Jego najważniejszą rolą było jednak służyć jako arbiter elegancji. Spider zadbał o zdobycie sobie tej pozycji podczas pierwszego tygodnia działalności domu mody. Żadna klientka nie miała prawa opuścić progów Scruples, zanim Spider nie zaaprobował jej zakupów. Co więcej, Spider nie przepuszczał żadnej okazji, tym bardziej że miał po prostu nieskazitelny gust, a ponadto świetnie potrafił przekonać wahającą się panią, że znakomicie wygląda w danym stroju, lub też wyperswadować jej nabycie kreacji, którą ubóstwiała, a w której było jej zupełnie nie do twarzy. W dodatku Spider, czyniąc to wszystko, nie kierował się zupełnie myślą o tym, żeby sprzedać

ten czy inny ciuch. Wolał, żeby klientki wychodziły od niego z pustymi rękoma, niż aby wracały z nabytkiem do domu i dopiero tam stwierdzały z żalem, że popełniły błąd. Kiedy więc Spider wyczuwał owo lekkie ociąganie się, tak charakterystyczne u kobiet, które nie są w pełni zachwycone tym, co kupują, ze wszystkich sił próbował wybić im z głowy transakcję. Naprawdę cieszył się dopiero wtedy, gdy klientka była na tyle zdecydowana na zakup, że próbowała jego samego przekonać o słuszności wyboru. Opierał się tym potokom wymowy tak długo, że za każdym razem udawało mu się skłonić klientkę, by zrezygnowała przynajmniej z jednego nabytku, chociażby po to, by po powrocie do domu oszczędzić jej wyrzutów sumienia z powodu tak ogromnych wydatków.

Co innego, jeżeli klientka będzie sobie mogła pogratulować tego, jaka była dzielna rezygnując z kupna czegoś, co naprawdę jej się podobało. Aby z pomyślnym skutkiem przejść inspekcję Spidera, klientki musiały nie tylko wybierać to, co znakomicie do nich pasowało, ale ponadto autentycznie pożądać danej kreacji. Kobiety musiały naprawdę chcieć i pragnąć tego zakupu, a uczucia tego nie da się udawać, tak jak nie można się cieszyć udawanym orgazmem. W ostatecznym rozrachunku to właśnie Spider, który bezlitośnie sprawdzał, kto, co i dla kogo kupuje, przyczynił się w pierwszym roku najbardziej do sukcesu Scruples, najwspanialszego i najbardziej eleganckiego domu mody, nie do pobicia, jeśli chodzi o obroty w przeliczeniu na powierzchnię handlową w całym Beverly Hills, w całych Stanach Zjednoczonych i na całym świecie.

Kobietą, która zdecydowała o tym, że Spider został w Scruples arbitrem elegancji, była Maggie MacGregor, choć Spider nigdy nie oświadczył nic podobnego głośno, a sama Maggie w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy.

W przygotowaniu cotygodniowego programu telewizyjnego dopomagał Maggie cały sztab doświadczonych dziennikarzy, którzy wykonywali za nią większość pracy przy zdobywaniu informacji. Maggie korzystała też z usług swoich niezliczonych wtyczek w strategicznych punktach w agencjach artystycznych i wytwórniach filmowych. Przed kamerami jednak występowała zupełnie sama, prowadząc program bez asystenta. Na ekranie była wygadana, swobodna, improwizująca wręcz do przesady, lecz nigdy nie skłaniała się w tym ku wulgarności. Jej twarz i postać zajmowały cały ekran, ilekroć kamera choćby na chwilę odrywała się od znakomitości, z którą Maggie przeprowadzała wywiad. Maggie wiedziała, że dane są jej tylko ułamki sekund, jako że fanatyczni telewidzowie nie ścierpią dłuższego rozstania z postacią, która mogła im przecież wyjaśnić tajemnicę, dlaczego to właśnie ten ktoś, a nie oni sami, został gwiazdą. Właśnie poszukiwanie odpowiedzi na tę drażniącą zagadkę decydowało o popularności programu. Telewidzowie mogli z bliska przyjrzeć się każdemu porowi skóry, każdemu mrugnięciu i każdej zmarszczce na twarzy filmowej czy estradowej znakomitości, która nareszcie zamiast odklepywać tekst scenariusza, na chwilę zstąpiła z piedestału, by znaleźć się na łasce i niełasce dociekliwej Maggie. Fakt, że nawet najintymniejsze spojrzenie na gwiazdę nie mówiło nic, ale to nic o tym, dlaczego jedni sięgają szczytów kariery, a inni zupełnie nie, nie miał

znaczenia. Publiczności wystarczyło przekonanie, że może nareszcie dobrze się przyjrzeć scenie, która ma w sobie ziarnko prawdy - scenie, która pozwala telewidzom wierzyć, że dowiedzieli się, jak zachowuje się i jak wygląda gwiazdor czy gwiazda w codziennym życiu.

Maggie MacGregor zjawiała się w Scruples zaraz w poniedziałek po wielkim przyjęciu. Zajechała do sklepu swoim Mercedesem 450 SLC i z ociąganiem oddała kluczyki Jamesowi, kierownikowi parkingu, którego Scruples podkradł sklepowi Saksa. Pomyślała przy tym kwaśno, że najcieplejsze związki uczuciowe w tym okresie życia łączą ją właśnie z jej hitlerowskim samochodem - co gorsza w mieście, w którym warsztat naprawy mercedesów codziennie urządza sobie godzinną przerwę obiadową, podobnie jak sklep firmy Gucci, i równie mało jak Gucci przejmuje się klientami. Maggie uspokoiła sumienie myślą, że jej mercedes pochodzi z zachodnich Niemiec, kraju, który wypłacił Izraelowi ogromne odszkodowania wojenne, ale mimo wszystko... Dość tego - pomyślała. Znowu zaczynam myśleć jak Shirley Silverstein!

Shirley Silverstein nieoficjalnie powiększyła szeregi potężnego klanu MacGregorow tuż po ukończeniu szkoły średniej, kiedy tylko wyrobiła w sobie przekonanie, że ma dosyć sprytu, charakteru i ambicji, by wspiąć się na sam szczyt kariery. Jakiej kariery? Takiej, która ją zaprowadzi do Beverly Hills, które dla Maggie było wówczas ziemią obiecaną, krainą, do której powinien był poprowadzić swój lud ten idiota Mojżesz, gdyby nie skreślił w lewo zamiast w prawo po przejściu Morza Czerwonego. Kiedy Maggie zapomniała, że kiedykolwiek nosiła imię Shirley, pozbyła się zarazem dawnego nosa Shirley, piętnastu kilogramów nadwagi Shirley, a także czekającej Shirley szarej przyszłości. Nigdy nie próbowała jednak

sztuczną anglosaską manierą pokryć żydowskiej zaczepności w swym głosie. Jej matka nie na próżno powtarzała z dumą i udawanym przerażeniem: „Ta jest dopiero pyskata!” Maggie zawsze wierzyła, że pyskatość to jej jedyna nadzieja na przyszłość. Jeżeli umiało się mówić byle co, pod warunkiem że inteligentnie, głośno i z werwą na tyle, aby przekonać rozmówców, przy odrobinie szczęścia wkrótce można było mieć w kieszeni całą amerykańską widownię. Wprawdzie nie język, lecz błyskotliwa inteligencja Maggie zapewniły jej stypendia w Barnard College i w szkole dziennikarstwa na Uniwersytecie Columbia, lecz matka przyszłej gwiazdy telewizji, przy swym wyjątkowym talencie do suszenia wszystkim głowy, również miała ogromną zasługę, ponieważ zmusiła córkę do ukończenia trzech letnich kursów stenografii, dzięki czemu mogła później twierdzić, że to ona załatwiła dziecku pierwszą pracę.

Świeżo upieczeni absolwenci szkół dziennikarskich spadają na działy kadr nowojorskich redakcji jak coroczna plaga monstrualnych komarów. Maggie ominęła przeszkodę w postaci kadr miesięcznika Cosmopolitan, zatrudniając się tam jako sekretarka, a nie młodszy redaktor, którym w rzeczywistości chciała zostać. Sekretarz redakcji, Roberta Ashley, spojrzała na kruchutką dwudziestodwulatkę o okrągłej, łatwowiernej i dziecinnej buźce, z włosami, które prawie zakrywały błyszczące piwne oczy, po czym zapytała:

- Rzeczywiście stenografujesz czy po prostu szybko piszesz to, co słyszysz?

- Systemem Pitmana, sto słów na minutę. Nadążę, choćby pani nie wiem jak szybko mówiła, spokojna głowa - zapewniła redaktorę zadziorna Maggie. Ponieważ zaś Roberta Ashley była bardzo inteligentną

kobietą, zaczęła się niepokoić, czy długo zdoła utrzymać przy sobie tak cenny nabytek.

Utrzymała go przez półtora roku, spędzone przez Maggie na pilnej pracy i chciwej, dokładnej obserwacji wszystkiego, o czym mówiło się na zebraniach i w wewnątrzredakcyjnych pismach krążących między jej szefową a redaktorką naczelną *Cosmopolitan*, Helen Gurley Brown.

Pewnego zimowego poranka w 1973 roku Maggie podsłuchiwała wiadomość, że poprzedniego dnia Helen Brown zaprosiła na kolację samą Candy Bergen i jej męża, producenta filmowego Davida Browna. Para ta zatrzymała się nieoczekiwanie na jeden dzień w Nowym Jorku po drodze z Londynu do Los Angeles.

Pięć minut później Maggie zadzwoniła z ustronnego telefonu do hotelu, w którym zatrzymała się gwiazda.

- Dzień dobry, pani Bergen, mówi Maggie MacGregor z redakcji *Cosmopolitan*. Helen prosiła, żebym się z panią skontaktowała. Wiemy, że za sekundę pani wyjeżdża, zresztą Helen jest na kolegium redakcyjnym, bo inaczej sama by przecież zadzwoniła, ale chodzi o to, że... Ciekawi jesteśmy, czy nie zgodziłaby się pani przed odjazdem na szybciutki wywiad? Wiem, że nie ma pani za dużo czasu... Co? W ogóle nie ma pani czasu? Ależ nie, zrobimy inaczej. Przyjadę po panią do hotelu limuzyną z kierowcą i sama zawiozę panią na lotnisko, a po drodze nagramy sobie to i owo. Wie pani, tak o wszystkim, o życiu, o miłości, o szminkach i tak dalej. To co? Cudownie! Helen będzie zachwycona! Za pół godziny zadzwonię do pani z recepcji!

Odlot samolotu opóźnił się o cztery godziny, boska Candice miała akurat ochotę komuś się wyżalić, a Maggie wkrótce trzymała już w ręku

tekst wywiadu tak nadzwyczajnego, że po jego lekturze Bobbie Ashley prawie się pogodziła z utratą świetnej sekretarki. Był to jeden z bardzo nielicznych wywiadów ze sławną postacią, w którym rzeczywiście pada pytanie: „Jaka jest naprawdę Candice Bergen?” - po którym zresztą następuje odpowiedź tak wyczerpująca, że czytelniczka odkłada pismo z poczuciem, że nie tylko zaprzyjaźniła się z Candy, lecz także, iż szczerze ją obchodzą dalsze losy gwiazdy.

Przez następne dwa lata w Cosmo co miesiąc pojawiały się intymne wywiady Maggie z gwiazdami filmu. Każdy debiutujący, aktor czy aktorka, wiedział, że osiągnął próg gwiazdorstwa dopiero wówczas, kiedy wywlókł na wierzch całą swoją duszę i przekazał ją Maggie, która aktorów traktowała podobnie jak Oriana Fallaci polityków. - Nie ciągnę ich wcale za uszy - tłumaczyła później Maggie z wyrazem niewinności w oczkach barwy coca - coli. - Sami się ciągną za uszy, ja tylko zmieniam taśmę w magnetofonie.

Podczas lat pracy w piśmie Maggie ubierała się w zwyczajne spódnice i bluzki, przepisowy strój reporterki, która nie chce rzucać się w oczy ani prowokować swoich ofiar, które stopniowo zapominają, po co prowadzą rozmowę, nie wiedzą, że za chwilę zaczną paplać o sprawach, które ich agenci zawsze kazali im trzymać pod przykrywką.

Prawdziwy ubraniowy gust Maggie dał się poznać dopiero wtedy, kiedy dziennikarka wybrała karierę telewizyjną i podpisała z jedną z wielkich sieci kontrakt zapewniający jej zwrot wszystkich wydatków na garderobę. Szef sieci, przyglądając się spokojnym, nijakim kostiumom Maggie, przestrzegł ją, że musi się ubierać tak, jak gdyby sama należała do świata filmu. Eksperci telewizyjni dawno już dowiedzieli się prostej

prawdy, że widownia nie wierzy ani trochę w inteligencję i zawodowe zdolności reporterki, jeżeli ta jest źle ubrana i źle uczesana. Nie było mowy o tym, że widzowie nie uwierzą Maggie, jeżeli nie przejmie na siebie części wszechobecnego blasku, jaki mimo przemijania kolejnych lat wciąż bije z Hollywood.

Mając wolną rękę, a za cały drogowskaz nakaz, by nigdy nie pokazywać się na ekranie dwa razy w tym samym stroju, Maggie mogła nareszcie zafundować sobie wyszukane, wymyślne stroje, o jakich zawsze marzyła. Na nieszczęście, jeśli chodzi o figurę, przypominała kropka w kropkę członkinie brytyjskiej dynastii królewskiej. Tak jak królowa Elżbieta i księżniczka Małgorzata dawna Shirley Silverstein była niska, pozbawiona talii, obdarzona biustem i codziennie od nowa walczyła z nadwagą. Damy z dynastii windsorskiej miały jednak na swoje usługi mistrzów igły, którzy przez całe życie maskowali te niedostatki urody wspaniale skrojonymi strojami. Posiadały też całe kilogramy biżuterii, która przyciąga wzrok i odciąga uwagę od figury - ale i tak ubierały się fatalnie. Maggie, pozbawiona opieki wprawnych projektantów, pozostała na łasce własnej fantazji. Ach, z jakim rozmysłem dobierała stroje! Nigdy nie dosyć jej było cekinów, paciorków, riuszek i pawich piór. Jej marzenia spełniłyby się wówczas, gdyby mogła wdziać na siebie te same nadzwyczajne i niesłychanie ekstrawaganckie kreacje, z jakich słynie Cher, ale nawet w chwilach największego zaślepienia Maggie wiedziała, że jest to zwyczajnie niemożliwe. Nie bała się jednak śmiałych strojów.

W pierwszy poranek po ponownym otwarciu Scruples kupiła sobie zapas ciuchów na najbliższe sześć tygodni występów przed kamerą. Rosel Korman, która miała pieczę nad zakupami Maggie, natknęła się na Spidera

- zajętego pouczeniem dekoratora wystaw, ściągniętego z Bloomingdale - i zachwycona wysokością transakcji natychmiast się tym pochwaliła.

- Czy dopasowałaś jej już wszystko? - zapytał Spider.

- Nie, powiedziała mi, że sama się tym zajmie.

- W której przymierzalni ją trzymasz?

- W siódemce.

- Rosel, zanieś z łaski swojej te rzeczy z powrotem do przymierzalni, wszystko, co Maggie wybrała. Pamiętaj, niczego jej nie pakuj. - Sprzedawczyni zrobiła zdumioną minę, lecz Spider odwrócił się już plecami i przegapił ten widok. Przeszedł przez salę i zapukał do drzwi przebieralni Maggie.

- Mogę wejść bez wstydu?

- Na razie tak.

- Jestem Spider Elliott, pani MacGregor, szef sprzedaży w Scruples.

- Witaj mi i zegnaj, Spiderze - rzuciła Maggie, przyglądając mu się z żywą ciekawością. Fizyczna atrakcyjność w mężczyznach dawno przestała jej imponować, lecz zachowała w sobie dość kobiecości, aby na widok wysokiego, wspaniale zbudowanego przybysza odegrać w myślach triumfalną fanfarę.

- Uwielbiam wasz sklep - dodała - ale teraz muszę się jak najszybciej brać do pracy.

- W takim razie też będę się spieszył - zapewnił ją Spider. Zarazem do przymierzalni weszła obładowana sprzedawczyni z pomocnicą, wnosząc warte osiem tysięcy dolarów zakupy Maggie.

- Niby z czym? A dlaczego moje rzeczy jeszcze nie zapakowane? Co jest, do cholery? To taka wielka robota, rozwiesić je i zapakować w

plastykowe worki?

- Wyznaję zasadę, że żadna z naszych klientek nie powinna kupować rzeczy, które psują jej urodę. Takie jest motto Scruples. - Mówiąc to, Spider improwizował. Kiedy tylko usłyszał nazwisko Maggie MacGregor, poczuł przeblysk natchnienia. Właśnie Maggie uznawał przecież za najgorzej ubraną kobietę Ameryki. Nadal nie był pewien, dokąd powiedzie go nowa sytuacja, lecz wiedział, że jest na dobrym tropie. Szezlony i foteliki przymierzalni zniknęły pod pstrokacizną brokatowych tkanin. To Rosel i jej asystentka rozłożyły nabytki Maggie. Działo się to tuż po sezonie, w którym Yves Saint Laurent rozpropagował bogactwa swojej „rosyjskiej” kolekcji, wszystkie więc nabytki Maggie stanowiły trawestację tego motywu rodem z Siódmej Alei. Maggie wybrała w dodatku najbardziej ozdobne, najstaranniej wydziergane fasony. W jej nowych strojach mogłaby się bez wstydu pokazać sama Katarzyna Wielka. Podobnie jak Mae West. Przymierzalnia wyglądała jak sala kostiumów teatralnych nowojorskiego Metropolitan Muzeum po silnej eksplozji.

- Od kiedy to Wielki Brat obserwuje panie przy zakupach? - rozsierdziła się Maggie. - Nikt nie będzie mi mówił, co mam sobie kupić, a co nie!

Była równie wściekła jak zaskoczona. Jak wiele słynnych osób, które zdobyły sobie pozycję bardzo niedawno, zajadle broniła swoich nowych praw i przywilejów. Wszystko, co mogło z powrotem rzucić ją na łaskę i niełaskę świata, stanowiło zagrożenie. Spider w ogóle nie zareagował na te słowa. Okrążył tylko Maggie, przyglądając się jej jak modelce, którą zaraz będzie fotografował. Miał przed sobą kobietę wzrostu może metr pięćdziesiąt pięć i o wadze pięćdziesięciu pięciu kilogramów - z czego co

najmniej pięć kilogramów ważył sam biust. Ostre kontury - zero. Tusza - owszem.

Spider zmrużył oczy i wciągnął w nozdrza powietrze jak gończy pies, który trafił na świeży trop. Wydawało się, że mówi tylko do siebie, ale Maggie dokładnie słyszała każde słowo.

- No, tak... Tak... Wszystko mamy. Wysoka nie jest, nie szkodzi. Kości nie widać, nie ma sprawy. Cyc, no, fantastyczny, co tu kryć, ramiona milusie... ładna szyja, trochę za krótka, ale śliczna... Oczy jak gwiazdy, skóra jak jedwab, talia... Do diabła z talią, zawsze można oszukać... Biodra... Biodra też się schowa, łatwiej schować biodra niż ten biust... Jest od czego zacząć, potrzeba tej kobiecie tylko... Potrzeba tylko...

- Czego mi potrzeba na miłość boską?

- Potrzeba uwypuklenia. Trzeba cię pokazać w zupełnie nowy sposób

- mruknął Spider wciąż niby to do siebie, po czym odwrócił się prędko do sprzedawczyni. - Rosel, przynieś nam wszystko, co masz eleganckiego w rozmiarze osiem, co jest luźne, proste i miękkie.

Kiedy Rosel wybiegła z przymierzalni, Spider znów odwrócił się do Maggie, rozdartej teraz między uczuciem wściekłej furii i fascynacji. Jak większość ludzi, gotowa była ścierpieć dużo gorsze epitety pod warunkiem, że nadal pozostanie w centrum uwagi. Spider tymczasem przestał przyglądać się jej ciału i spojrzał jej prosto w oczy. W jego wzroku kryła się stanowczość i ciepło, pozbawione odrobiny poufałości czy chęci namówienia jej do kupna.

- Chodzi koniec końców o to, jaką siebie chcesz widzieć, Maggie. Ubierasz się źle dlatego, że nieprawidłowo oceniasz swój wygląd.

- Jak to, źle? Jak to nieprawidłowo?

- Co ci będę tłumaczył, sama zobacz. Wszystko jest kwestią perspektywy. - Spider wziął Maggie za ramiona i obrócił ją w taki sposób, że obydwójce widzieli teraz swoje odbicie w wielkim potrójnym lustrze.

- Teraz przypatrz się bardzo uważnie, jakbyś patrzyła na wielki ekran. Kiedy ktoś stoi obok ciebie w lustrze, nareszcie widzisz, jak naprawdę wyglądasz w otoczeniu innych.

Zwykle patrzymy w lustro sami i koncentrujemy się nie na całej sylwetce, lecz na jej częściach. Uważaj teraz, Maggie. Co najbardziej ci się rzuca w oczy?

Maggie milczała, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź.

- Jesteś niska, co? - odpowiedział sam sobie Spider.

- Kobięca do szpiku kości. Tu okrągła, tam okrągła, malutka, kobięca. Taka jesteś i to musisz pokazać. Można ci zazdrościć tej figury, ale co z tego, skoro sama nigdy nie pogodziłaś się ze swoim wyglądem. To wszystko, co chcesz kupić, wyglądałoby dobrze dopiero na takiej tyczce jak Margaux Hemingway. Poczekaj, zaraz ci pokażę, o co mi chodzi.

Spider podniósł z fotelika sutą, cygańską suknię ze złotej lamy i przyłożył ją Maggie do piersi.

- Sama widzisz, że w jednej chwili utonęłaś, przepadłaś. Rosel wracała już z naręczem nowych sukienek. Spider porwał jedną z nich, uszytą z krepy w firmie Holly Harp i udrapował ją w taki sposób, że gładki, miękki, powłóczysty czerwony materiał swobodnie spływał z ramion Maggie.

- O, proszę! Teraz cię znowu widać. Nareszcie widzimy prawdziwą, śliczną Maggie MacGregor; małą, mięciutką, kobięcą Maggie -

prawdziwą, autentyczną dziewczynę. Nareszcie możemy skupić całą uwagę na twoich oczach i skórze, a nie na stroju.

- Ale teraz się nosi takie cygańskie kiecki! - upierała się Maggie. - Krepa to nic nowego. Co, nie czytasz Vogue? - zapytała potulniejszym głosem.

- Nie wolno ci nadażać za modą, Maggie - oznajmił surowo Spider. - Masz na to za mało wzrostu, po prostu jesteś o głowę za niska i masz złą figurę. To znaczy masz wspaniałą figurę, która się świetnie sprawdza, ale nie możesz jej przyćmiewać strojem. Są rzeczy, w których będziesz wyglądała wspaniale, i zaraz je dla ciebie znajdę. Potem musisz tylko wytrwać w tym stylu, przyswoić go sobie. Moda istnieje nie po to, żeby za nią nadażać, musisz dbać o to, by nie zrobić krzywdy prawdziwej Maggie, tej, którą w sobie nosisz. Musisz sama siebie spytać: „Jestem tu jeszcze, czy może już zniknęłam?” Szukaj cienkich tkanin, szukaj miękkich materiałów, prostych fasonów, luźnego kroju i zawsze podkreślaj swoje oczy i cerę, a nie zginiesz.

Maggie była bliska łez - nie z powodu rozczarowania, że nie kupi sobie pstrokatej sterty kostiumów na bal maskowy - wiedziała już, że nie wchodzi to w rachubę - lecz dlatego, iż Spider tak poważnie zainteresował się nią samą, nie Maggie - gwiazdą telewizji, lecz Maggie - kobietą. Tą Maggie, która zawsze w skrytości ducha podejrzewała, że figę się zna na ubraniach. Spider zajął się Maggie, której wszyscy dookoła wciąż tylko nadskakiwali, zamiast powiedzieć jej otwarcie, jak wygląda w ich oczach.

- Masz chyba pojęcie, jak głupio mi przyznać się do błędu?

- spytała Spidera, dając mu tym samym do zrozumienia, że się poddaje. Spider nie dał po sobie poznać, jak bardzo cieszy go ta reakcja.

Po raz pierwszy w życiu musiał obrócić w słowa swoje wciąż jeszcze mętne koncepcje na temat mody.

Jako fotograf Spider współpracował zawsze z redaktorami żurnali, którzy tak dobierali modelki, aby na zdjęciu oddać zalety zarówno stroju, jak i dziewczyny. Valentine rozpuściła go jeszcze, gdyż pewnością i smakiem, z jakim się ubierała, biła na głowę większość normalnych kobiet. Spider zdał sobie nagle sprawę, że tylko nieliczne spośród jego znajomych ubierają się na co dzień tak, aby podkreślić i wybić na plan pierwszy największe zalety swej urody. Najprawdopodobniej nie wiedziały nawet, co jest ich największą zaletą. W odległych czasach - kilka tygodni wcześniej - kiedy to modelki zwierzały się Spiderowi ze swoich kłopotów, słuchał ich z rozbawieniem, zdziwiony, że ta sama cecha, która w jego oczach czyniła z dziewczyny piękność - na przykład szeroki uśmiech, odsłaniający duże zęby - dla niej samej była największym z życiowych nieszczęść i źródłem zawiści wobec kobiet pozbawionych podobnej skazy. Czy istnieje zresztą kobieta, która mogłaby śmiało stwierdzić, że chce wyglądać dokładnie i w każdym szczególe tak, jak wygląda? Spider wątpił, czy w ogóle istnieje ktoś taki. Maggie nie zdawała sobie nawet sprawy, że stała się pierwszą Galateą spośród setek, jakie miały wyjść spod rąk nowego Pigmaliona ze Scruples.

* * *

Określenia: „pierdolenie gwiazd” - Maggie nie przyswoiła sobie w szkole dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia. Podczas pierwszego roku pracy w *Cosmopolitan*, kiedy była jeszcze sekretarką Bobbie Ashley, usłyszała to wyrażenie raz i drugi, lecz rzadko, jako że *Cosmo*, chociaż seks i zbliżona tematyka wcale nie są temu pismu obce, stara się słuchać

radę Helen Gurley Brown i jak najrzadziej stosować w tekstach wulgarne wyrażenia. Jak powiedziała niegdyś sama pani Brown, autorce wolno jest napisać wszystko pod warunkiem, że będzie się wyrażała jak dama.

„Pierdolenie gwiazd” może jednak mieć dużo znaczeń. Zwrot ten może się na przykład odnosić do taksówkarza, który układa w pamięci listę nieszczęsnych sławnych postaci, które miał okazję wieźć przez miasto. „Przypierdala się do gwiazd” fryzjer, który byle jak układa włosy stałej klientce, opowiadając jej przy tym, jak cudowną fryzurę obmyślił poprzedniego dnia dla prezenterki ze słynnego teleturnieju, lecz czyni to także multimilioner obwieszający ściany swego gabinetu fotografiami samego siebie w towarzystwie znanych polityków. Podobnie zachowuje się instruktor aerobiku, który w nieskończoność koryguje zbyt sztywny kark aktoreczki filmowej, zapominając o reszcie swoich wściekłych podopiecznych, z których każda także czeka na jego wskazówki.

„Pierdolenie gwiazd” jest więc rozrywką wielu milionów Amerykanów płci obojga, którzy czynią to, ilekroć kupują nowe wydanie pisma People, słuchają Miss Rony, oglądają Dinah czy Merva i w swojej gazecie studiują przedrukowaną z nowojorskich dzienników kolumnę plotek z wielkiego świata. Ogólnie rzecz biorąc, jest to nieszkodliwe przyzwyczajenie, wynikające u zwyczajnych ludzi z chęci, by i na nich spłynęła część blasku, by i oni przez sekundę mogli uwierzyć w swoją zażyłość z tą czy inną gwiazdą.

Po ośmiu miesiącach wywiadów z postaciami ze świata filmu dla Cosmopolitan oznaczać to mogło tylko pierdolenie się z gwiazdami, prosto i jednoznacznie. Maggie zaczęła sypiać ze słynnymi aktorami.

Początki były bardzo niewinne. Trzeci wywiad, jaki miała

przeprowadzić, dotyczył mężczyzny, Pershinga Andrewsa. Przez kilka dni musiała za nim biegać po całym Nowym Jorku. Młody aktor dopiero niedawno odniósł pierwszy wielki sukces swoją rolą w dwunastoodcinkowej ekranizacji telewizyjnej jednej ze słynnych powieści. Ponieważ Maggie robiła poprzednie wywiady wyłącznie z kobietami, nie miała pojęcia, że tak ją spłoszy rozmowa z gwiazdą płci męskiej. Skąd mogła przypuścić, że jest taka wstydliva? Oto nagle, mimo pancerza w postaci reporterskiego notesu, stosu ostrych ołówków i magnetofonu, mimo poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała jej praca dla słynnego miesięcznika, zaczęła się sama zastanawiać, czy aby sprawa podczas wywiadu odpowiednio wrażenie, czy się podoba. Musiała też bez przerwy borykać się z obawą, że aktor potraktuje jej pytania jako erotyczne zaczepki. Pershing Andrews wydawał się zupełnie nie skrepowany całą sytuacją, ale mimo to wywiad zupełnie się nie kleił. Rozmowa rwała się jak podczas umówionej w ciemno randki.

Na każde pytanie padała stereotypowa odpowiedź, w której nie znać było śladu porozumienia, jakie się nawiązuje, kiedy rozmawiają ze sobą dwie kobiety. Maggie zrozumiała nagle, jak ciężko jest rozdzielić rolę dziennikarza, który chce zdobyć dobry tekst, od roli kobiety. Zadawała dopiero co poznanemu mężczyźnie ostre i stanowczo zbyt intymne pytania - musiała je jednak zadawać, jeśli wywiad miał wzbudzić jakiegokolwiek zainteresowanie. Na domiar złego czuła, że ma zaledwie dwadzieścia trzy lata, pulchne ciało, śmieszne, okrągłe, piwne oczy i gładką, różaną skórę. Żeby zdobyć potrzebny materiał, musiała tymczasem zapomnieć o swoim wyglądzie i z butami wejść bezceremonialnie w psychikę aktora. Żałowała teraz, że nie wygląda jak Lauren Bacall, nie w czasach świetności, lecz

obecnie. Bacall, a może nawet Lillian Hellman.

Nawet przed wywiadem z Pershingiem Andrewsem Maggie domyślała się prostej prawdy, że gwiazdy nienawidzą, boją się i nie znoszą prasy dokładnie w takim samym stopniu, w jakim wiedzą, że pomoc prasy jest im nieodzowna w karierze. Prasa z kolei podnieca się życiem gwiazd, choć lekceważy je zarazem i poniekąd nimi gardzi. O ile jednak dziennikarze mogą dać upust tym mieszanym uczuciom w swoich tekstach, gwiazdy muszą to, co czują, ukrywać pod specjalną maską. Na użytek dziennikarzy płci męskiej aktorzy przywdziewają maskę dobrego kumpla, a kiedy mają do czynienia z kobietami, starają się je uwodzić, werbalnie i dosłownie. To ostatnie zdarza się znacznie częściej, niżby się tego mogli domyślać czytelnicy prasy.

Pershingowi towarzyszyła wszędzie nie tylko Maggie. Za nimi włókł się wciąż agent prasowy Andrewsa, który miał strzec aktora podczas całego pobytu w Nowym Jorku. Od podobnej kurateli potrafią się wywinąć tylko najsztywniejsze i najbardziej uparte gwiazdy. Agencje, które załatwiają im kontrakty, robią wszystko, by ich inwestycja w postaci aktora czy aktorki nie straciła na wartości. Każdemu z podopiecznych przydzielają więc przyzwoitkę, mającą dawać baczenie, by gwiazda nie zaczęła opowiadać głupstw. Obecność czujnego agenta prasowego przynosi tylko jeden skutek: wywiad nudny jak flaki z olejem. Lepsza jednak wypowiedź nudna niż kontrowersyjna albo wręcz idiotyczna - tak przynajmniej uważają agencje. Aktorom i aktorkom nie ufa się w agencjach do tego stopnia, że błądy strach pada na te instytucje na samą myśl, że sprytny dziennikarz, jeśli mu zostawić wolną rękę, znajdzie się sam na sam z gwiazdą. Agencje najczęściej mają zresztą świętą rację.

Maggie poświęciła Andrewsowi - i jego agentowi prasowemu - całe dwa dni. Otrzymywała przez ten czas wyłącznie sztywne i nudne odpowiedzi. Zaczęła więc obmyślać plan zbliżenia się do aktora. Po pierwsze, trzeba przekonać Andrewsa, by pozbył się opiekuna. Przy obiedzie w Sardi, kiedy tylko agent na moment opuścił ich i poszedł do toalety, Maggie zaatakowała z miejsca:

- Słuchaj, Pershing... Po prostu kłapa. - Oskarżycielsko machnęła mu przed nosem swoim notesem. - Przed spotkaniem przeglądałam notatki i widzę, że to, co mówisz, jest nudne jak flaki z olejem. Tfu! Moim zdaniem Helen nie będzie nawet chciała spojrzeć na ten wywiad, chyba że jakoś to jeszcze wszystko rozkręcę, ubarwię. Wiem, że mogę zrobić cuda z tym artykułem, zwłaszcza że ty tak świetnie opowiadasz, ale ta fujara włóczy się za nami jak wyrzut sumienia, od razu więc wszystko mi umyka, a zresztą, ty też się denerwujesz. Słyszałeś kiedyś, żeby walca tańczyło się w trójkę? - Tu Maggie spojrzała na aktora z zabawną, trochę śmieszoną, a trochę smutną miną osoby pokonanej wbrew najlepszym chęciom.

Z miny wynikało jasno, że jeśli Cosmo wzgardzi wywiadem z Pershingiem Andrewsem, w każdej chwili zastąpi ten tekst artykułem o Warrenie Beattym albo o Ryanie O'Nealu.

- Cholera, naprawdę jest aż tak źle?

- Niestety. Ale mówi się trudno. Agent wykonuje swoją pracę i nic na to nie poradzimy. Takie jest życie. - Maggie wzruszyła ramionami tak wymownie, że Andrews ujrzał oczami wyobraźni, jak jego nazwisko zlatuje z okładki grudniowego wydania miesięcznika.

- Niech spływa. Pozbędę się tego typu dopiero po kolacji, bo będzie musiał pędzić do domu, do Larchmont. Może wtedy byśmy się spotkali,

co?

Maggie rozważała propozycję dokładnie tak długo, by nie sprawić wrażenia, że się natychmiast zgadza.

- Czemu nie? Odwołam randkę i tyle. Nie ma sprawy. W takim razie, gdzie i o której?

- W moim hotelu o jedenastej. Do tego czasu go spławię.

- Dobrze - oświadczyła Maggie beznamiętnym, profesjonalnym tonem, lecz w głowie czuła gonitwę myśli. Dotychczas przeżyła pewną liczbę mniej czy bardziej nieważnych romansów, lecz nigdy dotąd nie przebywała sam na sam w hotelowym pokoju z młodym, sławnym aktorem. Skarciła się jednak w myśli za swój niepokój, pocieszając się, że to już nie jej zmartwienie. Niemniej myśl o Pershingu Andrewsie, który był bądź co bądź niezwykle przystojny i pożerany przez ostatnie dwa dni spojrzeniami setek podekscytowanych kobiet - Pershingu, który był ostatecznie GWIAZDĄ FILMOWĄ, z którą Maggie znajdzie się sam na sam w pokoju - była niepokojąca. Czy wywiad nie zmieni się aby w schadzkę? Przez chwilę Maggie czuła, że decyduje się na krok niezwykle efektowny i odrobinę ryzykowny.

- Moglibyśmy zjeść późną kolację - dodał aktor. - Mam wspaniały apartament z kapitalnym widokiem na park.

Apartament. Świetnie. To jedno słowo zmieniało postać rzeczy. W zaproszeniu na kolację do apartamentu nie ma nic zdrożnego, nie kryje się w tych słowach żadna dwuznaczność.

Maggie rzeczywiście zdobyła dla pisma niesamowity wywiad tej nocy i następnej. Nic dziwnego, że jej tekst, zatytułowany: „Życie i niełatwe przygody osoby rozrywanej” - wszedł niemalże do klasyki

gatunku. Maggie przespała się też z gwiazdą, dokładnie tak jak zaplanowała. Zaplanowała świadomie? Nieświadomie? Co za różnica? Dowiedziała się o sobie czegoś zupełnie nowego dopiero wówczas, kiedy ta sama scena uwodzenia zaczęła się powtarzać podczas każdego następnego wywiadu ze słynnymi mężczyznami. Maggie bez litości zaliczała aktorów. Najważniejsze stało się dla niej nie to, czy w łóżku było jej dobrze, źle czy tak sobie. Liczył się tylko fakt, że właśnie jej, Maggie MacGregor, udało się pójść do łóżka z kolejnym mężczyzną, którego nazwisko słyszało się w każdym amerykańskim domu. Podniecał ją nie seks, lecz sława, zbliżała się więc do orgazmu już w chwili, kiedy znalazła się ze swoją gwiazdą sam na sam. Aktorzy nie musieli się specjalnie wysilać, by ją zaspokoić. Maggie wystarczało ujrzeć znaną twarz nad sobą, albo pod sobą, albo wzdłuż swego boku. Spała nie z mężczyzną, lecz z twarzą, słynną twarzą, schylającą się nad nią właśnie, nad Maggie MacGregor, która nie była sławna. Seks przybierał wówczas dla niej zupełnie nową postać, a erotyzm sytuacji wynikał tylko i wyłącznie ze statusu partnera. Wiedziała, że tarzając się z aktorem w łóżku, tarza się też w jego sławie.

Maggie dbała także, aby ostatni dzień pracy nad wywiadem był zawsze ostatnim dniem seksualnych kontaktów z daną osobą. Z początku myślała wprawdzie, że romans będzie miał swój dalszy ciąg w prawdziwym życiu, ale przekonała się, że aktorzy natychmiast uciekają i są mało zainteresowani romanssem z byle dziennikarką, chyba że ta pisze właśnie o nich duży artykuł. Kiedy zaś wywiad był gotowy, dziennikarka stawiała się jeszcze jedną panienką z wypiekami na twarzy wystającą przed garderobą - ładniutką, ale zupełnie nieważną.

Co miesiąc trafiał się Maggie nowy wywiad, po którym mogła umieścić kolejne nazwisko na liście zdobyczy w swojej prywatnej kolekcji. Chociaż była tylko żydowską dziewczyną z małego miasteczka i wyznawała dotąd konserwatywne, małomiasteczkowe zasady, erotyczne przygody wśród gwiazd wydawały się w niczym nie przeczyć światopoglądowi wpojonemu jej w rodzinnym domu. Przygody nie miały nic wspólnego z miłością, oddaniem albo czułością. Stanowiły jeden z przywilejów, jakie dawał Maggie jej rosnący talent. Mimo to jednak trochę się tym wszystkim gryzła, choć nie na tyle, by zmienić obyczaje. Nie chodziło o moralność czy poczucie, że czyni źle - w ogóle nie chodziło też Maggie o wewnętrzne przekonanie, że zachowuje się jak dziewczyna „łatwa” czy „tania”. Określenia te mogłyby ją zranić w szkole średniej, od dawna więc należały do przeszłości. Coś było jednak wyraźnie nie w porządku.

Wyjaśnić tę zagadkę udało się Maggie dopiero wtedy, kiedy przyszło jej robić wywiad z Vito Orsinim.

* * *

Vito Orsini był pierwszym producentem filmowym, jakiego spotkała Maggie na swej drodze. Dotychczas nie miała pojęcia, czym właściwie zajmują się producenci. Wiedziała tyle, co wszyscy. Wielkich producentów nie spotykało się od czasów Thalberga - a może chodziło o Louisa B. Mayera czy Selznicka? Tak czy inaczej wiadomo było, że dni wielkich producentów minęły bezpowrotnie, a ci, którzy noszą dzisiaj takie miano, to zapewne agenci, którzy gromadzą po prostu do kupy gwiazdę filmową, scenarzystę i reżysera, po czym gotową ekipę odprzedają wytwórni filmowej. Inny pogląd głosił, że producent to

zwyczajny, etatowy pracownik wytwórni, który służy jako łącznik między dyrektacją a reżyserem - coś w rodzaju pozłacanego chłopca na posyłki. Na filmowym tronie królowali niepodzielnie reżyser i scenarzysta. Im też należała się wyłączna zasługa. Bezimienni starsi panowie, którzy corocznie wspinali się na podium, by jako producenci otrzymać Oscara za najlepszy film, mogli być sobie producentami, przedstawicielami wytwórni albo w ogóle nie wiadomo kim. Nie było to dla nikogo istotne. Producentów uważa się za biznesmenów, a nie gwiazdy. Oczywiście taki Bob Evans to gwiazda wśród producentów, ale jego przypadek był wyjątkowy. Evans zaczynał przecież jako aktor.

Ludowa mądrość, albo raczej ludowa głupota, którą Maggie tak chętnie przyjęła za dobrą monetę, rzeczywiście do pewnego stopnia jest prawdziwa.

W przypadku Vito Orsiniego trudno było jednak o większą omyłkę. Orsini należał do niewielkiej grupki producentów, którzy pełnią rolę magicznego kleju trzymającego razem wszystkie aspekty dzieła filmowego. Istnieje pewna liczba takich ludzi, którzy nawet dziś mają się dobrze i prosperują w Hollywood, Anglii, Francji i we Włoszech. Zawsze byli tacy ludzie i zawsze prawdopodobnie będą. Tylko oni są w stanie zrobić film od początku do końca, od pomysłu na scenariusz do chwili, kiedy pod kasą zaczyna się ustawiać kolejka.

Vito Orsini pasjonował się swoją pracą. Jego kolejne przedsięwzięcia wyrastały często z własnych pomysłów, a czasami z inspiracji przeczytaną książką albo nadesłanym przez kogoś scenariuszem. Kiedy Orsini zabierał się do filmu, jego pierwszym zadaniem było zdobycie funduszków. Gdy udało się wreszcie dopełnić tego podstawowego w kinematografii

warunku, Vito mógł nareszcie poświęcić, ile chciał, uwagi scenariuszowi i omawiać ze scenarzystami każdą istotniejszą zmianę. To właśnie on decydował o ostatecznym kształcie filmowej historyjki. Czasem na własne ryzyko płacił zaliczkę scenarzystom, zanim jeszcze udało mu się zdobyć kapitał na zdjęcia. Osobiście wybierał reżysera, z pomocą reżysera dobierał aktorów, wynajdywał odpowiednich operatorów, oświetleniowców i wreszcie plenery na zdjęcia. Jednym słowem - niepodzielnie królował nad całą produkcją do chwili, kiedy film znalazł się wreszcie w kinach. Wszystko to zabierało mu każdorazowo przynajmniej rok, bo w odróżnieniu od znanych producentów, którzy tak jak Joe Levine odwalają masówkę, Vito Orsini nie umieszczał swojego nazwiska przed setkami obrazów i nie wyręczał się nigdy innymi. Nigdy również nie pozwalał wysoko opłacanym współpracownikom decydować o ostatecznym kształcie dzieła. Interesował go film, a nie interesy. Stanley Kubrick nakręcił w ciągu dwudziestu dwóch lat zaledwie jedenaście filmów, podczas gdy Carlo Ponti w okresie czterdziestu lat zaliczył ich ponad trzysta. Producenci bywają bowiem rozmaici.

Od pierwszego sukcesu odniesionego w 1960 roku, gdy miał 25 lat, do dnia ślubu z Billy Ikehorn w roku 1977, Vito Orsini nakręcił ze dwadzieścia trzy filmy. Udało mu się to dzięki temu, że w niektórych okresach zajmował się trzema obrazami naraz. Jeden film był zwykle w przygotowaniu, do drugiego trwały zdjęcia, a trzeci pozostawał w montażu i przy postsynchronach. Vito Orsini tak często kręcił filmy w Europie, że brano go zwykle za Włocha, ale w rzeczywistości urodził się w Stanach Zjednoczonych jako syn jubilera z Florencji, Benvenuto Bologniego, który dużo wcześniej osiedlił się w Ameryce i prędko odkrył, że jego nazwisko

oznacza tam również rodzaj wędliny. Rozumiejąc niedogodność takiej sytuacji, Benvenuto zmienił nazwisko na szlachetniejsze: „Orsini”, podobnie jak wielu Włochów i z równie błahego jak oni powodu. Udało mu się zbić pokaźny majątek na hurtowym handlu srebrną zastawą stołową i zamieszkać z rodziną w cichym zakątku Bronxu o nazwie Riverdale, gdzie jego bliskim sąsiadem był sam maestro Toscanini. W 1950 roku piętnastoletni Vito, który łatwo ulegał młodzieńczym fascynacjom, obejrzał pierwszy włoski film w swoim życiu, neorealistyczny obraz wyprodukowany przez Dino De Laurentisa, i odtąd zachwycał się niezwykłymi osiągnięciami powojennej włoskiej kinematografii, za największych swoich idoli obierając De Laurentisa, Felliniego i Carlo Pontiego. Ukończył szkołę filmową na Uniwersytecie Kalifornijskim, a po dyplomie, kiedy jego koledzy zaczynali pracę jako gońcy w studiach filmowych Universal i Columbia, wyjechał do Rzymu. Tam pracował jako rekwizytor, statysta, kaskader, scenarzysta, asystent reżysera i kierownik produkcji, by w wieku lat dwudziestu pięciu samemu nakręcić pierwszy film. Sukces Vita wynikał z faktu, że oprócz umiłowania filmu mógł polegać na swojej ogromnej inteligencji, uroku towarzyskim i przede wszystkim mocą samego tylko talentu i energii. Pierwszy film Orsiniego należał do gatunku obdarzonego później mianem „spaghetti western”. Film przyniósł dochód, podobnie jak trzy typowo komercyjne, lecz zupełnie bezpretensjonalne obrazy, które Vito nakręcił po nim. W 1965 roku, dobiegając trzydziestki, Vito Orsini miał już się czym pochwalić na tyle, że mógł zabrać się do filmów, na których mu naprawdę zależało. Od tamtej pory bez przerwy parł naprzód.

Kiedy każdy z jego dwudziestu trzech filmów wychodził ze stadium

przygotowań, Vito z ociąganiem musiał powierzyć wodze komu innemu, by nie utrudniać pracy reżyserowi. Gdy zaczynają się zdjęcia, film staje się na dobrą sprawę własnością reżysera. Vito często, lecz bez powodzenia, próbował zmusić się do ograniczenia liczby wizyt na planie do dwóch dziennie, po jednej rano i po południu. Czuł się przy tym jak matka, której zabroniono czuwać nad wychowaniem jej własnego dziecka. Podczas zdjęć można go było nieodmiennie znaleźć siedem metrów za krzeselkiem reżysera, czyli w miejscu, z którego mógł wszystko obserwować bez wchodzenia w drogę ekipie filmowej, a także sprawdzać, co porabia reszta personelu nie uczestnicząca w ujęciu. Dlaczego dziewczyna czyta sobie czasopismo, chociaż zaraz będzie jej kolej? Który z pomocników tak głośno żuje gumę? Dlaczego asystent elektryka właśnie teraz musiał iść siusiu? Ludzie, którzy nie znosili, że się ich opieprza, najczęściej już nigdy więcej nie pracowali z Orsinim, lecz większość fachowców ze środowiska filmowego tak podziwiała perfekcjonizm producenta, że godziła się na wszystko, nazywając go tylko pieszczotliwie „tą starą pizdą”. Jeżeli Vito nie przebywał akurat na planie któregoś ze swoich filmów, można się go było lada chwila tam spodziewać, chyba że uczestniczył w zebraniu albo był chwilowo zajęty, albo zaraz miał być do dyspozycji, lub musiał opuścić plan, ale za chwilę miał wrócić. Zawsze też - podobnie jak członkowie rodzin królewskich - był tam, gdzie zapowiadał, i nigdy się nie spóźniał na umówione spotkania, do tego stopnia, że niektórzy już podejrzewali, iż istnieje dwóch Vito Orsinich.

Zapalony producent spędza noce ślęcząc nad skrętkami robionego właśnie filmu i nad prowizorycznym montażem scen z poprzednich dni. Za dnia, jeśli nie pilnuje zdjęć, jeździ zdobywać pieniądze na następne

przedsięwzięcia, pilnuje, by poprzedni film przeszedł końcowe męki porodu, siedzi w salkach projekcyjnych doglądając montażu, dba o postsynchrony, dźwięk i całą resztę, łącznie z kontrolą przebiegu kampanii reklamowej, pilnowaniem sprzedaży kolejnych kopii do dystrybucji i wertowaniem, jeśli zajdzie potrzeba, ksiąg rachunkowych dystrybutora, by właściwie określić należny procent. Oczywiście przez cały ten czas producent sprzedaje też swój film do Kuwejt, Argentyny i Szwecji, a zanim pójdzie spać, z reguły dzwoni jeszcze do pół tuzina kin w całym kraju, by sprawdzić, jak idą bilety na jego poprzednie dzieło. Producent wie więc burzliwe życie, w którym nie brakuje chwil euforii i chwil skrajnej depresji - życie, które wybrać może dla siebie tylko ktoś całkowicie ogarnięty manią kina.

Jesienią 1974 roku, kiedy Maggie po raz pierwszy polecono zrobić wywiad z Vito Orsinim, producent przebywał właśnie na planie nowego filmu w Rzymie. Zostało mu jeszcze dwa tygodnie do końca zdjęć, a główne role grali Belmondo i Jeanne Moreau. Radość, że pierwszy raz jedzie do Europy, stokrotnie wynagrodziła Maggie rozczarowanie, że ma zrobić wywiad z Orsinim, a nie z Belmondem, do którego zawsze czuła dziwny pociąg. Redakcja zarezerwowała dla niej pokój w skromnym hotelu Savoy, niecałą przecznicę od słynnej kwatery filmowców w hotelu Excelsior przy Via Veneto, lecz cztery razy tańszym. Jeśli chodzi o reprezentacyjne wydatki pracowników, koncern prasowy Hearsta jest firmą nader powściągliwą.

Przed każdym wywiadem z aktorem czy aktorką Maggie sprawdzała zawsze materiały na ich temat w czytelni czasopism nowojorskiej Biblioteki Publicznej przy 42 Ulicy. Dzięki temu wiedziała wszystko o

swoich ofiarach i mogła im zadawać podstępne, diabło nieoczekiwane pytania. Nie uśmiechało jej się jednak maszerować taki szmat drogi do biblioteki i grzebać w zszywkach czasopisma tylko dla jakiegoś producenta, zwłaszcza że najważniejszych materiałów i tak nie udaje się nigdy znaleźć, bo ktoś je już wypożyczył. Ponieważ oglądała dwa ostatnie filmy Orsiniego - krytycy rozpływali się zresztą nad nimi - pomyślała, że na początek zupełnie jej to wystarczy.

Apartament Orsiniego w hotelu Excelsior wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewała: był olbrzymi, pełen imponujących ozdób i dzwoniących telefonów. Dwie sekretarki na wyścigi stukwały w maszyny, wokoło kręciło się kilka osób, które zamawiając na górę kanapki miały na twarzach wyraz smutku i rozpacz, a hotelowy goniec co parę minut przynosił z dołu nowe teleksy. Maggie wiedziała z góry, że nic tu po niej. Jakże robić wywiad z facetem, który w ogóle nie jest taki znów ciekawy, a na dodatek utknął w centrum biurowego cyklonu?

Największym talentem Maggie były poufałe rozmowy w intymnych okolicznościach. Nie zmieniało to faktu, że punktualnie o wyznaczonej godzinie jedna z sekretarek wprowadziła Maggie do sanktuarium Orsiniego, to jest do najmniejszego spośród trzech saloników hotelowego apartamentu.

Kiedy wzrok Maggie padł na Vito Orsiniego, coś podpowiedziało jej, że jej obiegowa wiedza o producentach filmowych ma pewne luki. Do pewnego stopnia Orsini odpowiadał stereotypom, nosił szyty na miarę garnitur od Brioniego, strzygł się we włoskim stylu, na ręce miał złoty zegarek Bulgari, a na nogach półbuty z cienkiej, błyszczącej skóry, ale poza tym? Gdzie podział się śmieszny grubasek z wyobrażeń Maggie?

Gdzie zniknął łysiejący mały Włoch o śmiesznym akcencie? Maggie spodziewała się u Vito Orsiniego włoskiej urody, lecz na pewno nie urody godnej Cezara. Poczowała, że zdecydowanie poprawia jej się humor.

- Witam w Rzymie, panno MacGregor. - Co więcej, okazało się, że Orsini mówi po angielsku bez śladu cudzoziemskiego akcentu i potrafi ładnie ucałować dłoń damy.

- No, coś takiego! - odezwała się Maggie, której specjalnością były rozmyślnie gafy. - Spodziewałam się kogoś znacznie starszego.

- Mam trzydzieści osiem lat - oznajmił Vito, zaszczycając dziennikarkę uśmiechem wskazującym, że nawet jeśli jest cudownie młoda, sam producent również nie należy do starców. Uśmiech wydawał się emanować z całej twarzy Vito i prześwietlał jego oczy. Nos producenta był wydatny jak u konsula imperium, a cera miała złotobrazowy odcień. Orsini wydawał się roztaczać wokół siebie jasność, a poruszał się z gracją i pewnością dyrygenta wielkiej orkiestry symfonicznej.

- Proszę mi powiedzieć - zaczęła Maggie, wciąż trwając w najbardziej naiwnej ze swych póz - co tak naprawdę robią producenci filmowi? - Uznała bowiem, że ignorancja będzie w tym przypadku taktyką nie tylko rozsądną, lecz całkowicie uzasadnioną. W ten sposób można też sprowokować Orsiniego do komentarza, którego będzie później żałował do końca życia. Tego typu wywiady były najlepsze.

- Dzięki Bogu, że wreszcie mnie o to pani zapytała - odrzekł prędko Vito. - Nie wyobraża pani sobie, ile razy przeprowadzały ze mną wywiad osoby, które nie miały pojęcia, najmniejszego pojęcia, czym się właściwie zajmuję. Są zbyt leniwi, żeby się sami wszystkiego dowiedzieć. Wspaniale, wszystko pani opowiem, ale nie teraz. Za piętnaście minut

muszę pędzić do studia. Czy moglibyśmy raczej umówić się dziś wieczorem na kolację? Mielibyśmy lepszą okazję do rozmowy.

Maggie przytaknęła, uznając w myśli, że słynny producent zaczyna już jej jeść z ręki.

- Wstąpię po panią o ósmej i zabiorę do jednego z moich ulubionych lokalików. Do tego czasu musi pani zabawiać się sama. Ale proszę pamiętać, że sklep Gucciego w Rzymie jest tak samo drogi jak ten w Nowym Jorku, zatem bez szaleństw.

Producenci filmowi, którym udało się przetrwać, zawdzięczają swój sukces darowi telepatii.

* * *

Tego samego wieczoru, przy stoliku w Hostaria dell'Orso, Maggie ani razu nie musiała sięgać po sztuczki ze swego repertuaru. Nie zadawała bolesnych pytań, nie pytała o nic głupio, by uzyskać niegłupią odpowiedź, nie rozklejała się, by rozwiać podejrliwość, nie spoufalala się, nie nadskakiwała swojej ofierze. Mogła spokojnie usiąść i po prostu słuchać. Vito mówił do niej trzy godziny bez przerwy, upierając się przy tym, że zaledwie dotknął tematu.

- Ależ, Vito, proszę cię, przestań już! Skończyła mi się taśma, boli mnie ręka od pisania, a poza tym dowiedziałam się już więcej, niż normalny człowiek jest w ogóle w stanie przeczytać.

- Zawsze podchodzę w ten sposób do dziennikarzy. Trzeba było mnie nie pytać, co robią producenci. Nikt cię przede mną nie ostrzegł, czy co?

- Ależ skąd, nikt mi nie powiedział słowa. Kazali mi wsiąść w samolot i zrobić z tobą wywiad.

- Cóż, może wrócimy do mnie do hotelu i porozmawiamy teraz o tobie?

- Dzięki Bogu, że nareszcie o to zapytałeś.

* * *

Od Orsiniego właśnie Maggie dowiedziała się, co ją tak gnębi po kolejnych przygodach z gwiazdami. Wcale nie chodziło o miłość. Vito Orsini okazał się wielkim romantykiem, a Maggie zrozumiała w jego łóżku, że w tym filmie to właśnie ona ma być gwiazdą. Po raz pierwszy dowiedziała się, że jej duże piersi i pokaźne siedzenie mogą stanowić olbrzymią zaletę, jeśli na chwilę przestanie się je przyrównywać do ideału urody obowiązującego w Ameryce. Odkryła też, że przynajmniej jeden sławny mężczyzna nie uważa, że wyświadcza jej wielką łaskę, pozwalając się zapoznać bliżej ze swoim kutasem. Podczas pierwszej i wszystkich kolejnych nocy spędzonych z Vito ani przez chwilę Maggie nie doświadczała uczucia towarzyszącego jej zwykle przy „pierdoleniu gwiazd”, a podpowiadającego, że jest kimś gorszym, podrzędnym, komu na chwilę zezwolono przyjrzeć się życiu ludzi lepszych niż ona. Vito wyleczył ją raz na zawsze z kompleksu bycia „pokojówką z piętra” i poczucia, że grzeje się w blasku cudzej chwały.

Podczas ciepłej jesieni 1974 roku Maggie została więc w Rzymie na całe dwa tygodnie, co trzy dni wysyłając do redakcji depezę o trudnościach ze złapaniem nieuchwytnego producenta. Cała redakcja Cosmopotitan doskonale rozumiała taką sytuację. Ech, ci włoscy producenci filmowi. Współpraca z nimi to rzecz prawie beznadziejna. Maggie i Vito stali się tymczasem parą kochających przyjaciół, współuczestników spisku przeciwko nie nazwanym siłom, i miłośników

swoich ciał i umysłów. Od czasu do czasu Maggie zaczynała się wprawdzie zastanawiać, czy i o tym spotkaniu, jako wszystkich poprzednich, będzie musiała zapomnieć z chwilą, kiedy artykuł ukaże się w druku, ale stopniowo nauczyła się ufać Orsiniemu. Nie mogli na zawsze pozostać kochankami, lecz wiedzieli, że znaleźli w sobie przyjaciół.

Vito pozwolił Maggie uczestniczyć biernie we wszystkich swoich spotkaniach, przysłuchiwać się rozmowom telefonicznym, kręcić się za sobą po planie zdjęciowym i przeglądać wspólnie codzienne skreśki. Po dwóch tygodniach Maggie wiedziała o technice i finansowaniu produkcji filmów więcej niż którykolwiek z amerykańskich dziennikarzy. Wiedza ta niezmiernie się przydała, kiedy Maggie została gospodynią programu telewizyjnego. Od tamtej chwili w Rzymie dzieliło ją jednak sześć miesięcy, podczas których napisała pięć kolejnych artykułów o gwiazdach ekranu i odkryła, że aby pisać o aktorze, wcale już nie musi z nim spać. Co więcej, umiejętność zachowania dystansu do opisywanej postaci stała się teraz jej najpotężniejszą bronią. Dopiero kiedy Maggie zrezygnowała z bycia kochaną za wszelką cenę, choćby przez jedną noc, zaczęła wyraźnie dostrzegać osobowość gwiazd i mogła precyzyjnie opisać każdą postać. Wracając do swoich pierwszych wywiadów, miała do siebie ogromne pretensje za zmarnowanie tylu okazji do napisania prawdy z tej tylko przyczyny, że stukając w maszynę wciąż jeszcze widziała nad sobą rysy przystojnej twarzy.

Wiosną 1975 roku, sześć miesięcy po pożegnaniu w Rzymie, Maggie dowiedziała się, że Vito jest w Meksyku, gdzie kręci w plenerach nowy film Parowiec. Gwiazdą był tym razem Ben Lowell, jeden z pięciu najbardziej kasowych aktorów w USA, specjalista od ról twardych i

nieustraszonych bohaterów, podziwiany jednakowo przez mężczyzn jak i kobiety. Główną rolę kobiecą powierzono znakomitej, lecz kapryśnej aktorce z Anglii Mary Hanes, która cieszyła się sławą łóżkowej diablicy i właścicielki najbardziej niewyparzonego języka i najzabawniejszych ust na całym terytorium upadłego brytyjskiego imperium.

Maggie udało się przekonać kierownictwo Cosmo, że najwyższy czas na wywiad z Benem Lowellem, najbardziej amerykańskim aktorem w epoce, kiedy tradycyjne amerykańskie postaci zaczynały coraz szybciej zniknąć ze sceny. Prawdziwą przyczyną, dla której Maggie zapragnęła pojechać do Meksyku, w okolice słynącą z upałów, niewygód i podłego jedzenia, była oczywiście chęć powtórnego zobaczenia Vito.

Maggie była jedyną dziennikarką, która odważyła się zapaść na plan filmowy. Joe Hyams, Jane Howard, Laura Cunningham i tuzin pomniejszych reporterów uprzejmie odrzuciło zaproszenie do długiej podróży w czarterowym samolocie do rozpadającej się rybackiej wioseczki nad oceanem, atrakcyjnej tylko z powodu spokojnego morza i autentycznego opuszczenia. Zawsze przecież można było liczyć na inne zaproszenie, w inne, ciekawsze miejsce. Zawsze.

* * *

Vito uściskał Maggie, która wysiadła chwiejnie z małego samolotu na zarośnięty pas startowy.

- Jak tam film? - wymruczała Maggie, zanim zdążyła się przywitać.
- Do dupy.
- Skąd ta pewność?
- Czuję, że coś mi śmierdzi.
- Mógłbyś mówić jaśniej?

- Nie umiem ci dokładniej wytłumaczyć. Powodów jest wiele, a w dodatku nie wszystkie znam - odpowiedział Vito. - Fakt, że coś takiego czuję, Maggie. Nie ma dwóch zdań.

Po dniu spędzonym na planie filmowym, Maggie, która tylko obserwowała obecnych, notując w myślach każdy szczegół, była zdumiona jak nigdy przedtem w swojej dziennikarskiej karierze. Przywykła do wściekłego rytmu pracy filmowców, lecz na planie Parowca wszystkim pracom towarzyszyło dziwne napięcie. Sama Maggie poczuła, że wpada w panikę, choć tylko snuła się wśród dekoracji, a przecież dawno nauczyła się zachowywać spokój w obliczu wybuchów, tak normalnych podczas zdjęć. Zwykle każda kolejna sprzeczka dostarczała jej nowego materiału i przejmowała ją mniej więcej tak samo, jak reportera z działu miejskiego wzrusza opisywany wypadek uliczny.

Udało jej się dostać pokój drzwi w drzwi z pokojem Orsiniego w obskurnym motelu, jednym z trzech w miasteczku. Wszystkie motele były oczywiście zajęte przez ekipę zdjęciową i aktorów. Zbudowano je jako kwaterę dla amatorów pletwo - nurkowania z Kalifornii i pilotów awionetek - jedynych Amerykanów, którzy się w ogóle zapuszczają w tę okolicę Meksyku.

Kolację Vito i Maggie zjedli w kantynie, specjalnie urządzonej dla filmowców. Miejscowe jedzenie miało jedną zaletę: natychmiast dostawało się po nim rozstroju żołądka i nie trzeba go było więcej kosztować. Nad wyżywieniem ekipy czuwali więc specjalnie sprowadzeni kalifornijscy kucharze, a prowiant dostarczano samolotem z San Diego, czyli z odległości tysiąca kilometrów. Również lekarza sprowadzono z zewnątrz, bo z Mexico City, jako że w mikroskopijnym miasteczku nie

było nawet felczera.

Po powrocie do motelu Maggie przebrała się w szlafrok, zapukała do pokoju producenta i przytuliła się do niego w pościeli.

- Gdybym cię nie kochała, Vito, plunęłabym na Bena Lowella i zaraz jutro wsiadła w samolot do domu. Ale kocham cię, i to bardzo, więc powiedz mi, co tu się dzieje i co robi w takim miejscu ozdoba i dusza Via Veneto? Trudno nawet taką dziurę nazwać miejscem, to inna sprawa.

- Czy słyszałaś, Maggie, stare powiedzenie, że ryba psuje się od głowy? Ten film nie układał mi się od pierwszego dnia. Pozwoliłem się niestety przekonać co do terminu, chociaż wiedziałem, że nie wszystko gra w scenariuszu. Jeden z inwestorów, którzy wyłożyli pieniądze - mówię ci, jaka to zgraja bandytów - uparł się, żeby film był gotowy przed sezonem świątecznym. Musieliśmy na gwałt znaleźć morze i słońce, bo inaczej nici. Na całym świecie akurat pada, sucho jest tylko tutaj i - przepraszam za wyrażenie - w Arabii Saudyjskiej. Również tylko teraz Ben Lowell i Mary Hans mają wolny czas. Jeżeli teraz ich nie postawię przed kamerą, najbliższa okazja trafi się za dwa lata. Jednym słowem, teraz albo nigdy, i dlatego pozwoliłem wejść sobie na głowę. Przedtem też tak już bywało, ale wtedy za każdym razem jakoś się nam udawało. Za to teraz - koszmar, coś niemożliwego. Mój scenarzysta tak się rozchorował, że na okrągło tylko sra i rzyga. Pewnie się wypuścił skosztować miejscowe tacos. Mój najlepszy elektryk złamał nogę i musieliśmy go odesłać samolotem do Los Angeles, podczas nocnych zdjęć agregat wysiadł nam już dziesięć razy, a inspicjentka jest albo głucha, albo ślepa, albo wszystko naraz, nie wiem, bo wytrzasnąłem ją w ostatniej chwili. Dziewczyna, z którą zwykle pracowałem, wypięła się na mnie i wyszła za mąż. Mogę ci opowiadać

dalej, ale nie ma sensu...

Po raz pierwszy Maggie widziała Orsiniego bez optymistycznej aury, którą udawało mu się wokół siebie roztaczać nawet w chwili najgorszego kryzysu.

- Ależ Vito, opowiadasz mi o jakichś pierdołach. Powiedz lepiej, jak wygląda materiał?

Vito uczynił cudownie łaćski gest, który oznaczał nadzieję przemieszana w równej części z rozpaczą.

- Więc może wszystko się jeszcze uda? - ciągnęła Maggie, która miała wielką ochotę pocieszyć producenta. Nie chciała nawet wspomnieć o atmosferze napięcia, którą czuła wśród członków ekipy, zwłaszcza że sam Vito pominął tę sprawę milczeniem. Może rzeczywiście chodziło tylko o serię pechowych przypadków?

- Gorzej, jeśli się nie uda - oświadczył Vito tak znękanym głosem, że Maggie aż się wzdrygnęła.

- Najwyżej się nie uda, wielkie rzeczy. Dziury w niebie nie będzie. Canby'emu, czy nawet takiemu krytykowi jak John Simon podobał się ten twój film z Moreau i Belmondem. Oba twoje ostatnie filmy miały fantastyczne recenzje...

- Wiesz, ile przyniosły dochodu? Niente. Bubkes. Zero. Zobaczą zyski z Parowca jak obrączkę na palcu papieża. Tak samo jak wszyscy wyobrażasz sobie, że dobre recenzje automatycznie oznaczają pieniądze. W Nowym Jorku może tak, ale gdzie indziej...

- Ach tak? - wybąkała zaskoczona Maggie, która nie umiała nawet ukryć zmieszania. Nigdy by się nie domyśliła z szerokiego gestu Orsiniego i sposobu, w jaki układał sobie życie, i że jego kasa może zaświecić

puszkami. Do tej pory nie przyszło jej nigdy do głowy, że kiedy producent bierze się do filmu, jedyny dochód, jakiego może być pewien, to gaża przewidziana w umowie. Prawdziwe pieniądze zdobywa się dopiero wtedy, kiedy film przyniesie zyski. - Nie rozumiem - oświadczyła wreszcie.

- Powiedz mi w takim razie, ile filmów przynosi zyski?

- Mój ty Boże, mnóstwo. Inaczej po co by je było kręcić?

- Jeden na cztery, tyle ci powiem. Już zapomniałaś, czego cię próbowałem nauczyć w Rzymie? Tylko 25 procent wszystkich filmów przynosi jakikolwiek zysk, ale to właśnie dzięki nim wytwórnie mogą sobie pozwolić na jakąkolwiek działalność.

- Ale twoje wynagrodzenie jako producenta... przecież inkasujesz te pieniądze z góry, nawet jeżeli film zrobi klapę.

- To zależy - oznajmił kwaśno Orsini z taką miną, jak gdyby łykał lekarstwo. - Tak się składa, że mój ostatni film, podobnie jak i ten nie mogły znaleźć sponsora, do tego stopnia, że zrezygnowałem z gaży do czasu, aż przyniosą zyski. Film z Belmondem poszedł na śmietnik, a ja znalazłem się w tarapatach, Maggie.

W tarapatach, rzeczywiście. Maggie przyjrzała się wspaniałemu mężczyźnie w jedwabnej piżamie i jedwabnym szlafroku z monogramem.

- Nigdy bym nie pomyślała.

- Bo nikt się nie domyśla. Związek producentów ma swoje tajemnice. Wszyscy jesteśmy hazardzistami, gorzej niż gdybyśmy grali na wyścigach. Dlatego nie mamy prawdziwych związków zawodowych - z obawy, że wszystko by się wydało.

- Ach, Vito! Kochany! Wszystko się ułoży. Mając Bena Lowella i

Mary Hanes musisz wyjść na swoje. Na ekranie będzie sam zwierzęcy seks - Hanes i Lowell to najseksowniejsza para pod słońcem. Wszystkich aż korci, żeby obejrzeć dobry film o miłości. Wiem, że nakręcisz kolejny przebój! - Maggie najmocniej, jak umiała, objęła Orsiniego.

- Niechaj Bóg wysłucha twojej modlitwy - odrzekł Vito, bezwiednie powtarzając ulubione wyrażenie matki Maggie.

* * *

Pół godziny później Maggie poczuła tak silne zatrucie żołądkowe, że mogła już tylko uciec do swojego pokoju. Nie dotknęła wprawdzie niczego poza jedzeniem w kantynie, lecz Meksyk ma swoje prawa. Nie ona jedna padła ofiarą nieszczęścia w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin, choć drugiej ofiary nie dało się wyleczyć dawką lomotilu. Tej samej nocy przystojny młody aktor, Harry Brown, partner Bena Lowella, potknął się w ciemnym zaułku za motelem o kubel na śmieci i upadł tak nieszczęśliwie, że rozbił sobie głowę o kawał betonu i stracił przytomność. Zanim go znaleziono, wykrwawił się na śmierć. Kiedy lekarz towarzyszący ekipie wypisywał świadectwo zgonu, Ben Lowell rozmawiał już z Orsinim.

- Rany boskie, przecież znałem tego chłopaka od lat! Nie mogę w to uwierzyć. Straszne! Grał ze mną w trzech ostatnich filmach, a zresztą nie miał nikogo na świecie. To sierota, włóczęga. Dopiero w Hollywood znalazł dom. Dwa lata temu dałem mu rolę. Chłopak kręcił się po wytwórni, chciał zostać aktorem, ale co z tego, kiedy nie miał talentu. Biedny chłopak. Biedny, biedny Harry. Boże! Wychował się na jakiejś zabitej dechami farmie, nigdy nie powiedział mi dokładnie, gdzie. Musimy urządzić mu pogrzeb, Vito, i to zaraz. W tym klimacie nie da się czekać.

- Myślisz, że był katolikiem? Masz jakieś dowody?

- Nie mam. Kto mógł przewidzieć, że się coś takiego stanie?

- W takim razie nie możemy go tu pochować. W miasteczku i tak krzywo na nas patrzą, na pewno więc nie pozwolą pochować niewierzącego w poświęconej ziemi.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Wyglądało na to, że trzeba będzie znów wynająć samolot do Los Angeles i zabrać ciało. Trzeba też będzie przez telefon, ponosząc znaczne koszty, załatwić wszystkie formalności związane z pochówkiem.

- A wiesz, Vito, ten chłopak uwielbiał ocean. Naprawdę uwielbiał. Czy prawo zabrania nam pochować go na morzu?

- Moim zdaniem lepiej będzie zabrać zwłoki do Los Angeles, Ben. Wytwórnia wliczy to wszystko w koszty.

- Powtarzam ci, Vito, że chłopak na pewno chciałby, żeby go pochować na morzu. Chcę dopilnować, żeby stało się według jego woli. Harry zawsze bał się, że po śmierci go spalą albo zakopią w ziemi. Proszę cię, Vito, zróbmy to dla niego!

W głosie aktora pobrzmiwała emocja, której Vito nie potrafił zrozumieć. Nie był to jednak smutek ani złość, że ktoś sprzeciwia się sławnemu Lowellowi. Aktor znów powtórzył, trzęsącym się, napiętym głosem: - Proszę cię, Vito!

Orsini zrozumiał nagle, że w głosie Bena słyszy strach.

- Mówię ci, Vito, że jeżeli go nie pochowamy na morzu, nie będę mógł dokończyć tego filmu. Będę myślał tylko o moim chłopaku i o tym, jak się rozkłada w ziemi. Pochoruję się od tego i tyle będziesz widział film.

Strach i szantaż.

- Dobra - uspokoił go Vito. - Znajdę jakiś sposób. Nim zapadł zmierzch, ciało Harry'ego Browna bez rozgłosu utopiono daleko na morzu.

* * *

Vito Orsini ustąpił wobec szantażu Lowella, gdyż i bez tego miał dosyć kłopotów z ukończeniem zdjęć do Parowca. Nie wyjawiał Maggie rzeczy najważniejszej, a mianowicie tego, iż ponieważ oba jego ostatnie filmy padły, dał inwestorom osobistą gwarancję, że ukończy Parowiec i aby uzyskać fundusze na zdjęcia sprzedał swój dom pod Rzymem oraz kolekcję litografii. Uczynił to wszystko z pełną świadomością ryzyka. Producent musi ufać własnej zdolności oceny, nawet jeżeli ryzykuje wszystkim, co posiada, by zdobyć pieniądze na ukończenie dzieła.

Wiedział jednak, że musi dowiedzieć się, dlaczego Lowell uciekł się do szantażu. Cały film zaczynał mu się wymykać z rąk. Nazajutrz po morskim pogrzebie Harry'ego Browna reżyser zmarnował cały dzień na kolejne duble kluczowej sceny między Benem Lowellem i Mary Hanes, lecz nawet bez oglądania tego materiału Vito wiedział, że nie ulepi z niego dobrego filmu. Cały dzień tkwił wśród dekoracji, nie zważając na uszczypliwe uwagi reżysera i patrzył, patrzył, patrzył. Wypatrzył przez ten dzień mnóstwo drobnych szczegółów, z osobna może mało znaczących, lecz przy wyjątkowym talencie do czytania w ludzkich myślach, właściwym wszystkim zawodowym szulerom, zauważył dosyć (choć co takiego, wciąż nie wiedział dokładnie), by po kolacji skierować kroki do pokoju Mary Hanes. Okazało się, że gwiazda siedzi sama, ubrana tylko w czarny dół od stroju bikini i półprzeźroczysty stanik, zaimprovizowany z

szyfonowej, czerwonej chusty. Mimo szczupłej budowy aktorka roztaczała wokół siebie mroczną zmysłową aurę, wskutek której sam na sam z Mary Vito czuł się zawsze jak w klatce drapieżnika. W anielsko pięknej aktorce mieszkało prawdziwe zło. To właśnie połączenie urody i okrucieństwa wyniosło Hanes na szczyty gwiazdorstwa.

- Kogo to ja widzę? Sam wściekły producent. A może powinnam cię teraz tytułować grabarzem, co?

Mary Hanes spoczywała na rozgrzebanym łóżku, a cały pokój cuchnął marihuaną.

- Mary, w Meksyku marycha to niebezpieczna sprawa. Zresztą nawet poza Meksykiem nie wolno mieszać trawy ze szkocką whisky. Dziękujmy Bogu, że nie pijesz jej z lodem. Woda mogłaby się okazać gorsza niż reszta tego świństwa.

- Z ciebie, Vito, jest nawet fajna stara pizda. Wiesz, chyba cię nawet lubię. - Po tych słowach aktorka podała Orsiniemu skręta. Pociągnął, uważając, by nie wciągać dymu w płuca. - Właściwie nawet fajnie, że do mnie wpadłeś, makaroniarzu. Zaczynało mi się robić całkiem ponuro.

- Cały dzień dzisiaj czułem, że coś jest nie tak.

- Mary nie lubi, kiedy zabierają jej chłopczyka i topią go w błękitnym morzu jak szczura - jak rozdeptanego szczura. Jezu, wiesz Vito, widzę go, widzę, jak jedzą go ryby... - Mary zadrżała, odwracając oczy od potwornej sceny, którą podsuwała jej wyobraźnia.

Nie dalej niż trzy lata wcześniej Vito nakręcił z udziałem Mary Hanes doskonały film. Pomimo skandali, w które wciąż się wikłała, w przeszłości gwiazda nigdy nie traciła kontroli nad sobą, przynajmniej w obecności Orsiniego. Nawet jej najbardziej zaczepne wypowiedzi miały po

prostu przyciągnąć uwagę prasy specjalnie po to, aby trafić na łamy gazet za każdym razem, gdy otwierała szerokie, dziwnie brzydkie i dziwnie pociągające usta, które przydawały jej urodzie niezbędnego śladu osobowości. Tego wieczora przemawiała przez nią jednak tylko mania prześladowcza i narkotyk.

- Od dawna palisz to świństwo, Mary? - zapytał Vito, oddając jej skręta z uśmiechem, z którego za nic nie dało się wyczytać, że przed rozpoczęciem zdjęć zarówno aktorka, jak i jej agent zapewniali solennie, że od czasu wpadki podczas kontroli celnej przy powrocie do Anglii z Ameryki Południowej przed dwoma laty pani Hanes nie zażywa narkotyków. Ówczesną aferę udało się zatuszować z największą trudnością.

- Jak wszyscy, nie? Od jedenastego roku życia - wyjaśniła mu aktorka i zachichotała, owładnięta nagłą zmianą nastroju.

- Nie w ogóle, tylko dzisiaj - tłumaczył cierpliwie Vito.

- A który dziś dzień? Poczekaj, nie mów, sama sobie przypomnę. Jest piątek. Zgadłam? Wczoraj był czwartek, a jutro będzie... sobota, zgadłam?

- Zgadłaś, Mary, na sto procent. No więc, jak długo już dzisiaj palisz?

- A bo ja wiem? Chyba od wczoraj. Nie zabierałam tego świństwa ze sobą, bo nie było jak. Mój agent sterczał mi cały czas nad głową, osobiście spakował mi bagaże, a poza tym ci zasrani Meksykanie, jak cię złapią, od razu wsadzają do pierdła, nie? Słyszałeś może o tym, Vito? No więc dopiero wczoraj dostałam trochę towaru od tego łapiducha, któregoś tu ściągnął z Meksyku. Musiałam dać sto dolców, ale skubany przyniósł mi wszystkiego dwadzieścia skrętów. Nie szkodzi, pierwszorzędna trawa.

Chcesz się jeszcze raz sztachnąć?

No bierz...

Vito znów udał, że się zaciąga marihuaną, choć w rzeczywistości ścisnął końcówkę skręta między zębami, by nie wpuścić dymu do krtani. Widział, że Mary Hanes prawie już nie kontaktuje, ale jak wielu nałogowców jest zbyt podekscytowana, by przestać mówić.

- To znaczy, że zaczęłaś palić po wypadku Harry'ego?

- zapytał spokojnym tonem. - Rozumiem. Cholernie smutna sprawa. Chłopak był taki młody i sympatyczny... Szkoda, że tak głupio umarł. Sama też pewnie uważałaś, że jest simpatico, co?

- Simpatico? Wiesz, gdzie sobie możesz wsadzić te makaroniarskie wyrażenia, Vito? Nasz mały pedałek sadysta simpatico? Nasz chłopiec, który tylko by obciągał Benowi druta? Przecież wiesz, że Ben nie zgadzał się na żaden kontrakt, jeżeli nie znalazła się rola dla Harry'ego? Rzeczywiście partner! Najwięcej talentu miał w ustach, tyle ci powiem. Za dolara mogłeś z nim robić wszystko. Simpatico! - jeszcze raz z goryczą powtórzyła Mary. - Nalej mi jeszcze szkockiej, Vito!

- poprosiła, wyciągając szklanekę. W skąpym kostiumie bikini i prawie przezroczystym staniku, naćpana tak, że nie widziała na oczy, Mary Hanes niewinną postacią przypominała cherubina ze sklepienia małego rzymskiego kościółka.

- Pedał - sadysta? - powtórzył Vito, który nie był jednak pewny, czy Mary sama wie, co mówi. W tym stanie? Aktorka spojrzała na niego karcąco.

- Nooo, no chodź tu, malutki, no chodź do mamusi, chodźże, chłopczyku. - Mary chwyciła Orsiniego za rękę i przesuwał ją po swym

szczupłym, muskularnym ciele wcisnęła ją sobie między nogi. - Nawet ten rzeźnik, ta męska kurewka, ten fantastyczny befsztyk chciał małej Mary. Wszyscy chcą małej Mary. A ja chciałam Harry'ego. Ta stara ciota Ben nie chciał Harry'ego spuścić z oczu. Pedał pierdolony, chciał zatrzymać caluteńkiego Harry'ego dla siebie, a teraz może się najwyżej ugryźć. Dobrze mu tak, lizydupie. Zamordował, i kto mu teraz obciągnie?

- Przecież Harry upadł. Mary!

- Harry UPADŁ, tak? Ty też w to uwierzyłeś? Upadł!!! Chyba z niezbyt wysoka, bo mnie akurat jebał! - Mary roześmiała się nagle, nieprzyjemnie parskając śliną. - Trzeba było widzieć gębę Bena, kiedy otworzył drzwi. Wygrałam z nim, Vito, a on dobrze o tym wiedział. Wygrałam.

- Co dalej? - zapytał Vito obojętnie.

- Dalej Ben trzasnął Harry'ego w łeb kolbą tego rewolweru, co go cały czas nosi przy sobie. Co, nie wiedziałeś, że nosi? A potem... Wywłókł go na dwór... I tyle...

- Zostawił go tam, żeby chłopak się wykrwawił na śmierć?

- Właśnie. Właśnie, właśnie, właśnie, właśnie. Zabił i utopił jak rozgnieczonego karalucha, jak szczura. Głęboko, głęboko w morzu. Och, Vito, pomóż mi! Znowu to widzę!

Vito sięgnął po butelkę wody mineralnej i ostrożnie zmusił rozhisteryzowaną dziewczynę do przełknięcia trzech tabletek uspokajających z fiolki, która stała na stoliku. Tylko w ten sposób umiał ją bezpiecznie uśpić. Kilka godzin później, kiedy Hanes zaczęła wreszcie pochrapywać, Vito opuścił jej pokój, budząc jednak garderobianą aktorki i wymuszając od kobiety obietnicę, że zostanie przy łóżku do samego rana.

Właśnie Maggie znalazła wyjście z sytuacji. Kiedy Vito o świcie wszedł chwiejnym krokiem do pokoju, znalazł ją na nogach, wyleczoną z ataku żołądkowego i niespokojną o los producenta. Vito Orsini wiedział oczywiście, że w branży filmowej nie powinno się ufać absolutnie nikomu, niewykluczone więc, że ani słówkiem nie zdradziłby Maggie, co się dzieje, gdyby nie świadomość, że nawet jeśli Mary Hanes uda się dokończyć film bez rozgłaszania, że Ben Lowell zamordował swojego partnera, po powrocie do Londynu przy swoim braku kontroli nad sobą w ciągu kilku dni rozgłosi wszystko, a tym samym światowa prasa tak czy inaczej dowie się o całej historii. Kiedy skończył opowiadać, Maggie przez minutę nie mogła wykrztusić słowa. Później powiedziała tylko:

- Ech, ci aktorzy.

- Komentarz w hollywoodzkim stylu - uśmiechnął się Vito, który nie miał nic do stracenia.

- Zamknij dziób, kochanie, i daj mi spokojnie pomyśleć. Słyszac to Vito, który miał już wszystkiego serdecznie dosyć, zwał się na łóżko i zapadł w drzemkę. Maggie wyjęła tymczasem notes z ołówkiem i zaczęła kreślić i od nowa obmyślać kolejne plany. Godzinę później wyrwała Vito ze snu i oznajmiła:

- Posłuchaj, co się tu wczoraj wydarzyło. Ben Lowell ocalił Mary Hanes od gwałtu. Jest bohaterem, a ona niewinną ofiarą. Podoba ci się?

- Pięknie. Doskonale. Kompletnie zwariowałaś, wiesz o tym?

- Nawet moja matka przestała już tak mówić. Brak ci talentu do twórczych koncepcji, Vito. Jeżeli trochę poprze - stawiasz wszystkie szczegóły, wyjdzie ci doskonała całość. Uważaj, co ci powiem: Harry Brown, w ogóle bardzo podejrzany facet, od samego początku zdjęć zaczął

napastować Mary. Ta tak się go bała, że w końcu poskarżyła się na niego Benowi. Wczorajszej nocy Ben przechodził koło drzwi do pokoju Mary, kiedy usłyszał ze środka jej krzyki o pomoc. Brown przydusił ją do łóżka i próbował zgwałcić, a Mary bezskutecznie się z nim szamotała. Ben złapał Browna za kark i doszło do bójki. Brown poleciał do tyłu i uderzył głową w kant komody. Teraz najważniejsza sprawa. Ben i Mary docucili Browna. Okazało się, że nic mu nie jest. Oczywiście nadal był kompletnie pijany, ale już się uspokoił. Wyszedł z pokoju o własnych siłach, żywy, to najważniejsze. Ben jeszcze przez jakiś czas uspokajał Mary, a potem także wrócił do siebie. Dopiero nazajutrz rano okazało się, że Brown leży w zaułku za motelem. Wygląda na to, że na dworze zamoczyło go, w ciemnościach potknął się o kubek na śmieci, znów upadł, zemdlał i wykrwawił się na śmierć. Pogrzeb odbył się na morzu dokładnie z tych powodów, które ci już wyjaśnił Ben. No, gdzie tu widzisz jakąś dziurę?

- Kto niby w to uwierzy?

- Wszyscy uwierzą. Ben odegra to wszystko z takim przekonaniem, jak jeszcze nigdy w życiu. Podobnie jak Mary, jeżeli uda ci się wywrzeć na nią nacisk. Wiadomo, w ile skandali była zamieszana, więc kolejna taka historia mogłaby zakończyć jej karierę. Oprócz ich dwojga nikt tak naprawdę nie wie, co się stało.

- Moja kochana Maggie, Bóg świadkiem, że bardzo mi miło, bardzo ładnie, że próbujesz mi pomóc, ale Cosmopolitan zdąży wydrukować to wszystko dopiero za kilka miesięcy, a wtedy będzie już dawno po wszystkim i nic już nie da się naprawić.

- Owszem, chyba że się tę historię pokaże w telewizji. Musisz tu jak najszybciej sprowadzić samolot. Polecę do Los Angeles i pogadam z

jednym z chłopaków. Najpóźniej jutro wieczorem będziemy tu mieli ekipę reporterską, a zanim skończysz zdjęcia, program trafi już na antenę. Fantastyczna reklama dla twojego filmu, a poza tym nikt nie będzie już mógł udowodnić, że było inaczej, niż mówisz. Uderzyć gwałciciela to nie przestępstwo, to zaszczyt. Pamiętaj, Vito, że to twoja jedyna szansa!

* * *

Kiedy Maggie odleciała do Los Angeles, Vito nie marnował czasu. Gdy Mary Hanes przebudziła się wreszcie, była trzeźwa, ale wciąż roztrzęsiona. Vito wszedł do jej pokoju, starannie zamknął drzwi i dwa razy z całej siły uderzył ją w twarz. Potem złapał ją za szyję i zacisnął palce, rozluźniając uścisk dopiero wtedy, kiedy dziewczyna prawie straciła przytomność. Delikatnie ułożył Mary na łóżku i z ponurą miną czekał. Dopiero po chwili aktorka złapała oddech.

- Co?... Co?!...

- W życiu przychodzi chwila, kiedy taka kobieta jak ty posuwa się za daleko. Ta chwila właśnie nadeszła. Wysłałem telegram do twojego męża.

- Ty kutasie! Ty brudny kutasie! Wiesz przecież, że mąż mnie rzuci, jeżeli zdarzy mi się jeszcze jedna historia! A moje dzieci? Odbierze mi je! O Boże, jak można było mi zrobić coś takiego. Wszystko, wszystko skończone - dodała cicho Mary.

- Nie opowiadaj głupstw. Harry Brown próbował cię przecież zgwałcić, a Bob Lowell uratował cię, kto wie, czy nie ocalił ci wręcz życia. Sama widzisz ślady. Brown pobił cię, posiniaczył, dusił. Twój mąż okropnie się niepokoi. Wiesz, jak bardzo cię kocha. Przyjedzie jutro.

- Vito?...

- Jutro zjawi się też u nas ekipa z telewizji. Oczywiście będą chcieli

zrobić z tobą wywiad. Może powinniśmy jeszcze raz powtórzyć sobie historię, którą wczoraj mi opowiedziałaś. Ocknij się wreszcie, Mary! Wiem, że przeżyłaś prawdziwy koszmar, ale zwykle zaraz łapiesz, co się do ciebie mówi.

Mary Hanes uśmiechnęła się, zmywając krew z twarzy.

- Z ciebie, Vito, też jest niezła świnia. No dobrze, przeczytaj mi moją rolę.

* * *

Niewiarygodna popularność reportażu „Kim był Harry Brown i czy zginął z rąk Boba Lowella?”, wyświetlonego zamiast dwóch półgodzinnych komedii, uzmysłowiła dyrektorom sieci telewizyjnej, że natrafili na złotą żyłę. Potężny odłam widowni, nałogowo przyklepionej do telewizorów i złaźnionej programów o gwiazdach filmu, oczekiwał dokładnie czegoś takiego jak reportaż Maggie. Miliony ludzi chciały zająć się telewizyjnym podglądactwem i czuć się informowane na bieżąco o biegu spraw tego świata bez konieczności oglądania „Kroniki tygodnia w Waszyngtonie”. Szef redakcji programów informacyjnych skłonił Maggie do podpisania z nim kontraktu na cotygodniowe programy z równą łatwością, z jaką Maggie niewiele wcześniej namówiła go na wysłanie ekipy z kamerą do Meksyku. Obydwoje potrafili zwęszyć smakowity kąsek. Niespodziankę stanowiła tylko skala sukcesu nowego przedsięwzięcia. Sukces był więcej niż olbrzymi - był monumentalny. Program dał początek nowemu gatunkowi audycji telewizyjnych w postaci magazynu filmowego udającego dokumentalny reportaż. Program dał też początek karierze nowej gwiazdy ekranu: Maggie MacGregor. Na całej sprawie przegrał tylko Harry Brown, wciąż skrycie oplakiwany przez Bena

Lowella, i film Orsiniego Parowiec. Kiedy obraz trafił na ekrany, cały meksykański epizod dawno zatarł się w ludzkiej pamięci. Nikogo nie obchodziła tragiczna historia, jaka się zdarzyła podczas zdjęć, a poza tym Vito rzeczywiście miał rację. Film od samego początku był do niczego.

* * *

Billy Ikehorn nie mogła sobie znaleźć miejsca. Od dnia otwarcia Scruples upłynęło już pięć miesięcy. W kwietniu 1977 roku nadspodziewany i ogromny sukces sklepu stał się dla Billy czymś tak oczywistym, że chociaż była zań głęboko wdzięczna Spiderowi i Valentine, znowu zaczęła budzić się nad ranem dręczona myślą, że jeden triumf to stanowczo za mało. Ponieważ Billy nie zatraciła poczucia przyzwoitości, musiała sama przed sobą przyznać, że kiedy Scruples przestał być dla niej kamieniem obrazy i zniewagą wystawiającą ją na pośmiewisko, prowadzenie sklepu nie mogło jej wypełnić życia. Co gorsza, Billy zaczęła uważać za rzecz oczywistą urządzone dwa razy w miesiącu bale, które z początku uznała w duchu za zwycięstwo nad ohydny wspomnieniem bostońskiej szkoły tańca i które zyskały sobie szybko markę najpopularniejszych towarzyskich spotkań w całej Kalifornii. Współzawodnictwo, które tutejszej elicie kazało walczyć o miejsce w „lepszym” towarzystwie i nie dać się zepchnąć w „gorsze”, przypominało Billy dziecięce swary w piaskownicy, a całe życie zaczynało ją nużyć w identyczny sposób, jak niegdyś pobyt z Ellisem w rezydencji na wyspie Antigua, gdzie wszystkie okna były hermetycznie zamknięte po to, by słone powietrze i wspaniała wieczorna bryza nie mogły zniszczyć wartych miliony dolarów płócien francuskich impresjonistów na ścianach.

Od trzydziestych piątych urodzin dzieliło Billy tylko pół roku.

Dopiero teraz osiągnęła szczyt urody, która miała trwać wiele, wiele lat. Była tak bogata, że sama już nie potrafiła ogarnąć swojego majątku - i nudziła się przeokropnie. Czasem przyznawała sama, że to nieprzyzwoite, i zastanawiała się nad tym, co pomyślałaby o niej ciotka Kornelia.

Nieprzyzwoite? Gorzej: niemoralne i poniżające. Jej obecny stan był niemoralny, bo przecież osoba z jej majątkiem musi czuć się szczęśliwa - tak przynajmniej uważała Billy. Poniżające było zaś to, że Billy wcale nie czuła się szczęśliwa, a co za tym idzie, sama była sobie winna. Prawdopodobnie zawiniła tu jakaś wewnętrzna skaza charakteru, uświadomiła to sobie z goryczą, pamiętając, co w takich przypadkach mówiło się w Bostonie. Bez wątpienia najlepszym lekarstwem na jej kłopoty byłoby życie spędzone na dobrych uczynkach, hodowaniu wielkich psów i cotygodniowych wizytach w filharmonii - życie, które by ją wzbogaciło i nadało wszystkiemu sens.

Przerzucając stronicę *Architectural Digest* Billy zrozumiała, że może mieć w ręku cały świat. Za 300 tysięcy dolarów mogła nabyć klimatyzowany pawilon na wyspie Bali, stojący w gaju palm kokosowych nad samym oceanem, i oczywiście wyposażony we własny basen pływacki. Na Eleutherze również sprzedawano dom z czterystumetrową plażą z różowym piaskiem i prywatnym podmorskim kablem telefonicznym - wszystko to za mniej niż trzy miliony dolarów, łącznie z meblami (tylko czy w skład umeblowania wchodzi też prywatna książka telefoniczna z numerami podmorskich połączeń?). Gdyby Billy wolała mniej tropikalne okolice, już za 75 tysięcy funtów mogłaby się przenieść do Anglii i zamieszkać w Bath pod numerem 7 na Royal Crescent, w domostwie zbudowanym w 1770 roku i będącym jednym z

najznakomitszych zabytków architektury georgiańskiej, wyposażonym ponadto w saunę i garaż na pięć samochodów. Gdyby chciała, mogłaby zacząć stylem życia naśladować Bunny Mellon, która posiadała cztery niewiarygodne domy i stale zatrudniała parę artystów do wystroju wnętrz i wzornictwa. Wszystko w tych posiadłościach, od kapeluszy do gry w tenisa, sukni balowych i liberii służby zaprojektowano dla Bunny specjalnie w pracowniach Givenchy. Powiadano nawet, że miliarderka każe stale piec jabłka na kuchenkach w swojej posiadłości w Wirginii (50 tysięcy hektarów), by nadać powietrzu autentyczny wiejski aromat. Na myśl o tak drobiazgowej trosce o szczegóły Billy zaczynały boleć zęby. Nie przesadzajmy!

Billy mogła więc sobie zażyczyć dosłownie wszystkiego. Wystarczyło, że wyrzekła słowo.

I właśnie na tym polegał kłopot: nie potrafiła tego słowa wypowiedzieć. Niepotrzebny był jej nowy dom. Nadal posiadała samolot, nowego learjeta, ale korzystała z maszyny tylko Valentine i drugi zaopatrzeniowiec podczas wypadów po towar. Winnica w St. Helena przynosiła spore dochody i nie było powodu jej sprzedawać. Może kupić sobie konia? Może zaadoptować dziecko? Zacząć hodować myszki? Było jasne, że coś jest nie tak. Billy postanowiła z tego wszystkiego przyjąć zaproszenie Susan Arvey na wspólny wyjazd na festiwal filmowy w Cannes. Nie wiedziała, po co tam jedzie, ale zostawanie w Kalifornii także nie miało sensu.

Susan Arvey była żoną Curta Arveya, dyrektora wytwórni filmowej Arvey. Nie należała wprawdzie do osób szczególnie zajmujących, ale Billy dobrze się czuła w jej towarzystwie, może dlatego, że w odróżnieniu

od tyłu innych kobiet Susan nigdy nie przymilała się do niej i nie zachwycała każdym jej słowem. Żona producenta dawno wyzbyła się nerwowej hojności, tak charakterystycznej dla nuworyszów, i wygodne życie traktowała jak coś oczywistego. Można było przy niej swobodnie odetchnąć. Jako żona dyrektora wytwórni, Susan była traktowana niczym bogini w sferach, dla których Billy Ikehorn mimo całego majątku stanowiła po prostu osobliwość. Nie brakowało jej zmysłu towarzyskiego ani talentu do ukrywania własnej pretensjonalności. Co najważniejsze, Billy tak jak wszyscy uwielbiała świat filmu. Jako otyła nastolatka z radością myślała o popołudniowych sobotnich seansach, a podczas długiej choroby Ellisa salka projekcyjna w rezydencji w Bel Air pozwalała jej na krótko uciec od rzeczywistości. Billy miała jednak bardzo mało znajomych wśród aktorów, choć przecież mieszkała pośród elity Hollywood. Nikomu nie przyznawała się do tego, że jej zdaniem aktorzy mają w sobie coś... Coś intrygującego.

Dwa tygodnie festiwalowego konkursu w Cannes Arveyowie spędzali zawsze w Hotel du Cap d'Antibes, czyli o dobre trzy kwadransy jazdy samochodem po krętych szosach od Cannes. Nikt z hotelowych gości nie zatrzymywał się tam ze względu na dogodny położenie. Symbolika Hotel du Cap była zupełnie odwrotna i zakładała, że jeżeli ktoś zechce się zobaczyć z gośćmi, sam się do nich pofatyguje. W interesach zdobycie takiej pozycji to rzecz nieomal podstawowa. Pobyt w Cap oznaczał, że tamtejsi goście mogą sobie pozwolić na mieszkanie osobno, z dala od zgiełku, i utrzymywanie dworu w sztucznie oddzielonej, spokojnej przestrzeni, gdzie nie trzeba jak w jadalni hotelu Carlton czy Majestic walczyć z resztą ludzkiego stada o miejsce przy stoliku. Pobyt taki

oznaczał również, że nie ma dla gości znaczenia wydatek od 200 do 400 dolarów dziennie za pokój, plus podatek, napiwki, śniadanie i rozmaite inne wydatki. Arveyowie wynajmowali zawsze dwa apartamenty, jeden mieszkalny, a drugi jako biuro dla Curta.

- Wybierz się z nami, Billy - zaproponowała Susan miesiąc wcześniej. - Curt przez cały dzień gania i załatwia swoje interesy, a ja muszę włączyć się zupełnie sama. Wynajmuję zawsze limuzynę z kierowcą i jeżdżę po całym Lazurowym Wybrzeżu. W maju to po prostu raj na ziemi. Potem wieczorem idziemy na wielką kolację razem z całą bandą różnych zabawnych ludzi. Jeśli tylko człowiek nie musi tkwić w Cannes, festiwal to świetna zabawa. Byłoby mi jeszcze wspanialej, gdybyś zechciała mi dotrzymać towarzystwa. Zresztą za długo siedzisz w Kalifornii. Pora się ruszyć. W Scruples jakoś sobie od biedy poradzą bez ciebie przez parę tygodni, a wracając mogłybyśmy wpaść do Paryża. No, daj się namówić!

- Ale jak to, nie trzeba co wieczór chodzić na pokazy filmów? - zapytała zdumiona Billy.

- Wielkie nieba, ależ skąd! To znaczy, pewnie są tacy, którzy chodzą na pokazy, oczywiście, ale Curt może sobie obejrzeć, co zechce, na prywatnym seansie, wystarczy, że poprosi o pożyczenie kopii - wyjaśniła Susan, którą nieodmiennie zdumiewało, że ludzie wyobrażają sobie wyjazd do Cannes jako okazję do oglądania filmów. Jeżeli nasz film bierze udział w konkursie, trzeba się oczywiście pokazać, ale poza tym?... Boże, filmy w Cannes, co za absurdalny pomysł!

Nikt z branży filmowej nie powie dobrego słowa na temat festiwalu w Cannes, ale nikt też nie przepuści okazji, żeby tam pojechać. Cannes to największe targi handlowe kinematografii, chociaż artystyczna fasada festiwalu sprawia, że mało kto pamięta o handlowej stronie spotkań. Nikt też nie umiałby zliczyć transakcji, jakie zawiera się tu każdego roku. Inna sprawa, że tylko ich nieznaczna część, powiedzmy co dziesiąta czy co dwudziesta umowa, rzeczywiście dochodzi do skutku. Cannes nie jest więc miejscem dla artystów i twórców. Reżyserów, scenarzystów i aktorów przyjeżdża tu niewielu i tylko wówczas, jeżeli ich filmy stają do konkursu festiwalowego. Nawet wówczas producenci muszą często wręcz zmuszać artystów do wyjazdu. Aktor czy aktorka, którzy pokazują się w Cannes bez wyraźnej przyczyny, chcą po prostu pokazać się publicznie.

Przybywają natomiast tłumnie do Cannes wszyscy agenci, producenci, dystrybutorzy i agenci prasowi, specjaliści od reklamy i handlowcy z całego świata, od Egiptu po Japonię, od Indii po Kanadę i od Francji po Izrael, mrużąc do siebie rytualne zaklęcia, które mają pokazać, że kto jak kto, ale oni nie mają zamiaru uczestniczyć w wulgarnym wyścigu szczurów - choć oczywiście bez nich nie byłoby tego wyścigu. Do Cannes zjeżdżają się też z całego świata prostytutki obojga płci, dziennikarze międzynarodowej prasy i krytycy filmowi. Ci ostatni posuwają się wręcz do tego, że chodzą na pokazy filmów, za towarzystwo mając mieszkańców Cannes i tych spośród ludzi interesu, którzy mają mało roboty z kupowaniem i sprzedawaniem filmów i mogą sobie pozwolić na taką fanaberię.

W Cannes przebywał także Vito Orsini, który usiłował sprzedać za

granicą prawa do meksykańskiej szmiry i zdobyć fundusze na kręcenie filmu według nowej książki, którą niedawno odkrył. Za sobą miał już trzy filmy, które nie przyniosły żadnych zysków, lecz w świecie, w którym sława znaczy więcej niż stan konta, nadal uważano go za wielkiego producenta. O stanie jego konta bankowego wiedziało ostatecznie tylko parę osób, a jeszcze mniej zdawało sobie sprawę, jak bardzo jest Orsini zadłużony. Właśnie od tej garstki finansistów Vito chciał zdobyć nowy kapitał. W oczach wszystkich innych uczestników festiwalu wciąż był genialnym producentem, który idzie od sukcesu do sukcesu.

Nawet wtajemniczeni w perypetie Orsiniego nie spisywali go jeszcze na straty. Niejeden już producent przechodził pechowy okres, lecz ostatecznie zwyciężał, kręcąc film, który wynagradzał inwestorom wszystkie poprzednie straty. Przemysł filmowy jeszcze bardziej niż inne dziedziny gospodarki polega na ciągłym podejmowaniu ogromnego ryzyka i opiera się przede wszystkim na optymizmie inwestorów. Nawet zakamieniali księgowi, uzbrojeni w tomy rachunków, nie utrzymaliby się w tej branży zbyt długo, gdyby od czasu do czasu nie zgodzili się na nowy pomysł, zamiast go z miejsca odrzucić. Wytwórnice filmowe i stowarzyszone z nimi przedsiębiorstwa dystrybucji filmów - podobnie jak dystrybutorzy niezależni - są w stanie utrzymać się na rynku tylko wtedy, kiedy mogą zaoferować towar. Towarem tym są filmy, które jednak z natury rzeczy do ukończenia stanowią niewiadomą, wielką zagadkę. Niezależnie od tego, czy film okaże się dobry czy zły, pieniądze trzeba wyłożyć z góry, a w dodatku nikt nie może zagwarantować, który przyniesie zyski, a który nie.

Vito pozostawał nadal aktywnym uczestnikiem tych przetargów -

może nie do tego stopnia, by zatrzymać się w Hotel du Cap, lecz na pewno na tyle, by wynająć sobie niewielki apartament w hotelu Majestic. Apartament z osobną sypialnią i salonikiem był nieodzowny, bo trudno przecież załatwiać interesy siedząc na łóżku. Poza tym Majestic miał w sobie pewien styl, którego brakowało w Carltonie, prawdziwym centrum festiwalowego zamieszania. Majestic był wprawdzie nieco droższy, lecz w przeciwieństwie do Carltona nie wynajęto tam każdego wolnego skrawka westybuli wytwórniom filmowym. W Carltonie rzeczywiście nie można się było przecisnąć od wejścia do baru bez spaceru przez kręty labirynt budek i stoisk reklamowych, gdzie wtykano wszystkim dziesiątki ulotek na temat najnowszych filmów. Vito nie wiedział już, czy tłum w Carltonie bardziej przypomina mu międzynarodowy zlot poganiaczy wielbłądów i handlarzy dywanami czy raczej światowy kongres policjantów i złodziei. Z twarzy kręcących się po hotelu ludzi, podobnie jak z ich paplaniny w stu językach naraz, nie dawało się odgadnąć ich prawdziwego zawodu. Vito doskonale rozumiał, dlaczego nikt z ludzi interesu nie chciał mu spojrzeć w oczy: kupcy byli zbyt zajęci szukaniem dłużników albo unikaniem wierzycieli.

Okna apartamentu Orsiniego wychodziły na półksiężyc plaży za Croisette. O zmierzchu, kiedy słońce chowało się za reje i żagle jachtów zacumowanych na drugim końcu zatoki, tam gdzie w najlepsze prosperował stary port, zakątek ten przemieniał się niewątpliwie w jedno z najbardziej romantycznych miejsc na całej ziemi. Vito oparł się o balustradę balkonu i dumiał o pieniądzach.

Być w Cannes w okresie festiwalu, mając ze sobą film, który odniesie pewne zwycięstwo, to jedno z najupojniejszych uczuć znanych

człowiekowi. Vito pamiętał wiele takich przyjazdów w latach, kiedy tuziny rozmaitych dystrybutorów ustawiały się cierpliwie w kolejce do jego stolika w barze, by porozmawiać o interesach - jak tancerze, którzy chcą poprosić balową debiutantkę do walca. Wiedział, że czasy te jeszcze powrócą, choć na pewno nie w tym roku.

Wrócił do pokoju i zaczął się przebierać do kolacji. Curt Arvey zaprosił go tego wieczora na wspólną biesiadę w Pavillon Eden Roc, restauracji Hotel du Cap, do której z części mieszkalnej przechodziło się wspaniałą, szeroką aleją przez olbrzymi, pachnący i podobny do ogrodu park, rozbrzmiewający śpiewem ptaków. Eden Roc najbardziej słynie z hotelowego basenu, straszliwej pomyłki jeszcze z lat dwudziestych, betonowej niecki wbudowanej w ogromną formację skalną nad samą wodą. Na początku wieku konstrukcja ta była zapewne symbolem szampańskiego życia, lecz dzisiaj żaden szanujący się obywatel jakiegokolwiek kraju nie powierzyłby swego ciała podejrzanym odmętom baseniku. Basen przyciąga dziś tylko miłośników kąpieli słonecznych, co nie zmienia faktu, że Pavillon, pięciogwiazdkowa, wykwinna restauracja obok niecki, jest stale obleżona przez biesiadników.

Vito był przekonany, że Arvey zaprosił go wiedząc, że producent jest w Cannes sam, bez partnerki. Tylko dlatego dawało się wytłumaczyć jego gest, bo poza tym nie kochali się zbyt. Wprawdzie w przeszłości Arvey zarobił dzięki Orsiniemu trochę pieniędzy, gdyż jego wytwórnia brała udział w finansowaniu dwóch spośród trzech ostatnich, nieudanych dzieł i chociaż prawdopodobnie odzyskała kapitał, jego księgowi płakali, że nie widzą nawet śladów zysków. Vito podejrzewał, że wytwórnia specjalnie rozgłasza, iż ledwo wyszła na swoje, a jednocześnie ukrywa gdzieś zyski,

ale oczywiście nie mógł nic udowodnić. Przyjął więc zaproszenie, chociaż szczerze nie znosił Arveya. W okresie festiwalu każda nowa znajomość może przynieść owoce.

A poza tym, jak śpiewała Doris Day, *que sera, sera*. Vito poczuł się tego wieczora Włochem.

* * *

Gdyby Susan Arvey była mężczyzną i pochodziła z marginesu, mogłaby z pewnością liczyć na sukcesy w profesji alfonsa. Jej wyraźne zamiłowanie do poznawania ze sobą mężczyzn i kobiet w celu odbycia przez nich stosunku (z czego alfons ciągnie korzyści majątkowe) nie dotyczyło jednak znajomości zawartej przez Billy Ikehorn z Vito Orsinim. Susan w samej rzeczy znalazła przyszłe żony kilku panom, którzy wydawali się nie wiedzieć, że właśnie tego potrzebują najbardziej, ale uczyniła to powodowana troską o biedne, słabe idiotki, które nie potrafią same znaleźć bezpieczeństwa, majątku i opieki w ramionach mężczyzny.

Nad przypadkiem Billy Ikehorn Susan Arvey zastanawiała się natomiast niejednokrotnie. Wydanie jej powtórnie za mąż stanowiłoby ukoronowanie wszystkich dotychczasowych sukcesów, ale za kogo? Nie mogło ulegać wątpliwości, że przyszły mąż milionerki wybiera ją sobie powodowany wyłącznie czystym uczuciem, a nie chęcią wzbogacenia się. Tu jednak pomysły Susan się wyczerpywały. Ze środowisk politycznych wchodziłby w grę tylko senator albo gubernator dużego stanu. Susan upatrywała kandydata w Jerry Brownie, który jednak nie przypadł Billy do gustu. W branży filmowej nie było absolutnie żadnego kandydata. Wszyscy prezesi wielkich wytwórni mieli już połowice albo też poprzysięgli, że nigdy więcej się nie ożenią. Zresztą, jeżeli nie posiadali,

jak Arvey, pakietu akcji wytwórni, ich pozycja finansowa uniemożliwiała ślub z Billy. Prezydent Carter miał już żonę, a poza tym był niższy od Billy. Przedstawiciel którejś z dynastii? Na pewno trudno takiego szukać w Cannes. Zaproszenie do Cannes otrzymała więc Billy po prostu dlatego, że Susan dobrze się z nią czuła. Susan dziwiła się, że tak wiele kobiet nie znosi Billy, zapewne przez zazdrość i poczucie własnej niższości. Nie zazdrościć niczego Billy Ikehorn było cudownym uczuciem - w ten sposób Susan Arvey sama mogła ocenić, jak wysoko zaszła. Poza tym wzruszało ją, że ma takie czułe serce. Susan Arvey piastowała czułość w sercu jedynie wobec małej grupki osób, które jej zdaniem zasługiwały na taki honor. Szarych ludzi pani Arvey traktowała jak dawnych przyjaciół, z którymi zerwało się kontakty przed laty, lecz którym nadal się współczuje, a zarazem podejrzewa ich o różne nieprzyjemne sprawy.

Jak większość wytrawnych gospodyń, Susan Arvey dbała, by jej goście czuli się wzajemnie zaszczyceni i polechtani swoją obecnością. W tym celu musieli jednak wiedzieć, czym zajmują się i czego dokonali pozostali biesiadnicy. Jeżeli któryś z gości był posiadaczem dużej kasy kredytowej, lecz dla reszty zaproszonych, która nigdy o nim nie słyszała, mógł równie dobrze parać się szewstwem, Susan głośno przedstawiała go jako „właściciela gigantycznego banku”. Robiła to z taką wprawą, że mało kto w ogóle zwracał uwagę na ten szczególny obyczaj, za to każdy zapamiętywał podświadomie, kim jest nieznamy gość. W Susan Arvey drzemała nie tylko rajfurka, lecz i znakomita specjalistka od reklamy. Najlepszymi gośćmi byli tacy, których nie trzeba było nikomu przedstawiać. Na pewno ani Billy Ikehorn, ani Vito Orsini nie potrzebowali przy swoich nakryciach tabliczek z nazwiskiem.

Na dzisiejszy wieczór Susan zaprosiła czternaście osób. Wszyscy mieli się najpierw wspólnie czegoś napić w jednym z apartamentów Arveyów przed odmarszem do restauracji. Nie było to najbardziej udane zgromadzenie - sama Susan musiała przyznać, że skład jest raczej średni, ale podczas festiwalu trzeba się było zadowolić byle kim. W innych okolicznościach Susan zaprosiłaby Orsiniego jedynie wówczas, gdyby nakręcił właśnie największy filmowy przebój. Brakowało jej jednak mężczyzny do równej liczby gości, a Curt wpadł na pomysł, żeby zaproponować na to miejsce Vito.

Przez pierwsze pół godziny w apartamencie Susan była tak zajęta reklamowaniem osiągnięć wszystkich obecnych, że dopiero poniewczasie spostrzegła, iż Vito Orsini nie dopuszcza nikogo w pobliże Billy Ikehorn. Zamiast krążyć po pokoju i rozmawiać z innymi gośćmi, para tkwiła w kącie. O nie, taki numer nie przejdzie. Susan znalazła chwilę, by szepnąć Billy do ucha prawdę o Orsinim. Jego trzy ostatnie filmy nie przyniosły ani pół centa.

- Sam też mi to powiedział - przyznała Billy. - Niesamowite, prawda? Popularny gust spadł jeszcze niżej niż myślałam. Uwielbiam wszystkie jego filmy. Moim zdaniem to geniusz, który prawie dorównuje Bergmanowi. Zaplanowałam, żebym siedziała koło niego, prawda?

- Nie wydaje mi się.

- W takim razie zrób tak, proszę, moja miła Susan. - W głosie Billy Ikehorn pobrzmiwał ton, który potrafiłoby wychwycić zaledwie kilkoro spośród jej znajomych: Valentine, Spider, Hank Sanders, Jake Cassidy i Josh Hillman.

- Ależ oczywiście - Susan uśmiechnęła się z wysiłkiem. Wyglądało

na to, że Billy chce sobie pozwolić na maleńki flirt. Boże, inna sprawa, że na pewno całe lata upłynęły, odkąd... Naturalnie, to by wszystko wyjaśniało.

- W ogóle nie była pani jeszcze w Cannes? - zdumiał się Vito, kiedy już zasiedli z Billy obok siebie przy stole.

- Susan powiada, że to zbyt groteskowa scena. Jutro jedziemy do Maeght obejrzeć płótna Giacomettiego, a jeżeli wystarczy czasu, chcemy obejrzeć w Grasse stary dom, odrestaurowany w stylu epoki, chyba z XVI wieku.

- Nie, jutro jedzie pani na festiwal filmowy do Cannes.

- Czyżby?

- Oczywiście, że tak. Przecież marzy pani o tym, żeby pojechać.

Mówi pani:

„Groteskowe”? To dantejskie Inferno, namalowane przez Boscha, z odrobiną Salvadora Dali i George’a Grosza, a jeżeli spojrzy pani na morze, prawdziwe płótno Dufy’ego. Susan czasem mnie śmieszy. Leciała pani 10 tysięcy kilometrów do najsłynniejszego cyrku świata, ale jest pani zbyt płochliwa, żeby wejść do namiotu? To chyba nieprawda.

- Nikt jeszcze nie użył wobec mnie takiego określenia jak „płochliwa”.

- A jakiego powinno się używać?

- Przyznam się panu, że nie mam pojęcia. Nie mówię tego przez kokieterię, po prostu rzeczywiście nie wiem.

- Zaraz do wszystkiego dojdziemy drogą eliminacji. Nie płochliwa i nie kokieteryjna, to już wiemy. Nie brzydka i nie ostatnia. Nie głupia, ale też nie przemądrzała. Nie niedojrzała, ale przecież niezupełnie dorosła.

Niezupełnie szczęśliwa, ale daleka od melancholii. Może w takim razie...
O tak. Może nieco wstydliva.

- Proszę przestać!

- Nie lubi pani rozmawiać o sobie?

- Nie w tym rzecz. Wprawia mnie pan w zakłopotanie.

- A to dlaczego?

- Jak można tak od razu grzebać w czyimś charakterze? Poznał mnie pan zaledwie godzinę temu.

- Ale czy powiedziałem cokolwiek, z czym by się pani nie zgadzała?

- Nie, i właśnie to mi się nie podoba. Miałam nadzieję, że będę dla pana większą zagadką - dodała Billy, karcąc się w duchu za ten przejaw kokieterii.

- Ależ jest pani dla mnie zagadką. Wyliczyłem jedynie kilka cech, które rzuciły mi się w oczy w sposób oczywisty. W moim zawodzie natychmiast wychwytuje się takie sprawy, zupełnie jak gdyby miało się do czynienia z postacią ze scenariusza. Gdybym miał sporządzić szkic bohaterki mojego filmu, napisałbym pewnie: „Billy Ikehorn jest piękną i bogatą młodą wdową, która najwyraźniej utraciła w życiu punkt oparcia. Wyjeżdża więc z przyjaciółką na festiwal filmowy do Cannes w nadziei, że będzie to dla niej jakąś rozrywką...” Widzi pani? Już nakreśliliśmy zarysy postaci i możemy teraz iść dalej, ale to jeszcze wcale nie oznacza, że dowiedzieliśmy się wszystkich ważnych rzeczy na temat bohaterki, że poznaliśmy jej motywacje i resztę niuansów. Niektóre z tych spraw same wynikną ze scenariusza, niektóre wniesie ze sobą aktorka, jaką wybierzemy do roli Billy Ikehorn. Aktorka musi przecież dać coś od siebie, a resztę dopowie już sobie widz. Każdy widz ma przecież jakieś

własne wyobrażenie „młodej bogatej wdowy”. Sama pani widzi, że nadal jest pani zagadką.

- Prędeż już postacią na trzy linijki.

- O, znacznie bogatszą. Poza wszystkim innym gra pani przecież Billy Ikehorn.

- Nie, ja nią jestem!

- Kto wie, czy to nie jedno i to samo.

- Chce mi tu pan powtarzać frazesy, że każdy człowiek gra jakąś rolę? - skrzywiła się Billy.

- Zupełnie nie. - Zamiast jednak wyjaśniać rzecz dalej, Vito zrećnie zmienił temat. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to najlepszy sposób, by rozbudzić ciekawość Billy. Decyzję, co robić dalej, pozostawiał swojemu zmysłowi telepatii. Nie zamierzał starać się o względy Billy, chciał jej tylko dostarczyć rozrywki. Ze złośliwą radością myślał o tym, że przynajmniej na jeden dzień wyrwie wdowę z przerafinowanego otoczenia Susan Arvey. Vito uważał się poza tym za rzemieślnika i nie mógł znieść myśli, że ktoś może nie chcieć sobie brudzić rąk na festiwalowym bazarze. Poza tym Billy była taka piękna...

Billy przybrała wyniosłą minę, godną potomkini Winthropów, i przymknęła oczy, aby Vito nie mógł z nich wyczytać nic na temat perspektywy spędzenia z nim następnego dnia. Od pierwszego momentu wiedziała, że ma do czynienia z wirtuozem - wiedziałyby o tym, gdyby nawet nie oglądała w życiu żadnego z jego filmów. Vito roztaczał wokół siebie oczywistą aurę człowieka, który wciąż przebija kolejne bariery i zamiast marnować czas na zastanawianie się, czy to, czym się zajmuje, w ogóle ma jakiś sens, po prostu robi swoje. Widać było, że jest impulsywny

i nie boi się niczego w świecie. Z początku sądziła, że Vito ma klasyczną rzymską urodę, ze swoim wydatnym, orlim, arystokratycznym nosem, pełnymi wargami i gęstymi, kędzierzawymi włosami jak posąg Donatella. Vito jednak ze swoją bezpośredniością i niesamowitym skupieniem kipiał czysto dwudziestowieczną energią. Billy upewniła się nagle w przekonaniu, że osobisty czar jest po prostu kolejnym przejawem tej energii.

Vito przyjechał po Billy nazajutrz rano. Oczywiście Billy bywała już przedtem w Cannes, jeszcze w latach, gdy z Ellisem utrzymywali willę na Cap-Ferrat w osiedlu dla milionerów pod Beaulieu, ale do miasta wypuściła się wówczas tylko parę razy, żeby odebrać jakiś zakup w miejscowej filii wielkich paryskich domów mody albo kupić lukrowane kasztany, za którymi Ellis po prostu przepadał. W ciągu roku mieszkali w willi zaledwie przez miesiąc, wczesną wiosną i późną jesienią, unikając sezonu turystycznego, i dlatego najbardziej wyraźne wspomnienie Billy z Cannes dotyczyło rzędu wielkich, pustawych hoteli przy szerokim Corniche, za którym widać było kamienistą plażę.

Vito znalazł na tarasie hotelu Carlton wolny stolik. Ta magiczna sztuka udała mu się tylko dlatego, że od piętnastu lat z rzędu wręczał temu samemu szefowi sali przeraźliwie wysokie napiwki. Billy nareszcie mogła się rozejrzeć wokół siebie. Gdziekolwiek spojrzała, w promieniu kilkunastu metrów widziała wyłącznie tysiące ludzi, którzy kłębili się z pozoru beładnie, każdy z wyrazem nerwowego skupienia na twarzy. Nikt spośród uczestników tego tumultu nie rzucał nawet okiem na morze za pasem plaży, rozfalowane i pieszczone promieniami słońca. Nikt też nie raczył nawet spojrzeć na rozwieszane na białych masztach wzdłuż

Croisette trzepoczące flagi wszystkich państw. Wszędzie natomiast, nawet w przejściach na taras, widziało się zbite grupki mężczyzn, potrącanych przez niecierpliwy tłum i zażarcie dyskutujących na jakiś skomplikowany temat. Szeroki bulwar Corniche zmienił się w nieruchomą ścianę samochodów, a każdy kierowca za punkt honoru uważał nie spuszczać ręki z klaksonu. Cała scena przypominała wnętrze Grand Central Station w godzinie szczytu albo olbrzymi stadion w chwili, kiedy tłum kibiców zaczyna na wypródki szukać swoich miejsc - może także wnętrze nowojorskiej giełdy w dniu, kiedy akcje na wyścigi zmieniają właścicieli. Wszystko to działo się pod lazurowym śródziemnomorskim niebem, ignorowanym całkowicie przez podekscytowany tłum.

- Wspaniała scena, prawda? - zauważył wreszcie Vito.

- I okropna - uśmiechnęła się zgodnie Billy. - Nie miałam pojęcia, że... Proszę mi powiedzieć, kim są ci wszyscy ludzie? Zna pan może kogoś z nich?

- Niektórych. Może nawet nazbyt wielu. Ten facet w kapeluszu zarobił w Japonii 50 milionów dolarów na produkcji filmów porno. Przyjechał tu po cyncate Szwedki, które zgodzą się na operację plastyczną i dadzą sobie przerobić oczy na skośne. Wtedy wystarczy już tylko drobna kosmetyka, żeby robić z nimi jeszcze lepsze filmy porno, bo rozumie pani, facet uważa, że japońskie aktorki mają za małe biusty. Człowiek, który z nim rozmawia, ma na sprzedaż pięćdziesiąt Szwedek, kłócą się tylko o cenę. Ta wysoka blondynka przy sąsiednim stoliku to mężczyzna. Czeka na swoją kochankę, specjalistkę od obsady ról, która lubi tylko z przebranymi za kobiety mężczyznami. Co roku wydaje u Diora 40 tysięcy dolarów, żeby jej facet miał się w czym pokazać. Trzej Arabowie za nimi

przyjechali z Kuwejtu. Mają ze sobą 9 milionów dolarów i polecenie szejka, żeby zorganizować w swoim kraju kinematografię. Problem polega na tym, że nikt z filmowców za żadne pieniądze nie chce jechać do Kuwejtu. Jeżeli Arabowie wrócą do domu z pustymi rękoma, zapłacą gardłem, dlatego wydają się tacy nerwowi. Zaczęli już na serio planować porwanie Francisa Forda Coppoli, mają też ochotę na Stanleya Kubricka, ale nie wiedzą, czy Kuwejt stać będzie na honoraria dla tej dwójki. Tamci znowu, którzy czekają na stolik, to Rosjanie. Przyjechali namówić George'a Roya Hilla, żeby jeszcze raz nakręcił *Wojnę i pokój*, bo chcą wykorzystać całą Armię Czerwoną w charakterze statystów. Namawiają go, żeby przerobił film na futurystyczny, i żeby mogło w nim zagrać radzieckie lotnictwo, atomowe okręty podwodne...

- Vito!

- Gdybym pani opowiadał prawdę, wyszedłbym na nudziarza.

- Ależ proszę mnie ponudzić. - Ciemne oczy Billy stały się zalotne jak powierzchnia morza.

- Rozmawiają o procentach. O podziale zysku brutto. O podziale zysku netto. O tym, ile z góry. Ile po pewnym czasie. O procentach i ułamkach procenta. O sprzedaży kopii do Turynu. Do Kairu. Do Detroit i do...

- Tamta opowieść bardziej mi się podobała.

- A mimo to sprawia pani na mnie wrażenie kobiety, którą kuszą rzeczy prawdziwe, nie fałszywe.

- Nie chciałabym do końca tracić złudzeń.

- W branży filmowej zginęłaby pani marnie.

Billy spoważniała w jednej chwili i spojrzała Orsiniemu w oczy.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że w opinii Susan niedługo będzie pan skończony jako producent? To chyba nieprawda, co?

- Mnie też wydaje się, że to nieprawda. Nakręciłem dwadzieścia trzy filmy, z których tylko sześć nie zrobiło kasy. Siedem kasowych nie podobało się krytykom, natomiast pozostała dziesiątka podobała się i widowni, i recenzentom. To całkiem niezły wynik. W tej chwili jestem zadłużony na 300 tysięcy dolarów i zrobiłem jeden po drugim trzy filmy, które nie przyniosły zysku, choć nie spowodowały też strat. Myślę więc, że niedługo karta powinna znów się odwrócić.

- Pan może tak spokojnie o tym mówić?

- A pani może opowiadać takie głupstwa? Gdybym się denerwował, nie byłoby dla mnie miejsca w filmie. Sprawa jest bardzo prosta. Wolę robić filmy, niż zajmować się czymkolwiek innym, a w dodatku doskonale mi to wychodzi. Nie zawsze się domyślam, czego oczekuje publiczność, czasami więc tracę pieniądze. Nie mogę jednak zwracać uwagi tylko na gust widowni, bo zacznę naśladować innych producentów. Dla mnie największa radość bierze się z faktu, że tworzę coś, co mi się podoba. Dla tej jednej sprawy warto się naszarpać. Wierzę w siebie, wierzę w swoje pomysły i swój styl pracy. Po prostu.

- Ale czy nie obawia się pan tych przeskoków: raz na wozie, raz pod wozem? Nie boi się pan, że inni śmieją się w kułak za pańskimi plecami?

Vito obrzucił Billy zdumionym spojrzeniem.

- Co pani podsuwa takie lęki? Pewnie, że nikt nie lubi być pośmiewiskiem, ale to wszystko akurat najmniej mnie martwi. Film to bardzo krucha branża. Gdybym się bał ryzykować, przejąłbym po ojcu warsztat i zajął się wyrobem srebrnych widelców.

Prostota poglądów Orsiniego na własny temat zirytowała Billy, która zazdrościła mu takiej pewności siebie.

- Jak na faceta po uszy w długach ma pan mnóstwo tupetu!

- Uwaga w stylu weteranów tego festiwalu! - Vito roześmiał się. - Udzielił się pani nastrój. Lepiej chodźmy na spacer. Nowa nadzieja Hollywood czai się już na nasz stolik, żeby spokojnie kupić sobie przy nim kokainę.

Billy rozejrzała się, chcąc dostrzec ofiarę kolejnego żartu Orsiniego.

- Ależ to... To przecież... On naprawdę bierze?!

- Owszem. Sama się pani przekona, że zwykle mówię prawdę.

Po przekąsce w bistro po przeciwległej stronie ulicy Billy i Vito spędzili całe popołudnie włócząc się po Cannes, zaglądając do antykwariatów i do starego portu, z dala od festiwalowych tłumów. Później Vito odwiózł Billy z powrotem do Hôtel du Cap, po czym przebrną w wieczorową suknię zabrał do potężnej Salle des Spectacles na pokaz angielskiego filmu.

Bardziej złośliwą publiczność od tej w Cannes mieli tylko chrześcijanie rzucający kamienie. Dziennikarze z lewicowej prasy gwizdzą i wznoszą obraźliwe okrzyki, prasa zachodnia ciska obelgi i pluje, a prasa Trzeciego Świata pluje, wznosi okrzyki i gwizdże. Każdego roku trafia się kilka filmów, które dziwnym zbiegiem okoliczności nie wzbudzają zastrzeżeń u dziennikarzy, niezależnie od poglądów tych ostatnich. Filmy te obrażają jednak zazwyczaj uczucia komisji festiwalowej, odzwierciedlającej składem ONZ, lecz jeszcze mniej zgodnej. Film, który otrzymuje Złotą Palmę, rzadko zdobywa więc uznanie widzów.

- A czy twój film brał kiedyś udział w konkursie? - zapytała Billy.

- Tak, nawet dwa. Dziesięć lat temu dostały nominację moje Uliczne latarnie, a trzy lata temu Cienie.

- Ach tak! Oba doskonale pamiętam, bo bardzo mi się podobały. Najbardziej właśnie Latarnie.

- Szkoda, że nie siedziałaś wtedy na sali. Słyszałem, jak widownia ostrzy na mnie noże.

- Naprawdę było aż tak źle?

- Gorzej niż źle. Na szczęście Uliczne latarnie zrobiły później ogromną kasę.

- Gdzie się podziały te pieniądze, Vito?

- Ile razy coś mi wpadło, zaraz wszystko wydawałem na siebie, na wesołe życie. Poza tym diabeł mnie podkusił, żeby inwestować we własne filmy, niestety zwykle te, które przynoszą straty. Nie żałuję ani centa, zawsze mogę znów coś zarobić.

Billy nie widziała najmniejszego powodu, by wątpić w prawdziwość tych słów. Po filmie Vito zabrał ją na późną kolację do Moulin de Mougins, lokalu opatrzonego trzema gwiazdkami w przewodniku Michelina.

- Jedzenie będzie okropne, więc się nie przejmuj - przestrzegł ją jeszcze. - Podczas festiwalu kucharze zapominają, że w ogóle jest coś takiego jak talent, kelnerzy robią się jeszcze bezczelniejsi niż zwykle, szef sali ma taką minę, jakby gardził twoimi napiwkami, chociaż nigdy nimi nie wzgardzi, a zamiast dobrego wina podaje się ocet.

- Ale dlaczego?

- Moim zdaniem w tej restauracji nie lubią filmowców. Kiedy Vito

odwoził ją do hotelu, Billy uzmysłowiła sobie, że nie wie nawet, czy znowu go zobaczy. Ponieważ nic nie mówił, sama zdobyła się wreszcie na odwagę i zapytała:

- Będziesz miał czas umówić się jutro ze mną na lunch?

- Niestety, cały dzień będę zajęty. Jutro przyjeżdża tu dwóch ludzi, z którymi się muszę zobaczyć.

- Ach tak. - Billy nie pamiętała w swym dorosłym życiu takiej chwili, żeby ktoś odrzucił jej zaproszenie. Nie spotkało jej to od czasu ślubu z Ellisem Ikehornem przed czternastu laty.

- A może pojutrze?

- To będzie zależało. Jeżeli uda mi się jutro od bębnić oba spotkania, powinienem być wolny. Z tym, że nie będę tu przyjeżdżał, bo jeszcze wybierze się z nami Susan, i co wtedy? Susan za bardzo mi przypomina szefa sali w Moulin de Mougins. Zabrałbym cię do Colombe d'Or. Zadzwoń jutro wieczorem i powiem ci, czy umowa stoi, dobrze? - zaproponował Orsini, który ku wściekłości Billy najwyraźniej założył z góry, że ona sama nie poczyni żadnych innych planów na ten dzień. Rzeczywiście, nie miała innych planów. Pierdolony konkwistador! Świadomość tej sytuacji podsycała jeszcze gniew Billy.

- Nie wiem, czy nie wyjadę - zaznaczyła.

- Que sera, sera, jak powiadają w moim starym kraju.

- Bzdura! Tę piosenkę napisano do filmu Człowiek, który za dużo wiedział.

- O mój Boże! Kolejna miłośniczka Doris Day!

- A co w tym złego? - zapytała Billy, znów dając się zaskoczyć.

- Proszę, proszę. Jeszcze jedna sprawa, która nas łączy. Dobranoc,

Billy.

* * *

- Curt?

- Co jest, do diabła, Sue? Już prawie zasypiałem!

- Martwię się o Billy.

- O co znowu chodzi?

- Nie ma dnia, żeby się nie spotykała z Vito Orsinim. Cały zeszły tydzień prawie jej nie widziałam. Czasem tylko wpadała, żeby się przebrać do kolacji.

- I co z tego?

- Curt!

- Nie zachowuj się jak panikująca matka, Sue. Billy ma już swoje lata i wie, co robi. Widocznie uznała, że najwyższy czas dać się przerznąć. Głowę dam, że właśnie o to jej chodzi. Myślisz, że jeden Orsini dybie na jej pieniądze?

- Potrafisz być niesłychanie prymitywny. Mogłam się czegoś domyślić, biorąc za męża kogoś z Bayonne w New Jersey. Matka zawsze mnie ostrzegała, żeby...

- Chyba ty też dojrzałaś do tego, żeby cię ktoś przerznął. Powodzenia, Sue, i dobranoc!

* * *

- Vito?

- Tak, kochanie? - Leżeli wspaniale nadzy wśród rozrzuconej pościeli, w łóżku Orsiniego w hotelu Majestic. Billy czuła, jak rośnie jej serce. Takie samo wrażenie można odnieść wrzucając do kieliszka czerwonego wina bładny papierowy kwiatek, który natychmiast zaczyna

wchłaniać podniecający płyn, i pęcznieje do rozmiarów olbrzymiego czerwonego maku, wilgotnego od porannej rosy. Billy czuła się jak kot, senna po seansie doskonałego, najzwyczajszego seksu.

- Vito, proszę cię, ożeń się ze mną.

- Nie, kochanie. Niestety, muszę ci odmówić.

- Ale dlaczego?

- Bo masz za dużo pieniędzy.

- Wiedziałam, że mi to powiesz. Przecież to kompletna i zupełna bzdura!

- Nie dla Włocha.

- Przecież jesteś Amerykaninem, do cholery.

- Ale mam włoskie poglądy i włoską dumę. Chcę być panem w swoim własnym domu, a to przecież będzie niemożliwe. Nawet gdybyśmy przed ślubem podpisali dwadzieścia umów, że nigdy nie tknę twojej forsy, będziemy żyli w stylu, do którego przywykłaś, i na twój koszt.

- Ale, Vito... Ja nie zniosę tego, że cię nie mam!

- W jaki sposób chcesz mnie „mieć”? Kochana Billy, jak możesz nawet myśleć w ten sposób? Owszem, kocham cię, ale to mój kłopot, a nie twój, a poza tym nie wyobrażam sobie, żeby dało się mnie ot tak nabyć.

- Dlaczego mnie zaczynasz oskarżać?

- Bo zbłądziłaś. Odwróć się lepiej do mnie i pocałuj. Na co czekasz? O teraz lepiej. O wiele lepiej. Nie, wcale nie musisz przestawać.

Billy nie chciała przestawać, nawet gdyby miała taką możliwość. Nigdy jeszcze nie kochała nikogo tak mocno. Spotkanie z Vito odebrało jej jasność widzenia. Wszystko było zupełnie inne od jej młodzieńczych snów o chwale w ramionach francuskiego arystokraty, od zadurzenia,

które wzięło się od początku do końca z jej poczucia przemiany. Inaczej czuła się też z Ellisem, którego bardzo kochała, i który był zawsze taki opiekuńczy, delikatny i na tyle starszy, by odjąć ich miłości wymiar rywalizacji i agresji. Kochanie się z Ellisem było jak upadek na łóżko zaścielone grubymi pierzynami. Vito zaś - Vito doprowadzał ją do obłędu, zupełnie jak w tekście bezsensownej piosenki dla nastolatków. Nie chciał nagiąć się do jej woli, ani trochę nie chciał wyzbyć się swoich przekonań; potrafił przejrzeć ją na wylot, a co gorsza, zaczynał ją chyba rozumieć. Był oprócz tego zaledwie siedem lat starszy od Billy, ale traktował ją z wyższością, jak małą dziewczynkę. Rozdrażniona tym wszystkim Billy ugryzła go. Delikatnie. Nauczyła się już, że kiedy gryzie za mocno, Vito odwzajemnia ukąszenie.

Vito tymczasem zapatrzył się w morze. Zachwyciły go delikatne ukąszenia gorących ust Billy, lecz cała sytuacja zaczynała go niepokoić. Do tej pory udało mu się skutecznie ukryć przed Billy własny romantyzm. Już przy pierwszym spotkaniu zorientował się, że młoda wdowa jest niesłychanie zepsuta i aby zwyciężyć w nowej grze, nie cofnie się przed żadnym chwytem. Vito zaś nie miał najmniejszego zamiaru zakochać się w kimś takim jak ona. Niestety, sam nie wiedział, kiedy się to stało. Uroda Billy przywodziła na myśl skrzypcową nutę. Kiedy patrzył na zarys jej wysmukłej szyi, konchę ucha, gęste i ciężkie włosy, prążkowane tęczówki jej oczu, czuł, że żadna jeszcze kobieta nie zachwyciła go do tego stopnia co Billy. Mógłby może ocalić mimo wszystko skórę, gdyby nie to, że z biegiem dni zaczął Billy także rozumieć. Nauczył się w niej dostrzegać za zasłoną pozy i manieri zwykłą, samotną kobietę. To, że zrozumiał Billy, było największym błędem Vito Orsiniego, który przekonał się, jak bardzo

bezbronna i złaknięta miłości jest jego nowa przyjaciółka. Z każdym dniem Billy stawała się coraz bardziej rzeczywista, w coraz mniejszym zaś stopniu była „bogata młodą wdową” wyjętą żywcem ze scenariusza. Vito czuł dla niej coraz większe, coraz tkliwsze współczucie, pomieszane z czymś jeszcze innym. Billy była także niezrównana w sferze zmysłów: nie chowała się ani trochę, nie wiedziała, czym jest w łóżku skromność i dystans do samej siebie. Dobrali się we dwójkę naprawdę świetnie. Naprawdę szkoda, że Billy ma pieniądze.

- A gdybyśmy tak po prostu zamieszkali razem? Co, Vito? W ten sposób nie mogłabym cię „nabyć”. Co?

- Nic z tego, Billy. Poza tym to mężczyzna powinien się oświadczyć kobiecie.

- Może piętnaście lat temu, ale dziś? Dzisiejsze kobiety mogą prosić, o co zechcą, i dostają, o co poproszą.

- Nie ode mnie, kochanie. Chyba że naprawdę chcę im coś dać.

- Jesteś okropnym przeżytkiem - zażartowała Billy czując, że plecie jakieś straszne bzdury. Sama nigdy przedtem się nie zastanawiała nad ruchem wyzwolenia kobiet. Dlaczego więc peroruje jak zajadła feministka? Lepiej jednak trochę się wygłupić niż zostać odrzuconą, prawda? Billy uznała, że woli głupio dowcipkować, niż przyznać się, choćby i przed samą sobą, jak bardzo pragnie, by Vito ją pokochał, by się z nią ożenił - zupełnie niczym bohaterka cholernego powieścidla z dziewiętnastego wieku. Billy dawno już przysięgła sobie, że nigdy, przenigdy nie będzie jak postaci z powieści wzdychać do żadnego mężczyzny.

* * *

Curt Arvey był draniem pierwszej wody, a tym samym potrafił długo czekać, żeby postawić na swoim. Od dawna miał pretensje do swojej żony Susan, z którą żył w stanie ustawicznej wojny podjazdowej. Wojna nigdy jednak nie przerodziła się w otwarty konflikt. Susan uznała teraz, że romans Billy z Vito Orsinim to wina Curta, który niepotrzebnie zaprosił producenta na przyjęcie. Całą sprawę traktowała tak, jak gdyby Orsini był żigolakiem i łowcą posagów. Trudno o mniej delikatną aluzję do faktu, że początki kariery sam Curt zawdzięczał wyłącznie hojności Susan. Owszem, tak było, ale to już nie za pieniądze żony Arvey wywindował się na sam szczyt Hollywood, nie własne pieniądze pozwalały Susan cieszyć się życiem w Beverly Hills... Arvey postanowił, że prędzej trupem padnie, niż pozwoli sobą dyrygować w takich sprawach jak lista gości. Zadzwoił więc zaraz do Orsiniego i zaprosił go do hotelu na późne śniadanie.

- Słyszałem plotki, że masz jakiś nowy pomysł, Vito. Może mi opowiesz w dwóch słowach?

- Chodzi o pierwszą książkę jednej młodej Francuzeczki. Podobno pisze jak druga Saganka, tylko o wiele lepiej. Kupiłem prawa do ekranizacji dosłownie za bezcen. To historia o miłości, która...

- Znowu historia o miłości? Myślałem, że Meksyk wyleczył cię z takich pomysłów?

- Równie dobrze mały katar mógłby mnie wyleczyć z oddychania, Curt. Ludzie do końca świata będą chcieli oglądać filmy o miłości, byle dobre. Coś mi mówi, że ta książka to prawdziwy przebój. We Francji idzie jak woda, a niedługo opublikują ją w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Podobno ma wyjść jeszcze wiosną.

- Potrzebna będzie jakaś lepsza obsada?

- Niekoniecznie. Mogę się obejść bez gwiazd, bo para kochanków jest bardzo młodziutka. Obliczam koszty na dwa miliony dwieście, może nawet zamknę się w dwóch milionach dolarów, zależy, gdzie będę kręcił ten film. Historia jest uniwersalna, więc wcale nie trzeba jechać z ekipą do Francji.

- Romeo i Julia?

- Tak, ale z niespodzianką. Wszystko dobrze się kończy.

- Pomysł niezły. Porozmawiaj o tym z moją administracją, niech wysmażą jakiś kontrakt.

- Absolutnie wykluczone, Curt! - Vito pobladł nagle.

- Dlaczego, do diabła?! - Arvey ze zdumienia upuścił serwetkę.

- To Billy cię do tego namówiła, może nie? Nie pozwolę, żeby jakaś baba fundowała mi filmy...

- Jezu, Vito, masz chyba manię prześladowczą! Nie doczekasz dnia, kiedy pozwolę kobiecie z ulicy wcisnąć mi parę milionów dolarów na film, który kręci moja wytwórnia, który my dwaj rozpowszechniamy i który osobiście zaaprobowałem! Ciekawe, jak bym się później wytłumaczył przed udziałowcami i radą nadzorczą? Wiesz przecież, że nie pracuję na takich zasadach. Ani ja, ani żadna inna wytwórnia.

Vito odetchnął głęboko i spokojniej już zapytał:

- Ale sam podobno mówiłeś, że nic nie zarobiłeś na tych dwóch ostatnich filmach, które u ciebie kręciłem?

- To co? I tak wyszliśmy na czysto. Dało się przynajmniej zapłacić narzut dla wytwórni, a poza tym w tym samym czasie zarobiliśmy całą kupę szmalu na knotach, które aż żal oglądać. Twoje filmy mogę przynajmniej bez wstydu puścić gościom w sali projekcyjnej, bo mają

klasę. Poza tym gdzie jest napisane, że film ma przynieść zyski? I tak lepiej wyjść na czysto niż stracić, jak to było z paroma innymi filmami. Czy ty sobie, Vito, w ogóle zdajesz sprawę, jaki jesteś głupio uparty? Zamiast być taki honorowy, mogłeś od razu przyjść do mnie z tym pomysłem, a nie zmuszać mnie, żebym cię ciągnął za język.

Vito wiedział, że Arvey ma zupełną rację. Zdawał sobie sprawę, że jego jedyną wadą jako producenta jest głęboko zakorzeniona duma. Idealny producent to taki, który żeby nakręcić film, wda się w konszachty z samym Lucyferem, o ile Książę Ciemności wyrazi zainteresowanie sponsorowaniem. Jeżeli zaś Lucyfer nie da się przekonać do pomysłu, producent powinien za tydzień znów do niego zajrzeć i jeszcze raz spróbować szczęścia, a potem jeszcze raz, jeżeli będzie trzeba. Czy producent powinien zaprzedać diabłu duszę, jest już kwestią indywidualnej decyzji. Vito w samej rzeczy nie lubił Arveya ani mu specjalnie nie ufał, ale nie był to jeszcze dostateczny powód, by wzbraniać się przed pieniędzmi z jego wytwórni. Do zaprzędania własnej duszy jeszcze stąd daleko.

- Skontaktuję się z twoją wytwórnią, kiedy tylko wrócę do Kalifornii
- powiedział Vito, a jego oficjalny ton musiał Arveyowi wystarczyć za całe przeprosiny.

- Chcesz zostać aż do końca festiwalu?

- Tak, zostało mi tu jeszcze parę spraw do załatwienia.

- Cieszę się. Aha, ale jeśli chociaż o centa wyjdiesz poza te dwa miliony, jaja ci ukrećę.

I jeszcze jedno, Vito. Jeżeli masz dzisiaj czas, wpadnij wieczorem na kolację. Susan na pewno będzie chciała ci pogratulować. Kiedy usłyszy

nowinę o filmie, nie będzie się posiadała... Nie masz pojęcia, jak Susan uwielbia historie o miłości.

Patrząc na drzwi, które się zamknęły za Orsinim, właściciel wytwórni zachichotał złośliwie i z poczuciem zemsty. Warto poświęcić głupie dwa miliony dolarów, kiedy się trafia okazja pokazać tej snobce z Filadelfii, własnej żonie, kto jest tutaj panem.

Wracając samochodem do Cannes Vito przyłapał się na niesłuchanie u siebie rzadkiej refleksji nad własnym życiem. Dawniej, kiedy udało mu się wreszcie wydebić zgodę na nowy film, w dodatku taki, z którym wiązały się większe niż kiedykolwiek nadzieje, Vito rzucał wszystko i zaczynał układać w myślach listę potencjalnych scenarzystów i reżyserów. Owszem, teraz także czuł uniesienie i radość, lecz myśl o nowym filmie w dziwny sposób splatała się z myślą o Billy. Co miała jednak wspólnego Billy z nowym przedsięwzięciem?

Vito tkwił nadal w południowym korku drogowym przed samym Cannes, kiedy wreszcie oświeciło go, że ten sam impuls, który kazał mu w każdej książce czy pomysle dopatrywać się kształtu przyszłego filmu, zrodził w nim pragnienie, by zmieniać, kształtować i nadawać kierunek życiu Billy. Vito spotkał na swej drodze nieszczęśliwą dziewczynę i zapragnął uczynić z niej szczęśliwą kobietę. Pomysł był tym bardziej kuszący, że oprócz Vita nikt nie dopatrywał się nieszczęśliwej dziewczyny za fasadą wdowy po Ellisie Ikehornie. Vito był też oczarowany ciałem Billy, jej długimi kośćmi, sporymi stopami, oszalamiającą pełnią kształtów, widoczną dopiero wówczas, gdy Billy zrzuciła z siebie niezwykle piękne ubranie. Tyle się w niej kryło, że Vito mógł w nieskończoność słuchać jej leciutkiego, bostońskiego akcentu,

niezauważalnego - jak sądził - dla nikogo poza nim samym. Najbardziej zaś chciał Vito mieć z Billy dziecko.

Jakże żałował, że nie ma do czynienia z debiutującą gwiazdeczką, której jako wszechmogący producent mógłby oznajmić: „Nareszcie cię znalazłem. Chcę zrobić z ciebie gwiazdę”. Komuś takiemu rzeczywiście mógłby odmienić życie. Vito śmiał się sam ze swoich marzeń o potędze, lecz nadal wyobrażał sobie Billy jako młodziutką Sophię Loren, a siebie jako Carla Ponti. Jeszcze kilka lat wcześniej w tego typu fantazjach nie byłoby nic złego, lecz przyszedł oto czas borykania się z faktami. Vito z wysiłkiem powrócił do rozważań, kogo by tu wybrać jako najlepszego reżysera do nowej produkcji.

* * *

Spacerując po parku wokół Hotel du Cap, Billy błądziła po zarośniętych ścieżkach. Unikała polanek, na których mogła się natknąć na innych gości na ławkach. Zaglądała też czasem do ogrodu, gdzie na starannie pielęgnowanych grządkach rosły rzędy ozdobnych kwiatów i jarzyny do hotelowej restauracji. Rankiem wszyscy goście spali do południa albo zamawiali sobie śniadanie do pokoju, nie licząc więc obecności ogrodnika, Billy miała cały park do dyspozycji. Kiedy usiadła w zielonym cieniu, pełnym bzyczenia owadów i zapachu ziemi, jakże innym od aromatu Ameryki - co było może kwestią tysiącletniej historii starego kontynentu - spróbowała zebrać myśli i zastanowić się nareszcie nad wszystkim.

Wiedziała, że zachowuje się jak spragnione uczucia dziecko. Być może wpływało to z potrzeb czysto seksualnych, tym bardziej że Billy nie spotkała jeszcze mężczyzny, który by równie wspaniale jak Vito

potrafił dać kobiecie satysfakcję. Vito miał jej dla niej za każdym razem, kiedy się kochali, tyle, że słowem, o którym pomyślała, było: „szczodroblliwość”. W ostatnich latach Billy nauczyła się brać i wymagać od mężczyzn, stała się dowódcą, który wydaje mężczyźnie ścisłe polecenie co do tego, która z jej stref ma być stymulowana i jak długo, a jeżeli podwładny nie potrafił wywiązać się z zadania, dostawał odprawę, a Billy zastępowała go kimś nowym. Nauczyła się też nie tolerować sprzeciwów i znajdować zadowolenie w możliwie najszybszym czasie. Ostatecznie właśnie po to byli jej potrzebni wszyscy młodzi pielęgniarze, odprawiani po pewnym czasie z okazałą premią na pożegnanie. Billy nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, co stało się z nimi wszystkimi później ani też co dzieje się w prywatnym świecie każdego z nich. Chociaż nigdy nie użyła tego określenia nawet przed sobą, traktowała tych ludzi jak męskie kurwy. Teraz nareszcie zrozumiała to do końca i pojęła, dlaczego żywiła wobec nich taką pogardę. Skoro jednak nimi gardziła, czy gardziła też sobą? Woląwała nawet o tym nie myśleć.

U boku Vita zapominała jednak natychmiast o swoich władczych, drapieżnych nawykach. Pozwalała mu studiować się w nieskończoność, a Vito czynił to z lubością jak ktoś, kto wyszedł na długą, leniwą przechadzkę po własnej posiadłości, i kto ogromnie sobie ceni wszystko, co ogląda - jak gdyby szczęście, które dawał Billy, czyniło ją w jego oczach jeszcze droższą niż przedtem. Kiedy Billy doznawała z nim orgazmu, Vito wyglądał jak ktoś, kto otrzymał bezcenny dar, choć to przecież on był ofiarodawcą. Doskonale umiał się też nie spieszyć. Kiedy się z nim leżało, czuło się zawsze, że czas zatrzymał się w miejscu. Nie istniał zupełnie pośpiech, nerwowość, niecierpliwość ani żaden cel poza

tym najbliższym. Billy przy boku Orsiniego pozbyła się stopniowo całej skorupy cynizmu. Czuła, że znów jest miękka, bezradna i otwarta jak podczas dawnych miesięcy w Paryżu.

Podniosła się z cienia i ruszyła z powrotem do hotelu, złotobiałego, z wysokimi okiennicami, pociągniętymi naj - bledszym odcieniem szarego błękitu. Wiedziała doskonale, że to, co czuje, wcale nie bierze się wyłącznie z seksualnej potrzeby. Nie wiedziała, jak to się stało, że Vito stał się największą miłością jej życia. Świadomość ta wprawiała ją jednak w przerażenie.

* * *

Końcówka festiwalu w Cannes przypomina ostatnie dni sesji uniwersyteckiej, już po zakończeniu egzaminów. Każdy, kto już zdążył zaprezentować swój film, pospiesznie opuszcza miasto, a ci, którzy jeszcze zostali, czują w powietrzu wyraźną zmianę nastroju. Karnawałowa atmosfera pryska jak mydlana bańka. Dziennikarze odpadają jeden po drugim, lecząc kaca i niestrawność. Fasady hoteli odzyskują dawne dostojeństwo, gdyż jeden po drugim znikają z ich powierzchni reklamowe transparenty. Można już odszukać kelnera i bez kłopotu zamówić u niego coś do picia. Także kucharze przypominają sobie, że potrafią gotować.

Susan Arvey siedziała jak na szpilkach. Dawno powinny już były wyruszyć z Billy w powrotną drogę do Paryża, jak to zaplanowały sobie przed festiwalem. Cóż, skoro Billy tkwiła na Cap d'Antibes jak przymurowana, a wszystko przez tego Włocha, który wciąż usiłował wycisnąć profity ze swojej meksykańskiej szmiry. W przyływie szaleńczej energii rzeczywiście udało się Orsiniemu sprzedać swój film do kilkunastu różnych krajów, tym bardziej że widząc już następny w

produkcji, nie zważał na nic i sprzedawał swoje dzieło, nawet jeśli nie miał pojęcia, gdzie leży dane państwo. Susan nie mieściło się w głowie, kiedy Orsini znajduje czas na interesy, skoro bez przerwy widuje się z Billy, ale też wyobraźnia nigdy nie była najmocniejszą stroną pani Arvey. Na własne szczęście Susan powstrzymywała się od dalszych komentarzy i nie namawiała Curta, by porzucił zamiar finansowania nowego przedsięwzięcia. Wiedziała poza tym, że nieoczekiwana zwłoka nie potrwa dłużej niż dzień czy dwa.

W przeddzień zamknięcia festiwalu Vito zaprosił Billy na lunch do La Reserve w Beaulieu. Restauracja w tym czarującym hoteliku ma kształt długiej, odkrytej, cienistej marmurowej galerii, wychodzącej wprost na morze. Z całą pewnością jest to najbardziej elegancka sala jadalna na świecie.

Słuchając, jak Vito w płynnej włoskiej mowie zamawia dania, Billy - której zupełnie nie chciało się jeść - zdała sobie sprawę, że spoza zasłony okularów słonecznych bezwiednie obserwuje całą scenę, jak gdyby chciała utrwalić ją sobie w pamięci i zachować na przyszłość. Usiłowała sfotografować Vito takiego, jakim był w tej chwili - opalonego mężczyznę, który gestykulując wyjaśnia kelnerowi, że raki powinno się podawać z trzema różnymi rodzajami sosów. Billy czuła, że decyzja dawno już zapadła, że wszystko dawno już zostało przegrane, i że można już tylko próbować ocalić resztki godności, traktując cały romans jako nieszkodliwy, namiętny, lecz niepoważny flirt impulsywnej kobiety, miłośniczki mocnych wrażeń, uwielbiającej puste obietnice i puste słowa czułości. Usiłowała w ten sposób stłamsić własne uczucia jak przez tyle poprzednich lat.

Powolnym ruchem zdjęła okulary i odłożyła na różowy lniany obrus. Nie chciała sobie pozwolić na wyjście z roli. Ryzykowała, że znów zostanie odrzucona, odepchnięta, ale musiała spróbować bez względu na nocne zmory, które będą ją dręczyć wiele lat, tyle lat, ile będzie trzeba, aby chwila ta stała się po prostu wspomnieniem. Billy czuła, że musi powiedzieć to, co ma do powiedzenia, choćby miała się w tym wydać brutalna, uparta albo niezręczna. Było jej już wszystko jedno.

- Vito! - W głosie Billy wibrował ton, który kazał Orsiniemu raptownie podnieść na nią wzrok. - Vito, brakuje mi ostatecznego argumentu.

- O czym ty mówisz?

- Chciałam cię do siebie przywiązać tym, że jestem uległa, że możesz we mnie znaleźć wszystko, czego szukasz w kobiecie, przekonać cię, że nie możesz się już ze mną rozstać, ale pomyliłam się.

- Nie rozumiem, Billy.

- Pomyliłam się, bo przecież moje pieniądze nie znikną od tego wszystkiego. Nawet gdybym chciała, nie potrafiłabym się ich pozbyć, a poza tym wcale nie chcę.

- Trudno mi cię za to winić.

- Nie, nie możesz wszystkiego obrócić w żart jednym szyderczym tonem. Jestem bogata i zawsze będę bogata. To dla mnie bardzo ważne, ale przecież wszystko to jest niesprawiedliwe. Gdybym ja była mężczyzną, a ty kobietą, i gdybym była bogata, a ty nie, nie byłoby żadnej kwestii, prawda? Moglibyśmy wtedy spróbować i nikt by nie pomyślał, że jest w tym coś nienaturalnego, nienormalnego czy dziwnego, prawda?

Orsini spojrzał w odważne, harde, gorejące uczuciem oczy Billy i nie

odpowiedział ani słowem.

- Vito, jestem pewna, że znajdują się na świecie inni oprócz ciebie mężczyźni, których nie można kupić, ale ci inni nie kochają mnie, a ty kochasz. Chcesz od siebie odrzucić to uczucie, żeby udowodnić samemu sobie, że jesteś ponad takie pokusy, i co z tego? Cała historia zmienia się w popis jakiejś próżnej dumy, bo nawet kiedy już uczynisz swój gest, będziesz mnie dalej kochał, i dlatego obydwójce przegramy, prawda? Przegramy na całą resztę życia.

- Billy...

- Co z tego, skoro, jak ci powiedziałam, brakuje mi najważniejszego argumentu. Szkoda, że wszystko ma się tak zmarnować... Nie znoszę, kiedy coś się marnuje.

- Ja też nie znoszę - odezwał się Vito czując, że wszystko, co go łączy z Billy, nie kończy się wcale na miłości, lecz po prostu istnieje, jest niczym nieuniknione przeznaczenie. Położył dłonie na dłoniach Billy i powiedział: - Daruję ci ostateczny argument. Musisz mi tylko obiecać, że nigdy, pod żadnym pozorem nie zafundujesz mi rolls-royce'a.

Billy zrywała się już od stolika.

- I że nigdy nie urządzisz przyjęcia - niespodzianki na moją cześć - zdążył jeszcze dodać Vito. Półmisek i kieliszki z winem roztrzaskały się o marmurową posadzkę, a gotowane raki rozsypały się po niej na wszystkie strony. Choć słowa Orsiniego nie dotarły jeszcze do Billy, w jej sercu, w żołądku, w każdym razie w tej części ciała, która wie wszystko zawczasu, zanim cokolwiek uświadomi sobie głowa, zawirowało przecucie szczęścia. Wszyscy goście wykwiłtnej restauracji patrzyli na ich stolik zastanawiając się, jaką straszliwą obelgę cisnął ów mężczyzna w twarz

swojej towarzyszce, która wydawało się że za chwilę rzuci się na niego z pazurami.

- Jeżeli stroisz sobie ze mnie żarty, to cię zabiję!!!

- Nigdy nie stroję żartów w sprawach rodzinnych.

Wszyscy goście znów pochylili się nad talerzami. Scena okazała się zwyczajną sprzeczką kochanków. Na krzesło opadła również Billy, otoczona wianuszkami kelnerów uprzątających skorupy. Płoneła radością i czuła się zawstydzona jak dziecko.

- Tylko mi nie mów: „a nie mówiłem”, dobrze?

Vito opuszką palca obrysował usta Billy, ścierając z jej policzka łzę, która miała ochotę wylądować w majonezie ziołowym, jedynym daniu, jakie pozostało na stole.

Starszy kelner, skądinąd zatwardziały komunista z Mediolanu, był zdania, że dla takiej pary jak ta właściwie szkoda kurczęcia w estragonie i sufletu cytrynowego. Z drugiej strony mógł być pewny, że na pożegnanie otrzyma duży napiwek. Gdyby wszyscy parszywi kapitaliści na świecie byli równie zakochani, świat stałby się o wiele szczęśliwszym miejscem dla klasy robotniczej.

* * *

Telegram był adresowany do Valentine, która niecierpliwie rozdarła kopertę i obrzuciwszy tekst zdumionym spojrzeniem wpadła do gabinetu, który dzieliła ze Spiderem. Cisnęła w partnera depeszą, która informowała: ZA TYDZIEŃ MÓJ ŚLUB Z VITO ORSINIM, NAJCUDOWNIEJSZYM MĘŻCZYZNĄ NA ŚWIECIE. USZYJ MI PROSZĘ COŚ STOSOWNEGO. SAMA NIE WIERZĘ, ŻE MOŻNA BYĆ TAK SZCZĘŚLIWĄ. KOCHAM I CAŁUJĘ, BILLY.

- Jasny gwint! Ja też nie wierzę, że to prawda. Billy i taka depesza?
A dlaczego ty właściwie płaczesz, Valentine?

- Wiesz, Elliott, ty się zupełnie nie znasz na kobietach!

* * *

Maggie usłyszała o wszystkim podczas spotkania z szefem scenarzystów jej programu.

- I co ty na to, Maggie? Przecież przyjaźnisz się z tym Orsinim, na litość boską. Myślisz, że uda ci się zdobyć wyłączność na filmowanie ślubu? Zapowiada się największa impreza, od czasu, kiedy Cary Grant ożenił się z Barbarą Hutton.

- Wiesz co? Odczep się ode mnie z tymi pomysłami!

Osiem tygodni 1977 roku dzielących zakończenie festiwalu w Cannes od amerykańskiego Święta Niepodległości Spiderowi i Valentine upłynęło pod znakiem wyrównywania rozmaitych rachunków. Dla Vita był to czas odnowy, wytyczania nowych szlaków i rozpędu. Dla Billy zaś powinien ten okres stanowić miodowy miesiąc, ale tak się złożyło, że jedyny miodowy miesiąc godny wzmianki przeżyła z Orsinim podczas jedenastu godzin lotu ponad biegunem z lotniska Orły do międzynarodowego portu w Los Angeles. Co więcej, było to jeszcze przed ślubem.

* * *

Kiedy Valentine upewniła się co do swojej przyszłości w Scruples, zaczęła się rozglądać za mieszkaniem. Podstawowym warunkiem dla nowego lokum była jego absolutna prywatność. Z miejsca odpadało więc wynajęcie małego domku, gdzie Valentine mieszkałaby pod czujnym okiem sąsiadów. Podobnie jak nie wchodziło w grę mieszkanie w dużym budynku, po którym kręcą się ludzie. Valentine szukała miejsca, w którym bezpiecznie mogłaby spotykać się i kochać z Joshem. Miejsce nie mogło być zbyt oddalone od Scruples ani od domu Josha, ani też od jego biura w wieżowcach Century City, a to z tej przyczyny, że spędzane razem chwile Josh i Valentine kradli pośród nawału swoich obowiązków. Wreszcie w zachodniej części Hollywood, kilka przecznic na wschód od granicy Beverly Hills, bo na Alta Loma Road, udało się Valentine znaleźć dokładnie to, o co chodziło: apartament zajmujący całe najwyższe piętro wspaniałego bloku mieszkalnego, gdzie siedzący na dole portier skrupulatnie anonsował każdego, kto wchodził. Nikt, kto przychodził, nie

mógł tam wsiąść do windy bez telefonicznego zezwolenia lokatora.

Valentine była świadoma faktu, że i to mieszkanie ma swoje wady. Sypialnia i duży pokój na przykład były całe przeszklone, toteż Valentine często wzdrygała się zaskoczona widokiem potężnej, zbyt wielkiej, zbyt szerokiej i natrętnej panoramy Los Angeles, z Oceanem Spokojnym daleko na horyzoncie. Valentine była typem kota ze śródmiejskiego zaułka i w obliczu tak ogromnej, świetlistej i pustej przestrzeni czuła się jak gość z obcej planety. Była też jednak iluzjonistką i prestidigitatorem pierwszej wody, więc kiedy z Nowego Jorku nadeszły wreszcie jej meble, te same, które pięć lat wcześniej wysyłała statkiem z Paryża, użyła całego talentu wywoływania duchów, aby odtworzyć atmosferę zaginionej epoki. Efekt był szczególnie uderzający w nocy, kiedy Valentine zamykała nowe, białe, drewniane okiennice, zaciągała różowo - białe zasłony z powiewnej tkaniny w tradycyjny wzór de Jouy - stare, wypłowiałe już doszczętnie - i zapalała lampy o czerwonych abażurach. Starą kanapę i głębokie fotele kazała na nowo obić staromodną wzorzystą tkaniną Boussaca o biało - zielonym motywie, który przypominał jej Normandię, podłogę natomiast przyozdobiła jedynym szaleńczym nabytkiem w postaci bardzo starego, prześlicznie spłowiałego dywanu w kwiaty. Nowa kuchnia biła na głowę prowizoryczną kuchenkę w Nowym Jorku, zwłaszcza że Valentine zrobiła rajd po sklepie Williamsa Sonoma w Beverly Hills, nadając i temu wnętrzu doskonale francuski charakter. Pełno było w nowej kuchni błyszczących rondli i glinianych mis, druczianych trzepaczek, miedzianych patelni i ciężkich naczyń z białego fajansu o niebieskich krawędziach. Josh, któremu nie w smak była niezależność Valentine, również obsypywał ją prezentami, o których wiedział, że nie zostaną odrzucone:

doniczkowymi roślinami i litografiami, których naznosił tyle, że wewnątrz okazało się zbyt ciasne. Grafiki zdobiły więc wszystkie ściany od podłogi do sufitu, nawet w kuchni.

Mimo szklanych ścian z widokiem na wszystkie strony, Valentine przyzwyczała się do nowego mieszkania, które znakomicie odpowiadało jej potrzebom. Była pewna, że nikt nie domyśla się nawet, dlaczego wybrała sobie takie właśnie lokum. Billy była zresztą zbyt pochłonięta małżeńskim szczęściem, by zwracać uwagę na innych, a żona Josha nie dostrzegała nic podejrzanego w fakcie, że jej mąż trzy wieczory w tygodniu spędza w pracy. Nareszcie przyniósł owoce wieloletni nawyk przesiadywania w biurze do późna. Co do Elliotta, ha! - raz prawie już się czegoś domyślił, ale dał się zwieść. W wieczór, kiedy Valentine ustawiła resztę sprzętów i zanurkowała z Joshem do łóżka, portier zadzwonił z dołu i obwieścił, że przyszedł pan Elliott. Ogarnięta paniką Valentine przeprosiła, tłumacząc, że jest już w łóżku i kona ze zmęczenia, lecz nazajutrz rano Spider przyglądał się jej bardzo podejrzliwie.

- W łóżku, Valentine? O wpół do ósmej wieczorem? Zresztą czy to jest powód, żeby mnie nie wpuścić na górę? Nie pierwszy raz oglądałbym cię w pościeli.

- I właśnie o to mi chodziło - wyjaśniła, szmaragdowymi oczami posyłając Spiderowi kamienne spojrzenie. - Odnosisz się do mnie bez szacunku. Poczciwa Valentine, och, wpadnę do niej zobaczyć, co tam upichciła na kolację. Wybacz, Elliott, ale nie jestem twoją siódmą siostrą!

- Ejże, Val, jak możesz w ogóle tak mówić? Flaki mi się wywracają! Zawsze cię szanowałem, a poza tym jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- Też coś! - Valentine potrząsnęła grzywą płomiennych loków, by nie

patrzeć na urażoną twarz Spidera. - Nie ma czegoś takiego jak czysta przyjaźń między mężczyzną a kobietą. Wyobrażasz sobie może, że nikomu nie przyjdzie do głowy, co o tym myśleć? Wszyscy wezmą mnie za kolejną twoją flame, kolejną panienkę ze słynnej parady, a ja nie życzę sobie, by o mnie tak myślano, Elliott, szczególnie teraz, kiedy siedzimy sobie nawzajem w kieszeni. Wystarczy już, że dzielimy ten gabinet i biurko, na miłość boską.

- Ale rzadko kiedy zaglądam do tego gabinetu, a ty masz dla siebie całą pracownię, Valentine. Zresztą, jeśli chcesz, znajdę sobie jakieś inne miejsce, żeby postawić biurko - dokończył Spider, oszołomiony zupełnie, tak jak gdyby Valentine rzuciła się na niego z za temperowanym ołówkiem. - Nic się nie martw, nie będę więcej przychodził do ciebie bez zaproszenia. Chciałem ci tylko przynieść upominek na dobry początek i pokazać, jaki zabawny list dostałem od wielbicielki. Bo mam już pierwszą wielbicielkę.

- Nie zaperzaj się tak, Elliott. Po prostu wolałabym, żebyś zawsze zadzwonił, nim wpadniesz - wyjaśniła pospiesznie Valentine, porzucając urażoną pozę. Posunęła się trochę za daleko, tym bardziej że Spider pod maską prawdziwego mężczyzny okazał się śmiesznym dzieciakiem. Pogładziła go po ręce.

- Przepraszam cię. Czy po tym wszystkim dasz mi jeszcze ten prezent?

- Zapytaj tego pajaca, swojego portiera. Cholernie ciężki prezent: cała skrzynka szampana. Portier pomógł mi ją zawlec aż do windy. Mam nadzieję, że nie dostał przepukliny i nie zechce się pokrzepić zawartością, bo nic dla ciebie nie zostanie, kiedy wrócisz do domu.

- Bardzo ci dziękuję, Elliott! Wpadnij do mnie wieczorem, wypijemy przynajmniej pół. Co? Nie daj się prosić! - Valentine przekrzywiła rudą głowę i rzuciła przekorne spojrzenie zza zasłony włosów i rzęs. Spider nie mógł się oprzeć refleksji, że jakimś cudem - ciekawe, przy jakiej okazji? - Valentine posiadała sztukę flirtu. Zapalczywa małpa!

- Jeśli będę miał czas, to wpadnę.

- Spróbuj. Chcę ci pokazać nowe mieszkanie. A o czym był ten śmieszny list?

- A, list! Napisała do mnie taka jedna, której zrobiłem za darmo zdjęcia w Nowym Jorku, pamiętasz? Ta, która się przedstawiała jako Landrynka? Zobaczyła nasze zdjęcie w poprzednim numerze *People*, tym z reportażem ze *Scruples*, i rozpoznała mnie. Píše, że moje zdjęcia otworzyły jej drogę do kariery, bo dzięki nim otworzyła własny interes. Wybrała najlepsze i przerobiła je na ulotki reklamowe. Sama popatrz! Numer telefonu i wszystko. Powinienem zażądać od niej procentu z zysków. Valentine zerknęła na fotografię i szeroko otwarła oczy.

- Powiem ci, Elliott, że w porównaniu z nią wyglądam jak chłopiec. Wolę twoje listy od wielbicielek od swoich. Napisał do mnie ten łobuz Prince, bardzo się cieszy, że tak mi się udało. Facet ma straszny tupet, co? Elliott, powiedz, że przyjdiesz do mnie dziś wieczorem!

- Jasne, że przyjdę.

Rzeczywiście przyszedł i jak w dawnych czasach został na kolację. Wszystko było jak kiedyś, ale Valentine zdawała sobie sprawę, że od tajnego romansu z Joshem dawna przyjaźń przybrała inną postać. Nie licząc szczegółów przejść z Alanem Wiltonem była to pierwsza rzecz, jaką Valentine uznała za stosowne ukryć przed Elliottem. Jak się okazało,

decyzja ta w subtelny sposób zmieniała ich stosunki. Nawet w drobnych sprawach Valentine stała się dziwnie powściągliwa, ostrożna i skryta, a w dodatku wyobrażała sobie, że nikt tego nie zauważa. Elliott dostrzegął jednak wszystko doskonale - nawet nowe, podwójne łóżko w sypialni przyjaciółki.

Pod koniec wieczoru Valentine poczuła w głowie dziwną pustkę i początki okropnego przygnębienia. Logika podpowiadała jej, że tego rodzaju poczucie jest w jej sytuacji wręcz nieuniknione. Nie da się mieć wszystkiego naraz. Z czegoś trzeba zrezygnować, zwłaszcza że Josh wart był takiego poświęcenia. Na wspomnienie kochanka Valentine pojaśniała, otulając się myślą o nim jak ciepłą kołdrą, pod którą w razie potrzeby można zanurkować wraz z głową. Jednocześnie zamartwiała się, że Josh nie będzie jej chciał zabierać do najlepszych restauracji w obawie, że ktoś ich rozpozna. Jedli zwykle w 94 Dywizjonie albo w mniej znanych knajpkach w San Fernando, najczęściej zaś Valentine gotowała sama. Mniej więcej raz na miesiąc udawało im się spędzić sobotę i niedzielę bez wyściubiania nosa z mieszkania. Josh obawiał się serio, że Valentine szybko znuży taka sytuacja, ale okazało się, że znakomicie ją urządza brak otwartej umowy między nimi. Po raz pierwszy w dwudziestopięcioletnim życiu żyła w trwałym związku z mężczyzną i nie miała najmniejszej ochoty wystawiać swojej nowej zabawki na widok publiczny czy usankcjonować romansu, rozpowiadając o nim wśród osób trzecich. Miłość do Josha była tym wspanialsza, że ukryta, jak sekretny ogród, rozkwitający pośród zgiełku miasta.

Pokłócili się tylko raz, kiedy Josh całkiem serio zaproponował, że będzie płacił czynsz za apartament Valentine.

- *Ah, ça jamais!* - wrzasnęła nieoczekiwanie Valentine, tak wściekła i zaskoczona, że przeszła na francuski. - Co ty sobie wyobrażasz, do cholery?! Może dawniej panowie utrzymywali w mieście kochanki, ale ja jestem niezależna i mam swoje życie. Więcej mi nawet nie wspominaj o takich propozycjach!

Skonsternowany Josh pochylił głowę. W grymasie bólu napięła mu się skóra na wysokich, słowiańskich kościach policzkowych.

- Valentine, moja ukochana, tak cię przepraszam! Pierwszy raz w życiu coś takiego powiedziałem i myślałem... Jakie to głupie z mojej strony...

Valentine objęła jego pochyloną głowę i przytuliła rozdmuchując oddechem krótko przystrzyżone, ciemne, siwiejące włosy. Pocałowała go w posmutniałe usta zauważając:

- Pewnie sobie wyobrażałeś, że tak się powinno postąpić. Wyczytałeś to w swoich książkach prawniczych? Czy na Harvardzie uczą prawidłowych metod proceduralnych romansu? Gdzie podziało się twoje poczucie przygody, Josh? Pewnie nie mieliście z tego zajęć na uniwersytecie. Musimy wszystko odrobić, i to zaraz!

Kilka dni później, gdy tylko dostała wreszcie kalifornijskie prawo jazdy, wiedzona nieoczekiwaną ciekawością przejechała swoim nowym małym renault przed domem Josha Hillmana na North Roxbury Drive. Dom stał na narożnej parceli, a zza wysokiego muru widziało się ogrodzenie kortu tenisowego i wierzchołki wysokich drzew. Fasada z bielonych cegieł głośiła wszem i wobec, że właściciel domu to osoba zamożna i stateczna, a setki kwitnących krzewów różanych wokół posiadłości i ścieżka do drzwi frontowych kazały się domyślać, że o

posiadłość codziennie troszczy się co najmniej dwóch ogrodników. Valentine zupełnie nie potrafiła połączyć tego domu z Joshem, którego znała, a tym bardziej ze sobą. Domostwo wyglądało tak, jak gdyby trwało na swoim miejscu od lat i miało do tego pełne prawo tak oczywiste, że Valentine nie umiała sobie wręcz wyobrazić, że jego właściciel mógłby mieszkać gdziekolwiek indziej.

Nigdy więcej nie wybrała się już pod dom Josha. Otrząsnęła się ze wspomnień i zaczęła przygotowania do najbliższego weekendu. Ponieważ zbliżał się 4 lipca i Święto Niepodległości, Jacob Lace zaprosił ją na coroczne gigantyczne przyjęcie. Billy i Spider również otrzymali zaproszenia, ale mieli inne plany na ten dzień. Valentine nie potrafiła natomiast odmówić, mimo że aby wziąć udział w przyjęciu, musiała przelecieć pięć tysięcy kilometrów w jedną stronę. U Jacoba Lace'a miała się spotkać cała czołówka świata mody, a Valentine, odkąd dzięki posiadaniu w Scruples stała się niekwestionowanym członkiem tej grupy, marzyła o wypadzie do Nowego Jorku, gdzie mogłaby ocenić swoją pozycję wśród reszty towarzystwa.

Odkąd w listopadzie 1976 roku wycofała się z zawodu Miss Stella z magazynu mody I. Magnin, Valentine stała się jedyną w USA projektantką mody szyjącą na indywidualne zamówienia klientek wielkiego sklepu. Wprawdzie Scruples nie był domem towarowym (a nowojorski Bergdorf kopiował niektóre oryginalne kreacje projektantów paryskich), lecz pracownie domu mody Billy Ikehorn, zasilone przez szwaczki, krojczynie i pomocnice zwolnione z i. Magnin po odejściu Stelli, tętniły życiem. Z całego zachodniego wybrzeża napływały zamówienia od pań, dla których słowa: „Odzież gotowa” - brzmiały jak nieprzyzwoity epitet. Billy miała

całkowitą rację mówiąc, że pracownia haute couture przysporzy Scruples mnóstwo prestiżu. Okazało się ponadto, ku radości Valentine, że pracownia potrafi na siebie zarobić, a nawet przynosi zyski. Valentine mogła sobie pogratulować, że nie uległa Billy i nie zrzekła się procentu od dochodów sklepu.

Wraz z nią na przyjęcie do Lace'a wybierał się Josh Hillman. Nie pytała nawet, w jaki sposób zdołał uzyskać zaproszenie i co powiedział żonie. Uparł się, że będzie towarzyszył Valentine i tłumaczył jej, że - inaczej niż w restauracji - w tak ogromnym tłumie nikt nie zorientuje się, że przyjechali razem. Poza tym na imprezie u Lace'a nie postawił nigdy nogi żaden dziennikarz.

Dobry humor psuła Valentine jedynie perspektywa pakowania się. U kobiety, która zawodowo zajmuje się komponowaniem damskiej garderoby od początku do końca, może dziwić jaskółczy niepokój, pojawiający się, gdy przychodzi pakować własną walizkę. Nie dalej jak poprzedniego dnia Valentine wyekspediowała jedną z klientek Scruples z kompletem ubrań, które miały jej znakomicie wystarczyć podczas podróży obejmującej wyspy na Morzu Egejskim, konferencję w Oslo i ślub jednego z kuzynów brytyjskiej rodziny królewskiej w Londynie. Valentine zaprojektowała dla klientki kreacje, które przy całej niesłychanej elegancji doskonale mieściły się w dwóch walizkach. Spojrzała teraz jeszcze raz na suknię, jaką sobie przygotowała na przyjęcie u Lace'a, a składającą się z jasnozielonkawego, szyfonowego stanika z zakładkami, rękawami i dekoltem odsłaniającym ramiona, i z sutej spódnicy z ośmiu osobnych warstw jasnoliliowego szyfonu, z zieloną, aksamitną szarfą koloru oczu właścicielki. Owszem idealny strój na *fête champêtre*, ale w jaki sposób

coś takiego zapakować? Elliott, nowy dyktator mody, odpowiedziałby Valentine natychmiast: „Oczywiście w osobną walizkę”.

Kiedy Valentine zajęta była pakowaniem, Spidera Elliotta pochłaniały zupełnie inne sprawy: z nie zgłębionej przyczyny poczuł, że zapada w ponury nastrój. Prędzej już spodziewałby się pryszczu na siedzeniu niż chandry, która dotychczas była nastrojem całkowicie mu obcym. Wyciągnął się więc nad brzegiem basenu z pełną szklanką czegoś mocniejszego w dłoni - jak przystało na piątkowy wieczór - i postanowił rozweselić się wyliczaniem własnych przewag.

Na przykład mógł być dumny z dopiero co wynajętego domu, który stał tuż za rogiem Doheny Drive, na północ od Bulwaru Zachodzącego Słońca, w ślepej uliczce, którą łatwo było przegapić z samochodu. Wnętrze w wybitny sposób uzmysławiało, jak wspaniale może ułożyć sobie życie mężczyzna nie obciążony żoną ani dziećmi. Właściciel, a zarazem poprzedni lokator, znany reżyser filmowy i ojciec dziewięciorga dzieci, przeprowadzając się tam po kolejnym, piątym rozwodzie, poprzysiągł sobie, że będzie mieszkał sam, nie przestrzegając przy tym ani trochę ślubów czystości. Kawalerski styl życia reżysera w najpełniejszy sposób znamionowała otoczona donicami z roślinnością wanna z masażem wodnym, czyli jacuzzi, umieszczona w kącie dwupiętrowego salonu. Spider domyślał się, że wanna albo nie spełniała zadania, albo też za którymś razem spełniła je za dobrze, bo reżyser niedawno ożenił się po raz szósty, a nowa wybranka odmówiła zamieszkania w domostwie, z którego bije tak oczywista aura zakazanych zabaw i przyjemności.

Przyjemności i zabawy, pomyślał ponuro Spider. Czy ludzie rzeczywiście się przyjemnie bawią, czy tylko sami siebie oszukują? Ze

wściekłą miną powrócił do swojej listy osiągnięć. Scruples stał się jako dom mody największym przebojem w całej branży i zawdzięczał to nie komu innemu, jak właśnie jemu, Spiderowi. Hip hip hurra! dla Billy Ikehorn Orsini, właścicielki. Wszystkie kobiety z Beverly Hills i z miejscowości na wschód, północ i południe od Beverly Hills ściągały tłumnie do sklepu, dobijając się o względy Spidera, który miał im powiedzieć, w jaki sposób mogą przyjrzeć się sobie z zewnątrz. Dyktator mody stał się naraz dla nich wszystkich ważniejszy od fryzjera, lekarza pielęgnującego domowe roślinki, ważniejszy wręcz od trenera tenisa. Hip hip hurra! na cześć pocziwych pań z Beverly Hills. Z biegiem czasu Spider mógł mieć nadzieję, że stanie się im równie nieodzowny jak dobry psychoanalityk albo wręcz chirurg plastyczny. Nie, chirurgowi plastycznemu nie dorówna nikt. Spider pozazdrościł swojej przyjaciółce Valentine, która stawała już na nogi jako znakomity projektant. Pisało się już o niej w WWD, w Vogue i w Harper's Bazaar. Hip hip hurra! na cześć Valentine O'Neill i jej słodkiej małej tajemnicy. Spider nie wiedział, co takiego ukrywa przed nim przyjaciółka - i miał głęboko w dupie jej sekrety, na samym dnie, bo jeśli Valentine woli się zamykać w twierdzy pod strażą drabów w liberiach, jak jakaś gwiazda muzyki rockowej, jest to wyłącznie jej sprawa. Wiecznie wściekła, zepsuta, złośliwa dziewczucha, która może zatrzymać dla siebie swoje francuskie tajemnice. Spider zaczął dziękować niebiosom, że powstrzymały go przed bliższym związkiem z Valentine. Jeszcze jeden powód, by sobie pogratulować.

Zadzwoił telefon, a Spider pospiesznie podniósł słuchawkę przekonany, że to Valentine chce się przed odlotem na bal u Lace'a upewnić, że nazajutrz jej partner sam dopilnuje wszystkiego w sklepie.

Telefon był jednak z biura, gdzie pod nieobecność lokatora telefonicznie można było zostawić dla niego wiadomość. Wiadomości otrzymał Spider tego dnia dwie - pierwszą od Melanie Adams, która chciała tylko powiedzieć: „Cześć”, drugą zaś również od Melanie Adams, która prosiła biuro, żeby wyrzucić jej poprzednią wiadomość do kosza. Ponieważ w biurze nie wiedziano, co zrobić z tym fantem, pozostawiono tę decyzję Spiderowi. Słuchawka powędrowała z powrotem na widełki. Hip hip hurra! na cześć biura. Czy los przestanie kiedyś sypać błogosławieństwami? Spider był jedynym człowiekiem w Hollywood zadowolonym z pracy biura zleceń telefonicznych.

Melanie Adams. Imię tej dziewczyny nie przejmowało go już dreszczem. Wybrał się nawet obejrzeć jej pierwszy film, by się do końca co do tego upewnić. Może powinien się nawet cieszyć z jej sukcesów - choć chyba wymagałoby to od niego zbyt wielkiego wysiłku - ale po filmie wiedział już na pewno, że Melanie potrafi się kochać tylko z kamerą. Już na fotosach wyglądała wybornie, a filmowy geniusz Johna Alonzo uwieczniając grację jej ruchów przydał jej jeszcze urody.

Od mniej więcej dwóch tygodni Melanie dzwoniła regularnie do Spidera, zawsze wtedy, kiedy była pewna, że go nie zastanie w domu. Kiedy na linii włączało się biuro usług, zostawiała nic nie znaczącą wiadomość, a później dzwoniła i odwoływała w biurze swój poprzedni telefon. Spider nie miał pojęcia, co Melanie chce osiągnąć przez tę chorą, dziecięcą grę, ale nie miał zamiaru dać się wciągnąć i nigdy nie odwzajemnił telefonu. Czy rzeczywiście upłynął dopiero rok od lipcowego wieczora, kiedy wybrali się obydwój na przyjęcie do Jacoba Lace? Spiderowi wydawało się, że minęło dziesięć razy tyle czasu. Tym razem z

okazji 4 Lipca dostał pięć różnych zaproszeń i zdecydował, że odwiedzi wszystkie imprezy po kolei. Jeszcze chwila roztkliwiania się nad sobą, a postanowi utopić się razem ze wszystkimi osiągnięciami we własnym basenie.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem Spider odebrał dopiero po szóstym sygnale.

- Spider? - Wszędzie rozpoznałby ten głos, głos o odcieniu gorącego lodu, przywołujący widmo rozpustnej, diabelsko niewinnej piękności z Południa. Nie odpowiedział ani słowem.

- Spider? - powtórzyła Melanie. - Spider? Wiem, że to ty, a nie biuro, tamci odpowiadają od razu.

- Cześć, Melanie! No, to do widzenia, Melanie!

- Nie odkładaj słuchawki! Proszę cię! Pozwól mi chwilę z tobą porozmawiać. Myślałam o tobie od dawna, Spider, ale nie miałam odwagi zadzwonić do ciebie, kiedy mogłam zastać cię w domu.

- Po coś się w ogóle fatygowała?

- O mój Boże. Dobrze wiem, dlaczego jesteś taki opryskliwy, i świetnie cię rozumiem. Nigdy sobie nie wybaczyłam, że napisałam do ciebie taki list...

- Coś podobnego.

- Nie, proszę, daj mi wszystko wytłumaczyć. Napisałam tak, bo się bałam. Naprawdę, skłamałam ci w tym liście. Wszystko było zupełnie inaczej, ale tak się bałam do ciebie przywiązać... Och, Spider, nie mogłam sobie po prostu dać rady z tym wszystkim. Tak się bałam, że musiałam tak okropnie postąpić...

- Naprawdę nic mnie to nie obchodzi, Melanie. Wszystko jest

świetnie, nie mam żalu, cześć.

- Czekaj! Proszę, poczekaj. Muszę się z tobą zobaczyć, Spider. Tylko ty jeden mnie naprawdę kochałeś, muszę z tobą porozmawiać... Naprawdę muszę się z tobą spotkać.

- Jak to, a twój dyrektor cyrku, Wells Cope? Cope cię nie kocha? - zapytał Spider, wyzywając samego siebie od idiotów za kontynuowanie tej beznadziejnej rozmowy. Nigdy jednak nie słyszał w głosie dziewczyny tego żebrzącego tonu. Melanie była zawsze daleka, nieosiągalna, nierzeczywista. Jedną ręką przywoływała go do siebie, drugą odpychała.

- Wells? Na pewno nie w ten sposób. Na pewno rozumie miłość zupełnie inaczej niż ty. Jestem taka samotna, Spider. Proszę cię, spotkaj się ze mną.

- Nie, Melanie. To głupi pomysł. Zostanie nam tylko niesmak. Nie mamy sobie zupełnie nic do powiedzenia.

- Spider, Spider... - Przez telefon dał się słyszeć płacz. Spider miał słabość do wszystkich kobiecych pomysłów, a już płacz budził w nim prawdziwą burzę braterskich uczuć. Za mocno kochał niegdyś Melanie, by odwrócić się od niej w tej chwili. Tak przynajmniej sobie teraz powtarzał, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że w rzeczywistości po prostu wciąż nie potrafi Melanie niczego odmówić.

- Będę tu jeszcze przez godzinę, Melanie, więc jeśli chcesz wpaść na parę minut, wpadaj, ale nic poza tym. Niedługo muszę się pokazać na plaży.

- Powiedz mi tylko, jak do ciebie dojechać, zaraz będę. Och, Spider, dziękuję ci... - Kiedy Melanie kończyła zapisywać wskazówki na temat drogi, po policzkach nadal ściekały jej łzy, lecz gdy odłożyła słuchawkę,

na jej ustach zaczął się pojawiać mały uśmiezek satysfakcji.

* * *

- Jutro - oznajmił z głębokim zadowoleniem Vito - wracam do roboty.

Billy roześmiała się z tego żartu. Dopiero poprzedniego dnia dotarli wreszcie do jej siedmiohektarowej posiadłości w Holm - by Hills i większość dnia spędzili odsypiając różnicę czasów. Nie zdążyli się nawet jeszcze rozpakować, przynajmniej Billy, która uświadomiła sobie, że nie zdążyli też jeszcze wziąć ślubu.

- Szkoda, że z samego rana nie złapałem za telefon - ciągnął Vito, spacerując nerwowo wokół ich wielkiego łóża z baldachimem, obwieszzonego roślinnością i stojącego pośrodku trzydziestopięciometrowej sypialni. - Tych skubanych scenarzystów nigdy nie można w niedzielę zastać w domu. Na pewno specjalnie wypuszczają się w morze na tych swoich jachtach, żeby nie odbierać telefonów. Przecież wiem, że nie znoszą oceanu.

Billy wstała z łóża i naga podeszła do Orsiniego, który stał zasepiony przy jednym z wielu okien magicznej komnaty, nie zwracając najmniejszej uwagi na okolony murem, angielski ogród w dole, ani na rozciągające się za ogrodem zagajniki pełne krętych ścieżek i polnych kwiatów, sięgające aż do wiktoriańskich szklarni wzorowanych na angielskich oranżeriach w Kew. Billy objęła Orsiniego i przytuliła się piersiami do jego torsu, zaglądając w głęboko osadzone oczy, w których za tęczęwkami migotało złote światło. Kiedy stali boso, Vito był tylko o pięć centymetrów wyższy od Billy, która mogła nareszcie udawać, że są parą bliźniaków. Potarła nosem o jego nos. Jakim cudem mężczyźni o małych nosach mogą w

ogóle oddychać? Billy z największą powagą przyjrzała się narzeczonemu, bezskutecznie usiłując mu przy tym rozczochrać gęste, kręcone włosy.

- Nie żartujesz - zorientowała się wreszcie.

- I tak zaczynam już „łapać” spóźnienie. Rany boskie, już prawie koniec maja. Nie później niż w lipcu muszę rozpocząć zdjęcia, mam więc tylko czerwiec, żeby napisać scenariusz, znaleźć reżysera, obsadzić wszystkie role, wytrzasnąć dobrego operatora...

- A gdybyś nie zaczął zdjęć do września albo października? Jaka to różnica?

- Jaka różnica? - Vito był niezmiernie zaskoczony tym pytaniem, lecz na szczęście przypomniał sobie, że istnieją ludzie, którzy nie do końca znają się na kręceniu filmów.

- Kochana moja, śliczna Billy, przecież ja mam kręcić historię o miłości. Film musi się znaleźć w kinach przed sezonem gwiazdkowym i ani dnia później.

Billy wciąż nic nie rozumiała.

- Pomyśl, Billy, idzie gwiazdka, wszystkie dzieci siedzą w domu, uczniowie mają ferie, studenci przerwę świąteczną, są wakacje, wszyscy więc chcą iść do kina. Kto najczęściej ogląda takie filmy? Właśnie dzieciaki, młodzi, najwierniejszy rodzaj publiczności.

Billy zrobiła mądrą minę.

- Oczywiście. Tak, to, co mówisz, ma sens. Że też od razu na to nie wpadłam. Oczywiście, okres świąteczny. Ale, Vito... Co będzie z naszym ślubem? Planowałam, żebyśmy go wzięli w piątek, ale skoro masz być zajęty...

- Nie, nie, nic się nie martw. Powiedz mi tylko, o której i gdzie.

Poprzesuwam wszystkie spotkania, będziemy mieli dla siebie mnóstwo czasu, ale... Może załatw wszystko tak, żebyśmy go wzięli dopiero po wpół do siódmej wieczór, co, kochanie?

Podczas mających nadejść tygodni i miesięcy Billy, która posiadała nareszcie źródło informacji o branży filmowej, miała się dowiedzieć o kinematografii znacznie, znacznie więcej niż w ogóle miała na to ochotę.

* * *

Francuska powieść *Les miroirs de printemps* po zakupieniu przez Orsiniego praw do ekranizacji zmieniła tytuł na *Mirrors*, czyli *Zwierciadła*. Przy budżecie w wysokości 2,2 miliona dolarów film miał należeć do kategorii „małych” produkcji, sytuujących się w strefie pośredniej między „wielkimi” obrazami o budżecie od 8 milionów wzwyż, które od ewentualnej klapy chroni plejada grających w nich gwiazd, i filmami niskobudżetowymi, kręconymi za grosze, czyli sumy poniżej miliona dolarów. Te ostatnie filmy kręci się z myślą o szczególnej widowni, fanatykach, którzy nie zważając na nic regularnie odwiedzają najbliższe kino, by delektować się na ekranie pościgami samochodowymi i historiami o modelkach albo wampirach.

W charakterystyczny dla siebie sposób Vito zachwyił się pomysłem, który naruszał wszystkie uświęcone - choć może nie święte - zasady, jakie wyznaje się w jego branży. Przy budżecie rzędu 2 milionów dolarów nie było mowy o tym, by zagrała dla Orsiniego któraś z gwiazd. Był to jednak znakomity materiał na scenariusz i determinacja, by zrobić z książki pierwszorzędnny film, kazały Orsiniemu szukać jak najlepszego scenarzysty, reżysera i operatora. Przez słowo „najlepszy” Vito Orsini rozumiał to samo, co Harry Winston przez określenie „piękny diament”.

Najlepszy - znaczy nieskazitelny.

Podczas powrotnego lotu z Paryża Vito sporządził na własny użytek krótką listę specjalistów, o których chciał się starać: reżyserem miał zostać Fifi Hill, autorem scenariusza Sid Amos, a kamerzystą Per Svenberg. Hill brał w ostatnim czasie 400 tysięcy dolarów od filmu, Amos nie zgodziłby się pracować za mniej niż 250 tysięcy, a Svenberg, którego Vito potrzebował przez siedem tygodni, brał za jeden tydzień 5 tysięcy. Talenty całej trójki mogły więc łącznie kosztować Orsiniego 685 tysięcy dolarów. Vito tymczasem chciał pozyskać wszystkich trzech za 300 tysięcy i procent od swoich ewentualnych zysków z filmu. Nadeszła pora, by poprosić o zwrot rozmaitych starych długów i zakreślić się wokół niektórych osób. Najwyższa pora, by Vito Orsinemu odwróciła się karta.

Pierwszym rozmówcą Vito był Sid Amos, scenarzysta znany z fenomenalnego tempa, a przy tym idealny autor scenariusza historii miłosnej.

- No wiesz, Vito, pewnie, że chętnie bym ci w tym wszystkim pomógł, pamiętam, co dla mnie zrobiłeś raz i drugi, ale sam wiesz, mam teraz tyle roboty, a na dodatek ten mój zasrany agent wyobraża sobie, że jestem elektryczną maszyną do pisania. Mam dość zamówień na następne trzy lata.

- A ja, Sid, mam w ręku książkę roku. Poza tym mam Fifi i Svenberga i dlatego uprzejmie cię proszę, żebyś powtórzył swojemu agentowi, że podejmujesz się tego zamówienia dla własnego dobra. Nigdy byś sobie nie wybaczył, że w czołówce takiego filmu zabrakło twojego nazwiska. Ta powieść to wspaniały materiał, sam mi tak powiedziałeś. Oczywiście rozumie się samo przez się, że dostaniesz wypłatę gotówką,

nie czekiem, na konto tej twojej firmy w Panamie. 75 tysięcy dolarów, a agentowi i facetom z Urzędu Podatkowego możesz powtórzyć, że zrobiłeś rzecz za darmo, po starej znajomości.

- 75 tysięcy! Żartujesz sobie. Bardzo brzydko sobie żartujesz, Vito.

- Plus pięć procent mojego udziału w zyskach.

- Siedem i pół procent. I pamiętaj, robię to tylko na złość Urzędowi Podatkowemu i po to, żeby zobaczyć, jaką minę zrobi mój agent.

Pierwsza przeszkoda wzięta. Jeszcze dwie.

Osiem lat wcześniej, kiedy Fifi Hill był zupełnie nie znany i niedoświadczony, właśnie Vito powierzył mu reżyserię pierwszego filmu. Dzięki temu Fifi mógł wreszcie odnieść sukces, za którym potoczyły się następne. Vito nie łudził się jednak co do przemożnej mocy wdzięczności, która jest w Hollywood czymś jeszcze mniej popularnym niż dziewictwo. Wiedział natomiast, że Fifi od zawsze marzył o nakręceniu filmu wspólnie z Perem Svenbergiem. Na razie producent nie zamienił jeszcze słowa ze słynnym kamerzystą, ale obiecał reżyserowi, że uda mu się nakłonić Szweda do współpracy.

- Jeśli okaże się, Fifi, że ze Svenberga nici, możesz zapomnieć o całej umowie.

- Powiedziałeś, że 125 tysięcy i ile procent?

- Dziesięć.

- Dodaj jeszcze dwa i pół. No i Svenberga.

Wszyscy operatorzy filmowi żywią zapiekłą i jakże uzasadnioną pretensję do całej reszty przemysłu filmowego - a już szczególnie Per Svenberg. Jego sława nie wykraczała poza krąg fachowców i chociaż krytycy na wyprzódki porównywali jego warsztat z malarstwem

Vermeera, Leonarda czy Rembrandta, oprócz zagorzałych kinomanów żaden przeciętny widz nie znał jego nazwiska. Vito wiedział, że Svenberg odda wszystko, byle tylko rozślawić własne imię. Obiecał więc tyczkowatemu Szwedowi, iż na każdej reklamie, fotosie i w każdym artykule na temat filmu znajdzie się wielki napis: „Reżyser światła: Per Svenberg”. Dzięki temu operator zgodził się kręcić *Zwierciadła* za dwa tysiące dolarów tygodniowo. Wytwórnia miała do samego końca użerać się z Orsinim na temat tejże obietnicy, której producent nie miał prawa dawać, ale trudno. Żeby coś osiągnąć, trzeba się najpierw napocić.

Po miesiącu zażartych negocjacji Vito uznał, że kluczowe elementy całego przedsięwzięcia udało mu się dopiąć na ostatni guzik. Dogadał się też z wytwórnią na temat własnego honorarium. Chociaż normalnie otrzymałby jako producent tej klasy 250 tysięcy dolarów, ze względu na niski budżet filmu zadowolili się kwotą 150 tysięcy. Na jednej z mnóstwa fiszek rozsypanych po całym domostwie Billy, jak tysiące papierowych wskazówek w grze w poszukiwanie skarbu, Vito zanotował sobie w przybliżeniu wysokość pozostałych kosztów produkcji: gáže dla aktorów i ekipy filmowej, opłaty biurowe (w tym koszty każdej rozmowy telefonicznej i każdej kartki z kserokopiarki), wynajem wnętrza i rekwizytów, transport na zdjęcia plenerowe i z powrotem, koszty utrzymania całej ekipy, koszty dekoracji, garderoby i charakteryzacji, a po nich najbardziej ponurą pozycję w postaci 25 procentowego narzutu dla wytwórni. Do tego wszystkiego dochodziły jeszcze odsetki za kwoty wykraczające poza budżet i 10 - procentowy zapas na nieprzewidziane wydatki. Chociaż tak zasadnicze pozycje, jak koszty scenariusza, reżyserii, produkcji i zdjęć, nie przekraczały 300 tysięcy, cały kosztorys rozrósł się

do sumy 2 milionów dolarów, z dokładnością do plus minus 200 tysięcy. W filmie poprawki czyni się zawsze na plus, nigdy na minus.

Vito uznał, że przy takim budżecie da już sobie radę, pod warunkiem że wszystko, ale to absolutnie wszystko, potoczy się dokładnie według przewidywań.

* * *

Pytanie, w jakim stroju zobaczyć się ze Spiderem, ożywiło Melanie jak żadna z kwestii, jakie przyszło jej rozstrzygać, odkąd ostatni raz stała przed kamerą. Usiłując podjąć decyzję co do stylu, w jakim ma odbyć się konfrontacja, do której pilno jej było od tygodni, Melanie poczuła nagle przyływ erotycznego podniecenia. Z poczuciem radosnej paniki przekopła szafy w gościnnym domku u Wellsa Cope, rozważając i natychmiast odrzucając tuzin rozmaitych wcieleń, od oczywistej nonszalancji, jaką znamionowały džinsy, do prostej, lecz niezmiernie kuszącej sukienki od Jean Muir w najdelikatniejszym odcieniu różu. W ciągu paru minut znalazła jednak coś, co najlepiej odzwierciedlało atmosferę, jaką chciała stworzyć: batystową sukienkę w odcieniu najniewinniejszego błękitu, z okrągłym, bardzo głębokim dekoltem i bufiastymi rękawami, przewiązywaną jasnoniebieską szarfą. Do pełnej iluzji brakowało jeszcze Melanie białego czepeczka, lecz zastąpiła go z powodzeniem błękitna wstążka, wpięta w cynamonowej barwy włosy. Oszczędny makijaż i opalone gołe nogi w sandałkach na niskim obcasie dopełniły całości obrazu. Melanie wyglądała teraz na istotę prostą, dziecinną, nie zepsuta, a nade wszystko bezbronną. Kiedy jechała do Spidera, poczuła, że trzęsą jej się ręce ściskające kierownicę. Nareszcie, nareszcie coś się wydarzy.

Niezadowolenie Melanie Adams znalazło początek wkrótce po ukończeniu zdjęć do jej pierwszego filmu. Przez wszystkie dni na planie żyła w stanie natchnienia. Cudownie było zbudzić się rano wiedząc, że cały dzień pochłonie gra przed kamerą. Swoje nowe poczucie szczęścia i wewnętrznej zgody Melanie przypisywała temu, że najwidoczniej urodziła się, żeby być aktorką, a teraz nareszcie odnalazła swoją życiową misję. Dziwny, niewytłumaczalny lęk, który odczuwała dotąd przez całe życie, musiał być najwidoczniej echem podświadomych poszukiwań tej właśnie, jedynej drogi życiowej. Po zakończeniu zdjęć, w trakcie zwyczajowego przyjęcia, Melanie nadal trwała w swojej roli, rozmawiając z nieśmiałą naiwnością dziewczyny, którą przyszło jej grać przez ostatnie dni. Wokół niej zaś inni aktorzy z radością wracali każdy do własnego ja, starając się zapomnieć, że w ogóle grali w jakimś filmie.

Następnego ranka Melanie ogarnęła czarna rozpacz. Zabrakło nagle wytwórni filmowej, zabrakło wokół niej charakteryzatorów i garderobianych, czekających na jej wejście. Nie było już reżysera, z którym można by omawiać szczegóły roli, a co najgorsze - zabrakło kamery, jedynej kotwicy całej egzystencji. Wells Cope oznajmił natomiast, że jest to zupełnie zwyczajna reakcja, ot, przygnębienie, które następuje po każdym długotrwałym twórczym wysiłku. Wszyscy aktorzy i aktorki znają podobne stany. Cope zapewnił Melanie, że depresja wkrótce jej przejdzie, i że długo przed początkiem zdjęć do kolejnego filmu zacznie się dla dziewczyny normalne życie.

- Ale kiedy się zaczną... Te nowe zdjęcia?

- Melanie! Odrobinę rozsądku, dziewczyno. Mam przed sobą ciągle długie miesiące pracy. Jeszcze się namęcę, zanim skończę ten film, a w

dodatku, nawet kiedy już będzie gotowy, wypuszczę go dopiero, gdy nadejdzie właściwy moment. Muszę najpierw znaleźć dla niego dostęp do najlepszych sieci kinowych. Nie prowadzę firmy, która zajmuje się filmowaniem Melanie Adams! Chodzi o to, żeby cię wykorzystać w taki sposób, abyś mogła stać się wielką gwiazdą, a na razie bardzo ci jeszcze do tego daleko. Uważam, że trzeba dążyć do takiego celu powoli i stopniowo. Najgorszą rzeczą byłoby przyzwyczaić widzów do ciebie. Wystąpisz w nowym filmie dopiero wtedy, kiedy znajdę coś zupełnie specjalnego. Owszem, szukam, codziennie czytam scenariusze, scenopisy i co tam jeszcze, ale na razie nic z tego się nie nadaje. Dlaczego jesteś taka niecierpliwa? Lepiej byś skorzystała z tej przerwy i zabawiła się trochę, umówiła z przyjaciółkami w knajpie, pograła w tenisa albo zapisała się na lekcje baletu, kupiła sobie trochę ciuchów... Wiem, że dalej bierzesz lekcje u Davida Walkera, więc na pewno masz co robić, kochanie - Wells Cope znów pochylił się nad stertą scenariuszy leżącą obok fotela.

Mimo że Cope często przyjmował gości, a każda kobieta spośród starannie odsianego kręgu znajomych z radością umówiłaby się na lunch z jego podopieczną, Melanie nie zadzwoniła do żadnej z nich. Nigdy nie zajmowały jej babskie ploteczki, nawet w szkole średniej. Melanie brakowało daru obcowania z innymi ludźmi. Nie wychodziły jej nawet zupełnie powierzchowne kontakty. Dlatego również jej nowe życie ograniczało się do lekcji u mistrza sztuki scenicznej - skróconych teraz do dwóch godzin dziennie - i do chodzenia na zajęcia z tańca nowoczesnego. A także do czekania. Wiedziała, że wszystko zmieni się, wszystko zacznie się od nowa, gdy tylko jej film trafi na ekrany. Tak przynajmniej sobie obiecywała, choć nie bardzo wiedziała, o jakie „wszystko” jej chodzi.

Uznała jednak, że skoro tak błyskawicznie udało jej się zejść aż tak wysoko, z pewnością los przygotowuje dla niej jakąś cudowną przemianę.

Gdy film z Melanie Adams wczesną wiosną 1977 roku trafił do kin, nie było takiego krytyka, który by się z miejsca nie zakochał w debiutantce. Tak wielkiego triumfu nie znanej dotąd nikomu aktorki nie odnotowano od wielu lat. Każdego spośród pięciu najpoważniejszych krytyków filmowych w całych Stanach Zjednoczonych nie zachwyciło odkrycie, że pozostała czwórka rywali także ochrzciła Melanie Adams w swoich tekstach „nową Gretą Garbo”. Kiedy Melanie czytała te recenzje, nie posiadała się z zachwytem. Wells Cope wydał specjalnie na jej cześć niesamowite przyjęcie - i nic. Nic się nie zmieniło, poza tym że Melanie otrzymała tuziny listów z gratulacjami od osób, które pamiętały ją z dawnych lat. Na wszelki wypadek jeszcze raz przeczytała recenzje ze wszystkich pism Ameryki. Nic się nie zmieniło.

- A czegoś ty się spodziewała? - zdumiał się łagodnie Wells Cope. Była to u niego najgwałtowniejsza emocja, na jaką sobie pozwalał za progiem sali montażowej. - Przecież nie przeżyłaś koronacji. Bój się Boga. Zrobiłaś dopiero pierwszy krok w karierze. W naszej branży udany debiut nie jest czymś aż tak niezwykłym. Jeśli chcesz poczuć, że teraz wszystko będzie wyglądać inaczej, pojedź sobie do Nowego Jorku i porozmawiaj z resztą dziewcząt u Eileen Ford, albo jeszcze lepiej jedź do domu zobaczyć się z rodzicami. W Louisville rzeczywiście będą cię podejmować jak królową, ale tutaj? Najwyżej paru dziennikarzy zgłosi się do ciebie z prośbą o wywiad, może poza tym ktoś rozpozna się w sklepie czy na ulicy, i tyle. Jesteś po prostu nową dziewczyną w miasteczku, Melanie. Zresztą nie wiem, co sobie wyobrażałaś na temat tego, czym aktorki, przynajmniej

te najlepsze, umilają sobie czas między zdjęciami. Powiem ci, co robią: czekają na następną rolę i ćwiczą. Mężatki mogą sobie sprzątać i zajmować się dziećmi, ale poza tym czekają. Jeżeli mają układ w telewizji, biorą stamtąd jakieś drobne występy - i czekają.

- Zawsze mogę wziąć się do robienia na drutach - mruknęła Melanie ze łzami w oczach. Czuła się oszukana i przybita.

- Pierwszorzędny pomysł. Widzisz, sama umiesz dać sobie radę - mruknął z roztargnieniem Wells, podnosząc do oczu scenariusz.

Melanie kilkanaście razy obejrzała w sali projekcyjnej Cope'a film, w którym zagrała. Kiedy nie stała przed kamerą, miała natychmiast wrażenie, że aktorka z filmu to nie ona, a jakaś inna kobieta. Nie umiała się jeszcze raz zidentyfikować, połączyć z postacią z ekranu.

Co więcej, chociaż nadal siedziała w fotelu w sali projekcyjnej, kto mógł jej wytłumaczyć, gdzie się podziała prawdziwa Melanie? Odpowiedzi szukała w lustrze i coraz bardziej marzyła na jawie o tym, by stać się kimś innym. Żałowała, że nie urodziła się piękna jak Glenda Jackson, była też przekonana, że gdyby tylko pozwolono jej się stać od nowa, zbudować siebie samą od samego początku, stałaby się pełna, realna, wszechmocna i wszechpotężna. Ach, gdyby nie ta brzydka skóra i brzydkie ciało... Gdyby wyglądała jak Glenda Jackson, nie musiałaby w ogóle pytać, kim jest.

Ponieważ pierwszy film nie zdołał zaspokoić rozpaczliwej niewiedzy, jaką Melanie czuła na swój temat od najwcześniejszych lat, tym cenniejsze stały się uwagi innych ludzi. Niestety, na Wellsa Cope nie można było tu w ogóle liczyć, bo niezależnie od tego, co mówiła i co robiła, producent zawsze zachowywał anielską cierpliwość, chcąc w ten

sposób okazać Melanie swoją miłość. Życie erotyczne z Wellsem, tak z początku odprężające i delikatne jak sarabanda, w połączeniu z brakiem ciekawości producenta co do podopiecznej sprawiały, że Melanie z dnia na dzień coraz bardziej czuła pustkę istnienia.

Właśnie wtedy zaczęły się jej nieśmiałe telefony do Spidera. Pamiętała, jak bardzo ją kochał, jak gorąco ją o tym zapewniał, jak domagał się od niej poświęceń. Może właśnie w nim kryła się odpowiedź? Spider do końca nie zrezygnował przecież z prób zgłębienia Melanie, poznania do samego końca, kim jest. Może nareszcie będzie jej to umiał powiedzieć?

Melanie dwukrotnie, nieśmiało zastukała do drzwi. Spider otworzył nie od razu. Dziewczyna stała na progu, z całą niewinnością prezentując przed wzrokiem Spidera swą urodę, i spuściwszy oczy czekała.

- Bez tych nonsensownych min, Melanie - odezwał się szorstko Spider. - Nie zachowuj się tak, jakbym miał ci zaraz zatrzaskać drzwi przed nosem. Właż, mamy jeszcze czas się czegoś napić.

- Spider, ty... Ty się zmieniłeś - zauważyła. Spider zapomniał już, jak zniewalający potrafił być ten głos. Pomyślał teraz, że posiadanie takiego głosu powinno być prawnie zabronione pięknym kobietom. Nalał Melanie wódki z tonikiem, przypominając sobie odruchowo, jaki jest jej ulubiony cocktail, a potem wskazał jej miejsce na drugim końcu długiej kanapy w skąpo umeblowanym największym pokoju. Ponieważ na co dzień miał do czynienia z lawiną przedmiotów i rzeczy, wolał mieszkać wśród białych, pustych ścian. Przysunął sobie składane krzesło z płóciennym oparciem i ustawił je w takiej odległości od Melanie, by podkreślić swój dystans do niespodziewanej wizyty. Widząc to Melanie

sama przysunęła się bliżej. Spider musiał to ścierpieć w milczeniu.

Jedynym wyjściem było odsunąć się z całym krzesłem, czego nie zrobił.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi przyjść... - Melanie zamilkła, a potem zaczęła znowu: - Musiałam się z tobą zobaczyć, bo może chociaż ty potrafisz mi wyjaśnić różne sprawy...

- Ja, wyjaśnić?

- Sama już nie wiem, co się dzieje. Dawniej zadawałeś mi tyle pytań na mój temat... Może teraz będziesz umiał mi powiedzieć, co jest nie tak...

- Trafiłaś pod zły adres, księżniczko. Trzeba było się pofatygować do Kanionu Psychoanalityków na Bedford Drive. Czekają tam tuziny facetów, którzy studiowali całe lata specjalnie po to, żeby móc cię zbadać i powiedzieć ci, co jest z tobą nie tak. Na mnie nie licz, bo nie otwieram prywatnej praktyki na kanapce. Jeżeli potrzebna ci porada co do garderoby, służę pomocą, ale w innych sprawach musisz sobie radzić sama.

- Nigdy nie byłeś okrutny, Spider.

- A ty?

- Wiem. - Melanie zamilkła i spojrzała z powagą na Spidera. Z jej oczu zniknął proszący wyraz i kokieteria, co już samo w sobie było sporym artystycznym wyczynem z jej strony. Milczenie przeciągało się. Melanie nie chciała rozdrapywać słowami uczuć Spidera. Wiedziała, że nie jest to konieczne.

- Niech tam! Co ci dolega? Co cię gnębi? Wells Cope? Kariera?

- Nie, nie. Nie o to chodzi. Wells jest dla mnie wspaniały, ale to u

niego normalne, poza tym szuka dla mnie nowej roli, nie mam więc powodu, żeby się skarżyć na niego. Rzecz tylko w tym, że wszystko potoczyło się zupełnie inaczej niż myślałam. Wiesz, Spider? Nie jestem szczęśliwa.

Ostatnie trzy słowa Melanie wymówiła z autentycznym zaskoczeniem, jak gdyby dopiero teraz odkryła ten stan rzeczy i pierwszy raz wyraziła swe uczucia w słowach.

- A ja mam ci pewnie powiedzieć, dlaczego tak jest? - skomentował beznamiętnie Spider, kończąc myśl Melanie.

- Tak.

- Niby dlaczego ja?

- Bo kiedyś byliśmy ze sobą szczęśliwi. Myślałam, że sam pamiętasz, dlaczego. - Melanie emanowała smutkiem, naturalnością i zdziwieniem. Zniknęła gdzieś jej poprzednia tajemniczość - ostatnia rzecz, jakiej się dziewczyna pozbyła w tej rozmowie.

- Wiem tylko, dlaczego ja byłem wtedy szczęśliwy, Melanie. Co do ciebie, zawsze miałem wątpliwości - dodał brutalnie Spider. Nie zależało mu na spóźnionym zwycięstwie.

- Ależ tak. Byłam szczęśliwa. A potem byłam szczęśliwa, że jestem w Kalifornii, szczęśliwa, że kręcę film, a potem... Wszystko się skończyło.

- I dlatego pomyślałaś sobie, że wrócisz do mnie i znowu się poczujesz szczęśliwa, czy tak? - Melanie wstydliwie skinęła głową. - Takich powrotów nie ma. Nie wiesz o tym?

- Na pewno są! Na pewno. Nie bierz mnie za jakiegoś głuptasa. Mnie też wmawiano, że nie da się wejść do tej samej rzeki, ale na pewno nie

dotyczy to wszystkich. My, Spider, na pewno jesteśmy inni. Zmieniłam się, wierz mi, dorosłam, zaczęłam myśleć, nie jestem już ta sama, co dawniej. Tylko z tobą czułam w życiu... Czułam jakiś związek. Proszę cię!

- Spóźnię się przez ciebie na przyjęcie, Melanie. Wstała z kanapy i podeszła do niego. Nie podniósł się z krzesła. Klękła przed nim na gołej podłodze i objęła jego nogi, kładąc mu głowę na kolanach jak zmęczone dziecko.

- Pozwól mi tak pobyć z tobą przez minutę. Zaraz sobie pójde - szepnęła łamiącym się głosem. - Dobrze mi tak, chcę znowu czuć cię koło siebie, po prostu być razem. Nie potrzeba mi prawie nic więcej. - Uniosła głowę i patrząc Spiderowi prosto w oczy jeszcze raz powtórzyła: - Proszę cię.

- O rany! - Spider podniósł Melanie i na rękach zaniósł ją do sypialni. Kiedy ją rozbierał, zaczęła go pospiesznie okrywać pocałunkami, jak gdyby w obawie, że Spider może się jeszcze rozmyślić. Gdy poczuła na nagim ciele jego dłonie i wargi, dotykające wszystkich miejsc, które tak kochał, głośno jęknęła z rozkoszy, a czując między udami jego gorące usta, przez zaciśnięte zęby wypowiedziała trzy słowa: - Dobrze. Dobrze. Dobrze. - Czując, jak Spider w nią wchodzi, westchnęła w przeczuciu spełnienia, całym ciałem reagując na najmniejsze poruszenie mężczyzny. Później leżeli obydwójce wyczerpani, lecz po krótkiej chwili Spider zerwał się i usiadł na krawędzi łóżka, popatrując na leżącą Melanie. Dziewczyna obróciła się ku niemu leniwie i posłała mu uśmiech zadowolenia.

- Och, było mi tak dobrze. Boże, czuję się cudownie. - Mówiąc to Melanie poruszyła palcami u nóg, podłożyła sobie ręce pod głowę i

wydała z siebie westchnienie głębokiej ulgi. Spider był pewien, że tym razem nie ma mowy o przedstawieniu. Zbyt dobrze znał się na kobietach, by nie rozpoznać oczywistej aury seksualnego nasycenia. Uśmiech Melanie przeszedł w grymas triumfu. Pogładziła dłonią nagi tors Spidera i szepnęła:

- Wiedziałam. Byłam pewna. Widzisz, że miałam rację? Możemy się znowu kochać.

- Czy teraz czujesz się szczęśliwa?

- Okropnie szczęśliwa, kochanie. Mój kochany Spider!

- Bo ja nie.

- Co?!

- Jestem zadowolony, jak po doskonałym masażu. Mój kutas mówi, że było mu bardzo miło, ale do szczęścia, takiego prawdziwego szczęścia, bardzo stąd jeszcze daleko. Tańczyliśmy bez muzyki, Melanie! - Widząc w oczach dziewczyny nagłe przerażenie, Spider pogładził jej dłoń. - Przepraszam, że ci to w ogóle mówię, ale czuję się teraz pusty. Pusty i ponury.

- Ale jak to możliwe, skoro potrafiłeś mi dać takie szczęście? - zdumienie w głosie Melanie było najmniej sztucznym tonem, jaki dotąd usłyszał z jej ust.

- To mi już nie wystarcza, Melanie. Nie kochasz mnie przecież, chcesz tylko, żebym ja cię nadal kochał.

- Nie, Spider, przysięgam. Naprawdę cię kocham, daję ci słowo!

- Gdybyś mnie kochała, nie czułbym teraz takiego przygnębienia i pustki. Nauczyłem się wierzyć takim znakom. Kochasz we mnie to, że się dobrze przy mnie czujesz. Kochasz sposób, w jaki tu weszłaś, by mnie

uwieść, uwielbiasz uwagę innych, uwielbiasz, kiedy cię głaskać, kochasz mnie, kiedy cię słucham, kiedy zadaję pytania, kiedy zajmuję się wyłącznie Melanie i jej nieszczęśliwym życiem. Ale czy kochasz mnie samego? Przecież nawet nie zapytałaś, co u mnie słyszeć. Kochasz wtedy, kiedy możesz brać, a nie wtedy, gdy musisz dawać. Może byś naprawdę chciała mnie kochać, ale zupełnie ci to nie wychodzi. - Jak mam cię przekonać? Co mam powiedzieć, żebyś uwierzył?

- Nie przekonasz mnie. Nie rób takiej smutnej miny, kochanie. Nie przekonasz mnie, i tyle.

Melanie spojrzała mu w twarz i zrozumiała, że Spider wie o niej więcej niż ona sama. Potrzebowała tej wiedzy, musiała tę wiedzę zdobyć...

- Spider.

- Daj sobie spokój, Melanie. Nic z tego. - Głos Spidera był nieubłagany i obojętny, a co najgorsze, pobrzmiwała w nim nieklamana ulga. Nawet Melanie potrafiła zrozumieć, że przegrała, przegrała po raz pierwszy w życiu. Światło w jej oczach zgasło tak gwałtownie jak ekran wyłączanego telewizora.

- Ale, Spider... Co ja teraz mam zrobić? - zaszlochała. Przesunął palcem wzdłuż krzywizny jej policzka, od ucha po podbródek, ruchem tak pozbawionym serdeczności, że gorszym niż cios.

- Wracaj do domu, Melanie. Najpiękniejszej dziewczynie świata na pewno trafi się jakaś propozycja.

- Dużo mi z tego przyjdzie!

- Uważaj, żebyś nie zapeszyła, kochanie.

* * *

Valentine i Josh przybyli w chwili, gdy przyjęcie u Jacoba Lace'a nabierało rozpędu. Valentine rozmyślnie zaplanowała tak późne przybycie, nie chcąc się za bardzo rzucać w oczy. Zanurzyli się w tłum i przeszli przez rozległy, pagórkowaty trawnik, napawając się niezwykłym uczuciem, że pokazują się razem publicznie.

Nie znaczy to, że nie zauważono ich obecności. Z miną młodej wiedźmy, lustrującej własne królestwo, w bezwstydnie romantycznej sukni, idąca tanecznym krokiem Valentine wyglądała jak szekspirowska Tytania, królowa wróżek, której brakuje tylko różdżki z iskrzącą się gwiazdą na końcu. Josh, który przywykł oglądać Valentine w czterech ścianach mieszkania, gotującą obiad, pijącą wino, kochającą się z nim, nie wierzył własnym oczom. Czy to naprawdę ta sama osoba ze śmiałością primabaleriny kroczy oto przez ciżbę sławnych, znakomitych osobistości?

Od grupki gości oderwał się nagle niski mężczyzna i podbiegł do nowo przybyłej pary. Nawet nie spojrzawszy na Josha rzucił się w ramiona Valentine, która roześmiała się radośnie i krzyknęła:

- Jimbo!

- Powiniennem ci dać klapsa na gołą pupę, dziewczko. Rozpustnico ty moja! - Słyszając to, Valentine roześmiała się jeszcze głośniej i rozczochrała obcemu mężczyźnie włosy. Josh stał jak wryty. Nie mieściło mu się w głowie, że ktokolwiek na świecie ma czelność zwracać się do Valentine w taki sposób.

- Tęskniliśmy wszyscy za tobą jak wariaci, a już najbardziej Prince, nie, co ja gadam, najbardziej tęskniłem ja. Jak śmiałaś od nas uciec dla jakiejś sławy i pieniędzy? Chyba ci nigdy nie wybaczę. Gdzie twoja wdzięczność, wycirusie? Wysłałaś mi przynajmniej kartkę na święta?

- Nigdy o tobie nie zapomniałam, Jimbo, ale byłam taka zajęta, a zresztą, co ci będę mówić! Przedstawiam ci Josha Hillmana. Josh, to Jimbo Lombardi, jeden z towarzyszy moich nowojorskich zabaw, ale niestety straszny świntuch, ostrzegam.

Obaj mężczyźni wymienili niepewny uścisk dłoni.

- Powiedz mi lepiej, jakie świństwa wyprawiałeś ostatnio szatanie. Kogo udało ci się sprowadzić na złą drogę?

- Tak się składa, że...

- No mów!

- Powiadają wprawdzie, że każda moda zaczyna się na zachodnim wybrzeżu, ale myślę, że tym razem Nowy Jork był pierwszy. A nowojorskim numero uno byłem ja.

- Może byś przestał być taki tajemniczy? - poprosiła uradowana Valentine.

- Moja specjalność to teraz młodziutkie stworzenia tuż po ślubie - oznajmił Jimbo i dumnie przechylił głowę. - Dosłownie po ślubie.

- Jimbo! Ty naprawdę jesteś zepsuty! - skarciła go żartobliwie Valentine. - Jak ty to w ogóle robisz, co? Zaczajasz się na stopniach kościoła i wabisz, czy tak?

- Oczywiście, że nie, Valentine. Jak możesz mnie podejrzewać o taki brak subtelności? Czekam do pierwszej rocznicy ślubu, na tyle mnie przynajmniej stać, a potem... Zdziwiłabyś się, gdybym ci opowiedział, jakie to łatwe.

- Wcale bym się nie zdziwiła. Ale co się dzieje z porzuconymi żonami?

- Przeważnie są tak zachwycone, że mogą brać udział w imprezie u

Prince'a, że w ogóle nie zwracają uwagi, co się dzieje. Same też potrafią znaleźć sobie przez ten czas rozrywkę, zapewniam cię. Zabawa jest fantastyczna, więc sama widzisz, ile tracisz.

- A Prince co na to, że sobie skaczesz na boki?

- Wielkie nieba, misiaczku, żyjemy sobie z Princem jak złączeni sakramentem. Sama wiesz, że będziemy ze sobą do grobowej deski, więc nie dziw się, że go w ogóle nie obchodzą takie szczegóły. Poza tym Prince sam nie uważa, że ludzi trzeba trzymać na krótkiej smyczy.

- Mnie tak trzymał - przypomniała Valentine lekkim tonem, lecz z pewną pretensją w głosie.

- Ależ Valentine, kochanie, chodziło o interesy! Zresztą, posłuchaj, Prince gdzieś się tu kręci. Będzie załamany, jeżeli mu nie poświęcisz paru chwil. Zaraz go poszukam i powiem, że tu jesteś. Spróbujemy cię wtedy znaleźć. - Jimbo ruszył na poszukiwania, posyłając jeszcze Valentine pocałunek i machając Joshowi na pożegnanie.

- A któż to taki? - zapytał z irytacją Josh.

- Ot, stary kumpel. Wspaniały przyjaciel, musisz wiedzieć. Trzeba go tylko lepiej poznać, żeby się o tym przekonać, kochanie.

- Nie wydaje mi się, żebym miał na to ochotę.

- Nie bądź taki naburmuszony, Josh, w końcu nie każdy może być adwokatem - zauważyła Valentine, rozradowana spotkaniem z Jimbo. Zawsze uwielbiała jego przechwałki, erotyczne podchody i opiekę, jaką ją otaczał w gronie przyjaciół Prince'a. - Poza tym musisz wiedzieć, że Jimbo był dzielnym żołnierzem, przywiózł z Korei całe tony medali, a za młodu zwyczajnie wolał kobiety. Opowiadał mi najśmieszniejszą historię pod słońcem o tym, jak zmienił zamiłowania w szpitalu, kiedy leżał w

gipsie na wyciągu. Kiedy leżał i nie mógł ruszyć ręką ani nogą, uwiódł go jeden sanitariusz, a może lekarz. Od tamtej pory Jimbo przerzucił się na facetów.

- Domyślam się - przytaknął Josh, próbując pozbyć się niechętnego tonu.

Pół godziny później, kiedy obydwójce czekali w jednym z licznych pawilonów na terenie posiadłości Lace'a, aż barman przyrządzi im trunki, Josh zeszywniał nagle. Ujrzał bowiem, jak w stronę Valentine, rozpoznając ją oczywiście, popatruje niezmiernie przystojny mężczyzna. Obcy zaraz odwrócił wzrok, zupełnie tak, jak gdyby chciał uniknąć spotkania, lecz naraz sama Valentine, zawołała do niego władczym tonem:

- Alan, jakże się miewasz? - przystojniak znów się obrócił i podszedł z niepewnym uśmiechem. - Josh, poznaj Alana Wiltona, mojego pierwszego pracodawcę na Siódmej Alei. Alan, to jest Josh, mój kalifornijski przyjaciel.

- Ależ tak - zaczął nerwowo Alan. - Czytałem wszędzie o twoich sukcesach, Valentine. Niezmiernie się cieszę, a zresztą wcale mnie to wszystko nie zaskoczyło. Zawsze uważałem, że zostaniesz wielką projektantką. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu.

- A powiedz mi, Alan - zamruczała Valentine - jak się miewa twój pupilek Sergio? Dalej pracuje u ciebie i robi wszystko, co mu każesz? A może dalej sam wydaje ci polecenia? Nie przyprowadziłeś go dzisiaj ze sobą? Nie zaprosili go? Szkoda - taki śliczny chłopiec z twojego Sergio. Tak śliczny, że trudno mu się oprzeć, co, Alan?

Josh ujrzał ze zdumieniem, jak Wilton pod oliwkową cerą oblewa się ciemnym rumieńcem.

- Valentine... - usłyszał proszące słowa.

- Pytam tylko, Alan, czy Sergio jest z tobą czy nie jest? Josh nigdy nie słyszał u Valentine tak ostrego tonu.

- Dalej u mnie pracuje, tak.

- Jak to dobrze mieć takiego wiernego pracownika! Lojalnego i uczciwego. Wiesz, Alan, powiem ci, że jesteś szczęściarzem. Ale chyba niepotrzebnie cię tak wypytuję, bo sama znam odpowiedź. Oglądałam twoją nową kolekcję i przekonałam się, że Sergio nadal korzysta z moich szkiców. Pora byłaby coś tu zmienić, Alan, chyba że... Chyba że nie możesz już się obejść bez Sergia? Pana od sługi dzieli czasem bardzo niewiele. A może lepiej byłoby powiedzieć „niewolnika”? Często się nad tym zastanawiałam, a ty, Alan?

Mówiąc to Valentine odwróciła się, chwyciła Josha pod ramię i odeszła, trzęsąc się z emocji, której adwokat nie był w stanie pojąć.

- O czym ty z nim mówiłaś, na litość boską?

- Ohydny pedał!

- Nic nie rozumiem. Przepadasz za tym Jimbo, tego znów faceta nienawidzisz... Zwariowałaś?

- Nie każ mi nic tłumaczyć, Josh, to wszystko jest zbyt skomplikowane. - Valentine wzięła głęboki oddech i potrząsnęła lokami barwy papryki, jak gdyby w ten sposób chciała zostawić cały incydent za sobą. - Chodźmy, widzę kogoś, komu bym cię chciała przedstawić. O, Prince z resztą bandy. Możesz się przyjrzeć Ludziom z Życiem, kochanie. W Beverly Hills takich nie spotkasz, co najwyżej tanie imitacje.

Kiedy Valentine szła w stronę grupy przyjaciół, cała zdawała się emanować dziwnym światłem. Josh, który idąc parę kroków za Valentine

również obserwował grupę niesamowicie modnych osób, do której się zbliżali, spostrzegł, że wszyscy witają jego przyjaciółkę z entuzjazmem, z jakim pozdrawia się zwykle kandydatów na prezydenta i laureatów Oscara. Przywołany nagłym ruchem przez Valentine, Josh zbliżył się z ociąganiem w chwili, gdy człowiek o wyglądzie i postawie patrycjusza, mimo smokingu wyglądający jak cały w tweedach, ściskając obie dłonie nowo przybyłej mówił do niej:

- Sama widzisz, moja droga Valentine, że to mnie wszystko zawdzięczasz. Gdybym cię jak przeraźliwy idiota nie wyrzucił z pracy, ciągle byś się u mnie męczyła, zamiast zostać największą z nowych gwiazd mody.

- Nie, Prince, przestań oszukiwać sam siebie - ucięła Valentine pewnym tonem. - Już ja bym potrafiła znaleźć sposób, nie wychwalaj więc swojego braku manier.

Po tych słowach pocałowali się na przeprosiny. Kiedy Valentine przedstawiła przyjaciela, Prince spojrział na Josha z ciekawością.

- A więc to właśnie jest twój kalifornijski opiekun, króliczku?

- Jakiś ty niemądry, Prince. Pan Hillman to mój adwokat. Specjalnie zabrałam go ze sobą, żeby mnie bronił przed starymi przyjaciółmi.

- Hillman. Ależ oczywiście, Josh Hillman. Że też od razu na to nie wpadłem. - W oczach Prince'a pojawiło się podejrzliwe zaciekawienie. - Pańska żona, Joanne, należy do moich ukochanych klientek. Znamy się z nią nie od dziś, jak pan może pamiętać, panie Hillman, jeżeli przypomni pan sobie rachunki z mojej firmy. Przepiękna, przeurocza dama. Proszę ją ucałować ode mnie, kiedy wróci pan do Los Angeles.

- Nie omieszka, panie... Eee, panie Prince.

- Proszę mówić mi po prostu Prince, panie Hillman - przyzwolił projektant ze śmieszkiem godnym Henryka VIII.

Valentine zrećcznie wyzwoliła się z kręgu znajomych i z przerażonym wzrokiem i pobladłą twarzą odprowadziła Josha na bok.

- O Boże, nie pomyślałam, że... Przecież Prince powtórzy jej każdy szczegół, co do tego możesz się nie łudzić. Za dobrze go znam, żeby myśleć, że przegapi taką sposobność. Może z nim porozmawiam i...

- Absolutnie wykluczone przerwał jej Josh. Jeśli to zrobisz, sprawa będzie oczywista. Na razie Prince nie wie nic na pewno, ale jeżeli zaczniesz z nim pertraktować, od razu się domyśli. Ostatecznie adwokat ma prawo pokazać się publicznie ze swoją klientką. Przestań się tym wszystkim martwić, kotku, to naprawdę nieważne.

Drżącą ręką Valentine wzięła Josha pod ramię i schroniła się w cieniu drzew.

- Chyba niepotrzebnie się tu ze mną wybrałeś, Josh. Tak się teraz martwię.

- Nic się nie martw. Obiecuję ci, że nic się nie stanie. Jesteś o wiele za piękna na takie smutki. Nie psuj sobie zabawy. Dziś wieczór jesteś irlandzką wiedźmą. Szkoda, żebyś kryła swoją suknię gdzieś w cieniu. Lepiej zatańczmy. Nie chcesz? Skoro tak, zostańmy w cieniu i całujmy się.

- Josh przyciągnął ją do siebie i całował tak długo, aż Valentine rozluźniła się i zaczęła odwzajemniać pieszczoty mimo szoku, jaki spowodowała rozmowa z Princesem. - No widzisz, przyjaciółko? Teraz naprawdę możemy zatańczyć.

Josh już po chwili wirował z nią na parkiecie, na którym żadna z obecnych pięknych kobiet nie dorównywała Valentine w jej triumfalnym

wieczorze.

Zbliżał się świt, kiedy wrócili wreszcie do hotelu. Valentine natychmiast zasnęła, a Josh usiadł przy oknie i obserwował wschód słońca. Nie czynił tego od czasów studenckich, kiedy to nieraz podziwiał wschód słońca po nocy spędzonej nad skryptami. Rozmyślał o nowej Valentine, jaką nieoczekiwanie ujrzał tej nocy, o Valentine, która potrafiła w ciągu pół godziny stać się kolejno sarkastyczna, złośliwa, kokieteryjna i kochana. O Valentine, która potrafiła sobie poradzić w każdym starciu i która dowcipem i stylem dorównywała osobom znanym Joshowi tylko ze słyszenia. Nowa Valentine czuła się jak u siebie w domu w każdym zgromadzeniu, choć sam Josh nie widział jeszcze w jednym miejscu tylu znakomitości, ile na przyjęciu u Lace'a. W dodatku wszyscy ci sławni ludzie czcili Valentine jak bohaterkę. Josh zdał sobie sprawę, że pośród licznych emocji, jakie czuł podczas ostatniego wieczora, niepoślednią rolę odgrywało przerażenie i strach, że Valentine wyślizgnie mu się z rąk i ruszy w świat. Nie uprzedziła go i żadnym szczegółem zachowania nie ostrzegła dotąd, że może to nastąpić. Całe jej zachowanie przypominało czarnoksiężką sztuczkę, a Josh, choć podziwiał przemianę przyjaciółki, wcale nie był tym wszystkim zachwycony.

Odkąd powrócili z Valentine z pierwszej podróży do Anglii, Josh Hillman w bezstronny, godny prawnika sposób często się zastanawiał nad faktem, że osiągnął w życiu doskonałą równowagę. Zdobył już wszystko, co chciał: opinię mędrca i geniusza w swoim biurze, niepodważalną pozycję w społeczności, żonę, która nie dość że prowadziła połowę przedsięwzięć dobroczynnych w Los Angeles, to jeszcze okazała się dobrą matką i wyśmienitą gospodynią - a jako ukoronowanie wszystkiego zdobył

także Valentine, a wraz z nią znalazł romantyczną przygodę, o jakiej całe życie marzył. W dodatku Valentine zażarcie broniła swojej niezależności i niczego od niego nie chciała.

Spoglądając na nowojorskie drapacze chmur za oknem, Josh Hillman raz jeszcze spojrział wstecz, zadając sobie zupełnie nietypowe jak na siebie pytanie: po co było się wychylać?

Od dnia, w którym Valentine powiedziała mu, że się wybiera na przyjęcie u Lace'a, wiedział przecież doskonale, iż jeżeli tam pójdzie, na pewno spotka kogoś ze znajomych. Na pewnym poziomie zawodowym zaczyna się bądź co bądź znać całą światową elitę. Najwidoczniej sam chciał, żeby wszystko wyszło na jaw, sam chciał własnej zguby - choć przecież samobójcze skłonności były mu jak najbardziej obce. Przeciwnie, od czterdziestu lat żył w sposób konstruktywny, ostrożnie, rozsądnie, a nade wszystko poważnie, planując zdobycie wszystkich dóbr i przywilejów, o jakich można zamarzyć. We własnej opinii był najrozsądniejszym człowiekiem pod słońcem.

Pomyślał więc teraz ze znużeniem, że widocznie nie można przeżyć rozsądnie całego życia, nie tracąc resztek szacunku do samego siebie. Nareszcie wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Ponieważ zaś proces myślowy dobiegł końca, choć nic się przez to nie wyjaśniło, pora była iść spać, zamiast zastanawiać się w nieskończoność. Jak na jedną noc i tak dość już nowości. Wystarczy odkrycie, iż jest się zupełnie kimś innym, niż się zawsze myślało.

* * *

Valentine i Josh początkowo zamierzali jak zwykle wrócić do Los Angeles różnymi samolotami, aby nie widziano ich razem na lotnisku, lecz

nazajutrz po balu Josh zmienił rezerwację i wsiadł razem z przyjaciółką, tłumacząc jej, że uprzedził rodzinę, iż nie wie dokładnie, kiedy wróci. Żadna intymna sytuacja nie uderza do głowy bardziej niż wspólne picie szampana w kabinie pierwszej klasy dziesięć tysięcy metrów nad ziemią. Kiedy rzeczywiście buja się w obłokach, z dala od ludzi, zanika poczucie czasu, a na jego miejscu pojawia się euforia, która dodatkowo łączy i tak bliskie sobie osoby. Valentine usiadła przy oknie, rozpamiętując wciąż na nowo co bardziej radosne chwile z przyjęcia u Lace'a. Nagle jednak wyrwał ją z zamyślenia głos Josha:

- Przestań marzyć, kochanie, i posłuchaj mnie przez chwilę.

Valentine podniosła wzrok, lecz w myślach nadal była na balu.

- Mam ci coś do powiedzenia - oznajmił Josh, biorąc ją za rękę. - Chcę, żebyśmy wzięli ślub.

- O nie!

Valentine była zaskoczona nie mniej niż Josh gwałtownością własnej reakcji. Choć nie spodziewała się usłyszeć takiej propozycji, odpowiedź padła natychmiast.

- Nie mówisz tego serio. To niemożliwe!

- Naturalnie, że możliwe. Zastanawiam się nad tym od paru miesięcy, ale dopiero ostatniej nocy wszystko zrozumiałem.

- Nie, Josh, opowiadasz zupełne głupstwa. Wpadłeś po prostu w dobry humor, bo siedzisz w samolocie i nikt cię nie bombarduje telefonami. Cóż za wariacki pomysł!

- Nic podobnego, kochanie. Jestem chyba ostatnim człowiekiem, którego mogłabyś wziąć za wariata, prawda?

Valentine spojrzała na niego wzrokiem, w którym obok zaskoczenia

pojawił się teraz gniew.

- Nawet najrozsądniejszym ludziom zdarza się zwariować! - syknęła.

- Wiesz doskonale, Josh, że to niemożliwe. Nie chcę nawet o tym rozmawiać, słyszysz? Doskonale się czuję w takim układzie, jaki jest między nami. Jesteśmy ze sobą, dlaczego więc miałbyś rujnować życie sobie, żonie i dzieciom?

- Boże, nie wiedziałem, że jesteś jeszcze bardziej zakłamaną ode mnie. Co to znaczy „rujnować sobie życie”? Myślisz, że jeden rozwód aż tak mnie zrujnuje? Rozwód to codzienna i zwyczajna sprawa, która zdarza się nawet najlepszym. Jedyne, co może mnie zrujnować, to życie bez ciebie.

- Skąd w tobie tyle zapatrzenia w siebie? A co z twoją żoną? Jesteście ze sobą dziewiętnaście lat! Przecież na pewno cię kocha, może nie?

- Czasem myślę, że gdyby jej przyszło wybierać między mną a Ośrodkiem Muzycznym ze szpitalem Cedars-Sinai na dokładkę, wybrałaby swoje zabawki, a mnie kazała się zabierać w diabły. Od dawna przestaliśmy się rozumieć i dobrze o tym wiesz. Gdybym kochał żonę, nie zakochałbym się przecież w tobie natychmiast, kiedy cię zobaczyłem w swoim gabinecie. Pomyślałbym po prostu, że jesteś pikantna, śliczniutka i... I zaraz bym o tobie zapomniał.

Valentine w żaden sposób nie dawała się przekonać.

- A twoje dzieci? Masz troje dzieci! Jak można w ogóle myśleć o rozwodzie, kiedy się ma troje dzieci?

- Fakt, przyznaję, że to najtrudniejsza sprawa, ale sama popatrz, Valentine: chowały się wszystkie w bezpiecznym domu, mają dobry

charakter, wyrosły już z najbardziej wrażliwego okresu życia, a ja nie mam zamiaru istnieć bez ciebie tylko ze względu na trójkę nastolatków.

Za sześć lat wszystkie skończą już studia i zaczną własne życie. Powiem więcej, za dwa lata wszystkie będą już studiować, a do domu zaglądać tylko w wakacje. Poza tym Joanne wciąż jest na tyle młoda i atrakcyjna, że może sobie znaleźć nowego męża.

Valentine rozważała przez chwilę te argumenty. Jej gniew osłabł, lecz trwała nadal przy pierwszej decyzji.

- Nie, niemożliwe. Nie mogłabym nikomu spojrzeć w oczy. Wszyscy by mnie znienawidzili. Nawet mi się nie chce myśleć o tym, co by powiedzieli ludzie.

- Po tygodniu zapomnieliby o wszystkim, kochanie, i dobrze o tym wiesz. Mieszkamy w Beverly Hills, a nie w wiktoriańskiej Anglii. Nie rozumiem, dlaczego przejmujesz się sprawami, które są zupełnie bez znaczenia w porównaniu z tym, że będziemy mogli być razem przez resztę życia.

- Ale co będzie ze mną? A jeżeli ja też będę chciała mieć dzieci? Masz już rodzinę, masz dorosłych synów, więc dobrze ci mówić. Nie rozumiesz? - dodała płaczliwie.

- Jeśli chcesz, jutro zmałstruję ci bachora. Jeśli o mnie chodzi, możesz mieć tyle dzieci, ile ci się żywnie spodoba. Tak się składa, że uwielbiam bobasy. Nigdy nie było okazji, żeby ci to powiedzieć - uśmiechnął się szelmowsko Josh. - Dzieci to moja ukryta pasja.

- Moja kariera dopiero się zaczyna, Josh. Muszę pracować przez cały tydzień, nawet w soboty. Nie potrafiłabym ci poprowadzić domu tak dobrze, jak twoja żona...

- Bzdury, Valentine. Opowiadasz mi jakieś nonsensy. Posłuchaj. Możesz mieć, ile chcesz dzieci, kariery, służby do prowadzenia domu... A poza tym wcale mi nie zależy na pałacu. A może czujesz, że mnie za mało kochasz. Valentine? Może dlatego tak się wzbraniasz?

Potrząsnęła przecząco głową i odwróciła oczy pod dociekliwym spojrzeniem Josha.

- Za dużo jest w tobie prawnika, Josh, żebyś ci to potrafiła logicznie wytłumaczyć. Po prostu boję się takich nagłych pomysłów. Kochamy się, jest nam razem cudownie i nagle wszystko ma się rozwalić! Bum! Wszyscy będziemy odtąd inaczej żyć, zmienimy domy, i tak dalej, tylko dlatego, że nabrałeś ochoty na rozwód. To naprawdę nie wydaje mi się... *comme il faut*.

Josh uśmiechnął się z ulgą i zadowoleniem. Nosił swój pomysł w podświadomości od tak dawna, że zupełnie nie przyszło mu do głowy, jak bardzo może nim zaszokować i zaskoczyć Valentine, która pomijając wszystko inne wychowała się w środowisku, w którym małżeństwa i rozwody uważano za sprawy poważne. Jego własne środowisko nie było zresztą tak skrajnie różne.

- Posłuchaj, kochanie. Jeżeli nie chcesz mi powiedzieć „tak” i nie chcesz mi powiedzieć „nie”, może usłyszę od ciebie po prostu stanowcze „być może”?

Valentine nie chciała ustąpić, lecz nie mogła też bez żadnych ustępstw obstawać przy pierwotnym zdaniu.

- Usłyszysz ode mnie tylko bardzo niepewne „być może”, Josh, i nic poza tym. Proszę cię i ostrzegam, nie licz na nic więcej, bo się nie doczekasz. Nie rób żadnych planów, które by mnie dotyczyły ani z nikim

na ten temat nie rozmawiaj, absolutnie z nikim. Nie wepchniesz mnie w nic na siłę, nie nakłonisz mnie przemocą. Dopóki nie będę gotowa, nie podejmę żadnej decyzji.

- Trudniej się z tobą pertraktuje niż z Louistem B. Mayerem. Zresztą nieboszczykiem. Dobrze, zacznijmy od niepewnego „być może” i zobaczymy, czy uda nam się wypracować bardziej zdecydowane stanowisko.

W wyćwiczonym umyśle Josh zaczął już układać plany rozwodu z Joanne przy minimalnych kosztach własnych i zachowaniu jak największej godności oraz jak największej części wspólnego majątku. Kto jak kto, ale Josh Hillman był pewien, że niepewne „być może”, jakie usłyszał od Valentine, prędko zmieni się w „tak”.

* * *

Vito i Fifi Hill usiedli nad sprawą obsady aktorskiej dla *Zwierciadeł* z olbrzymią werwą i poczuciem boskiej wszechwładzy. Źródłem takiego poczucia był oczywiście budżet filmu, który nie pozwalał na zaangażowanie gwiazd. Dzięki temu twórcy mogli śmiało rozpatrywać setki kandydatur spośród zawodowych aktorów i dalsze ich tysiące spośród naturszczyków. Wybierali więc, przebierali, odrzucali, zastanawiali się na nowo nad kolejnymi kombinacjami, a wszystko to z rodzajem niewinnej arogancji, która miała się rozwiać bez śladu w chwili rozpoczęcia pracy z konkretnym zespołem aktorskim.

Długo przed Świętem Niepodległości udało się obsadzić trzy główne role w *Zwierciadłach*, a mianowicie dwojga kochanków i ich przyjaciółki. Ta ostatnia rola, poniekąd drugoplanowa, przypadła dziewczynie o imieniu Dolly Moon.

Dwa lata wcześniej Dolly zaczęła regularnie grywać w jednym z wakacyjnych, ogórkowych seriali telewizyjnych, których zasadniczą cechą są gagi, zwariowany humor i sytuacje, w których ludzie robią z siebie skończonych durni. Na kilka tygodni Dolly Moon stała się więc ulubienicą amerykańskiej widowni, a to ze względu na charakterystyczny śmiech, połączenie gulgotu, jodłowania i rżenia. Dobroduszna Dolly wydawała go z siebie, ilekroć spotkało ją kolejne upokorzenie, jakie obmyślili dla niej autorzy scenariusza serialu. Również z urody Dolly była urodzoną aktorką komiczną, co zdarza się niezmiernie rzadko. Nikt, kto ją raz zobaczył, nie potrafił zapomnieć tej lekkomyślnej i naiwnej, lecz dzielnej osóbki. Jej wielkie oczy stawały się jeszcze większe w obliczu kolejnych katastrof, za duże usta zawsze układały się w uśmiech. Nawet zbyt duży biust i siedzenie Dolly zdawały się potęgować jej bezbronność wobec ekscesów złośliwych scenarzystów.

Serial wyświetlono wprawdzie tylko raz, lecz korzystając z dobrej passy Dolly zagrała niezbyt ważną rolę w pełnometrażowym filmie, w którym wystąpiła jako arcytepa sekretarka, i oczywiście ukradła głównym aktorom całą widownię. Zanim jednak mogła zacząć czerpać zyski z tych pierwszych sukcesów, zakochała się w ujeżdżaczu koni i ku zgorszeniu agentów ruszyła w ślad za nim szlakiem kolejnych pokazów rodeo. Vito zauważył Dolly właśnie na filmie, zakodował w pamięci jej charakterystyczną twarz, a obecnie zaczął jej szukać. Znalazł ją w Los Angeles, bezrobotną i obrażoną na wszystkich mistrzów rodeo.

Parę kochanków mieli zagrać Sandra Simon i Hugh Kennedy. Sandra miała dziewiętnaście lat, a jej charakterystyczną cechą była płynna gracja i wdzięk zabłąkanego dziecka. Obecnie grała w telewizji w niesłychanie

popularnym, odcinkowym wyciskaczu łez, a Vito z największym trudem nakłonił jej agenta, by ten nakazał scenarzystom „wypisać” ją ze scenariusza na długich siedem tygodni, by mogła zagrać w jego filmie. Na szczęście udało się to osiągnąć, gdyż i Sandra miała ochotę po telewizji sprawdzić się na dużym ekranie.

Hugh Kennedy ukończył słynną szkołę teatralną na Uniwersytecie Yale i od tamtej pory występował na scenie w wielu mało zauważanych przedstawieniach, by nareszcie zdobyć pierwszą rolę w tandetnym filmie kostiumowym. Ponieważ Vito za punkt honoru uważał oglądanie wszystkich filmów, jakie się tylko nadarzały, czasem i trzech dziennie, rzucił okiem także na tekturowy epos i zauważył, że mimo sztucznych wąsów oraz turbanu znać w Kennedym romantyczną urodę męską, która ku rozpaczycy piękniejszej połowy widowni w obecnych czasach niemalże zniknęła z ekranu.

Jeszcze przed końcem czerwca udało się więc obsadzić trzy główne role i cały szereg ról drugoplanowych. Sid Amos pracując z maksymalną szybkością zdążył już wypocić z siebie trzy czwarte scenariusza, który okazał się jeszcze lepszy niż wyobrażał to sobie Vito. Reszta miała być gotowa za tydzień. Gorączkowe tempo ostatnich tygodni natchnęło Orsiniego radością i nadzieją. Wolna od pracy sobota była mu zupełnie do niczego niepotrzebna, ale kiedy bezskutecznie spróbował się dodzwonić w tuzin miejsc, machnął ręką i godząc się z losem spędził kilka godzin z Billy.

- Wiesz, co zaraz zrobię? - zapytał ją.
- Wiem. Zadzwonisz do Tokio.
- Nie. Zabiorę cię na obiad. Dziewczynie z taką urodą, z takim

czarem, z taką klasą należy się coś romantycznego. Spaghetti!

- Hurra! - odezwała się lodowato Billy, lecz Vito zupełnie nie zauważył jej sarkazmu, choć odkąd wzięli ślub, nie zabrał jej nigdzie i jadł obiady w domu, z telefonem obok nakrycia. Po powrocie z Cannes Vito zainstalował w swoim nowym domu trzy niezależne linie telefoniczne z odgałęzieniami do wspólnej sypialni, swojej prywatnej łazienki i garderoby, biblioteki, jadalni, salonu i pawilonu przy basenie. Wszystkie dwadzieścia jeden telefonów, każdy na długim sznurze, było przeznaczonych do wyłącznego użytku Vito, który uwielbiał rozmawiać przez kilka aparatów równocześnie, bo wyznawał zasadę, że rozmówca nie może czekać. Oprócz tego szczegółu nowy mąż Billy nie wniósł żadnych innowacji do krytego gontem pałacyku w angielskim stylu, zbudowanego w latach dwudziestych i od tamtej pory jeszcze do niedawna zamieszkałego przez wciąż tę samą rodzinę. Rezydencja stała na pięciu hektarach gruntu, stanowiącego podobno ostatnią z oryginalnych hiszpańskich działek, jakie wytyczono pod Rancho San Jose de Buenos Aires. Billy w 1975 roku zapłaciła za ten dom dwa i pół miliona dolarów, po to tylko, by wyłożyć kolejny milion na remont i nowy wystrój dla trzydziestu sześciu pokoi. Po przeróbkach dom miał tylko dwadzieścia pokoi, obszernych, zasobnych we wszelkie skarby i wygodnych. Mimo że Vito ożenił się z Billy wbrew i na złość jej pieniądzom, sam uwielbiał te wnętrza i lubił w nich przesiadywać między kolejnymi rozmowami i spotkaniami.

- Zabieram cię do Boutique - oświadczył. - Jeżeli zaraz tam zadzwonię, powinniśmy jeszcze dostać stolik. Albo ty sama zadzwoń do Adolpha i zamów miejsca na ósmą trzydzieści.

- Jeżeli masz ochotę na romantyczny wieczór, czemu sam nie porozmawiasz z Adolphem? - zauważyła cierpko Billy.

Boutique stanowi część drogiej i wykwintnej restauracji La Scala, z którą lokal ten dzieli kuchnię i właściciela w osobie Jeana Leona. Jednak to Boutique, a nie La Scala przyciąga najpiękniejsze dziewczęta i najprzystojniejszych mężczyzn w Beverly Hills. La Scala to jeszcze jedna droga włoska knajpa jakich wiele, podczas gdy Boutique to sposób życia. Tylko ten jeden lokal w całym Beverly Hills dałoby się z powodzeniem przenieść żywcem na Manhattan. Drzwi otwierają się za dwadzieścia dwunasta, w porze lunchu, kiedy nie trzeba tam rezerwacji. Pięć minut później zajęte jest już wszystkie siedem łóż i piętnaście stolików, a kolejka chętnych siedzi przy barze i pluje sobie w brodę, że wbrew doświadczeniu nie przewidzieli takiego tłumu wczesnych gości. W przeciętną sobotę o trzeciej po południu pod lokalem nadal czeka mnóstwo amatorów lunchu. Okna Boutique wychodzą na ruchliwy Beverly Drive. W witrynie pełno jest pudełek z najrzadszymi odmianami spaghetti, butelek importowanej oliwy z oliwek, paczuszek słonych paluszków, słoików oliwek, marynowanych papryk i karczochów. Z sufitu zwieszają się butle chianti, na podłodze ustawiono stojaki na mniejsze butelki z winem. W jednym z rogów wnętrza znajduje się kuchenna lada, na której Adolpho, wieczorem zmieniający się w szefa sali, w południe przyrządza specjalną sałatę, dzięki czemu wszystkie konwersacje, zadziwiająco wyrafinowane i żywe jak na południową Kalifornię, toczą się w rytm miarowych uderzeń noża. W Boutique jest ciasno, hałaśliwie i niewygodnie, lecz nikt się tym nie przejmuje. Wieczorem, kiedy obowiązuje rezerwacja, jest tu intymniej, wręcz zacisznie. Takiego nastroju nie udaje się osiągnąć dużym z reguły

kalifornijskim restauracjom. Jeżeli jednak goście nie przyjdą na czas, Adolpho odstępuje ich stół komu innemu.

Vito i Billy szli za kelnerem w stronę najlepszej łoży, kiedy producent spostrzegł przy jednym z małych stolików na środku sali Maggie MacGregor w towarzystwie młodego człowieka. Vito pomachał im, a kiedy Billy usiadła, podszedł do Maggie i uściskał ją na przywitanie. Kilka minut z ożywieniem o czymś rozmawiali, po czym Maggie i jej towarzysz wstali z miejsc i podeszli w ślad za Orsinim do łoży.

- Ale mamy szczęście! Wyobraź sobie, że nie zdążyli jeszcze nic zamówić, więc możemy zjeść razem! - poinformował Billy rozpromieniony Vito. - Posuńże się trochę, Billy, jest przecież mnóstwo miejsca. Oczywiście znasz Maggie, prawda, kochanie? A to Herb Henry, naczelny redaktor jej programu. Właśnie skończyli nagrywanie, a Maggie powiedziała, że umrze, jeśli nie zje makaronu. Boże, ja też konam z głodu. - Po czym Vito, widząc, że wszyscy usiedli, zajął się studiowaniem karty.

- Nie chciałam wcale państwu przeszkadzać - odezwała się do Billy przeproszającym tonem Maggie MacGregor - ale Vito bardzo nalegał, a sama pani wie, jak trudno mu odmówić, kiedy się uprze.

- Ależ nie ma mowy o przeszkadzaniu. Cieszę się niezmiernie, że możemy się spotkać - Billy uśmiechała się promiennie, ukrywając złość w najlepszym stylu ciotki Kornelii.

Obie panie znały się przelotnie, jako że Maggie MacGregor zaliczała się do grona najlepszych klientów Scruples, lecz do tej pory co najwyżej mówiły sobie: „Dzień dobry”. Billy uważała, że Maggie za bardzo przypomina agresywnego pudła, który ujada i gryzie na oślep, jeżeli wejść mu w drogę. Dopatrywała się też w Maggie nieskrywanej żądzy władzy i

potrzeby dominacji nad otoczeniem, a ponieważ sama posiadała tę cechę wręcz w nadmiarze, kiedy spotykała ją u innych, wyczuwała to natychmiast - podobnie jak snob potrafi w stosobowym tłumie natychmiast wyczuć obecność drugiego snoba. W dodatku Billy czuła się przy Maggie jak strach na wróble, gdyż gwiazda telewizji tak przejęła się występami na antenie, że kupowała teraz w Scruples całą bez wyjątku garderobę, tak elegancką i stonowaną, że z pomocą Spidera przekształciła się w rodzaj dziwnie dziewiczej kurtyzany, nieskalanej kobiety upadłej, różowej rozpustnej dziewczeczki z płócien Fragonarda czy Bouchera, tyle że we współczesnym stroju.

Maggie z kolei, choć nie zbywało jej sprytu, w obecności Billy traciła mowę i z całej postaci dostrzegała tylko jedno: MAJĄTEK. Nie chodziło tylko o pieniądze, lecz także o patrycjuszowskie, niezrównane pochodzenie potomkini Winthropów. Oprócz tego Billy była wysoka, szczupła, a jej mężem - co już doprowadzało Maggie do rozpacz - został nie kto inny jak Vito Orsini. Maggie padała więc przed Billy na kolana, a zarazem była o to zła na siebie. Wiedziała, że o ile jako Maggie MacGregor umie sobie radzić nie z takimi przeciwniczkami, o tyle jako Shirley Silverstein zmienia się w obecności Wilhelminy Winthrop w galarete z zimnych nóżek. Dlatego całą uwagę zwróciła teraz na Orsiniego, który nareszcie namyślił się, co ma zamówić.

- Kotusiu - odezwała się słodkim głosem - a cóż to słyszę? Podobno kręcisz następny film? Fifi mówił mi, że wyjeżdżacie na plenery. Chciałabym wziąć kamerę i odwiedzić was. Może znów wyjdzie z tego jakiś dobry reportaż?

- A kysz! - Vito przeżegnał się, by odegnać diabła.

- Chryste Panie, Maggie, nie jestem przesądny, ale czy naprawdę myślisz, że to taki świetny pomysł? - Tu zaśmiali się obydwójce, ku zaskoczeniu Billy i Herba, którzy nie rozumieli, skąd w głosie pozostałej dwójki wziął się spiskowy ton.

- Posłuchaj, kotku. Wydaje mi się, że jestem ci coś winna, rozumiesz chyba? - Słyszając to, Vito przytaknął. Zawsze był pewien, że ratując go z meksykańskiej kabały, Maggie kierowała się tyleż współczuciem, co własnym interesem. Sam, gdyby miał taką sposobność, na pewno by z niej skorzystał.

- No więc, kiedy już wybierzesz miejsce na zdjęcia - ciągnęła Maggie - daj mi znać, a ja już się wszystkim zajmę. Rzygać mi się już chce od materiałów o aktorach. Wolę się dla odmiany zająć producentami, normalnymi facetami, którzy mają normalne jaja. No właśnie, coraz bardziej podoba mi się taki pomysł. Nareszcie odmiana, a poza tym, gdzie znajdę fajniejszego faceta niż ty? - Maggie łypnęła okiem na Orsiniego, z mieszaniną podziwu i nostalgii, po czym, trochę za późno, odwróciła się z uśmiechem do Billy: - Nie sądzi pani, że to świetny pomysł?

Zanim Billy zdobyła się na odpowiedź, Vito przerwał ciszę słowami:

- Będziemy kręcić ten film w Mendocino, Maggie, przez siedem tygodni, poczynając od 5 lipca.

Billy poczuła, jak rozpływa się jej uśmiechnięta, woskowa maska, a na jej miejsce pojawia się wyraz zaskoczenia i urazy. Wiedziała, że Vito rozważa rozmaite miejsca w północnej części Kalifornii, ale po raz pierwszy okazało się, że ma już gotowy plan. Billy nauczyła się przysłuchiwać telefonicznym rozmowom męża i wyłapywać z nich rozmaite szczegóły jego zamierzeń - wszystko, o czym zapominał jej sam

powiedzieć - ale o decyzji w sprawie pleneru usłyszała dopiero teraz.

- Więc jeśli naprawdę chcesz przyjechać - ciągnął Vito pod adresem Maggie - powiedz swoim szefom, żeby wszystko zorganizowali i zamów sobie już dzisiaj hotel, bo w Mendocino będzie się roiło od turystów.

- Mogę mieszkać wszędzie, byle nie w tym meksykańskim motelu, w którym byliśmy ostatnim razem - zauważyła Maggie. I znów jedynie Vito zrozumiał jej śmiech.

Kiedy wszyscy czworo zajęli się cannelloni z krewetkami z rusztu, rozmowa zesłała na jeszcze dziwniejsze tory. Vito wdał się w rozważania na temat czegoś, co nazywał „twórczą buchalterią”. Zjawisko to było jego konikiem. Potrafił godzinami opowiadać o sposobach, jakich od samego początku chwytaly się wielkie wytwórnie filmowe, by zminimalizować dochody deklarowane władzom podatkowym. Dzięki rozmaitym sztuczkom udaje się nie tylko zaoszczędzić na podatkach, lecz także oszukać producentów, reżyserów i nierzadko aktorów, którzy zamiast swojej części należnego zysku dostają tylko jej ułamek albo zgoła nic. Billy rozumiała z całej dyskusji tylko oderwane zdania, natomiast Vito, Maggie i Herb rozprawiali z zacięciem, wywracając na nice diabelsko skomplikowane metody prowadzenia rachunkowości w wytwórniach.

Billy nie potrafiła sobie znaleźć miejsca. Sama nie mogła uwierzyć, że siedzi oto w Boutique, u boku ukochanego męża, i czuje się jak podczas grupowych posiłków w szkole z internatem, kiedy to musiała się przysłuchiwać szczebiotowi innych, lubianych dziewcząt, przechwalających się przyjaciółkami i balami, sama zaś siedziała poza kręgiem, odepchnięta i niewidzialna, dusząc się we własnym upokorzeniu i nienawiści do siebie samej.

Nim kolacja dobiegła końca, Billy poznała jeszcze jedno uczucie, którego życie dotąd jej oszczędzało: zazdrość, najpaskudniejszą i najbardziej nienawistną ze wszystkich emocji.

Cały różnoraki ból, którego doznała w młodości, brał się z zawiści, z poczucia, że inni mają coś, co Billy sama na próżno chciała posiadać. Nigdy jednak nie doświadczyła w życiu sytuacji miłosnego trójkąta i poczucia, że ktoś chce jej odebrać osobę będącą jej wyłączną własnością. Miłość, jaką znała w dzieciństwie, byle jaka miłość ze strony ojca, poczciwej Hanny czy ciotki Kornelii, miała przynajmniej to do siebie, że była trwała. Nie mogła wprawdzie wynagrodzić wzgardy rówieśniczek, ale przynajmniej była. Z kolei miłość Ellisa była tak wielka, że przesłoniła Billy cały świat. Nie zdarzyła się chwila, w której Billy nie byłaby dla Ellisa wszystkim. Teraz jednak Vito, z którym Billy wzięła ślub dosłownie przed miesiącem, zagadał się bez reszty z kobietą, z którą zdarzyło mu się niegdyś pracować, z którą - co gorsza - dzielił tajemnice, i za której sprawą zapominał, że istnieje jeszcze jakaś Billy. Vito jadł z apetytem i pysznie się bawił, w ogóle nie zwracając uwagi na żonę. Billy poczuła, że w środku robi się żółta z zazdrości. Nie poprawiała jej wcale samopoczucia świadomość, że stać ją na tak niskie i przyziemne uczucia.

W drodze do domu Billy od niechcienia zadała starannie przygotowane pytanie.

- Znacie się z tą Maggie od wieków, prawda, Vito?

- Nie, raptem parę lat. Przyjechała kiedyś do Rzymu zrobić ze mną wywiad, wiesz, kiedy kręciłem film z Belmondem i Moreau.

- Czy to wtedy miałeś z nią romans? - padło drugie, lekkie pytanie.

Inny mężczyzna dałby się pewnie nabrać.

- Posłuchaj, Billy! Nie jesteśmy dziećmi. Nie czekaliśmy do ślubu, żeby oddać sobie nawzajem dziewictwo, a co więcej, zgodziliśmy się przed ślubem, że nie będziemy rozmawiać o swojej przeszłości. Nie pamiętasz, co obiecaliśmy sobie w samolocie? - Vito groźnie potrząsnął głową pod adresem Billy. - Nie wiem i nie chcę wiedzieć, nie chcę słyszeć ani jednego słowa na temat mężczyzn w twoim dawnym życiu. Jestem okropnie zazdrosny, wiem to doskonale i szczerze tego żałuję, ale nie zniósłbym opowieści na temat tego, co robiłaś kiedyś. Tego samego spodziewam się również od ciebie. - Vito puścił jedną ręką kierownicę i pogładził dłoń Billy. - Maggie zrobiła dziś wszystko, żeby obudzić twoją zazdrość, więc wcale ci się nie dziwię. Owszem, mieliśmy w Rzymie mały romans, niezbyt ważny, a teraz jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Chyba zapominasz o Meksyku - wtrąciła Billy, czując jak wargi same układają jej się w brzydki grymas niesmaku. Nie potrafiła jednak ugryźć się w język.

Vito zaniósł się śmiechem.

- Meksyk! Moja niemądra, kochana idiotko! To właśnie tam zdarzyła się ta krwawa historia w motelu. Nie pamiętasz tej afery z Benem Lowellem i jego partnerem, który zmarł? Boże, nie mów mi, że nie słyszałaś, przecież cały świat o tym mówił.

- Pamiętam coś jak przez mgłę. Miałam wtedy dość kłopotu ze Scruples. Ale czy w Meksyku... Ty i Maggie...

- Słuchaj, słoneczko, posuwasz się za daleko. To dokładnie taka sama głupia rozmowa, jakich sobie obiecaliśmy nie prowadzić. Czy spałeś, z kim spałeś, ile razy, gdzie, czy było ci dobrze, czy czułeś to, czy może tamto? Mieliśmy sobie darować te i całą resztę podobnych pytań. W

Meksyku pierwszej nocy Maggie dostała sraczki - skoro ci zależy na pikantnych szczegółach - a później zaczął się zupełny koszmar. Mieliśmy w motelu trupa, wyglądało na to, że już po filmie, mówię ci... Dobrze, a teraz zamykamy temat, ostatecznie i na zawsze. Nie masz powodu, żeby być zazdrosną o którąkolwiek babę pod słońcem, i zaraz ci powiem, dlaczego: dlatego, że ciebie jedną kocham. Nikt inny nie może się z tobą równać. Dlatego, że jesteś moją żoną.

Billy poczuła, jak uciskająca jej wnętrzności zazdrość słabnie nieco, choć nie dlatego, że uśmierzyły ją słowa Vita. Tak naprawdę Billy nie była zazdrosna o Maggie MacGregor jako o kobietę, lecz o kogoś, kto współuczestniczy w obsesji, jaką dla jej męża stanowił film. To właśnie sprawiło, że poczuła otwierającą się w myślach otchłań wypełnioną oparami trucizny. Dopóki Vito tak nieprzytomnie kochał swoje zajęcie - kochał je zaś co najmniej tak samo jak nową żonę - nowa zazdrość mogła się tylko zbliżyć, nigdy zaś zniknąć bez śladu. Przyszłe wydarzenia będą ją rozdrapywać raz za razem, przynajmniej dopóki Vito w obecności żony będzie dalej zapominał o wszystkim oprócz swojego zajęcia. Świadomość tego faktu przygnębiła Billy do reszty.

Kiedy objęci ramionami wspinali się razem po schodach, kierując się do sypialni, Billy ze złością uświadomiła sobie, że potrafi kochać wyłącznie mężczyznę, który ma w życiu jakiś cel, kogoś, komu zależy na własnym dziele do tego stopnia, że oddaje się swej pracy bez reszty. Źle zrozumiała słowa Vita, jakie padły w odpowiedzi na jej pierwsze oświadczenia. - Kiedy mówił, że takich ludzi jak on nie da się nabyć, przetłumaczyła sobie ten zwrot jako „kupić”. Dopiero teraz zrozumiała, co chciał powiedzieć wówczas Vito: że nie da się go utrzymać na wyłączną

własność. Pochopnie padła ofiarą olbrzymiego paradoksu: chociaż upierała się przy swoim prawie własności, zarazem rozpaczliwie szukała mężczyzny, który oprócz niej miałby jeszcze własny świat. Użyła całej siły woli i charakteru, by wybudować dla siebie kolejne więzienie.

Parę dni po kolacji w Boutique Vito w towarzystwie Hilla i scenografa *Zwierciadeł* wyjechał na pięć dni do Mendocino, by przygotować plenery zdjęciowe. Po wyjeździe męża Billy poczuła, że jak ciężka kotara zaczyna na nią spływać samotność. Ponieważ od sześciu tygodni, to jest od dnia ślubu, Billy prawie nie zaglądała do Scruples, popędziła do swojego gabinetu, jedynej części sklepu, której nie dotknęła ręka dekoratora podczas zmiany wystroju. Billy uwielbiała to dostatnie i spokojne wnętrze, lecz teraz nawet tam odczuwała dziwną melancholię. Wiszące na wybitych popielatym welwetem ścianach akwarele Cecila Beatona, złocone, gięte meble z epoki Ludwika XV, zasuwane biureczko, które służyło do pracy, choć jego miejsce było w muzeum, nawet szkatułka na dokumenty zrobiona przez Fabergego na zamówienie cara Mikołaja II i zawierająca najważniejsze papiery Billy - wszystko to wydawało się martwe. Billy źle się czuła w tym wnętrzu. Zniecierpliwiona zatrzasnęła drzwi i obeszła cały sklep od piwnic po najwyższą kondygnację. Nie znalazła najmniejszego powodu do pretensji; pod jej nieobecność sklep rozkwitł wręcz nieprzyzwoicie.

Po południowej przerwie Billy umówiła się z Valentine na spotkanie w sprawie zakupów jesiennej oferty. Kiedy zastanawiały się nad kolekcjami, Billy przeszło przez głowę, że Valentine zmieniła się, w subtelny, lecz niesłychanie intrygujący sposób. W ciągu roku młodziotka dziewczyna nabrała poloru właściwego osobie znanej - zupełnie tak, jak gdyby artysta pokrył jej rysy kolejnymi warstwami nie werniksu, nie elegancji, nie sławy, lecz czegoś jeszcze innego, może pewności siebie. Chociaż Valentine zawsze należała do osób zdecydowanych, dotychczas

zachowywała się trochę zbyt prowokacyjnie i zaczepnie, jak gdyby miała wybuchnąć przy najlżejszym sprzeciwie ze strony otoczenia. W ciągu ostatniego roku natomiast złagodniała i wydorowała, broniąc swojego zdania w zupełnie nowy, spokojny sposób. Nie prowokowała już Billy do wybuchów swoją zaczepną postawą. Przebijało z niej teraz doświadczenie i przekonanie, że to, co robi, robi doskonale. Poza to zabawnie i uroczo kontrastowała z dziewczęcą, żywą sylwetką dziewczyny. Nic dziwnego, że kilku już fotografów uwieczniło Valentine na zdjęciach w czasopiśmie. O ile pracownia Valentine przynosiła wymierne dochody, zdobywane tą drogą reklama prasowa i rozgłos były po prostu bezcenne.

Billy musiała uznać, że wpadła na doskonały pomysł, sprowadzając Valentine do Scruples. Ciekawe, czym też jej współpracowniczka umila sobie wolny czas? Na pewno nie romansiem ze Spiderem Elliottem, tego przynajmniej Billy mogła być pewna.

Nie, jeżeli Valentine z kimś sypia, to na pewno nie ze Spiderem, chyba że ma on brata - bliźniaka. Z zasłyszanych tu i ówdzie plotek Billy mogła wywnioskować, że Spider zajmuje się kilkoma kobietami naraz i cud boski, że w ogóle ma jeszcze siłę przychodzić do pracy. Spider w samej rzeczy pierwszy zjawiał się rankiem w Scruples, a opuszczał go ostatni. Idąc za nim przez sklep, Billy mogła obserwować, jak jej pracownik umiejętnie potrafi wpływać na nastroje, rozładowuje napięte sytuacje, rozbudza entuzjazm, ożywia zmęczone sprzedawczynie, swoimi żarcikami sprawia, że kobiety tępe zaczynają się czuć dowcipne, kobiety ładne czują się inteligentne, a kobiety inteligentne (które zdaniem Billy powinny być na tyle rozgarnięte, by nie łapać się na takie sztuczki) dowiadują się od Spidera, że są piękne. Spider okazał się, jednym słowem,

prawdziwym człowiekiem - orkiestrą, uprzejmym, zabawnym i mądrym. Każda kobieta chciała się mu pokazać od najlepszej strony. Spider jednak także się zmienił. Przygasł jego głośny śmiech, a dawny wyraz radosnego oczekiwania zmienił się w minę tyleż uprzejmą, co bezbarwną.

Valentine O'Neill i Spider Elliott, dwie nieocenione gwiazdy, bez których nie mógłby istnieć barokowy bazar, wielka karawana i kraina z baśni znana jako Scruples. Billy zdała sobie sprawę, że choć obydwójce są jej wspólnikami i współudziałowcami, wie o nich bardzo mało. Nie przyszło jej nawet do głowy, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej zupełnie by sobie nie zaprzętała głowy podobną myślą. Obraziłaby się, a już na pewno zdumiała, gdyby ktoś jej powiedział, że nowe wyczulenie na zmiany dotyczące Spidera i Valentine jest po prostu objawem jeszcze większej zmiany, jaka zaczęła zachodzić w niej samej.

* * *

Mendocino, nadmorskie miasteczko, które Vito obrał jako miejsce akcji *Zwierciadła*, to prawdziwa kalifornijska osada piratów. Jedzie się tam z San Francisco trzysta kilometrów na północ szosą wzdłuż poszarpanego wybrzeża. Miasteczko, nawet w oczach najbardziej pozbawionego wyobraźni podróżnika, wydaje się wyrastać wprost z mgieł historii, nie skażone i nie tknięte dwudziestowieczną cywilizacją. Mendocino leży na stromym, obłym cyplu, wypiętrzonym ponad Pacyfikiem i jest w całości traktowane jako zabytek. W obrębie Mendocino próżno więc się rozglądać za szyldami barów McDonalda czy Burger King, czy wręcz za jeszcze drobniejszymi oznakami współczesności, której burząca dłoń zagraża zaczarowanym osadom, takim jak ta. Mendocino powstało w pięćdziesiątych latach ubiegłego

wieku, a wzniesiono je z drewna w wiktoriańskim stylu, nazywanym dziś „ciesielskim gotykiem”. Wbrew wszelkim wyobrażeniom na temat Kalifornii drewniane domy kryte są gontem, a ich pomalowane niegdyś na różowo, żółto i niebiesko ściany spłwiałały z biegiem lat, nabierając romantycznych, pastelowych odcieni. Wokół zabudowań rozciągają się puste pola, zarośnięte dziką różą, tarniną i polnym kwieciem. Każdy nowy budynek w Mendocino - gdzie nowe inwestycje są tak czy inaczej niesłychaną rzadkością - musi dokładnie naśladować swoim stylem tę architekturę, żywcem przeniesioną z Cape Cod. Nawet szyldy jedyne go hotelu, banku, sklepu i poczty utrzymane są w klimacie epoki. Z trzech stron otacza Mendocino Pacyfik, z czwartej zaś rozległe łąki, które chłostane przez wiatr przypominają szkockie wrzosowiska. Łąki te stanowią park narodowy i na zawsze pozostaną takie jak obecnie.

W odróżnieniu od architektury mieszkańcy Mendocino nie sprawiają wrażenia reliktyw przeszłości. Miasteczko przyciąga wielu młodych artystów i rzemieślników, hardych indywidualistów, którzy zarabiają na życie sprzedając swoje dzieła corocznej falandze turystów albo też prowadzą sklepy, galerie sztuki i restauracyjki poutykane wśród rzędów domów w centrum Mendocino. Ludność całego okręgu Mendocino to rasa dumna i wojownicza do tego stopnia, że kilkakrotnie już ogłaszano tu secesję od reszty Kalifornii.

Vito zdecydował się tu właśnie filmować *Zwierciadła* z kilku powodów. Francuską powieść, której ekranizację przedsięwziął, *Les miroirs de printemps*, trzeba było przenieść w realia amerykańskie. Akcja książki działa się w Honfleur, popularnej wśród malarzy rybackiej osadzie w Normandii, nawiedzanej także tłumnie przez turystów. Również pogoda

w Honfleur i Mendocino jest podobna, chłodna i mglista nawet w letnie miesiące. Honfleur, ulubiony cel inwazji długo przed epoką Henryka V, ma mniej warowny charakter niż Mendocino, lecz równie doskonale zachowało atmosferę dawnych czasów.

Zanim zaczęły się zdjęcia, starannie wybrano w Mendocino wszystkie plenery, podpisano umowy o wynajmie wnętrz, zawarto kontrakty, uzyskano zezwolenia na filmowanie na ulicy i zatrudniono w charakterze statystów grupę mieszkańców, malowniczą jak tabor cygański. Vito wynajął jeden niewielki domek dla siebie, a drugi dla Fifi Hilla, reżysera. Operator, Svenberg, miał się zatrzymać w Mendocino Hotel, podobnie jak główni aktorzy. Aktorzy drugoplanowi i ci od ról epizodycznych mieli dojeżdżać - a raczej dolatywać - pasażerskim samolotem z San Francisco na mikroskopijne lotnisko w Mendocino. Ekipa techniczna z kolei rozbiła kwaterę w Fort Bragg, mało romantycznej miejscowości o kilka kilometrów na północ.

Billy jechała do Mendocino pierwszy raz, bo chociaż osada ta leży niewiele ponad sto kilometrów na północny zachód od położonej w głębi łądu doliny Napa, na wybrzeże można się było z jej posiadłości dostać jedynie dwiema wąskimi szosami, pełnymi niebezpiecznych zakrętów. Billy od lat musiała się więc zadowolić wysłuchiwaniami opowieści o malowniczym miasteczku. Nic dziwnego, że przygotowując się do letniego wyjazdu na plan *Zwierciadeł* czuła się niesłychanie podekscytowana.

Po dwóch miesiącach przysłuchiwania się telefonicznym pertraktacjom męża w sprawie przygotowań Billy uznała, że wie już wystarczająco dużo na temat robienia filmów. Spodziewała się, że

szczególne, nudne przygotowania to jedynie preludium do cudownej, twórczej przygody, która zacznie się z chwilą włączenia kamery. Zapakowała tylko najniezbędniejsze rzeczy, a chcąc uniknąć ostentacji wybrała zwyczajne lniane spodnie, najstarsze jedwabne i bawełniane bluzki oraz najbardziej klasyczne sweterki. Spodziewając się, że wieczorami odwiedzą z Vito przynajmniej kilka spośród znakomitych restauracji w wiejskich zajazdach wokół Mendocino, dodała jeszcze kilka długich spódnic, a także parę ciepłych kurtek na chłodne wieczory. Buty... Mój Boże, ile butów potrzebuje przeciętna kobieta! Zamiłowanie Billy do strojów nie zmieniało w niczym jej irytacji, że do każdego stroju potrzeba osobnej pary butów. Zmełała w ustach przekleństwo, widząc, że największa torba na buty - ta, której w ogóle miała nie zabierać - jest już pełna.

Zadowolona się czterema torebkami, najprostszymi złotymi kolczykami i łańcuszkami. Ot, drobiazgi. Kolejna torba szybko nappełniła się bielizną i szlafrokami. Przynajmniej w domu, przy Vito, Billy chciała prezentować się jak - najwspanialej. Vito ostrzegał ją wprawdzie, że domek, jedna z nielicznych wolnych kwater w szczycie sezonu turystycznego, jest bardzo prymitywny, prawie ruina, lecz Billy nie bardzo w to wierzyła, a poza tym, co za różnica? Najważniejsze, że będzie mogła przeżyć z Vito wspólną przygodę - filmowe lato w Mendocino. Już same te słowa niosły zapowiedź czegoś upajającego.

Vito martwił się tylko, czy Billy znajdzie sobie dość zajęcia na cały tydzień, do tego stopnia, że zaproponował jej wręcz, by przylatywała tylko na soboty i niedziele. Billy rozgniewały te pomysły. Czy Vito wyobraża sobie, że jego żonę aż tak mało interesuje to, co robi? Wprost przeciwnie, Billy nie mogła się doczekać chwili, kiedy włączy się w twórcze dzieło.

* * *

Zdjęcia do *Zwierciadeł* rozpoczęły się we wtorek 5 lipca. W czwartek w południe ekipa nadal tkwiła na rozległej łące, za mostem na drodze do Mendocino. Widać stąd było jak na dłoni całe miasteczko. Obsługa kamery i oświetleniowcy rozstawiali sprzęt nad brzegiem idealnie okrągłego stawku porośniętego lilią wodną. Brzeg stawu wyznaczały wysokie trawy. Lustro wody, jak schowane przed ludzkim wzrokiem cudo, kryło się pośród zarośli tak niewidoczne, że nie wtajemniczona osoba mogła się na nie natknąć jedynie z woli przypadku.

Przypadek ten zdążył już się przydarzyć Billy, która penetrując teren podczas pierwszego dnia zdjęć, kiedy nad stawem jeszcze nie było reszty ekipy, zjechała po stromym i błotnistym brzegu prosto do stojącej wody, zanurzając się w niej po pachy. Zniszczyła przy tej okazji białe lniane spodnie i torebkę firmy Hermes ze skóry i białego płótna, ale najbardziej ucierpiała jej osobista godność. Na krzyk Billy nadbiegli z planu dwaj pomocnicy i wyciągnęli ją ze zdradliwie głębokiej sadzawki.

Jeden z nich musiał później odwieźć Billy, ociekającą wodą tak, jak gdyby przez pomyłkę zagrała Ofelię, z powrotem na kwaterę, gdzie czekały suche rzeczy.

Po kilku dniach Billy myślała jednak bez przykrości o swoim komediowym występie, gdyż dzięki niemu przynajmniej na kilka chwil stała się członkiem ekipy. Na kilka minut znalazła się w centrum uwagi, a filmowcy, po raz pierwszy i na jakiś czas ostatni, przestali ją traktować jak bezużytecznego gapia. Wszyscy, których do Mendocino sprowadził film Orsiniego, mieli konkretne zajęcia. Wszyscy, oprócz Billy, której rolą było odgrywanie najbardziej bezużytecznej osoby pod słońcem: Żony

Producenta. Nigdy dotąd nie czuła się tak lekceważona, a zarazem tak wystawiona na ludzkie spojrzenia jak w tej chwili. Szyte na miarę spodnie i proste koszule, które ze sobą przywiozła, kłuły w oczy co najmniej tak, jak gdyby Billy paradowała w krynolinie. Cóż mogła poradzić na to, że jej najstarsze sportowe ciuchy nie miały jeszcze nawet roku, świetnie na niej leżały i zostały uszyte na miarę z najlepszych tkanin w najcieplejszych kolorach lata? Cóż mogła zrobić, że kiedy je wkładała na siebie, czyniła to z wrodzonym szykiem, jeszcze bardziej podkreślając naturalną prostotę stroju? Nic też nie mogła poradzić na fakt, że jej własny styl, w połączeniu ze wzrostem i budową uniemożliwiały jej wmieszanie się w tłum. Tymczasem wszyscy filmowcy, wliczając nawet Orsiniego, paradowali w jednakowym stroju, na który składały się wyświechtane dzinsy i także kurtki - i tylko ten strój wyglądał pośród nich na miejscu. Billy zdała sobie sprawę, że wygląda jak ekscentryczny Anglik, który w afrykańskim buszu siada do obiadu w muszce i koszuli z żabotem. Angielskie maniery świat zaakceptował jednak całe wieki temu, podczas kiedy Billy czuła się po prostu staroświecka.

Kiedy na próżno przeszukiwała sklepy w Mendocino i Fort Bragg, chcąc kupić dzinsy na tyle szczupłe i długie, by na nią pasowały, uświadomiła sobie, że nie chodzi tylko o sam wygląd. Kwestia stroju była niczym w porównaniu z dawnym przeciwnikiem, z którym znów przyszło jej się zmagać: z rozpaczą, właściwą osobom odrzuconym. Mroźna zmora dzieciństwa brała się z faktu, że wszystkie kolejne grupy i kółka odrzucały Billy jedno za drugim, nie dopuszczając jej do swych skomplikowanych misteriów i zabaw. Nawet w otoczeniu krewnych Billy czuła się jak za szybą, do której na próżno przyciskała nos, obserwując wnętrze, w którym

inni bawią się wesoło i nie zwracając na nią uwagi jedzą obiad. I kto tu jeszcze śmie twierdzić, że czas leczy rany? Billy zadygotała na tę myśl. Nic nie jest w stanie uleczyć takich ran i tyle. Zamiast się zagoić, czekają po prostu, by ją obezwładnić za każdym razem, kiedy sytuacja zaczyna przypominać emocjonalną atmosferę przeszłości. Ilekroć się to zdarzało, cały splendor, pieniądze i władza, które Billy zdobyła po ukończeniu osiemnastego roku życia, zmieniały się w zwykłą sklepową dekorację. Czy więc stare rany miały już w niej pozostać do końca życia? Chcąc nie chcąc, postanowiła wypełznąć z ciemnego kąta, w którym się zaszyła. Wraz z tym postanowieniem na obliczu Billy pojawił się wyraz takiej determinacji, że wydawała się jeszcze wyższa i bardziej pewna siebie niż przedtem.

Na planie zdjęciowym Billy nadrabiała miną. Ktoś z personelu znalazł dla niej składane, płócienne krzeselko i ustawił je obok krzesła, które należało do Vita. Teoretycznie mogła dzięki temu zajmować miejsce u boku męża, ale niestety, w praktyce okazało się, że producent korzysta z siedziska tylko po to, by ciskać na nie kolejno swoją kurtkę, sweter, a kiedy robiło się upalniej, także koszulę. Zrzucając kolejne sztuki ubrania, Vito w roztargnieniu mierzwił Billy włosy, pytał ją, jak się czuje i jaką książkę czyta, a potem, nie czekając na odpowiedź, pędził z powrotem. Billy kurczyła się z wściekłości czując, że zmienia się w psa, który utracił pana.

Podczas zdjęć Vito miotał się po całym planie, pojawiając się i znikając jak włosko - amerykańska wersja Latającego Holendra. Sprawdzał wszystko i wszędzie zaglądał, upewniając się, że cała bez wyjątku ekipa pracuje na pełnych obrotach, a kiedy ruszała kamera,

sporządzał notatki na użytek Hilla, który w ten sposób mógł patrzeć na materiał z kilku pozycji równocześnie.

Kiedy rozpoczynają się zdjęcia, cała hala zdjęciowa czy plener przechodzą pod wyłączne władanie reżysera, lecz jeśli Fifi Hill został mianowany generałem, Vito Orsini zmienił się w całą armię sierżantów, pozostając przy tym, jakkolwiek by na to patrzeć, głównodowodzącym. Podczas przerwy obiadowej zaszywał się zawsze z Fifi w ustronnym kącie, gdzie żywo dyskutowali, czasem przywołując do siebie Svenberga albo innego członka ekipy zdjęciowej, by naradzić się wspólnie nad nowymi sposobami potraktowania materiału.

Największą zaletę Hilla stanowiła umiejętność improwizacji. Fifi nie trzymał się niewolniczo scenopisu i traktował tekst jako odskocznnię do własnych pomysłów. Podobnie jak Vito, nie tracił nigdy z oczu faktu, że cała ekipa uprawia zabawę w teatr, a zabawa powinna oznaczać - właśnie zabawę. Fifi nie należał wcale do gatunku reżyserów, którzy, tworząc film, przeżywają twórcze katusze, by później krzyknąć: „Wielki Boże, coście zrobili z moją wizją!?” Fifi dbał po prostu o to, by wizja stała się rzeczywistością i właśnie ze względu na tę umiejętność Vito powierzył mu niegdyś pierwszy film. Jako reżyser Fifi umiał stworzyć atmosferę, w której aktorzy i aktorki zakochiwali się w nim wręcz, on zaś odwzajemniał ich uczucia. Odpowiadała mu także sytuacja, w której każdy aktor i pomocnik miał kogo nienawidzić. Zamiast sam biegać po planie, Fifi mógł sobie pozwolić na błogość.

To Vito, nie on, biegał po całym planie i groził, że skopie dupę każdemu, kto cokolwiek sknoci.

Po przygodzie w stawie Billy nie odważyła się ruszyć na krok ze

swojego krzeselka. Wszędzie dookoła ścieliły się na ziemi kable i przewody o nie znanym przeznaczeniu, lecz niewątpliwie podstępnej naturze. Poza tym, spacerując po planie, Billy wchodziła w drogę operatorom, a przecież poprzysięgła sobie, że ani na sekundę nie będzie już powodować zamieszania. Nawet z krzeselka jednak Billy - po kilku dniach zdjęć - potrafiła już spostrzec z dużą dozą prawdopodobieństwa, że przy kręceniu filmu 2 procent czasu zajmują zdjęcia, natomiast 98 procent czekanie. Nie doświadczyła jeszcze niczego podobnego, nie zdarzyło jej się też przeczytać w żadnej publikacji, że tak właśnie, wśród ciągłego zwlekania, rodzi się film. Początkowo myślała, że wszystko idzie tak powoli, bo zdjęcia dopiero się zaczynają, lecz szybko przekonała się, iż ospałość to naturalny rytm sztuki filmowej. Przyszło jej nawet do głowy, że ciekawiej byłoby obserwować trzęsącego się starca, który z drzewa balsy buduje w butelce żaglowiec.

Zdumiewała się, że tylko jej przeszkadza oczekiwanie przez pół dnia, aż zakończą się przygotowania do ujęcia i to, że kiedy pół dnia już minęło, okazywało się, że trzeba zupełnie zmienić oświetlenie. Czy tak ma wyglądać teatralna przygoda z kamerą? Nie odważyła się nikogo o to zapytać. Prędzej zwiędłaby ze starości na swoim krzeselku, niż zwróciła się z takim pytaniem do męża, z którym, nawiasem mówiąc, zostawała sam na sam dopiero późno w nocy, po projekcji materiału z poprzedniego dnia. Siedziała więc w najlepsze, uśmiechała się i przygryzała dolną wargę. Chociaż w ciągu dnia Vito dawał z siebie wszystko, pracując z innymi, Billy nie mogła się nań uskarżać: kochał się z nią z takim samozaparciem i regularnością, że jeśli wieczorem zadawała mu jakiegokolwiek pytania o filmie, nie słuchała odpowiedzi, aż do bólu

koncentrując myśl tylko na jednym. Z krzeselka ujrzała teraz, jak trzydzieści metrów od niej Vito uwija się nagi do pasa, promieniując energią jak dyrektor olbrzymiego cyrku, i pomyślała, że pożąda go teraz, natychmiast, a nie, psia krewo, za dziesięć długich godzin. Poczowała w całym ciele nieznośne, przemożne pragnienie seksu. Wyobraziła sobie, jak idzie przez pole do miejsca, gdzie stoi Vito, jak wciąga go do przyczepy mieszkalnej, ustawionej do jego wyłącznego użytku, jak zamyka drzwi i zdziera z siebie ubranie. Chciała stanąć przed nim nieruchomo, na rozstawionych nogach, i patrzeć, jak jego członek sztywnieje i podnosi się, a twarz zaczyna przybierać nieobecny, nieprzytomny wyraz, jaki pojawiał się, ilekroć Vito oglądał Billy naga. Stawał się wówczas podobny do byka wiedzionego na ofiarę albo do leśnego fauna z rysunku Jeana Cocteau. Na samą myśl o tej scenie, o zapachu ciała Orsiniego, który i tak pocił, się w słońcu, Billy przymknęła czarne oczy i niepostrzeżenie potarła udem o udo.

- Jedzenie, pani Ikehorn! - wrzasnął jej ktoś nad uchem. Poderwała się z miejsca, prawie wywracając krzesło, ale nie zdążyła nawet dojrzeć, kto ją tak nastraszył.

Jedzenie - pomyślała ze złością, rumieniąc się jeszcze. Rzeczywiście, kto ma czelność nazywać te ochłapy jedzeniem? Karmieniem ekipy filmowej zajmowała się specjalna firma, która tradycyjnie nie oszczędzała na porcjach. Wszędzie piętrzyły się półmiski smażonych kotletów wieprzowych, talerze smażonych kurczaków, misy ze spaghetti i pulpetami, gary sałatki kartoflanej, góry ociekających tłuszczem żeberek z różną i rynki parówek z opiekana w brązowym cukrze fasolą. Wszystkie dania były jednakowo obfite i ciężkostrawne.

W obliczu dań, którymi można by karmić dokerów portowych, Billy zabrała się do znalezionej jakimś cudem na końcu stołu galaretki owocowej i białego sera, posypanego tartą marchewką. Nienawidziła tego ostatniego dania od czasów szkoły, ser miał jednak tę przewagę nad resztą dań, że nie pochodził z patelni. Ponieważ Vito spędzał przerwę na naradach, od dwóch dni Billy, chcąc nie chcąc, jadła posiłki sama. Dopiero w tym dniu zdecydowała się zniknąć wszystkim z oczu i zabrała talerz do przyczepy mieszkalnej.

Weszła do wnętrza i usiadła, a jej świat skurczył się do rozmiarów talerza białego sera. Wiedziała, że jest zbyt wściekła, aby jeść. Złość wypełniała jej całe wnętrze jak twarda gumowa piłka. Tylko w niewielkim stopniu Billy złościła się na samą siebie, na fakt, że wstydzi się innych ludzi i wygląda w oczach całej ekipy niczym gość z innego świata. Nawet jeśli czuła się jak Marsjanin, wiedziała, że ludzie wcale nie zwracają aż tyle uwagi na innych, w tym i na nią. Prawdopodobnie nikt by się nie zdziwił, gdyby przechadzała się w sukni z trenem i z kwiecistą parasolką nad głową.

Jej wściekłość brała się z innej przyczyny. Billy nie mogła ścierpieć, że Vito tak ją zaniedbuje, choć przecież musiało tak być, jeżeli miał nakręcić film. Gniewała się, choć doskonale rozumiała, że film jest teraz ważniejszy od niej. Gniewała się na siebie samą za to, że pojechała za mężem na północ i ugrzęzła jak głupia w Mendocino, nikomu nieprzydatna i pełna żalu do siebie. Gniewało ją i to, że gdyby teraz zdecydowała się powrócić do Los Angeles, przegrałaby z samą sobą. Gdyby wyjechała, oznaczałoby to, że nie potrafi ścierpieć sytuacji, w której życie przestaje się układać po jej myśli, lecz zarazem brała ją złość,

że nie może osiągnąć tego, co chce. Billy była na granicy eksplozji. Nawarzyła piwa i musiała je teraz wypić.

Porwała ze stołu talerz z serem, galaretką i wybiegła z przyczepy. Do kogo się zwrócić?

Do gromady pomocników, rechoczących ze śmiechu? Może nie, nie za pierwszym razem. Do Svenberga? Szwed siedział osobno, z obłędem w skandynawskich oczach i widział tylko własne nazwisko skąpane w blasku jupiterów. Lepiej mu nie przeszkadzać. Aktorzy? Na planie byli dziś tylko Sandra Simon i Hugh Kennedy, którzy na dodatek zniknęli w sąsiedniej przyczepie. Billy sama nie wiedziała, kiedy podeszła do przyczepy charakteryzatorów. Obydwaj panowie, oczywiście homoseksualiści, plotkowali sobie w miłym cieniu.

- Pani Ikehorn! - wykrzyknęli na jej widok, zrywając się na równe nogi, uradowani i speszeni.

- Teraz już pani Orsini, ale to nieważne. Mówcie mi po prostu Billy.

Charakteryzatorzy spojrzeli na siebie, ledwie pokrywając zdumienie. Czyżby żona Producenta nie była aż taką napuszoną małpą, za jaką ją wszyscy brali?

- Może usiądziesz z nami na chwilę, co, Billy? O rany, jaki świetny zegarek.

- Masz włosy jak anioł. Kto cię strzyże?...

- Ale masz spodnie!

- A jaki pasek!

Ha, lepsze takie rozmowy niż żadne.

* * *

Nakręcony każdego dnia materiał zdjęciowy jechał do laboratorium

w San Francisco, gdzie wywoływano go i odsyłano samolotem z powrotem do Mendocino. Kierownik produkcji odkrył w pobliskim Fort Bragg salę, gdzie w stosunkowo przyzwoitych warunkach można było obejrzyć i ocenić skretności. Billy prędko uznała, że może sobie dać spokój z marzeniami o kolacyjkach w ustronnych wiejskich zajazdach. Vito miał tylko tyle czasu, by wpaść do domu, wejść na chwilę pod prysznic, przebrać się w czyste dżinsy i natychmiast pędzić z Billy na kolację, którą zjadali razem z Fifim, Svenbergiem, Sandrą Simon i Kennedym w pobliskiej garkuchni. Po kolacji oglądali zaś gotowy materiał.

Billy z radością myślała o pokazach, w ukształtowanej przez Hollywood wyobraźni widząc już prywatną salę projekcyjną, głębokie skórzane fotele, smużki dymu z drogich cygar, atmosferę przepychu i władzy, a w tle widmo samego Irvinga Thalberga. Okazało się, że musi się zadowolić salą starego kina, gdzie śmierdziało szczyną, a od podartych foteli można by pewnie było złapać setki straszliwych chorób, gdyby nie to, że dawno wyzdychały tam nawet bakterie. Na ekranie zaś trwała kotłowanina obrazów, które wydawały się być pozbawione jakiegokolwiek sensu. Kiedy Billy obejrzała już pięć dubli tej samej sceny, różniących się tylko drobnymi szczegółami, mogła sobie posłuchać, jak Vito, Fifi i Svenberg zajadle kłócą się nad wadami i zaletami każdego ujęcia, jak gdyby rzeczywiście było się o co spierać. Zaczynała więc znowu kipieć, nie mogąc znieść trwającego w nieskończoność dzielenia włosa na czworo. Nie miała pojęcia, dlaczego każda decyzja autorów filmu rodzi się w takich mękach. Przecież przynajmniej jedna osoba z tej trójki powinna mieć pojęcie, jak naprawdę powinna wyglądać ta scena, prawda? Billy zaczynała już podejrzewać, że jej artyści przeciągają proces w

nieskończoność, bo każdy chce się przed pozostałymi wykazać swoją władzą. Przesadna troska o obraz służy po prostu popisaniu się własną inwencją twórczą. Twórczą? Gównu! Trzej chłopcy bawią się w stawianie babek z piasku. Z piasku? Z gówna!

W kolejną sobotę, kiedy Vito zakończył omawianie z Fifim pewnych zmian w scenopisie, znalazł nareszcie trochę czasu dla żony. Zdjęcia trwały zgodnie z harmonogramem, a wywołany materiał zapowiadał wielkie rzeczy. Ponieważ Sandra Simon i Hugh Kennedy rzeczywiście nawiązali romans, sceny, w których wspólnie występowali, wibrowały przemożną zmysłowością, która aż tryskała z ekranu. Sam Fifi Hill musiał przyznać, że przy całym talencie nie umiałby aż tyle wydobyć z pary aktorów. Zdjęcia Svenberga miały w sobie nie spotykane dotąd natchnienie, a co najważniejsze, zdążył już się zepsuć generator prądu. Ponieważ podczas zdjęć generator psuje się zawsze, i to co najmniej raz, Vito był zadowolony, że zdarzyło się to już teraz, a nie pod koniec filmowania. Wszystko układało się pomyślnie. Faktura każdego ujęcia, wynik poszczególnych zdarzeń, przypadków, nieporozumień, pomyłek, poprawek, popieprzeń i polepszeń, napięcia, śmiechów, kłótni, zgody i wspólnej pracy, okazała się dokładnie taka jak trzeba.

- Vito - odważyła się nareszcie zapytać Billy, kładąc głowę na kolanach męża - czy ty nigdy się... nie niecierpliwisz?

Chciała zapytać, czy Vito nigdy się nie nudzi swoją pracą, ale „znieczierpliwienie” brzmiało dużo lepiej, gdyż nie przesądzało odpowiedzi.

- Czy się niecierpliwie? Niby kiedy?

- No, na przykład, pamiętasz, kiedy się zepsuł generator i trzeba było

siedzieć dwie godziny, dopóki go nie naprawili? Powiedzmy, że wtedy.

Powiedzmy, że zawsze, dodała w myśli. Powiedzmy, że dzień w dzień. Podczas każdej chwili, spędzanej nad idiotycznym filmem.

- Pewnie, nudzę się. Strasznie mnie wkurzają takie sytuacje, chociaż tak naprawdę nie mają znaczenia. Ostatecznie cała ta praca jest tak śmiertelnie nudna, że godzina mniej czy więcej na dłuższą metę nie sprawia mi różnicy.

- Nudna?!

- Oczywiście, kotku. Kochana moja Billy. Połóż głowę o tu, na podołku. Ach. Miło, prawda? W całej branży filmowej najnudniejsze są właśnie zdjęcia do filmu.

- Ale przecież nie wyglądasz, jakbyś się nudził! Wcale nie jesteś znudzony! Wiesz, o co mi chodzi. Odwrotnie, cały wydajesz się pochłonięty tym, co robisz, więc nie rozumiem... - Billy uniosła głowę z ciepłego gniazda między nogami Vita i ze zdumieniem spojrzała mu w oczy.

- Posłuchaj, to bardzo proste. Robota jest nudna, ale ja się nie nudzę.

- Dalej nie rozumiem.

- Zaczekaj, to dam ci przykład. Robienie filmu to trochę jak ciąża. Każda kobieta powie ci, że przez te dziewięć miesięcy przeważnie potwornie się nudzi. Kogo stać na to, żeby przez cały ten czas, dniem i nocą dumać nad „cudem narodzin”? A przecież co jakiś czas dziecko porusza się, zaczyna kopać, i cała sprawa zaczyna być prawdziwa, porywająca, wspaniała. Poza tym kobieta bez przerwy rośnie i rośnie, i to też jest ciekawe, a na końcu przychodzi na świat dziecko... I dlatego, chociaż ciąża jest nudna, kobieta wcale się nie nudzi. Poza tym w filmie

najlepsza zabawa zaczyna się później, po produkcji, przy montażu i udźwiękowianiu - dokończył Vito, wyraźnie zadowolony, że tak zgrabnie wszystko wytłumaczył.

- Teraz doskonale rozumiem - odezwała się zupełnie szczerze Billy. Zrozumiała w samej rzeczy, że Vito jest zarówno ojcem, jak i matką swojego filmu, ona sama zaś nie jest nawet krewną, a jedynie powinowatą, wżenioną w rodzinę.

Gówno i gówno! Ukochany mężczyzna Billy zabawia się jak nigdy w życiu, robiąc to, co potrafi najlepiej ze wszystkiego, ona zaś dławi się prawie ze złości. Wszystkie te brednie o dzieciach... Czy Vito ma w ogóle pojęcie o tym, czym jest ciąża? Kręcenie filmów to zajęcie dla dzieci i wariatów, złączonych wspólnym złudzeniem, że płodzą wielkie dzieło sztuki. Być może Vito rzeczywiście się nie nudził, ale ona, Billy, nudziła się, nudziła się jak zasrany mops!

* * *

Josh Hillman siedział z żoną przy stole, delektując się gotowanym łososiem na zimno i sałatką ogórkową. Jadalnia ich domu przy North Roxbury Drive mogła pomieścić przy stole pół setki biesiadników, a po wyniesieniu stołów dawało się w niej urządzić cocktail party na trzysta osób. Przyjęcia takie nie należały u Hillmanów do rzadkości, lecz tym razem para gospodarzy jadła kolację sama. Cała trójka dzieci wyjechała na lato do Francji szlifować francuski akcent.

- Jak ci minął dzień? - zapytał Josh, któremu skończyły się biurowe ploteczki. Zależało mu, by podtrzymać konwersację przy stole.

- Mnie? - zdumiała się lekko Joanne. - Poszłam na lunch z Susan Arvey. Susan chyba kwaśniej na starość. Nigdy nie była za słodka, a teraz

zrobiła się gorsza niż kiedykolwiek. Poza tym dowiedziałam się, że Prince ma w mieście pokaz swojej kolekcji w sklepie Amelii Gray, więc pojechałam tam i zamówiłam sobie trochę rzeczy na jesień.

- Jak się miewa Prince?

- Jak się... Josh, przecież nigdy go nie widziałeś na oczy!

- Owszem, ale... Opowiadasz mi o nim od tylu lat, że zacząłem go właściwie uważać za członka rodziny.

- Ale gdzie tam! - sprostowała ze śmiechem Joanne. - Nie wydaje mi się, żeby do nas pasował. Jesteśmy chyba dla niego za nisko urodzeni. Ale wygląda nieźle, jak zawsze, i jak zawsze był dla mnie przeuroczy. Poza tym przywiózł mnóstwo wspaniałych fasonów, o wiele ciekawszych niż zeszłoroczne.

A więc Prince nie wspomniał Joanne ani słowa o spotkaniu z Joshem. Adwokat sam się zdumiał, że czuje z tej przyczyny tak ogromne rozczarowanie. Wyćwiczony umysł, nawykły od nazbyt długiego już czasu do natychmiastowego znajdowania prawidłowych rozwiązań, podszeptywał odpowiedź, przed którą Josh wzbraniał się, ile sił. Josh liczył po cichu na to, że Prince odwali za niego całą brudną robotę. Był tak pewny, tak dokładnie przekonany, że projektant nie oprze się pokusie i opowie Joanne, że spotkał jej męża u boku Valentine na przyjęciu u Lace'a! Gdyby się tak stało, wszystko byłoby łatwiejsze - teraz zaś Josh sam musiał zrobić pierwszy ruch. Joanne tymczasem, która najspokojniej siedziała i dzwoniła na służącą, by ta uprzątnęła ze stołu, wydawała się doskonale pogodzona z obecnym życiem. Niech to wszyscy diabli porwą! Josh klął też na samego siebie, wściekły z powodu własnego tchórzostwa.

- Mrożonej herbaty, mój drogi?

- Poproszę.

* * *

Dolly Moon przybyła do Mendocino dopiero na początku trzeciego tygodnia zdjęć. Vito specjalnie rozplanował w ten sposób sceny, by opóźniając przyjazd Dolly zaoszczędzić tysiąc dolarów na jej kosztach utrzymania i trzy tysiące na jej gaży, określonej między innymi długością pobytu na planie. Cztery tysiące to z pozoru niewiele w budżecie w wysokości 2,2 miliona dolarów, lecz Vito aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że w pracy nad *Zwierciadłami* liczyć się będzie każdy cent.

Billy zauważyła nową postać na planie dopiero, kiedy Dolly i Sandra Simon przemaszerowały przed kamerą w scenie spaceru po uliczkach Mendocino. Niezmiernie zachwycił ją kontrast między dziewczętami. Sandra miała urodę poetycką, liryczną, delikatną, Dolly zaś była przebojowa i chyba trochę wręcz zbyt hojnie obdarzona przez naturę.

Podczas przerwy Billy ustawiła się wraz z innymi w kolejce do stołu, z góry czując dreszcz obrzydzenia na myśl o kolejnej konwersacji na temat życia, przygód i nieszczęśliwych przejść dwójki fryzjerów. Kiedy mijiała rynkę z kotletami wieprzowymi, usłyszała tuż za sobą słowa:

- Chyba się zaraz porzygam.

Billy odwróciła się pospiesznie i ujrzała za sobą zde gustowaną Dolly Moon.

- Co się stało?

- Jak to, co się stało? Nie widzisz, że wszystko na tym stole dosłownie pływa w tłuszczu?

- Na końcu jest biały ser z marchewką.

- Nigdy w życiu! Żołądek by mi się wywrócił na lewą stronę.

Słuchaj, a może byśmy tak... Chyba, że lubisz te świństwa, ale jeśli nie, mogłybyśmy się urwać i zjeść coś w miasteczku. Widziałam knajpkę z samoobsługowym bufetem, kanapki, avocado, chuda wędzona szynka, pieczona papryka, indyk na zimno, normalne jedzenie, które można wtrząsnąć bez zmieniania się w wieloryba. Co ty na to?

- Prowadź.

Ponieważ turyści zamiast sami jeść, woleli tłumnie obserwować posiłek filmowców, Billy i Dolly zdołały docisnąć się do wolnego stolika w pobliskim barze, gdzie oferowano zdrowe jedzenie, zimny bufet i domową włoską lasagnę. Dolly bez zbędnych słów pochłonęła potężną kanapkę, nie zwracając uwagi na Billy, która grzebiąc w paście z tuńczyka, przyglądała jej się z wielką ciekawością. Niektóre pasemka rozartowanych włosów Dolly były dokładnie barwy marmolady pomarańczowej, inne zaś ciemnoblond. Niebieskoszare oczy miały anielskie wejrzenie, a mały nos i wąska talia kontrastowały z resztą ciała, nad podziw dobrze rozwiniętą.

- Niezłe, nie? - zauważyła Dolly, na powrót nawiązując rozmowę.

- Niby co?

- Nie udawaj, że nie wiesz. Mój cyc i siedzenie. Myślisz, że nie widzę, jak mi się przyglądasz? A wiesz, chodziłam do mormońskiej szkoły i, jak miałam dwanaście lat, nie pozwolili mi zostać maskotką naszej reprezentacji futbolowej. Dyrekcja powiedziała, że byłabym nieodpowiednim symbolem. Nie było rady, musiałam się rozstać z Kościołem. Inna rzecz, że z innym wyglądem pewnie bym w ogóle nie dostała żadnej roli.

- Jak możesz tak mówić! Widziałam cię na filmie... To znaczy,

widziałam ten film, w którym zagrałaś. Masz prawdziwy talent aktorski, ogromny talent! - przerwała Billy tonem, w którym nie było ani odrobiny sztuczności.

Dolly rozpromieniła się, szczerze i otwarcie.

- O rany, wiesz, jesteś chyba pierwszą osobą, która mi to powiedziała. Normalnie każdy od razu patrzy na moje cycki i siedzenie, zamiast zwracać uwagę na to, co mówię. Założę się, że nawet gdybym grała lady Macbeth albo matkę Hamleta, albo Medeę...

- Albo Julię, Camille czy Ofelię, nie, posłuchaj, może byś zagrała Piotrusia Pana?! - Billy i Dolly zanosły się śmiechem na myśl o wszystkich rolach, które stanowczo nie wchodziły w rachubę.

- Boże, ale się cieszę, że cię spotkałam - odezwała się wreszcie Dolly, tłumiąc ostatni, niepowtarzalny paroksyzm śmiechu.

- Przyjechałam tu dopiero wczoraj wieczorem, nie znam w tej ekipie żywej duszy, a co najgorsze, mieszkam przez ścianę z Sandrą Simon, która, trzeba ci wiedzieć, przez pół nocy robiła z Hughem Kennedym rozmaite hałasy. Nawet się wstydzę opowiadać. Najważniejsze, że w takim układzie nijak się z nią nie zaprzyjaźnię, a sama wiesz, jak ciężko jest tkwić samej w plenerze.

- Zauważyłam - przytaknęła z pewnym wysiłkiem Billy. - Co to za dziwne hałasy, o których mówisz?

- No, kochali się z takim zapalem, że sama się podnieciłam, ale z drugiej strony chyba nie powinnam podsłuchiwać takich intymnych scen. Byłam cała czerwona ze wstydu. Kupię sobie dzisiaj zatyczki do uszu.

- Ach, więc to dlatego Sandra i Hugh zawsze znikają w czasie przerwy.

- Przez godzinę można wiele zdziałać, kochana. Pewnie jedzą rano duże śniadanie. Prawda, że miłość to coś wspaniałego?

- Nie powiem, że nie - przytaknęła z dziwnym rozmarzeniem Billy.

- Jak się wygląda tak jak ty... Mówiłaś, że jak ci na imię? Billy? Taka dziewczyna, jak ty, musi mieć miliardy facetów.

- Kiedyś miałam - sprostowała Billy - ale teraz trzymam się jednego.

- Ja właśnie się pozbyłam mojego jedyne. Cała historia trwała rok, ale co z tego? Okazało się, że ten skurwiel Sunrise woli swoje ogiery ode mnie. Sama wiesz, ciężko znaleźć sobie faceta, kiedy się wygląda jak dziwka. Próbowalam kiedyś włożyć zwyczajną ciemną perukę, okulary i zwyczajną kieckę, dwa numery za dużą, i wiesz, co się działo? Idę przez ulicę, a kierowca ciężarówki drze się do mnie: - Hej, zezowata, nie chcesz pogryźć mojej wędliny? - a zaraz potem natknęłam się na jakiegoś tragarza, który mi powiedział, że z takimi buforami, jak moje, mogę sobie darować okulary, bo nic mi nie będzie, nawet jak na coś wpadnę. Beznadziejna sprawa - westchnęła Dolly z miną melancholijnego druida. - No więc właśnie potrzebny mi normalny facet, byle nie nudny. Ktoś stateczny, wiesz, dentysta albo księgowy, czy ktoś taki... Kto jeszcze może być stateczny?

- Posłuchaj! Słuchaj, wiem, kogo ci potrzeba, Dolly Moon. Kiedy byłam parę lat młodsza niż ty teraz, pojechałam do Nowego Jorku. Mieszkałam tam z dziewczyną, która...

Dolly słuchała z przejęciem opowieści Billy o dniach z Jessiką, o zajęciach u Katie Gibbs, o sławetnych nocach z Żydami. Nie miała oczywiście pojęcia, że Billy nie rozmawiała równie otwarcie z inną kobietą właśnie od czasów, kiedy mieszkała w Nowym Jorku z Jessiką.

Przeciwnie, Dolly wyobrażała sobie, że jej nowa koleżanka zawsze jest taka - miła, rozgarnięta, ubrana w świetne ciuchy i ładna. Ponieważ obie bardzo sobie przypadły do gustu, wracając na plan obiecały sobie, że codziennie będą się wypuszczać na posiłek do miasteczka.

Kiedy zbliżały się obie do przyczepy charakteryzatorów, Dolly z żalem oznajmiła:

- Muszę tu od razu zajrzeć, Billy. Ale, ale, powiedz, co robisz w ekipie? Jesteś garderobianą, fryzjerką, inspicjentką?

- Służą i ci, którzy pokornie siedzą - zacytowała Billy słowa Milona.

- Nie chwytam.

- Siedzę cały dzień kołkiem i czekam, aż mój mąż Vito Orsini skończy zdjęcia.

- Rany boskie! To ty jesteś tą żoną producenta!

- Doiły, jeszcze raz powiesz te słowa, w życiu się ode mnie nie dowiesz, jak znaleźć Żyda. Schowam przed tobą najlepszych i nigdy ci nie dam ich telefonów. Mam być dla ciebie Billy, ty jesteś dla mnie Doiły, i wystarczy.

- Ale zaraz, nie jesteś w ogóle dumna, że jesteś... No, wiesz, co jesteś?

- Jestem okropnie dumna, że mam takiego męża, ale wcale nie jestem dumna, że jestem tym, kim wiesz, że jestem. Nikt z całej ekipy nie wie, czemu się kręcę po planie, ale wzięliśmy ślub raptem dwa miesiące temu, więc...

Dolly objęła „Żonę Producenta” ramieniem i powiedziała jej pocieszającym tonem:

- Posłuchaj. Ja sama przez rok wlokłam się wszędzie za ujeżdżaczem

koni, których się panicznie boję, więc doskonale wiem, jak się musisz czuć. Przynajmniej masz tę pociechę, że pan Orsini nie cuchnie końskim gównem, kiedy wieczorem idzie z tobą do łóżka. Aha, pan Hill powiedział mi, że mam razem z wami oglądać co wieczór gotowy materiał. Będiesz taka dobra, żeby usiąść przy mnie i tłumaczyć mi, o co chodzi? Nie mam zielonego pojęcia, po co się ogląda te skrętki. Grałam dotąd w jednym, jedynym filmie i wszystko mi się ciągle myli. Ejże, co ja takiego śmiesznego powiedziałam, co? Ty na pewno wszystko wiesz, bo jesteś żo... Billy, uspokój się, bo pęknieš ze śmiechu. No, spokój! Boże, gdzie ja podziałam chusteczki?

* * *

W środę, kiedy prace na planie szły pełną parą, zjawiła się wraz z kamerzystami Maggie MacGregor, która chciała spędzić pięć czy sześć dni kręcąc reportaż na temat Vito Orsiniego. Planowany tytuł brzmiał: „Jeden dzień życia producenta”.

Billy obserwowała wszystko, starannie ukrywając ponure myśli, podczas gdy Maggie beztrąsko buszowała po planie, wiedzona właściwym wszystkim telewizyjnym dziennikarzom niezłomnym przekonaniem, że cały świat z prawa powinien im służyć jako plac zabaw. W oczach tubylców z Mendocino Maggie była pierwszą prawdziwą gwiazdą, na którą można się było pogapić. Do widoku filmowców wszyscy ciekawscy tak już przywykli, że na wysiłki przy *Zwierciadłach* patrzyli jak na figle swoich psów, kotów czy dzieci. Odnosili się do filmowców nader przyjaźnie, ale z całej ekipy potrafili rozpoznać tylko Sandrę Simon. Gospodynie domowe pamiętały ją z niedawnej roli w serialu telewizyjnym - i tyle. Natomiast przed Maggie MacGregor klękali

wszyscy. Maggie była kimś. Przynajmniej jedna trzecia wszystkich rodzin w miasteczku oglądała co tydzień jej program, bo chociaż wszyscy ci ludzie uciekali do Mendocino przed cywilizacją, lubili wiedzieć, co dzieje się w brudnych wielkich miastach, którymi wzgardzili.

Maggie wtykała wszędzie nos, przeskakiwała beztrąsko przez kable, bez skrępowań odrywała od pracy kolejne grupy techników, zupełnie jak gdyby przejęła na własność całą ekipę kręcącą *Zwierciadła*, poczynając od osoby Orsiniego, a kończąc na ostatniej kredce do oczu w przyczepie charakteryzatorów. Czowała się jak u siebie w domu pośrodku zakazanego terytorium, któremu na imię film, i które oddzielała od Billy niewidzialna, nieprzenikniona bariera. Billy wodziła za nią kamiennym wzrokiem, z goryczą powtarzając sobie, że Maggie ma PRAWO tu być. Wielki Boże, komu trzeba się podłożyć, żeby uczynić rzecz odwrotną i uciec z planu filmu?

Z tego wszystkiego Billy postanowiła zrobić sobie długi spacer przez puste łąki wokół Mendocino. Odpocznie od filmu, znajdzie sobie na słońcu miły kawałek trawy i wyciągnie się, czekając aż wróci jej rozsądek, a z nim lepszy humor. Jej przyjaciółka Dolly miała grać w kolejnych ujęciach, Billy musiała więc sama wyruszyć na wędrowkę, by powrócić wypoczęta, odświeżona i pogodna.

Rzeczywiście, kiedy po trzech godzinach wróciła, czowała się jak inna kobieta. Słońce i bryza znad Pacyfiku odmieniły jej cerę - niestety, nie tylko one, bo również parzące liście rośliny zwanej trującym dębem. Trujący dąb rośnie na łąkach pod Mendocino w takiej samej obfitości jak kwiaty i tarniny, lecz mniej rzuca się w oczy. Następnego dnia Billy siedziała już w samolocie do Los Angeles, gdzie czekał na nią najlepszy

dermatolog na całym zachodnim wybrzeżu. Próbując się nie drapać patrzyła przez okno samolotu, zastanawiając się, czy warto było poparzyć się trującym dębem po to tylko, by uciec z Mendocino. Nie było to najlepsze wyjście, ale ostatecznie, Boże, wszystko jest lepsze niż pobyt na planie filmu.

* * *

Billy myślała tak jeszcze w samolocie, lecz szybko zmieniła zdanie, gdy sama dla siebie odkryła, że w porównaniu z trującym dębem amerykańska parząca winorośl to pestka. Co gorsza, najlepszy nawet lekarz może w takim wypadku co najwyżej uśmierzyć w niewielkim stopniu swędzenie i zapisać środki uspokajające oraz pigułki nasenne. Następne pięć dni upłynęło Billy pod znakiem upiornej, wlokącej się w nieskończoność udreki, którą trochę tylko osładzał fakt, że oparzenia nie sięgnęły twarzy. Vito dzwonił co wieczór, mimo że jego telefony niewiele były w stanie zmienić. Ileż można w końcu dyskutować o swędzeniu i współczuć chorej? Kiedy Vito próbował ją pocieszać z odległości setek kilometrów, Billy wyraźnie słyszała w tle głosy Svenberga albo Fifi i domyślała się, że Vito równie intensywnie jak o niej myśli w tej chwili o filmie. Owszem, zapytała, jak idą zdjęcia, ale prawie nie zwróciła uwagi na lakoniczne odpowiedzi męża. Skutek był taki, że co wieczór słowa: „Nic się nie martw, kochanie, wszystko będzie dobrze” - przewijały się i powracały raz za razem w denerwujących, na pół szczerych rozmowach przez telefon.

Po dziesięciu dniach Billy poczuła, że dochodzi do siebie. Znikały jej powoli potężne pęcherze na rękach, między palcami i na nogach, nie musiała też budzić się po dwadzieścia razy w ciągu nocy i stwierdzać ze

zgrozą, że drapie się przez sen. Powtarzała sobie, że nadal wygląda jak wyjęta psu z gardła, ale zaczęła nareszcie tęsknić za towarzystwem. Jakże brakowało jej w takich chwilach ciotki Kornelii, która potrafiła brać życie za rogi. Może, gdyby wysłać po nią samolot, odwiedziłaby ją Lilianne? Niestety, Billy z żalem przypomniała sobie, że każde lato hrabina spędza z Solange i Danielle, które powychodziły za mąż i mieszkały obie w Anglii. Nareszcie arystokratka mogła się cieszyć, że angielskie wnuczeta mówią do niej „babciu” i proszą, by im pokazać, jak przypieka się grzanekę na kominku. Wiedziona impulsem, Billy złapała za telefon i wybrała numer Jessiki Thorpe Strauss w Easthampton pod Nowym Jorkiem.

- Jessie! Jakie szczęście, że cię zastałam.

- Billy! Gdzie jesteś, kochana? W Nowym Jorku?

- Nie, w domu, w Kalifornii. Wracam do siebie po przygodzie z trującym dębem. Chyba sobie przetnę żyły, o ile je znajdę pod tymi pęcherzami.

- A to dopiero! Już sobie wyobrażałam, że wyjechałaś we wspianiałą podróż poślubną ze swoim boskim mężem, a tu?

- Niezupełnie. Powiedz lepiej, jak się ma twoja piątka uroczych dzieci i przecudowny David?

- Lepiej nie pytaj, serduszko.

- Ale co się stało?

- Ten drań zabrał całą piątkę na jacht i uczy ich żeglowania, codziennie od rana do nocy - a wiesz sama, że ja już w kajaku dostaję choroby morskiej. Ode mnie chcą ciągle suchych tenisówek, czy tam pokładówek, nie wiem i nie chcę wiedzieć, no i czystych skarpet. Co za upiorne lato!

- Jessie? A gdybym tak przysłała po ciebie samolot, może byś miała ochotę przylecieć do mnie na parę dni w odwiedziny? Siedziałybyśmy u mnie w domu, bo nie mogę jeszcze wychodzić na dwór, ale byłoby tak świetnie!

- Jak szybko mogłabyś przysłać ten samolot?

- Porozumiem się z pilotem i zaraz do ciebie zadzwonię. Jesteś pewna, że nie będzie kłopotu, jeśli w środku lata zostawisz tak całą rodzinę? Na pewno?

- Jaki kłopot? Ha, nawet im kartki nie zostawię! Dobrze im tak, skubańcom. Niech wariują i szukają mnie, gdzie im przyjdzie ochota, o ile w ogóle zauważą, że mnie nie ma. Pamiętasz Billy tę starą piosenkę o marynarzach, co to w każdym porcie mają narzeczoną?

Od lat czuję się właśnie jak taka porzucona żona, wiesz?

Jessica przybyła następnego dnia, wciąż cudownie przygarbiona, chociaż odkąd jej wątyły szkielet musiał nosić dodatkowe dziesięć kilo wagi, zamiast poetycką aurą przyjaciółka emanowała raczej kuszącym dostatkiem. Chociaż bliska już była ukończenia 38 roku życia, mężczyźni wciąż wzdychali, kiedy przymykając powieki wpatrywała się w nich krótkowzrocznymi oczami barwy fiołków przez mglistą zasłonę niesfornej grzywki (beztrosko przycinanej przez właścicielkę najlepszymi nożyczkami do skórek, kiedy już za bardzo przesłaniała świat). Mąż Jessiki, David Strauss, stał się tymczasem jednym z dyrektorów największego banku inwestycyjnego Ameryki. Billy zawsze zazdrościła przyjaciółce szczęśliwego, owocnego małżeństwa, szerokiego kręgu przyjaciół, cudownego talentu organizacyjnego i ciekawego życia, jakże innego od jej własnej egzystencji.

Przyjaciółki wznowiły rozmowę dokładnie w miejscu, w którym ją musiały przerwać podczas ostatniego spotkania przed czterema laty. Po dwóch dniach zdołały sobie nawzajem opowiedzieć prawie wszystkie ważniejsze przeżycia z tego okresu, a na pewno więcej, niż mogłyby sobie przekazać przez telefon. Billy czuła się już na tyle dobrze, że mogła siedzieć nad brzegiem basenu, w cieniu ozdobnego krzewu. Jessica wyciągnęła się na słońcu, z rozkoszą machając nogami w wodzie.

- Jak mi dobrze! - odezwała się po chwili. - Jak dobrze, jak niebiańsko i słodko jest nie mieć dzieci ani męża. Nie masz pojęcia, jak mi u ciebie błogo. Nie wiem, jak jest w nirwanie, ale założę się, że nie tak dobrze jak mnie teraz. Kto się skusi na czystą nicość, kiedy można pojechać do południowej Kalifornii?

- Ależ Jessie - Billy zaniepokoiła się nagle, sama nie wiedząc dlaczego - przecież ubóstwiasz całą swoją rodzinę. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że całe twoje cudowne życie jest tylko na pokaz, co?

- Och, moja droga, broń Boże! Uwielbiam moje milusie misiaki, ale czasami... Sama nie wiem... Nie, powiem ci, że najbardziej mi doskwiera to ciągle obmyślanie jadłospisu.

- Nie opowiadaj głupstw, Jessie. Masz najlepszą kucharkę na całym wschodnim wybrzeżu.

- Miałam, kochanie. Miałam najlepszą kucharkę do czasu, kiedy trzy miesiące temu pani Gibbons wyprowadziła się od nas. Wszystko zaczęło się przed rokiem, kiedy dziewczynki oznajmiły nam, że przechodzą na ścisły wegetarianizm. Trudno było mi z nimi dyskutować, prawda? Jarosze to taka czysta, szlachetna i przeraźliwie nudna rasa. Trudno, gorzej że bliźniaki przez bite sześć miesięcy odmawiały jedzenia czegokolwiek poza

pizzą. W żadnym wypadku nie funduj sobie bliźniaków, moja droga, we dwójkę nawet takie maleństwa stać na przeraźliwy upór. Żeby nie dostały szkorbutu, musieliśmy ucierać multiwitaminę na proszek i posypywać tym pizzę. Pani Gibbons zażyczyła sobie prawdziwego pieca do pizzy, więc jej taki sprawiłam, ale jeszcze się nie wyprowadzała, bo mogła ciągle gotować Davidowi. Wiesz przecież, że David jada wyłącznie francuskie dania, więc pani Gibbons była zadowolona, że ktoś ją docenia. Wszystko prysnęło w momencie, gdy mój David wrócił na łono prawdziwej wiary.

- Jakiej znów wiary!?

- Przeszedł na koszerną kuchnię. - Billy odpowiedziała tępym spojrzeniem, toteż Jessica tłumaczyła dalej: - Postanowił wrócić do wiary przodków, przejść bar mykwę, zaczął się uczyć hebrajskiego, czytać Stary Testament, no i nim się spostrzegłam, zażądał, żeby jedzenie w naszym domu było koszerne. Urządziliśmy mu w jednej ze spiżarni małą kuchenkę z palnikiem elektrycznym, gdzie może sobie gotować i je plastikowymi sztuczkami z papierowych talerzy. I znowu nie poszło nawet o to, że David nie chciał tknąć jedzenia pani Gibbons, nie. Po prostu, któregoś dnia zabronił jej się zbliżać do swoich utensyliów i powiedział, że pani Gibbons jest trefna. Trayf. Kiedy kobieta przypomniała sobie, jak przyrządzała mu w niemowlęctwie zupki, zawsze świeże, nigdy z puszek, tak się obraziła, że spakowała manatki i uciekła. Trudno mi ją oczywiście winić, ale od tamtego czasu zmieniłam dziesięć kucharek. Każda oznajmia mi, że w umowie nie było nic o prowadzeniu restauracji i ucieka przy pierwszej okazji.

- Biedna Jessie! - Billy zaniósła się śmiechem na widok zboląlej miny przyjaciółki. - Przepraszam, że się śmieję, ale kiedy sobie wyobrażę,

jak David gotuje rosół z kurczęcia... Co, może mi jeszcze powiesz, że zapala świece w piątek wieczór?

- Oczywiście, że zapala.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby go porwać do jakiegoś kościoła i szybko znów przechrzcić?

- Wypluj te słowa. Nie mówię, że mam łatwe życie, ale w ten sposób wiem przynajmniej, czego się mogę spodziewać.

- Czyli wychowujesz dzieci w religii ojca, tak?

- Ależ skąd, kochanie, wcale nie. Tylko chłopców. Dziewczynki to protestantki, ochrzczone w moim starym kościele, tym samym, w którym sama brałam chrzest. Bierzemy trochę przykład z Rothschildów: chłopcy muszą dźwigać brzemień rodzinnej tradycji po ojcu, a dziewczynki robią, co im się żywnie podoba. - Jessie umilkła i z ukosa zerknęła na Billy. Uspokojona, że nie przywidział jej się wyraz, jaki od dwóch dni obserwowała na twarzy przyjaciółki, odwróciła się od basenu i zaatakowała:

- Kiedy nareszcie przestaniesz robić dobrą minę i opowiesz mi o tym?

- O czym? Nie mam przed tobą nic do ukrycia. Od pierwszego dnia z tobą kwękam na poparzenie, a co sobie kwęknę, od razu robi mi się lepiej. Skąd ci przyszło do głowy, że nadrabiam miną?

- Przestań się zgrywać.

- O co ci chodzi, Jessie?

- A Vito?

- Vito?

- Twój mąż.

- Mój mąż?

- No pewnie, że twój. Czyj niby? - naciskała nieubłaganie Jessica. - Twój oblubieniec Vito.

- Vito jest cudowny. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że można mieć w sobie tyle energii, siły twórczej, zapału...

- Gówno prawda.

- Nigdy nie umiałam ci kłamać.

- Vito to dziesiątka?

- Ach, o to ci chodzi? Oczywiście, że tak. Co do tego możesz mi wierzyć.

- Dobrze, więc w takim razie, na czym polega straszliwa wada, nieznośny mankament, nieprzewidziany i nieuleczalny defekt?

- Kto mówi o jakichś defektach?

- Usłyszysz o nich od każdej żony, ze mną włącznie, zwłaszcza wieczorem, kiedy wybieram się do łóżka, a David dawno już śpi. Każdy mąż okazuje się pod tym czy innym względem żałośnie nie taki, jak trzeba.

- Ellis był inny - przypomniała Billy stłumionym głosem.

- Ech Billy, nie wolno robić niesprawiedliwych porównań. Przez całe siedem lat byłaś dziewczynką, dzieciątkiem Ellisa. Nigdy nie poznałaś przy nim, jak naprawdę wygląda życie z mężem, bo Ellis robił wszystko, żebyś była szczęśliwa i nic nie musiała. Odsunął na bok własną pracę, byleby tylko lepiej się tobą zająć. Zresztą później, w czasach jego inwalidztwa, też nie musiałaś być zwyczajną żoną. Nie krytykuję cię, broń Boże, mówię ci tylko, że nigdy nie zostałaś zmuszona do tego, żeby się nauczyć zasad gry.

- Jakich zasad? Jakiej gry? Mówisz tak, jakbyś cytowała jeden z tych poradników o tym, żeby włożyć obcisłe skórzane spodnie i zacząć się na męża ze szklaneczką dzinu z lodem w jednej ręce i uniżoną prośbą o podwyżkę koszyczkowego w drugiej. Nigdy bym się nie spodziewała usłyszeć tego od ciebie, Jessie. W głowie by mi nie powstało, że...

Jessica potrząsnęła głową i obrzuciła Billy spojrzeniem tyleż rozbawionym, co pełnym współczucia. Skąd w Billy ta wieczna ucieczka od rzeczywistości? Nikt normalny nie chodzi w skórze, a poza tym jej David miał hople na punkcie satynowych majteczek od Fernando Sancheza.

- Jaka gra? - powtórzyła powoli. - Gra w udane małżeństwo z facetem. Jej zasady to kolejne kompromisy, na które się musisz godzić, by osiągnąć cel.

- Kompromisy? - Billy ukłudy te słowa. - Odkąd wyszłam za męża, nic tylko idę na kompromisy. Jeden kompromis za drugim, kochana. Mała, posłuszna, potulna Billy, wyobrażasz sobie? Nie poznałabyś swojej starej przyjaciółki, gdybyś mnie mogła widzieć w Mendocino w roli Doskonałej Żony Producenta.

- Nienawidzącej całej tej imprezy.

- A pewnie. Jedno, co mi się podobało, to noce z Vito. Tylko wtedy ten facet naprawdę ze mną był - kiedy leżeliśmy w łóżku. Ciekawa jestem swoją drogą, czy w ogóle by mnie rozpoznał bez zaglądania mi pod sukienkę. Dobry jest tylko do łóżka.

- Jeżeli aż tak cierpisz, weź z nim rozwód.

- Czyś ty rozum postradała, Jessie? Przecież jest mi z nim jak w niebie. Mało miałam kłopotu, żeby go zdobyć? Nie oddam go teraz, o nie.

Nie wyobrażam sobie życia bez tego faceta.

- W takim razie zacznij iść na kompromisy. Z wdziękiem, z ochotą, z artyzmem, całym sercem.

- O nie! Chyba za dużo ode mnie wymagasz. Nie, nie ma mowy. Zaczynasz mówić jak jedna z tych naburmuszonych, znerwicowanych siostr Bronte. Nie słyszałaś o ruchu wyzwolenia kobiet? Dlaczego to ja, a nie Vito, mam iść na ustępstwa?

- Vito już na nie poszedł. Wbrew rozsądkowi ożenił się z tobą i nie ma nic przeciwko temu, żeby z tobą żyć, chociaż wie, że sto procent ludzi, z którymi się spotyka, uważa go za twojego żigolaka. A przecież Vito wcale się tym nie przejmuje ani nie zmusza ciebie, żebyś zmieniła styl życia, prawda?

- Ach, ty znowu o tym.

- To wcale niemało, Billy, a już zwłaszcza dla kogoś takiego jak Vito, z bagażem włoskiej, męskiej dumy, o której tyle mi opowiadasz.

- Pewnie masz rację. W porządku, zgadzam się z tobą, ale i tak... - Nawet Jessica najwyraźniej nie rozumiała całego problemu, pomyślała Billy z goryczą. O jakich ustępstwach mówiła? O zgodzie na błahe, pozamałżeńskie przygody, częste wśród bankierów z rezydencji w Hamptons i Nowym Jorku? O paru okazjach, kiedy David albo ona sama za dużo wypili na przyjęciu? A może chodziło o jakiś denerwujący zwyczaj Davida, z którego nawet on sam nie zdawał sobie sprawy? Lecz z drugiej strony, niezależnie od wyrzekań Jessie, cóż takiego robił w tej chwili jej mąż? Rozbijał się jachtem w towarzystwie dzieci, czyli czynił to, co każdy normalny człowiek w okresie wakacji. Odpoczywał, zamiast wszystkie myśli, uczucia i siłę woli skupiać na pracy nad kawałkiem

filmu. A poza tym, czego Jessica właściwie się spodziewa, skoro na jachcie dostaje choroby morskiej?

Jessica tymczasem spoglądała na Billy z matczyną wręcz troską. W jej wyrazie twarzy kryła się czułość, przeczucie tego, co nastąpi, i lęk przed skrzywdzeniem przyjaciółki. Ubolewała w duchu nad nieszczęsną Billy, która już teraz ma dosyć małżeństwa, chociaż nadal nie ma pojęcia, co oznacza życie w trwałym związku z drugą osobą. Kto nauczy Billy radzić sobie w chwilach, kiedy studnia miłości wysycha niemalże do dna? Jedynie wiara może wtedy ocalić związek, szczególnie wówczas gdy człowiek zaczyna się na serio zastanawiać, ile wspaniałych spraw mogłoby się przydarzyć, gdyby nie fatalna decyzja, by związać się z tą, a nie inną osobą. Kto nauczy Billy, jak przekazywać mężowi własne prawdziwe odczucia, pomimo pułapek zastawianych przez słowa i gesty? Porozumiewać się podczas tygodni i miesięcy, kiedy słowa przestają wystarczać? Wszystko to jest niesłychanie trudne, nawet jeśli nie brać pod uwagę sytuacji, kiedy - jak Jessica właśnie - ma się za teściową wielką damę, a ojciec pięciorga dzieci przestaje być dawną, namiętą dziesiątką. Nie, zdecydowała Jessica, nie da się pomóc Billy. Nawet najbliższa przyjaciółka nie poratuje drugiej wśród małżeńskich pułapek i trzęsień ziemi. Pozostaje tylko pocieszać się wzajemnie, bo choć niczego to nie rozwiązuje, druga osoba wie wówczas, że nie jest sama w nieszczęściu. Jessica podeszła do Billy i pocałowała ją we włosy.

- Każdy przechodzi coś takiego. Zwykła depresja po miodowym miesiącu - stwierdziła.

- Poczekaj, a za parę miesięcy nie będziesz nawet pamiętać, że coś takiego było. Wiesz, zjedźmy na obiad coś okropnie tuczącego. Jutro

możemy za to pościć albo chociaż odpuścić sobie śniadanie. Potrzeba nam czegoś takiego.

- Jak możesz mówić, że potrzebujesz czegoś, co tuczy? - zdumiała się Billy.

- Zwyczajnie. Nie słyszałaś o tej nowej europejskiej teorii na temat diety? Jeżeli odzwyczaiłaś swój organizm od tłustego jedzenia i nagle, zniemacka zjesz coś takiego, ciało przeżywa szok, od którego natychmiast tracisz na wadze. Oczywiście nie można sobie za często pozwalać na taki wyskok.

- Jesteś zupełnie pewna, że to naukowa teoria? - zapytała jeszcze Billy, zerkając na dyskretny, lecz wyraźny u Jessiki zarys brzuszka.

- Na sto procent. Gdybym nie urządzała sobie od czasu do czasu takiej kuracji, dawno ważyłabym tonę.

Obie przyjaciółki roześmiały się nareszcie i do końca wizyty Jessiki nie wracały już do tematu małżeństwa. Przed sobotą Jessica wróciła do Easthampton, bo choć nie spieszyło jej się wracać do jadłospisów, zaczynała ohydnie tęsknić do swojej opalonej gromadki. Wbrew wcześniejszym pogrożkom co wieczór dzwoniła do rodziny, a David na chwilę opuścił pokład i znalazł na suchym lądzie azjatyckie małżeństwo, które traktowało koszerną dietę pana domu z należyтым szacunkiem i sprowadziło własne głębokie patelnie, by dogodzić rodzinnej gromadce wegetarian.

- Przepraszam cię, Billy - szepnęła jeszcze Jessica, gdy stały obie przy schodkach prywatnego odrzutowca. - Nie bardzo umiałam ci pomóc, ale tylko tyle potrafię ci doradzić. Pamiętaj, że „każda władza, a co więcej, wszystkie ludzkie zajęcia i radości, wszystkie cnoty i roztropne uczynki

opierają się na ustępstwach i wzajemnej korzyści”.

- Boże, a gdzieś ty wyczytała takie kazanie, Jessie? Na makatce?

- Jeśli dobrze pamiętam, napisał tak Edmund Burke - uśmiechnęła się przewrotnie Jessica. Zawsze była niesłychanie dumna ze swojej pamięci do cytatów, która nieraz pozwoliła jej wyjść obronną ręką ze starć z teściową.

- Uciekaj dziewczynko z Vassar! - Billy ze śmiechem po raz ostatni uściskała przyjaciółkę. - Idź i nie grzesz więcej, czy jak tam. I pamiętaj, jestem ostatnim żyjącym świadkiem dni, kiedy nie byłaś ani taka cnotliwa, ani aż tak tolerancyjna.

* * *

W Mendocino tymczasem zakończył się kolejny przegląd materiału. Vito i Fifi Hill wrócili samochodem na kwaterę w ponurym milczeniu. Zaczęli rozmawiać dopiero, kiedy nalali sobie po szklaneczce i usiedli na rozlatujących się fotelach w wilgotnym dużym pokoju.

- Przegwizdane, Fifi - zaczął rozmowę Vito.

- Nawet ślepy by zauważył - przytaknął reżyser. - Wystarczy posłuchać, jak do siebie mówią...

- I tak już od dwóch dni. Jeszcze wczoraj myślałem, że dziewczyna po prostu źle się czuje, czy coś, ale dzisiaj na planie obserwowałem wszystko...

- A kiedy nie obserwujesz? - łagodnie zapytał Fifi, zbyt ponury, by silić się na sarkazm.

- ...bo miałem nadzieję, że jakoś się z tego otrząsną. Nic z tego i nie ma co się dłużej oszukiwać. Cały materiał z dwóch ostatnich dni jest do dupy, my jesteśmy dwa dni do tyłu ze zdjęciami, a ta dwójka gówniarzy,

zamiast grać, pokazuje nam jakieś bzdety.

- Użyłem wszystkich sztuczek, jakie tylko są, Vito. Nic z tego. Sandra milczy jak zaklęta, Hugh milczy, mówią, że grają najlepiej jak mogą, ona płacze, on wrzeszczy... Jedyne rady na nich dwoje to pluton egzekucyjny!

- Nie pluton tylko film, Fifi. Musimy zrobić film. Nie miałem czasu uprzedzić cię przed pokazem, że zaraz po obiedzie i Hugh, i Sandra podeszli do mnie, każde z osobna, i oświadczyli, że nie zagrają w scenach, które mieliśmy teraz kręcić.

- Nie zagrają?! - Fifi zerwał się z fotela jak oparzony.

- Nie zagrają w rozbieranej scenie, w naszej wspaniałej, pieprzonej scenie erotycznej, którą musimy nakręcić, bo inaczej siądzie nam cały film. Nie zagrają w najważniejszej scenie w całym zasranym filmie. Nie zagrają, powtarzam, nie zagrają sceny erotycznej.

- Coś im odpowiedział, Vito? Co im powiedziałeś? Przecież nie mogą nam tego zrobić! Rany boskie, Vito, zrób coś!

- Po pierwsze, Fifi, odwołaj zdjęcia, które mieliśmy robić jutro rano. Nie ma sensu. Pójdziemy w tym czasie obaj i pogadamy z tą parą młodocianych kretynów. Dowiemy się przynajmniej, o co chodzi. Dowiemy się, a potem zagonimy ich do roboty. Gorsze rzeczy zdarzają się na planie, a mimo to udaje się skończyć zdjęcia, sam wiesz, jak to jest.

- Wiem, wiem, ale co innego, kiedy kręcisz film o miłości i okazuje się, że nasz chłopiec z naszą dziewczyną patrzą na siebie jak na zdechłego kota, a co innego, kiedy się zwyczajnie psuje rekin albo pada deszcz, akurat kiedy potrzebujesz słońca. Sam pomyśl, Vito, przecież absolutnie wszystko w tym filmie zależy od tego, czy widownia uwierzy, że ta para

kocha się sto razy mocniej niż Romeo z Julią. Jeszcze przedwczoraj pierwszy bym w to uwierzył, ale dziś?

- Pora spać, Fifi. Znajdź mnie w hotelu na śniadaniu, to pogadamy.

Kiedy za nachmurzonym reżyserem zamknęły się drzwi, Vito usiadł i zastanowił się jeszcze raz nad sytuacją. O ile Fifi martwił się tylko faktem, że parze rozpuszczonych gówniarzy nie klei się gra przed kamerą, producent miał poważniejsze zmartwienia. Gdy Maggie przed dwoma tygodniami zjawiała się w Mendocino, powtórzyła mu wieść, w którą trudno mu było uwierzyć.

- Vito - powtarzała jednak uparcie - nie mogę ci powiedzieć, od kogo się dowiedziałam, ale wierz mi, że nie są to zwyczajne plotki. Arvey odgraża się, że skorzysta z klauzuli o przejęciu filmu i przy pierwszej sposobności zabierze ci *Zwierciadła*.

- Ale dlaczego, Maggie? Dlaczego?

Obydwoje wiedzieli, że klauzula, o której była mowa, wpisywana do większości kontraktów, głosi, że jeśli tylko producent przekroczy budżet, wytwórnia może natychmiast zastąpić go kimś innym. W praktyce stosuje się tę klauzulę niezmiernie rzadko, a kiedy setki producentów mniej zasłużonych niż Vito Orsini gwizdzą na kosztorys i przekraczają budżet, wytwórnie reagują najwyżej cierpkimi uwagami.

- Na ile mogłam się zorientować, od czasu Cannes Arvey aż kipi ze złości, że wyłożył pieniądze na ten film. Udzielił ci zgody tylko po to, żeby zagrać na nosie tej swojej wydrze Susan i pokazać jej, kto rządzi wytwórnią. Na moje wyczucie popisywał się tylko przed nią, a kiedy wzięliście z Billy ślub, poczuł się zrobiony w konia. On tu robi wielki gest, żeby pognać żonę, a ty tydzień później umykasz z Billy pod pachą. Ty

się żenisz z jedną z najbogatszych kobiet na świecie, a on dalej się musi męczyć ze swoją snobką z Filadelfii, która nie daje mu wydać dziesięciu centów nie przypominając, że to wszystko jej zasługa.

- Ale pieniądze są Billy... Ja nic do nich nie mam, rozumiesz?!

- Jasne, tylko spróbuj to wytłumaczyć Arveyowi. Powtarza teraz, że powinieneś sam kręcić filmy za forszę z posagu, zamiast marnować kapitał jego wytwórni. Nic mi nie mów, wiem, że nigdy byś nie poszedł na coś takiego, ale Arvey i tak się pieni. Uważaj, bo to ponury, zawistny facet i może ci się jeszcze dobrać do dupy. Uważaj, Vi to.

Przypominając sobie słowa Maggie, Vito uznał, że przyjaciółka ma świętą rację. Owszem, sam powinien był się czegoś domyślić, kiedy Arvey lekką rączką, bez oporu wyłożył pieniądze na *Zwierciadła*. Vito wierzył Maggie bez zastrzeżeń. Wszystko się zgadzało. Niestety, zgadzał się każdy szczegół.

Nazajutrz, tuż przed dwunastą w południe, Fifi Hill i Vito zaszyli się w ustronnym zakątku Mendocino Hotel i rozsiedli się wśród wiktoriańskich mebli, koronkowych zagłówek i palm w donicach niczym dwaj pokonani samuraje, którzy naradzają się, gdzie by tu najlepiej popełnić seppuku.

- To jakieś wariactwo - sapnął Vito. - Fifi, przecież nawet gdyby Sandra była zimnym trupem, ożyłaby po tym wszystkim, co jej powiedziałem. Próbowałem do niej dotrzeć na wszystkie sposoby, powiedziałem jej nawet prawdę, ale i prawda nie pomogła! Powiedziałem, że to największa szansa w jej życiu. Że zrobię z niej gwiazdę. Że nie może mi ani tobie wywinąć takiego numeru. Że po czymś takim nigdy już nie znajdzie pracy w zawodzie. Powiedziałem jej, że jej własna matka padnie

trupem z żalu i rozczarowania. Że trafi na czarną listę u wszystkich szefów od obsady i producentów na świecie. Błagałem, darłem się na nią, zrobiłem wszystko, chociaż nie, bo jej nie zerznąłem. Gdyby było trzeba, to bym zerznął, ale była taka lodowata...

- Daruj sobie te opowieści, Vito, przecież sam przy tym byłem!

Vito nie zwrócił najmniejszej uwagi na słowa znękanego reżysera i ciągnął w najlepsze:

- A ten mały wypierdek Kennedy? Też dobry, żeby mu tak kutas zgnił i odpadł!

„Zadzwoń do mojego agenta”, tak mi powiedział. Zaraz zadzwonię do agenta, doczeka się! Czy on nie wie, że będzie skończony w całej branży?

- Jest za głupi, żeby na to wpaść. Hugh nie należy do najbystrzejszych facetów, Vito. Ale jest jeszcze coś: nawet jeśli ich namówimy do rozbieranej sceny w takim nastroju, w jakim są, i tak guzik nam z tego przyjdzie.

- Może poczubili się tylko, jak to zakochani? Pójdę i jeszcze raz porozmawiam na osobności z Sandrą...

- Panie Orsini? - przerwał mu nieśmiały głos za plecami.

- O, cześć Dolly. Kochana Dolly, ostatnia normalna osoba w tym towarzystwie. Zmykaj, mała, i nie przeszkadzaj nam rozmawiać.

- Pomyślałam sobie, że powinnam panu coś powiedzieć, ale żeby pan nie myślał, że plotkuję, bo najpierw chciałam to powiedzieć Billy, żeby ona panu powiedziała, ale Billy jeszcze nie wróciła, więc pomyślałam...

- O co chodzi?!

- Bo to wcale nie tak, jak pan mówi. Słyszałam o tej „kłótni

zakochanych”, ale to nieprawda, bo jest jeszcze gorzej niż pan myśli. Słyszałam wszystko przez ścianę, jakoś sobie nie kupiłam tych zatyczek do uszu, zresztą nieważne, bo wszystko zaczęło się od tego, że Sandra oskarżyła Hugh'a, że ten kradnie jej sceny, szarżuje, chce się sam pokazać, no i...

- Fakt! - przyznał Fifi. - Szarżował. Powiedziałem mu parę razy, że nie gra sam w tej scenie, ale dalej próbował robić swoje.

- A Hugh, jak to usłyszał, zrobił się zły i powiedział, że Sandra nie umie grać, że jest królową telewizyjnej szmiry, a on prawdziwym aktorem scenicznym, wie pan, na co ona, że Hugh ma fiutka jak kciuk niemowlęcia, tylko niestety jest dużo miększy, a on na to, że jej cycków trzeba szukać z lupą, na co ona, że Hugh ma na dupie pryszczę, nie zwykłe, tylko zaropiałe, a on jej na to, że jeszcze nigdy nie spał z takim drewnem jak ona, i że jej cipa śmierdzi gorzej niż sklep rybny. A potem zaczęli się obrzucać tak okropnymi wyzwiskami, że się ich nawet wstydzę powtórzyć.

- Mniej więcej wiem, o co chodzi - uspokoił ją Fifi.

- Zatem - ciągnęła Dolly - nie ma mowy o kłótniach kochanków, bo Hugh i Sandra już się nie kochają, lecz nienawidzą. Znaczący, posunęli się za daleko. Bo o co chodzi: on naprawdę ma małego fiuta. Sandra powtarzała mu to cały czas, ale zawsze z humorem, nie złośliwie, coś w stylu „mały, ale jaki szatan”, no, sam pan wie.

- Tak, Dolly. Chyba rzeczywiście posunęli się za daleko. Dziękuję ci. Dobrze wiedzieć, co piszczycy w trawie. A teraz fruuj, kochanie, musimy się naradzić.

- No, to koniec, Vito - brzmiała opinia reżysera. - Takiej obelgi nie

wybaczy żaden mężczyzna, choćby chciał. Zresztą ten smarkacz wcale nie chce niczego wybaczyć.

Zapadło długie milczenie. Ozdobny, wiktoriański hali powoli zapełnił się spragnionymi turystami, którym dwie ładniutkie barmanki nalewały przy barze trunki.

- Będziemy kręcić z dublerami - obwieścił Vito. - Da się zrobić, Fifi.

- W rozbieranej scenie? Chyba oszalałeś!

- Nie twierdzę, że mam dobrze w głowie. Mówię tylko, że tak właśnie zrobimy. W miasteczku znajdzie się dość młodych sztuk, które od tyłu wyglądają jak Sandra, dla Hugh'a też się znajdzie jakiś dubler. Peruki, Fifi, najważniejsza rzecz to peruki. Zaraz wszystko zorganizujemy. Potem nakręcimy scenę dwa razy. Raz zagra Sandra z dublerem Hugh'a, raz Hugh z dublerką Sandry. Twarzy dublerów nie będzie widać, tylko plecy, tył głowy i resztę. Potem wetniemy jedno ujęcie w drugie i gotowe.

- Nie da się tego zrobić!

- A mamy inne wyjście?

Svenberg był oczarowany nowym pomysłem. Ciało było dla niego ciałem, światło światłem, a trudności techniczne wyzwaniem godnym mistrza. Kiedy Sandra grała z dublerem sekwencje, w których kocha się z Hugh'em, Vito odczytywał partie Hugh'a, a aktorka mu odpowiadała swoimi kwestiami. Kiedy z dublerką grał Hugh, partie Sandry czytała za nią Dolly. Po montażu prawidłowy dźwięk i obraz miały się znaleźć na swoich miejscach. Vito uparł się, by Hugh asystował przy zdjęciach z Sandra, i odwrotnie, dzięki czemu, dokładnie według oczekiwań producenta, każde z pary aktorów dało z siebie w miłosnych scenach wszystko, byle tylko dokuczyć temu drugiemu. Hugh i Sandra szli o lepsze

w odgrywaniu miłosnej gorączki i patosu, całkowicie oddając nagie ciała na łaskę równie nagich, obcych dublerów. Vito nie widział jeszcze na planie zdjęciowym równie dzikiego erotycznego rozpasania. Sandra i Hugh gorzeli płomieniem, czyniąc wszystko, by się nawzajem pogłębić. Nie trzeba było przeglądać materiału, by się domyślić, że przynajmniej ta jedna scena z filmu przejdzie do historii kinematografii.

Kiedy dwa wyczerpujące dni dobiegły końca, Fifi przypomniał Vito, że ciągle jeszcze muszą odrobić poprzednie dwa dni. Reszta scenopisu zawierała sceny, w których Sandra i Hugh nie znajdowali się sam na sam, a które, co za tym idzie, powinny pójść gładko. Ale co z dwoma zaległymi dniami?

- Przesiedziałem całą noc nad scenariuszem i wyrzuciłem z niego te sceny - uspokoił reżysera Vito. - O, zobacz. Musimy z tego i tamtego zrezygnować, ale najważniejsze rzeczy będą się zgadzały. Tyle, że Dolly będzie miała więcej roboty. Zobacz, jak to wszystko pasuje do moich poprawek.

Fifi przebiegł wzrokiem nowe stronice.

- Zgadza się, w porządku! Ale skąd wziąć czas na te zdjęcia? Vito wręczył mu kolejny plik kartek.

- Tych scen nie będziemy kręcić, nie są nam absolutnie niezbędne. Przewidziałem, że będą rozmaite luki i przejścia, najważniejsze, żeby się wszystko trzymało kupy. Wygląda na to, że jesteśmy tylko jeden dzień do tyłu, Fifi, a jeżeli nie będziesz umiał go odrobić, wylecisz na zbity pysk ze zrzeczenia reżyserów.

- Wrócił ci humor, skurwielu?

- Filmowcy to weseli ludzie, kolego.

Wracając do Mendocino na ostatni tydzień zdjęć Billy przekonała się, że nie co innego niż jej przygoda z parzącym dębem sprawiła, iż zniknęły bariery dzielące ją od reszty filmowców. Wielu pomocników, oświetleniowców, garderobianych i kamerzystów również padło ofiarą podstępnej rośliny, a co za tym idzie, Billy z Żony Producenta przeistoczyła się w ich oczach w towarzysza broni, wracającego na front z polowego szpitala, by ramię w ramię z innymi toczyć znów ten sam bój. Wszyscy, poczynając od rozmarzonego samotnika Svenberga, a kończąc na kierowcach od „kabin miłości” (jak nazywane są w tym gronie przewoźne toalety), radośnie witali Billy, machali do niej i pytali, jak się czuje. Wielu miało też wielką ochotę porównać swoje objawy z dolegliwością Billy. Szybko otoczył ją rozdyskutowany krąg, rozprawiający o zaletach zastrzyków z cortisonu i wadach maści kalaminowej.

Dolly i Billy jak przedtem zjadały razem posiłek. Billy, która swoim zwyczajem obliczała każdą kalorię na talerzu, nie mogła się napatrzeć na Dolly - obdarzoną rubensowskim biustem i pupą - lecz mimo to pochłaniającą kanapkę z avocado, majonezem, warstwą sera brie, warstwą szynki i warstwą siekanej wątróbki. Nie trzeba dodawać, że obie połówki olbrzymiej były posmarowane były grubo masłem, a na talerzu czekała porcja sałatki kartoflanej i dokładka majonezu.

- Niech to licho - odezwała się Dolly, wymiatając do czysta miskę sałatki - już nie mamy czasu, żeby jeszcze coś zamówić co?

- Jesteś jeszcze głodna? - Podziw w głosie Billy mieszał się z tonem wyrzutu.

- Chyba padnę. Widzisz, jak się zwymiotuje śniadanie, to do południa człowiek zdąży już zgłodnieć.

- Zwymiotuje?

- No tak. Na szczęście niedługo mi przejdzie. Zaczynam trzeci miesiąc, wszyscy mi mówili, że to najgorsza pora na poranne mdłości.

- Dolly! Wielki Boże, ale jak to się stało?

Dolly wzniosła oczy do nieba, a odgłos jej anielskiego chichotu zmieszał się z tłumionymi parsknięciami Billy. Kiedy trochę się już obie uspokoiły, Billy zapytała:

- No dobrze, ale co ty teraz zrobisz?

- Właśnie, niby powinnam z tym coś zrobić, ale wiesz, chyba mam naprawdę ochotę na dziecko. Zgoda, że to trochę wariacki pomysł, ale pogodziłam się z tym. Byłam już kiedyś w ciąży, ale nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, żeby urodzić, za to teraz...

Billy uznała, że Dolly plecie straszne bzdury. Nie było jasne, czy rzeczywiście aktorka po prostu chce dziecka, czy też chce się na kimś odegrać.

- Powiedz mi coś o ojcu - poprosiła Billy, chcąc przywołać Dolly do rzeczywistości.

- O Sunrise? Gdybym chciała, zaraz jutro wzięłby ze mną ślub, ale nie chcę. Co, mam do końca życia włączyć się za nim po pokazach rodeo? Powiem mu o wszystkim, jak już urodzę. Patrz, kto by pomyślał, że wystarczy przez dwa dni nie brać pigułki, żeby się tak wkopać?

- Powiedziałyby ci to każdy ginekolog. Ale, ale, Dolly co z pieniędzmi? Przecież będziesz musiała zapłacić za szpital, za pielęgniarkę, kupić ubranka... - Billy zamilkła, bo chociaż była przekonana, że z

posiadaniem dzieci wiążą się jeszcze inne wydatki, nie wiedziała dokładnie, jakie. Macierzyństwo nie leżało dotąd w sferze jej zainteresowań.

- Za to, co zarobię przy *Zwierciadłach*, mogę spokojnie przeżyć rok albo półtora, a potem się zobaczy. Jeżeli nie dostanę pracy, zawsze pozostaje mi Sunrise. O rany, Billy, wszystko samo się ułoży. Zawsze tak jest, wystarczy tylko mocno chcieć - zamruczała z cudowną beztróską, graniczącą wręcz z lekkomyślnością.

Billy z ukosa spojrzała na nową przyjaciółkę, która najwyraźniej nie posiadała się z radości z powodu ciąży. Gdyby ktoś potrzebował żywego optymisty, Dolly mogła mu służyć jako idealny eksponat.

- Tak sobie myślę... Nie wiem, co ty na to, ale... Czy dziecko będzie potrzebowało matki chrzestnej?

- Tak! Pewnie, że tak! - Dolly wyściskała Billy z takim entuzjazmem, że prawie ją udusiła. - Komu jak komu, ale tobie pozwolę na to na pewno.

Billy pomyślała, że w ten sposób przynajmniej będzie mogła zadbać o to, aby dziecku niczego nie zabrakło. Matka chrzestna będzie już umiała zadbać o pewne niezbędne wygody.

W myślach powróciły do niej obrazy chrzcin w Bostonie. Srebrne pucharki, pastor, herbatniczki, komplety mikroskopijnych łyżeczek i widelczyków. Może lepiej zamówić w prezencie codzienną dostawę czystych pieluch? Może kupić łóżeczko, stolik do przewijania albo wózek dziecięcy? Wszystko naraz, na początek, a potem się zobaczy.

* * *

Zdjęcia do *Zwierciadeł* zakończyły się, zgodnie z planem, we wtorek 23 sierpnia. Następnego wieczora miała się odbyć tradycyjna impreza.

Vito i Fifi padali z nóg, ale zarazem aż drżeli w radosnym uniesieniu. Jak wyjaśnili obaj Billy, tradycyjna impreza na zakończenie zdjęć odbywa się po każdym filmie i spełnia dwa zadania. Po pierwsze, można wówczas uczcić kres długiej mordegi. Po drugie, po paru kolejkach można nareszcie szczerze porozmawiać, wygarnąć komu trzeba wszystko, co się ma na wątrobie, pogodzić się i zakopać topory, które często błyskają na planie filmu - rzadko bowiem się zdarza, by zdjęcia odbywały się w idealnej harmonii.

Filmowcy od *Zwierciadeł* zarekwirowali na tę okazję pomieszczenia Mendocino Hotel. O dziesiątej wieczór przyjęcie nabrało już tempa. Ekipa zmiotła zawartość bufetu, którą uzupełniono po to tylko, by za chwilę znów oglądać puste talerze. Bar miał być otwarty dla wszystkich, dopóki ostatni biesiadnik nie odejdzie na spoczynek. W ostatni wieczór zdjęć nie ma powodu wcześniej iść do łóżka, lecz znalazły się dwie osoby, które w zupełnie niedwuznacznych celach wymknęły się cichaczem z imprezy.

- Vito! - szepnął Fifi, dławiąc się wręcz z wściekłości - czy ja dobrze widzę?

- Jeżeli widzisz Sandrę Simon i Hughę Kennedy'ego maszerujących do łóżka, to owszem, dobrze widzisz.

- Co? TERAZ się pogodzili?

- A kiedy? Za późno, żeby coś nam z tego przyszło, Fifi. Są takie chwile, kiedy bez stalowych nerwów nie da się lubić wybrańców sztuki aktorskiej. Dzięki Bogu, że mam w sobie trochę tolerancji.

- Oby dostał wzvodu i zdechł - syknął Fifi.

- Nie, oby zawsze miał przedwczesny wytrysk! - poprawił go Vito.

- Oby w ogóle mu przestał stawać.

- Nie, nie, Fifi. Trochę subtelności. Powinno być tak, że Hugh dostaje wzrodu, ale żadna baba nie zwraca na to uwagi.

- Przepraszam, panie Orsini - odezwał się dyrektor hotelu - ale w recepcji czeka jakiś pan. Mówi, że natychmiast musi się z panem zobaczyć. Przyjechał z wytwórni filmowej Arveya.

Przy recepcji rzeczywiście czekał na Orsiniego obcy mężczyzna, który przedstawił się lakonicznie jako przedstawiciel pionu prawnego wytwórni i wręczył producentowi list. Vito natychmiast domyślił się, co oznacza ta niemiła niespodzianka. Normalny list z wytwórni nie przychodziłby przez posłańca. Producent przebiegł wzrokiem pismo. „Zgodnie z treścią paragrafu... niniejszy kontrakt... w kwestii produkcji obrazu filmowego pod tytułem *Zwierciadła*... Zawiadamia się niniejszym, że wytwórnia... korzysta z prawa do przejęcia filmu, a to z tytułu przekroczenia przez producenta budżetu uzgodnionego przez obie strony...”

Vito przeniósł spojrzenie na prawnika, umiejętnie skrywając żądzę, by natychmiast bić, okaleczać i mordować. Dyskusja z wysłannikiem nie miała najmniejszego sensu. Wprawdzie według własnych obliczeń Vito mieścił się w kosztorysie, lecz udowodnienie tego faktu przed radą nadzorczą zajęłoby mu całe miesiące, w trakcie których dyrekcja i zgraja sprytnych księgowych uczyniłaby wszystko, by wykazać swoją rację. Może udałoby się wygrać w tym sporze, lecz na uratowanie filmu byłoby już za późno.

- To co? - odezwał się Vito. - Czego się pan napije?

- O nie, dziękuję. Przyjechałem ze ścisłym poleceniem, by przejąć od pana cały wywołany materiał, jaki pan tu ma, co do metra. Przykro mi, ale

takie otrzymałem wskazówki. Oczywiście zabieram także wszystkie negatywy. Mam ze sobą furgon i paru ludzi, którzy zaraz wszystko przeniosą. Zmyliliśmy szosę w drodze z San Francisco, dlatego musiałem panu przeszkodzić w zabawie.

- Jakże brutalnie z pana strony. Szkoda, że niepotrzebnie pan się fatygował, ale przy odrobinie szczęścia dostanie pan jeszcze nocleg w tym hotelu.

- Niepotrzebnie?

- Nie ma tu ani pół metra filmu. Negatywu też nie, w ogóle nic. Na pewno całość jest już w wytwórni.

- Pan dobrze wie, że tak nie jest - zdenerwował się prawnik.

Vito odwrócił się do Fifi Hilla i Svenberga, którzy wyszli za nim do hallu:

- Fifi, robiłeś coś z naświetlonym materiałem? A może chociaż wiesz, gdzie jest negatyw? Arvey pisze mi, że przejmuje produkcję, a ten pan chciałby zabrać wszystkie szpule.

Fifi zrobił zdumioną minę.

- Ja miałbym coś zrobić z materiałem? Skąd. Może Svenberg coś wie, ale ja? Per, wiesz coś?

Tykowaty Szwed potrząsnął tylko głową.

- Ja jestem od kręcenia, a nie od pilnowania filmu. Na pewno nie trzymam go pod łóżkiem.

- No właśnie - dokończył Vito. - Na pewno gdzieś się wszystko zawieruszyło w trakcie przewozu. Znajdzie się. Filmy nie giną ot, tak sobie, sam pan wie.

Prawnikiem jeszcze raz spojrzął na trzech zdziwionych filmowców. W

poniedziałek mógł uzyskać nakaz i siłą zmusić Orsiniego do oddania materiału, lecz do tej pory był w tej sytuacji bezradny. Życie w pionie prawnym wytwórni filmowej nauczyło go pewnych podstawowych faktów.

- W takim razie chyba się jednak napiję. Poza tym przegapiłem kolację. Czy może zostało coś u panów na stole?

Billy stała otoczona wianuszkiem wielbicieli, kiedy u jej boku wyrósł Vito i szepnął jej, żeby się zbierała. Pomyślała z początku, że za wcześnie na spoczynek, ale przyszło jej do głowy, że teraz, po zakończeniu zdjęć, Vito z pewnością umiera z pożądania.

Sentymentalnym gestem pomachała na pożegnanie swoim nowym znajomym i pospieszyła za mężem. Vito wyszukał boczne drzwi, którymi można było wyjść bez wzbudzania ogólnej ciekawości, wziął Billy pod ramię i co tchu ruszył w stronę samochodu. Uniesienie Billy nie potrwało długo - w wozie czekał już na nich Fifi. Ruszyli w stronę domu w milczeniu, którego Billy również nie przerywała, na wszelki wypadek.

Kiedy znaleźli się na kwaterze, Vito wyjaśnił żonie - w tych samych słowach, co kilka tygodni wcześniej Hillowi i Svenbergowi - jakie są zamiary Arveya. Dopiero po minucie Billy zrozumiała, że klauzulę o przejęciu produkcji da się wprowadzić w życie niezależnie od tego, czy Vito rzeczywiście przekroczył budżet.

- Mam za mało czasu, żeby im udowodnić omyłkę - stwierdził Vito ze smętną miną.

- Ale co ci mogą właściwie zrobić? - zapytała z głębin swej ignorancji zdumiona Billy.

- Wszystkie sceny są sfilmowane, robocza kopia wywołana, film jest

prawie gotowy, więc czego tamci jeszcze chcą?

- Chcą filmu. Chcą dać gotową taśmę któremuś z montażyстів wytwórni, żeby ją polepić na chybił trafił, pociąć obraz, jak się da najszybciej ułożyć w całość i puścić na ekran. Nawet nie zobaczymy, jak go zmasakrowali. Jak ich znam, wezmą później najtandetniejsze tło muzyczne, a przy obecnym humorze Arveya będą się z tym spieszyć, dodadzą parę efektów dźwiękowych i puszczą takiego Frankensteina do kin. Zrobią ze *Zwierciadeł* taki knot, że nikt nie uwierzy, że Fifi czy Svenberg mogli zrobić do spółki coś podobnego. Film tworzy się albo przeciwnie, ginie, właśnie w montażu.

- Nie zniosę tego, Vito! - jęknęła Billy.

- Ja też nie - uspokoił ją producent. - Dlatego cała taśma, co do ostatniego metra, leży sobie w sejfie w Fort Bragg. Negatywu też nie ma już w laboratorium w San Francisco, leży w skrytce, na moje nazwisko. Woląłem przedsięwziąć środki ostrożności zaraz po ostrzeżeniu od Maggie.

- A co na to Arvey? - zapytał Fifi, od samego początku wtajemniczony w te poczynania. - Nie puści nam tego płazem, co?

- Ten śmierdziel? Nie będzie miał innego wyjścia - odrzekł Vito, skupiony i ponury. - Oddam ten materiał wytwórni dopiero, kiedy będzie gotowy, zmontowany, z muzyką, ścieżką dźwiękową i całą resztą.

- Walimy z nim do Toronto? To masz na myśli? - zapytał Fifi.

- Nie, będziemy pracowali w Hollywood. Gdzie znajdziesz lepszych techników? Wszystko się uda, nawet jeśli przyjdzie nam robić montaż w pokoju hotelowym. Nie my pierwsi...

- W hotelu?! - przerwała Billy z entuzjazmem, uszczęśliwiona, że

nareszcie i ona może się przyczynić do powstania dzieła. - Po co, skoro mamy dom? Nie rozumiesz, Vito? Doskonale się nada. Prywatny teren, pomieszczeń, ile tylko zechcesz, strażnicy nie wpuszczą nikogo obcego. Ach, Vito, musisz się zgodzić! Proszę, zgódź się! - dodała na widok niepewnej miny męża.

- Jacy znów strażnicy? - zapytał ją Vito.

Billy leciutko się zarumieniła. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że Vito nic o tym nie wie.

- Od śmierci Ellisa każdej mojej rezydencji pilnują uzbrojeni strażnicy. Zawsze się bałam, że ktoś będzie próbował, sama nie wiem... Włamać się do domu, ukraść mi biżuterię, porwać mnie, czy coś takiego. Strażnicy nie rzucają się w oczy, chyba że wiesz, gdzie ich szukać. Poza tym przy bramie czuwa portier.

Obaj mężczyźni milczeli zdumieni. Owszem, szefowie mafii, gwiazdy rocka czy Sammy Davis Junior na pewno mieli swoich goryli, ale Billy Ikehorn? Każdy, kto ma równy jej majątek, najmuje ochronę osobistą bez zastanowienia. Sama Billy tak się przyzwyczaiła do obstawy, że w ogóle nie zapamiętywała twarzy strażników. Ochrona nie kosztowała wiele, ale była niezbędna, zupełnie jak rajstopy. Corocznie Billy kupowała sobie po tuzinie par rajstop w każdym kolorze, żeby zawsze mieć jakieś do dyspozycji. Dyktowała to prosta przezorność.

- Nie poznasz domu po tym wszystkim - ostrzegł ją Vito.

- Zgódź się, Vito, bo się zgodzę bez ciebie - poparł Billy reżyser. - Billy, kochanie, znajdzie się chyba u was jakiś kącik dla gościa? Chyba się wprowadzę. Jeśli mam pracować osiemnaście godzin na dobę, chcę mieszkać jak król.

- Dwadzieścia cztery godziny, Fifi, i to od zaraz - brzmiała odpowiedź Orsiniego. - Zabieramy mikrobus mieszkalny i walimy do Fort Bragg po film. Nie zostawię im ani strzępka taśmy. Billy, spakuj nas przez ten czas, kiedy będziemy z Fifim ładować towar. Musimy dźwignąć ze dwadzieścia ciężkich pudeł. Za dwie godziny powinniśmy być z powrotem. Jeżeli będziemy jechać całą noc, dotrzemy do domu, zanim ten prawnik zdąży się w ogóle obudzić.

- Jak chcesz, kochanie - Billy najlepiej jak umiała skryła swoją rezygnację. Trudno jej było w takiej chwili proponować pójście do łóżka. Nie zawsze daje się zaproponować strzemiennego.

* * *

Podczas następnych tygodni Billy znalazła zaledwie kilka sekund na zastanawianie się, co jej strzeliło do głowy, żeby sobie zmienić dom w wytwórnię filmową. Spodziewała się, że wszystko pójdzie jak z płatka - na pewno zaś nie była przygotowana na wlokące się w nieskończoność dni i noce gorączkowej, upartej, beznadziejnej harówki, która całkowicie zawładnęła życiem całej gromadki spiskowców. Rozległa, neogotycka rezydencja Billy prędko nabrała wyglądu azjatyckiej manufaktury połączonej z kotłownią, nie kończącą się imprezą, wnętrzem ściganego okrętu podwodnego, luksusową stołówką i komfortowym domem wariatów.

Oprócz Fifi dwiema nowymi lokatorkami zostały od pierwszej chwili Brandy White, niesłychanie bystra montażystka, z którą Vito współpracował już w przeszłości, oraz jej kochanka, a zarazem asystentka Mary Webster. Obie panie zapowiedziały w swoim otoczeniu, że wyjeżdżają wspólnie na wakacje, co nie zaskoczyło żadnej z pozostałych

utalentowanych lesbijek z Hollywood. Wyjechały niedaleko, bo do największej gościnnej sypialni u Billy.

- Będzie nam potrzebna jeszcze jedna sypialnia dla redaktorki scenopisu – usłyszała Billy od męża podczas długiej, nocnej jazdy z Mendocino do Los Angeles.

- A co robi taka redaktorka? - zapytała.

- Stenografuje wszystko, co montażysta, Fifi i ja mówimy podczas przeglądania taśm i spisuje wszystko na maszynie, po to, żebyśmy mieli ramówkę na następny dzień. Poza tym pilnuje, co się dzieje, odbiera telefony i tak dalej.

- Ja się tym zajmę - zapowiedziała Billy.

- Opamiętaj się, kochanie. Wiem, że chciałabyś pomóc, ale nie masz nawet pojęcia, jaka to nudna, drobiazgowa robota. Zwariujesz po tygodniu.

- Vito, zostaję redaktorką i tyle. Jeżeli zawalę obowiązki, możesz mnie wylać i zatrudnić kogoś nowego, nie obrażę się wcale, ale nie chcę stać i gapić się miętosząc fartuszek, jak wszyscy się zwijacie przy filmie. Mnie też zależy, żeby to był przebój, nie zapominaj o tym, co? Ostatecznie jestem Żoną Producenta! A do tego redaktorką scenopisu! Umiem akurat tyle, żeby się wam na coś przydać.

- Przydajesz się przecież. Odstąpiłaś nam dom, i w ogóle.

- Vito, nie rozmawiamy o prezentach, które wam ofiarowuję, bo tak się złożyło, że odziedziczyłam dużo pieniędzy. Mówię o własnym wkładzie pracy, czasu, energii, umiejętności... Dalej nie rozumiesz?

Vito zgodził się nie bez oporu, przekonany, że Billy nie wytrzyma długo w napiętej, gorącej atmosferze sali montażowej. Po pierwszym dniu

Billy poczuła jednak, że wracają jej dawne umiejętności ze szkoły Katie Gibbs. Nareszcie znalazła ujście dla tak długo tłumionego pragnienia, by na coś się przydać, więc z ochotą ślęczała przez długie godziny nad zadaniem. Z biegiem dni nauczyła się coraz lepiej rozumieć język filmu - podobnie jak dawno temu, kiedy w ten sam sposób nauczyła się francuskiego. Powolutku zaczęła rozumieć coraz więcej z zabiegów, które z surowej kopii przywiezionej z Mendocino miały uczynić film. Pojęła, dlaczego tak ważna jest przy montażu najdrobniejsza decyzja twórcy, nawet w przypadku gotowych, prześlicznie sfotografowanych i zagranych scen. Przekonała się, że w danym ujęciu wybór zbliżenia zamiast planu amerykańskiego potrafi diametralnie zmienić nastrój całej sceny. Przekonała się także, iż czasami trzeba wyrzucać do kosza wspaniałe fragmenty filmu, by utrzymać konsekwentne tempo albo klimat.

Biblioteka w rezydencji Billy, pełna wypożyczonego sprzętu, zmieniła się w salę montażu, a większy z dwóch salonów w salę projekcyjną. Kompozytor muzyki do *Zwierciadeł*, Mick Silverstein, siedział przy wielkim Steinwayu w dawnym pokoju klubowym, próbując różnych wersji podkładu do oglądanych obrazów. Po tygodniu zjawili się dwóch speców od udźwiękowania, by dzień w dzień znęcać się nad każdą kolejną szpulą. Nawet ukryci w najdalszym zakamarku domu robili przy tym taki hałas, że trzeba było przenieść ich warsztat do garażu. Jadalnia była w użyciu non stop, jako że nie sposób było w tych warunkach przewidzieć, kto i kiedy znajdzie wolną chwilę, żeby coś przegryźć. O siódmej rano zjawiali się na śniadanie Fifi, Vito, Billy, Brandy i Mary, a od jedenastej rano do północy na każde żądanie można tam było dostać posiłek.

Wiedza Billy o gospodarstwie domowym ograniczała się do dwóch zagadnień: czym najlepiej zmywa się plamy z krwi (zimną wodą) i jak wynająć dobrą służbę. Pierwszy z tych sposobów zdradziła jej ciotka Kornelia, kiedy Billy weszła w okres pokwitania. Drugiej sztuki nauczył ją Ellis. - Zatrudniaj tylko zawodowych służących - doradził jej - traktuj ich z należyty szacunkiem, płac przynajmniej 20 procent więcej niż wynosi normalna stawka, a wszystko samo powinno się ułożyć. - Chociaż jednak kucharz i kamerdyner Billy pracowali u niej od lat, po dziesięciu dniach chaosu i nieprzerwanej biesiady rozpieszczany do tej pory mistrz patelni uciekł, mrużąc coś pod nosem o dziwnych obyczajach i chlebobawcach bez serca. Kamerdyner okazał się dużo bardziej odporny, bo z własnej inicjatywy zatrudnił dwie dodatkowe kucharki i sprowadził dwóch kumpli z lat wspólnej służby kwatermistrzowskiej podczas II wojny, aby pomogli w gotowaniu. Trzy pokojówki po dawnemu starały się utrzymać wszystko w czystości, choć zgrozą napełniała je ilość śmieci, jakie wciąż tajemniczo wyrastały we wszystkich kątach, góry niedopałków, poplamione ściany, dziury w perskich dywanach, wygniecione pożyczonym sprzętem, a już najbardziej kobierzec w jadalni, który mimo ich największych wysiłków wciąż wyglądał jakby przeszła po nim dywizja wojska, rozlewając w marszu gulasz wołowy w śmietanie.

Jednym z wtajemniczonych był oczywiście Josh Hillman, który dzielił czas między rezydencję a biuro, pomagając lawiną oficjalnych dokumentów odeprzeć serię urzędowych pism, którymi studio bombardowało Orsiniego. Kiedy któregoś dnia przybył do Billy, przechodząc obok niezbyt skłonnych do żartów strażników, ujrzał tkwiących przed bramą trzech mężczyzn. Ich zadaniem było wręczyć

Orsiniemu nakaz stawienia się w sądzie, jeśli tylko producent przekroczy bramę.

- Arvey to człowiek bez wyobraźni - Josh podzielił się tą obserwacją z Billy. - Gdyby mu naprawdę zależało, wynająłby śmigłowiec, wylądował ze swoimi ludźmi na trawniku, wdarł się do domu i w ten sposób załatwił się z Vito.

Billy roześmiała się mimo zmęczenia.

- Wcale bym się nie zdziwiła. Arvey jest tak wściekły, że chwyci się każdego sposobu, prawda?

Hillman z trudnością rozpoznał Billy w roboczym stroju, to jest w dwuczęściowym dresie, dobrze już wypchanym na siedzeniu, w tenisówkach i z włosami zebranymi byle jak w koński ogon. Gdyby nie to, że nadal wpinała w uszy ogromne diamenty, wziąłby ją pewnie za... Nie bardzo wiedział za co, ale było faktem, że dawna Billy Ikehorn zniknęła bez śladu, ustępując miejsca wymęczonej, sprawnej, byle jak ubranej, obcej kobiecie, którą Josh porównywał w myślach z zawodowym drwalem, z jakiejś przyczyny udekorowanym diamentami. Wariackie tempo zawodowców stało się dla niej czymś normalnym, a ośmiogodzinny dzień pracy budził w niej pusty śmiech. Ciągący się w nieskończoność kryzys stanowił zwyczajne zjawisko, relaks zaś zakrawał na zupełne dziwactwo.

- Bronię was przed nimi, jak mogę, ale nie wiem, jak długo jeszcze dam radę – oznajmił Josh. - Jak wam tu idzie? Dużo czasu wam potrzeba?

- Widać już ład - westchnęła Billy. - Co dzień wysyłamy film do laboratorium, żeby zrobili nowe kopie, napisy, efekty wizualne i rozmaite inne rzeczy, których nawet nie rozumiem.

- Jak wam się udaje przemknąć obok tych zbirów przed bramą? - zdumiał się Josh, którego domeną były słowa i papiery, dla którego natomiast żywy film, przedmiot całego sporu, pozostawał zupełną abstrakcją.

- Wozimy go w zamkniętych furgonach. Czasem mają na boku reklamę sklepu Pioneer, czasem delikatesów Jurgensena, jutro zmieniamy furgon na wóz czyścicieli dywanów - pochwaliła się Billy, która była autorką całego fortelu.

- Dobrze, ale ile tygodni wam zostało do końca?

- Samego montażu pewnie ze dwa tygodnie. Wczoraj wieczór dzwonił tu agent Hilla, żeby mu powiedzieć, że Arvey zwalnia go z wytwórni z wilczym biletem i wnosi sprawę do zrzeszenia reżyserów. Twierdzi, że Fifi złamał warunki kontraktu i wziął udział w kradzieży. Agent boi się, że Fifi straci licencję reżysera.

- A co na to Fifi? - zapytał w popłochu Hillman.

- Powiedział agentowi, żeby ten powtórzył Arveyowi, że może sobie zrobić coś okropnie brzydkiego, nie powtórzę ci nawet. Aha, Fifi mówił jeszcze, że da sobie radę bez wytwórni i że ludzie ze zrzeszenia to jego przyjaciele, więc na pewno nie posłuchają Arveya.

- Oby się nie mylił - brzmiał ponury komentarz Josha. Nazajutrz agent reżysera zadzwonił powtórnie. Był o wiele bardziej zdenerwowany niż poprzednio.

- Słuchaj, Robin Hoodzie! - wydyszał do słuchawki - lepiej bierz dupę w troki i wrywaj z lasu Sherwood. Miałem dziś telefony z Metro i z Paramount. Jeżeli zapomniałeś, to ci na wszelki wypadek powtórzę, że to u nich miałeś kręcić dwa następne filmy. Arvey naszcekał im na twój

temat, więc chcą cię wykreślić z planów, a na nasze nieszczęście nie mamy jeszcze nic na papierze. Wiesz, że szefowie wytwórni to kumple, więc pytam, czy chcesz się skończyć jako reżyser? Mówię ci serio, Fifi, że cała twoja przyszłość wisi na włosku! Zrzeszenie nie będzie specjalnie dla ciebie zadzierać z wytwórniami. Jeszcze jeden dzień przy *Zwierciadłach* i znów będziesz kręcił reklamy. W świetle prawa ten film jest cudzą własnością, niezależnie od tego, jak sam to widzisz.

Następnego ranka Fifi nie zjawił się na śniadanie. Odchodząc wsunął pod drzwi sypialni Orsinich list, tyleż rozsądny, co przeraźliwie smutny.

- Nie mogę go winić - odezwał się posmutniały Vito.

- I tak zrobił dla nas więcej, niż się spodziewałem, ale rany boskie, szkoda że nie został jeszcze te dwa tygodnie.

- Mam trzydzieści stron notatek z jego komentarzami na temat ostatniej szpuli - pocieszyła go Billy.

- Ile stron?

- Trzydzieści, jeżeli nie więcej. Fifi cały czas siedział przed ekranem, przeglądał ten materiał raz za razem, a kiedy się tylko odezwał, zaraz to zapisywałam. Myślałam sobie, że lepiej notować, bo Fifi jeszcze może zapomni... Na pewno dużo wypowiedzi się powtarza, czasami Fifi po dwa, trzy razy zmieniał zdanie, ale wszystko mamy na papierze. Zaraz ci to przepiszę na maszynie.

- Najpierw zjesz porządne śniadanie! - wykrzyknął rozpromieniony Vito. - Sekretarka musi mieć siły, żeby bębnić w klawisze. Dokończę montaż razem z Brandy i Mary na podstawie notatek. Boże, Billy, jak ja cię kocham!

- Mam ci teraz powiedzieć: „A nie mówiłam?”

- Mów, ile zechcesz!

Przy śniadaniu Vito opowiedział parze montażystek, co się wydarzyło, i przestrzegł je, że im także może się przytrafić podobna historia.

- Wystarczy mi nerwów, żeby dokończyć montaż, Arvey czy nie Arvey - zaczęła z namysłem Brandy. - Poza tym, Vito, nie masz pojęcia, jak obsługiwać stół montażowy, a ja za diabła nie pozwolę ci psuć mojego. Musiałam sześć lat się pocić, żeby dostać licencję montażysty, nie będę więc cię wtajemniczać w zawodowe sztuczki. Nie martw się, nie uciekniemy z okrętu. Zostajemy do końca, nie, Mary?

- Jasne, Brandy - przytaknęła druga montażyстка, która odkąd zaczęła się praca, powtarzała te dwa słowa setki razy dziennie.

Ostatnim etapem obróbki *Zwierciadeł* było miksowanie obrazu. Procedura obejmowała pięć całonocnych sesji w niezależnym studio filmowym, gdzie nie zadawano żadnych pytań - choćby z ekranu lała się najostrzejsza pornografia - pod warunkiem, że płacono się na czas rachunki. Nawet inżynierowie ze studia nie znali jednak prawdziwego tytułu filmu. Vito oznajmił im, że pracują nad *Opowieścią z Mendocino*. Podczas ostatniej fazy prac łączy się ścieżkę muzyczną, dialogi i efekty dźwiękowe w jedną całość, a następnie z taśmą - obrazem, otrzymując gotową taśmę - matkę.

- Dajcie mi matkę, a ja pokażę wam film - oznajmił z dumą znużony Vito, pokazując na sześć podwójnej średnicy szpul z filmem. Taśma zajmowała dwa metalowe pudła.

Konająca ze zmęczenia Billy miała jeszcze siłę pomyśleć, że podczas ostatnich tygodni małżeństwo na pewno wzbogaciło jej słownictwo

filmowe.

Dwa pudła kryły w sobie ostateczny rezultat całych miesięcy nieprzerwanego wysiłku. Aby je stworzyć, potrzebna była współpraca setek osób, całkowite poświęcenie ze strony grupki twórców, wydatek ponad dwóch milionów dolarów i nieokreślona liczba cudownych zrządeń losu. Każda zmiana pogody, choroba aktorów, wypadek w laboratorium i setki innych spraw, które mogą się przydarzyć podczas kręcenia filmu, nie przydarzyły się jakoś, a nieunikniona seria wielkich i małych kryzysów nie zdołała złamać niewzruszonego postanowienia Vito, by nakręcić film w możliwie najkrótszym czasie. Orsiniemu sprzyjało niewątpliwie szczęście - i Billy.

W połowie listopada Vito miał nareszcie w ręku taśmę - matkę. Curta Arveya trzeba było szukać w Nowym Jorku. Jego kłopoty z Orsinim były zwykłą drobnostką w porównaniu z katastrofą, jaka zawisła nad wytwórnią wobec klapy głównego przedsięwzięcia w postaci obsadzonego gwiazdami musicalu filmowego opartego na Dickensowskim Klubie Pickwicka. *Pickwick!* pochłonał już 15 milionów dolarów, ale chociaż miał trafić do kin przed Bożym Narodzeniem, jako filmowa atrakcja dla każdej rodziny, zdjęcia zamiast zakończyć się przed paroma miesiącami, wlokły się dalej, a produkcja z dnia na dzień coraz bardziej grzęzła w miejscu. Autorzy przekroczyli swój budżet już o 3 miliony dolarów, toteż rada nadzorcza wytwórni wezwała Arveya do Nowego Jorku, by się z tego przed nią wytłumaczył. Niedoszły przebój, jakim miał być *Pickwick!* miał trafić przed świętami do zamówionych od dawna, wybranych 250 premierowych kin w całym kraju. Było jednak oczywiste, że nawet cud nie ocali wytwórni przed zawaleniem terminu.

Vito zatelefonował najpierw do Olivera Sloana, szefa pionu sprzedaży w wytwórni Arveya.

- Nareszcie mogę wam pokazać taśmę - matkę *Zwierciadel*, Oliver - rzucił od niechcienia.

- Cooo takiego?! Jak to... - dyrektor ugryzł się w język, by nie okazać zdumienia, że końcowa obróbka filmu zakończyła się tak niewiarygodnie prędko. - Pogadam, z kim trzeba, i oddzwonię do ciebie, Vito.

- O każdej porze - uspokoił go producent, świadomy, że nie usłyszy już od Sloana ani słowa, dopóki ten nie porozmawia z Arveyem.

Oliver Sloan z największą trudnością dodzwonił się do zwierzchnika w jego hotelowym apartamencie na Manhattanie. Rozmowa trwała krótko. Sloan odwiesił słuchawkę i westchnął pod adresem asystenta:

- Arvey powiedział, żeby na oczach Orsiniego spalić całą pierdoloną taśmę i wtrącić go do więzienia.

- I co ty na to?

- Myślę, że zanim cokolwiek spalimy, warto byłoby obejrzeć ten film. Pan Arvey nie jest dziś w najlepszym nastroju.

Po namyśle Sloan rzeczywiście zadzwonił do Orsiniego i z melancholią patologa, któremu kazano przeprowadzić dziesięcioletnią sekcję zwłok, wyznaczył na następny dzień pokaz gotowego filmu.

Nazajutrz o drugiej po południu spora sala projekcyjna zappełniła się do połowy członkami kierownictwa wytwórni, w tym dyrektorami pionów sprzedaży, reklamy i promocji. Czterech spośród szesnastu członków ścisłego kierownictwa przyprowadziło ze sobą sekretarki, które z tytułu wieloletnich zasług i mocą tradycji miały prawo oglądać najnowsze obrazy

filmowe. W filmie zabrakło wielkich nazwisk, toteż i zainteresowanie sekretarek *Zwierciadłami* nie było wielkie. Przyszły na salę głównie po to, by pierwsze spośród kobiecej części personelu wytwórni przekonać się, co takiego wypiczył nowy mąż Billy Ikehorn.

Zgodnie z obyczajem cała szesnastka bonzów nie okazywała na głos swoich reakcji. Podczas wyświetlania słyszało się tylko kaszel i od czasu do czasu trzask zapalniczek. Kiedy film dobiegł końca, cztery sekretarki szybciotko i bez hałasu wymknęły się bocznymi drzwiami, a mężczyźni - znów zgodnie z nakazem tradycji - siedzieli przez chwilę w milczeniu. Cisza była jednak głębsza i ciągnęła się dłużej niż zazwyczaj. Wszyscy czekali, co powie Oliver Sloan. Ten zaś odezwał się tylko: - Dzięki, Vito. To na razie! - i wyszedł z sali. Pozostali dyrektorzy wytoczyli się za nim, ściszonymi głosami rozmawiając o interesach i nie zwracając już uwagi na Orsiniego. Tylko niektórzy zaszczycili go krótkim skinieniem głowy. Vito opuścił pomieszczenie ostatni i co tchu popędził przez korytarz do dyrektorskiej toalety. Cicho wślizgnął się do wolnej kabiny i - czekał. Pierwszy głos, jaki usłyszał, należał do Olivera Sloana.

- Nooo, coś takiego! Pierwszy raz od czterech dni mogę wreszcie sięść na kiblu. Ta robota coraz bardziej przywiązuje człowieka do stołka.

- Już ty nic nie mów! Ja od tygodnia mam sraczkę z tego wszystkiego.

- Nooo, Jim, nie opowiadaj. Arvey dostanie ataku serca, ale gdyby nie ten film, zostałby z gołą dupą. Tymi *Zwierciadłami* można zapłacić wszystkie kina zamówione na Pickwicka! Cholerny Orsini! Co za fantastyczny film! Piękny, do diabła, piękny!

- Ja też mówię, że się uda, Oli. Ten film chwyci. Ile kopii

zamawiamy?

- Powiedzmy że 275, nigdy nic nie wiadomo. Pieprzony Orsini!

- Czemu dziewczęta tak prędko się zabrały? Skąd ten pośpiech?

- Chyba wstydziły się albo skończyły im się chusteczki. Przecież szłochały jak bobry.

- Sekretarki, byle co je wzrusza.

- Nooo, wiecie, jak to jest, baby zawsze płaczą, kiedy wszystko się nareszcie dobrze kończy. Jak to baby, nie panują nad uczuciami. Myślałem, że moja Gracie zacznie kwiczeć. Musiałem ją uszczypnąć, wiecie? Kto by się tam wyznał na kobietach. Gracie je na drugie śniadanie gwoździe, a potem nagle robi się cała sentymentalna.

Vito usłyszał już dosyć, uśmiechając się więc jak triumfujący Cezar, otworzył zasuwkę i od drzwi toalety zwrócił się do dwóch par lśniących butów, wystających spod drzwi sąsiednich kabin:

- Miło mi, że podobał wam się film, panowie. Srajcie spokojnie, ja funduję.

* * *

Valentine padła jak długa na kanapę, szczęśliwa, że po zwariowanym dniu w Scruples może nareszcie rozprostować nogi. Przez uchylone drzwi tarasu wpadał do pokoju ciepły listopadowy wietrzyk. Za kilka godzin z miejsca na kanapie można będzie obserwować wschód księżyca. Co za szalony dzień! Dziś wieczór Josh zamiast bardziej wymyślnych dań musi zadowolić się pizzą. Na razie jednak Valentine była zbyt zmęczona, żeby podnieść słuchawkę i złożyć zamówienie. Miała za sobą ostatnią serię przymiarek strojów orszaku weselnego z Portland w stanie Oregon - zaprojektowała kreacje dla wszystkich, poczynając od panny młodej, a

kończąc na druwnach i matkach obydwójga oblubieńców. Panna młoda zażyczyła sobie także kompletu sukien „na nową drogę życia”. Valentine nie miała wprawdzie pojęcia, gdzie w Portland można się pokazać w takich strojach (pamiętała mgliście, że Portland to zwyczajne przemysłowe miasto gdzieś na północy), lecz uznała w końcu, że jeżeli ktoś zamawia sobie garderobę za 40 tysięcy dolarów, na pewno spodziewa się niejednego zaproszenia na wielką fetę.

Valentine udało się też nareszcie skończyć szkice fasonów dla pani Byron przed jej zimowym wożem na pokładzie statku wycieczkowego. Skoro pani Byron w wieku 82 lat nadal trwała w przekonaniu, że jest okrutną femme fatale, Valentine pozostawało tylko uczynić wszystko, by zamaskować pomarszczone ramiona i dekolt podróżniczki. Również dzisiaj zwała się do Scruples większość jej najbardziej uprzykrzonych klientek, chcących zamówić sobie suknie na święta i na bale noworoczne. Ulubione klientki Valentine uczyniły to jeszcze w sierpniu, jak przystało na rozsądne kobiety. Valentine zmarszczyła uroczy nos na myśl, że istnieją osoby, które ze swoją nikłą wiedzą o krawiectwie wyobrażają sobie, iż wystarczy sześć tygodni na uszycie porządnej sukni. Była jednak pewna, że uda się dotrzymać wszystkich terminów. Niezmierną dumą napawała ją zarówno różnorodność własnych projektów, jak i sprawność pracowni, którą zarządzała.

Valentine rzeczywiście umiała w ciągu kilku sekund przestawić się z obmyślenia artystycznej, kuszącej sukni z czarnej koronki dla sędziwej damy w stanie zaawansowanego uwiądu i zabrać się do projektu ślubnej sukni o tak czystej linii, że właścicielka jeszcze za pięć lat mogła spokojnie włożyć ją na siebie bez obawy, że wygląda jak zabytek z innej

epoki. Praca była niezmiernie wymagająca, i to właśnie lubiła w niej projektantka. Przy projektowaniu wzorów odzieży gotowej nie można rozwinąć skrzydeł. Dopiero w Scruples Valentine znalazła ujście dla swoich talentów. Zresztą Bóg świadkiem, że nie miała nawet kogo posłuchać ani z kim kłócić się o wzory. Billy zniknęła jak kamień w wodzie i czasem tylko dzwoniła, żeby zapytać, co słychać. Valentine domyślała się, że w domu Orsinich dzieje się coś dziwnego - Josh wspomniał jej o tym raz i drugi - lecz najdziwniejszy ze wszystkiego był fakt, że Billy od wielu miesięcy, praktycznie od dnia ślubu, nie zamówiła sobie niczego nowego z ubrań. Co więcej, zamiast jak co roku starannie zaplanować jesienną garderobę, kupiła sobie tylko... dżinsy. Valentine, która nie wiedziała, co o tym sądzić, zapadła w drzemkę.

Godzinę później zbudził ją telefon z portierni na dole. Nie zgodziła się dotąd nakazać portierom, by wpuszczali pana Hillmana bez anonsowania go. Nie podobało jej się, że ktoś może bez uprzedzenia zastukać do drzwi. Josh miał swój klucz od mieszkania i musiał się tym zadowolić. Bolało go to i gniewało, lecz nic nie mógł poradzić na tę decyzję.

Zaspana Valentine spostrzegła, że Josh wygląda tego wieczora dziwnie uroczyście, trochę tak, jak gdyby ukrywał jakąś radosną nowinę, choć równie dobrze mógł być po prostu czymś zdenerwowany. Fryzurę miał jak zwykle nienaganną, tradycyjny w kroju garnitur za 450 dolarów nie miał na sobie jednej fałdki, lecz szare, poważne oczy adwokata przepełniało gwałtowne uczucie, którego źródła Valentine nie umiała się domyślić. Nawet węzłowi krawata nie dałoby się nic zarzucić - a mimo to Josh Hillman wyglądał tak, jak gdyby pod drzwi Valentine przyniósł go

huragan.

- Josh, nie mam siły dzwonić do pizzerii. Byłbyś może tak dobry i zamówił, nie wiem, wystarczy jedna duża, czy wolisz jedną dużą i jedną małą?

Zamiast zareagować na te słowa, Josh uklęknął przy kanapie. Valentine ziewnęła i przeciągnęła się. Po godzinnej drzemce czuła się nieobecna jak po podróży transatlantyckiej.

Josh złożył pocałunek na jej smukłej, wygiętej w łuk szyi, na skórze ramion, oczach i ustach. Dopiero kiedy się upewnił, że Valentine nie śpi, odezwał się:

- Pizzę odłożymy na inną okazję, najdroższa. Znajdź swoją najlepszą kreację, zjemy kolację na mieście. Zarezerwowałem dla nas na dziewiątą stolik w The Bistro.

- Ależ Josh! - Spośród wszystkich lokali w Los Angeles, właśnie w The Bistro najłatwiej się było natknąć na przyjaciół Josha i Joanne Hillman. Nie kto inny jak oni właśnie, a wraz z nimi spora grupa znajomych, dostarczyli kapitału na otwarcie tej modnej restauracji. Pójście do The Bistro na kolację z inną osobą niż własna żona było więc w wydaniu Josha szczytem samobójczej brawury.

- To moja niespodzianka - dodał Josh z wysiłkiem. Odwrócił do siebie Valentine i patrząc jej głęboko w oczy, ciągnął: - Nie, nie tylko kolacja w The Bistro, bo wiesz, od tej pory wszędzie możemy się już pokazywać razem. Wszcząłem sprawę o rozwód! - dokończył brawurowym tonem, odmłodniały i bardzo szczęśliwy.

- Rozwód - powtórzyła Valentine i zerwała się z kanapy. Jej pchnięcie prawie zważyło klęczącego Josha na podłogę:

- Tak, rozwód. Orzeczenie nabierze mocy dopiero za pół roku, więc do tego czasu nie będziemy mogli wziąć ślubu, ale wszystkie formalności są już załatwione i... - Josh nie miał najmniejszego zamiaru skarżyć się Valentine, ile trudu kosztowały go wszystkie przygotowania. Udało mu się jednak dopiąć swego, o czym był przekonany od samego początku. Nie ma takiej siły, przynajmniej w Kalifornii, która by pozwoliła kobiecie zatrzymać przy sobie męża żądającego rozwodu. Jest to tylko kwestia ceny. Dotyczy to także sytuacji odwrotnych.

Valentine zerwała się na równe nogi i cisnęła Joshowi w twarz słowa, których tonu nigdy by się z jej strony nie spodziewał:

- Sam podjąłeś decyzję, a mnie nie zapytałeś o zdanie? - wrzasnęła oskarżycielsko, z pobladłą twarzą, wykrzywioną we wściekłym grymasie.

- Ależ kochanie, przecież wiedziałaś, co chcę zrobić. Powiedziałem ci w samolocie, jakie mam zamiary, nie pamiętasz? Myślałaś, że to tylko słowa?

- A ty myślałeś może, że żartuję?

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi...

- Dałam ci bardzo dokładną odpowiedź: niepewne „być może” i nic poza tym. Nie mów mi, że zapomniałeś! I z takim czymś poważyles się wszcząć sprawę o rozwód?

Valentine pluła z wściekłości i pogardy, omal nie wyrywając sobie płomiennych włosów.

- Kochanie, kiedy kobieta mówi: „być może”, wiadomo, że chce przez to powiedzieć, że się zgadza. To się samo przez się rozumie, chodzi jej tylko o to, żeby głośno nie powiedzieć „tak”.

- Do wszystkich diabłów, jak śmiesz mi opowiadać takie bzdury,

Josh! Jak śmiesz mi wmawiać, że jeśli z miejsca i kategorycznie nie odpowiedziałam NIE, musi to znaczyć, że się zgadzam? Za kogo mnie bierzesz, co? Za płochliwą panienczkę, która flirtuje udając, że się nie zgadza, i woli żeby facet podjął wszystkie decyzje za nią, postawił ją przed faktem dokonanym? Pomyliłeś stulecia, już nie te czasy, przyjacielu - dodała Valentine, dotknięta tym wszystkim do żywego.

Josh zamarł. Tak przywykł do stawiania na swoim, że zlekceważył ewentualną reakcję Valentine. Uświadomił sobie nagle ze zgrozą, że nie doceniał Valentine od samego początku znajomości. Pospiesznie odwrócił twarz i stał bez ruchu, przesuwając palcem po abażurze lampki nocnej. Kiedy się wreszcie odezwał, w jego głosie słyszało się tak wielkie poczucie klęski i nienawiść do samego siebie, że Valentine nawet wbrew sobie wysłuchiwała go do końca.

- Nie potrafię z tobą walczyć, Valentine. Wszystko przez to, że nie umiem cię nigdy zrozumieć, brak mi wyczucia... Kiedy chodzi o ciebie, zawsze robię nie to, co trzeba. Nie mówiłem ci wcześniej o tych planach, bo nie chciałem, żebyś się czuła winna mojego rozvodu. Nawet przez minutę nie przeszło mi przez myśl, że twoje zdanie się nie liczy. - Kiedy się odwrócił, miał w oczach łzy. - Tak bardzo cię kocham, Valentine. Dlatego robię różne głupstwa. Powiedz, że ty też mnie kochasz... Powiedz!

Valentine przytaknęła, choć uczyniła to z ciężkim sercem. Uznała, że chyba rzeczywiście kocha Josha, skoro jest z nim od tak dawna. Poza tym co się stało, to już się nie odstanie. Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby zwyczajnie i po prostu odrzuciła jego oświadczyzny, sama więc także nie była bez winy. Wobec uporu Josha dała się wciągnąć w sprytną

pułapkę. Czuła się winna niczym dziecko, które bawiąc się zapalkami, podpałiło dom - dom, z którego wnętrza nie mogli się teraz wydostać ludzie. Walczyły w niej trzy sprzeczne uczucia: miłość, poczucie winy i - co najważniejsze - głęboki, rozpalający się dopiero gniew.

- Idź już, Josh. Muszę jeszcze raz wszystko przemyśleć. Poza tym i tak by mi się nie śniło pójść z tobą do The Bistro. Co za obrzydliwy pomysł! Każdy, kto słyszał o twoim rozwodzie, patrzyłby na mnie od razu...

- Te moje zasrane pomysły! Dawno nie wymyśliłem czegoś tak głupiego. Ja chyba oszalałem, Valentine. Proszę cię, proszę, pozwól mi przynajmniej zamówić pizzę, dobrze? Nie wspomnę już słowem o decyzjach, przysięgam.

Niepewnie i z ociąganiem Valentine wyraziła zgodę. Poczowała zresztą nagle przeraźliwy głód. Miłość, poczucie winy i gniew razem wzięte nie potrafiły oduczyć jej żołądka francuskiej precyzji.

- Dwie pizze ze wszystkimi dodatkami - przytaknęła. - Powiedz im, że nie zobaczą pieniędzy, jeżeli znów zapomną dodać salami.

* * *

W pierwszym tygodniu grudnia *Zwierciadła* weszły na ekrany dwustu pięćdziesięciu pierwszorzędných, premierowych kin w których miał początkowo iść *Pickwick!* Ten ostatni film w dalszym ciągu nie został ukończony, choć twórcy przekroczyli już budżet o 4 miliony dolarów. Arvey zgodził się wprowadzić *Zwierciadła* na ekrany nie dlatego, że miał na to ochotę, to jedno nie ulegało wątpliwości. Mając jednak w perspektywie całkowitą klapę świąteczną, wybrał mniejsze zło. Inne wytwórnie wypuszczały całą serię monumentalnych obrazów dla

milionów - on zaś mógł pokazać tylko skromną historię o miłości, bez gwiazd i bez reklamy towarzyszącej wielkiej premierze. Nic dziwnego, że zamówił sobie wizytę u gastrologa i prześwietlenie górnego przewodu pokarmowego. Od lat udawało mu się uniknąć wrzodu żołądka, lecz obecnie po każdym kęsie jedzenia czuł piekący ból, którego nie mogło uśmierzyć zwyczajne mleczko magnezowe.

Pierwsze recenzje prasowe nie poprawiły Arveyowi trawienia. Powszechnie wiadomo, że krytycy filmowi mają gdzieś fakt, że film cieszy się popularnością wśród milionowej widowni. Utało się, że tłumy walały właśnie na filmy wyklęte przez recenzentów i unikają jak zarazy dzieł wychwalanych w prasie pod niebiosą. Jak większość ludzi Hollywood, Arvey uważał, że krytycy nie mają pojęcia o gustach przeciętnych Amerykanów, są przemądrzali i przerafinowani. Nic więc nie znaczył fakt, że *New York Times* nazwał *Zwierciadła*:

„prawdziwym cudem, ukoronowaniem całego gatunku, mistrzowskim tworem i arcydziełem”. Widownia z zapadłego miasteczka w Iowa sra na ukoronowanie gatunku. Co z tego, że *Los Angeles Times* stwierdził, iż Fiorio Hill i Per Svenberg „dodali nowy rozdział do historii filmu”? Wielkie rzeczy! Historia filmu ma milion rozdziałów. W *Newsweeku* z kolei stwierdzano, że „kinematografia nie знаła do tej pory podobnego fajerwerku niepokojącej emocji wizualnej”, ale czy ludzie ustawiają się w kolejce do kasy po „emocję wizualną”? Jedyne recenzje, z którymi Arvey się w ogóle liczył, pochodziły z czasopism fachowych, z *Variety*, *Daily Variety* i z *Hollywood Reporter*. Tam zaś pisano: „Podobnego filmu nie zdarzyło się nam oglądać od *Love Story*”. Eee tam, widać, że ktoś tak napisał dla pieniędzy.

„Od czasów *Rocky* nie było...” Odpukać w niemalowane, oby facet się nie mylił w prognozie.

„Od czasów *Mężczyzny i kobiety* nie...” Tu znów mowa o zagranicznym filmie, który jednak także zrobił kasę. A więc...

Pierwszy tydzień zwabił niewielu widzów. Szefowie pionów reklamy i sprzedaży nakłonili Arveya, by wydać więcej pieniędzy na rozpropagowanie filmu, zwłaszcza za pośrednictwem telewizji. Obaj wicedyrektorzy mieli w pamięci fakt, że ich sekretarki natychmiast popędziły obejrzeć film po raz drugi, tym razem nie w sali projekcyjnej, gdzie rządziła męska tyrania, lecz w kinie, gdzie można było szlochać, ile się tylko chciało. Ile by się frazesów nie powiedziało na temat babskich sentymentów, obie zahartowane w bojach sekretarki nie należały do typu tkliwych kobietek. Nie rozplakałyby się, gdyby im wbijać szpilki pod paznokcie, jeżeli więc chciały specjalnie zapłacić, żeby obejrzeć ten film jeszcze raz, Pytia delficka nie mogłaby wypowiedzieć na temat *Zwierciadła* pomyślniejszego proroctwa.

Przeciętny film zarabia na sobie najwięcej w pierwszym tygodniu. *Zwierciadła* tymczasem w drugim tygodniu przyciągnęły dwa, a w trzecim trzy razy więcej publiczności niż na początku - widomy znak, że do kin zaczęli chodzić studenci, zjeżdżający do rodzinnych domów na przerwę semestralną. Fachowcy mówią o filmach cieszących się dużym zainteresowaniem po pierwszym tygodniu, że „mają nogi”. *Zwierciadła* w myśl tego powiedzonka okazały się stonogą. Jakim cudem? Czy było to zasługą pogłoski? Może jednak recenzji? Sezonu świątecznego? Jak zwykle, nikt nie wiedział, dlaczego się tak dzieje. Było jednak faktem, że *Zwierciadła* okazały się bombą z opóźnionym zapłonem. Wytwórnia

przeznaczyła nowe sumy na reklamę, a dziennikarze z pism i magazynów ilustrowanych zgłosili się sami.

Dziennikarze najbardziej ze wszystkiego uwielbiają filmy, które sami mogą odkryć i przedstawić szerokiej publiczności. Zwykle bowiem już na trzy miesiące przed premierą muszą do znudzenia wysłuchiwać peanów na cześć dzieła z ust agentów prasowych wytwórni. Każdy reporter, który zgłaszał się po wywiad do Sandry Simon i Hugh'a Kennedy'ego, miał wrażenie, że odkrywa nieznane lądy. Potem przyszła kolej na wywiady z Fifi Hillem, a nawet z Perem Svenbergiem, który do tej pory cieszył się uznaniem raptem paru tysięcy fanatyków kinematografii. Nareszcie usłyszały o nim teraz miliony ludzi, jak tego zawsze pragnął. Nikt natomiast nie pofatygował się, aby zrobić wywiad z Orsinim, który ostatecznie był tylko producentem filmu.

Kiedy nadeszły święta, *Zwierciadła* zdążyły już się wspiać na pierwsze miejsce na liście najbardziej dochodowych filmów w Variety. Vito uznał, że może już przerwać milczenie i porozmawiać z Arveyem. Co wieczór jeździł z Billy pod kino w Westwood, ciesząc wzrok widokiem olbrzymiej, cierplivej, wesołej kolejki na *Zwierciadła*. Życie małżeńskie także powróciło na dawne, szczęśliwsze tory, a w rezydencji zapanował prawie taki sam spokój jak dawniej - tym bardziej że Vito sam chciał przynajmniej tam zaprowadzić porządek.

W gabinecie Arveya spotkało go chłodne przyjęcie. Dyrektor, który dał się już raz wykiwać w kwestii przejęcia filmu po zdjęciach, nie chciał nawet słyszeć o rozstaniu się z obrazem. *Zwierciadła* stanowiły na tym etapie jego „własność”, tak jak podczas zdjęć film był własnością reżysera. Któż zresztą, jeśli nie on, dał szansę Orsinimu? Kto, jeśli nie on, zadbał o

to, by film przed Bożym Narodzeniem trafił do kin? Prezes wytwórni filmowej musi odznaczać się niepospolitą wyobraźnią. O tak. Wyobraźnią i odwagą.

- Vito, od przyszłego tygodnia puszczam *Zwierciadła* do 1500 kin w całych Stanach - oznajmił imperatorskim tonem Curt Arvey.

- Co?!

- Spójrz prawdzie w oczy. *Zwierciadła* to fuks. Kasę napędzają tylko małolaty, kiedy więc za dwa tygodnie rozjadą się do szkół, na widowni zrobi się pusto. - Arvey uśmiechnął się z zadowoleniem na widok wyrazu twarzy Orsiniego. - Zanim się to stanie, chcę wydoić ten film, ile się tylko da. Bierz forszę i w nogi. Nie mów mi, że nigdy nie słyszałeś o takiej zasadzie.

- Nie możesz tego zrobić, Curt! - Vito aż podskoczył, ale nie tracił rozsądnego tonu. - Film się dopiero rozkręca. Zaraz po świętach będą go chcieli obejrzeć rodzice tych małolatów, młode małżeństwa i w ogóle cały pieprzony kraj. Jeżeli zburzysz teraz strukturę dystrybucji i zaczniesz puszcząć *Zwierciadła* w podrzędnych kinach, zniszczysz całą legendę, cały szum wokół filmu.

Arvey nachmurzył się.

- Dojdzie do tego - ciągnął Vito - że w tydzień zgarniesz połowę albo i mniej forsy, którą byś dostał, zostawiając film tak jak jest. Zostaw go w spokoju, niech zainteresowanie narasta samo. Nie myśl, że nie rozmawiałem z ludźmi z kolejek przed kasą. Niektóre z tych dzieciaków szły na *Zwierciadła* trzeci albo czwarty raz. Zrozum, Curt, te kolejki są tak samo ważne jak film. Puść go w tysiącach kin, a za tydzień wszyscy zapomną, że były jakieś *Zwierciadła*. Muszę ci to tłumaczyć, na litość

boską? - Vito nachylił się i oparł o blat wielkiego biurka Arveya. Nie mógł uwierzyć, że szef wytwórni nie potrafi zrozumieć tak podstawowych zasad biznesu.

Arvey miał w oczach triumf. *Zwierciadła* były teraz jego wyłączną własnością i mógł z nimi, do diabła, robić co mu się tylko podoba. Żaden żigolak w typie Orsiniego nie będzie mu dyktował decyzji. Arvey uradował się myślą, że dla odmiany teraz on złapał Vita za jaja.

- Masz prawo do odmiennych poglądów, Vito - wycedził - ale już podjąłem decyzję.

Od decyzji jestem tu ja. Interesuje mnie gotówka, i to jak najszybciej, a nie gruszki na wierzbie. Jesteś, widzę, romantykiem, Vi to, nie tylko złodziejem.

Vito zrobił błyskawiczny ruch. Z przerażającą miną nachylił się ku Arveyowi i wcisnął na biurkowym interkome guzik z napisem: „Pion sprzedaży”.

- Oli, tu Vito Orsini. Siedzę u Curta. Uparł się, żeby zostawić *Zwierciadła* w tej samej liczbie kin, co do tej pory, zamiast puścić film, gdzie się tylko da. Co ty na to?

Arvey, który słuchał tego z otwartymi ustami, miał już ryknąć do słuchawki, kiedy Oliver odrzekł:

- Arvey ma świętą rację, Vito. Puszczanie film do nowych kin to zupełna bzdura, na dłuższą metę stracilibyśmy na tym miliony.

Vito zwolnił przycisk i zapuścił w stężałą twarz Arveya spojrzenie zimne jak lufa strzelby.

- Ciekawe, co by powiedziała o takiej decyzji twoja rada nadzorcza, co, Curt? Możesz sobie pozwolić na odpuścić tych milionów, byle

tylko pokazać, kto tu rządzi? A jak tam prace nad *Pickwickiem!*, ha? Słyszałem, że zanim przedsięwzięcie zaczęło się chwiać, zdążyłeś sobie przypisać całą zasługę.

- Zjeżdżaj stąd w podskokach, ty zasr... Ty... - Arvey, zbyt roztrzęsiony, by szukać nowego epitetu, nacisnął guzik do sekretariatu i zawył: - Strażnicy! Szybko do mnie!

- Ostrożnie, Curt. Pamiętaj o swoich wrzodach.

Vito wypadł z gabinetu dyrektora jak wielka, płowa pantera. Mijając wystraszoną sekretarkę Arveya, posłał jej całusa wraz ze słowami:

- Nie ciesz się za wcześnie, malutka. Niestety, chyba się z tego wyliże.

Zwierciadeł Jedyne garstka zarozumiałych i przesadnie zorganizowanych pań może już 1 listopada radośnie pochwalić się znajomym, że uporały się z gwiazdkowymi zakupami. Dla większości handlowców dopiero 10 grudnia jest magiczną datą, po której zaczyna się świąteczna gorączka. Wszystko, co działo się w Scruples, potwierdzało tę zasadę, bo chociaż tylko nieliczne klientki przebierały w strojach, „wiejski sklepik” na parterze przeżywał prawdziwe oblężenie, a cała ograbiana z zasobów towaru niższa kondygnacja przypominała zaatakowane mrowisko. Spider przez cały dzień koił i uspokajał klientki, na ich użytek przymierzając dziesiątki swetrów. - Mój mąż jest od ciebie o głowę niższy i waży dziesięć kilo więcej, więc może byłbyś aniołkiem i przymierzył to na minutkę, bo chcę mu kupić prezent?

Spider udzielał też porad strapionym paniom.

- Co byś kupił w upominku teściowej, której szczerze nie znosisz, ale której się należy jakiś drobiazg co najmniej za trzysta dolarów? Połączany

walek i butelkę francuskiego octu. Spider, jesteś geniuszem!

W porze zamknięcia sklepu 23 grudnia Spider i Valentine uznali, że najgorszy okres już przeszedł. Tego roku Wigilia wypadła w sobotę, a co za tym idzie, klientki zawczasu odebrały już wszystkie zamówione kreacje. Nazajutrz sklep miał sprzedawać głównie upominki, te, o których ludzie przypominają sobie w ostatniej chwili. Poza tym mieli się zjawić ci mądrzy klienci, którzy wiedzą, iż po 10 grudnia najlepszy dzień na zakupy to właśnie 24 grudnia. W skład tej grupy wchodzi przeważnie ludzie interesu, każdy z gotową, imponującą listą zakupów. Ku uciesze ekspedientek, decydują się oni na ten czy inny zakup w ułamku sekundy, płacą i wychodzą.

Spider i Valentine zasiedli po przeciwnych stronach antycznego wspólnego biurka. Dawniej siedzieliby w ciszy, rozkoszując się wolnym czasem, lecz tym razem trwali obydwój w stanie dziwnej czujności. Spider dostrzegł, że Valentine ma jakieś kłopoty, bo chociaż równie wysoko jak dawniej trzymała i tak impertynencko zadarty nos, z jej wspaniałych zielonych oczu zniknął gdzieś agresywny, migotliwy poblask. Spider znał Valentine na tyle, by wiedzieć, że coś ją gnębi.

Valentine z kolei przyglądała się spod oka Spiderowi Elliottowi, który wydawał jej się zmęczony i postarzały bardziej, niż by na to wskazywał upływ czasu. Trudno jej było sobie wyobrazić eleganckiego, gustownie ubranego światowca jako beztroskiego, jasnowłosego chłopaka w koszulce Uniwersytetu Kalifornijskiego, który dźwigał jej zakupy, w ciężkich chwilach robił jej stosy grzanek z serem i godzinami słuchał płyt Edith Piaf w pokoiku na ostatnim piętrze.

- To zwyczajne zmęczenie, Val, czy może coś ci leży na sercu? -

zapytał ją delikatnie. Słyszając ten głos, Valentine z zaskoczeniem i wstydem poczuła, że łzy zaczynają napływać jej do oczu. Bardzo pragnęła komuś się wyzalić na temat sytuacji między nią i Joshem Hillmanem, ale Elliott był ostatnią osobą w świecie, z którą zamieniłaby choć słowo na ten temat. Sama nie rozumiała przyczyny swojego skrajnego uporu, lecz za nic nie chciała rozmawiać ze Spiderem i dać przyjacielowi poznać, jak daleko zaszły sprawy i jak bardzo jest bezradna.

- Wszystkie te baby, Elliott, ciągle się czegoś domagają, wiecznie im źle. Między jedną przymiarką a drugą tyją o pięć kilo, a potem mówią, że to moja wina.

- Nie opowiadaj mi tu byle czego, kochanie, już ja wiem, że klientki przepadają za tobą. Zresztą sama zawsze mówisz głośno, co myślisz o klientce, która się rozrosła. Przez ciebie morzy się głodem połowa kobiet w tym mieście. Nie, powiedz mi o co naprawdę chodzi. Czy twój tajemniczy przyjaciel wpędził cię w kłopoty?

Valentine wyprostowała się w fotelu, spłoszona i gotowa się bronić do upadłego. W jednej chwili odechciało jej się płakać.

- O czym ty w ogóle mówisz?

- O tajemniczym przyjacielu, przez którego jesteś wiecznie tak zajęta i przez którego przestaliśmy się jakoś spotykać. Jeżeli zrobił ci coś złego, zabiję skurwiela!

Spider sam się zdumiał, że zaciska pięści i pręży w furii każdy mięsień. Zabić tego skurwiela wydało mu się naraz znakomitym pomysłem. Powód sam się znajdzie.

- Za dużo sobie wyobrażasz, Elliott. Ponosi cię wyobraźnia ot co. - Valentine wzmożła atak, w jednej chwili tak samo wściekła jak Spider. -

Czy ja cię pytam, dlaczego zawracasz głowę takim tłumom kobiet? Cóż tu się dziwić, że chodzisz taki zmęczony! A w ogóle to ciekawe, jak ty je jeszcze wszystkie rozróżniasz te swoje przyjaciółeczki. Nie jakość, ale ilość, tak, Elliott? - dodała i przejęta niesprawiedliwością całej sytuacji wybuchnęła: - Jeśli tobie wolno tyle, czy mnie nie wolno mieć jednego kochanka? Poza tym nie muszę się przed tobą tłumaczyć, Elliott.

- Przed kim masz się tłumaczyć, do cholery, jak nie przede mną?!

Nawet przestrzeń między nimi zadrżała w wielkim zaskoczeniu. Ani Spider, ani Valentine nie mogli uwierzyć, że tak błyskawicznie wszczęli ze sobą walkę. Patrzyli na siebie bez słowa, zbyt zdumieni, by cokolwiek powiedzieć. Pierwszy ocknął się Spider:

- Przepraszam, Valentine, sam już nie wiem, co mówię. Oczywiście, że nie musisz się przede mną z niczego tłumaczyć. Nie wiem, czemu tak powiedziałem. Pewnie dlatego, że się od tak dawna znamy.

- To ci jeszcze nie daje prawa...

- Nie daje. Zapomnij, że to w ogóle powiedziałem, dobra? - Spider zerknął na zegarek.

- Muszę lecieć, do jutra.

Kiedy pospiesznie zamykał za sobą drzwi, Valentine w dalszym ciągu siedziała nieruchomo w fotelu, oszołomiona, zaskoczona i wstrząśnięta gwałtownością emocji, którym dali upust. Elliott nie miał powodu, nie miał też prawa powiedzieć tego, co powiedział. Valentine powinna być zła, mniej bolesne słowa wprawiły ją w złość dużo większą, a jednak była zadowolona. Zadowolona? Owszem, niewątpliwie zadowolona. Pomyślała, że zmieniła się w straszną wydrę. Aha, więc Spider wyobraża sobie, że trzeba się przed nim tłumaczyć? Valentine nie

wiedziała nawet, że na taką myśl po twarzy przebiegł jej lekki uśmiech.

* * *

Dopiero po kilku tygodniach, podczas których *Zwierciadła* nadal grano w tych samych kinach, co przedtem, Vito Orsini uwierzył nareszcie, że finansowy rozsądek Olivera Sloana w połączeniu z dywersją ze strony dwunastnicy szefa wytwórni przemogły chętkę Arveya, by zrujnować dalsze losy filmu.

Tym samym jednak osobista animozja Arveya w stosunku do Orsiniego wzmogła się jeszcze bardziej. Dyrektor wytwórni dał wyraz tej nienawiści wstrzymując się od publikacji reklam filmu w *Hollywood Reporter* i *Daily Variety*. W normalnych okolicznościach wytwórnia, która wyprodukowała tak kasowy film, jak *Zwierciadła*, nie omieszkałaby zaświecić tym faktem w oczy konkurencji. Vito pogodził się z myślą, że od tej strony nie może się spodziewać niczego dobrego, ale na całe szczęście wcale nie musiał już tym się przejmować. Dwa wyznaczniki, którymi się kierował, to lista najbardziej kasowych filmów tygodnia w *Variety* i sporządzane przez krytyków filmowych z całego kraju listy dziesięciu najlepszych filmów roku. Do tej pory we wszystkich zestawieniach znalazło się miejsce i dla *Zwierciadła*. Vito postanowił więc wprowadzić w życie plan, z którym się nosił od dawna, to jest od chwili, kiedy obejrzał w całości taśmę - matkę.

Kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia Billy wsiadła w samochód i pojechała do Venice, podupadłego przedmieścia Los Angeles, przypominającego najbardziej wesołe miasteczko na Coney Island. Nowe luksusowe rezydencje nie zdążyły tam jeszcze zastąpić rozpadających się domostw cyganerii artystycznej. Billy chciała zjeść z Dolly lunch i

sprawdzić, jak poczyną sobie przyjaciółka w szóstym miesiącu ciąży. Obladowana prezentami wspięła się do dwupokojowego mieszkania Dolly na drugim piętrze stiukowej kamieniczki, pomalowanej na różowo z purpurowymi ozdóbkami. Wygrzewający się w zimowym słońcu na podwórkach sąsiedzi gwarzyli ze sobą, podlewali rośliny w doniczkach i umykali przed dziećmi mknącymi na deskorolkach. Przedsiębiorcom budowlanym nie udało się jeszcze odkupić żadnego z domów na tej ulicy, a właściciel kamieniczki, w której mieszkała Dolly, kapitan straży pożarnej w Los Angeles, w terminie płacił podatki za skromną, lecz coraz bardziej wartościową posesję, gdyż odkąd dzieci wyszły już z domu, wynajmował lokatorom najwyższe piętro.

Jeden rzut oka na Dolly przekonał Billy, że ciąża postępuje prawidłowo. Zapatrzyła się z lubością na kwitnącą, rumianą pasterkę, rozradowaną i rokokową w kształtach. Dolly brakowało tylko rokokowej cienkiej talii, a to dlatego, że w ogóle nie miała teraz talii.

- Smaczny z ciebie kąsek - oznajmiła Billy, oglądając przyjaciółkę ze wszystkich stron.

- Co to znaczy? - zapytała ze śmiechem Dolly, sama ucieszona majestatycznymi rozmiarami własnego brzucha.

- Smakowity kąsek, zresztą wszystko jedno. Najważniejsze, że dobrze brzmi.

- Będiesz coś o tym mogła powiedzieć dopiero, kiedy spróbujesz mojego dania. Będziemy jadły nadziewane kurczaki a la gefilte fisch, receptura Milтона Berle - wyrecytowała przejęta Dolly.

- A cóż to takiego?

- Już chciałam przyrządzić naleśniki z serem a la senator Jacob Javits

albo pulpety a la Irving Wallace, ale przypomniałam sobie, jak dbasz o linię i poszłam na kompromis.

- Ale jak... Skąd w ogóle wytrzasnęłaś takie przepisy? - zapytała Billy z mieszaniną rozbawienia i niedowierzania. Dolly pokazała jej podłużną książkę z czerwono - różową okładką.

- Stąd. Z *Koszernej kuchni sławnych ludzi*. Cudowna sprawa. Wczoraj dla wprawy zrobiłam gołąbki à la Barbara Walters.

- Ale skąd ten pomysł?

- A, pomyślałam sobie, że skoro jestem bez pracy, powinnam się zająć czymś pożytecznym. Pamiętasz, jak mi doradzałaś, żeby się rozejrzeć wśród Żydów? Jeżeli się nauczę całej koszernej książki kucharskiej, na pewno znajdę kogoś cudownego, nie uważasz?

- Bez wątpienia - skomentowała sucho Billy. - Nie wiem tylko, czy to najszcześniejsza pora na poszukiwania.

- Niektórych mężczyzn pociągają kobiety w ciąży - odparła rezolutnie Dolly. - A już zwłaszcza te, które potrafią upiec wołowinę z rusztu a la Neil Diamond. Coś wspaniałego! Sama sobie myślę, że lepiej byłoby poczekać do porodu i dopiero wtedy zacząć się rozglądać, ale wiesz, nigdy nic nie wiadomo. Parę dni temu poszłam sobie obejrzeć *Zwierciadła*, już jedenasty raz, i co? Z pięćdziesiąt osób poprosiło mnie o autograf, a trzech facetów chciało mnie wyciągnąć na kolację.

- I poszłaś? - zachnęła się Billy.

- Jasne, że nie. Tylko zboczeniec może proponować coś takiego, ale najważniejsze, że chcieli.

- Ciekawe, jakie to uczucie oglądać *Zwierciadła* w całości w zwykłym kinie?

- Jak to, Billy? Nie mów mi, że nie wiesz. Oglądałaś ten film w kółko!

- Ale tylko przy montażu albo w obróbce dźwiękowej, nigdy przy obcych, nigdy za pieniądze.

- Coś okropnego! - sapnęła zgorziona Dolly. - Nie wiesz, co tracisz. Publiczność jest najlepsza ze wszystkiego. Pamiętasz tę scenę po tym, jak mówię Sandrze, co Hugh naprawdę do niej czuje, a ona biegnie i znajduje go nad urwiskiem...

- Czy pamiętam? - jęknęła Billy. - Znam ją lepiej, niż gdybym ją sama napisała.

- Bo widzisz, Billy, właśnie w tym miejscu na sali zaczyna się płacz. W całym kinie zaczynasz nagle czuć wzruszenie, wszyscy się budzą, rozklejają... Sama miałam łzy w oczach.

- Wielki Boże, Dolly, co ty pleciesz, przecież sama tam stałaś, kiedy Fifi kazał im to zagrać po raz szósty, a Sandra jęczała, że ma w butach rzepy, a Svenberg darł się, że ucieka mu światło...

- Zapomniałam - ucięła Dolly. - W ogóle nie pamiętam tych wszystkich zdarzeń. Za każdym razem jest tak, jakbym oglądała ten film pierwszy raz. Słuchaj, a może byśmy się wybrały razem do kina, kiedy zjemy, co?

- Chcesz dwunasty raz oglądać *Zwierciadła*?

- Może zostanę jednym z tych nałogowców, którzy oglądają filmy po setki razy, jak myślisz? Są tacy, którzy oglądali *Sound of Music* po siedemdziesiąt pięć razy, mimo że nawet nie grali w tym filmie. Nie powtarzaj tego Orsiniemu, ale ja chodzę tylko po to, żeby oglądać siebie. Czytałaś te różne wywiady z aktorami, którzy twierdzą, że nigdy nie

oglądają własnych filmów? Nie rozumiem takiej postawy. Cudownie mi się ogląda siebie na ekranie!

- Ostatnie słowa Dolly wypowiedziała szeptem, głaszcząc się po bokach, więc trochę zawstydzona, a trochę dumna z siebie dodała: - Chociaż jestem zwyczajnym tucznikiem.

- Jesteś boska - pocieszyła ją Billy. - Jesteś najpiękniejszą, najbardziej wzruszającą aktorką... Mówiłam ci to już, ale nie chcesz mnie słuchać.

Dolly odwróciła się zażenowana. Nigdy nie dowierzała komplementom i nie przyjmowała pochwał z racji czegoś, co przychodziło jej w sposób naturalny.

- O, byłabym zapomniała - odezwała się. - To ode mnie, na gwiazdkę. Wręczając Billy kamionkowy garnuszek z pokrywką dodała:

- Pasztet z kurzych wątróbek a la George Jessel. Nie uwierzysz, jak skosztujesz!

- Ja już nie wierzę - zapewniła ją Billy.

* * *

Vito pragnął, by *Zwierciadła* zdobyły nominację do Oscara w kategorii najlepszego filmu roku. Dopóki nie obejrzał taśmy - - matki, marzył tylko o tym nieśmiało, lecz od tamtej pory myśl o nominacji nie opuszczała go ani na chwilę. *Zwierciadła* były najlepszym filmem w całej jego dotychczasowej karierze. Udało mu się stworzyć w tym obrazie coś więcej niż tylko poprawną sumę prawidłowo skomponowanych elementów. Film żył własnym, naturalnym rytmem i oddziaływał na widza na każdym poziomie odbioru, od liryzmu do komedii. Vi to czuł w kościach, że publiczność zapamięta *Zwierciadła* na długie lata, lecz aby się

o tym ostatecznie przekonać, chciał najpierw ujrzeć ogólną reakcję. Dopóki nie ujrzał recenzji, wyników kasowych i wreszcie tytułu filmu na liście dziesięciu najlepszych obrazów roku, mógł się tylko domyślać, że nie śni. Teraz jednak, gdy wszystkie oznaki wydawały się potwierdzać opinię Orsiniego, nadeszła pora działania.

Za *Zwierciadłami* przemawiała masa argumentów. Filmowi brakowało jednak przesłanki w powszechnym rozumieniu niezbędnej po temu, by zdobyć jedną z pięciu nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej: poparcia ze strony studia. Wytwórnia filmowa, której dyrektorem był Arvey, mogła spokojnie wydać miliony na reklamę, rozpętać bezwstydną kampanię na rzecz *Zwierciadeł*, wynajmując płatnych publicystów. Vito nawet się nie łudził, że się tak stanie. Curt Arvey nie miał zamiaru wydać na *Zwierciadła* ani centa. Być może, a właściwie na pewno Arvey sam zacząłby się starać o nominację dla tego obrazu, ale pod warunkiem, że sam by najpierw uwierzył w powodzenie przedsięwzięcia. Ostatecznie Oscar zdobyty przez film oznacza dla macierzystej wytwórni co najmniej dziesięć milionów dolarów w postaci dodatkowej kasy. Arvey wiedział jednak - podobnie jak Vito - że podczas ostatniego roku nakręcono mnóstwo superdrogich obrazów z udziałem supergwiazd i że każdy z tych filmów będą wypychały do nominacji potężne grupy nacisku. Każdy też mógł śmiało pretendować do Oscara. Tymczasem sama nominacja dla *Zwierciadeł* przysporzyłaby jedynie sławy Orsiniemu. Arvey wiele by zrobił, żeby do tego nie doszło, nawet jeśli i na niego mogła spłynąć część chwały.

Vito postanowił więc, zwyczajnie i po prostu, sam się wszystkim zająć.

Przede wszystkim jeszcze raz zastanowił się nad składem liczącego raptem 3300 osób stowarzyszenia, znanego jako Amerykańska Akademia Nauk i Sztuk Filmowych. Tylko ta starannie dobrana grupka miała prawo decydowania o tym, na które filmy, na których twórców i techników będzie można głosować. Analogicznym zabiegiem byłoby rozpisanie wyborów na prezydenta całych Stanów Zjednoczonych wyłącznie wśród ludności miasteczka Westport w stanie Connecticut.

Akademia głosuje w pełnym składzie tylko w kwestii nominacji do tytułu Najlepszego Filmu. We wszystkich innych kategoriach głosują jedynie zainteresowane sekcje. Innymi słowy, aktorzy wybierają listę najlepszych aktorów, reżyserzy reżyserów i tak dalej. W ostatecznym głosowaniu w każdej kategorii znów jednak biorą udział wszyscy członkowie Akademii. Oznaczało to, że Vito, aby uzyskać nominację dla swojego filmu, musi w jakiś sposób wpłynąć na każdego członka Akademii z osobna.

Wytwórnia, organizując promocję któregoś z własnych filmów, urządza sporą liczbę specjalnych seansów połączonych z bankietem, pokrywając wszystkie koszty. Orsiniego nie było stać na podobny wydatek. Nie znaczy to, że zapomniał o reakcji czterech sekretarek podczas pierwszego pokazu *Zwierciadeł*. Ograniczył więc zasięg swojej kampanii do żon, matek, sióstr, córek, kuzynek i ciotek męskiej części członków Akademii. Mężczyźni stanowią zresztą w Akademii zdecydowaną większość.

Powtarzał sobie przy tym, że jeżeli znajdzie dojście do kobiet, te ostatnie same już się zajmą mężczyznami.

Vito rozesłał więc zaproszenia na popołudniowe seanse wszystkim

paniom, które mieszkały w tych osiedlach wokół Los Angeles, gdzie najczęściej mają swoje domy dźwiękowcy, kamerzyści, montażyści i ludzie od krótkiego metrażu. Dzień w dzień, od Bożego Narodzenia po pierwszy tydzień lutego, kiedy to wypełnia się ankiety z nominacjami, pokazywano *Zwierciadła* za zaproszeniami w trzech, a czasami aż w siedmiu kinach, od Culver City po Burbank i od Santa Monica do najdalszych zakątków doliny San Fernando. Orsiniemu nie przeszkadzało wcale, że panie z kręgu Akademii zamiast z mężami przychodzą na seanse z rojami przyjaciółek. Najważniejsze było to, by obejrzały i zapamiętały *Zwierciadła*. Billy nazwała te zabiegi „Operacją Fotel”, lecz wbrew wygodnej nazwie, organizacja pokazów nastęrczała mnóstwo trudności. Trzeba było, po pierwsze, znaleźć w danej okolicy kino bez popołudniowego seansu, dogadać się z kierownikiem, wypożyczyć kopię, zorganizować dla niej transport w obie strony i złapać wolnego operatora.

- Jak się z tym czujesz, kochany? - zapytała Billy, z troską przyglądając się mężowi. Nawet w najcięższym okresie na planie zdjęciowym nie widziała u niego tyle napięcia. Uważała, że Vito czyni głupio, uparcie odmawiając wsparcia finansowego z jej strony.

- Po prostu pysznie, nie licząc brzydkich szmerów serca, tajemniczych, przeszywających bólów pod czaszką, nerwicy jelita grubego i płaskostopia. Poza tym nie mogę narzekać, bo na przykład wrócił mi słuch w jednym uchu, a wczoraj prawie w ogóle nie mdlałem.

- Jesteś pewien, że warto tak się starać? - zastanowiła się Billy na głos, nie zrażona żarcikami męża.

- Nie warto. Jasne, że nie warto. Czasem na seans przychodzi raptem parę osób, o ile się mogę zorientować, najczęściej ciekawskich sąsiadów,

czasami uzbiera się setka widzów... Ale kto to za mnie niby ma organizować? A jeżeli nie kiwnę palcem, będę miał później do siebie pretensje do końca życia.

- A ja myślę, że *Zwierciadła* dostaną nominację po prostu dlatego, że to dobry film! - odezwała się nagle Billy.

- Żeby jeszcze członkowie Akademii tak myśleli...

Vito nie dowiedział się nigdy, co sprawiło, że w drugim tygodniu lutego 1978 roku *Zwierciadła* znalazły się na liście pięciu filmów kandydujących do Oscara. Ostatecznie szalę na jego korzyść mogły przechylić głosy aktorów, zadowolonych, że trójce prawie nie znanych wykonawców pozwolono pokazać, co potrafią. Może też uznano, że pora, aby i Fifi dostał się wreszcie do konkursu ze swoim dziełem. Mógł też o wszystkim zadecydować fakt, że ponad trzy setki scenarzystów spośród grona członków Akademii postanowiło uhonorować film, który w tak dużym stopniu zawdzięczał swój sukces finezyjnemu scenariuszowi. Mogło być wreszcie i tak, że wybierający zapragnęli oddać głos na historię o miłości albo na film o niepowtarzalnych walorach wizualnych, bądź też lubili sobie popłakać na zakończenie. Możliwe, że zadecydowały specjalne seanse dla pań. Nie było sposobu, by już po fakcie określić jedną zasadniczą przyczynę decyzji gremium, choć roztrząsano tę sprawę w nieskończoność, podobnie jak wówczas, gdy po wyborach specjaliści próbują wykryć grupę społeczną czy rasową, której głosy zadecydowały o wyborze nowego prezydenta USA.

Nie był to jednak fuks. *Zwierciadła* otrzymały bowiem nominację także w trzech innych kategoriach: za najlepszą rolę drugoplanową, zagrana przez Dolly Moon, za najlepszą reżyserię, dzieło Fiorio Hilla, i

najlepsze zdjęcia autorstwa Pera Svenberga.

- Dzięki Bogu! - uradowała się Billy. - Nareszcie sobie odpoczniesz.

- Czyś ty oszalała, dziewczyno? Nareszcie możemy walczyć o Oscara! Odpoczywać mógłbym sobie, gdybyśmy nie dostali tej nominacji.

* * *

- Dolly Moon - zastanawiał się w myślach Curt Arvey. - Trzeba będzie coś zrobić dla tej dziewczyny.

Od chwili, kiedy *Zwierciadła* zdobyły nominacje, Arvey zapalał ojcowskim uczuciem w stosunku do Dolly, Fifi Hilla i Svenberga. Ostatecznie *Zwierciadła* były jego filmem, a Dolly i pozostali - jego ludźmi. Udało mu się do cna wymazać z pamięci jakikolwiek udział Vito Orsiniego w sukcesie wytwórni. Fifi i Svenberg należeli od dawna do elity swojego zawodu i cieszyli się ogólnym szacunkiem, więc w tej akurat chwili trudno im było urządzać dodatkową reklamę. Tymczasem jednak Curt Arvey lubił myśleć o sobie jako o człowieku, który lansuje nowe gwiazdy, a oprócz tego był zagorzałym miłośnikiem czterech liter. Śliczna, seksowna, malusia Dolly Moon zasługiwała na własnego agenta prasowego, który by ją umiał rozślawić. Tak przynajmniej oświadczył Arvey dyrektorowi pionu promocji i publicystyki.

Wszyscy najbardziej doświadczeni spece z pionu promocji mieli pełne ręce roboty z ratowaniem Pickwickal, którego premierę przewidywano teraz na Wielkanoc. Bronili się jak mogli przed stadem dziennikarskich piranii w ludzkiej skórze, dobierającym się do okrwawionego trupa nieszczęsnej superprodukcji. Klęska filmu stanowi w Hollywood najwdzięczniejszy temat do pisania. Pobić go może tylko samobójstwo słynnej gwiazdy. Dyrektor pionu rzucił okiem na

zdziesiątkowane szeregi i powierzył nowe zadanie najmłodszemu z pracowników - Lesterowi Weinstockowi.

Dyrektor od dawna szukał dla młodego Weinstocka czegoś ekstra. Jego najmłodszy podwładny był bądź co bądź synem prezesa firmy, która dostarczała przewoźnych toalet na wszystkie zdjęcia plenerowe. Ekipa filmowa podobnie jak armia maszeruje na własnym żołądku, lecz w przeciwieństwie do wojsk Napoleona potrzebuje też względnie porządných toalet.

Chociaż więc młody Weinstock ukończył ze świetnym wynikiem wydział filmowy na Uniwersytecie Kalifornijskim, musiałby w wytwórni zaczynać od posady przy sortowaniu poczty, gdyby nie wpływ taty, „Kabiniarza Fitza” Weinstocka - skądinąd osoby rzeczywiście wpływowej.

Młody Lester Weinstock był postacią jakby wyjętą z innego świata, z innej, dawnej cywilizacji. Wystarczyło spojrzeć na jego okrągłą, wesołą twarz za okularami i rzucić okiem na kędzierzawą głowę, ciepły, radosny, przeradosny uśmiech, by pomyśleć, że Lester wytoczył się z innej epoki, pewnie bardziej niewinnej niż obecna. Lester mógł udawać jednego z trzech muszkieterów, choć przy swojej tuszy niewiele by zdziałał podczas pojedynku, mógł być też młodym Falstaffem, jeszcze nie tak straszliwie otyłym. Lesterowi oprócz tuszy nie brakowało też wzrostu. Do tego obrazu trzeba jeszcze dodać włosy takiej samej barwy jak sierść pluszowego misia, krótkowzroczne oczy koloru brązowawej psiej sierści i niezbyt wyraziste, lecz miłe rysy twarzy - nie do zapamiętania, jako że zamiast na twarzy wszyscy skupiali wzrok na uśmiechu Lestera. Kobiety, które poznały Lestera, reagowały na dwa różne sposoby: albo chciały go adoptować jako przybrane dziecko i matkować mu, albo też, by to on im

matkował, niczym brat siostrom. Tymczasem w Lesterze kryła się natura głęboko romantyczna i podobne układy zupełnie mu nie odpowiadały. Miał jednak dopiero dwadzieścia pięć lat, nie wpadał więc w panikę. Życie było na to zbyt piękne.

Młody filmowiec nie posiadał się ze szczęścia, kiedy go wyznaczono na osobistego rzecznika i agenta prasowego Dolly Moon do czasu wręczenia Oscarów. Jak przystało na absolwenta szkoły filmowej, Lester marzył o tym, by zostać reżyserem, lecz jako osoba o dużym poczuciu realizmu zdawał sobie sprawę, że i tak ma szczęście, bo w ciągu zaledwie dwóch lat wspiał się na najniższy szczebel Jakubowej drabiny w pionie promocji.

Zdążył już obejrzeć *Zwierciadła* i zakochać się do nieprzytomności w chłodnej, niebezpiecznie pięknej Sandrze Simon. Teraz wybrał się na film po raz drugi, zwracając szczególną uwagę na wszystko, co robi na ekranie Dolly. Nowa podopieczna nie odpowiadała mu typem urody. Lester uwielbiał kapryśne, neurotyczne, fascynująco nieszczęśliwe, wiotkie piękności o ogromnych, znękanych oczach. Dolly Moon nie wydawała się wcale znękana, wręcz przeciwnie, ale okazała się niesamowicie utalentowaną aktorką. Lester sam musiał to przyznać, kiedy oglądał film po raz trzeci. Jak na jego upodobania Dolly miała zbyt wydatną rufę i dziobowe odbijacze, ale ostatecznie miał jej służyć jako niańka, a nie kandydat na męża.

Zaraz po południu zadzwonił do Dolly, przedstawił jej misję, jaką mu powierzono, i poprosił o spotkanie.

- Jeszcze raz, jak się pan nazywa? - zapytała Dolly, wciąż nieco oszołomiona po hucznym przyjęciu zorganizowanym rano przez sąsiadów

zaraz po ogłoszeniu listy nominacji do Oscara.

- Lester Weinstock.

- Zaraz, mógłby pan jeszcze raz powtórzyć? Powolutku? Albo lepiej niech pan mi przeliteruje.

- Już, chwileczkę, ale... Czy dobrze się pani czuje? Czy nie kręci się pani w głowie? Bo takie odnoszę wrażenie.

- Ależ nie, skądże! Czuję się świetnie. Dobrze, panie Lesterze Weinstock. Czekam na pana. Zostało nam jeszcze trochę ponczu rumowego, sangrii, tequilli i ciastek, poza tym piekę akurat strudel. Jeżeli przyjedzie pan w ciągu godziny, będzie jeszcze ciepły. To na razie, panie Lesterze Weinstock.

- O, kurczę - pomyślał sobie Lester. - Pech, pierwsza gwiazda filmowa w życiu i od razu stuknięta.

Następna rozmowa telefoniczna wprawiła go w jeszcze większe pomieszanie.

- Pan Weinstock? Nie mieliśmy okazji się poznać, więc niech mi będzie wolno przedstawić się przez telefon. Mówi Billy Orsini, żona Vito Orsiniego. Mam bardzo, ale to bardzo ważną sprawę, proszę więc uważnie słuchać. Dolly Moon to moja najlepsza przyjaciółka. Jest wspaniała i ma tylko jedną wadę: nie ma pojęcia, jak się ubierać. Zielonego pojęcia. Czy wyrażam się jasno? Powierzam panu misję. Proszę przywieźć Dolly do Scruples, i to najpóźniej dzisiaj po południu, i znaleźć w sklepie Valentine O'Neill. Zanotował pan? Valentine zaprojektuje dla Dolly coś, w czym będzie mogła pójść na uroczystość rozdania Oscarów. I proszę jej zabronić zadawania pytań w rodzaju: „Ile to kosztuje?”, „Kto za to zapłaci?” Ubrania funduje mój sklep, ale to już nie Dolly sprawa. Proszę jej

powiedzieć, że wszystko idzie na koszt wytwórni. Wszystko, jasne? To dobrze. W takim razie do szybkiego spotkania. Co? Tak oczywiście, że się cieszę z sukcesu męża. Owszem, nie omieszkam mu powtórzyć. Aha, jeszcze jedno, panie Weinstock... No dobrze Lester, słuchaj mnie, Lester, do uroczystości zostało raptem sześć tygodni, więc Dolly musi jeszcze dzisiaj znaleźć Valentine. Dzisiaj, rozumiemy się? Nie? Nic nie szkodzi, niedługo wszystko będzie jasne.

Lester wspiął się do drzwi Dolly czując, jak serce zamiera mu w piersi. Gorączkowy telefon od Billy, a przed nim rozmowa z Dolly wytrąciły go z codziennego rytmu, otwierając przed nim świat, w którym wszystko było możliwe. Jego matka i najstarsza siostra zaglądały czasami do Scruples, jeśli zmuszała je do tego jakaś nadzwyczajna okazja, ale sam nigdy się nie zapuszczał do środka. Dzisiaj, dla odmiany, los kazał mu zabrać do Scruples przepiękną - no, powiedzmy, że przesympatyczną - potencjalną laureatkę Oscara, która z tajemniczej przyczyny musiała w takim pośpiechu kupić sobie wieczorową suknię. Strudel pachniał cudownie już na schodach. Lester postanowił przynajmniej na jeden dzień zapomnieć o diecie.

Drzwi otworzyła mu żona właściciela budynku. Wewnątrz mieszkania kłębiło się całe mnóstwo gości. Lester niepewnie przystanął pośrodku pokoju, nie wiedząc, gdzie się podziała Dolly Moon i jak ją teraz zabrać, nie wyprasząc reszty gości. Po chwili usłyszał na szczęście za sobą charakterystyczny głos:

- O, pan Lester Weinstock. Schowałam dla pana kawałek tego strudla, panie Lesterze Weinstock, chociaż proszę mi wierzyć, że nie była to łatwa sztuka.

Lester okręcił się raptownie i zamarł w miejscu, zapatrzony w wielkie, niebieskie oczy Dolly, które uśmiechały się doń przyjacielsko. Odruchowo sięgnął po talerz, który aktorka trzymała na wysokości talii. TALII?!

Nie wiedząc już, co robić, Lester odgryzł kawałek ciasta i zaczął żuć.

- Co, nie smakuje? - zapytała zatrwożona Dolly.

- Mmm, nie, ależ tak. Bardzo smakuje. Czy będzie bardzo niegrzecznie z mojej strony, jeżeli zapytam...

- O przepis?

- Nie. O... ciążę. Który miesiąc? - Dodał Lester, któremu aktorka przypominała bardziej fabrykę poduszek po eksplozji. Nie, poprawił się w myśli, fabrykę materaców.

- Siódmy plus jeden tydzień, co do dnia - pochwaliła się Dolly, zadowolona, że tak dokładnie zna wszystkie daty. Trafiło mi się to z soboty na niedzielę. Rodeo miało akurat pokazy w Los Angeles. Zawsze się powinno zachodzić w ciążę w dni wolne od pracy, nie sądzi pan? O wiele łatwiej później liczyć tygodnie.

- Ale zaraz, chwileczkę... - Lester rozejrzał się w popłochu nie wiedząc, na czym tu usiąść, i ostatecznie klapnął na podłogę. Dolly ostrożnie usiadła obok niego. Lesterowi przydałaby się wizyta u fryzjera. Dlaczego tak liczy coś na palcach? Nie jest chyba aż taki tępy?

Lester nie wyglądał w oczach Dolly na tępaka, przeciwnie, wydał jej się uroczy, rozsądny, może niezbyt porywający, ale zabawny i miły. Dokładnie tak, jak się tego spodziewała. Imię Lester tak doskonale pasowało do Weinstock. Tylko czemu się aż tak denerwował?

- Nie denerwuj się tak - uspokoiła go łagodnym głosem.

- Osiem miesięcy i trzy tygodnie - westchnął. - Tyle upłynie do uroczystości.

- Przecież wcale nie muszę tam występować, jeżeli myślisz, że to zły pomysł.

- Owszem, musisz. Mój szef zapowiedział mi to bez ogródek. Wszyscy, którzy przyłożyli rękę do *Zwierciadeł*, mają być na sali. Powiedział mi jeszcze, że kiedy kandydaci do nagrody nie przychodzą na uroczystość, jest to bardzo źle odbierane przez dziennikarzy. Jedyne usprawiedliwienie to plenerowe zdjęcia gdzieś na drugim końcu świata, a i wtedy lepiej się zjawić. Pójdiesz pewnie z mężem. Nie? Z przyjacielem? Nie? Co, z ojcem? Też nie? O, cholera. Słuchaj, musisz kogoś wziąć ze sobą, taki jest wymóg. Kogokolwiek. Kumpla, sympatię ze szkolnych czasów...

Dolly uśmiechnęła się do nieprzytomnego przybysza. Może nie była najmądrzejsza, ale dobrze wiedziała, kto musi towarzyszyć kandydatce do nagrody, jeżeli zabraknie innych możliwości. A tych akurat zabrakło.

- Poczęstuj się jeszcze strudlem, Lester.

* * *

Valentine nigdy by nie pomyślała, że dzień, który zaczął się tak zwyczajnie, upłynie jej pod znakiem gorączkowej pracy. Sama ostrzegła Spidera, że niedługo zacznie się dziać komedia, ale do śmiechu mogło teraz być tylko kibicom. Ponieważ uroczystość rozdania Oscarów transmituje na cały świat telewizja, widownię stanowi ponad 150 milionów osób. Na szczęście nie jest rzeczą możliwą wyobrazić sobie taki tłum. Na nieszczęście każda z nowej fali klientek *Scruples* wiedziała, że musi się pokazać jak jeszcze nigdy w życiu. Nic dziwnego, że pod taką

presją klientki popadały w prostrację i zaczynały pałać nienawiścią do otoczenia.

Najbardziej roztrzęsiona okazała się Maggie MacGregor, której przyszło zamawiać pierwszą w życiu kreację na miarę. Ostatecznie to właśnie na Maggie miały patrzeć wszystkie kamery, to ona miała rozmawiać z gwiazdami na estradzie i za kulisami, słowem - to właśnie ona miała być na oczach wszystkich.

- Co mi do głowy strzeliło, żeby sobie wybrać taką pracę - biadała teraz.

- Bzdura - ucięła Valentine, która miała już serdecznie dosyć roli angielskiej niani w domu pełnym rozpuszczonych bachorów. - Przecież otrułabyś każdego, kto by ci chciał wydrzeć tę posadę, nie? Wycisz się na chwilę i daj mi pomyśleć.

Rzeczywiście było nad czym myśleć, jako że figura Maggie nie należała do najłatwiejszych. Kiedy prezenterka stała w samej koszulce i biustonoszu, widok jej miniaturowego, lecz obfitego ciała z trudnością dawał się pogodzić z pojęciem elegancji. Spider dokonał cudu, maskując figurę Maggie serią stonowanych, nie rzucających się w oczy strojów, lecz nic, co pasowało do cotygodniowego programu w telewizji, nie nadawało się na taką uroczystość jak wręczenie Oscarów. Maggie musiała wystąpić w pełnej gali, należnej jej samej i jej sieci telewizyjnej. Valentine przyjrzała się uważnie jej figurze zza czarnych rzęs.

- Maggie, podnieś jedną ręką biust do góry, a drugą ściągnij stanik trochę niżej. Jeszcze niżej. I jeszcze wyżej. Hmm. Chyba o to chodzi, właśnie o to. Piersi na wierzchu, kuszące chociaż wcale nie nieprzyzwoite. Dzięki Bogu, że był ktoś taki jak cesarzowa Józefina.

- Ależ Valentine - sprzeciwiła się Maggie - wiesz, że Spider by tego nie pochwalił. Nigdy mi nie pozwalał pakować cyca w kamerę. Sama wiesz, jaki surowy potrafi być w tych sprawach.

- Czy chcesz, żebym ci coś zaprojektowała, czy wolisz sobie kupić od Spidera coś gotowego? - zapytała Valentine tonem, który wcale nie zdradzał ochoty do żartów.

- Boże, sama wiesz, że chcę mieć suknię od ciebie, ale posłuchaj, czy ja nie będę w czymś takim wyglądać, no wiesz, troszeczkę wulgarnie?

- Będiesz szalenie elegancka, a jedynym przybraniem najprostszej, najszcuplejszej i najbardziej powściągliwej sukni w mojej karierze będą twoje piersi, odsłonięte aż po same sutki. A kiedy zakończy się uroczystość, miliony ludzi będą pamiętały tylko to, kto dostał Oscara, i to, że Maggie MacGregor ma fantastyczny biust. No, zmykaj. Moja asystentka dokładnie cię zmierzy, a za dwa tygodnie umawiamy się na pierwszą przymiarke.

- A z czego będzie ta powściągliwa suknia? - odważyła się jeszcze zapytać Maggie. Valentine odwróciła się niecierpliwie od rysownicy ze szkicami.

- Z czarnego szyfonu, oczywiście. Jaki inny materiał dałby nam taki kontrast? Aha, Maggie, z biżuterii możesz sobie pozwolić najwyżej na kolczyki. Poza tym nic, nawet perły odpadają. Śnieżny cyc, czarny szyfon, skutek murowany. Ten zestaw zawsze się podobał, od tysięcy lat.

Pospiesznie szkicując wydekoltowaną, empirową suknię - oczywiście także bez ramion, jako że Maggie miała śliczne pulchne ramiona i ładne dłonie - Valentine uświadomiła sobie, że wcale nie czuje uniesienia, które byłoby czymś normalnym w takiej sytuacji. Od samego

rana przewinał się przez jej pracownię tłum klientek w całym świecie słynących urodą i talentem. Ubierać kobiety tego typu powinno być przyjemnością, a przynajmniej powodem do słusznej dumy. Właśnie kreacje Valentine znajdują się w centrum uwagi i podkreślać będą urodę laureatek Oscarów, kiedy te ostatnie będą wręczać, a w niektórych przypadkach otrzymywać tę nagrodę. Kiedy jednak nadeszła chwila triumfu, Valentine, mogąc wreszcie rzucić na szalę cały swój twórczy talent, czuła w głębi duszy pewien niepokój i lęk. W ostatnich dniach starała się możliwie jak najmniej rozmyślać na temat swojego położenia. Odkładała takie refleksje na później, odsuwała je od siebie, rezygnowała też ze snucia jakichkolwiek planów na przyszłość. Miała nadzieję, że w ten sposób samo życie zadecyduje o wszystkim - jak wówczas, kiedy zamiast otworzyć list, chowa się go głęboko na dno szuflady. Valentine stwierdziła cierpko, że wypróbowana metoda chyba nie działa, bo ilekroć udawało jej się zebrać na tyle, by spokojnie wszystko przemyśleć, jej równowaga ducha fikała nagle kozła i umykała. Fantazja okazała się z kolei równie mało pomocna jak logika. Nawet w wyobraźni Valentine nie umiała postawić się w roli małżonki adwokata Josha Hillmana. Widziała wciąż w myślach wielką rezydencję Hillmanów na North Roxbury Drive, lecz nie potrafiła sobie wyobrazić siebie jako pani podobnego domu. Tryby wyobraźni uparcie nie chciały się zająć, obraz za nic nie dawał się złożyć w całość.

Josh nie wracał więcej do tematu, zgodnie z tym, co obiecał. Valentine sama powiedziała mu wreszcie, że odpowiedź na oświadczyzny da mu dopiero po uroczystości wręczenia Oscarów.

- Co mają z nami wspólnego głupie Oscary? - zdumiał się nie na

żarty zaniepokojony Josh.

- Jestem teraz zbyt zajęta, żeby jeszcze myśleć o swoim życiu, Josh, a poza tym, dopóki nie wiemy, kto wygra, cały czas trzymam kciuki za Orsiniego i Billy.

Valentine spojrzała na Josha spoza gęstej zasłony grzywki i rzęs przerażona, że jej wykręt wyda mu się tak samo niezdarny i mętny jak jej samej. Niezależnie od wszystkiego, nie mogła na razie powiedzieć Joshowi nic więcej, a on sam na szczęście był na tyle taktowny, że nie naciskał. Valentine wiedziała aż za dobrze, że to nie nadmiar zajęć przeszkadza jej się zastanawiać nad sobą. Po prostu nie miała najmniejszej ochoty się zastanawiać, kim jest, i co ma postanowić. Najwyraźniej irlandzkie, fatalistyczne geny wzięły w niej ostatecznie górę nad francuskim dziedzictwem, na całe szczęście albo nieszczęście.

Valentine zbyła własne, genetyczne wytłumaczenie wzruszeniem ramion i coraz bardziej zniecierpliwiona czekała na następną klientkę - Dolly Moon. Rankiem Billy tak się upierała przy tym zamówieniu i była tak niezwykle jak na siebie niespokojna... Kazała, ni mniej ni więcej, uszyć dla swej przyjaciółki najwspanialszą kreację w historii.

Valentine dwukrotnie obejrzała *Zwierciadła* i wyrobiła sobie pewien pogląd na temat garderoby dla Dolly. Uznała przy tym jednak, że Dolly może wystąpić nawet owinięta w koc, a i tak ujdzie jej to na sucho. Przy swoim typie osobowości aktorka umiała zatriumfować nad każdym kostiumem. Billy niepotrzebnie się tak denerwuje. Wiadomo, że kiedy się rozmawia z Dolly, patrzy się nie na jej strój, lecz na sympatyczną i uroczą twarz, szeroki, zniewalający uśmiech i na całą resztę postaci, tak niezdarnej i tak seksownej zarazem.

Projektantka przeciągnęła się, zrobiła skłon i znów się przeciągnęła. Zesztywniała stercząc cały dzień przy rysownicy. Gdzież jest ta Dolly Moon? Billy nie robiła takiego szumu nawet, kiedy chodziło o jej własną suknię ślubną.

Niewiele ponad godzinę później Billy porwała Dolly i Lestera do siebie z myślą o wspólnym obiedzie. Była uradowana jak matka po pomyślnym występie swojej pociechy w szkolnym przedstawieniu.

- I co powiesz? - zagadnął Spider, nalewając Valentine kieliszek chateau silverado. - Moim zdaniem Billy po staremu potrafi nas ciągle czymś zaskoczyć i zdumieć. Przecież pani Moon nie potrzeba krawcowej, lecz tapicera!

- Już ja znajdę sposób - oświadczyła Valentine wyniośle. - To tylko kwestia wyobraźni. Rzeczywiście, sprawa ma się nie tak prosto, jak twoje przymiarki w ciągu dnia, ale świetnie sobie poradzę, Elliott. - Valentine odstawiła kieliszek, zdjęła fartuch i narzuciła na siebie płaszcz, zbierając się do wyjścia.

- Zaczekaj jeszcze sekundę, Val. Przecież sam też umiałbym ci pomóc przy sukni dla Doily, zwłaszcza że i bez tego masz już dosyć spraw na głowie. Usiądź jeszcze na chwilę, może coś razem wymyślimy.

- Nie, Elliott. Dziękuję, ale sama sobie poradzę. Poza tym już jestem spóźniona na obiad. Nie mogę dzisiaj tkwić dłużej w sklepie.

Spider zmartwiał, słysząc tak opryskliwy ton.

- Nie możesz? Popatrz, popatrz, ten facet rzeczywiście prowadzi cię na smyczy, może nie? Robi z tobą, co chce, widzicie go. A nigdy bym nie przypuszczał, że doczekam dnia, kiedy... Kiedy ktoś okiełzna Valentine - dokończył tonem leciutkiej drwiny. Valentine natychmiast wychwyciła tę

nutę.

- O czym ty mówisz, Elliott? To wszystko moje osobiste sprawy. Myślałam, że zrozumieliśmy się parę tygodni temu, ale zdaje się, że nie potrafisz zostawić pewnych tematów w spokoju.

- Potrafię i nic mnie nie obchodzą twoje układziki na boku, Valentine. Śmiesz mi to po prostu, ot co - powiedział dumnie Spider.

Oczy Valentine rozjarzyły się ogniem.

- Kto jak kto, Elliott, ale ty akurat nie masz prawa pouczać mnie o układzikach na boku! Sam masz wyłącznie takie układziki, a w ogóle nie wiesz, co to normalny związek! Kiedy ci załatwiałam tę pracę, nie miałam pojęcia, że dzięki mnie panie z Beverly Hills wzbogacą się o rozplodowego ogiera. Gdyby mi to przyszło do głowy, może namówiłabym Billy, żeby trochę więcej ci płaciła.

- Aha! Czekałem, aż z tym wyjedziesz. Wiedziałem, że przyjdzie taki dzień, kiedy mi przypomnisz, że tylko dzięki tobie nie jestem na zasiłku. Posłuchaj, pieseczku - Spider wyszczerzył się do Valentine. - Gdyby nie ja i moje pomysły, jak zmienić Scruples, po dwóch tygodniach wzięłabyś stąd dupę w troki.

- To było półtora roku temu. Co takiego zrobiłeś od tamtej pory, oprócz tego, że zaspokajasz różne panie jak męska dziwka? Samozwańczy arbiter elegancji, dobre sobie! Ha! Tylko moja pracownia ściąga ludzi do Scruples, ale jesteś za wielką kutwą, żeby to głośno przyznać.

Jej głos zderzył się w powietrzu z krzykiem Spidera.

- Twoja pracownia?! Zyski z twojej pracowni wystarczą może na rachunki telefoniczne - Spider wpadł w autentyczną furję. - Paradujesz w swoim białym kitelku, jakbyś się nazywała Givenchy i wyobrażasz sobie

Bóg wie co na swój temat tylko dlatego, że zgraja zepsutych bab daje ci się ubierać. Nic by z tego nie było, gdyby nie reszta sklepu, moja reszta sklepu! Scruples nie spadł z nieba. To dzięki mnie ten sklep jeszcze działa, ale ty bujasz gdzieś w pierdolonej stratosferze, zamiast zejść na ziemię i zobaczyć, jak jest!

- O, ty parszywy...

- Oho, nasza Valentine zaraz dostanie następnego słynnego ataku. Jeżeli jej czegoś odmawiać, robi się cała francuska, tupie, pieni się i płoszy konie. Więcej rezerwy, dziewczyno - Spider pogroził jej palcem. Z równym skutkiem mógłby ją zdzielić pięścią. Valentine z wściekłości straciła czucie w dłoniach i stopach.

- Ty nędzny kutasie! Nic dziwnego, że Melanie Adams nie chciała mieć z tobą nic wspólnego! Typowy twój związek, swoją drogą, typowy dla twoich wartości. Musiałeś się zakochać akurat w bezmózgim stworzeniu z miłą buźką i trocinami w głowie. Lepsza fasada niż wnętrze, ale nic dziwnego, skoro potrzebujesz lalki, takiej samej infantylnej lalki jak ty sam. Ładna mi miłość życia! Mnie też to trochę śmieszy, Elliott. Ja przynajmniej związałam się z kimś prawdziwym. Ciekawam, swoją drogą, czy ty w ogóle rozumiesz takie słowa jak: prawdziwy.

Łamiącym się, zbolalym głosem Spider przerwał jej:

- Mam nadzieję, że nie chodzi o kolejnego Alana Wiltona, Valentine. Naprawdę nie wiem, czy drugi raz potrafiłbym cię niańczyć w nieszczęściu, gdybyś znów się zakochała w jakimś pedale.

- CO!?

- Myślałaś, że się o tym nie dowiem? Połowa Siódmej Alei o tym gadała, więc i ja w końcu coś usłyszałam.

Valentine zachwiała się jak uderzona w pierś ciężkim kamieniem. Nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa. Skuliła się w fotelu i po omacku sięgnęła po torebkę. Spider poczuł nagle, że ogarnia go przemożne poczucie wstydu, tak silne jak jeszcze nigdy dotychczas. Po raz pierwszy w życiu odniósł się z okrucieństwem do kobiety. Wielki Boże, co go właściwie napadło? Nie pamiętał już nawet, co doprowadziło do kłótni.

- Valentine?

- Nie chcę więcej z tobą rozmawiać - ucięła napiętym, ale równym głosem. - Nie możemy już tu razem pracować.

- Zaczekaj, Val, nie wiem, co mnie napadło, żeby tak powiedzieć. Skłamałem ci, nikt nie słyszał o tamtej historii. Spotkałem kiedyś tego faceta i sam się domyśliłem reszty. Val, proszę cię...

- Któraś z nas musi odejść ze Scruples.

Sposób, w jaki to powiedziała, nie pozostawiał miejsca na dyskusję, argumenty ani przeprosiny.

- To śmieszne, co mówisz. Nie możemy tego zrobić Billy.

- Ja mogę.

- Nie, nie możesz. Nikt poza tobą nie nadaje się do pracowni. Na moje miejsce zawsze się ktoś znajdzie.

- Świetnie. - Mówiąc to Valentine nie drgnęła nawet.

- Powiem jej o tym dopiero po Oscarach. Na razie sama ma dosyć zmartwień z Orsinim.

- Jak chcesz.

Valentine podniosła płaszcz z fotela i wyszła. Spider usłyszał jeszcze, jak otwierała drzwi na schody, by nie czekać na windę. Przez godzinę siedział nieruchomo, trąc dłońmi o obity skórą blat biurka, jak

gdyby właśnie to mogło mu przywrócić krążenie w zmartwiałych dłoniach.

* * *

Dokumentalny reportaż o Vito Orsinim, który nakręciła Maggie na planie, *Jeden dzień życia producenta*, nie doczekał się do tej pory emisji, gdyż na parę miesięcy wyparły go z anteny inne, bardziej kontrowersyjne tematy. Później zaś taśma leżała na półce, czekając na odpowiedni czas do emisji. Maggie sama prawie już zapomniała o reportażu, zwłaszcza że bez przerwy bombardowano ją teraz telefonami z rozmaitych wytwórni filmowych, które chciały zaskarbić sobie jej pamięć przed uroczystością wręczenia nagród Akademii Filmowej.

Tydzień przed ogłoszeniem listy kandydatów do Oscarów rozpoczęły się na użytek członków Akademii pokazy wszystkich pięciu filmów, jakie stanęły do ostatniego etapu konkursu. Seanse urządzono w słynącym z wygód kinie imienia Samuela Goldwyna na Wilshire Boulevard, po wschodniej stronie Beverly Hills. Vito zdawał sobie sprawę, że jeżeli chce coś osiągnąć, musi zacząć działać jak najszybciej. Nadszedł ostatni moment, by wykorzystać reportaż Maggie MacGregor. Vito zadzwonił więc do telewizji.

- Maggie - zaczął - kogo lubisz najbardziej na świecie?
- Siebie.
- A zaraz po sobie, kogo?
- Czy ty nie masz wstydu, Vito?
- Jasne, że nie. - Producent roześmiał się.
- Będiesz czegoś chciał ode mnie - zauważyła podejrzliwie Maggie.
- Jakbyś zgadła, dziewczyno. Chciałbym, żebyś przed głosowaniem

na Oscary wcisnęła na antenę ten reportaż, który nakręciłaś na planie *Zwierciadeł*.

- Wielkie nieba! Czy ty sobie, Vito, zdajesz sprawę, jak to zostanie odebrane? Wyjdzie na to, że wdaję się w jakąś obrzydliwą propagandę. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym przecież pójść na coś takiego, prawda?

- Ale przecież chcesz, co, Maggie?

- No, oczywiście, że chcę, Vito, wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko, ale znowu...

- Pamiętasz, Maggie, jak spotkałem cię kiedyś wieczorem w Boutique? Powiedziałaś mi, że masz wobec mnie dług.

- Może było coś takiego.

- A ja zawsze podziwiałem, jaką masz świetną pamięć. Zrobiłaś karierę tylko dzięki mojej meksykańskiej szmirze.

- Tak, ale gdyby nie ja Ben Lowell gnąłby w więzieniu.

- Ben Lowell powinien być ci wdzięczny do końca życia. Tyle, że nie powinien tego od ciebie usłyszeć. Na razie masz okazję spłacić dług wobec mnie.

- Naprawdę chcesz mnie tak przyprzeć do muru? - Maggie nie знаła Orsiniego od tej strony.

- Oczywiście. Od czego ma się przyjaciół?

W słuchawce zapadła cisza. Vito nie naciskał dłużej, pozwalając Maggie się zastanowić. Wiedział doskonale, że jeżeli po Hollywood rozejdzie się wieść, jak wiele Maggie potrafi zrobić dla przyjaciół, zapotrzebowanie na jej przyjaźń ze strony osób, które coś znaczą, zwiększy się wielokrotnie.

- Zgoda - usłyszał wreszcie. - Spróbuję porozmawiać z wiceprezesem do spraw programu. Może uda mi się go namówić na taką sztuczkę, ale nic nie obiecuję.

- Temat jest jak najbardziej na czasie - podsunął usłudźnie Vito.

- Na czasie! Na rękę, nie na czasie, to chciałeś powiedzieć, pieprzony makaroniarzu.

- Wiesz, Maggie, najbardziej mi się w tobie podoba, że można ci walić prosto z mostu, o co chodzi.

- Jeżeli reportaż pójdzie, będziesz mi coś winien. Grasz?

- Zgoda, czemu nie. Dobiliśmy targu. Możemy tak przejść przez całe życie, wyświadczając sobie wzajemnie drobne przysługi.

- Właśnie - rozmarzyła się nagle Maggie. - Nic, najlepiej od razu się koło tego zakręć. Trzeba będzie przetasować kupę programów, ale chyba potrafię coś tu wskórać. O, cholera. Wiesz co, Vito? Pozdrów ode mnie Billy. Powiem ci coś śmiesznego, chcesz? Naprawdę lubię twoją żonę, chociaż myślałam, że nie będę jej trawić.

- Ona też już nie jest o ciebie zazdrosna, Maggie. Może dlatego ją zaczęłaś lubić.

- To była? Naprawdę była zazdrosna? - Maggie ucieszyła się jak dziecko, które niespodziewanie dostało olbrzymi prezent.

- Co, nie wiedziałaś o tym? Myślałem, że jesteś moją mądrą Maggie.

- W takich sprawach nikt nie jest mądry, Vito.

* * *

Lester Weinstock stwierdził z zaskoczeniem, że nie wie, co się wokół niego dzieje. Wyglądało na to, że przeniknął przez dziurę w czasoprzestrzeni i jako ponury konserwatysta dostał się w awangardową

przyszłość prosto z lat pięćdziesiątych - chociaż nie było go jeszcze wówczas na świecie. A może to Dolly Moon zatraciła poczucie rzeczywistości? Czy posiadanie nieślubnego dziecka - nie, dziecka z niepełnej rodziny - zdarza się tylko w najodleglejszych zakątkach Purytanii, czy też całe Stany Zjednoczone roją się od samotnych matek, równie beztroskich i zadowolonych jak Dolly? Lester roztrząsał w myślach te zagadnienia, kończąc dokładkę ragout na kwaśno - słodko à la Henny Youngman. Ocierając z brody sos śliwkowo - morelowy kawałkiem upieczonej przez Dolly chałki musiał mimo wszystko uznać, że niezależnie od wyobrażeń matki na ten temat, dziecko powinno mieć ojca.

Lester był już od dwóch tygodni rzecznikiem Dolly Moon. Dzięki kuchni swojej podopiecznej przytył przez ten czas o trzy kilo. Przybyło mu też kilka siwych włosów. Jedyne jasne punkty na jego pomroczyńskim nagle życiowym nieboskłonie stanowiła myśl o poczciwej, żydowskiej babci Dolly - tej właśnie, która nauczyła aktorkę tak nadzwyczajnie gotować.

- Lester, koniecznie musisz dać się ostrzyc!

- Jutro pójde do fryzjera.

- Powtarzasz tak od dziesięciu dni. Przecież nie masz czasu.

Wiecznie tylko wymyślasz dla prasy nowe kłamstwa o tym, dlaczego nie mogę osobiście się spotkać i załatwiasz te komiczne wywiady przez telefon.

- Przecież wiesz, Dolly, co myśli na ten temat wytwórnia. Jeżeli jest jeszcze najmniejsza szansa, żebyś zdobyła Oscara, uleci jak mgła, kiedy tylko ludzie się dowiedzą, że jesteś w ciąży. A jeśli na dokładkę opowiesz im, co robi Sunrise, powtórzysz im te historie o rodeo, a nie myśl sobie, że

nie znajdą sposobu, żeby z ciebie to wszystko wydobyć, wtedy koniec. Pełno jest jeszcze typów, którzy wyznają staroświeckie zasady, sama wiesz.

- Może wtedy dostanę nagrodę pocieszenia? - uradowała się Dolly. - Siadaj, zaraz ci zawiążę ręcznik. Chwileczkę, a gdzie się podziały moje nożyczki do skórek?

Lester niczym lunatyk dał się posadzić na krześle. Nie mógł wyjść z podziwu na widok, można by rzec, gotowości na twarzy Dolly. Aktorka nie uznawała najmniejszego dystansu między sobą a resztą świata. Nic dziwnego, że w tak bezceremonialny sposób, z butami, natychmiast weszła w życie młodego filmowca, któremu było z tego powodu trochę wstyd. Zdążył jej już, bądź co bądź, opowiedzieć o tym, że jako chłopiec siusiał do łóżka, jaką katastrofą skończyła się dla niego pierwsza miłość, jak ścigał na końcowym egzaminie z algebry w szkole średniej w Beverly Hills i dał się przyłapać. Zwierzył się Dolly także ze swoich prawdziwych odczuć na temat przewoźnych toalet, którym zawdzięczał wprawdzie cały swój los, ale wcale nie uważał tego faktu za zabawny, choć już od lat nauczył się o tym żartować. Opowiedział Dolly o katastrofie, jaką się zakończyła jego druga miłość, i o tym, że kiedyś chciałby kręcić wspaniałe filmy. O rany, wyszło na to, że niechcący opowiedział jej całą historię swego życia. Nie nadmienił tylko o tym, jak się z kolegami onanizowali na wyścigi na obozie letnim, a i to nie dlatego, żeby nie szokować Dolly, lecz po prostu dlatego, że zapomniał.

- Chyba za krótko mnie strzyżesz - zaniepokoił się.

- Ależ co ty opowiadasz. Tak się z tym grzebię, bo przy tej tuszy ciężko mi do ciebie podejść. No dobrze, skończone! - Dolly opadła

wyczerpana na fotel. - Idź się obejrzyć w lustrze, a potem powiedz, że o wiele lepiej.

Lester posłusznie zapuścił krótkowzroczne spojrzenie w lustro. Wynik bardzo mu się spodobał. Odwrócił się, by skomplementować Dolly i w tejże samej chwili ujrzał na jej twarzy niespodziewany grymas bólu.

- Ejże, coś ci się stało?

- Nie, to tylko plecy mnie bolą. Wiesz, ciąży nie powinno się przechodzić na stojąco. Za duże obciążenie dla mięśni grzbietu. Ciężarnym kobietom powinno się pozwolić chodzić na czworakach. Kiedyś jeszcze tak będzie.

- Ale czy mogę ci jakoś pomóc?

- No, nie wiem...

- Naprawdę chcę. W rewanżu za strzyżenie.

- Przepraszam, że to taka fatyga, ale skończył mi się olej, wiesz, do nacierania rozstępów na skórze. Och, Lester, nie wiesz nawet, co to są rozstępy?

- W sprawach położnictwa jestem dziewicą - wyznał wstydliwie.

- Czy mógłbyś podskoczyć do sklepu nocnego i przywieźć mi trochę? Będziesz aniołem. Dziesięć minut później Lester był już z powrotem, dźwigając butelkę włoskiej oliwy z oliwek, butelkę takiejż oliwy amerykańskiej, flaszczkę oleju z orzeszków ziemnych, olej krokoszowy i pojemnik oliwki niemowlęcej firmy Johnson and Johnson. Udając brzękotliwego świętego Mikołaja postawił papierową torbę na stole. Dolly gdzieś tymczasem zniknęła.

- Gdzie jesteś?

- W sypialni. Przynieś mi! - zawołała Dolly, różowa i rozgrzana od szybkiego prysznica. Leżała na łóżku w piżamie z satyny wykończonej koronką. Gwiazdkowy prezent od Billy Orsini. Zawstydzony Lester postawił na nocnym stoliku kolejne butelki.

- Nie wiedziałem, o który ci chodzi...

Dolly zlustrowała nabytki, przygryzając wargi, by nie parsknąć śmiechem, i choć w oczach czuła już histeryczne łzy, z całą powagą wskazała na oliwkę niemowlęcą. Lester wręczył jej opakowanie. Odkręciła korek, wylała odrobinę płynu na wyciągniętą dłoń Lestera, podciągnęła górę i zsunęła nieco dół piżamy. Przed Lesterem wykwitł nagle brzuch, wielki jak góra, monumentalny i aksamitnobiały. Był to najbardziej zapierający dech widok w całym życiu Lestera. Odwrócił oczy, zaszokowany, lecz i pełen fascynacji. Nie mogąc już się oprzeć, spojrział znowu. Czy natura zna równie cudowne dzieła? W porównaniu z tą górą bladły nawet alpejskie szczyty. Sztuka jest dla dyletanta zwykłą rozrywką. Coś podobnego!

- Obłądana sprawa taki brzuch, co? - Dolly poklepała z lubością swój kopic.

- Wspaniały - wykrztusił Lester.

- Nie stój tak, bo ci oliwa zacznie kapać. Siadaj i nacieraj.

- Co mam nacierać?

- Lester! Mam ci może jeszcze tłumaczyć, na czym robią się rozstępy?

- Nie studiowałem tego zagadnienia, więc nie wiem...

Dolly wzięła go za rękę, przyciągnęła ją sobie do boku i trąciła nią wypięty brzuch.

- Wszędzie dookoła, od jednej strony do drugiej. O, świetnie, o jak miło! Wcieraj, Lester, nikt ci nie kazał przestać. Ja się zajmę oliwą, a ty ją tylko wcieraj, oburącz, jeśli ci tak wygodniej. - Dolly westchnęła kusząco. - O wiele przyjemniej, kiedy to za mnie robisz. Luksus, po prostu czysty luksus. Zdejmij marynarkę, Lester, wygląda, że się strasznie zgrzałeś. Mmmmmmm. O, teraz lepiej, co?

Trzy godziny później Lester ocknął się nagle, czując, że coś popycha go, miękko, lecz nieubłaganie, jak wielka, miękka ryba pływająca po żołądku. Przeraził się przez sen, że ktoś wpełzł mu do łóżka i rozpycha się. Ale kto? Po omacku wyciągnął rękę i natrafił na brzuch Dolly, w którym dziecko wywijało akurat leniwe salto. Potem zdał sobie nagle sprawę, że tym, co go tak łaskocze w nos, są włosy Dolly. Głowa Dolly spoczywała na jego piersi, a nogi splątały się z jego nogami. Przyduszony do prześcieradła, struchlały i pełen niedowierzania, Lester otworzył oczy. Bez okularów, w półmroku sypialni, wszystko zlewało mu się przed oczami, ale umysł zachował dawną jasność podpowiadając, że niejaki Lester Weinstock przed chwilą odbył miłosny akt z kobietą w ósmym miesiącu ciąży! Co gorsza, tenże Lester Weinstock nigdy jeszcze nie przeżył czegoś równie podniecającego i radosnego i miał ogromną ochotę natychmiast powtórzyć to doświadczenie. Bez wątpienia zmienił się w monstrum zepsucia moralnego, ale też nareszcie czuł się jak przedstawiciel nowej fali. Sam dziwił się teraz, że mógł być taki niespokojny. Dolly poruszyła się przez sen. Połaskotał ją, bo choć wiedział, że w tym stanie Dolly potrzebuje dużo snu, nie zaszedł jeszcze tak daleko, żeby kochać się ze śpiącą kobietą w ciąży. Znowu połaskotał więc Dolly i wolną ręką zaczął się bawić jej potężnymi piersiami. Nie znał lepszej zabawy.

* * *

Po awanturze z Valentine Spiderowi pozostało już tylko odliczanie dni do uroczystości wręczenia Oscarów. Czas zdawał się wlec w nieskończoność, zwłaszcza że to Spider miał rzucić *Scruples*, chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą, ale na razie nie mógł uprzedzić Billy, a tym samym nie wypadało mu zacząć się rozglądać za nową pracą. Spider nie wątpił, że może nieomal dyktować warunki w wielu innych domach mody, gdyż jego sukcesy w *Scruples* rozniosły się echem wśród handlowców. Gdyby zaś uznał, że znudził go handel, mógł zawsze wrócić do fotografii na zachodnim wybrzeżu, a może nawet w Nowym Jorku, o ile Harriet Toppingham zrezygnowała z dalszej wendety. Zresztą tak czy inaczej zaoszczędził mnóstwo pieniędzy i mógł spokojnie wybrać się parowcem w podróż dookoła świata. Może do Chin? Na zawsze? Tak, Spider mógł wybierać między różnymi możliwościami. Co do Valentine, Spider zrobił wszystko, żeby zapomnieć o całej sprawie, tym bardziej że nie mógł się z nią już porozumieć. Tuzin razy próbował ją przeprosić. Valentine za każdym razem wstawiała i bez słowa wychodziła z pokoju, nawet na niego nie patrząc i nie czekając, aż skończy mówić. Chciał wziąć na siebie całą winę, mimo wrednych zaczepki, które go sprowokowały, ale Valentine nie zamierzała nawet słuchać. Miał rację ten, kto powiedział, że między mężczyzną a kobietą nie ma mowy o czystej przyjaźni. Spider uznał, że w jego życiu zakończył się pewien rozdział, zamknięty na zawsze, zapomniany. Trzeba się zająć czymś nowym. Oczywiście Spider czuł z tego powodu przygnębienie, ale pocieszał się, że wszystko samo przejdzie.

Minęły jednak trzy tygodnie, a Spider wciąż czuł w sobie szarą

pustkę. Obecny stan nie przypominał wściekłości, żalu i poczucia straty, jakie odczuwał w Nowym Jorku, kiedy Melanie uciekła do Hollywood, a Harriet Toppingham zrujnowała mu karierę. Ówczesne emocje były jasne i wyraźne, a Spider wiedział, dlaczego czuje to, co czuje. Teraz dla odmiany budził się często w środku nocy i godzinami nie mógł zasnąć, snując rozmyślenia, które nazajutrz wydawały mu się zupełnie bez sensu - rozmyślenia w stylu, o jaki Spider nigdy by się nie podejrzewał. Sam się śmiał, że się tak nad sobą roztkliwia i zapytuje, czy ktoś go jeszcze w ogóle kocha, lecz pytania wciąż powracały. Kogo obchodzi jakiś Spider?

Dlaczego przyszło mu robić to, co robi? Co za różnica? Co przyniesie przyszłość? I w ogóle po co żyć?

Przez trzydzieści dwa lata beztroskiego, zdrowego, pełnego rozmachu i pewności siebie życia Spider nawet przez minutę nie zastanawiał się nad tym, czy jego istnienie ma jakikolwiek sens. Przyjmował po prostu do wiadomości, że wygrał los na loterii, rodząc się w wyniku spotkania agresywnego plemnika ze zdrową, dojrzałą komórką jajową, w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie, w łonie odpowiedniej kobiety. Przypadek, los, głupie szczęście czy jakkolwiek nazwać to coś sprawiło, że urodził się właśnie Spider, a nie inne dziecko, jakie rodzice poczęliby którejś innej nocy. Ponieważ miał tyle szczęścia, że się urodził, brał świat po prostu, cisnąc go jak cytrynę. Sens życia? Żyć, i tyle!

Dopiero teraz, w marcu 1978 roku, zamiast jak przez całe życie budzić się w świetnym humorze, Spider zaczął się budzić nieszczęśliwy. Poranny prysznic, ubieranie się, śniadanie i jazda do Scruples stały się najbardziej stabilną i strawną częścią dnia, jako czynności łatwe i

pochłaniające całą uwagę. W sklepie Spider czuł coraz mniej energii, której zdawałoby się, niewyczerpana studnia zaczęła wysychać.

Przynajmniej temu właśnie wyczerpaniu przypisywał Spider uczucie, że ogląda świat jak zza grubej szyby, zatracając związek ze wszystkim, co się dzieje. Przezroczysta bania, która go otaczała, nabrała realnego kształtu w myślach Spidera, upodabniając się do szklanej kuli z gliceryną pełną wirujących płatków. Głosy dochodziły do wnętrza bani jak przytłumione, jedzenie miało mdły smak, nawet dotyk wydawał się niewyraźny jak przez rękawicę. Rzeczywistość zatraciła ostre kontury. Spider potrafił dokołatać się w Scruples do końca dnia tylko dzięki silnej woli, ale chociaż zmuszał się do wysiłku, obrzydło mu całe dotychczasowe zajęcie. Chociaż klientki nie dostrzegały różnicy, Spider przestał się cieszyć swoją pracą. Mijając któregoś dnia lustrzaną taflę spostrzegł ze zdumieniem, że jego oczy przypominają taflę Morza Martwego.

Rosel Korman, pierwsza z nowych sprzedawczyń w Scruples, najprędzej dostrzegła zmianę zachodzącą w Spiderze. Pomyślała sobie - nie dzieląc się z nikim tym spostrzeżeniem, jako osoba niezwykle dyskretna - że jeśli kiedyś Spider wyglądał jak Butch Cassidy i Sandance Kid razem wzięci, teraz przypominał wyblakłą, czarno - białą wersję tego filmu.

Billy, która także mogła dostrzec nagły brak zapachu u Spidera uznała, że najwyższa pora wysłać go na wakacje, pierwsze od lipca 1976 roku. W marcu stoki narciarskie w Aspen pokrył świeży puch. Billy poinformowała więc Spidera, że przez pewien czas wszystkie panie będą sobie radzić bez jego pomocy.

- Nie lubisz pytać innych o zdanie - zauważył Spider. - Skąd wiesz,

że w ogóle umiem jeździć na nartach?

- Ludzie o takim wyglądzie jak twój zawsze potrafią. Wynocha z miasta i niech cię tu nie oglądam przez trzy tygodnie.

Jeśli chodzi o narty, wyjazd do Aspen okazał się udany. Kiedy jednak Spider przybył na stoki Colorado, szklana bania już na niego czekała. Któregoś dnia, kiedy został sam na stoku, zatrzymał się i zamyślił oparty na kijach. Wciągnął w nozdrza czyste powietrze, pełne gęstego, słonecznego blasku i ciszy. Wszystko się zgadzało. Czego można jeszcze żądać od życia? Podczas dawnych wypadów na narty, tych sprzed przeprowadzki do Nowego Jorku, podobne chwile uprzytomniały mu, jak dobrze jest żyć. Spider często szukał sposobności do samotnych zjazdów, by ludzka obecność nie rozpraszała mieszkającego w nim radosnego poczucia, że stał się częścią góry. Dlaczego więc teraz czuł się taki opuszczony? Wbił kijki w śnieg i ruszył szusem w dół, na łeb na szyję, jak gdyby uciekał przed lawiną.

Po powrocie do Beverly Hills domyślił się, że musi coś zmienić w swoim życiu intymnym. Rozstał się bez kłopotu z dotychczasowymi przyjaciółkami, co przyszło mu tym łatwiej, że nigdy nie nawiązywał tych romansów serio, więc mógł się z nich wycofać, nie raniąc niczyich uczuć ani dumy. Przyjaciółkom żal było rozstać się ze Spiderem, ale z drugiej strony nie wątpiły ani przez chwilę, że chłopak zawsze je lubił i uwielbiał ich towarzystwo - bo też rzeczywiście tak było. Spider doprowadził do perfekcji sztukę rozstawania się z kobietami i umiał to zrobić w taki sposób, że każda z nich przy pożegnaniu czuła się doceniana jeszcze bardziej niż w trakcie związku.

Po tygodniu Spider znalazł nową dziewczynę, a wkrótce potem

następną. Sam siebie przyłapał na myśli, że kocha się coraz częściej i z coraz mniejszą ochotą. Seks wydał mu się zajęciem dla robotów, przewidywalnym i zupełnie nieważnym. W dalszym ciągu umiał prawidłowo wykonywać wszystkie ruchy i czynności, dokładnie te same, które dawniej dostarczały mu tak fantastycznych i prostych doznań, by wreszcie przyznać rację mędrcom, który napisał, że po stosunku każde zwierzę rodzaju męskiego jest smutne. Spider nie pamiętał imienia autora tej maksymy, ale dotąd przez całe życie przypuszczał, że facet bolcował nie te dziewczyny, co trzeba. Teraz sam nabrał nareszcie szacunku do filozofii.

A może to kwestia wieku? Dotąd Spider nigdy nie obchodził urodzin, ale ostatecznie stuknęła mu już trzydziestka, więc może coś mu dolega? Osobisty lekarz Billy starannie zbadał Spidera, po czym kazał mu przyjść znowu za dwadzieścia lat, a na razie nie zawracać głowy.

Spiderowi dolegało coś jeszcze, lecz nie miał pojęcia, jak mógł się z tego wyleczyć: zaczął się robić sentymentalny, a przynajmniej tak nazywał tę przypadłość. Kiedy przypadkiem wyczytał w gazecie, że jakaś para, otoczona na zdjęciu wianuszkami wnuków i prawnucząt, obchodzi złote gody, czuł łzy w oczach. Podobne łzy ronił ukradkiem za zwycięzców super - pucharu, finalistki telewizyjnego konkursu piękności, za nastolatków, którzy wyratowali dzieci z płonącego domu, za ślepców, którzy z najwyższym wyróżnieniem ukończyli mimo wszystko studia, i za żeglarzy samotnie opływających świat na żagłowie. Wieści o śmierci, katastrofach i innych codziennych koszmarach nie robiły na nim najmniejszego wrażenia, natomiast od dobrych wiadomości zmieniał się w galarete.

Pocieszał się, że jest za młodym facetem, by wchodzić w okres przekwitania. Niepokoiło go jednak i to, że jest stanowczo za stary na młodzieńcze depresje, o co więc tu chodzi? Powlókł się do kuchni swojego cudownego domu dla samotnego mężczyzny i otworzył puszkę zabiłanej zupy pomidorowej Campbella. Kiedy już nic nie pomoże, pozostaje jeszcze zupa.

Zupa też nie pomogła.

W ostatnich tygodniach ciąży Dolly mniej chętnie niż dotąd wypróbowała kolejne przepisy z *Koszernej kuchni sławnych ludzi* i drogocennej, rozlatującej się *Książki kucharskiej Molly Goldberg*, znalezionej w antykwariacie. Pocieszała jednak przemilą właścicielkę domu, panią Higgens, żonę strażaka, iż dzieje się tak tylko dlatego, że coraz trudniej jest jej się docisnąć do kuchenki. Nie mogła też jadać na mieście, gdyż Lester, który rozpuścił wśród dziennikarzy wieść, że kandydatka do Oscara jest chora na ospę wietrzną, uraczył następnie prasę informacją, że Dolly Moon jest chora na świnkę. Cudowne ozdrowienie miało nastąpić dopiero nazajutrz, w dzień przyznania nagród. Telefon w mieszkaniu Dolly nie urywał się wprawdzie, ale mimo to Lester uznał za stosowne, jako rzecznik aktorki, wprowadzić się do jej mieszkania na wypadek, gdyby czegoś potrzebowała w środku nocy - na przykład tego, żeby ktoś ją podrzucił do szpitala.

- Powtarzam ci, Lester, że urodzę dopiero tydzień po uroczystości, więc mam jeszcze całe osiem dni. Wykorzystujesz po prostu biedną kobietkę z brzuchem, która nie ma serca powiedzieć ci stanowczo „nie”.

- Przy kobietach wstępuje we mnie diabeł - przytaknął rozpromieniony Lester. - Hej, Dolly, umiesz się smyrać pod stołem?

- Nie wiem, co to znaczy, ale możesz mnie nauczyć, pod warunkiem, że nie masz nic zdrożnego na myśli - odrzekła z rozwagą.

- Jestem osobą czystego serca, Dolly, a oprócz tego każda inna zabawa mogłaby zaszkodzić maleństwu - orzekł Lester, który bardzo już się przywiązał do stworzonka, które kopało go i szturchało noc w noc, jak gdyby chciało się z nim zaprzyjaźnić w tej trudnej sytuacji - niczym hrabia

Monte Christo, stukający przez mur swojej celi.

- Później mnie nauczysz - rozmyśliła się Dolly.

Lester westchnął tylko i powrócił do lektury *Herald-Examiner*, miejscowej popołudniówki.

- O rany! Coś takiego!

- Co się stało?

- Dziś rano wybuchł pożar w biurach firmy Price Waterhouse w Los Angeles. Na szczęście udało się go ugasić, a koperty z nazwiskami laureatów Oscara udało się przenieść w bezpieczne miejsce. Tak piszą. Możesz sobie wyobrazić ten burdel, gdyby się okazało, że cały konkurs poszedł z dymem?

Dolly wydawała się niezbyt przejęta taką wizją. Myślała teraz głównie o jedzeniu.

- Też mi coś, Lester. Zbierajmy się, pani Higgens zaprasza nas dziś na dół na kolację. Strasznie się zamartwia, że za mało jem.

- Przecież dzień w dzień przez cały ostatni tydzień przynoszę ci jedzenie z chińskiej knajpy, dokładnie tak jak chcesz - wybąkał posmutniały Lester.

- Właśnie o to jej chodzi. Pani Higgens boi się, że w chińszczyźnie są różne szkodliwe dla dziecka dodatki, wiesz, glutaminian sodu i coś tam jeszcze. Dlatego obiecała zrobić pieczeń wołową z kapustą.

Lester poweselał. Nie znosił chińskiej kuchni, chociaż jakoś nie śmiał przyznać się do tego przed Dolly. Jeszcze by się zdenerwowała.

- Świetnie! Wspaniale!

- Trzeba było powiedzieć, że jesteś nałogowym pożeraczem pieczeni wołowej, to bym upiekła, kiedy jeszcze mogłam - zauważyła Dolly z miną

aniołka.

- Nie, ja tak w ogóle.

- W ogóle? Z czym jest tak świetnie?

- Ze wszystkim. - Tu Lester westchnął z wielkim ukontentowaniem i uklęknął przy fotelu Dolly, przyciskając nos do jej nosa i łypiąc zza okularów, jak gdyby dosłownie chciał dotknąć ją wzrokiem. Zrezygnował jednak z tych prób i zadowolił się pocałunkiem. Pocałunki były wciąż jeszcze dozwolone.

Dolly zamruczała radośnie. Lester Weinstock rzeczywiście się sprawdzał w swojej roli. Poza tym świetnie umiał się całować.

Kolacja była spóźniona, gdyż pani Higgens czekała aż wróci mąż, tak zwany Szef. Zaczęli wreszcie jeść bez niego. Pan Higgens wpadł dopiero, gdy na stole stało już drugie danie.

- Przepraszam, moi mili, że musieliście na mnie czekać, ale miałem wariacki dzień i musiałem czekać, aż wszystko się ułoży.

- Myślałam, że w twoim zawodzie czeka się, aż się wszystko dopali, a nie ułoży - obruszyła się pani Higgens.

- Bywają też niezwykle pożary - odparł z tajemniczą miną strażak.

- Ale co konkretnie gasiłeś, Szefie? Pożar w burdelu, dom kochanki burmistrza, rezydencję Hugh'a Hefnera? Coś mi się widzi, że masz nieczyste sumienie - powiedziała z dumą pani Higgens, w poczuciu, że jej mąż to nie byle kto. - Jeśli sam nie powiesz i tak przeczytamy o tym w gazetach.

- Akurat o tym nigdzie nie przeczytacie. Wyciszają sprawę.

- Pewnie się spalił bank - domyślił się Lester.

- Ach, nie! - Dolly była bliska szoku. - Na pewno zapalił się

sierociniec albo klinika położnicza.

- Nie, gdzie tam - uspokoił ją uśmiechem Szef. - Żałuję, że w ogóle o tym wspomniałem, ale jak już mówić, to mówić. Niech to tylko zostanie między nami. Ciebie powinno to zaciekawić, Dolly, bo mówiłaś, że grasz w filmie. No, to nastaw uszu. Paliło się biuro takiej jednej firmy, Price Waterhouse, w biurowcu w centrum miasta. Wiesz, to ta firma, która co roku zajmuje się rozdzielaniem Oscarów...

- I co?! - przerwała Dolly. - Czy ktoś zginął? W gazecie nic o tym nie napisali.

- Nic podobnego. Nikt się nawet nie zaczadził, ale cała akcja była śmieszna, że boki zrywać. Biuro podpalił jakiś stuknięty kaskader. Kiedy go znaleźli, rozdmuchiwał ogień i śmiał się jak wariat. Powiedział, że zrobił to z zemsty, bo od lat na próżno czeka, aż zacznie się rozdawać Oscary kaskaderom. Chciał w ten sposób uświadomić wszystkim, że kaskaderom też się coś należy. Stuknięty czubek, mówię wam. Spaliła się połowa biura, pół budynku okopcone, po niektórych piętrach strach chodzić, bo konstrukcja puściła.

- Ale co się stało z wynikami konkursu? - dopytywał się niecierpliwie Lester.

- A, wyniki... Wszystkie rezultaty są w komputerze, więc nic im się nie stało. Bez obawy. Gorzej z kopertami, w których są wyniki, tytuły i nazwiska, bo trzymano je w sejfie w pomieszczeniu, które się wypaliło do imentu. Musieliśmy wszystko przenieść w inne miejsce.

- Ho ho, ciekawa historia, Szefie - Lesterowi rozbłysły oczy. - Może jednak dałoby się zaprosić dziennikarzy? Niech pan sobie wyobrazi tytuły: „Bohaterski strażak ratuje koperty z Oscarami” i tak dalej.

- Nie, Les. Mój szef mówił, żebym nie trąbił o tej akcji. Zaraz się znajdzie paru następnych czubków - podpalaczy i co wtedy?

- Fakt. Racja. No, ale trochę szkoda. Może przynajmniej nam pan opowie dokładnie, jak było? Niesamowita historia!

Szef nie dał się długo prosić. Rzadko się zdarzało, by ktoś wykazał tak autentyczne zainteresowanie jego zawodem. Szef był zdania, że ludzie mają strażaków za nic, oczywiście dopóki gdzieś nie zaczną się palić.

* * *

Od kolacji minęła zaledwie godzina. Dolly i Lester wrócili na górę, rozsiedli się i kończyli właśnie butelkę framboise. Dolly wyznawała teorię, w myśl której napoje owocowe, z tej racji, że zawierają witaminy, w żadnym wypadku nie mogą zaszkodzić maleństwu. Lester idąc za tą myślą kupił likier brzoskwiniowy, śliwownicę, nalewkę czereśniową i wino z czarnej porzeczki. Najbardziej jednak ze wszystkiego urzekła go butelka framboise - likieru malinowego. Może zapatrzył się na nią za sprawą ceny, bo napitek był przeraźliwie drogi, a Lester uwielbiał przynosić Dolly drogie prezenty. Nie miał przy tym pojęcia, że framboise, które kupił, jest trunkiem bardzo starym, bardzo rzadkim i piekielnie mocnym. Nawet rodowici Francuzi nie odważali się wypijać więcej niż dwa, trzy kieliszki cennego płynu. Maliny wydały się Lesterowi i Dolly owocem bardzo zdrowym, a likier, prawie przezroczysty, za to o cudownym bukacie, wchodził w gardło z magiczną łatwością, prawie że parując na języku. Dolly i Lester nie oszczędzali się w tym pojedynku.

- Myślę, że trzeba to zrobić - obwieścił wreszcie Lester po długiej zadumie.

- Co zrobić? - zdziwiła się Dolly.

- Nie możesz dłużej żyć w takim napięciu. Nerwy szkodzą i tobie, i maleństwu.

- Jakie znów nerwy, Lester?

- Denerwujesz się, bo nie wiesz, kto dostanie Oscara. Zdaję sobie sprawę... Może nie sprawiam takiego wrażenia, ale myślę, że żyjesz w stanie poważnego, nienormalnego, rzekłbym wręcz złowrogiego napięcia nerwowego.

- Jesteś taki kochany, jak się upijesz. Zdejmij okulary i mnie pocałuj. Ile tylko chcesz.

- Nadmiernego, nieznośnego, nieuśmierzonego, niesmacznego, nienaturalnego, niezawinionego, nieustannego, stałego, długo trwałego, nie do wytrzymania, niezwykłego napięcia!

- Głuptasie. Chodź tu do mnie.

- A jeżeli ty nie czujesz napięcia, muszę je za ciebie czuć ja, a to także może się odbić na dziecku. Mały się denerwuje, budzi mnie, ja też się denerwuję, zamartwiam się... Wiem, że to nie wina bobasa, ale trzeba coś z tym zrobić. Postanowione!

- Że co? Że będziemy spali w osobnych łóżkach?

- Nigdy! Co za zepsuta wyobraźnia przemawia przez ciebie, Dolly. Natychmiast przeproś.

- Ogromnie cię przepraszam, Lester. Ale d'propos, o czym ty w ogóle bredzisz? Za co cię mam przepraszać? Chyba też się upiłam. Jak to możliwe, żeby tak się urznąć zwykłymi malinkami...

- A może byśmy tak... Może byśmy się wybrali na malutką przejażdżkę, niedaleko, powiedzmy na South Olive Street pod numer 606, i zerknęli sobie na te koperty, o których opowiadał Szef? Zaraz by ci

ulżyło, mogłabyś nareszcie zmrużyć oko, wyspać się przed jutrzejszym wieczorem... Jeżeli się dowiesz z góry, że nie wygrałaś, odprężysz się. Nie wolno tak męczyć biednej osóбки w ciąży, nie wolno ukrywać przed nią prawdy, bo to n - nieludzkie i okrutne, tyle ci powiem!

- Nie wolno robić takiego szachrajstwa, bo to nieładnie.

- Nieładnie czy ładnie, jadę. Uwaga! Jadę! Siedź tu sobie, zaraz podniosę na nogi moją biedną, bezradną dziewczynkę.

- Sama umiem się jeszcze podnieść, bez ciebie - burknęła Dolly, dźwigając się z fotela i chwiejąc się lekko.

- Wstać łatwo, ale gorzej sprowadzić cię pionowo po schodach - wymruczał Lester. Dolly była już na półpiętrze, lecz wróciła na górę, słysząc, że Lester przemawia do pustych ścian.

- Lester! Chodź tu w tej chwili. Drzwi są tam, o, widzisz? Świetnie, teraz musisz tylko iść w tym kierunku. Wspaniale. Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Genialny. Po prostu piramidalny. Szkoda, że sam na to nie wpadłem.

- Przecież wpadłeś.

- Naprawdę? Proszę, proszę. Zaczekaj sekundkę, Dolly, pomogę ci zapiąć pasy. Skubańcy nie pomyśleli przy projekcie, że osoby w ciąży też mają prawo się przejechać.

Kiedy Dolly i Lester dojechali na South Olive Street, otrzeźwieli już nieco, lecz do pełnej trzeźwości było im niezmiernie daleko. Znajdowali się w stanie cichego upojenia, kiedy to uprzedni błahy pomysł wydaje się przykazaniem wyrytym na kamiennych tablicach przez samego Mojżesza. Rozumiało się samo przez się, że należy wyprowadzić Dolly z napięcia

nerwowego. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógł polemizować z tym pomysłem. Lesterowi i Dolly malinowy likier przydał też mnóstwo odwagi i sprytu.

W westybulu na parterze biurowca siedział strażnik. Kleiły mu się oczy, a poza tym nudził się jak mops, nic więc dziwnego, że oczarował go monumentalny marsz Dolly w stronę biurka. Lester machnął mu przed nosem portfelem, pełnym plastikowych kart i oświadczył władczo:

- Jestem z Price Waterhouse. Mam sprawdzić, co na górze.

- Proszę się wylegitymować.

Lester pokazał strażnikowi karty kredytowe Visa i Diners Club.

- Nie, chcę zobaczyć legitymację Price Waterhouse.

- Już, zaraz. Cholera, tyle człowiek nosi przy sobie tego plastyku, gdzież mi się ona zapodziała. Sekundę, chyba była jednak w portfelu...

Dolly złapała się nagle za brzuch i wydała z siebie chrapliwy skowyt. Strażnik i Lester zamarli w bezruchu, spoglądając na nią bezradnie.

- O mój Boże, Lester, kochanie, mam straszny skurcz pęcherza. Przynajmniej mam nadzieję, że to tylko pęcherz.

- Rany boskie! Nie ma chwili do stracenia, kolego - ocknął się Lester. - Muszę ją natychmiast zawieźć na górę, do naszej damskiej toalety. Cholerny szef, włóczy mnie po nocach, a ją razem ze mną i to w takim stanie! Nie mogłem jej przecież zostawić samej w domu, bo a nuż...

- Jasne, że nie! - strażnik wskazał drogę do otwartej windy. - Może pomóc?

- Nie, sam się nią zajmę. Dolly, odezwij się. Dolly, co ci jest? Możesz wytrzymać jeszcze chwilę?

- Lester, prędko, błagam cię!

Kiedy zasunęły się za nimi drzwi windy, Lester w popłochu odwrócił się do Dolly.

- Nic ci nie jest?

- Nabrałeś się, co? - uśmiechnęła się szelmowsko aktorka. - Metoda Stanisławskiego w nowym wydaniu.

- Nie jestem pewien, czy rzeczywiście. W metodzie Stanisławskiego trzeba się obyć bez rekwizytów.

Biura na trzecim piętrze zastali dokładnie w takim stanie, jak opisywał Szef. Lester ominął zwężone, dwuskrzydłowe drzwi z drewna, z wypisaną na nich nazwą firmy i skierował się prosto do czwartego pokoju po lewej, zgodnie z tym, co opowiedział mu strażak. Wyjął scyzoryk i przez minutę w pocie czoła dobierał się do zamka.

- Na pewno umiesz się włamywać? - nie wytrzymała Dolly.

- Trochę szacunku, proszę. Rozmawiasz z mistrzem tej sztuki. Zamki to moja specjalność.

- Dzieci z bogatych rodzin zawsze mają lepsze wykształcenie.

- Pewnie, bo w końcu, ile godzin dziennie można grać w tenisa na obozie letnim? - ciągnął Lester, nadal grzebiąc w zamku. Minęły trzy drogocenne minuty. - Ten cholerny kretyn Benny Fishman musiał o czymś zapomnieć, kiedy mnie uczył. Nie martw się, Dolly, otworzę te drzwi, choćby mi je przyszło wywazać.

- Lester, przecież nie musimy wcale...

Dolly raptownie umilkła, a Lester schował nóż, bo zza załomu korytarza wyłoniła się sprzątaczką.

- Dobry wieczór - powitał ją Lester oficjalnym tonem.

- Dobry wieczór. Ale ruina, co? Nikt mnie nawet nie uprzedził, że tu

taki bałagan. Przychodzi się do pracy, jak co dzień, a tu? Sadza, popiół, wszystko pływa w wodzie. A o co się rozchodzi? Klucz się zaciął? Patrzcie no, zostawiają taki bałagan i jeszcze nie chcą powiedzieć, który klucz pasuje. - Współczująca sprzątaczką otworzyła drzwi pokoju własnym kluczem. - Tylko niech pan nie próbuje chodzić po innych pokojach, podobno tam niebezpiecznie.

Lester podziękował sprzątaczkę. Wpadli z Dolly do pokoju i zamknęli za sobą drzwi. Lester zapalił światło, by rozwiać ewentualne podejrzenia sprzątaczkę, lecz po paru sekundach znowu je zgasił, usłyszawszy, jak kobieta oddała się w głąb korytarza. Nawet w malinowej mgle nie zapomniał zabrać latarki ze schowka w samochodzie. Przy jej świetle znalazł stojącą w rogu szafkę z szufladami na akta.

- Tu chyba mi się uda, tak sobie myślę. Potrzyjmy latarkę, Dolly.

Po minucie Lester rzeczywiście podważył scyzorykiem zamek od wysokiej szafki i otworzył ją. Spojrzeli na siebie w popłochu. Wszystkie pięć szuflad pękało w szwach od papierzysk.

- I co teraz? - szepnęła Dolly. - Nie damy rady tego wszystkiego przejrzeć.

- Prosta sprawa. Koperty będą pod „N”, od „Nagród”. Trzymaj latarkę i nie odzywaj się przez chwilę.

Lester nie znalazł nic pod „N”, więc zajrzał pod „F”, od słowa „Film”. Nic. W takim razie może „A”? Uśmiechnął się, że tak świetnie to wymyślił. Oscary rozdziela przecież Amerykańska Akademia Nauk i Sztuk Filmowych. „Akademia” przyniosła kolejny zawód.

- Cholera, ależ ze mnie idiota! Przecież na pewno będą pod „O”, jako „Oscary”! Niestety, mylił się i tym razem.

- Coś ci powiem - syknęła Dolly. - Gdybym miała coś takiego schować, wsadziłabym to pod „K”. „K” jak „koperty”. Koperty istotnie leżały tam, gdzie powiedziała: dwadzieścia jeden sztywnych, białych kopert, które zawierały wszystkie rezultaty plebiscytu, oprócz wyróżnień honorowych i Nagrody Thalberga. Lester przerzucił je kolejno z cicha klnąc pod nosem.

- Kurczę. „Za najlepszy scenariusz oparty na materiale z innej gałęzi sztuki”. Osrać ich. Najlepszy film w obcym języku. Kij im w oko. Najlepsza oryginalna melodia i jej adaptacja w filmie. Naszczać im w tę melodię...

- Lester, ktoś tu chyba idzie! - Dolly wydała z siebie nerwowy chichot. Wyłączyła latarkę i odłożyła ją na podłogę. Lester przytulił do siebie koperty. Zamarli w całkowitym bezruchu, bo obok drzwi przemaszerowało dwóch mężczyzn. Nie zawrócili jednak, Dolly więc odważyła się wyrzucić na korytarz.

- Czysto. Szukaj dalej, Lester.

- Zgubiłaś latarkę. Potoczyła się gdzieś na bok. Nie możemy zapalić światła. Jazda, wrywamy stąd.

Wyjście na schody przeciwpożarowe, nie zamykane na zamek zgodnie z przepisami, było tylko o parę kroków od pokoju. Jak na kobietę, która za tydzień miała rodzić, Dolly zadziwiająco prędko dawała drapak po stromych stopniach. Kilka minut później siedzieli już w samochodzie.

- Dolly, co zrobiłaś ze swoim łonem? Gdzie ja się teraz schronię? - jęknął Lester.

Dolly spojrzała na niego, pierwszy raz odkąd wybiegli z pokoju w biurach Price Waterhouse. Pod splecionymi rękami, Lester miał na

brzuchu podejrzanym kopiec.

- Jak mogłeś, Lester! Zabrałeś je wszystkie, tak? Chcieliśmy przecież tylko zerknąć... A niech to! - Dolly ryknęła śmiechem, nareszcie mogąc dać upust wesołości.

- Ja tu pocę się krwią ze strachu, a ty się śmiejesz - oburzył się Lester, walcząc z czkawką. Bojaźliwie spojrzał na swój ładunek, bojąc się go nawet dotknąć. - Ejże, Dolly, zrób coś teraz! Nie mogę tak siedzieć w nieskończoność.

Wciąż nie mogąc wydobyć z siebie słowa Dolly podniosła z podłogi papierową torbę na zakupy i wytrząsnęła do niej z marynarki Lestera wszystkie koperty. Lester z ulgą włączył silnik. Po pięciu minutach byli już daleko od miejsca zbrodni.

- Może byśmy się na chwilę zatrzymali i zajrzeli? - zaproponowała Dolly, gdy już obydwójce złapali oddech.

- Zupełnie brak ci wyczucia chwili, kochana - wielko - pańskim tonem skarcił ją Lester. - Taką okazję trzeba odpowiednio uczcić, jak przystało na nadzwyczajny wieczór. Dzisiejszej nocy przejdziemy do historii.

- A moje napięcie nerwowe? Podobno jest nieznośne.

- Cierpliwości, aniele, cierpliwości. Nie wolno nam przedkładać samolubnych przesłanek nad dyktat historii.

Lester był oczywiście nadal pijany i wkroczył w fazę, w której kosmiczna perspektywa zaczyna przesłaniać banalne szczegóły. Wokół niego otwierały się nowe horyzonty, przyzywały go dalekie widnokregi. Po bardzo długiej jeździe zajaśniał wreszcie przed nimi Beverly Hills Hotel. Lester nigdy dotąd nie miał okazji zaprosić któregoś z

podopiecznych na pogawędkę do Sali Polo w Beverly Hills Hotel, tandetnej i przereklamowanej świątyni światowego życia, omijanej przez światowców już od dobrych dwudziestu lat. Takim jak on wciąż jeszcze wystarczała sama nazwa przybytku.

- Przede wszystkim, Dolly, musimy się napić odrobinę framboise. Tylko to przywróci nam poczucie tajemniczości i przyda nam wyobraźni. - Lester skręcił z Bulwaru Zachodzącego Słońca na podjazd przed hotelem, powierzył samochód obsłudze parkingu i poprowadził Dolly, wciąż z zakupową torbą w dłoni, wprost do Sali Polo. O tak późnej godzinie było tam pustawo, dzięki czemu udało im się znaleźć niewielki stolik przy oknie z nie odkurzonymi od dziesięciu lat plastikowymi roślinami.

- Dwa potrójne framboise i telefon - polecił Lester kelnerowi. Może nie wiedział, co zamawia, ale na pewno wiedział, jak zamawiać. Telefon natychmiast znalazł się na stoliku. Kelner dłuższą chwilę konferował z barmanem nim powrócił z dwoma kieliszkami cacao choix.

- Barman mówi, że skończyło mu się tamto drugie. To może być?

- Fenomenalnie - uspokoiła go Dolly, ściskając pod brodą torbę i w mętym świetle usiłując odczytać napis na kartce wewnątrz koperty.

Lester podniósł kieliszek na jej cześć.

- Zdrowie najlepszej aktorki świata, nieważne, kto dostanie Oscara!

Przechylili obydwójce kieliszki. Lester skinął na kelnera, by ten przyniósł następną porcję.

- Ależ Lester - zakwilila Dolly - ja tak naprawdę wcale nie chcę sprawdzać, co jest w mojej kopercie. Jutro będzie taki cudowny wieczór... Nie chcę sobie wszystkiego zepsuć!

- A napięcie, to nieznośne napięcie nerwowe?

- Skoro ja mogę wytrzymać jeszcze przez tę jedną noc, to i ty możesz.

- W takim razie podaj mi torbę.

- Ale, Lester... Co ty wyrabiasz?

- Uspokój się, nie szukam koperty z rolą drugoplanową, o już mam. Oczywiście była na samym dnie.

- Która to?

- Ta z Oscarem dla najlepszego filmu. Innych nie ruszę.

- Myślisz, że powinniśmy?

- Jeszcze pytasz?

- Będziemy mieli nieprzyjemności. Wiem, że tak będzie - rozszłochała się Dolly.

- Już je mamy, cieszymy się więc życiem. - Lester ceremonialnie i ostrożnie rozkleił lekko zalepioną kopertę, nie uszkadzając jej przy tym, a potem, odmierzając każdy gest prawie tak samo jak zawodowcy podczas uroczystości, spojrział przez okulary na wypisany w środku tytuł.

- Zaraz, niewyraźnie, muszą zmienić taśmę w maszynie... *Zwierciadła*. **ZWIERCIADŁA!** Dolly, udało się! Wygraliśmy!!!

Dolly zatkała mu usta. Ze wszystkich kątów sali gapili się na nich ludzie.

- Cicho! Ojej, ojej, ojej, jestem taka szczęśliwa. Co ty wygadujesz, że wygraliśmy? Vito wygrał.

- On i cała nasza wytwórnia. Udało się!

- Nie ma się o co kłócić. Wszyscy wygraliśmy. Ach, Lester, muszę natychmiast zadzwonić do Orsinich. Dawaj telefon - rozkazała. Po twarzy spływały jej łzy radości. Kiedy jednak sięgała po słuchawkę, torba

przewróciła się, a na wyściełany dywanem parkiet wysypało się pozostałe dwadzieścia kopert. Lester zdjął okulary, by móc cokolwiek widzieć z tej odległości. Zauważył natychmiast, że ich stolik, przy którym Dolly szlocha wniebogłosy, kabel telefonu za chwilę wywróci nowe kieliszki z likierem, a koperty walają się wszędzie dookoła, zaczyna zwracać powszechną uwagę.

- Nie ruszaj się, Dolly. Niech ci nawet nie drgnie powieka, uwaga. Pozbieram teraz wszystkie koperty do torby, zrozumiano? Odłóż słuchawkę. Nie, proszę pana, wolelibyśmy nie oddawać tej torby do szatni, wysypało się nam parę drobiazgów, ale wszystko już pozbierane. Nie, tej torbie na pewno nie będzie wygodniej w szatni, za to może nam pan przynieść po preclu. Dolly, jak myślisz, czy możesz już się zamknąć? Ludzie pomyślą, że zaczęłaś rodzić. O, świetnie, Dolly, teraz lepiej. Pij swój likierek. Kochana moja mała, już wszystko dobrze, nie płacz. Już się pozbieraliśmy, już wszystko idzie gładziusieńko jak po stole. - Lester z roztargnieniem pogładził dłoń Dolly. Poczul się nagle zupełnie trzeźwy. No, może niezupełnie, ale na tyle, by się zorientować, jak bardzo nim wstrząsnęło otwarcie koperty. Chryste Panie, to już nie były żarty, tylko ponura rzeczywistość. Z rozmyślań wyrwał go głos Dolly.

- Proszę cię, Lester, pozwól mi zadzwonić do Orsinich. Potem usiądziemy sobie, otworzymy wszyściuteńkie koperty i zadzwonimy do wszystkich nagrodzonych, bo dlaczego mają się jeszcze tyle martwić, a na koniec do agencji prasowych, gazet i do radia, i do telewizji. Wiesz, Lester, będziesz najsłynniejszym źródłem informacji na świecie.

- Najsłynniejszym?! Do końca życia nie znajdę potem pracy! Zrozumże, Dolly, mówię zupełnie poważnie, że jesteśmy w tarapatach.

Wszystko to moja wina. W ten sposób cała ceremonia wręczania Oscarów może się zawalić do reszty.

Przecież wyniki muszą być niespodzianką! Niech to szlag trafi, po co ja brałam te koperty? Musiało mi rozum odjąć.

- Zawsze możemy je spalić - podpowiedziała usłużnie Dolly.

- Jasne, spalić albo wyrzucić do kubła, albo podrzeć i spuścić wodę, wszystko jedno, jutro ludzie z Price Waterhouse odkryją, że zniknęły, a sprzątaczką będzie umiała podać nasze rysopisy. Mnie może nie rozpoznają, ale ciebie?

- A może... byśmy je zabrali... Z powrotem?

- Jedno włamanie to dosyć, przy drugim już na pewno nas złapią. Poza tym sam słyszałem, jak zatrzasnęły się za nami drzwi do tamtego pokoju.

- Tak mi głupio, Lester! - Dolly zrobiła tak nieszczęśliwą minę, że Lester musiał ją pocałować kilka razy, nim jego wybrance wróciła do pewnego stopnia równowaga ducha. Lester nigdy jeszcze nie widział Dolly w takim stanie.

- Nic się nie przejmuj. Mam nowy pomysł. - Lester wydobył z zanadrza notesik, z którym się nie rozstawał, wypełniony drogocennymi numerami telefonów rozmaitych ważnych osobistości, z którymi miał kontakty pion promocji w jego wytwórni filmowej.

Lester skopiował listę tych zastrzeżonych numerów na wszelki wypadek, gdyby musiał kiedyś w nagłej sprawie zadzwonić do kogoś ważnego.

Maggie odebrała telefon z irytacją. Chciała się przede wszystkim wyspać przed jutrzejszą wielką galą. Dlaczego więc ktoś o północy śmie

dzwonić do niej do domu?

- Jaki Lester Weinstock? Co pan ma? Co pan zrobił?!!! Gdzie pan jest? Nie żartuje pan chyba, bo jeżeli to żart to... Nie, nie, wierzę panu. Zaraz tam będę. I DOPÓKI SIĘ NIE ZJAWIĘ, NIECH PAN NIE RUSZA TELEFONU! Obiecuje pan? Będę za dziesięć minut. Nie, za pięć.

Sześć minut później Maggie wkroczyła na salę, bez makijażu, w chustce na głowie i w futrze z nerek, narzuconym na koszulę nocną i spodnie.

- Ciągle nie mogę uwierzyć - zaczęła, przyglądając się dwójce spiskowców. Lester pochylił się, podniósł wygniecioną papierową torbę i pozwolił Maggie zajrzeć do środka. Maggie potrząsnęła głową, zajrzała jeszcze raz, podniosła jedną z kopert, przyjrzała jej się, odłożyła z powrotem i znów potrząsnęła głową. - Już wierzę.

- Maggie - zaczęła z ożywieniem Dolly - wiesz, dopóki nie przyszaś, Lester nie pozwolił mi nawet dotknąć tego telefonu. Powiedział mi, że będziesz już wiedziała, co zrobić.

Maggie oszołomiła skala szaleństwa niewinnej istoty, która dzielnie wylizując trzeci kieliszek likieru wyglądała jak rozkwitająca wiosną jabłoń. Czy Dolly miała choć mgliste pojęcie, ile milionów dolarów można zarobić lub stracić na Oscarach? Czy nie rozumie, że same reklamy podczas wręczania nagród oznaczają kolejne miliony dla sieci telewizyjnej i kolejne miliony w postaci wzmożonego zainteresowania publiczności filmami? Czy nie zdaje sobie sprawy, że sam nastrój oczekiwania zmienia Oscary w odpowiednik przeprowadzanych corocznie wyborów prezydenckich?

- Lepiej oddaj mi tę torbę, Lester - rozkazała. - Chyba, że chcesz

pójść w ślady ojca.

- Możesz jakoś wyciszyć tę sprawę? - zapytał w przerażeniu.

- Nie wiem, Lester, ile głupoty potrzeba, żeby się poważić na coś takiego, ale przynajmniej postąpiłeś mądrze, dzwoniąc do mnie. Nie dość, że ci z Price Waterhouse dostaną swoje koperty z powrotem, to jeszcze jako dziennikarka mogę sobie zastrzec anonimowość dla swoich źródeł. Będziesz dla mnie jak Głębokie Gardło dla tych od Watergate.

- Jestem twoim dłużnikiem do końca życia, Maggie. Aha, mam tylko jedną prośbę. Może moglibyśmy zerknąć do koperty z rolą drugoplanową, wiesz, żeby Dolly nie musiała się tak denerwować?

- Nie chcę! - oświadczyła Dolly, lecz przerwał jej głos Maggie:

- Absolutnie wykluczone. W ten sposób już wszyscy troje poznalibyśmy nazwisko, a kiedy troje zna tajemnicę, znają ją zaraz wszyscy. Nie otwierałeś żadnej z tych kopert, prawda?

- Oczywiście, że nie - obruszył się Lester, co sił kopiąc Dolly pod stołem. - Od razu zadzwoniłem do ciebie.

- Daleko zajdziesz, Lester. Pamiętaj, że ja pierwsza ci to powiedziałam. Dobra, pamiętajcie: o niczym nie wiecie.

- Nikomu ani słówka - zapewnił ją Lester.

- Już zapomniałam o wszystkim - oświadczyła Dolly.

- Zawsze marzyłam, żeby ludzie mówili tak nie tylko na filmach - ucieszyła się Maggie i zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć choć słowo, wypadła z Sali Polo, mocno ściskając pod pachą papierową torbę.

- Nawet jej nie powiedziałaś o *Zwierciadłach* - zreflektowała się poniewczasie Dolly.

- Nie pozwoliła nam zajrzeć, zatem my też nic jej nie powiemy.

Może sobie zaczekać jak my wszyscy. Jak sprawiedliwie to sprawiedliwie.

- Ach, Lester, ty jak coś powiesz!

Kilka minut później Maggie wpadła do kuchni w swoim domu. W drodze powrotnej z hotelu przeanalizowała w myślach wszystkie trudności wiążące się ze zwrotem kopert bez narażania na szwank Dolly i Lestera. Wiedziała, że musi rzucić na szalę cały swój prestiż zawodowy i cały spryt. Na szczęście firmie Price Waterhouse równie mocno jak Maggie zależało, by do wiadomości szerokiej widowni nie dotarła wieść, iż dzień przed Wielkim Wydarzeniem wyniki stały się publiczną tajemnicą. Zadanie nie było więc łatwe, ale mimo wszystko wykonalne.

Zerknęła na sztywne koperty, leżące w równym rzędku na kuchennym stole. Z dziobka czajnika na kuchence zaczęła się nareszcie wydobywać para. Maggie otwierała w jej strumieniu kolejne koperty, zapisywała na kartce z bloku nazwiska i tytuły, po czym zalepiała koperty z powrotem. Czyniła to wychodząc z założenia, że samotna dziewczyna musi w życiu dbać o własne sprawy. Ileż zabawy będzie miała nazajutrz! Do południa powinna już ubić tuzin rozmaitych interesów. Całe miasto będzie jej winne małą przysługę! A wieczorna uroczystość - niewiarygodna sprawa! Maggie postanowiła zacząć pokaz przedstawiając własną listę laureatów. Tylko gdzie powinna się pomylić? Może w kategorii najlepszej oprawy dźwiękowej i najlepszego filmu krótkometrażowego? Jasne, nikt nie zwraca na te sprawy uwagi oprócz kilkuset zainteresowanych fachowców. Może jeszcze jedna pomyłka?

W kategorii najlepszego kostiumu? Tam i tak nigdy nie wiadomo kto wygra. Ale co do pozostałych kategorii - może nasza mała sierotka wyciągnie je teraz z kapelusza! Maggie postanowiła też uprzedzić

operatorów, tak aby potrafili w odpowiednim momencie skierować kamery w odpowiedni punkt sali. Wiedziała już także, ile uwagi może poświęcić każdemu z kandydatów do nagrody aktorskiej w krótkich wywiadach przed wręczeniem Oscarów. Niebiosa strzegą pracowitych dziewcząt, nie ma dwóch zdań. Dobierając się do pięciu ostatnich kopert Maggie poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Otwierała je w tym samym porządku, w jakim miała to uczynić nazajutrz, na scenie. Uznawała bowiem tylko te przestępstwa, które popełniają zawodowcy. Kopertę z tytułem Najlepszego Filmu pozostawiła na sam koniec.

- Oj, Gewalt!

Okrzyk Maggie pochodził z głębin serca i był tak szczery i przeraźliwy, że pies strzegący domostwa zaszczekał groźnie na dworze.

Zawodowcom też się coś należy od życia, pomyślała Maggie, sięgając po telefon.

Aż godzina musiała upłynąć od nocnego telefonu od Maggie, by Billy i Vito zrozumieli, że Oscar będzie odtąd częścią ich życia, nie zaś tylko ulotnym zwycięstwem po bardzo długim wyścigu. Zaczęli powoli oswajać się z myślą o triumfie i przez powtarzanie pewnych zwrotów przyjmować nowy stan rzeczy do świadomości.

- Na pewno była pewna? - zapytała Billy po raz piąty, nie po to, by poznać odpowiedź, lecz dla samej przyjemności, jaka się z tym wiązała.

- Nie ma dwóch zdań.

- Tak? To dlaczego nie chciała powiedzieć, skąd to wie? Dziwne, prawda?

- Maggie właśnie taka jest. Wierz mi, nikt nie ma takich metod jak ona.

- A ja i tak jeszcze nie wierzę, Vito.

- Ja wierzę.

- *Zwierciadła* to najlepszy film roku - powtórzyła Billy tonem deklaracji, która jednak wciąż brzmiała jak pytanie.

- Może i najlepszy - Vito zamyślił się. - Bądź co bądź nie da się ze stuprocentową pewnością orzec, że najlepszy jest ten film, a nie inny. Dużo łatwiej jest porównać pięć rodzajów mąki tortowej, ugnieść z każdego ciasto i wypróbować, która mąka jest najlepsza ze wszystkich, ale filmy? Oscar to najwyżej dowód na to, który film spośród pięciu zebrał najwięcej głosów. Trochę jak w prawyborach prezydenckich. Swoją drogą, tylko dlatego mogę sobie pozwolić na beznamętne filozofowanie, bo wygraliśmy. Gdybyśmy przegrali, wrzeszczałbym, że *Zwierciadła* to bez żadnego gadania najlepszy film roku i tylko z rozmaitych głupich,

bezzasadnych przyczyn Oscar dostał się komu innemu.

- Ale jak się czujesz z tym zwycięstwem? Wiesz, chodzi mi o to, czy czujesz się, jakbyś zdobył złoty medal olimpijski albo coś w tym rodzaju - dopytywała się Billy.

- Czuję się jak Jack Nicholson, kiedy dostał Oscara za *Lot nad kukulczym gniazdem*. Nicholson powiedział wtedy, że dostać Oscara to tak samo, jak pierwszy raz pójść z dziewczyną do łóżka. Jeżeli raz się wreszcie uda, ma się spokój do końca życia. Człowiek musi wierzyć, że naprawdę coś umie, bo bez tego spała się jako producent, ale kiedy na dodatek wierzą w niego wszyscy inni... Co z tego, że sam wiem, ile jestem wart, kiedy brakuje mi potwierdzenia z zewnątrz? Miło jest dostać takie potwierdzenie. Miło? Co ja plotę! Tak miło, że brakuje słów.

Billy spojrziała z dumą na męża, który w piżamie i szlafroku miotał się po sypialni, sycząc jak rozgrzany palnik. Nawet ktoś tak jak ona przyzwyczajony do przemożnej energii Orsiniego nie miał nigdy okazji widzieć producenta w takim stanie. Billy domyśliła się, że Vito rozmyśla teraz o dziesięciu nowych planach, więc choć była tak głęboko wdzięczna losowi, poczuła nagle w sercu niemiłe ukłucie lęku.

- Czy taki Oscar rzeczywiście może coś zmienić w życiu? A może pojutrze wszystko znów będzie po staremu, tak jakby się na jeden dzień zostało królem? - zapytała lekkim tonem.

Vito zatrzymał się i przez chwilę szukał w myślach odpowiedzi. Wypowiadał słowa powoli, jak gdyby mówił sam do siebie.

- Dla każdego człowieka z branży jest to na pewno życiowy przewrót. Wewnętrzny i zewnętrzny. Na zawsze. Wiem oczywiście, że za tydzień - ba, za trzy dni - połowa widzów dokładnie zapomni, kto co

zdobył, ale od tej pory będę już na zawsze facetem, który dostał Oscara. Będą o tym musieli pamiętać wszyscy, którzy zechcą wdawać się ze mną w interesy. Codzienne problemy mojego zawodu pozostaną oczywiście te same. Przy każdym filmie będą się działy te same awantury, ta sama udreka, ale pamiętaj, że w tym miasteczku jest tylko jedna fabryka, która w dodatku przez pewien czas będzie robiła wszystko, co jej powiem! Ten numer, jaki mi Arvey wykręcił ze *Zwierciadłami*... Taki numer nigdy się już nie powtórzy. Na jakiś czas, od jutra, będę ponad prawem.

- Skoro mówisz o interesach, naprawdę myślisz, że będziesz mógł teraz dyktować swoje warunki?

- Nigdy w życiu, nawet gdybym dostał dziesięć Oscarów! - Vito roześmiał się na samą myśl. - Ale i tak będzie mi teraz łatwiej pertraktować niż przy paru poprzednich filmach. Nie wiem jeszcze, jak to będzie. Muszę się dopiero przekonać. Jedno ci tylko mogę obiecać już w tej chwili, kochanie: nie będziesz więcej oglądała stołu montażowego we własnej bibliotece. Takie zabawy nigdy się już nie powtórzą.

Billy z niedowierzaniem dotknęła swojej twarzy, po której spływały łzy. Próbowwała je powstrzymać, lecz na próżno. Wstrząsnął nią szloch, płynący z poczucia wielkiej straty. Vito dopiero po kilku sekundach zauważył, co się z nią dzieje. Przytulił Billy mocno do siebie i całując ciemne włosy, kołysał ją lekko czekając, aż przejdzie jej płacz.

- Przepraszam... Tak cię przepraszam, to okropne, żebym ci psuła taką chwilę. Ja tylko... Bo wiesz, ja uwielbiałam ten stół montażowy w bibliotece i to wszystko. Wtedy czułam, że coś robię, że jestem z wami, a teraz... Już nigdy nie będziemy sobie tacy bliscy jak wtedy. Nie będziesz mnie więcej potrzebował do pomocy, będziesz mógł sobie wynająć tyłu

ludzi, ilu zechcesz... Przepraszam, że tak głupio ryczę. Nie chciałam ci psuć przyjemności... - Dodała, próbując się zmusić do uśmiechu.

Vito znalazł się w kropce. Billy miała zupełną słuszość. Sytuacja, w jakiej się znaleźli przy *Zwierciadłach*, zdarza się najwyżej raz w życiu, jak katastrofa morska. Jako producent Vito modlił się, by już nigdy więcej nie musiał pracować w tak obłądnym, gorączkowym pośpiechu. Jakimś cudem wszystko się udało, ale równie dobrze cała impreza mogła się zakończyć zupełną katastrofą. Poza tym Vito nie wyobrażał sobie w przyszłości Billy jako sekretarki planu. Nie pasowała do niej taka rola, o czym Billy sama musiała dobrze wiedzieć.

- Czy na pewno tylko dlatego płaczesz, kochanie? - zapytał z czułością, przytulając Billy i językiem zbierając jej z twarzy kilka łez. - Jak możesz mówić, że już nigdy nie będziemy sobie tacy bliscy? Jesteś moją żoną, moim najbliższym, najlepszym przyjacielem, najbardziej ukochaną osobą na świecie. Z nikim nie mógłbym się czuć tak blisko.

Billy dała się wciągnąć w pułapkę. Uwierzyła w szczerść ciepłych słów męża i wyrzuciła z siebie wszystko, co ją gnębiło już od wielu miesięcy:

- Vito, ty już do końca życia będziesz producentem filmowym. Nie mylę się, prawda? - Orsini poważnie przytaknął. - To znaczy, że do końca życia będziesz zajęty, bo kiedy skończysz jeden film, zaraz się będziesz chwycił za następny, bo zawsze tak pracowałeś, zawsze żonglowałeś paroma piłeczkami naraz, dwiema, trzema, im więcej tym lepiej, bo inaczej czujesz się nieszczęśliwy. Prawda?

Vito znów przytaknął, tym razem z błyskiem rozbawienia w oczach. Rozśmieszył go grobowo poważny ton Billy.

- Nie dopuścisz do tego, żebym wlokła się wszędzie za tobą jak dziecko, które się zgubiło w wesołym miasteczku i ryczy, szukając taty. Nie zniosłbyś tego, prawda? Na szczęście nauczyłam się wreszcie zaprzyjaźniać z ludźmi na planie bez topienia się w stawie, ale cała moja praca przy *Zwierciadłach* nie zrobiła jeszcze ze mnie zawodowca i dobrze o tym wiem. Popatrz na to realistycznie. Co mi pozostało? Im większe będziesz odnosił sukcesy, tym mniej będę cię miała dla siebie. Jutro wieczór znajdziesz się jako twórca na zupełnie nowym poziomie. A ja, Vito? Co będzie ze mną? Co ja mam teraz zrobić?! Orsini spojrzał na nią bezradnie. Nie znał odpowiedzi. Mężczyzna, który kocha swoją pracę i wkłada w nią całą energię, nie umie odpowiadać na tak postawione pytania.

- Billy, kochanie... Wiedziałaś od początku, że wiążesz się z producentem.

- Zgoda, ale nie miałam bladego pojęcia, co to naprawdę znaczy. Kto mógł się domyślić, że tak to będzie wyglądało? Tobie wszystko wydaje się zupełnie oczywiste, bo taki masz już rytm, bo tak się przyzwyczaiłeś żyć od dawna, że już byś nie potrafił wrócić do normalnego tempa. Kiedy ostatni raz byłeś na wakacjach? Nie opowiadaj mi tylko, że w Cannes, przecież festiwal to nie wakacje, ale ciężka praca. - Billy starała się wpaść w gniew, gdyż w miejsce tkliwości na twarzy męża pojawiła się twarda mina kogoś, kto chce jej powiedzieć, że jest, jaki jest, i trzeba się z tym pogodzić.

- Czy zadałeś sobie kiedyś pytanie, jak ja się czuję, gdy ty sobie kręcisz film? - Mówiąc to Billy odsunęła się i ciaśniej zawiązała szlafrok. - Nie ma znaczenia, czy zostaję w domu czy jadę z tobą, bo tak czy inaczej

czuję się samotna. Zresztą nie chodzi tylko o zdjęcia. Zdarza się, że całe noce siedzisz nad scenariuszem albo znikasz, bo masz akurat montaż. Założę się, o co chcesz, że nawet prezes General Motors albo U.S. Steel nie pracuje tyle, co ty. Nawet kiedy nie pracujesz, myślisz tylko o swojej pracy! - Przerwała, bo z wściekłości straciła oddech.

Vito nie spieszył się z odpowiedzią. Cóż takiego mógł obiecać Billy? Że będzie producentem przez osiem godzin dziennie, że będzie robił jeden film na dwa lata? Podczas chwil beczynności czuł się jak żywy trup. Wyraziste rysy jego twarzy stężyły w zaciętym wyrazie, który jeszcze bardziej upodabniał go do rzeźby Donatella. Dokładnie takiej sytuacji się obawiał, kiedy się wahał, czy się ożenić z Billy, która słynęła - o czym wiedział - z niepohamowanej żądzы posiadania i dyktowania warunków. Dyktowania ich także jemu.

- Zrozum, Billy, że nie potrafię się przeistoczyć w żaden męzowski ideał. Jestem, jaki jestem, i taki już zostanę. Cały dzielę się między filmy i ciebie. Poza tobą nikogo nie mam i mieć nie będę, ale nie mogę ci ofiarować mojej pracy.

Billy przeraziła nuta ostatecznej decyzji, jaką usłyszała w głosie męża. Nigdy nie zwracał się do niej w sposób tak chłodny i daleki. Vito daleki, pozbawiony ciepła i energii - na ten widok poczuła w sercu ukłucie strachu. Brzmiało jej jeszcze w uszach piskliwe, pełne skargi echo własnych słów, więc zrozumiała, że tym razem zaszła za daleko. Zapomniała zupełnie, jak niezależny potrafi być Vito. Podeszła więc znów do niego i wzięła go za rękę, a wraz z tym gestem wróciła jej znajoma postawa łowczyni. Zniknęła w jednej chwili zła, rozkapryszona dziewczynka. Na jej miejscu znów stała Billy milionerka, w zbroi

nieokiełznanego, silnego drapieżnika.

- Opowiadam głupstwa, kochanie. Oczywiście, że nie możesz się zmienić. Chyba oszalałam od wiadomości o twoim Oscarze, zrobiłam się po prostu zazdrosna. Proszę, nie patrz tak na mnie. Wszystko jest w porządku, nie zwracaj więc na mnie uwagi, dobrze?

Vito poważnie przyjrzał się Billy, starając się zgłębić jej wyraz twarzy. Odpowiedziała mu twardym spojrzeniem, skruszona, ale nie spłoszona. Tyle wyczytał Vito w jej urzekających oczach.

- Kochanie! Nie mogę się doczekać jutra. Tyle się tam wydarzy wspaniałych rzeczy! Najbardziej ze wszystkiego będę chciała zobaczyć minę Curta Arveya. Nie wytrzyma czegoś takiego, co?

Tym razem Billy udało się skutecznie zmienić temat.

- Nie wytrzyma - przytaknął Vito, który poweselał na te słowa. - Po pierwsze, w ogóle nie uwierzy, kiedy to usłyszy. Potem będzie się domagał powtórnego przeliczenia głosów, zanim zrozumie, że chodzi o jego film. Myślę sobie... Myślę, że chętnie umówię się z nim na lunch.

- Co ci strzeliło do głowy? Z tą szują?

- Mottem rodu Orsinich, jest: „Zamiast krzyczeć, wyrównuj rachunki”.

- Wymyśliłeś to w tej chwili. - Billy delikatnie ugryzła męża w ucho.

- Ale podoba mi się. Może nawet sama je przyjmę. Mogę go używać w swoim herbie, kochanie?

- Oczywiście. Przecież i ty jesteś jedną z Orsinich. - Tu Vito pocałował ją, jak gdyby chciał o coś zapytać. Odpowiedziała mu pocałunkiem, który odpychał na bok wszystkie pytania, zwłaszcza takie, na które nie chciała odpowiadać.

Następnego dnia Billy pojechała do Scruples tuż po otwarciu sklepu. Doskonale wiedziała, że po południu miejsce to będzie w ten mroczny dzień przypominać pole bitwy. Mnóstwo kobiet postanowiło zostawić zamówione suknie w Scruples, żeby się nie pogniosły. Panie te planowały odebrać stroje tuż przed wyjściem na uroczystość i przebrać się już w sklepie. Nie było sposobu, żeby im wyperswadować, by nie zabierały ze sobą swoich fryzjerów - by przyczesali je w ostatniej chwili - a co za tym idzie, późnym popołudniem w każdej przymierzalni miało się roić od klientek i mistrzów grzebienia. Billy miała cichą nadzieję, że kiedy wszyscy fryzjerzy naraz podłączą do sieci swoje lokówki, co musiało się przecież stać, nie wylecą wszystkie bezpieczniki. Na wszelki wypadek przypomniała Spiderowi, by ten uczulił sklepowego elektryka na taką ewentualność.

Jadąc wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca zastanawiała się po raz kolejny nad nocną rozmową. Oczywiście nic nie zostało ustalone, lecz miała nadzieję, że udało jej się przekonać męża co do błahej natury swojej „zazdrości”. Miała nadzieję, ale miała także wątpliwości. Vito był piekielnie inteligentny i kiedy coś usłyszał, od razu wiedział, czy to prawda czy nie. Vito stanął na nogi. Udało mu się wygrać życiową szansę, lecz dla niej, dla Billy, oznaczało to tylko jedną zmianę: będzie musiała znaleźć w domu miejsce na statuetkę Oscara, niezbyt ostentacyjne, lecz z drugiej strony nie pretensjonalne, choć są podobno ludzie, którzy Oscara przybijają do futryny. Kim był zasrany filozof, który powiedział, że cała ludzka mądrość streszcza się w dwóch słowach: „Ufnie czekaj”? Gdyby wpadł teraz Billy w ręce, ukreśliłaby gówniarzowi wątlą szyjkę.

Valentine otrzymała od niej na przywitanie uścisk, którego

serdeczność zdumiała i ją, i Billy.

- Na pewno ci ulży, kiedy już się skończy ten dzień - zauważyła Billy.

- Nawet nie. Padam oczywiście z nóg, ale cieszę się, że wieczorem zobaczę wszystkie swoje suknie poza przymierzalnią.

- Na pewno nie wszystkie - poprawiła ją Billy. - Ponad połowa twoich kreacji jest przeznaczona na prywatne bale, nie na uroczystość.

- Żadna różnica.

- A gdzie Spider?

- Kto go tam wie? Jestem zbyt zajęta, żeby jeszcze go pilnować - odpowiedziała zimno Valentine.

- Tak się wyrażasz o własnym partnerze? - zazartowała Billy.

- O właśnie. W świetle prawa cały ten podział nie jest legalny - zaczęła pospiesznie Valentine. - Dlatego trudno mówić o wspólnictwie. Nie wiem, sama zaczęłam tak mówić, kiedy cię namawiałam, żebyś zatrudniła Spidera, ale wierz mi, nie jest ani moim wspólnikiem, ani partnerem.

- Nazywaj go sobie jak chcesz, króliczku. Najważniejsze, że dla mnie pracuje - ucięła Billy, która nie rozumiała nic a nic z przemowy Valentine. Postanowiła zapomnieć o całym temacie. Miała dosyć własnych kłopotów.

- Spokojnie, zabiorę tylko kreację i zostawię cię samą.

- Przymierz ją jeszcze raz, Billy.

- Po co? Dawno jest gotowa, pasuje doskonale, sama nie wiem, dlaczego jej nie zabrałam do domu. Pewnie tak się przejęłam *Zwierciadłami*, że nie wiedziałam, co robię.

- Naprawdę wolałabym cię w niej jeszcze raz zobaczyć. Na wszelki

wypadek. Zrób mi przyjemność i zgódź się.

Valentine skinęła na asystentkę i kazała jej przynieść kreację dla pani Orsini.

- Miałaś przynajmniej okazję zastanowić się i podliczyć, ile zarobiłyśmy na Oscarach i na tych balach przewidzianych na dziś wieczór? - zapytała Billy, gdy czekały. - Próbowałam sama wszystko zsumować parę dni temu, ale przestałam, kiedy wyszłam poza 150 tysięcy dolarów. A przecież nie tylko my sprzedajemy stroje na Oscary. Jeżeli spojrzeć na to w ten sposób, Oscary to błogosławieństwo dla całego handlu w Beverly Hills.

- I tak powinno być - przytaknęła dumnie Valentine. - O, jest suknia.

Asystentka rzeczywiście wniosła migotliwą kreację bez ramion, z wytlaczanej satyny z zakładkami, w subtelnym, zmysłowym odcieniu szkarłatu. Billy wyskoczyła z butów i zaczęła nakładać na siebie dopasowany spód z tafty, dzięki któremu satynowa tuba nie kleiła się do ciała.

- Jaką biżuterię chcesz do tego założyć? - zapytała Valentine, nachylając się, by zasunąć suwak.

- Na pewno nie szmaragdy. Wyglądałabym zbyt gwiazdkowe Rubiny też nie, wystarczy już tej czerwieni. Szafiry odpadają, wyglądałabym jak amerykańska flaga. No więc, chyba dia... Valentine! Ten spód nie pasuje!

- Stój chwilę nieruchomo. Musiałam coś pokręcić przy zamku błyskawicznym. - Valentine ściągnęła suwak do samego dołu i spróbowała jeszcze raz. I tym razem zamek zaciął się na wysokości brzucha Billy. Valentine poczuła, że poca jej się ręce.

- Może przez pomyłkę ktoś to oddał do czyszczenia? Niemożliwe.

Przedtem ten spód doskonale pasował - przeraziła się Billy.

- Co ostatnio jadłaś, Billy? - padło oskarżycielskie pytanie Valentine.

- Co jadłam? Nic nie jadłam. Za mocno się denerwowałam, żeby jeść. Na samą myśl o tym wszystkim robi mi się niedobrze. Nie, ten spód jest źle uszyty. Wydaje mi się, że ostatnio schudłam, a nie utylam.

Valentine ścisnęła krawiecki centymetr.

- Na litość boską, Val, znasz moje wymiary na pamięć. Odłóż ten centymetr i nie bądź śmieszna.

Valentine nie zwróciła na te słowa najmniejszej uwagi. Zmierzyła Billy w talii, a potem, namyśliwszy się, także w biuście, i powiedziała coś do siebie po francusku.

- Co tam do siebie mamrociesz, do cholery? Przestań mamlać i zacznij się wyrażać po ludzku. Nie znoszę, kiedy mówisz przy mnie po francusku, tak jakbym nie rozumiała tego języka.

- Powiedziałam tylko, *Madame*, że najszybciej leci właśnie talia.

- Jak to, leci? Dokąd leci? Co ty w ogóle opowiadasz? Chcesz mi powiedzieć, że zaczęłam tracić figurę?

- Niedokładnie to. Cztery centymetry w talii, dwa i pół w biuście. Tyle przybrałaś. Dla większości ludzi i tak masz znakomitą figurę, ale nie możesz włożyć na siebie tej sukni bez spodu.

- Rzeczywiście, niech to szlag! - zgodziła się zafrasowana Billy. - Wystarczyło pięć miesięcy nie chodzić na ćwiczenia. Od osiemnastego roku życia haruję jak koń, żeby jako tako wyglądać, i co? Zaniedbałam ciało na głupie pięć miesięcy, a ono mi wywija taki numer! Niesprawiedliwość.

- Nie da się oszukać matki - natury - stwierdziła z uśmiechem

Valentine.

- Przestań się tak wyszczerzać, bo sprawa jest poważna. A zresztą, co tam, dziury w niebie nie będzie. Założę dziś na siebie coś innego i zacznę codziennie ćwiczyć u Rona. Kiedy Richie się za mnie weźmie, za miesiąc będę wyglądała normalnie.

- Za miesiąc będzie już widać.

- Widać?

- Będzie widać. - Valentine oburącz wyrysowała przed sobą w powietrzu kontur olbrzymiego brzucha.

- Bredzisz! Ty chyba już kompletnie zwariowałaś, Valentine. Myślisz, że przypadłość Dolly jest zaraźliwa? Miłosierny Boże, wystarczy, że zaprojektujesz jedną sukienkę ciążową, a już zaczynają ci się wszędzie zwidywać niemowlęta.

Valentine nie odpowiedziała słowem. Podniosła tylko znacząco brwi, nie rezygnując najwyraźniej ze swojej teorii.

- Jesteś projektantką, nie ginekologiem. Nie wiem w ogóle, o czym mówisz - Billy przyłapała się na tym, że krzyczy.

- Kiedy szylam u Balmaina, zawsze wiedziałyśmy pierwsze, jeszcze przed doktorem, nawet przed samą klientką. Pierwsza idzie talia, wiadomo - niegłośno, lecz uparcie powtarzała Valentine. Na jej drobnej, rozbawionej twarzy malowała się absolutna pewność.

Billy narzucała już na siebie codzienny strój, nie przestając ani na chwilę krzyczeć.

- W nosie mam takie przemądrzałe Francuzice! Zawsze wszystko muszą wiedzieć lepiej! Mądrała się znalazła! Zamiast powiedzieć, że sknociła mi spód, wyjeżdża mi z jakąś ciążą!

Jak długo mam słuchać tych bzdur? Pewnie któraś z modelek poszła w mojej sukni na tańce, a potem wyczyściła ją chemicznie, i masz. Sprawdź, to sama się przekonasz. Już nigdy nie zostawię tutaj sukni, spokojna głowa. - Z tą pogroźką na ustach Billy odwróciła się ku drzwiom.

- Billy...

- Żadnych wykrętów, Valentine. Nawet we własnym sklepie nie mogę dostać porządnej sukni. Żeby was nagły szlag trafił! - wrzasnęła jeszcze, trzaskając drzwiami.

Valentine stała nieruchomo, zapatrzona w purpurowe zwoje satyny i tafty na podłodze. W rękę wciąż ścisnęła centymetr. Właściwie sama też powinna się zdenerwować. Gdzie się nagle podziela jej słynna wybuchowa natura? Z czubka ostrego noska Valentine stoczyła się łza. Łza uroniona dla Billy.

* * *

Telefon od Orsiniego ogromnie uradował Curta Arveya. Dyrektor wytwórni był święcie przekonany, że ten drań Orsini chce go wreszcie przeprosić. Dlatego, wciąż z ponurą miną, zgodził się na spotkanie z producentem, który zaproponował mu „zakopanie topora”. Cóż za oryginalną metaforę umiał znaleźć ten Orsini! Wydawało się oczywiste, że producent nareszcie zrozumiał, że się zagalopował i postanowił wrócić do łask, dopóki nie jest na to za późno. Sytuacja była śmieszna w swojej oczywistości, lecz Arvey, ze swoim poczuciem własnej ważności, cieszył się na samą myśl, że jego zażarty wróg sprzed kilku zaledwie tygodni będzie starał się go teraz ugłaskać i dobrze do siebie nastroić. Co z tego, że *Zwierciadła* zarobiły już fortunę? Orsini oszalał, jeżeli wyobraża sobie, że dobra kasa zmieni każdy jego śmierdzący trik w różany bukiet. Fakt, że

Orsini to kawał chytrusa, ale ostatecznie, dlaczego nie pozwolić mu zapłacić za lunch? Tak czy inaczej będą się musieli obaj spotkać podczas wręczania Oscarów.

Orsini i Arvey umówili się w La Maison, co okazało się kolejnym sprytnym posunięciem ze strony producenta. Tak przynajmniej ocenił to Arvey, widząc przy sąsiednim stoliku Sue Mengers, która popijała bananowe daiquiri. Za godzinę całe miasto będzie już wiedziało, że Orsini i Arvey byli razem w knajpie i w największej przyjaźni jedli lunch. Ha, trudno, trzeba pozwolić temu gówniarzowi jeszcze przez parę godzin wśliniać się wytwórni, niech się cieszy. Jutro rano Vito Orsini znów będzie zwyczajnym, bezrobotnym producentem, którego film przepadł w stawce. Będzie musiał zaczynać wszystko od początku. Czy ktoś w ogóle pamięta nazwiska producentów tej czwórki filmów, które ominął Oscar? Ba, czy ktoś pamięta, kto wyprodukował film nagrodzony Oscarem? Gdzie tam. Za to o wytwórni filmowej słyszał każdy. Jeżeli ma się łeb na karku, można do końca życia być dyrektorem i nie martwić się o nic.

Arvey delectował się rozmową przy stoliku. Miał nareszcie komu przedstawić swoje poglądy na garść ulubionych tematów, wśród których znajdowały się: katastrofalny stan konkurencyjnych firm, nazwiska głośnych filmowców, którzy lada dzień znajdą się na bruku, liczba opóźnionych w produkcji filmów różnych wytwórni, mizerne perspektywy innych wytwórni, jeśli chodzi o wyjście z długów, i wreszcie plotki z Wall Street na temat niezadowolenia banków, które chcą wycofać finansowe poparcie dla tego czy tamtego studia.

Vito z zainteresowaniem kiwał głową, zachęcając Arveya, by kontynuował swój reklamarski recital.

- A jak ty stoisz, Curt? Wytwórnia, rozumiem, ma się nieźle?

- Nie inaczej, Vito, nie inaczej. W tej branży liczy się przede wszystkim doświadczenie, zawsze to mówiłem. Częściej miałem rację niż się myliłem, i oto skutki. Za ten rok wypracujemy kolejne 25 procent zysków od jednej akcji. Udziałowcy to stado pijawek, nareszcie będą zadowoleni.

- A ciekawe, jaka część tych zysków pochodzi ze *Zwierciadeł*.

- Trochę na pewno, nie przeczę. Trzeba oddać sprawiedliwość tam, gdzie jest należna. Gdybym ci nie dał zgody na tę produkcję na ślepo, nawet nie oglądając scenariusza, dywidenda byłaby szczuplejsza o te parę centów. Tak, ten filmik umiał na siebie zarobić.

- Słyszałem. Podobno miałeś szczęście ze sprzedażą stacji telewizyjnych, własności wytwórni. Gros pozostałej części zysków wypracowały *Zwierciadła*.

- Skąd bierzesz swoje informacje o finansach, Vito? Bo mnie się wydaje, że z fusów. - Arvey zdenerwował się leciutko.

- Nie powiesz mi chyba, że tę dywidendę zarobił ten twój wielki film, jak mu tam, *David Copperfield*? - zdziwił się uprzejmie Vito.

- *Pickwick!* - Arvey z brzękiem odłożył widelec.

- *Pickwick!* czy *David Copperfield*, wiadomo, o jaki film chodzi. Zmieniłem tytuł, ale kto by się tam domyślił? I tak nie będzie go na liście kasowych filmów za następny rok. Słyszałem, że twoi nie zabrali się nawet jeszcze do montażu. Może naprawdę lepiej byłoby mu zmienić tytuł? - Vito uśmiechnął się, jak gdyby chciał dodać Arveyowi otuchy.

- Tak się składa, że *Pickwick!* będzie miał na Wielkanoc premierę w sali Musie Hallu - wycedził jadowitym tonem Arvey.

- W Music Hallu? Tam, gdzie miał premierę *Zaginiony horyzont*? Świetne miejsce na bajeczki dla dzieci. Ty masz łeb, Arvey. Skoro film słaby, niech przynajmniej sala kinowa będzie dobra.

- Vito... - zaczął dyrektor, dławiąc się z oburzenia. Producent przerwał mu jednak i pewnym tonem zauważył:

- Ejże, nie masz się czym tak przejmować. Po takim skoku dywidend udziałowcy na pewno dostali wszyscy orgazmu, więc możesz mieć pewność, no, tak na 90 procent, że odnowią z tobą kontrakt. Masz w tym roku świetną pozycję przetargową, Curt, a jeżeli dziś wieczór *Zwierciadła* dostaną na dodatek Oscara...

- Daj producentowi się odezwać, a już myśli, że zjadł wszystkie rozumy - złośliwie zauważył Arvey. - Lepiej ciesz się tym konkursem, póki możesz, Vito. Jutro *Zwierciadła* znajdą się na śmietniku, a do jutra zostało już nie tak wiele.

Vito jak gdyby nie słyszał ostatnich słów Arveya.

- Więc tak, jak ci mówiłem, jeżeli *Zwierciadła* dostaną Oscara, nakręcę po nich olbrzymi film. Twórca potrzebuje urozmaicenia, a poza tym zawsze chciałem obejrzeć Nicholsona i Redforda obok siebie. Jest taki materiał, w którym obaj chcieliby zagrać, aż się palą do tego, pytanie tylko, czy się z nimi dogadam co do forsy. Ale może bym się dogadał.

- Wybij to sobie z głowy, Vito. Dokładnie wiem, kiedy mi ktoś zaczyna mydlić oczy. Rzeczywiście, Redford i Nicholson. Jeżeli wygrasz! Wiesz równie dobrze jak ja, że nie masz żadnych szans, chociaż jestem całym sercem z tobą. W końcu to nasz wspólny film. Co z tego, przy takiej konkurencji jak te cztery smoki! Pamiętaj, że *Zwierciadła* to zwykły, mały filmik. Powtarzałem ci to od samego początku. Małe filmy z reguły

odpadają. Rocky miał fuksa, jaki zdarza się raz na sto lat. Drugi raz się to nie stanie, nie ma mowy, nie rób więc sobie próżnych nadziei, bo będzie ci dziś wieczorem jeszcze bardziej przykro – zakończył Arvey, któremu powrócił protekcyjny ton.

- Może zagłosowali na mnie ci, którzy nie lubią wielkich filmów - rozmarzył się Vito.

- Ludzie z branży wiedzą, że jedna poroniona superprodukcja pochłania kapitał na sześć, osiem czy nawet dziesięć porządnych filmów. Tysiące ludzi tracą przez to pracę. Kiedy superprodukcja robi klapę, a ostatnio wciąż się słyszy o takich przypadkach, publiczność odsuwa się od wytwórni. Każdy ci to powie.

- Nikt ci nie broni snuć marzeń, Vito, ale posłuchaj, co ci powiem jako człowiek doświadczony. Nawiasem mówiąc, czy ty masz w ogóle pojęcie, jak długo rządzą tą wytwórnią? Od czasów, kiedy jeszcze nie wiedziałeś, w który koniec kamery trzeba patrzeć chłopcze. Wiem wszystko o tym, jak walczyłeś o nominację dla *Zwierciadeł*, słyszałem o tych seansach dla kur domowych... Co, myślisz, że nie wiem, jakich się sztuczek chwytasz? Ale od nominacji do Oscara jest jeszcze bardzo, bardzo daleko. Tyle ci powiem, chłopcze.

Vito skoncentrował się na miseczce sufletu czekoladowego z mrożoną bitą śmietaną. Jadł z wyraźnym apetytem. Arvey przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

- Mówisz, że chcesz kupić jakiś materiał? - odezwał się w końcu, przekonany, że skurwysyn Vito zaraz czegoś od niego zażąda. Jak przyjemnie będzie mu odmówić!

- A tak. Prawa do ekranizacji książki Biały Amerykanin. Czytałeś?

- Co to, masz mnie za analfabetę? Moi recenzenci rozpływali się nad tą książką. Susan też się rozpływała. Sam nie mam czasu nic czytać, ale znam streszczenie. Jedenaście miesięcy na liście bestsellerów, o ile można ufać tym listom. Ja tam nie ufam. Ale zaraz, półtora miliona za prawa do ekranizacji? Chyba powariowali. Nikt im tyle nie zapłaci.

- Billy uwielbia tę książkę. Mówiła, że chce ją dla mnie kupić. Jeżeli nie będziesz jadł swojego sufletu, to może...

- Weź sobie, i tak powinienem unikać czekolady. Powiadasz, że Billy chce kupić te prawa, tak? Co, pewnie niedługo masz urodziny? Ładnie z jej strony, nie powiem.

- Sam też tak myślę, Curt. Miło, kiedy żona wierzy w męża. Billy ma prawie tak dobrego nosa jak ja. Mówisz, że *Zwierciadła* nie dostaną Oscara. Mój włoski nos podpowiada mi, że dostaną. Jeżeli nie lubisz włoskich nosów, powiedzmy, że mam takie przeczucie.

- Kiedy się kieruje firmą o miliardowych obrotach, trudniej słuchać własnych przeczuć, niż kiedy się ma bogatą żonę. Bez obrazy, Vito, takie są fakty. Nicholson i Redford, powiadasz. Naprawdę chcieliby w tym zagrać?

- Naprawdę.

- I tak nie wierzę. Sama gaża dla tej dwójki, rany boskie. Pięć, sześć milionów, nie licząc praw do ekranizacji. Rozmawiamy o budżecie na poziomie 20 milionów dolarów. Nie, Vito, nie sądzę, żebyś mógł się sprawdzić w takiej stawce.

- Coś ci powiem, Curt. Sam kupię te prawa ekranizacji, to znaczy Billy je kupi, a tobie zostawię opcję na finansowanie. To znaczy, jeżeli się nie mylisz i jeżeli *Zwierciadła* nie dostaną Oscara.

- A druga połowa zakładu?

- Jeżeli ja mam rację i mój film dostanie Oscara, odkupisz ode mnie te prawa. Proste.

- Za półtora miliona?

- Moje szansę nie są aż tak wielkie, sam powiadasz, że mogę sobie wybić z głowy tego Oscara. Zresztą, nic się nie bój. Jeżeli nie masz ochoty zaryzykować, kupię te prawa i spróbuję szczęścia w jakiejś innej wytwórni. Kurczę, jak długo przyjdzie czekać, jeżeli zamówię następny suflecik, jak myślisz? Dają takie małe porcje, niech ich diabli.

- Za dużo jesz, Vito. Poza tym ciągle myślę, że jest z ciebie kawał drania, ale jeżeli chcesz się ze mną tak umówić, w porządku, umowa stoi. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, może byśmy od razu tutaj spisali wstępny kontrakt? - Arvey skinął na kelnera i poprosił go o kartkę.

- Curt! Curt, przecież mi możesz zaufać! - w głosie Orsiniego dało się słyszeć ból.

- Po tym, jak mi ukradłeś film? - roześmiał się Arvey, który już spisywał umowę.

- Oddałem ci go.

- Nie szkodzi. Wolę umowę na piśmie.

Arvey i Vito podpisali wstępny kontrakt, a kelner i Patrick Terail, właściciel restauracji, złożyli podpisy jako świadkowie. Vito sięgnął po kartkę i chciał ją już schować do kieszeni, kiedy Arvey wyrwał mu ją z ręki.

- Lepiej, żeby Patrick przechował to dla nas, zgoda, Vito? Pamiętaj, że to jedyny egzemplarz. Za to ja płacę rachunek. Inaczej będziesz stratny półtora miliona plus lunch. Niech tam, dzisiaj jestem hojny.

* * *

Jadąc ze Scruples do domu, Billy myślała tylko o tym, by bezpiecznie dotrzeć na miejsce.

Na krótkiej trasie między sklepem i Bulwarem Zachodzącego Słońca jest mnóstwo miejsc, gdzie niechcący można rozjechać przechodnia - Billy zaś wiedziała, że przy takim zdenerwowaniu musi bardzo uważać. Udało jej się zapanować nad sobą, kiedy przebiegała przez pokoje ogromnego domu, nie odzywając się ani słowem do służby. Przebiegła przez salon, sypialnię i łazienkę, a potem zatrzasnęła drzwi swojej ostatniej kryjówki, w postaci głównej garderoby. Pomieszczenie miało wymiary dziesięć metrów na dziesięć, podłogę wyłożoną grubym dywanem barwy kości słoniowej i ściany wybite jasno liliowym jedwabiem. Wewnątrz znajdowały się niezliczone wieszaki z ubraniami. Pośrodku pokoju jak wyspa tkwiła wieloboczna komoda z przezroczystego plastyku, kryjąca w setkach osobnych szufladek najrozmaitsze dodatki. Z tyłu, w szczelnie zamykanym pomieszczeniu, w którym stale panowała temperatura 7 stopni Celsjusza, wisiały wszystkie futra Billy. Do obu pomieszczeń wstęp miała wyłącznie właścicielka i jej osobista pokojówka.

Pośrodku jednej ze ścian garderoby znajdowało się okno w wykuszu. Szeroki, niski parapet, obity kremowym aksamitem zaścielały jedwabne poduszki barwy anemonów i islandzkich maków. Dysząc jeszcze po biegu przez dom Billy usiadła tam, otuliła się starym rozpinanym swetrem, z którym się nie rozstawała od czasów, kiedy ciotka Kornelia zrobiła go dla niej na drutach, podkuliła nogi pod siebie, ciasno splotła ramiona i trwała skulona, starając się tracić jak najmniej ciepła. Ukryte siedzisko przy oknie stanowiło najprywatniejszy zakątek w całym domu i było miejscem, w

którym Billy zastanawiała się nad wszystkimi najważniejszymi sprawami. Pod ręką miała telefon, którego numeru nie podawała nikomu, i przycisk do wzywania służącej. Kiedy siedziała w oknie, nikt z domowników nie miał prawa jej niepokoić. W obecnym stanie Billy miała szczerą ochotę zaszyć się w tym zakątku na resztę życia. Dała się złapać w pułapkę!

Jakże wygodnie, jakże na czasie, jakże starannie musiał to zaplanować! Boże, tak się dać złapać w potrzask, w dodatku w najstarszy potrzask, jaki wymyśliła ludzkość. Po pierwszych słowach Valentine Billy poczuła, jak zatrząskuje się wokół niej stalowa szczeka. Nic, tylko Vito spodziewa się po nowej żonie, że zmieni się w wiejską włoską kumoszkę, rodzącą z zachwytem jedno bambino za drugim. Może jeszcze powinna się nauczyć gotować na oliwie i z mnóstwem czosnku? Może jeszcze powinna się roztyć? On tymczasem będzie się rozbijał po świecie, zajęty filmowymi hokus - pokus, a rodzinę będzie odwiedzał tylko po to, by zmajstrować kolejnego bachora i znowu się oddalić. Cóż za makiaweliczny sukinsyn z niego wyszedł! Mama Orsini. Któż by przypuszczał, że Billy Ikehorn przyjdzie się zmienić w La Mama Orsini. Jak mu się udał taki podstęp, temu szczerowi, temu zdrajcy? Jak potrafił wszystko wyliczyć, by rzecz wyszła na jaw właśnie dzisiaj, zaraz po tym, kiedy ona, Billy, powiedziała mu, dlaczego się czuje nieszczęśliwa? Jakim cudem zaplanował wszystko tak dokładnie, by móc teraz w odpowiedzi na jej skargi pogłodzić ją po główce i oznajmić, że nareszcie Billy nie ma już więcej powodu, żeby się czuć samotna? Jaki diabelsko sprytnymacher z niego wyszedł!

Billy przymrużyła oczy, licząc szybko w pamięci. Odkąd pamiętała, cierpiała na nieregularny okres, a ostatnio, czekając na nominacje do

Oscarów, czuła takie napięcie, że nawet się nie zastanawiała nad przyczynami tak długiej przerwy. W samej rzeczy, kiedy to ostatni raz miała okres? Spojrzała do kalendarzyka, spoczywającego na stoliku obok okna. Natychmiast podskoczyła, otworzyła drzwi do łazienki i wyjrzała. Ani jedna pokojówka nie wykladała tam ręczników ani nie podlewała roślin w doniczkach. Billy na paluszkach podkradła się do szafki z kosmetykami i odnalazła stosik okrągłych, plastikowych pudełeczek z pigułkami antykoncepcyjnymi. Przeliczyła wszystko dwa razy i zamykając drzwi wycofała się do swojego sanktuarium, gdzie natychmiast sprawdziła kalendarzyk. U ginekologa była tuż przed świętami, rankiem tego samego dnia, kiedy pojechała do Dolly. Dosłownie tuż przedtem skończył jej się okres. Doktor nie patyczkował się ze swoimi „dziewczętami” po trzydziestce i kazał im przychodzić tylko dwa razy do roku. Osiągał to zapisując każdej półroczną porcję pigułek. Dlaczego więc w szafce znajdowało się sześć pełnych pudełeczek?

Gdyby nie pewność, że to niemożliwe, Billy musiałaby uznać, że od ostatnich świąt w ogóle nie brała pigułek. Ale to niemożliwe. Niemożliwe.

Siedząc sama w pustym pokoju, Billy odrzuciła nagle głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. No tak, ładnie się wreszcie urządziła! Postarała się, bez dwóch zdań. Minęły prawie trzy miesiące. Ładna z ciebie zapominalska, moja droga!

Nawet bez skłonności w kierunku psychoanalizy Billy zrozumiała natychmiast, że jej „zapomnienie” było rozmyślne. Ale dlaczego w takim razie, skoro chciała mieć dziecko, tak się wściekała na męża, dlaczego tak wstrętnie zwymyślała biedną Valentine?

Kołysząc się z rękoma splecionymi na kolanach i wciąż parszkając

śmiechem, Billy zastanawiała się nad zagadkowością decyzji, podjętej za nią przez - właśnie przez co? Umysł, podświadomość, nieświadomość? Billy nie wiedziała tego ani też nie знаła terminów, którymi mogłaby wytłumaczyć własną psychikę; pod tym względem - i tylko pod tym - świadomie starała się nie nadążać za modą. Od tak dawna już podejmowała decyzje, impulsywnie rzucając się na oślep w kolejne sytuacje i paląc za sobą mosty, wykorzystując jak tylko mogła okoliczności... Nigdy nie starała się z góry przewidzieć skutków swoich postanowień.

Cóż tu mówić o darze przewidywania. Patrząc wstecz Billy uznała, że sam los musi prowadzić kobietę, która przez prawie trzy miesiące zapomina brać pigułek antykoncepcyjnych. Na wszelki wypadek ostrożnie poklepała się po brzuchu. Dziecko miało więc przyjść na świat za sprawą kolejnego impulsu, jak wszystko, dosłownie wszystko w jej impulsywnym życiu. Palce Billy przeniosły się na prawą, a później na lewą pierś. Objęła je dłońmi, by się upewnić. Były większe i jak gdyby cieplejsze niż przedtem, choć od osiemnastego roku życia do tej chwili pozostawały wciąż takie same. Jak to możliwe, by kobieta tak jak ona wyczulona na sprawy własnego ciała, przegapiła tak oczywiste oznaki?

Jak nazwać kobietę, która z całym rozmysłem zachodzi w ciążę, a potem za nic nie chce się do tego faktu przyznać przed światem? Skąd takie zachowanie?

Pytanie całkiem na miejscu.

Billy podniosła z siedziska notes i długopis. Zaciskając zęby zapisywała punkt po punkcie, starając się przynajmniej powierzchownie określić sytuację. Nie łudziła się, że kiedykolwiek będzie potrafiła zgłębić

ją do końca.

Po pierwsze, wcale nie czuła się przygotowana do roli matki. Kiedy się wyda na świat dziecko, nie można dłużej trwać w roli beztroskiej kobiety, na której nie spoczywa żadna życiowa odpowiedzialność.

Po drugie, nadal chciała, by jeszcze przez długi czas trwał piękny, miodowy miesiąc z Vito. Tu jednak musiała przyznać, że jeszcze przed ślubem przegrała w rywalizacji ze *Zwierciadłami*. Owszem, mogła śmiało powiedzieć, że jest żoną, ale oblubienicą? Gdzie tam. Biorąc ślub zupełnie pominęli obydwójce tę część rytuału.

Po trzecie, pragnęła sama podejmować wszystkie życiowe decyzje we właściwym czasie, wtedy kiedy przyjdzie jej na to ochota, trwając w poczuciu władzy, które jej towarzyszyło od tylu już lat. Jakże wobec tego ścierpieć fakt, że natura podstępnie zakradła się i przydusiła ją do muru? Ba, próżne skargi - trzeba było wyjść za mąż za któregoś z potulnych, dekoracyjnych, zabawnych, eunuchowatych panów, jakiego bez trudności może sobie zafundować kobieta z pieniędzmi. Billy wybrała Orsiniego nie przypadkiem, a dzisiaj wiedząc już, jak będzie wyglądało przyszłe życie, uczyniłaby dokładnie to samo. Uczyniłaby tak nie tylko z miłości, lecz także dlatego, że potrzebowała dokładnie kogoś takiego jak Vito. Potrzebowała kogoś tak jak on władczego i zdolnego do szybkich decyzji, a zarazem niezależnego, bo mimo że cechy te pozwalały mu spędzać większość czasu z dala od żony, właśnie za nie Billy najbardziej go podziwiała. Nie mogła przecież udusić Orsiniego, przytłamszając go własnymi potrzebami - szczególnie, że on sam by do tego nie dopuścił. Billy musiała z melancholią uznać, że życie bywa czasami pełne paradoksów. Zwłaszcza dorosłe życie.

A po czwarte? Po czwarte chciała mieć Vita wyłącznie dla siebie, przesłonić mu wszystko inne i z nikim, ale to z nikim nie dzielić się jego osobą. Ten akurat argument wydawał jej się najbardziej absurdalny ze wszystkich. Ostatecznie dzieliła się Orsinim z innymi od samego początku, od chwili, kiedy go ujrzała. Oprócz niej Vito miał swoje zajęcia, scenariusze, niezliczone zebrania, cyrkowy tabor ekipy zdjęciowej, Fifi Hilla, Svenberga i stół montażowy. Istotą filmu jest praca zespołowa. Vito zwracał się jednak wyłącznie ku Billy, gdy szukał pełnego zaufania, uczucia i zwykłego ludzkiego ciepła. Billy wydały się więc próżne obawy, że dziecko odbierze jej męża. Przeciwnie, będzie mogła dzielić się z Orsinim każdą chwilą w życiu przyszłego dziecka.

Raz jeszcze przeczytała trzy czy cztery kluczowe słowa, które wypisała przed chwilą. Jedyne argument, który dawał się obronić, głosił, że za wcześnie jest zostawać matką, kiedy ma się zaledwie trzydzieści cztery lata. Trzydzieści cztery? Billy znów zachichotała, uświadamiając sobie własną śmieszność. W ferworze prac nad filmem przegapiła także swoje trzydzieste piąte urodziny, które wypadały w listopadzie. Wyglądało na to, że w ostatnim czasie dotknęła ją straszliwa skleroza. Może lepiej w ogóle zaczekać do sześćdziesiątki?

A przecież... Przecież wcale nie tak łatwo i nie bez bólu przychodzi wyrzec się wolności. Decyzję oczywiście podjęła za Billy jej podświadomość albo nadświadomość, która zapewne wiedziała wszystko najlepiej, słuchając księżycowego zegara albo innego cyklu natury. Billy melancholijnie przejrzała listę po raz kolejny. Bez dwóch słów, wyszła we własnych oczach na straszną jędzę - a co więcej, na zwyczajną, głupią cipę. Chciała mieć wszystko naraz, wszystko, co można mieć i czego w

oczywisty sposób mieć nie można, i tylko z najwyższą niechęcią dawała sobie cokolwiek odebrać, z ociąganiem i do ostatniej chwili narzekając na niesprawiedliwość losu. Ładny przykład dla niewinnego niemowlęcia! Billy kolejny raz spojrzała na swoją kartkę i powoli, z namysłem, lecz stanowczo przekreśliła je kolejno, a potem mocnym pociągnięciem pióra napisała: KORNELIA ORSINI? WINTHROP ORSINI? Przyglądała się tym imionom z czułością, trochę już pogodzona z losem i wciąż jeszcze zaskoczona. Dopiero po pół godzinie otrząsnęła się z marzeń, uświadamiając sobie, że wciąż nie wie, w co się ubrać na dzisiejszy wieczór.

Uważnie odłożyła kartkę na stolik, rozebrała się i przeszła do tej części garderoby, gdzie wisiały jej suknie wieczorowe, każda w plastikowym pokrowcu. Przerzuciła ich kilkadziesiąt, by prędko zdecydować się na dwuczęściową kreację z białego jedwabiu, od Mary McFadden, kupioną zaledwie przed miesiącem. Przerzuciła sobie przez głowę delikatnie plisowaną górę malowaną ręcznie w różnokolorowe muszle i tak piękną, że na dobrą sprawę można ją było oprawić w ramy i powiesić na ścianie. Potem ostrożnie wciągnęła na siebie długą spódnicę, która na szczęście dopinała się w pasie, choć ledwo ledwo. Zawahała się, na którą z siedmiu par srebrnych pantofli na obcasie ma się zdecydować. Później, już w pantoflach, podeszła do trzyczęściowego lustra, podświetlanego tak, by lampa imitowała wieczorowe oświetlenie w sali balowej i zaciągnęła pasek.

Niczego sobie. Więcej nawet: połączenie było rzeczywiście świetne. Billy obejrzała się kolejno we wszystkich trzech taflach *Zwierciadła*: od przodu, z boku i wreszcie od tyłu. Suknia nie była może aż tak

wystrzałowa jak czerwona kreacja od Valentine, ale zupełnie niczego. Billy podeszła z kolei do leżanki, podniosła jedwabną poduszkę i rozluźniając pasek wsunęła ją sobie pod kimonową górę sukni. Pomknęła z powrotem do lustra, podchodząc boczkiem, by odbicie sprawiło jej niespodziankę. Hmmm. Wyglądała nawet stylowo, jak na płótnie Boticellego, zwłaszcza z tą falującą wypukłością. A gdyby tak dodać jeszcze jedną poduszeczkę? Chyba nie. Pod kimonem było za mało miejsca. A gdyby tak zamiast niego włożyć powłóczystą górę od Geoffreya Beene'a, utkaną ze złotej i srebrnej nitki? Pod czymś takim znajdzie się miejsce dla trójki dzieci. Billy przewiązała górę od Beene'a sznurowanym paskiem od Mary McFadden, opuszczając go najniżej jak można pod brzuch, a potem dodała trzecią poduszkę. Efekt był zadziwiający. Billy przypominała teraz Madonnę pędzla Memlinga, choć czegoś jeszcze tutaj brakowało. Kompozycja była uderzająca choć może niezupełnie zgodna z intencjami Beene'a i Mary McFadden.

Nareszcie Valentine będzie mogła do woli projektować suknie ciężowe. O Boże, Valentine! Trzeba ją koniecznie przeprosić, ale jak? Prawda była zbyt skomplikowana, a poza tym sama Billy nie do końca jeszcze rozumiała sytuację. Trudno, znajdzie się jakieś usprawiedliwienie. Z tą myślą Billy sięgnęła po telefon.

Maggie przybyła do Scruples wczesnym popołudniem, po spotkaniu z aktorem, którego udało jej się delikatnie odwieść od podpisania nowego kontraktu przed rozdaniem Oscarów. Nerwowy agent aktora mógł sobie mówić, co chce. Nic dziwnego, że zaskarbiła sobie nazajutrz dożywotnią wdzięczność wykonawcy, który z Oscarem w ręku mógł zażądać dodatkowych 750 tysięcy dolarów za rolę, której omal nie przyjął dobie

wcześniej. Podobne sprawy zabrały Maggie cały poranek. Do każdej nagrody pretendowała piątka kandydatów. Niektóre z telefonów Maggie brzmiały więc niedwuznacznie: „Bierz forszę i w nogi”, inne znów doradzały rozwagę i brak pośpiechu. Nie wszyscy rozmówcy posłuchali rad Maggie, wszyscy jednak doskonale pamiętali później jej słowa. Jej legenda urosła dzięki temu w ciągu jednego poranka, z rozmiarów mitycznych przybierając teraz wręcz mistyczne. Maggie McGregor wiedziała, co się dzieje w branży filmowej. Mogło to o sobie powiedzieć zaledwie parę osób na całym świecie - a może tylko jedna Maggie.

Valentine przygotowała suknię Maggie, chcąc od razu wysłać strój do garderoby w Dorothy Chandler Pavilion, gdzie miała się odbyć uroczystość. Ostatnia przymiarka miała miejsce kilka dni wcześniej, ale Maggie uparła się, by i Spider wyraził opinię na temat kreacji.

- Zobaczy ją sobie w telewizji, przecież po to ją zaprojektowałam - sprzeciwiała się Valentine.

- Chcę zobaczyć jego minę na widok twojego dzieła - upierała się buńczucznie Maggie.

Jej okrągłe, piwne oczy jaśniały wesołością i poczuciem władzy. - Padnie trupem na miejscu!

Spider jednak, kiedy go znaleziono i doprowadzono do pracowni Valentine, spoglądał na Maggie zza swojej szklanej bani, z czcią i roztargnieniem przeciągając palcem wokół szczytu obu wspaniałych piersi. Skinął aprobująco głową z taką miną, jak gdyby oglądał zimną, gładką rzeźbę.

- Niesamowite - mruknął, przywołując na twarz cień dawnego, zniewalającego uśmiechu. Kiedy spoglądał na Maggie i kiedy jej dotykał,

bania stawała się cieńsza na tyle, że prawie jej nie czuł wokół siebie. - W takiej kreacji wolno ci wystąpić raz do roku, Maggie, bo inaczej publiczność przestanie cię traktować poważnie. Ludzie zamiast cię słuchać, będą czekać, która wyskoczy z dekoltu pierwsza: lewa czy prawa. Pokaż dzisiaj wieczór, co potrafisz, i błagam, nie pochylaj się!

Pocałował ją odruchowo i opuścił przymierzalnię krokiem, z którego przebijało dziwne zmęczenie.

- Coś mu dolega, czy co? - zaniepokoiła się Maggie.

- Może złapał trypra - ucięła Valentine. - Posłuchaj, moja śliczna, Colette zaraz pomoże ci wyplątać się z tego zaproszenia do gwałtu i rozwiesi je jak należy. Pamiętaj, żadnej biżuterii. Będę wszystko oglądała, więc nie próbuj szachrować. Muszę teraz biec zadzwonić w jedno miejsce, bo za chwilę będzie tu dom wariatów. Na ekranie będziesz dziś najpiękniejsza ze wszystkich, więc *bonne chance!*

Valentine wróciła do pokoiku, w którym sporządzała szkice. Sięgnęła po telefon, przejęta, że nie zdążyła do tej pory zadzwonić do Josha. Wczoraj Josh dzwonił do niej dwa razy, ale była zbyt zajęta, by poświęcić mu chociaż chwilę. Później, wieczorem, tak padała ze zmęczenia, że poprosiła w centralce na dole, aby nie łączono z nią żadnych rozmów, a tylko odbierano wiadomości. Josh zadzwonił tylko raz, dowiedział się, że pani O'Neill nie przyjmuje rozmów, a dzisiaj zadzwonił do Scruples akurat w chwili, kiedy Valentine była zajęta przy Maggie. Powoli wybrała numer do biura Josha, w skrytości ducha licząc, że nie wrócił jeszcze z lunchu. Sekretarka połączyła ją jednak błyskawicznie.

- Valentine! Co się z tobą działo? Musisz padać z nóg, biedactwo! - W głosie rozbrzmiewała ogromna troska.

- Rzeczywiście, zupełnie wariacki ruch, Josh, ale wiesz, nawet mnie to bawi. Szkoda tylko, że każda kobieta, której pomagam wypięknąć, oprócz sukni zabiera mi także parę kropli krwi.

- Nie mogę ścierpieć, że tak się zapracowujesz. Billy nie może tyle od ciebie wymagać.

- Billy nic do tego nie ma i dobrze o tym wiesz. Sama tak sobie wszystko ustawiłam. Przecież mogę odmówić, komu zechcę, bez obawy. - Mówiąc to, Valentine uświadomiła sobie, że rozmawiają jak para zwykłych, przygodnych znajomych. Westchnęła, wiedząc z góry, co za chwilę usłyszy.

- Kochanie, czy będziesz dziś zbyt zmęczona na to, żeby zjeść ze mną kolację? - Josh zadał to pytanie najniewinniejszym tonem, od niechcienia, jak gdyby z braku lepszego tematu. Valentine poczuła nagle przemożne pragnienie, by odwlec daleko od siebie chwilę ostatecznej decyzji. Przynajmniej na jeden dzień.

- Bardzo cię przepraszam, Josh, ale dosłownie padam z nóg, a jest wczesne popołudnie. Ostatnią babę wypchnę stąd dopiero za ładnych parę godzin, a wtedy będę się lała przez ręce. Może darujmy sobie dzisiejszy wieczór, co? Może jutro? Jutro się wyśpię, albo w ogóle nie pójdę do pracy. Rozumiesz mnie, Josh?

- Oczywiście, że rozumiem - przytaknął adwokat, który cały czas odnosił wrażenie, że siedzi przy stole i prowadzi wyjątkowo delikatne pertraktacje. Na szczęście ani na chwilę nie tracił panowania nad sytuacją.

- Nie będę ci w takim razie dłużej przeszkadzał.

Pomyślał zaraz, że to podobno mężczyźni trzeba namawiać do ślubu. Valentine okazała się kobietą, którą trzeba było podstępem nakłaniać do

tego, żeby zgodziła się podjąć postanowienie w sprawie podjęcia postanowienia. Ale z drugiej strony, czy to właśnie nie ulotność podobała mu się w Valentine najbardziej ze wszystkiego? Zamiast odłożyć słuchawkę Josh zamyślił się, nawet tego nie zauważając. Oglądał w myślach przyszłość, w której codziennie wracał do domu, gdzie czeka Valentine. Życie z nią także przeszłoby z czasem w rutynę, oczywiście cudowną rutynę, ale jednak. Znał życie na tyle, by wiedzieć, że jest to nieuniknione. Czy będzie mu wówczas brakowało dreszczu, jaki bierze się z podwójnego życia, czy zgasną przyjemności romansu, który udaje się skrzętnie ukrywać przed współpracownikami? Czy przyjaciółki Joanne i żony innych prawników z firmy kiedykolwiek wybaczą Valentine, czy też trzeba będzie się rozejrzeć za nowym kręgiem przyjaciół? A jak to będzie, kiedy po tylu latach znowu pojawią się w domu pieluchy? Zabawne, że nawet w największym domu zawsze da się wychwycić w powietrzu ich woń. Trudno, trzeba się pogodzić i z taką możliwością. Naoglądał się już w życiu dosyć podstarzałych mężczyzn, którzy zaczynali życie od nowa, nie łudził się więc, że ominą go wszystkie związane z tym atrakcje. Zresztą, co tam, w dzisiejszych czasach można stosować jednorazowe pieluchy, które nie muszą czekać na upranie. Poza tym kiedy wezmą z Valentine ślub, ustatkuje się na resztę życia. Jeden podział majątku to i tak za dużo. Ustatkuje się na resztę życia. Dziwne, jak nieprzyjemną stęchlizną wionęło od tych słów.

Josh raptownie odłożył słuchawkę i nakazując sobie wystrzegać się szczeniackich lęków, połączył się z sekretarką. Nie należał do ludzi, którzy rozmyślają się w ostatniej chwili. Josh Hillman był osobą poważną i kiedy raz coś postanowił, umiał wytrwać przy swojej decyzji.

* * *

Kiedy obłędne popołudnie nareszcie dobiegło końca, a wszystkie klientki, ubrane i uczesane, wsiadły każda do innej wynajętej limuzyny, do Scruples wtoczyła się Dolly, przypominająca teraz skrzyżowanie kluchy z tarczą księżyca. Za nią, nie odступując dalej niż na kilka kroków, człapał kudłaty, zatroskany Lester.

- Valentine - zapała z radości Dolly - znów czuję się jak młoda dziewczyna!

- Ach tak? - Valentine zlustrowała dziecinnie niewinną twarz Dolly i ze zmęczonym uśmiechem zapytała: - Jakiemu cudownemu zrządzeniu mam to przypisać?

- Dziecko się obsunęło! Co, nie wiesz, o czym mówię? Kilkanaście dni przed porodem dziecko przybiera w brzuchu taką pozycję, w jakiej ma przyjść na świat. Niby tylko różnica paru centymetrów, a jaka ulga. Poważnie, czuję się tak, jakbym znów miała talię.

- Poważnie mogę ci przysiąc, że jej nie masz. Za to Lester ma talię i w ogóle schudł chyba pięć kilo.

- Napięcie nerwowe przed porodem - poskarżył się Lester boleściwie. - Dolly mi je sprzedała. Kaca też, nie pytaj więc nawet.

Valentine zadzwoniła do sklepowej kuchni, by przyrządzono Krwawą Mary z podwójnym pieprzem dla Lestera, tak mocną, by jego wątroba podskoczyła i znowu obudziła się do życia. Dolly zabrała tymczasem do przymierzalni, by ją tam przyodziać i pozwolić mistrzyni zawodu, Helen Saginaw, zająć się włosami aktorki. Czterdzieści minut i dwie Krwawe Mary później, Dolly wyłoniła się w nowej postaci, rzucając na kolana zaskoczonego Lestera i Spidera, który także dołączył do

towarzystwa. Okrągła, niewielka głowa Dolly niczym promienna gwiazda wychylała się na smukłej szyi z roztańczonego, rozwirowanego obłoku sukni w kolorze mglistej szarości zmieszanej z błękitem, w dwunastu różnych odcieniach, zbliżonych do barwy jej oczu. Dla bezpieczeństwa suknia zaczynała się wysoko nad biustem, a na całej jej powierzchni rozbłyskiwały tysiące naszywanych brylancików. Szyja Dolly była na tyle długa, że Valentine udało się nawet ozdobić dekolt sukni kryzą - autentyczną, śnieżną, sztywną, ostrą kryzą w stylu Elżbiety, królowej Anglii. Upięte do góry włosy ozdabiały kolejne błyskotki, a w uszach Dolly jaśniały dwa olbrzymie brylanty, własność Billy. Wychodząc Dolly zdawała się stąpać w blasku miniaturowych punktowców, choć przecież w pomieszczeniu było tylko zwyczajne światło. Wyglądała teraz jak tłusty aniołek, który dziewięć miesięcy temu odrobinę zbłądził. Tylko jej chichot - niewyczerpana studnia śmiechu, stanowiąca najpewniejszy dowód, że Dolly to Dolly - brzmiał wciąż znajomo. Valentine przyglądała się jej postaci ogromnie zadowolona z osiągnięcia. Projektant, który zna się na rzeczy - i nie boi się skorzystać ze sztuczek znanych od setek lat - mógł jeszcze czegoś nauczyć nawet samą naturę. Lester zachłystując się z wrażenia, pierwszy przełamał milczenie.

- Dolly, nie mamy chwili do stracenia, zaraz się spóźnimy na Oscary. Aha, skąd masz takie kolczyki?

- Od Billy. Pożyczyła mi je, na szczęście. Uwierzysz, jak ci powiem, że mają po jedenaście karatów?

- Boże miej litość nade mną grzesznym - ponuro zauważył Lester. - Mam przynajmniej nadzieję, że są ubezpieczone.

- O rany, zapomniałam o to zapytać. Jeżeli to taka poważna sprawa,

mogę ich nie zakładać - dodała Dolly głosem jedenastoletniej dziewczynki, która musi się rozstać z ukochaną lalką.

- Głupstwo! - uspokoiła ją Valentine, odprowadzając obydwój do drzwi. - Billy będzie przykro, jeśli w nich nie wystąpisz. No, idźcie, karoca z dyni już czeka.

- Valentine - szepnęła Dolly, ofiarowując pożegnalnego całusa - jeżeli byś trochę zwięzła mi tę suknię, mogłabym ją jeszcze ponosić, prawda?

- Mogę z niej spokojnie zrobić dwie szczupłe. Obiecuję. Stojąc każde przy osobnym oknie wspólnego gabinetu, Valentine i Spider przyglądali się odjazdowi Dolly i Lestera. Na uroczystość miał ich zawieźć czarny cadillac, wynajęty przez wytwórnię specjalnie na tę okazję. Cały sklep był teraz zupełnie pusty, od piwnic aż po dach. Spider i Valentine pomachali na pożegnanie, choć odjeżdżająca para nie mogła zauważyć tego gestu z parteru, a potem odwrócili się ku sobie, z twarzami rozjaśnionymi poczuciem, że przykładają rękę do triumfu Kopciuszka. Patrzyli na siebie po raz pierwszy od wielu tygodni.

- Dolly dostanie Oscara - szepnął Spider.

- Skąd ta pewność? - Valentine rzeczywiście nie wiedziała, skąd wziął się ton pełnego przekonania w głosie partnera:

- Maggie mi powiedziała po południu zanim stąd wyszła. Poza nią nikt jeszcze o tym nie wie, nawet Dolly. Miałem milczeć jak grób.

- O rany, to fantastycznie! Fantastyczna nowina, Elliott! - Valentine zawahała się przez chwilę, by nie dając się przelicytować obwieścić: - Tak się składa, że Vito też dostanie Oscara.

- Co? Kto ci o tym powiedział?

- Billy. Ale ja też miałam milczeć jak grób. Maggie dzwoniła ubiegłej nocy do Orsinich. Miałam nikomu nie mówić. Billy wtajemniczyła mnie tylko dlatego, że chciała mnie za coś przy okazji przeprosić - bąknęła Valentine.

- Maggie i tajemnice! - zdumiał się Spider. - Jasna cholera, Valentine, przecież to świetnie! Zaczynam sam... Vito? Dolly? Najlepszy film roku? Valentine? Hej, Valentine... Valentine! Co się stało? Dlaczego tak dziwnie patrzysz? Dlaczego płaczesz, do diabła?

- Ze szczęścia. Że im się udało - pisnęła nieszczęśliwym, znękanym głosem.

- To wcale nie są łzy radości - przerwał Spider tonem nie znoszącym sprzeciwu. Czuł, że skoro Valentine nie chce być wobec niego szczera, coś bardzo złego wisi w powietrzu, w powietrzu wokół szklanej bani. Zobaczył, jak Valentine bierze głęboki oddech, jak ktoś, kto za chwilę skoczy z trampoliny, a potem wzdycha przeciągle. Odwrócona do niego półprofilem wypowiedziała coś, czego, jak mu się wydawało, nie dosłyszał, tak ciche były to słowa. Niecierpliwy, a zarazem przerażony tym, co się dzieje, potrząsnął ją za ramię:

- Coś ty powiedziała?

- Powiedziałam, że wychodzę za mąż za Josha Hillmana.

- Wybij to sobie, diablico, z głowy! - ryknął Spider nie zastanawiając się ani przez pół sekundy nad tym, co robi. Szklana bania pękła z hukiem, który słyszał tylko on sam. Rozdarła się niewidzialna zasłona przygnębienia, którą Spider umyślnie otaczał się od miesięcy, czekając na cios. W jednym mgnieniu nastąpiło teraz dla niego zderzenie z rzeczywistością. Jasny rozbłysk domysłu rozdarł mrok, bariery runęły i

zwały się w ciemne głębiny jaźni, a na końcu czarnego tunelu rozplómiło się światło. Spider od nowa poczuł wszystkimi zmysłami setki doznań, świeżych jak po przebudzeniu z zaklętego snu. Aż się zatoczył, czując radość w skowanym sercu. Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie widział Valentine, nawet mimo półmroku, jaki panował w gabinecie. Wiedział, że dziewczyna wciąż nic nie rozumie, zanim jeszcze padły jej pierwsze słowa.

- Znowu mi mówisz, co mi wolno robić?

- Ty go nie kochasz. Nie możesz wyjść za niego za mąż.

- Przecież nic o tym nie wiesz. - Valentine skrzywiła się buntowniczo.

Oho, nic a nic nie zmadrzała przez ten czas. Spider musiałby jej od początku tłumaczyć to, co odczuwał każdą komórką ciała i szpiku, każdą kroplą krwi, musiałby jej wyłożyć wszystko od samego początku, by przełamać ten anielski upór. Udało mu się pohamować zniecierpliwienie, zdusić płomień oczekiwania i przenieść wzrok z ust Valentine na jej bezbronne, nieprzytomne oczy.

- Wiem o tobie tyle, że wystarczy mi jedno spojrzenie. Przecież widzę, że go nie kochasz. O święty Boże, ależ ze mnie idiota, ależ kretyn!

- Może i tak, Elliott, ale co to ma wspólnego ze mną? Albo z Joshem?

- Ot, cała moja Valentine. Będzie zajadle walczyć aż do końca. - Spider wziął dłonie Valentine w swoje dłonie i, ściskając je, tłumaczył tonem, jak gdyby oswajał dzikiego żrebaka. - Nie, nic nie mów, chodź tu i usiądź ze mną na kanapie. Nie, Valentine, nic nie mów, tylko słuchaj wszystkiego, co ci powiem, i nie przerywaj. Opowiem ci pewną historię.

Miał teraz tak szczególną minę i tyle złotobłękitnej, nie ulotnej czułości wypisanej na twarzy, tyle szczerości, triumfu i wiedzy, że Valentine zapomniała o wszystkich sprzeciwach. Milcząc pozwoliła się zaprowadzić w drugi kąt pokoju. Usiedli, a Spider, wciąż trzymając ją za rękę, ciągnął:

- Opowiem ci historię o chłopaku i dziewczynie, albo inaczej, o młodym, zarozumiałym byczku, który myślał, że wszystkie dziewczyny są takie same, i o temperamentnej panience, która wyobrażała sobie, że wszyscy faceci mają tylko jedno w głowie. Pięć czy sześć lat temu poznali się i zostali przyjaciółmi, chociaż dziewczyna wcale nie pochwalała tego, jak chłopak żył. Co więcej, zostali najlepszymi przyjaciółmi. Każde z nich zakochiwało się i odkochiwało - albo myślało, że się kocha - w różnych pomyłonych typach, ale i tak pozostawali przyjaciółmi. Od czasu do czasu ratowali sobie nawet życie...

Spider przerwał i spojrzał na Valentine, która spuściła oczy. Nie przerywała mu jednak. Siedziała tak nieruchomo, że nawet Spider nie domyślał się gwałtownej burzy, jaka w niej zakipiała, kiedy domysły zderzyły się ze świadomością, że stał się cud. Valentine skupiła całą uwagę na dłoniach Spidera. Bała się, że jeśli wstanie, osunie się na podłogę.

- Wiesz, Valentine, ani ten chłopak, ani ta dziewczyna nie mieli pojęcia, jak długa i kręta jest ścieżka, która wiedzie ku miłości. Obydwoje byli niecierpliwi, obydwójce co chwila błędzili, przegapiali oczywiste okazje i byli tak zajęci, że nie dawali sobie nawzajem żadnej szansy. Kiedy jedno szło w lewo, drugie skręcało w prawo, chociaż nie wiedzieli o tym, bo wszystkim rządził głupi przypadek. A mimo to stali się sobie

potrzebni, więcej, niezbędni do życia. Ich związek stał się tak trwały jak...
Powiedzmy jak Luwr.

- Trwały? - Właśnie to słowo wyrwało Valentine ze stanu, w jaki popadła. - Trwały? Jak możesz mówić coś takiego? Odkąd cię znam, zadajesz się z setkami dziewczyn.

Valentine powiedziała to niepewnym głosem, a z jej wzroku nie zniknęła podejrzliwość.

- Po pierwsze, tak to wyglądało, bo byłem młody i głupi. Później znowu miałem ich tyle, bo z żadną nie było mi dobrze.

Nie umiałem znaleźć takiej, którą bym naprawdę chciał, a że, Bóg świadkiem, nie dawałaś mi żadnego znaku, szukałem dalej. Nie Valentine, przecież cały czas, przez cały ten czas chciałem tylko ciebie i zawsze cię będę chciał. Boże, dlaczego tego nie rozumiałem? Nie pojmuję, dlaczego tak się stało. Niech to diabli, przecież mogłem cię pocałować w Nowym Jorku, przy pierwszej okazji! Oszczędzilibyśmy sobie wszystkie te lata podchodów. Ostatnio, kiedy się pokłóciliśmy... Byłem zazdrosny, zazdrosny jak zwierzę. Nie domyśliłaś się?

- To dlaczego mnie nie pocałowałaś? Wtedy, w Nowym Jorku?

- Chyba trochę się ciebie bałem. Myślałem, że cię tylko spłoszę, a tego akurat najmniej chciałem.

- I co, ciągle się boisz? - zapytała z wyszukany szyderstwem. Chociaż zaskoczona wielkim szczęściem, podobnym do pożaru lasu, Valentine wciąż mimo to potrafiła się śmiać z mężczyzny, którego kochała, a co więcej, za nic nie chciała się przyznać do tej miłości. Od pierwszej chwili, odkąd go poznała, była zbyt dumna i zbyt uparta, by bić się o Spidera.

- Ech ty... - Spider objął ją mocno, niezdarnie i nieomalże wstydliwie i nareszcie, pierwszy raz w życiu pocałował rozchylone wargi, które tak dobrze znał, myśląc przy tym, że przynajmniej raz udało się odnaleźć zaginiony kontynent.

Po minucie Valentine odsunęła się nieco.

- Miałeś rację, Elliott. Z całą pewnością oszczędzilibyśmy sobie błędzenia.

Na oślep, nie mogąc już się oprzeć, dotknęła czubkami palców twarzy Spidera, sycąc się nareszcie, nareszcie, nareszcie... Poznawała od początku ciepło ciała, które od tak dawna, tak boleśnie chciała dotknąć. Rozzochrała Spiderowi włosy, podrapała sobie dłoń o ostrą szczecinę jego baczków, muskała i gładziła skórę jego twarzy, a wszystko to z nieposkromioną zachłannością jaka bierze się ze zbyt długo tajonego uczucia. Z radości zamknęła oczy, napawając się twarzą mężczyzny, jej rysami, jej zapachem... Potem przytuliła nosek do szyi Spidera, łapczywie węsząc, gryząc, dotykając wspaniałego kąska wargami i językiem niczym wybredny, francuski wampirek.

- Jak mogłeś tak długo zwlekać, moje ty głupie stworzenie. Ach, jak bym tobą teraz potrząsnęła, aż byś gwiazdy zobaczył! Ciesz się, że jesteś trochę za duży i za ciężki...

- Czy to tylko moja wina? - zaprotestował Spider. - Od miesięcy nie dawałaś się choćby dotknąć. Nawet gdybym spróbował się do ciebie zbliżyć, nic by z tego nie wyszło.

- Nigdy się nie dowiemy, co by było, gdyby. Mówię tylko, że trzeba mnie było wcześniej pocałować, idioto. A w ogóle, to nie próbuj szukać usprawiedliwień. Mam zamiar mieć ci to za złe jeszcze bardzo, bardzo

długo!

Spider jeszcze nigdy nie słyszał tonu większego triumfu niż ten, który pobrzmiwał w pogróżkach Valentine.

- Długo? Do końca życia?

- Albo jeszcze dłużej!

Na dworze gęstniał już mrok, a wewnątrz gabinetu rozświetlała tylko lampa na wielkim biurku. Kiedy Spider zaczął rozpinać biały kitel Valentine, jego tak zazwyczaj zręczne palce bezradnie szamotały się z opornymi guzikami, dopóki nie przyszła im na pomoc sama Valentine. Choć obydwójgu nie brakowało erotycznego doświadczenia, czuli dziwne skrepowanie, jak gdyby każdemu z nich dwojga pierwszy raz w życiu przyszło wykonywać kolejne gesty, a przecież, rozbierając się nawzajem, czuli, że tak być musiało. Kiedy nadzy spoczęli nareszcie na szerokiej zamszowej kanapie, Spider poczuł, że nigdy w życiu nie doświadczył poczucia tak wielkiego scalenia, jedności wszystkich rzeczy. Małe, zadarte piersi Valentine wydawały się ożywać i przybierały ten sam zaczepny wyraz co twarz dziewczyny. Loki u zbiegu jej nóg skręcały się jeszcze ciaśniej niż kręcona czupryna, lecz miały tę samą rudą, ostrą barwę. Choć Spider pierwszy raz muskał rudy gaj, czuł, że od dawna zna ten miękki, sprężysty dotyk - być może zapamiętany z jakże wielu snów. Valentine, przed chwilą tak zachłanna, że gryzła go w szyję, spoczywała nieruchomo, z dumą oddając całe nagie ciało jego zachwyconemu spojrzeniu, niczym wzięta w niewolę księżniczka, branka zdobyta po wielkim zwycięstwie.

Skóra Valentine była tak świetliście biała w porównaniu z opalonym torsem Spidera, że chłopak bał się wręcz tej kruchości. Gdy jednak zaczął głaskać piersi Valentine, ta uwięziła go w uścisku szczupłych młodych

ramion i przytuliła do siebie, przerzucając mu gładkie udo przez biodro, by potrzask stał się pełny.

- Nie ruszaj się, zostań tak przez chwilę. Chcę cię poczuć przy sobie, dotknąć cię całego. Chcę się nauczyć twojej skóry - wyszeptała. Spider posłusznie znieruchomiał niczym dzikie w swej czułości zwierzę. Ciasno przytuleni leżeli na boku, oddychając w tym samym rytmie, wsłuchani w swoje tętno i coraz bardziej całym ciałem gotowi do tego, co miało nastąpić. Namiętność spowijała ich wirującym kokonem, jak ciepła mgła, która podnosi się z jeziora. Oddychali obydwójce coraz szybciej, wciąż nieruchomi, lecz złaknieni, pragnący zaspokoić ciekawość i żądzę. Kiedy Spider wiedział już na pewno, że dziewczyna bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnie tego prostego, nieodwołalnego czynu, wszedł w nią, zwyczajnie i bez wstępów. Valentine była w środku mała, lecz zaraz, kiedy westchnęła z rozkoszą i poruszyła się, uczucie to zniknęło. Spider czuł teraz, jak jego członek więźnie w coraz ciaśniejszym uścisku. Senne marzenie, które przeżywał na jawie, było tak przemożne i gorące, że nie czuł nawet potrzeby poruszania się, lecz Valentine uczyniła to za niego, kołysząc biodrami - początkowo niespiesznie, by później coraz szybciej doprowadzić i siebie, i jego ponad krawędź, za którą czekało na nich nieokiełznane, podobne do pożaru lasu zapamiętanie, zarazem cielesne i płynące z serca. Przemożna siła kazała się im obydwójgu połączyć, poznać się do końca, stać się jedną osobą w dwóch ciałach. Kiedy marcowy zmierzch przechodził w mrok, Spider i Valentine od nowa, od samego początku odkrywali miłość, pokorni jak para niedowiarków, która postanawia rzucić wszystko i wyruszyć na pielgrzymkę, tak wielkie było ich zdumienie, że potrafią we dwoje stworzyć coś, czego istnienia nawet

się przedtem nie domyślali.

Valentine zasnęła na dłuższy czas, spoczywając w ramionach Spidera niczym bukiet egzotycznych, różowych, czerwonych i śnieżnobiałych kwiatów - wilgotnych, aromatycznych i porzrzucanych w różne strony. Zasnęła w ramionach Spidera tak samo ufnie, jak ufnie była mu teraz oddana na jawie. Spiderowi też chciało się spać, ale wołał nadal przyglądać się Valentine, wciąż zaskoczony, chociaż absolutnie i do końca pewny tego, co się stało. Dziewczyną, którą obejmował, była Valentine, lecz była także kimś innym. Dawniej wyobrażał sobie, że wie o niej wszystko, nigdy nie podejrzewał nawet, że znajdzie w niej pod zapalniczką powierzchnią tak wielki skarb w postaci głębokiej i czystej rozkoszy. Cały świat okazał się pełen najcudowniejszych niespodzianek. Nawet roboczy gabinet przemienił się w sypialnię nowożeńców. Czy będzie można znowu, jak co dzień, siedzieć tu we dwójkę i rozmawiać o interesach, pamiętając, co zaszło w tym samym wnętrzu? Czy będzie można oglądać Valentine w białym kitlu, nie pragnąc zarazem, by natychmiast zdjęła to przybranie? Spider uśmiechnął się do własnych myśli. Jeżeli okaże się to niemożliwe, trzeba będzie przemeblować wnętrze i znaleźć dla Valentine inny strój do pracy.

Budząc się w objęciach Spidera Valentine poczuła, że po prostu i zwyczajnie jest to najszczęśliwsza chwila w jej całym życiu. Wszystko zmieniło się nie do poznania. Cała przeszłość została na innej planecie. Valentine poczuła, że nie musi już dłużej szukać własnego miejsca. Wraz z Elliottem założyli teraz własne królestwo.

- Długo spałam?

- Nie wiem.

- Ale która jest godzina?

- Tego też nie wiem.

- Jak to? A telewizja?... A Oscary? Przegapiliśmy pewnie całą...

- Pewnie tak. Czy to takie ważne?

- Jasne, że nie. Ech, Elliott, co tam, ubraliśmy na spólkę raptem dwieście kobiet z tych na sali i na scenie. Powie się po prostu każdej z osobna, że wyglądała bajecznie i już.

- Czy do końca życia będziesz na mnie mówić „Elliott”? Valentine zamyśliła się.

- Ale nie upierasz się, żebym mówiła do ciebie „Spider”? To dobrze. A „Peter”? To w końcu twoje prawdziwe imię.

- O nie. Boże, tylko nie to.

- Mogłabym się zwracać do ciebie per „kochanie” albo per „żeglarzu”. Co ty na to?

- Jak sobie tylko chcesz. Bylebyś się do mnie zwracała.

- Ach kochanie...

Znów zatopili się w pocałunkach, już nie tacy niezdarni, za to połączeni więzią mocną jak gruby pień drzewa. Spider postanowił zadać nareszcie pytanie, które musiało paść między nimi:

- A co poczniemy z Hillmanem?

- Będę musiała mu jutro powiedzieć o wszystkim. Sam się domyśli, kiedy mnie tylko zobaczy. Biedny Josh... Ale co tam, nigdy nie powiedziałam mu „tak”, usłyszał ode mnie tylko „być może”, więc...

- Jak to? Mówiłaś mi o tym ślubie tak, jakby wszystko było dawno postanowione?!

- Nie, nic nie było jeszcze postanowione. Nie mogłam się

zdecydować.

- To znaczy, że powiedziałaś o tym najpierw mnie, nie jemu?

- Na to by wychodziło, prawda?

- Ale dlaczego?

- Nie pytaj, bo nie wiem - odrzekła Valentine z niewinną miną rozkosznego szczeniaka. Spider postanowił zatrzymać dla siebie domysły, których natłok czuł teraz w głowie. Są pytania, których nie należy w ogóle zadawać, zwłaszcza skoro odpowiedzi i tak się zgadzają.

- Pomyśl tylko - odezwał się więc, odgarniając rude loki, by móc ujrzeć całą drobną, przepiękną twarz Valentine. - Ależ zrobimy wszystkim niespodziankę!

- Nie zdziwi się tylko siedem kobiet - przytaknęła Valentine, a w jej wielkich, zielonych oczach mignął szelmowski błysk.

- Chwileczkę, jak to? - obruszył się Spider, w którym znów zakiełkowały rozmaite podejrzenia. - Komu zdążyłaś już o tym powiedzieć?

- Nikomu, bo przecież sama nic nie wiedziałam. Mówię tylko o twojej matce i sześciu siostrach. Myślę sobie, że wiedziały to od samego początku, odkąd mnie tylko poznały.

- Moja śliczna, niemądra Valentine... To czysta fantazja. Wszystkie wiedzą po prostu, że nie ma kobiety, która potrafiłaby mi się oprzeć. - Bo to prawda, żeglarzu. Bo to prawda.

* * *

Billy przez całe popołudnie nie wychylała nosa z garderoby. Jak we śnie krążyła po pomieszczeniu, a przez głowę przepływały jej dziesiątki pomysłów. Bez przerwy, wszechwidzącym, lecz roztargnionym wzrokiem

lustrowała rozmaite ubiory. W czasie swoich wędrówek wokół wieszaków przetrząsnęła nawet sześćdziesiąt swoich torebek i przy tej okazji udało jej się nazbierać dwadzieścia trzy dolary i dwadzieścia centów w drobnych monetach. Bała się zetknięcia ze światem, jak gdyby zrzuciła skórę, a nowa była jeszcze na to zbyt delikatna. Nagle jednak podskoczyła, zdając sobie sprawę, że podczas kiedy ona zaszywa się w garderobie, Vito już na pewno wrócił do domu i przebiera się przed wieczorną imprezą. Dawno zdjęła z siebie dwuczęściową suknię od Mary McFadden bojąc się, że ją wygniecie, i zamiast niej włożyła na siebie ulubioną podomkę, pamiątkę po wspaniałych czasach w Balenciaga, uszytą z szafranowej barwy jedwabiu obszytego wściekle różową taftą i z takiejże barwy mankietami. Kiedy zdała sobie wreszcie sprawę, która jest godzina, przeszła z garderoby do łazienki. Czowała się tak, jak gdyby wstąpiła między gazony wiosennego ogrodu, pachnącego perfumami i kwietną wonią doniczkowych żonkili, narcyzów, hiacyntów i fiołków. Rzędy kwiatów z obu stron otaczały wannę wpuszczoną w podłogę, a kolejne ich kępy stały w kątach, w cieniu różanych krzewów, przyniesionych tu z oranżerii przez starszego ogrodnika. Gałęzie róż okrywały świeże pąki. Billy pomyślała z roztargnieniem, że za dwa tygodnie rozkwitną na dobre. Zadzwoiła po pokojówkę i przeszła do sypialni, rozglądając się przy okazji za mężem. Nie znalazła go jednak ani w jego garderobie, ani w jego wielkiej łazience, wykładanej zielonym i białym marmurem, ani też w saunie. Vito odnalazł się wreszcie w saloniku, który tworzył część ich najprywatniejszych apartamentów, przytulnym pomieszczeniu o ścianach pokrytych wzorzystą tkaniną w głębokich odcieniach brązu i żółci, wzbogaconych czarnymi i złotymi rozbłyskami zabytkowego koreańskiego parawanu i

siedemnastowiecznymi japońskimi wazami, z których wychylało się osiem tuzinów pomarańczowych, na wpół rozkwitłych tulipanów. W spiżarni kamerdynera za salonikiem Vito miał butelkę chateau silverado. Oprócz białego wina można tam było znaleźć szampana, kawior i pasztet z gęsich wątróbek. Wyglądało na to, że Vito zamierza sam wznieść toast za własne zdrowie. Billy podniosła drugi kieliszek z ciężkiej srebrnej tacy leżącej na portugalskim, łąkowym czarnym stoliku i wyciągnęła szkło w stronę męża, z twarzą rozjaśnioną spokojem i oczami, które starannie kryły całą głębię jej uczuć w tej chwili.

- Och, piesku, jak to dobrze, że już jesteś w domu. Ja też zabałaganiłam, ale zaraz się pospieszę. Jak ci minął lunch z tą zafajdaną świnką? - zapytała jeszcze.

- O do licha! - Vito roześmiał się. - Jakich to epitetów używają w tych czasach posażne dziewczyny! Nie powinnaś tak ostro najeżdżać na ten biedny bizoni placek. Moi księgowi doliczyli się wreszcie prawdziwych wyników finansowych *Zwierciadeł*. Okazuje się, że kiedy Arvey chciał mi zabrać film, rzeczywiście przekroczyliśmy kosztorys o całe pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wyobrażasz sobie taką zbrodnię?

- Wyobrażam, ale dalej twierdzę, że pan Arvey to zafajdaną świnka. Kto zapłacił za lunch?

- Uparł się, że to on zapłaci. Już mu miałem ukręcić jaja, więc poszedł za głosem serca - pochwalił się Vito, nie dodając, że wspólny posiłek kosztował Arveya trochę ponad czterdzieści dolarów, nie licząc półtora miliona dodatkowych kosztów. Wracając do domu, Vito postanowił w samej rzeczy powiedzieć Billy o swoim zakładzie z Arveyem dopiero nazajutrz, po rozdaniu Oscarów. Dość już musiała

przełknąć jego sukcesów tego dnia, więc po co ją dodatkowo denerwować wiadomością, że wszystko jest już gotowe do następnego filmu, którego kręcenie zacznie się, gdy tylko Arvey przestanie wrzeszczeć. Poza tym, kto wie, być może Redforda i Nicholsona rzeczywiście zaciekawili ten pomysł. Biały Amerykanin był powieścią roku, a kto wie, czy nie dziesięciolecia.

- Przynajmniej coś dla ciebie zrobił w ten sposób - skomentowała Billy, ale wyraźnie błędziła myślami zupełnie gdzie indziej. Gdzie, tego Vito nie wiedział, ale też nie zdarzyło mu się jeszcze oglądać żony w równie wspaniałym humorze.

- Czy mogę zapytać, dlaczego jaśniejesz jak sto świeczek na choince? - zapytał wreszcie.

- Boże, Vito, czy muszę ci mówić, że to wspaniały wieczór? Kiedy mam się cieszyć, twoim zdaniem. Na Gwiazdkę, w rocznicę zburzenia Bastylia, w urodziny Fidela Castro, a może w dzień, w którym Amy Grant dostanie świadectwo ukończenia ósmej klasy? - Furkocząc szlafrokiem Billy okręciła się na pięcie, upiła łyk wina z bezcennego kryształu i trzasnęła kieliszkiem w kominek, rozbijając szkło na sto kawałków.

- Chyba miałam wśród przodków także Kozaków dońskich - oznajmiła, bardzo z siebie zadowolona.

- Szkoda, że nie miałaś wśród przodków konia wyścigowego. Daję ci piętnaście minut, żebyś się ubrała i zeszła do samochodu. - Vito dał Billy ostrego klapsa w siedzenie i zdumiał się, kiedy przesłała mu ręką pocałunek i odeszła niespiesznie. Tego wieczora była naprawdę inna niż zwykle i nie chodziło tylko o to, że nie miała w uszach swoich kolczyków. Biło od niej pewne... Pewne poczucie mocy, świadomość ukrytego

zwycięstwa. Przyszło mu do głowy, że Billy czuje się tak samo jak on.

* * *

Akademia Nauk i Sztuk Filmowych po wielu latach nareszcie zdała sobie sprawę, że jeśli nie liczyć kilku kulminacyjnych minut, całej uroczystości wręczania Oskarów przydałoby się trochę pieprzu. Chodziło o to, by nie zanudzić telewidzów. Wielomilionowej widowni szło zaś nie tylko o to, by oglądać wspaniałą wystrój i galę. Tak naprawdę każdy telewidz pragnął ujrzeć twarze znane z ekranu w chwili, kiedy czują to samo i reagują na wydarzenia tak samo jak przeciętny człowiek - w chwili gdy po nerwowym oczekiwaniu, nadziejach, załamaniach przychodzi czas maskowania zawodu, ataków nerwowych, krzyku i zaraźliwej radości.

Starszyzna Akademii pozwoliła więc kamerzystom Maggie, wbitym w obowiązkowe smokingi i muszki, rozstawić mikrofony i kamery między rzędami foteli w wielkiej sali Dorothy Chandlers Pavilion. Dzięki temu zamiast krótkich ujęć gwiazd filmowych, które migają tylko pośród rzędów obcych ludzi, i sporadycznych zbliżeń ich twarzy, znikających z ekranu zanim widzowie je zauważą, w tym roku wszyscy mogli się rozkoszować prawdziwą orgią długotrwałych zbliżeń i podsłuchiwać urywki rozmów podczas nieuważnie słuchanych wystąpień laureatów. Kamerzyści od Maggie byli tak dyskretni i tak dobrze wmieszali się między publiczność, że po chwili w ogóle przestano ich zauważać, a kandydaci do rozmaitych Oscarów, rozsadzeni wygodnie w pobliżu estrady, prawie zapomnieli, że ogląda ich milionowa widownia.

Billy i Vito dotarli do swoich foteli długo po serii wywiadów Maggie z przybywającymi na uroczystość gwiazdami, ale zdążyli wśliznąć się na salę przed rozpoczęciem ceremonii. Maggie znalazła się tymczasem za

kulisami. Ustaliła już wszystkie szczegóły z prezenterami, czekającymi w garderobach na swoją kolej. Większość z nich tak dręczyła tremą, że na widok Maggie wygłaszali całe przemówienia. Później Maggie przeszła do stanowiska kontrolnego, by wraz z reżyserem programu filmować moment wręczania Oscarów. Strategiczny plan, jaki przyświecał Maggie, sprowadzał się do prostej dyrektywy, jakiej prezenterka zdażyła już udzielić swojej ekipie.

- Jeżeli widzicie, że Sly Stallone drapie się po dupie, a jednocześnie facet od Oscara za najlepsze efekty dźwiękowe dopiero człapie na scenę, KAMERA NA STALLONE! Laureata filmujcie dopiero, jak zaczną mu wręczać statuetkę, nie wcześniej.

- A co z podziękowaniami, Maggie? - zapytał asystent reżysera.

- Facet ma u nas dwadzieścia pięć sekund. Nie, lepiej dwadzieścia. Potem kamera ma znów pokazywać, co się dzieje na widowni.

Tak ulepszony program okazał się rzeczywiście interesujący. Niestety, Akademia nigdy więcej nie wyraziła zgody na podobne praktyki.

Nie pomyli się ten, kto stwierdzi, że publiczność ogląda wręczenie Oscarów jak przykuta do foteli. Nawet niebiosy nie pomogą osobie, której podczas transmisji na żywo zachce się siusiu. Kamery pracują non stop, bez odstępów na reklamy, bez przerw między kolejnymi rundami. Podczas pierwszego popisu, kiedy na scenie odśpiewano utwór kandydujący jako jeden z pięciu do tytułu Najlepszej Piosenki, Billy poczuła, że znowu zapada w marzenia.

Rozumiała jednak, że nigdy jeszcze nie myślała równie jasno jak w tej chwili. Tok myślowy, dzięki któremu odkryła, w jaki sposób udało jej się doprowadzić do zajścia w ciążę, wyzwolił w niej zdolność

rozumowania, która - jak zaczynała to wyczuwać Billy - zepchnęła na daleki plan dawny nawyk impulsywnego podejmowania wszelkich decyzji. Od dziecka wbijano Billy do głowy, że należy sporządzać listy spraw, toteż nawet kiedy po południu brała do ręki notes i ołówek, słyszała w uszach gderliwy, lecz pełen ciepła głos ciotki Kornelii: - I podciągnij sobie podkolanówki, Wilhelmino Winthrop!

Billy była świadoma, że znalazła się nieomalże w centralnym punkcie własnego życia. Nie chciała spędzić tej chwili w bezładnej pogoni, wśród szarpaniny, próbując bezskutecznie podporządkować sobie cały świat, złapać go jak wyrywający się z rąk balonik. Nadeszła pora, by puścić balon, unieść się w ślad za nim w powietrze, w spokojne, bezkresne regiony, skąd można podziwiać nowy, słoneczny pejzaż, delikatnie dotykając co pewien czas sterów. Ale zaraz, czy w balonach są stery, stateczniki i co tam jeszcze? Nieważne. Billy powtarzała sobie teraz, że cokolwiek się stanie, nie będzie w gondoli balonu sama. Będzie przy niej jej dziecko, a potem oczywiście następne. Jako jedynaczka wiedziała, że brak rodzeństwa to najgorsza przysługa, jaką można wyświadczyć własnemu dziecku. Może by tak więc zdecydować się na trójkę? Gdyby się pospieszyła, mogłaby jeszcze zdążyć. Ale nie. W ten sposób znowu zacznie się szarpanina, pośpiech, załatwianie wszystkiego na ostatnią chwilę, jednym słowem kłopoty. Najpierw niech się urodzi to pierwsze dziecko, a co będzie potem, zobaczymy. My? Tak, odpowiedziała sobie samej Billy. My. Ona i Vito. Czyżby więc naprawdę przyszło jej spędzić kilka najbliższych lat jako La Mama Orsini? A gdyby tak spróbować? Może by się okazało, że właśnie za tym przez cały czas tęskniła? Billy ostrożnie oswajała się z tą myślą, czując już w sobie spontaniczny,

niespokojny dreszcz oczekiwania.

Po piosence rozległy się brawa. Para nowych prezenterów, olśniewającej urody chłopak i olśniewającej urody dziewczyna, dygocząc ze zdenerwowania weszła na scenę i próbowała przedstawić laureatów Oscara - o ile Billy mogła zrozumieć - za Najlepszy Film Animowany. Kiedy z ust prezenterów płynęły tytuły i pokracznie wymawiane nazwiska twórców, czeskie czy może japońskie, Billy skrzywiła się na widok takiej amatorszczyzny i znów zatopiła się w rozmyślaniach.

Wiedziała, że bez trudności przyjdzie jej - co było zresztą nieuniknione - wobec błogosławieństwa losu ugrzęznąć w rozkoszach macierzyństwa, ale zdążyła (nareszcie!) poznać już siebie na tyle, by nie łudzić się, że na zawsze wystarczą jej teraz spóźnione obowiązki matki dzieciom. Kto zaręczy, że nie przyjdzie jej do głowy odbić sobie tego, że nie może rozkazywać Orsiniemu, na dziecku czy dzieciach? Pokusa zdominowania dzieci nastęrczała się sama, a Billy opierała się pokusom z trudnością. Tu jednak musiała wziąć się w garść. Vito na zawsze miał już pozostać panem swego losu, a co za tym idzie, to samo będzie się w przyszłości należało jego dzieciom. Billy wiedziała, że choć może nie lubić tej tak niedawno otrzymanej nauczki, musi się z takim stanem rzeczy pogodzić. Raz na zawsze. Nie! Jediną osobą, dla której Billy zawsze będzie najważniejsza i która nigdy jej nie opuści była - sama Billy.

Dawno, bardzo dawno przeminęły dni, kiedy Ellis kochał ją najbardziej na świecie. Nie tak dawno zaś minęły dni, kiedy Billy umiała osobno traktować życie swojego ciała i swoje własne wraz z decyzjami o jego kierunku. Umiała to uczynić z tak zimną krwią, jak goniąca się suka. Długi szereg penisów, należących do pielęgniarzy, w tym i do Jake'a, był

dla niej - jak sama to nazywała - zestawem narzędzi, częściami maszynarii. Penis Vita był inny. Nie pasowały do niego mechaniczne określenia, bardziej już wiktoriańskie eufemizmy, słowa takie, jak: „członek”, „organ”, tak jak ramię jest częścią ciała, a serce jest ludzkim organem, jednym z wielu. Kiedy czuła w sobie ten dotyk, nie myślała o nim „to”. Wiedziała, że wszedł w nią Vito, największa miłość jej życia, i niech się dzieje co chce.

Billy ocknęła się z rozmyślań i spojrzała na estradę, gdzie czterech jegomościów z identycznymi czarnymi brodami odbierało wspólnie Oscary. Krótkometrażyści? Raskolnikow, Rumpelstilskin, Raszomon i von Rundstedt? Ejże? Panowie przybyli jednak z Toronto, więc na pewno zajmowali się filmem animowanym. Wszystko toczyło się ustalonym torem.

Następne Oscary przyznano w kategorii Najlepszych Kostiumów. Billy oderwała się od rozmyślań i obserwowała obrazy wyświetlane na gigantycznym ekranie. Ogłaszano już zwycięzcę. Czyżby Edith Head miała zdobyć dziewiątego Oscara? Nie, tym razem nagrodę dostała nie Edith, lecz inna projektantka. Co jej do głowy strzeliło, żeby akurat w ten wieczór wystąpić w zbroi nabijanej cekinami? Refleksja Billy mieszała się z dalszym ciągiem jej wewnętrznego monologu.

O ile dotarła do środkowego punktu życia, stanęła zarazem wobec najgłębszego z życiowych dylematów. Umiała wyrazić ten dylemat w jednym zdaniu. Jeżeli naprawdę chce zostać z Orsinim (a chciała), bez żalu, bez szczególnej zazdrości i bez bólu większego, niż jest to zwyczajne w każdym małżeństwie, musi znaleźć w życiu sferę, w której byłaby całkowicie niezależna od męża. Czy przypadkiem nie o takim właśnie

kompromisie opowiadała jej jakże mętnie Jessica?

Billy nie musiała słuchać się ciotki Kornelii i sporządzać kolejnej listy, by stwierdzić, że spośród wszystkich spraw, które jej ofiarowywał świat, najbardziej zajmuje ją sklep. Scruples. Wszystko na to wskazywało. Któż jeśli nie Billy wpadł na pomysł, by założyć dom mody? Kto czuwał nad wszystkim, by pomysł nabrał konkretnych kształtów? Owszem, była chwila, kiedy nie kto inny jak Billy doprowadziła sklep na skraj ruiny. Kiedy popełniała tamtą omyłkę, sklep był nie tylko cackiem, ale wręcz dziełem sztuki, piekielnym arcydziełem! Billy wiedziała jednak, że coś jest nie tak, powierzyła więc Scruples Valentine. Fakt, że Valentine zjawiała się w towarzystwie Spidera, a ten miał tyle wyobraźni, by postawić Scruples na nogi, niewiele by zmienił, gdyby Billy nie wyszła tamtej dwójce naprzeciw i nie pomagała przy urzeczywistnieniu pomysłów chłopaka. Innymi słowy, zakończyła myśl Billy, nie brakuje jej tego, co nazywa się umiejętnością kierowania ludźmi.

Z samozadowolenia wyrwała Billy scena wręczenia nagrody za Najwybitniejsze Osiągnięcia Kinematograficzne. Wśród kandydatów w tej kategorii znalazł się także Svenberg, toteż Billy wstrzymała oddech. Cholera! John Alonzo. Szkoda, że nie Per, chociaż z drugiej strony Szwed już się nazachwycał reklamami do *Zwierciadeł*, a poza tym miał na swoim koncie dwa Oscary.

Na scenie zaprezentowano następną piosenkę, z werwą godną nowojorskiego music-hallu Radio City w latach pięćdziesiątych. Skąd ludzie biorą takie stare piosenki? W głowie Billy kipiały tymczasem wciąż nowe pomysły, tryskające jak iskry fajerwerków na 4 Lipca. Na świecie znalazłoby się jeszcze sporo zamożnych kobiet, które mieszkają daleko od

Scruples. Gdyby więc dom mody otworzył filie w miastach na rozmaitych kontynentach? Rio dawno już do tego dojrzało, podobnie jak Zurich, Mediolan, Sao Paulo, Monte Carlo... Wszystkie te miejsca pełne były bardzo bogatych, bardzo znudzonych i bardzo eleganckich kobiet. A Monachium? Chicago? Do wyboru, Dallas albo Houston?

I oczywiście Nowy Jork. Ach, Nowy Jork. Sześć lat temu, podczas lunchu z Gerry Stutz, Billy dowiedziała się, dlaczego jej rozmówczyni nigdy jakoś nie otworzyła filii z szyldem „Bendel’s”. Stało się tak mianowicie dlatego, że w żadnym mieście Ameryki poza Nowym Jorkiem nie znajdzie się dostateczna liczba kobiet, które zrozumieją i pójdą za charakterystycznym dla „Bende’s” rozumieniem handlu. Billy pomyślała teraz, że z miłą chęcią nauczy Gerry paru nowych sztuczek, tym bardziej że Scruples nie był tak jak „Bendel’s” zorientowany jako dom mody na absolutną awangardę mody i fasonu. Zasady rządzące estetyką Scruples dałoby się zmodyfikować, nagiąć i dostosować do wymogów każdej metropolii pod warunkiem, że działałoby się to w kraju, w którym istnieje duża warstwa osób zamożnych i żyjących z kapitału.

Billy poczuła, że od tych wspaniałych wizji przyszłości zaczynają ją świerzbić palce. Tyle miast będzie można zwiedzić, zlustrować tyle potencjalnych miejsc na sklepy, podpisać tyle umów, znaleźć architektów i zlecić im zadania, wynająć dekoratorów wnętrz, zaznajomić się z gustami i specyfiką miejscowej arystokracji finansowej... Każdy z oddziałów Scruples byłby jedyny w swoim rodzaju, różny od wszystkich innych sklepów z wyjątkiem macierzystego domu mody w Beverly Hills. Trzeba będzie wyszkolić nowy personel, znaleźć nowych zaopatrzeniowców, nająć kierownictwo, wypróbować nieskończoną liczbę udoskonaleń, dzięki

którym będzie można rozwinąć koncepcję, która kilka lat temu legła u podstaw *Scruples*. Wystarczy tej pracy do końca życia. Billy poczuła radosne drżenie. Zrozumiała zarazem, że dokładnie tak samo musi się czuć Vito, kiedy zaczyna przygotowania do nowego filmu. A więc nie kocha filmu kosztem żony, lecz po prostu pała namiętnością do spraw, które z nią, Billy, nie mają nic wspólnego i w żaden sposób jej nie zagrażają. Wspaniale! Ale powoli. Po kolei. W przeciwnym razie balon zrobi się za ciężki i opadnie na ziemię.

Vito trącił ją delikatnie w ramię, gdyż Billy od dłuższej chwili wydawała mu się dziwnie zamyślona. Tymczasem za chwilę miała zostać odczytana lista kandydatów w kategorii Najlepszego Reżysera. Billy oprzytomniała w jednej chwili, zaskoczona, że czuje aż takie emocje. Chyba rzeczywiście uwielbiała Fifi. Kolejna para prezenterów - Boże, kto wytrzasnął takie pokraki?! - wydawała się bardziej zajęta swoimi żarcikami (kiepskimi, a co gorsza rozłazącymi się w szwach) niż kopertą z nazwiskiem laureata. Chyba tylko sadysta mógł wymyślić ten rytuał. Odczytanie pięciu nazwisk zabrało parze prawie pięć minut, a obrzędowa szarpanina z kopertą trwała całą epokę. Jakże to możliwe, by dwoje zdrowych, dorosłych ludzi nie umiało otworzyć jednej małej koperty? Jakiś Fiorio Mili. Biedny Fifi. Tylko dlaczego Vito tak podskoczył z radości i... A więc chodzi o Fifi! Patrząc na znajomą sylwetkę, trudną do rozpoznania w eleganckim smokingu, Billy zastanawiała się, czy naprawdę nie wiedziała, jakie Fifi ma nazwisko, czy też była zbyt rozkojarzona, by pojąć, o kogo chodzi.

Następna piosenka, dzięki Bogu. Można odetchnąć. Billy pożałowała, że nie wzięła ze sobą notesu i ołówka. Nie, nie, i jeszcze raz

nie. Tak nie można. Takich właśnie sytuacji poprzysięgła sobie unikać. Wiedziała, że jeżeli w ferworze wściekłej zachłanności zapisze sobie nazwy miast, w których marzyły jej się filie Scruples, zanim minie parę godzin, będzie siedziała przy telefonie natarczywie i kategorycznie wydając polecenia pośrednikom od nieruchomości. Zacznie bić się o najlepsze lokalizacje i rwać się do działania, doprowadzana do szaleństwa pragnieniem, by jak najszybciej urzeczywistnić wszystkie pomysły. Dopiero w tej chwili mogła sobie z całą surowością powiedzieć, że zmieniała się na tyle, by zrozumieć, jak bardzo łatwo popełnić w ten sposób straszliwe błędy. Zmieniała się, co więcej na tyle, aby tych błędów unikać. Na jedno mgnienie Billy przypomniawszy sobie dawną zachłanność w jej rozmaitych postaciach, najpierw jeśli chodzi o jedzenie, później, w Nowym Jorku, zachłanność względem młodych mężczyzn, a w latach małżeństwa z Ellisem żądzą wciąż nowych podróży, nowych domów i klejnotów. Przeżywała to w tak młodym wieku, że jeszcze przed trzydziestką nasyciła się tymi sprawami całkowicie. Później przyszły ubrania, całe góry strojów, z których włożyła kiedykolwiek na siebie najwyżej jedną dziesiątą. Wreszcie mężczyźni - Jake w pawilonie przy basenie, następni w basztowej pracowni. Posiadała wszystkiego za dużo, o wiele, wiele za dużo, tak wiele, że nie potrafiła się nawet cieszyć swoją własnością. Przeżywała życie, nawet go nie kosztując. Dopiero teraz wiedziała nareszcie, czego naprawdę chce. Odeszły dni czczej obfitości, czekały zaś Billy dni rozsądnych, starannie podejmowanych decyzji o tym, co najważniejsze. Jak bardzo to w bostońskim stylu! Czy oznaczało to zatem, że nie do końca udało się pozostawić Boston za sobą?

Billy podjęła święte postanowienie, że przyszłości dla Scruples nie

będzie planować sama jedna, w tajemnicy, napawając się zaspokajaniem własnej łapczywości. Czuła, że jest za głupia jak na tak skomplikowane przedsięwzięcie. Osoba umiejąca kierować ludźmi potrafi się przyznać do własnych niedostatków. We wszystko trzeba będzie wtajemniczyć Valentine, a zwłaszcza Spidera. Zrobi się ich wiceprezesami do spraw nowych filii, albo w ogóle założy się nowy koncern, dzięki czemu obydwójce dostaną więcej pieniędzy i większy procent od zysków. Kto wie? Może właśnie w ten sposób da się uleczyć Spidera, wyrwać go z dziwnej choroby, na jaką zapadł?

Vito tym razem boleśnie ją uszczypnął, każąc jej powrócić do pełnej ludzi sali.

- Co ta Dolly wyprawia, do cholery? - syknął Billy do ucha, wskazując na siedzącą do tej pory kilka rzędów z przodu aktorkę.

Na estradę wyszła w tejże chwili para prezenterów, która miała wręczać Oscara za Najlepszą Rolę Drugoplanową. Para jednak zamarła w milczeniu, a obie przepyszne twarze zastygły w wyrazie paniki, zwrócone w kierunku parteru sali. Dolly Moon zamiast spokojnie siedzieć, zerwała się bowiem z miejsca i klarowała coś zamilkłej z wrażenia widowni, a z sąsiedniego fotela dźwigał się jakiś potężny mężczyzna. Sytuacja stawała się po prostu niemożliwa. Czyżby chodziło o jakiś protest, o źle wybrany w czasie numer w stylu Marlona Brando? Cała sala patrzyła teraz na Dolly, zdjęta przecuciem, że w cichobieżnym mechanizmie przyznawania Oscarów zaszło coś nieoczekiwanego. Kiedy na scenę wychodzą prezenterzy, następuje chwila uroczystej ciszy. Tradycja każe wszystkim kandydatom do nagrody - w tym i Dolly - siedzieć bez ruchu, z miną szczęśliwą i niewyraźną w każdym szczególe okazując spokój i

oprowadzenie, aby kiedy padnie nazwisko laureata, uśmiechnąć się fałszywie, lub też przyoblec twarz w wyraz radosnego niedowierzania. Zamiast się zastosować do tych wskazówek, Dolly wstała i lekko podenerwowanym tonem tłumaczyła coś sąsiednim rzędom. Reżyser programu Maggie natychmiast wysłał w tamto miejsce kamerę i operatora dźwięku. Publiczność w Dorothy Chandlers Pavilion nie słyszała wszystkiego, co docierało do widzów, wiele więc osób wstało i wyciągnęło szyje w kierunku Dolly.

- Hej, Lester, Lester, kochanie, nie denerwuj się tak, to tylko wody mi odeszły. Spokojnie, mamy mnóstwo czasu, o rany, biedna Valentine, zupełnie jej zniszczyłam tę suknię... - Dolly przeciskała się teraz do przejścia między rzędami. Tuż za nią postępował kamerzysta, a człowiek z mikrofonem stał przed nią. Jak zauważyła później Billy, cała scena wyglądałaby porządniej i miałaby o wiele bardziej epicki charakter, gdyby kamerę ustawiono z przodu. Na szczęście operator również znał się na swoim fachu, a widok Dolly od strony rufy, z potężną mokrą plamą na morskołękitnej sukni i strużka wód płodowych, jaką laureatka zostawiała na wykładzinie, kiedy niespiesznie postępowała ku wyjściu, warte były tysiąca ujęć jej twarzy. Tak czy inaczej Dolly nigdzie się nie spieszyła. Zamiast umykać, rozglądała się dookoła, ani przez chwilę nie przestając przemawiać do zaskoczonych widzów.

- Czy byliby państwo tacy mili i zechcieli się rozejrzeć po podłodze za moim kolczykiem? Wydaje mi się, że gdzieś się potoczył... Pewnie się wala pod nogami. No, nie, Lester, uspokój się w tej chwili, nie ma się czego obawiać. Hej, ludzie, szukajcie mojego kolczyka! Nieduży, z jedenastokaratowym brylantem, nie wiem, czy był ubezpieczony. Co

znowu, Lester? Nie, nie wygłupiaj się, dlaczego mam tym ludziom mówić, że to szkielek? Billy nie nosi szkiełek. Nie, Lester, nie mogę iść szybciej, nie widzisz, że tu jest pod górkę, nie, proszę cię, nie próbuj mnie brać na rękę, ważę teraz więcej niż ty... Coś takiego, przecież miałam termin dopiero za tydzień, słowo daję! A tu „pstryk”, i już, coś takiego, nie miałam przecież zamiaru rodzić tutaj, nie? - Mówiąc to wszystko, Dolly chichotała bez przerwy. Chichotała i chichotała, a w milionach mieszkań na całym świecie ludzie zaśmiewali się wraz z nią do rozpuku. Historyczny odwrót Dolly Moon z uroczystości rozdania Oscarów rozśmieszył większą liczbę ludzi jednocześnie niż jakiegokolwiek wydarzenie w dotychczasowej historii świata.

Billy przesiedziała całą tę scenę w stanie zupełnego szoku. Ten wyraz twarzy Dolly, kiedy szła ku wyjściu! Billy miała nigdy nie zapomnieć miny przyjaciółki, pełnej napiętego oczekiwania i skupionej wyłącznie na jednej, jedynej sprawie. Dolly przez cały ten czas dawała sobie na swój pozornie niezdarny, a przecież zawsze skuteczny sposób radę z tą jakże krępującą sytuacją - co więcej, Dolly zdawała się znać tę samą tajemnicę. Dolly potrafiła cierpliwie czekać, aż do skutku, nawet jeżeli czasami zdarzało jej się pomylić o tych parę dni. Czy to ważne?

Billy zrozumiała nagle, że nikt na świecie, nawet ona, nie może w życiu „wyjść na swoje”.

A może to i lepiej? Zresztą i tak nie miała wyboru. Jakże fascynujące było zdać sobie wreszcie sprawę, że przy całej olbrzymiej gamie możliwości istniały sytuacje, w których nawet ona, Billy, nie ma żadnego pola manewru - dokładnie tak samo jak wszyscy. Jakaż ulga! Billy poczuła, że w zakątku ciała, które zawsze nazywała „żołądkiem”,

rozluźniają jej się ciasne więzy. Dawny „żołądek” trzeba będzie odtąd traktować z nieco większym szacunkiem.

Kiedy ustało wreszcie wielkie zamieszanie, spowodowane poszukiwaniami kolczyka, prezenterzy obwieścili, że to właśnie Dolly dostała Oscara. Nagrodę bez namysłu przyjął w jej imieniu Fifi, któremu po twarzy wciąż ściekały łzy wesołości. Następni prezenterzy mieli wręczyć nagrody w kategoriach Najlepszego Aktora, Najlepszej Aktorki i Najlepszego Filmu Roku. Vito mocno ścisnął Billy za rękę. Mimo napięcia, podczas wręczania nagrody aktorowi, w myślach obsadzał już główną rolę w swoim nowym filmie, rolę Białego Amerykanina - na wypadek, gdyby Nicholson i Redford okazali się nieosiągalni. Billy wciąż polatywała tam i siam w gondoli swojego balonu, któremu tylko wiatr nadawał teraz kierunek. Czy w rodzinie Orsinich zdarzały się już bliźniaki? Kiedy Najlepsza Aktorka wygłaszała swoją mowę dziękczynną, Billy zaczęła się zastanawiać, czy słowo *Scruples* lepiej będzie przetłumaczyć w Rio na portugalski, czy może zostawić w oryginalnym, angielskim brzmieniu. Vito rozmyślał zaś, jaki procent od zysków uda mu się wynegocjować przed rozpoczęciem nowego filmu.

Po chwilowej przerwie, podczas której oscarowa gorączka dosięga zenitu, prezenterzy wyszli z za kulis i zaczęli kroczyć w kierunku środka estrady, by odczytać listę kandydatur do miana Najlepszego Filmu Roku. Vito zaczął się pocić w fotelu. A jeżeli Maggie się pomyliła? Chryste Panie! Musiałby wtedy zakupić prawa do książki za pieniądze, które zarobił na *Zwierciadłach*, jako że zyski nareszcie zaczęły się materializować. Nawet jeśli tak, co tam! Vito wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Czy się pomylił czy nie, czy Maggie mówiła prawdę czy

kłamała, i tak musiał kupić prawa do ekranizacji tej książki. Napisano ją po to, by Vito Orsini mógł z niej zrobić film, czyż nie?

Billy nie czuła najmniejszego ataku paniki. Jeszcze rano zadzwoniła do niej Dolly, która nie umiała zatrzymać dobrej nowiny dla siebie, i opowiedziała jej całą zwariowaną historię z kopertami. Billy nie chciała jednak powtarzać tego mężowi obawiając się, że świadomość, iż dzień wcześniej dwie kobiety, niezależnie od siebie otwierały kopertę, zepsułaby mu całą radość z Oscara. Z podobnych przyczyn odkładała wiadomość o dziecku do jutra, kiedy zatrze się już nieco wieczorna chwała. Wiadomość o dziecku takiemu amatorowi bambino jak Vito przesłoniłaby wszystkie inne, nawet najwyższy zaszczyt w branży filmowej.

Kiedy Billy poczuła w swojej dłoni tężejącą jak nigdy przedtem dłoń męża, skarciła się w myślach za brak szczerości wobec siebie samej. Prawda była taka, że Wilhelmina Hunnenwell Winthrop Ikehorn Orsini nie miała najmniejszego zamiaru dzielić się względami męża z pozłacaną statuetką, którą w swej niezgłębionej mądrości zechciała mu przyznać Akademia.

- Myślisz, że ktoś w ogóle znajdzie twój kolczyk? - szepnął jej nagle Vito do ucha. Na estradzie prezydentzy zaczęli wyczytywać tytuły pięciu filmów i nazwiska producentów.

- Co tam kolczyk! - Billy pocałowała go prosto w usta. Myślmy teraz o ważniejszych sprawach.